C.W. Ceram

Bogowie, Groby i Uczeni

Tytuł oryginału «GÖTTER, GRÄBER UND GELEHRTE»
Wybór i opracowanie ilustracji ZSOLT KISS
Projekt graficzny serii RYSZARD ŚWIĘTOCHOWSKI
Opracowanie okładki i stron tytułowych TERESA KAWIŃSKA
Reprodukcje fotograficzne STANISŁAW TURSKI i MIECZYSŁAW KOWALSKI
Copyright by Rowohlt Verlag GmbH Reinbek bei Hamburg 1949
Copyright for the Polish edition by
Państwowy Instytut Wydawniczy
Warszawa 1958

PRINTED IN POLAND Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1996 r.
Wydanie ósme
Ark. wyd. 33,3. Ark. druk. 29,25
Papier offset, kl III 70 g, 70 x 100 cm
Cieszyńska Drukarnia Wydawnicza
Nr zam. 565/K-96
ISBN 83-06-02398-6

SPIS TREŚCI

I. KSIĘGA POSĄGÓW

1. PROLOG NA ZIEMI KLASYCZNEJ

Pierwszy szyb w przeszłość. — Odkrycie Herkula-num. — Jak kwitła i zginęła Pompeja. — Trzy rodzaje śmierci. — Uczestnicy własnego pogrzebu. — „Dużo piękniejsze niż dzieła Rafaela.” — Lessing darowuje dziesięć lat swego życia.

2. WINCKELMANN, CZYLI NARODZINY NOWEJ NAUKI

Syn ubogiego szewca. — Konwertyta. — Przedmowa na 2677 stronach. — Zagadkowy kałamarz. — Rozgoryczony padre. — Omyłki Winckelmanna. — Świat antyczny tak nie wyglądał! — Zamordowanie Winckelmanna.

3. TROPICIELE HISTORII

Skąd te wiadomości? — Martwy wojownik. — Mania kolekcjonerstwa. — Koloseum jako kamieniołomy. — Zagadkowy szkielet. — Skamieniałości wytworzone „sposobem domowym”. — Brat Casanovy „nabiera” Winckelmanna. — Psyche z brodą. — Mądrość Hery. — Jak umarł Fidiasz?

4. BAJKA O BIEDNYM CHŁOPCU, KTÖRY ZNALAZŁ SKARB

Zbrodzień Hennig, zwany Bradenkierl. — Siedmioletni chłopiec wyrywa się do Troi. — Pijak deklamuje Homera. — Geniusz językowy. — Handlarz złota. — Schliemann wierzy Homerowi. — Bunarbaszi czy Hissarlik? — Schliemann znajduje Troję. — Dziewięć warstw. — „Skarb Priama”. — Lord Elgin robi zły interes.

5. MASKA AGAMEMNONA

„Agamemnon”, odwieczny temat dramaturgów, od Ajschylosa do Sartre’a. — Lwia

Brama. — Piec piekarniczy czy skarbiec? — Zofia Schliemann pomaga w pracach wykopaliskowych. — Martwe twarze. — Klejnoty i złoto. — Maski. — Napiwek cesarza Brazylii. — Złoto, złoto i jeszcze raz złoto.

6. SCHLIEMANN I NAUKA

Winckelmann a Schliemann. — Nauka i reklama. — Głos ma Schopenhauer. — Wielcy dyletanci. — Omyłki Schliemanna. — Kto ostatecznie kupi jego zbiory? — Obywatele honorowi Berlina: Bismarck, Molt-ke i Schliemann. — Troją odkopują w Niemczech!

7. MYKENY, TIRYNS I WYSPA ZAGADEK

„Złote miasta". — Miejsce urodzenia Herkulesa. — Mury Tirynsu. — Strusie jajo znalezione w Mykenach. — Dziwne wizerunki byków. — Poszło o 1612 drzew oliwkowych. — Śmierć Schliemanna. — Evans szuka starego pisma.

8. NIC ARIADNY

Kreta, państwo Minosa. — Evans znajduje Labirynt. — 75 000 litrów oliwy. — Rozwój kultury minojskiej. — Moda kobieca na Krecie. — Jeszcze raz obrazy byków. — Ofiary dla Minotaura. — Czarne żagle Tezeusza. — Pożeracze tysiącleci.

II. KSIĘGA PIRAMID

9. O PEWNEJ KLĘSCE, KTÓRA STAŁA SIĘ ZWYCIĘSTWEM

Napoleon i jego „uczeni cywile”. — „Czterdzieści wieków spogląda na was!” — Denon rysuje. — Odkrycie starożytnego Egiptu. — Nil. — Tajemnica hieroglifów.

10. CHAMPOLLION I TRÓJJĘZYCZNY KAMIEŃ Z ROSETTY

Znowu geniusz językowy! — Cudowne narodziny Champolliona. — Siedemnastoletni członek Akademii. — Nieznany żołnierz znajduje kamień z Rosetty. — Champollion w Paryżu. — Kapitan Scott na biegunie południowym. — Czyżby hieroglify były już odcyfrowane?

11. ZDRAJCA STANU ODCYFROWUJE HIEROGLIFY

Dwunastoletni chłopiec wypowiada swe poglądy polityczne. — „Sto dni” Napoleona. — Champollion skazany na wygnanie. — Próby odcyfrowania. — Champollion contra Horapollon. — Imiona królewskie. — Ptolemeusz i Kleopatra. — Istota hieroglifów. — Champollion pod portykiem świątyni w Denderze.

12. «CZTERDZIEŚCI WIEKÓW SPOGLĄDA NA WAS»… Cztery wielkie nazwiska. — „Włoski olbrzym.” — Taranem na komory grobowe! — Lepsius porządkuje historię. — Kronika Manetona. — Rozwój historii egipskiej. — Mariette znajduje święte byki. — Bogaty pan Ti.

13. PETRIE I GROB AMENEMHETA

Petrie kopie przez całe życie. — Nagi człowiek w piramidzie. — „Horyzont Cheopsa”. — Grobowce budowane wśród krwi i łez. — Ka. — Silvio Gesell i arka przymierza. — Mistyka liczb. — Petrie kopie w wodzie. — Na tropie rabusiów plądrujących groby.

14. ZBÖJCY W «DOLINIE KRÓLÓW».....
Amerykanin kupuje antyki. — Historia „Doliny Królów” to historia rabunków. — Nowoczesny proces sprzed 3000 lat. — Ramzes III trzykrotnie pochowany. — Masowe groby dla królów.

15. MUMIE
Pococke i Bruce w „Dolinie”. — Elektrycznie oświetlone grobowce. — „Czarny rynek” zabytków. — Abd-el-Rasul. — Dynastia rabusiów. — Brugsch-bej znajduje 40 martwych królów. — Jak balsamowano zwłoki? — Fellachowie odprowadzają mumie swych władców.

16. HOWARD CARTER ODKRYWA GRÓB TUTANCHAMONA. Kulminacyjny punkt odkryć archeologicznych. — Wypadek samochodowy Carnarvona. — Pierwszy stopień kamiennych schodów. — Zapieczętowane drzwi. — Znowu na tropie rabusiów. — W przedsionku grobowca. — „Cudowne rzeczy!” — Bezcenne skarby w bocznej komorze.

17. ZŁOTY MUR
Organizacja wykopalisk. — List Raisa Achmeta Gur-gara. — 700 przedmiotów w przedsionku. — Złota skrzynia. — Jeszcze większe skarby. — Carter krytykuje niedbalstwo starożytnych Egipcjan. — Złota trumna Tutanchamona. — Kim był ten król? — Zdjęcie bandaży z mumii. — 12 300 turystów. — Bzdura o „przekleństwie faraona”

III. KSIĘGA WIEŻ

18. PISMO ŚWIĘTE POWIADA

Kara boska. — Francuski zbieracz owadów. — Redaktor i archeolog. — Nic poza kilkoma usypiskami.

19. BOTTA ZNAJDUJE NINIWĘ

Mezopotamia — kraj i ludzie. — Cudowne dziecko. — Dyplomacja i nauka. — Wykopaliska pod Kujundżykiem. — Pierwszy asyryjski pałac pod Chorsaba-dem. — Nieudany transport. — Cały świat zelektryzowany wykopaliskami Botty.

20. ODCYFROWANIE PISMA KLINOWEGO

Nauczyciel idzie o zakład. — Podróże Niebuhra. — Persepolis. — Jedna warstwa kulturowa na drugiej. — Georg Friedrich Grotefend. — Genialny pomysł. — „Wielki król — król królów...” — Dziadek, ojciec i syn.

21. POCZWÓRNA PRÓBA

Siedemnastoletni redaktor. — Napis behistuński. — „Oto co wieści król Darajawahusz...” — Praca kopisty na wysokości pięćdziesięciu metrów nad ziemią. — Powtórne odcyfrowanie pisma klinowego. — Niepowodzenia. — Słownik na glinianych tabliczkach. — Czterech uczonych dochodzi do identycznego wyniku.

22. PAŁACE POD WZGÓRZEM NIMRUD

Henry Austen Layard. — Pierwsza podróż. — „Wielki łowca przed Panem”. — Layard rozpoczyna swą przygodę z 60 funtami angielskimi w kieszeni. — Rewolucja! — Sztuczny cmentarz. — Nemrod powstaje i z ziemi. — Przerażenie na targu. — Przemówienie szejka. — Uskrzydlone byki o ludzkich twarzach przewiezione do Londynu. — Layard opisuje wzgórze Nimrud.

23. GEORGE SMITH SZUKA IGŁY W STOGU SIANA

Ponowne wykopaliska pod Kujundżykiem. — Pyszna Niniwa. — Wojny, mordy, grabieże, ucisk. — Ogród na skale. — Sanheryb — asyryjski dyktator. — Babilon starty z oblicza ziemi. — Biblioteka z glinianych tabliczek. — Hormuzd Rassam znajduje epos Gilgamesza. — Smith odkrywa podanie o potopie. — Utnapisztim — babiloński Noe.

24. kule Świszczą wokół Koldeweya

Łódź nosząca nazwę „Świeży Ser". — Profesor pisze wiersze. — „W kraju oper i tenorów". — Zbójca z Wenecji. — Strzelaniny — „istna plaga w tej okolicy".

25. ETEMENANKI, CZYLI WIEŻA BABEL

Babilon Nabuchodonozora. — Szeroki mur. — Wiszące ogrody Semiramidy. — Wieża babilońska. — Zniszczenia. — Święta droga. — „Smok babiloński". — Proroctwa Jeremiasza.

26. TYSIĄCLETNI KRÓLOWIE I POTOP

Nasze zabobony pochodzą z Babilonu. — Jak „wyliczono", że pewien lud musiał kiedyś istnieć. — Najstarsza kultura świata? — Rzut oka na historię Międzyrzecza. — Sargon był postacią historyczną! — Woolley — *parfait gentilhomme*. — Sztandar mozaikowy z Ur. — Straszne odkrycie. — Potop. — „Listy królów". — Mes-anni-padda.

IV. KSIĘGA SCHODÓW

27. SKARB MONTEZUMY II

Cortez stoi pod Meksykiem. — Spotkanie z cesarzem Azteków. — Odkrycie Środkowej Ameryki. — Cortez spada z balkonu. — „Słuszna sprawa" Hiszpanów. — Znalezienie skarbu. — Uwięzienie Montezu-my. — Cortez odnosi zwycięstwo nad Narvaezem.

28. ZAMORDOWANA KULTURA

Religia aztecka. — 20000 ofiar ludzkich w ciągu jednego dnia. — Powstanie Azteków. — Ucieczka Corteza: Noche triste. — Bitwa w dolinie Otumba. — Bohaterski czyn Corteza. — Stracenie ostatniego cesarza Azteków. — Odkryta kultura zostaje zapomniana.

29. MR STEPHENS KUPUJE MIASTO

Skąpe wiadomości o Jukatanie. — Stephens i Catherwood. — Wojna domowa w Środkowej Ameryce. — „Pan w cylindrze". — Ruiny Copanu. — Świat obcych form. — Stephens kupuje miasto Copan. — Podróż Waldecka. — Skąd przybyli Majowie? — William H. Prescott.

30. INTERMEZZO

Stary rękopis. — Proboszcz wśród Indian. — Diego de Landa. — Kultura bez zwierząt domowych. — Dzisiejsi Majowie. — Zachowały się tylko trzy dokumenty z dawnego państwa Majów!

31. TAJEMNICA OPUSZCZONYCH MIAST

Zbiory Maudslaya. — Kalendarz Majów najlepszym kalendarzem świata. — Trudności synchronizacji. — „Księgi Chilam Bałam". — „Nowe Państwo". — Tajemnicza emigracja. — Przegląd dziejów „Starego Państwa". — Ekspansja „do

wewnątrz”. — Kultura bez pługa.

32. DROGA DO STUDNI

Thompson spogląda na Chichen-Itza. — Schliemann Ameryki. — Święta Studnia. — Thompson uczy się nurkować. — Archeologia pod wodą. — Złoto i szkielety. — Najnowsze wykopaliska w starym państwie Majów. — Sztuka bez roślinnego motywu zdobniczego. — Kolumny-węże. — Zastygła astronomia.

33. SCHODY POD LASAMI I LAWĄ

Książe Ixtlilxochitl. — Kultura starsza od kultury Majów. — Tulą. — Piramidy dokoła Meksyku. — Skarb z Monte Alban. — Toltekowie, Olmekowie, Zapotekowie. — Świat kończy się co 52 lata. — Piramida pod lawą sprzed 8000 lat. — Quetzalcouatl.

V. KSIĘGI, KTÓRYCH JESZCZE NIE MOŻNA NAPISAĆ

34. NOWE POSZUKIWANIA W STARYCH PAŃSTWACH

Dwadzieścia jeden cywilizacji Arnolda J. Toynbee. — Czy istniały „czarne kultury”? — Atlantyda. — Yarim-Lim, król Hetytów. — Kosock odbywa loty nad „drogami inkaskimi”. — Nowe odcyfrowania. — Archeologia i nauki przyrodnicze.

„Nie ma patriotycznej sztuki ani patriotycznej nauki. I jedna, i druga, jak wszystko, co wzniosłe i dobre, należą do całego świata i mogą rozwijać się tylko w powszechnym i swobodnym wzajemnym oddziaływaniu na siebie wszystkich żyjących współcześnie ludzi przy stałym uwzględnianiu tego, co przejęliśmy w spuściźnie z czasów minionych i co o nich wiemy."

Goethe

„Kto czasy swe chce widzieć właściwie, niechaj patrzy na nie z daleka. Z jak daleka? To bardzo proste: akurat z takiej odległości, by nie mógł już poznać nosa Kleopatry."

Ortega y Gasset

O CZYM BĘDZIE MOWA

Radzę czytelnikowi nie zaczynać tej książki od pierwszej stronicy. Radzę mu tak, bo wiem, jak mało skutku odnoszą najgorętsze nawet zapewnienia autora, iż ma do opowiedzenia rzeczy niezwykle ciekawe, jak mało przekonują zwłaszcza wówczas, gdy tytuł zapowiada „powieść o archeologii", a więc książkę z dziedziny nauki o starożytnościach, którą zwykło się uważać za jedną z najbardziej suchych i najnudniejszych gałęzi wiedzy.

Radziłbym zacząć od rozdziału o Egipcie: Księgę Piramid. Mam nadzieję, że wtedy najbardziej nawet nieufny czytelnik życzliwiej ustosunkuje się do naszego tematu i postanowi wyrzucić za burtę balast wszystkich z góry powziętych uprzedzeń. Proszę jednak, aby zaznajomiwszy się w ten sposób z tematem, przerzucił z powrotem pominięte kartki i zaczął czytać od rozdziału pierwszego. Odtąd bowiem, aby lepiej zrozumieć nawet najbardziej pasjonujące wydarzenia, będzie potrzebował prowadzącego go planowo przewodnika.

Książka ta jest napisana bez żadnych ambicji naukowych. Raczej próbowaliśmy ująć jej przedmiot — określoną gałąź nauki — w taki sposób, aby pracę badaczy i uczonych ukazać przede wszystkim w jej wewnętrznym napięciu, w jej dramatycznych powikłaniach, w jej powiązaniu z żywym człowiekiem. Uważaliśmy, że dla osiągnięcia tego celu nie należy się cofać ani przed dygresją, ani przed osobistą refleksją, ani nawet przed nawiązywaniem do spraw aktualnych. Z tego wszystkiego zrodziła się książka, którą naukowiec nazwie „nienaukową".

Na swoje usprawiedliwienie powiem tylko, że o to mi właśnie chodziło. Uważałem bowiem, że archeologia, ta przebogata nauka, w której osiągnięciach idą w parze

Przygoda i mozolna praca uczonego, romantyczne porywy i krytyczny umiar, nauka prowadząca nas w głąb najodleglejszych epok i przez najdalsze przestrzenie globu ziemskiego, że ta nauka została w publikacjach fachowych pogrzebana. Przy całej swej naukowej wartości nie były one w żadnym razie pisane po to, aby je „czytano". Zaprawdę, dziwić się można, że dotychczas podjęto nie więcej niż trzy lub cztery próby, aby te wyprawy w zamierzchłą przeszłość zebrać w pasjonującą przygodę. Bo też rzeczywiście nie ma chyba bardziej porywającej przygody, jeśli tylko za przygodę zawsze uważać będziemy połączenie myśli i czynu.

Jakkolwiek pisząc tę książkę trzymałem się metody odrzucającej wszelki „czysty" opis, to jednak zaciągnąłem wielki dług wobec „czystej" nauki o archeologii. Jakżeż mogłoby być inaczej, skoro książka ta jest hymnem pochwalnym na cześć jej osiągnięć, jej przenikliwości, jej niestrudzonej pracy, przede wszystkim zaś na cześć samych badaczy, którzy w większości wypadków tylko z prawdziwej skromności przemilczeli to, co w ich pracy zasługuje na rozgłos, bo godne jest naśladowania. Ze świadomości tego długu, zaciągniętego wobec archeologii, wypływa też moje usiłowanie unikania nieprawdziwych zestawień i fałszywych akcentów. Moja „powieść o archeologii" jest powieścią w sensie barokowym, opowiada bowiem o romantycznych w najdawniejszym znaczeniu tego słowa (bynajmniej nie kłócących się z rzeczywistością) zdarzeniach i żywotach ludzkich.

Ale jest „powieścią autentyczną". W danym zaś wypadku rozumieć przez to należy jak najdosłowniej, że autor w całym swym opisie bynajmniej nie tylko nawiązuje do faktów (przyozdobionych przez własną wyobraźnię), lecz operuje wyłącznie faktami, do których jego wyobraźnia nie dodaje nawet najmniejszego ornamentu, jeśli go nie dostarczyła historia danej epoki.

A jednak jestem przekonany, że specjalista-archeolog, któremu książka ta wpadnie w ręce, wykryje w niej błędy. Tak na przykład początkowo trudną do pokonania przeszkodą wydawała mi się pisownia nazw i nazwisk. Niejednokrotnie dla jednego i tego samego imienia czy nazwy miałem do wyboru z tuzin rozmaitych pisowni. Zgodnie z charakterem tej książki zdecydowałem się w końcu stosować pisownię

najbardziej przyjętą, bez trzymania się w tym względzie jakiejkolwiek zasady naukowej, co miejscami uczyniłoby tekst zupełnie niezrozumiałym. Łatwiej przyszło mi powziąć tę decyzję, gdy przeczytałem słowa znakomitego niemieckiego historyka Ed. Meyera, który w swej *Historii starożytnej* — mimo iż przeznaczonej dla świata naukowego — stał przed tą samą trudnością i w końcu pisze: „...widziałem więc tylko jedno wyjście — nie trzymać się żadnej zasady". Przykład historyka tak niepowszedniej miary wolno chyba było naśladować autorowi skromnego opisu.

Z pewnością jednak i poza tym zdarzyło mi się popełnić czysto rzeczowe błędy. Nie sądzę, by można się od nich uchronić, gdy próbuje się po raz pierwszy wtłoczyć w ramy jednego przeglądu tak olbrzymi materiał, obejmujący aż cztery specjalne dyscypliny naukowe. Każde sprostowanie ze strony kompetentnego czytelnika przyjmę z wdzięcznością.

Zaciągnąłem wszakże nie tylko zobowiązanie wobec nauki, lecz również i dług wobec określonego gatunku literackiego, do którego ta książka nawiązuje, ściślej — wobec twórcy tego gatunku. O ile mi wiadomo, amerykański lekarz Paul de Kruif był pierwszym autorem, który spróbował przedstawić rozwój pewnej bardzo specjalnej gałęzi nauki właśnie w taki sposób, że jego pracę o niej czytano z zainteresowaniem, jakie w naszym stuleciu budzą chyba tylko powieści kryminalne. De Kruif „odkrył" w 1927 roku, że rozwój bakteriologii, jeżeli rozpatrywać go i uszeregować pod pewnym kątem widzenia, zawiera w sobie elementy powieściowe. Odkrył ponadto, że nawet najważniejsze problemy naukowe można przedstawić w sposób niezwykle prosty i zrozumiały, gdy się je opisuje jako procesy pracy, prowadząc czytelnika dokładnie tą samą drogą, którą kroczył uczony od momentu zrodzenia się pomysłu aż do ukończenia badań. I doszedł do wniosku, że w samym błądzeniu uczonego po wszystkich owych bezdrożach, rozstajach i ślepych zaułkach, na które wiodła go omylność i niedoskonałość ludzkiego umysłu, niepożądane przypadki i utrudniające zadanie wpływy zewnętrzne, tkwi taka dynamika i tyle dramatyczności, że są one w stanie wywołać najwyższe napięcie. Tak powstała jego książka *Łowcy mikrobów.* Już sam tytuł, który trzeźwe określenie „bakteriologowie" przeobraża w kategorię ludzką,

zawierał w sobie program nowego gatunku literackiego: „powieści autentycznej".

Od czasu owej pierwszej próby Paula de Kruifa nie ma chyba dziedziny naukowej, do której ten czy inny autor, a czasem i kilku autorów naraz nie próbowałoby zastosować tej nowej, literackiej metody. Że próby takie podejmowali pisarze, którzy w danej dziedzinie nauki byli dyletantami, to rzecz najzupełniej naturalna. Wydaje mi się, że dla krytyki, wciąż jeszcze na tym polu niedostatecznej, ważne są następujące kryteria: w jakiej proporcji pozostaje w tych książkach nauka do literatury, w jakim stopniu przeważa w nich „autentyczność", a w jakim „powieść". Mnie osobiście wydaje się, że najlepsze książki należą do tej kategorii, która pierwiastek powieściowy wydobywa z faktów jedynie przez ich „uszeregowanie", a tym samym zawsze oddaje pierwszeństwo faktom. Do tej kategorii pragnąłem jak najbardziej przybliżyć swą książkę. Mam nadzieję, że oddałem przez to przysługę każdemu czytelnikowi, który pragnie iść „na pewniaka" i który chciałby książkę tę, mimo jej powieściowego charakteru, traktować jako podręczne źródło wiadomości naukowych. Myślę, że może ją za takie źródło uważać.

Dla osiągnięcia tego celu musiałem dokonać jeszcze dodatkowej pracy głównie dlatego, że mam na tym polu poprzedniczkę, Annę Therry White, której książka *Lost Worlds* (Zaginione światy), należąca do owej drugiej kategorii, wpadła mi w ręce, gdy kończyłem już swych *Bogów, groby i uczonych.* Mimo uznania dla mej amerykańskiej koleżanki po piórze pozostaję jednak przy swym zdaniu, iż zasada oddawania pierwszeństwa faktom przed „powieścią" jest słuszniejsza. Dlatego też w przeciwieństwie do pani White postanowiłem wszystkim tym, którzy pragnęliby nadal interesować się nauką o dawno minionych czasach, służyć stale w mej pracy jasnymi, nie budzącymi wątpliwości wskazówkami. Nie lękałem się tedy przerywać toku opowiadania datami i przeglądami historycznymi, a nadto dodałem do książki wykaz bibliografii, mapy, tablice chronologiczne oraz indeks nazw i nazwisk.

Wreszcie pragnąłbym tu wyrazić podziękowanie wszystkim tym, którzy udzielili mi pomocy w mej pracy. Niemieccy profesorowie dr Eugen von Mercklin, dr Carl Rathjens i dr Franz Termer byli tak uprzejmi, że sprawdzili rękopis, każdy w zakresie

swej specjalności. Prof. dr Kurt Erdmann, prof. dr Hartmut Sohmökel i badacz odkryć Schliemannowskich dr Ernst Meyer wnieśli do niej kilka istotnych poprawek. Wszyscy oni udzielili mi cennych wskazówek, pomagając pod każdym względem, przede wszystkim w zdobyciu potrzebnej literatury (za co winien jestem także podziękowanie prof. dr Walterowi Hagemannowi z Münster), i zwrócili mi uwagę na niektóre błędy, które zdołałem jeszcze usunąć. Dziękuję im nie tylko za ich pomoc, lecz przede wszystkim i za zrozumienie, z jakim jako naukowcy-specjaliści odnieśli się do książki, która tak całkowicie wybiega poza ramy naukowej fachowości. Pragnę wreszcie podziękować także pani Eddzie Rönckendorff i Erwinowi Dunkkerowi za to, że zdjęli ze mnie częściowo ciężar bardzo nieraz trudnych prac tłumaczeniowych.

Listopad 1949.
C. W. C.

I. KSIĘGA POSĄGÓW

Co za dziwy! o napój źródlany proszona,
Ziemio! cóż to z twego ślesz nam dzisiaj łona?
Czy i otchłanie żyją? noweż, niedostrzegłe
Mieszka plemię pod lawą czy powraca zbiegłe?
Do mnie, Grecy, Rzymianie! zgubion bez nadziei

Znalazł się gród Herkula i wstaje Pompei!

Fryderyk Schiller, *Herkulanum i Pompei*
(przekład J. D. Minasowicza)

Rozdział pierwszy

PROLOG NA ZIEMI KLASYCZNEJ

W 1738 roku Maria Amalia Krystyna, córka Augusta III saskiego, opuściła dwór drezdeński, aby poślubić Karola Burbona, króla Obojga Sycylii.

Szperając po rozległych neapolitańskich ogrodach i pałacach, żywa, obdarzona zmysłem artystycznym królowa coraz to odkrywała posągi i rzeźby, które przed ostatnim wybuchem Wezuwiusza bądź znaleziono przypadkowo, bądź wydobyto na światło dzienne na skutek inicjatywy, jaką podjął niejaki generał d'Elboeuf.

Urzeczona pięknem tych torsów bez głów i kończyn, Maria Krystyna nalegała na swego królewskiego małżonka, by kazał szukać dla niej więcej takich rzeźb. A że Wezuwiusz po wielkim wybuchu w maju 1737 roku — kiedy to zbocze góry rozwarło się na dwoje, a część jej szczytu wyleciała w powietrze — od półtora roku stał spokojnie pod błękitnym niebem Neapolu, król uległ jej prośbom.

Wydawałoby się, że nie było nic prostszego, jak kontynuować poszukiwania tam, gdzie d'Elboeuf je przerwał. Król naradził się z naczelnym dowódcą swych wojsk saperskich, hiszpańskim kawalerem Rocco Gioacchino de Alcubierre. Hiszpan ściągnął robotników, sprowadził narzędzia i proch. Trudności było sporo. Trzeba było

przebić się przez piętnastometrowy pokład stwardniałej na kamień masy erupcyjnej. Ze studni, odkrytej jeszcze przez d'Elboeufa, zaczęto prowadzić podziemne chodniki, wiercono otwory strzelnicze. Wreszcie nastąpiła chwila, gdy pod uderzeniami kilofa, który natrafił na metal, zadźwięczało jak dzwon. Wydobyto pierwsze znaleziska: trzy fragmenty wykutych w brązie koni nadnaturalnej wielkości.

Dopiero teraz zrobiono rzecz najmądrzejszą, jaką można było zrobić, jaką właściwie zrobić należało na samym początku: sprowadzono fachowca. Był nim markiz don Marcello Venuti, humanista, kierownik biblioteki królewskiej. Odtąd on nadzorował dalsze prace wykopaliskowe. Z kolei znaleziono trzy marmurowe rzeźby, przedstawiające ubranych w togi Rzymian, polichromowane kolumny i tułów koński z brązu. Para królewska przybyła na miejsce, aby obejrzeć znaleziska. Markiz opuścił się na sznurze w głąb przekopanych chodników. Natrafił na schody. Ich forma pozwoliła mu wysunąć przypuszczenie, czym była ta budowla. 11 grudnia 1738 roku przypuszczenie potwierdziło się. Znaleziono napis, z którego wynikało, że niejaki Rufus wybudował tu własnym sumptem teatr — Theatrum Herculanense.

A więc znaleziono zagrzebaną w ziemi miejscowość. Bo gdzie znajdował się teatr, tam musiało też znajdować się miasto. Niegdyś już d'Elboeuf — choć miał przecież do wyboru rozległe stoki zastygłej lawy — zupełnie bezwiednie natrafił na sam środek tej sceny. Scena była zawalona posągami. I tylko tutaj mogło leżeć tyle rzeźb, dosłownie jedna na drugiej, bo potężny strumień lawy obalił bogato ozdobioną rzeźbami tylną ścianę teatru, która z hukiem runęła na scenę. Tu kamienne posągi spoczęły na siedemnaście wieków.

Napis na teatrze wymieniał nazwę miasta: „Herculaneum".

Lawa, wylewająca się z krateru masa płynnej skały, mieszanina wszelkiego rodzaju minerałów, znowu zastyga na szkło, twardnieje na kamień. Pod tą grubą na dwadzieścia metrów powłoką leżało Herkulanum.

Inaczej ma się rzecz z małymi wulkanicznymi kamyczkami, tzw. *lapilli.* Wyrzucane z

wulkanu wraz z tłustym popiołem, spadają jak deszcz, układają się luźno i dają się usunąć lekkim narzędziem. Pod takimi kamyczkami, zagrzebana znacznie płyciej niż siostrzane Herkulanum, leżała Pompeja.

Jak to często zdarza się w historii, a także w życiu pojedynczego człowieka, rzeczy najtrudniejsze dzieją się na samym początku, a droga najdłuższa uważana jest za najkrótszą. Od czasu gdy d'Elboeuf po raz pierwszy zaczął tu kopać, minęło trzydzieści pięć lat, a dopiero teraz pierwsze zatknięcie rydla doprowadziło do odkopania Pompei.

Kawaler de Alcubierre, wciąż jeszcze prowadzący wykopaliska, nie był juz zadowolony ze swych znalezisk, chociaż Karol Burboński mógł dzięki nim założyć muzeum, które nie miało równego sobie na całym świecie. Król i inżynier zgodnie postanowili przenieść prace wykopaliskowe gdzie indziej i tym razem nie wdzierać się już na ślepo w żużel ziemi, lecz rozpocząć je w miejscu, na które wskazywali uczeni mówiąc: „Tu leży Pompeja, według antycznych źródeł zasypana w tym samym dniu, co miasto Herkulesa."

To, co teraz nastąpiło, żywo przypomina zabawę w chowanego, nazywaną przez dzieci „zimno, ciepło". Ale zabawę z nieuczciwym partnerem, który w momencie, gdy ręka zbliża się już do schowanego przedmiotu, zamiast wołać „ciepło", woła „zimno". Duchy mściwości, chciwości i niecierpliwości objęły rolę błędnych ogników.

Prace wykopaliskowe rozpoczęły się 1 kwietnia 1748 roku. Już 6 kwietnia znaleziono pierwsze wielkie cudowne malowidło ścienne. 19 kwietnia natrafiono na pierwsze zwłoki. Szkielet leżał wyciągnięty na ziemi; z rąk, które zdawały się jeszcze coś trzymać, dawno już wysypały się złote i srebrne monety.

Teraz jednak zamiast dalej kopać, usystematyzować pracę i spożytkować znaleziska, aby dojść do wyników bez zbędnej straty czasu, zasypano znowu wykopane doły, nie podejrzewając nawet, że natrafiono na sam środek Pompei. Zaczęto kopać w innym miejscu.

Alboż mogło być inaczej? Parą królewską powodował jedynie zachwyt

wykształconych laików (z tym wykształceniem zresztą, zwłaszcza jeśli chodzi o króla, też nie było najlepiej). Dla Alcubierre'a motorem działania było przezwyciężenie problemu technicznego (Winckelmann mówił później o nim ze złością, że znał się na starożytnościach tyle, co kura na pieprzu). Wszyscy inni kierowali się tylko ukrytą nadzieją, że jeżeli pod kilofem znowu zabrzęczy złoto i srebro, uda im się może zręcznym i szczęśliwym chwytem zagarnąć coś dla siebie (na dwudziestu czterech ludzi zatrudnionych 6 kwietnia przy wykopaliskach było dwunastu kryminalistów; reszta otrzymywała nędzną zapłatę).

Odkryto widownię amfiteatru. Ale gdy nie znaleziono tu ani posągów, ani złota i klejnotów, zaczęto znowu kopać gdzie indziej. A właśnie tutaj cierpliwość doprowadziłaby do celu. W okolicy Bramy Herkulesowej natrafiono na willę, co do której twierdzono bez żadnego uzasadnienia — dziś nikt już nie wie, skąd w ogóle wzięło się to mniemanie — że jest to dom Cycerona (tego rodzaju wyssane z palca twierdzenia jeszcze niejednokrotnie odegrają rolę w archeologii, i to nierzadko rolę owocną). Ściany willi ozdobione były cudownymi freskami. Oddzielono je wraz z tynkiem od ścian, skopiowano, po czym willę... znowu zasypano. Przez przeciąg około czterech lat na okolice Civitä (dawna Pompeja) nie zwracano najmniejszej uwagi. Powrócono znowu ku bogatszym wykopaliskom koło Herkulanum, gdzie co prawda znaleziono jeden z najbardziej naówczas interesujących skarbów z czasów antycznych: willę z biblioteką, z której korzystał filozof Filodem, nazywaną dzisiaj Villa dei Papiri (Willa Papirusów).

Wreszcie w 1754 roku w południowej części Pompei znaleziono znowu szczątki kilku grobowców i antycznych murów. Od tego dnia po dzień dzisiejszy w obydwu miastach prace wykopaliskowe trwają z nieznacznymi przerwami i coraz to nowe cuda wyłaniają się z głębi ziemi.

Tylko znając rodzaj katastrofy, która nawiedziła oba miasta, możemy zrozumieć i pojąć działanie, jakie odkrycie Herkulanum i Pompei wywarło na stulecie poprzedzające wiek klasycyzmu.

W połowie sierpnia 79 roku n.e. wystąpiły pierwsze oznaki zwiastujące nowy wybuch

Wezuwiusza. Zrazu zdawało się, że chodzi o jeden z wybuchów, jakie już często się zdarzały. Lecz 24 sierpnia w godzinach przedpołudniowych stało się jasne, że rozpoczyna się katastrofa nie spotykanych dotąd rozmiarów.

Wśród straszliwego huku wierzchołek góry rozpadł się na dwoje. Słup dymu niby olbrzymia rozcapierzona pinia wzbił się pod kopułę nieba. Wśród przeszywających powietrze łoskotów i oślepiających błysków lunął na miasto deszcz kamieni i popiołów, który zakrył sobą słońce. Ptaki spadały martwe na ziemię, oszalały tłum ludzi wśród krzyków próbował ratować się ucieczką; zwierzęta pochowały się w kryjówkach. Przez ulice przelewały się strumienie wody i nikt nie wiedział, skąd się brały — z ziemi czy z nieba.

Katastrofa zaskoczyła obydwa miasta w słoneczny poranek, gdy ludność pracowicie krzątała się koło swych zajęć. Dwojaki jednak był rodzaj ich zagłady. Na Herkulanum zwaliła się lawina szlamu, mieszanina popiołów, ulewnego deszczu i lawy. Wtargnęła w ulice, wdarła się we wszystkie zaułki, rosła, pokryła dachy, wciskała się w okna i drzwi, wypełniła miasto, jak woda wypełnia gąbkę. Pokryła je wraz ze wszystkim, co nie zdążyło się uratować szybką ucieczką.

Inaczej w Pompei. Tu nie było strumienia szlamu, przed którym istniał jeden tylko ratunek — ucieczka. Tu katastrofa rozpoczęła się od spokojnego deszczu popiołu, który można było strząsnąć z siebie. Niebawem jednak zaczęły spadać *lapilli,* a potem wraz z nimi bryły pumeksu ważące po wiele kilogramów. Dopiero stopniowo zrozumiano ogrom niebezpieczeństwa. Ale wtedy było już za późno. Miasto zaczęły spowijać obłoki pary siarkowej. Wciskała się w szczeliny i szpary, przenikała pod kawałki sukna, którymi ludzie, oddychając z coraz większym trudem, zasłaniali sobie twarze. Tych, co szukając powietrza i ratunku uciekali z domów na ulice, gęsty, kamienny grad drobnych *lapilli* tak mocno siekł po głowach, że przerażeni cofali się z powrotem. Ledwie jednak znowu znaleźli się w domu, a już walił się sufit grzebiąc ich pod sobą. Niektórych los przez krótki czas jeszcze oszczędził. Pod filarami schodów i łukowymi sklepieniami trwali przykucnięci — nie dłużej chyba niż pół godziny. Potem wyziewy siarkowe docierały i do nich; ginęli uduszeni.

Po czterdziestu ośmiu godzinach znowu wyjrzało słońce. Ale Pompeja i Herkulanum przestały istnieć. W promieniu osiemnastu kilometrów wszystko uległo zniszczeniu, pola były zasłane lawą i popiołem. Część popiołów zawędrowała aż do Afryki, Syrii i Egiptu. Nad kraterem Wezuwiusza wzbijał się jeszcze cienki słup dymu. Niebo znów zajaśniało błękitem.

Trzeba sobie uprzytomnić, jak cały świat naukowy zajmujący się badaniem przeszłości zelektryzowany został wiadomością o odkryciu Pompei i Herkulanum. Oto po bez mała siedemnastu wiekach inni ludzie, uzbrojeni w inną wiedzę, ludzie o innych obyczajach, a przecież węzłami krwi, którymi związana jest cała ludzkość, spokrewnieni z tamtymi, zasypanymi ludźmi, zatknęli w ziemię rydel i wydobyli na światło dzienne to, co tak długo w niej spoczywało. Nie byłoż to podobne do cudu wskrzeszenia umarłych?

Łatwo może się zdarzyć, że badacz, porwany pasją dla swej nauki, a przeto wolny od wszelkiego pietyzmu, uzna tę katastrofę za szczególnie szczęśliwe zrządzenie losu. „Trudno znaleźć coś bardziej interesującego..." — mówi Goethe o Pompei. Istotnie, trudno sobie wyobrazić dogodniejszą niż ów deszcz popiołów sposobność, aby dla przyszłych pokoleń, dociekających zagadek przeszłości, zachować, nie, raczej „zakonserwować" — słowo to lepiej oddaje stan rzeczy — miasto w całej krzątaninie codziennego życia. Nie był to uwiąd, naturalna śmierć starego miasta. Tu siła żywiołu dotknęła miast pulsujących życiem, tu prawo czasu, powstawania i zaniku straciło swą moc.

Do czasu pierwszych wykopalisk znano tylko nagi fakt: dwa miasta zostały zasypane. Teraz jednak krok za krokiem poznawano dramatyczny przebieg tego wydarzenia. Wiadomości przekazane nam przez antycznych autorów nabrały życia. Dowiedziano się o całej okropności tej żywiołowej katastrofy, która tak nagle, tak nieoczekiwanie przerwała tok powszednich zajęć, że nawet nie zdążono wyjąć z pieca prosięcia ani świeżo upieczonego chleba.

Jakaż historia kryje się w szczątkach dwóch szkieletów, które mają na sobie jeszcze kajdany niewolników? Byli nimi przykuci, gdy dokoła srożyła się zagłada. Jakie męki kryła w sobie śmierć psa, którego — również uwiązanego na łańcuchu — znaleziono pod sufitem jednego z pokojów? Pies wspinał się coraz wyżej i wyżej na rosnącą stertę wdzierających się przez okna i drzwi małych *lapilli,* dopóki go nie zatrzymał sufit; szczeknąwszy po raz ostatni, padł martwy, uduszony gazami.

Łopata wdzierając się w głąb ziemi odsłaniała dramaty rodzinne, dramaty rozgrywające się między rozpaczą i śmiercią. Końcowy rozdział słynnej powieści Bulwera *Ostatnie dni Pompei* nie ma w sobie nic nieprawdopodobnego. W odkopanej Pompei znaleziono matki trzymające w ramionach swe dzieci: osłaniały je ostatnim skrawkiem swego szala, nim się udusiły — i jedne, i drugie. Wykopano mężczyznę i kobietę, którzy pozbierawszy swe skarby dotarli już do bramy i tu, smagani gradem kamieni, padli na ziemię, ostatnią resztą sił trzymając swą biżuterię i pieniądze. *Cave canem* — „Strzeż się psa", taki napis widnieje przed furtką domu, w którym Bulwer każe mieszkać swemu Glaukowi. Przed progiem tego domu dwie młode dziewczyny, chcąc jeszcze szybko zawinąć swe klejnoty, zbyt długo ociągały się z ucieczką, a potem było już za późno.

Koło Bramy Herkulesa znaleziono wielkie ilości trupów, leżące obok siebie. Ludzie ci upadli obładowani swym dobytkiem domowym, którego nie mogli już udźwignąć. W pewnym zasypanym pokoju natrafiono na dwa szkielety, kobiety i psa. Dokładna obserwacja pozwoliła odtworzyć okropną tragedię, jaka się tu rozegrała. Szkielet psa zachował swą formę, kości kobiety natomiast były rozsiane po całym pokoju. Jakąż siłą zostały tam rozsiane? A raczej — kto je tam zawlókł? Zawlókł je pies. W momencie głodu zwyciężyła w nim wilcza natura. Może wydarł śmierci jeszcze jeden dodatkowy dzień życia przez to, że napadł i pożarł swą panią. Nie opodal od tego miejsca przerwana została stypa żałobna. Po tysiącu siedmiuset latach znaleziono jej uczestników w tych samych pozycjach, w jakich spoczywali na swych łożach przy uczcie — uczestnicy własnego pogrzebu.

Tu znowu śmierć zaskoczyła siedmioro dzieci, które nie przeczuwając nic złego

bawiły się w pokoju; tam — trzydziestu czterech ludzi, a wraz z nimi kozę, która trwożnie pobrzękując zawieszonym u szyi dzwonkiem szukała prawdopodobnie schronienia w ludzkim domostwie. Kto zbyt długo zwlekał z ucieczką, temu potem nie pomogła już ani odwaga, ani roztropność, ani siła fizyczna. Znaleziono pewnego mężczyznę iście herkulesowej budowy. Nie mógł już ochronić biegnącej przed nim matki z czteroletnią córeczką. Wszyscy troje zwalili się na ziemię. Prawda, że on ostatnią resztką sił próbował się jeszcze podźwignąć, ale odurzony gazami znów powoli osunął się na ziemię, przetoczył na plecy i wyprostował członki. Popioły zasypały go, zachowując formę ciała. Uczeni, wypełniwszy ją gipsem, uzyskali zarys postaci człowieka — plastyczny obraz martwego pompejańczyka.

Jakiż huk musiał się donosić z tego oto zasypanego domu, gdy jeden z jego mieszkańców, opuszczony i pozostawiony w samotności, stwierdziwszy, ze drzwi są zamknięte, chwycił za siekierę i począł nią rozwalać ścianę? Gdy się okazało, że i tu nie ma wyjścia, jął rąbać drugą ścianę, a gdy i spoza niej zwalił się tylko gruz, padł w końcu martwy na podłogę.

Domy, świątynie Izydy, amfiteatr stały tak jak niegdyś, kiedy były zamieszkałe i kiedy pełno było w nich ludzi. W kancelariach urzędów i kantorach kupieckich leżały tabliczki woskowe, w bibliotece zwoje papirusów, w warsztatach rzemieślniczych narzędzia pracy, w termach — skrobaczki. W oberżach na stołach stały jeszcze naczynia, leżały pieniądze rzucone w pośpiechu przez ostatniego płacącego gościa. Na ścianach szynków widniały wiersze zakochanych lub zrozpaczonych amantów, na ścianach willi — malowidła ścienne, które, jak pisał Venuti, były „znacznie piękniejsze niż dzieła Rafaela".

Przed takim to bogactwem odkryć znaleźli się oświeceni ludzie XVIII wieku. Ludzie urodzeni po epoce Renesansu, chciwi piękna starożytności, synowie czasu, który przeczuwał już rodzącą się potęgę nauk ścisłych. Ludzie pragnący poświęcić się realnej rzeczywistości, a nie trwać tylko w podziwiającym estetyzmie.

Po to jednak, aby połączyć te dwa różne poglądy, potrzebny był człowiek, który sam łączyłby w sobie umiłowanie sztuki starożytnego świata z metodami naukowych

badań i naukowej krytyki. Gdy pod Pompeją po raz pierwszy zaczęły się prace wykopaliskowe, człowiek, dla którego to zadanie miało stać się celem życia, już żył. Był wtedy bibliotekarzem hrabiowskiej biblioteki pod Dreznem. Miał trzydzieści lat i nie dokonał jeszcze niczego istotnego. Ale w dwadzieścia jeden lat później nie kto inny, jak Gotthold Ephraim Lessing napisał na wiadomość o jego śmierci takie oto słowa: „Jest to w ostatnich czasach drugi pisarz, któremu z przyjemnością podarowałbym parę lat mego życia."

Rozdział drugi.

WINCKELMANN, CZYLI NARODZINY NOWEJ NAUKI

W 1764 roku Angelika Kaufmann malowała w Rzymie portret swego profesora — Winckelmanna. Na portrecie tym Winckelmann siedzi nad otwartą książką trzymając w ręku gęsie pióro. Ogromne, ciemne oczy spoglądają spod myślącego czoła. Duży nos jest na tym obrazie tak okazały, że aż niemal burboński. Usta i podbródek są miękkie i okrągłe. W całości raczej głowa artysty niż uczonego. „Natura — mówi o nim Goethe — włożyła weń wszystko, co czyni i zdobi mężczyznę."

Winckelmann urodził się w 1717 roku w Stendal jako syn ubogiego szewca. W latach chłopięcych podczas włóczęgi przyciągały jego uwagę ogromne kurhany rozsiane w tej okolicy. Namawiał kolegów, by razem z nim grzebali w ziemi i szukali starych urn. W 1743 roku dochrapał się stanowiska rektora szkoły w Seehausen. „Bakałarzyłem — pisze o sobie — z wielką sumiennością, ale gdy spędzałem na tym czas, każąc dzieciom o strupiastych głowach czytać abecadło, marzyłem o poznaniu Piękna i w duchu niby modlitwę recytowałem wiersze Homera." W 1748 roku objął

posadę bibliotekarza u hrabiego von Bünau w pobliżu Drezna. Bez goryczy i żalu opuścił fryderycjańskie Prusy. Poznał je — jak sam pisze — jako „kraj despotyzmu" i myślał o nich z dreszczem odrazy: „W każdym razie więcej niż inni odczuwałem tę niewolę." Ta zmiana miejsca przesądziła o kierunku dalszej jego drogi życiowej. W Dreźnie obraca się w kręgu wybitnych artystów, a gdy w dodatku znajduje tu największe w ówczesnych Niemczech zbiory starożytności, rzuca w kąt wszelkie inne plany. (Nosił się wówczas z zamiarem wyjazdu do Egiptu). Gdy jego pierwsze prace ukazują się w druku, znajdują oddźwięk w całej Europie. Duchowo coraz bardziej niezależny, pod względem religijnym wolny od wszelkiego dogmatyzmu, przechodzi Winckelmann na katolicyzm, aby uzyskać nadarzającą mu się posadę we Włoszech. Rzym, uważa, wart jest mszy.

W 1758 roku jest bibliotekarzem i nadzorcą zbiorów kardynała Albaniego. W 1763 roku zostaje mianowany generalnym nadzorcą wszystkich zabytków w Rzymie i okolicy i w tym charakterze odwiedza Pompeję i Herkulanum. W 1768 roku zostaje zamordowany.

Spośród dzieł Winckelmanna trzy przede wszystkim stały się podwaliną naukowej archeologii.

Są to: *Sendschreiben* o odkryciach w Herkulanum, jego główne dzieło *Geschichte der Kunst des Altertums* (Historia sztuki starożytnej) i *Monumenti antichi inediti* (Nieznane pomniki starożytności).

Wiemy już, jak bezplanowo prowadzono prace wykopaliskowe w Pompei i Herkulanum. Gorszą jednak od bezplanowości była tajemniczość, jaką otaczano te wykopaliska. Ukoronowaniem jej był wydany przez egoistycznych władców zakaz, zabraniający cudzoziemcom — obojętnie, czy ludziom nauki, czy zwykłym podróżnikom — dostępu do znalezisk, o których mogliby poinformować świat. Jedynie niejaki Bayardi, mól książkowy, otrzymał od króla zezwolenie na sporządzenie pierwszego katalogu znalezisk. Bayardi zaczął pisać wstęp do tego katalogu nie obejrzawszy nawet miejsca wykopalisk! Pisał i pisał, aż z końcem 1752 roku wypełnił już pięć tomów „wstępu" o łącznej objętości 2677 stron, nie doszedłszy

jeszcze do początku właściwego dzieła. Przy tym, z natury zazdrosny i złośliwy, zdołał doprowadzić do tego, że dwu innym autorom, którzy zamiast zatrzymywać się nad wstępem od razu przystąpili do sedna rzeczy, dekret ministerialny zabronił opublikowania rezultatów ich prac.

Jeżeli mimo to udawało się tu i ówdzie jakiemuś uczonemu uzyskać dostęp do kilku odkopanych zabytków celem bliższego ich zbadania, to nie mogąc się oprzeć na żadnych wstępnych pracach na tym polu dochodził on do tak mylnych teorii jak np. Martorelli, który w dwutomowym dziele liczącym 652 strony druku próbował na podstawie odkopanego kałamarza dowieść, że w starożytności przyjęte były książki o formacie czterokątnym, a nie w postaci zwojów — mimo że miał przed oczyma zwoje papirusowe Moderna.

Wreszcie w 1757 roku ukazał się w formacie in folio pierwszy tom o odkopanych zabytkach, którego wydawcą był Valetta, a który król sfinansował subwencją 12000 dukatów. W tej atmosferze nieżyczliwości, intryg i strupieszałej uczoności znalazł się Winckelmann. Po nieopisanych trudnościach, traktowany jako szpieg, zdołał w końcu uzyskać zezwolenie na zwiedzenie królewskich muzeów. Ale cóż, surowo zabroniono mu sporządzić choćby najmniejszy rysunek z rzeźb i obrazów.

Rozgoryczony tym wszystkim, znalazł sobie sprzymierzeńca w klasztorze augustianów, w którym udzielono mu gościny. Był nim ojciec Piaggi. Winckelmann zastał go przy bardzo dziwnej pracy.

Gdy swego czasu odkryto bibliotekę w willi dei Papiri, znalezione tu bogate zapiski wzbudziły entuzjazm. Gdy jednak wzięto je do ręki i chciano zbadać, rozsypały się w proch.

Próbowano różnych sposobów, aby uratować te zwoje. Wszystko na próżno. Aż pewnego dnia zjawił się jakiś zakonnik „z ramą podobną prawie do ram, jakich perukarze używają do naszywania włosów na peruki". Zakonnik ten twierdził, że za pomocą takiej ramy potrafi rozwinąć rolki papirusów. Zgodzono się na to. Gdy Winckelmann zjawił się w celi owego zakonnika, ten już od lat oddawał się swemu zajęciu. Udało mu się rozwinąć zwoje papirusów, ale nie udało mu się zyskać sobie

przychylności króla i kawalera Alcubierre, którzy nie rozumieli trudności jego pracy. Zgorzkniały *padre,* podczas gdy Winckelmann przesiadywał w jego celi, pienił się na wszystko, co działo się na pobliskim dworze królewskim. Z niesłychaną ostrożnością, jak gdyby sortował puch, nawijał zwęglony papirus milimetr za milimetrem na swą „maszynę". Ciskał przy tym gromy na króla i jego obojętność, na nieudolność urzędników i robotników. A gdy wreszcie przedkładał Winckelmannowi nowo uzyskaną stronę z traktatu Filodema o muzyce, wtedy duma z tego osiągnięcia pobudzała go do nowych wybuchów złości na niecierpliwych i zazdrośników.

U Winckelmanna słowa te znajdowały tym wdzięczniejsze ucho, że w dalszym ciągu nie pozwalano mu zwiedzić miejsca wykopalisk i że nadal musiał się ograniczać do muzeów, gdzie znowu nie wolno mu było niczego kopiować. Jął przekupywać dozorców. Pokazali mu to i owo. Tymczasem jednak znaleziono rzeczy o doniosłym znaczeniu, rzeczy, dzięki którym można było uzyskać szerszy pogląd na antyczną kulturę. Były to rzeźby i obrazy zwłaszcza natury erotycznej. Król, człowiek o ograniczonych horyzontach, zgorszony pewną rzeźbą przedstawiającą satyra i kozę połączonych w lubieżnym akcie kopulacji, kazał natychmiast wszystkie te dzieła odesłać do Rzymu i trzymać pod ścisłym zamknięciem. Winckelmann i do nich nie uzyskał dostępu.

Mimo wszystkich trudności wydał w 1762 roku pierwszy traktat, swe pierwsze *Sendschreiben:* „O odkryciach w Herkulanum". W dwa lata później zwiedził ponownie to miasto i muzeum, po czym wydał drugi traktat. Obie prace nawiązywały do tego, co usłyszał w celi zakonnika, i były pełne cierpkiej krytyki. Gdy drugie *Sendschreiben* trafiło w francuskim przekładzie na dwór neapolitański, wywołało ono największe oburzenie na tego Niemca. Czyż nie udzielono mu tak rzadko przyznawanego zezwolenia? (Zezwolenia na zwiedzenie muzeum!) I jak się za to odwdzięczył? Zarzuty Winckelmanna były oczywiście słuszne, jego gniew uzasadniony. Ale wszystko to jest dziś już zupełnie nieważne. Wartość jego *Sendschreiben* polegała na tym, że po raz pierwszy dały one światu rzeczowy opis wykopalisk u stóp Wezuwiusza.

W tym samym mniej więcej czasie ukazało się główne dzieło Winckelmanna, *Geschichte der Kunst des Altertums* (Historia sztuki starożytnej).

W dziele tym udało mu się ogarnąć pewnym okiem narosłą do olbrzymich rozmiarów masę pomników starożytności, wnieść w nie ład i porządek i — „nie mając żadnego wzoru", jak sam z dumą zaznacza — opisać po raz pierwszy rozwój sztuki starożytnej. Ze skąpych danych antycznych pisarzy zbudował system, z nieprawdopodobną przenikliwością przebił się do poznania rzeczy dotąd przez nikogo nie rozpoznanych i zdołał swe odkrycia przekazać z takim polotem języka, że intelektualistów całego świata ogarnęła fala entuzjazmu dla ideałów starożytności — entuzjazmu, z którego zrodził się wiek „klasycyzmu".

Historia sztuki starożytnej Winckelmanna wywarła decydujący wpływ na archeologię. Zbudziła pragnienie poszukiwania piękna, gdziekolwiek by się ukrywało, wskazała drogę i dała klucz do zrozumienia dawnych kultur przez kontemplację ich pomników, zbudziła nadzieję, że grzebiąc w ziemi łopatą można będzie odkryć inny, nieznany świat, pogrzebany w ziemi tak jak Pompeja, ale i tak jak ona pełen cudów.

We właściwy jednak oręż naukowy uzbroił Winckelmann młodą jeszcze archeologię oddając w jej ręce swe ogłoszone w 1767 roku *Monumenti antichi inediti.* Winckelmann „nie mając żadnego wzoru" sam stał się wzorem. Przez to, że dla interpretacji i objaśnienia antycznych rzeźb i obrazów przemierzył cały krąg greckiej mitologii i że umiał przy tym wyciągnąć wnioski z najdrobniejszych wskazówek, uwolnił dotychczasową metodę badawczą od wszelkich filologicznych przypuszczeń, od kurateli starych historyków, których słowa do niedawna miały znaczenie kanonu.

Wiele twierdzeń Winckelmanna było fałszywych, niejeden sąd nazbyt pochopny. Jego obraz świata antycznego był wyidealizowany. Nie tylko „ludzie podobni bogom" mieszkali w Helladzie. Jego znajomość greckich dzieł sztuki mimo całej obfitości materiału była ograniczona. To, co widział, były to przede wszystkim kopie z czasów rzymskich. Biliony kropel sączącej się wody, biliony ziarenek ścierającego wszystko piasku sczyściły i starły je do niepokalanej białości. Ale świat antyczny nie był tak surowy, zalana słońcem Grecja nie świeciła tą białością. Nie, była pełna kolorów, była

tak barwna, że i dziś jeszcze, od dawna uzbrojeni w dokładną znajomość starożytności greckiej, ledwo możemy sobie to wyobrazić. Oryginalne greckie rzeźby i płaskorzeźby były malowane. Marmurowy posąg kobiety z ateńskiego Akropolu wykazuje barwy czerwoną, zieloną, niebieską i żółtą. Nierzadko posągi miały nie tylko czerwone wargi, ale i świecące się oczy ze szlachetnych kamieni i sztuczne rzęsy, co nam wydaje się bardzo dziwne. Zasługą Winckelmanna było, że zaprowadził ład tam, gdzie przed nim panował chaos, że wniósł wiedzę w sferę, gdzie panowały tylko hipotezy i legenda, że ponadto przez otwarcie antycznego świata stworzył pole dla niemieckiej klasyki Goethego i Schillera, że przygotował dla badań archeologicznych narzędzie, które później posłużyło archeologom do tego, by wydrzeć pomroce dziejów jeszcze inne, jeszcze starsze kultury.

W 1768 roku Winckelmann powracał z Niemiec do Włoch. W Trieście zawarł w hotelu znajomość z pewnym Włochem. Nie wiedział, że miał do czynienia z wielokrotnie karanym przestępcą.

Możemy się jedynie domyślać, że tylko szczególne skłonności Winckelmanna doprowadziły go do tego, by szukać towarzystwa tego byłego kucharza i sutenera, ba, nawet zasiadać z nim do stołu w swym hotelowym pokoju. Winckelmann był w tym hotelu bardzo honorowanym gościem. Jego strój był bogaty, maniery zdradzały światowca, a przy sposobności pokazywał też złote monety — pamiątki z audiencji u Marii Teresy. Włoch, który nosił mało doń pasujące nazwisko Arcangeli, zaopatrzył się w pętlę i nóż.

Wieczorem 8 czerwca 1768 roku uczony postanowił napisać jeszcze kilka wskazówek dla drukarni. Zdjąwszy już ubranie siadł jeszcze raz do biurka. Wtedy właśnie Włoch dokonał zabójstwa. Wszedł do pokoju, zarzucił Winckelmannowi pętlę na szyję, w krótkiej walce szybko uzyskał nad nim przewagę i zadał wielkiemu badaczowi sześć ciężkich ran nożem.

Chociaż ciężko ranny, Winckelmann, silnie zbudowany, zdołał jeszcze zczołgać się ze

schodów. Zalany krwią, z trupio bladą twarzą, widokiem swym wzbudził u kelnera i pokojówki takie przerażenie, że nim pomyśleli o pomocy, było już za późno.
Skonał po kilku godzinach. Na biurku znaleziono kartkę papieru z ostatnimi słowami, które wyszły spod ręki wielkiego uczonego: *Es soli...*
Po tych dwóch słowach morderca wytrącił Winckelmannowi, twórcy nowej nauki, pióro z ręki.
Ale dzieło Winckelmanna wydało owoce. Na całym świecie żyją jego uczniowie. Dwieście lat upłynęło od jego śmierci, a jeszcze co roku w Rzymie i Atenach w wielkich dzisiejszych instytucjach archeologicznych zbierają się archeolodzy, aby uczcić „Dzień Winckelmanna", 9 grudnia, dzień jego urodzin.

Rozdział trzeci

TROPICIELE HISTORII

Gdy otwierając dziś jakąś książkę z dziedziny historii sztuki, zawierającą reprodukcje obrazów i rzeźb z czasów starożytności, zastanowimy się nad pewnym zagadnieniem, ogarnia nas zdumienie. Autorzy tych książek zdawali się nie napotykać żadnych trudności w objaśnieniu reprodukowanych obrazów. Zaopatrywali je w podpisy, które mówią nam z największą dokładnością, o co w nich chodzi. Ta oto głowa, którą wykopał z ziemi jakiś wieśniak w rzymskiej Kampanii, jest głową cesarza Augusta, ten oto posąg jeźdźca przedstawia Marka Aureliusza, to znów jest bankier rzymski Lucius Caecilius Jucundus itd., itd. Ba, mówią nam jeszcze więcej i jeszcze dokładniej: to jest Apollon Sauroktonos, dzieło Praksytelesa, to zaś amazonka, dzieło Polikleta. Albo weźmy taki np. podpis: Zeus porywa śpiącą dziewczynę — malowidło

wewnętrzne wazy Durisa, nie podpisane przez malarza.

Któż z nas łamie sobie głowę nad tym, skąd autor takiego objaśnienia czerpał swą wiedzę, skąd ta pewność jego twierdzeń o rzeźbach, które nie noszą ani podpisu twórcy, ani żadnej wzmianki o przedstawianej osobie?

Albo znowu wędrujemy po naszych muzeach. Widzimy pożółkłe, na poły zbutwiałe, nadgryzione przez stulecia zwoje papirusów. Widzimy skorupy waz, płyty z płaskorzeźbami, kolumny pokryte dziwnymi obrazami i znakami, hieroglify i pismo klinowe. Wiemy, że są ludzie, którzy umieją czytać te znaki, którzy czytają je tak, jak my czytamy gazetę lub książkę. Czy ktokolwiek z nas zdaje sobie sprawę z tego, ile trzeba było wysiłków i bystrości umysłu, aby przeniknąć tajemnicę tych pism i języków, którymi już w czasach, kiedy pomocną Europę zamieszkiwały jeszcze barbarzyńskie ludy, nikt więcej nie mówił ani nie pisał? Czy zastanawiamy się nad tym, jak w ogóle można było odnaleźć sens, dojść znaczenia tych martwych znaków?

Albo wertujemy dzieła naszych historyków. Czytamy o dziejach dawnych ludów, których dziedzictwo, chociaż życie ich przebiegało w dalekich od nas strefach i zaginęło w pomroce dziejów, nosimy w sobie — w ułamkach naszego języka, w wielu naszych zwyczajach i obyczajach, w dziełach naszej kultury, w śladach łączącej nas z nimi wspólnej krwi. Czytamy o ich historii.

Słyszymy nie podania i nie bajki, słyszymy liczby i daty, słyszymy imiona ich królów, dowiadujemy się, jak żyli w czasach wojny i w czasach pokoju, co robili w swych domach i świątyniach. Dowiadujemy się o ich rozkwicie i upadku, przy czym wszystkie te wiadomości ustalone są z dokładnością nie tylko co do roku, ale co do miesiąca i dnia, chociaż wszystko to działo się wówczas, gdy jeszcze nie rozpoczęła się nasza rachuba czasu, gdy nie narodził się jeszcze nasz kalendarz.

Skąd więc ta wiedza? Skąd ta dokładność? Skąd ścisłe tablice historyczne.

Chcemy w naszej książce opowiedzieć, jak powstała i rozwijała się archeologia. Skoro zaś zamierzamy przedstawić pewien proces rozwoju, nie wybiegajmy naprzód.

Na większość dopiero co postawionych pytań odpowiedź w toku dalszego opisu sama się wyłoni. Ale by nie nużyć czytelników powtórzeniami, podamy już teraz garść wiadomości rzucających pewne światło na kłopoty, a zarazem na metody archeologii.
Rzymski handlarz dzieł sztuki Augusto Jandolo opowiada w swych pamiętnikach, jak będąc jeszcze chłopcem miał sposobność być obecnym przy otwarciu etruskiego sarkofagu:
„Nie było rzeczą łatwą poruszyć wieko, w końcu jednak podniosło się ono, zatrzymało się w pozycji pionowej, po czym ciężko opadło na drugą stronę sarkofagu. Teraz nastąpiło coś, czego nigdy nie zapomniałem i co aż do śmierci będę miał przed oczyma. Ujrzałem spoczywające we wnętrzu sarkofagu ciało młodego wojownika w pełnej zbroi wojennej, z hełmem, włócznią, tarczą i nagolennikami. Podkreślam: ujrzałem nie szkielet, lecz ciało doskonałe w swych kształtach, wyprostowane; wyglądało tak, jak gdyby je dopiero co włożono do grobu. Ale widok ten trwał tylko krótką chwilę. Potem wszystko jak gdyby rozpłynęło się w blasku pochodni. Hełm potoczył się na prawo, okrągła tarcza osunęła się w zapadłe blachy kirysu osłaniające piersi, nagolenniki rozłożyły się na płask na dnie sarkofagu, jeden z prawej, drugi z lewej strony. Przy zetknięciu z powietrzem nie naruszone od stuleci ciało rozsypało się w proch. W powietrzu dokoła światła pochodni zdawał się unosić jakiś złoty pył."
Leżał tu więc jeden z synów owego nieznanego ludu, o którym i dzisiaj jeszcze nie wiemy, z jakiego pnia się wywodził ani skąd się wziął. Odkrywca mógł rzucić tylko jedno jedyne spojrzenie na jego twarz, na ciało, które potem rozsypało się i zginęło bezpowrotnie. Dlaczego się tak stało? Winę ponosiła nieostrożność odkrywcy.
Gdy na klasycznej ziemi, na długo przed odkryciem Pompei, wydobyto na światło dzienne pierwsze posągi, a ludzie byli już na tyle oświeceni, by w nagich postaciach widzieć nie tylko pogańskich bożków, lecz wyczuć wartość ich piękna, i gdy potem ustawiono je w pałacach książąt Odrodzenia, dynastów miejskich i kardynałów, w pałacach parweniuszy i kondotierów, mimo wszystko traktowano je tylko jako osobliwości, których zbieranie stało się modą. Łatwo też mogło się zdarzyć, że w takim prywatnym muzeum antyczny posąg sąsiadował z zakonserwowanym zarodkiem

dziecka o dwóch głowach, a starożytna płaskorzeźba — z wypchanym ptakiem, którego za swego życia miał ponoć dotknąć święty Franciszek z Asyżu, wielki przyjaciel ptaków.

Jeszcze w ubiegłym stuleciu żadne zakazy nie broniły powodowanym tylko chciwością profanom bogacić się na znaleziskach i niszczyć znalezione przedmioty, gdy rokowało to zysk.

Na Forum Romanum, placu zgromadzeń ludu rzymskiego, gdzie dokoła Kapitolu skupione były najwspanialsze budowle, paliły się w XVI wieku piece wapienne, w których kamienie z dawnych świątyń przerabiano na materiał budowlany. Papieże zdobili antycznymi marmurami fontanny w swoich ogrodach. Świątynię Serapeum wysadzono w powietrze, aby papież Innocenty miał czym upiększyć swe stajnie. Kamienie z term Caracalli stały się obiektem sprzedaży, za który płacono dobrą cenę. Przez cztery stulecia rzymskie Koloseum służyło za kamieniołomy. Jeszcze w 1860 roku Pius IX kontynuował to dzieło zniszczenia, by tanim kosztem — darami z czasów pogańskich — ozdobić pewną chrześcijańską budowlę.

Archeolodzy XIX i XX wieku stali przed ruinami tam, gdzie nienaruszone pomniki mogłyby im niejedno powiedzieć.

Tam jednak, gdzie tak się nie działo, gdzie niepowołana ręka niczego nie zburzyła, gdzie żaden złodziej nie szukał ukrytych skarbów i gdzie oczom archeologa ukazywała się nienaruszona przeszłość — jakże rzadko to się zdarzało! — rozpoczynały się trudności innego rodzaju, rozpoczynała się sztuka interpretacji.

W 1856 roku koło Düsseldorfu odkryto resztki szkieletu. Gdy dziś wspominamy o nich, mówimy o człowieku neandertalskim. Wtedy jednak brano je za kości zwierzęce. I tylko nauczyciel gimnazjalny z Elberfeldu, dr Fuhlrott, określił to znalezisko w sposób właściwy.

Prof. Mayer z Bonn był wtedy zdania, że są to kości jakiegoś poległego tu w 1814 roku Kozaka. Wagner z Getyngi uważał je za szkielet Holendra, Pruner-bej z Paryża — za starego Celta. Wielki lekarz Virchow, którego autorytetem zbyt pochopnie się zasłaniano, nieraz opóźniając tym prawdziwe naukowe rozeznanie, twierdził, iż jest to

szkielet złamanego podagrą starca.

Około pięćdziesięciu lat potrzebowała nauka, aby stwierdzić, że słuszność miał skromny nauczyciel gimnazjalny z Elberfeldu.

Prawda, że ten przykład należy raczej do dziedziny badań prehistorycznych grobów i do antropologii, a nie do archeologii. Ale mamy inny, równoważny przykład w postaci próby periodyzacji jednej z najsłynniejszych rzeźb greckich — grupy Laokoona. Winckelmann przypisywał ją czasom Aleksandra Wielkiego. W ubiegłym stuleciu uważano ją za arcydzieło szkoły rodyjskiej, powstałe około 150 roku przed Chr. Inni przypisywali ją czasom pierwszego cesarstwa. Dziś wiemy, że grupę tę stworzyli rzeźbiarze Agisander, Polidor i Atenodor w połowie pierwszego stulecia przed Chr.

Widzimy więc, że interpretacja, nawet gdy ma się do czynienia z nienaruszonymi obiektami, jest rzeczą trudną. Ale co dzieje się wówczas, gdy już sama autentyczność badanego obiektu nastręcza wątpliwości?

Przykładem tego jest choćby godny Dyla Sowizdrzała żakowski żart, którego ofiarą padł prof. Beringer z Würzburga. W 1726 roku Beringer wydał książkę, której łacińskiego tytułu nie będziemy tu przytaczać, gdyż obejmuje on ni mniej, ni więcej, tylko półtorej strony druku. W książce tej jest mowa o skamieniałościach, które Beringer i jego uczniowie znaleźli w pobliżu Würzburga. Czytamy w niej o kwiatach i żabach, o pająku właśnie chwytającym muchę (a skamieniałym wraz ze swą ofiarą), o skamieniałym astrze, skamieniałej rybie, o tablicach z hebrajskimi literami i o innych najbardziej zdumiewających rzeczach. Przy tym nie brak w książce ilustracji, które, rysowane z nautry i reprodukowane doskonałą techniką miedziorytową, pokazują w obrazach to, co opisuje treść. Książka ta o pokaźnej objętości, zawierająca w przypisach mnóstwo ataków i polemik z oponentami autora, cieszyła się wielką poczytnością, była bardzo chwalona, dopóki nie wyszła na jaw okrutna prawda. Okazało się, że uczniowie profesora zrobili sobie po prostu żart. Sami „domowym" sposobem wykonali wszystkie te „skamieliny" i postarali się o to, aby znalazły się w miejscach, gdzie profesor zwykł był prowadzić swe poszukiwania.

Skoro wspomnieliśmy o Beringerze, nie zapomnijmy też o Domenechu. Ten francuski ksiądz jest autorem wydanego we wspaniałej szacie graficznej, zaopatrzonego w 228 tablic dzieła pt. *Manuscrit pictographique americain.* Ukazało się ono w 1860 roku jako facsimile i przechowywane jest w paryskiej Bibliotece Arsenału. Zawarte w nim „rysunki indiańskie" to po prostu — jak się później okazało — bohomazy, które w swym kajecie nagryzmolił pewien urodzony z niemieckich rodziców amerykański chłopiec żyjący w dziewiczych lasach Ameryki.

Powie ktoś, że coś podobnego mogło się przytrafić tylko takiemu Beringerowi i Domenechowi. Nieprawda, bo i wielki Winckelmann dał się nabrać w podobny sposób. A zadrwił z niego brat Casanovy, autor ilustracji do dzieła Winckelmanna *Monumenti antichi.* Prócz ilustracji do tego dzieła namalował w Neapolu trzy obrazy, z których jeden przedstawiał Jowisza i Ganimeda, dwa inne zaś — postacie tańczących kobiet. Casanova posłał te obrazy Winckelmannowi twierdząc, że znaleziono je w Pompei i odłupano od ścian. Aby nadać swemu twierdzeniu więcej prawdopodobieństwa, skomponował jakąś awanturniczo-romantyczną historię o pewnym oficerze, który je po kryjomu, „kawałkami" wykradł. Nie brakowało tu i niebezpieczeństwa życia, i ciemnej nocy, i mar grobowych — Casanova umiał po mistrzowsku stworzyć odpowiednie *decorum.* I Winckelmann dał się wywieść w pole. Uwierzył nie tylko w autentyczność malowideł, ale i w całą tę szaloną bajkę. W piątym tomie swej *Historii sztuki starożytnej* opisuje dokładnie te znaleziska, twierdząc, że zwłaszcza Ganimed to malowidło, „jakiego świat dotąd nie widział". Wcale się zresztą nie mylił, bo poza nim i Casanovą istotnie nikt go nie oglądał. „Ulubieniec Jowisza — pisze Winckelmann dalej — jest niewątpliwie jedną z najpiękniejszych postaci, jakie zachowały się z czasów starożytności. Nic nie da się porównać z jego twarzą. Przemawia z niej tyle zmysłowości, że całe jego życie zdaje się być tylko jednym pocałunkiem."

Jeżeli krytyczny Winckelmann mógł paść ofiarą podobnego fałszerstwa, to któż ośmieli się twierdzić, że jest pewien, iż sam zawsze potrafi się przed nim uchronić? Już za naszych czasów jeden z archeologów rosyjskich dowiódł raz jeszcze, na jakie

trudności natrafia archeolog w swej pracy: dla stosunkowo prostej marmurowej rzeźby z Herkulanum przedłożył do wyboru aż dziewięć różnych interpretacji.

Sztuka polegająca na tym, by nie dać się „nabrać", czyli metoda odczytywania z różnych oznak zarówno prawdziwości, jak rodzaju i historii jakiegoś zabytku, a zatem sztuka interpretacji zabytków, nazywa się hermeneutyką.

Literatura zajmująca się wyłącznie interpretacją znanych klasycznych znalezisk wypełnia całe biblioteki. Możemy śledzić poszczególne interpretacje, poczynając od pierwszej próby podjętej przez Winckelmanna, a kończąc na sporach, jakie uczeni jeszcze dzisiaj toczą wokół tego samego obiektu. Archeologowie to tropiciele historii. Z przenikliwością, którą nazwać by można przenikliwością detektywa, układają (często dosłownie) kamyk na kamyku, dopóki z tego nie narzuci się logicznie nie-odparty wniosek.

Powie ktoś znowu, że archeolog ma łatwiejsze zadanie od detektywa rozwiązującego zagadkę kryminalną. Ze ma przed sobą martwe przedmioty, które nie rozwijają żadnej działalności dla sparaliżowania poszukiwań i nie są w stanie ani zaciemnić obrazu, ani zatrzeć śladu, ani wprowadzić na fałszywy trop. Zgoda, martwe kamienie nie mogą się bronić przed żadną obserwacją. Ale ile fałszerstwa tkwi już w nich samych? Ile błędów popełnili ci, którzy pierwsi oznajmili światu o odkryciu jakiegoś znaleziska? Nie zapominajmy, że żaden archeolog nie ma możności oglądania wszystkich reliktów przeszłości w oryginale. Są one rozsiane po całej Europie, po wszystkich muzeach świata. Pewnie, dziś fotografia daje wierny ich obraz, ale bynajmniej nie wszystko jest sfotografowane. Wciąż jeszcze trzeba posiłkować się rysunkami, te zaś są subiektywnie zabarwione i subiektywnie źle rozumiane. Przy tym rysunki, wykonywane częstokroć przez ludzi nie znających mitologii i archeologii, pełne są wszelakich nieporozumień.

Na pewnym sarkofagu, który stoi dziś w paryskim Luwrze, w grupie przedstawiającej Amora i Psyche odłamane jest prawe ramię Amora, ale należąca doń ręka zachowała się na policzku Psyche. W publikacjach dwóch francuskich archeologów ręka ta przedstawiona jest jako broda. Pomyśleć: Psyche z brodą!

Mimo oczywistej absurdalności tych rysunków inny Francuz, autor jednego z katalogów Luwru, pisze o nich: „Twórca rzeźb na tym sarkofagu nie rozumiał tej grupy, gdyż jego Psyche, chociaż ubrana w strój kobiety, nosi brodę."

A oto inne zdarzenie, gdzie mamy do czynienia z fałszywym śladem, śladem może jeszcze bardziej mylącym, niż mógłby go wykombinować świadomy umysł człowieka.

W Wenecji znajduje się pewna płaskorzeźba, która w cyklu scen pokazuje dwóch chłopców powożących zaprzężonym w dwa woły wozem; w wozie stoi kobieta. Rzeźba ta została przed około 150 laty uzupełniona.

Ówcześni interpretatorzy uważali, że przedstawiona na niej historia stanowi ilustrację jednego z opowiadań Herodota. Herodot opowiada, jak kapłankę Hery, Kydippe, gdy pewnego razu nie przybyły po nią woły, które zazwyczaj wiozły ją do świątyni, powieźli do niej dwaj jej synowie, zaprzągnąwszy się zamiast wołów do jarzma. Wzruszona matka błagała bogów, aby zesłali jej synom najwyższe szczęście na ziemi. Hera, idąc za wątpliwą radą bogów, sprawiła, że obydwaj synowie Kydippe umarli lekką śmiercią, jako że lekka śmierć w latach wczesnej młodości jest najwyższym szczęściem, którego człowiek może dostąpić.

Obraz uzupełniono stosownie do tej interpretacji. Krata leżąca u stóp kobiety stała się wozem na kołach, koniec postronka, trzymanego w ręku przez jednego z chłopców, przeobraził się w dyszel. Ornamentyka stała się bogatsza, kontury plastyczniejsze, relief bardziej pogłębiony. Na podstawie tego uzupełnienia określono okres, z którego pochodzi płaskorzeźba. Określono go błędnie. Ornamenty wzięto za obrazy, świątynie — za kapliczkę grobową. I to było błędne. Opowieść Herodota została upiększona. Ale i to upiększenie było błędne, błędne było bowiem całe uzupełnienie płaskorzeźby. Nie chodziło tu wcale o jakąś ilustrację Herodota. Pism Herodota w starożytności nikt nigdy nie „ilustrował". Wóz jest czystym wymysłem artysty — autora uzupełnienia. Posunął się on tak daleko, że zaopatrzył koła w szprychy, które w podobnie ozdobnym wykonaniu nigdy się w starożytności nie zdarzały. Zmyślony jest także dyszel, jak również rzemienie na karkach zwierząt. Czyż przykład ten nie daje

wystarczającego pojęcia o tym, na ile fałszywych śladów może wprowadzić jeden fałszywy opis?

Słyszeliśmy tu o Herodocie, a więc o pisarzu, którego dzieła są po dziś dzień wiecznie bijącym źródłem wskazówek dla datowań dzieł sztuki i ich twórców. Dzieła starożytnych autorów, z jakichkolwiek czasów by pochodziły — to główne filary hermeneutyki. Ale jakże często i one wprowadzały w błąd archeologów! Alboż pisarze nie głoszą prawdy wyższej od prawdy płaskiej rzeczywistości? Czyż historia, a tym bardziej mit nie są dla nich tworzywem, które przeobrażają, kształtują, wypełniają własną treścią, aby nadać mu formę dzieła sztuki?

Człowiek przyziemny mówi: pisarze kłamią. Jeżeli więc prawo poety do naukowej nieścisłości uznamy za kłamstwo, to starożytni pisarze kłamali nie mniej, niż kłamią pisarze współcześni. Toteż archeolog mozolnie toruje sobie drogę przez gąszcz ich twierdzeń. Tak np., aby określić datę powstania olimpijskiego posągu Zeusa, najsłynniejszej rzeźby Fidiasza, wykonanej w złocie i kości słoniowej, ważną jest rzeczą wiedzieć, jak umarł Fidiasz. O tym jednak posiadamy sprzeczne wiadomości, które przekazali nam Eforos, Diodor, Plutarch i Filochoros. Jeden twierdzi, że Fidiasz umarł w więzieniu, drugi, że zdołał z niego zbiec, trzeci, że został stracony w Elidzie, czwarty, że owszem, zmarł w Elidzie, ale spokojną naturalną śmiercią. Dopiero odkryty stosunkowo niedawno papirus, opublikowany w 1910 roku w Genewie, potwierdził relację Filochorosa.

Wszystko to daje nam już pewne pojęcie o złośliwości rzeczy martwych, o podstępnych figlach płatanych przez obiekty, wobec których archeolog staje tylko uzbrojony w łopatę i przenikliwość własnego umysłu. Wytłumaczyć krytyczne metody, wytłumaczyć sposoby patrzenia, rysowania i opisu, objaśnić na podstawie literatury inskrypcje, monety i narzędzia — wytłumaczyć to wszystko przekraczałoby zadanie tej książki, która nie powinna stracić swego lekkiego, przystępnego charakteru.

Toteż jedynie dla tych, którzy lubią sprawdzać przenikliwość swego umysłu, umieszczamy powyżej tajemniczy dwunastościan pięciokątny. Co to jest? I od razu

dodajemy: archeolodzy do dziś dnia nie znaleźli odpowiedzi na to pytanie. Z wyglądu — jak widać z ryciny — jest to przedmiot z brązu w kształcie pięciokątnego dwunastościanu. Pośrodku każdej powierzchni znajduje się okrągły otwór różnej wielkości. Wewnątrz przedmiot jest pusty. Wszystkie dwunastościany znaleziono w północnych Alpach w okolicznościach zdających się wskazywać na pochodzenie starorzymskie.

Jeden interpretator widzi w tym zagadkowym przedmiocie zabawkę. Inny uważa, że służył on do gry w kości. Jeszcze inny dopatruje się w nim przyboru do mierzenia ciał cylindrycznych. Czwarty wreszcie jest zdania, iż jest to lichtarz.

A więc: co to jest?

Rozdział czwarty

BAJKA O BIEDNYM CHŁOPCU, KTÓRY ZNALAZŁ SKARB

A teraz następuje bajka. Bajka o biednym chłopcu, który mając siedem lat marzył o tym, aby znaleźć pewne miasto, i który w trzydzieści dziewięć lat później wyruszył na jego poszukiwanie. Znalazł nie tylko owo miasto, lecz ponadto jeszcze i skarb, jakiego świat nie widział od czasów wielkich znalezisk hiszpańskich konkwistadorów. Ta bajka — to życie Henryka Schliemanna, jednej z najbardziej zdumiewających postaci nie tylko wśród archeologów, ale i wśród wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek stali się gorącymi wyznawcami jakiejś nauki.

A zaczęło się to tak. Daleko na północy Niemiec, w Meklemburgu, mały chłopiec stał nad jednym z grobów na cmentarzu swej rodzinnej wioski. Pochowany tu był zbrodzień nazwiskiem Hennig, a o przezwisku Bradenkierl. Miał on ponoć upiec

żywcem jakiegoś pastuszka, a gdy ten już smażył się na ogniu, na dobitkę dał mu jeszcze kopniaka. Za karę — tak sobie opowiadano — lewa noga owego łotrzyka, obleczona w jedwabną pończochę, co roku wyrastała z jego grobu.

Chłopiec czekał nad grobem, ale nic się nie stało. Prosił więc ojca, aby zaczął kopać w ziemi i zbadał, gdzie też w tym roku podziewa się owa noga.

Opodal znajdowało się wzgórze. W nim podobno — opowiadały o tym wiejskie kumoszki, opowiadał kościelny — zakopana była złota kołyska. Chłopiec pytał swego ojca, złajdaczonego i biednego pastora: „Nie masz pieniędzy? To dlaczego nie wykopujemy tej złotej kołyski?"

Ojciec opowiadał chłopcu klechdy, bajki i legendy. A jako stary humanista opowiadał mu także o walce Homerowych bohaterów, o Parysie i Helenie, o Achillesie i Hektorze, o Troi. Mówił o tym, jaka była potężna, jak potem spłonęła i legia w gruzach. Na Boże Narodzenie 1829 roku podarował chłopcu *Ilustrowaną historię hitńata* Jerrera. Była w tej książce rycina, na której Eneasz, prowadząc za rękę swego syna, a starego ojca dźwigając na plecach, uchodzi z płonącego zamku. Chłopiec patrzył na rycinę, patrzył na potężne mury i olbrzymią Bramę Skajską. „To tak wyglądała Troja?" — zapytał. Ojciec potwierdził skinieniem głowy. „I wszystko to jest zburzone, doprawdy całkiem zburzone? Nikt nie wie, gdzie leżała Troja?" „Tak jest" — odpowiedział ojciec.

„Nie wierzę w to — rzekł na to mały Heinrich Schliemann — kiedy dorosnę, znajdę Troję i skarb króla!"

Ojciec roześmiał się.

Opowieść ta nie jest zmyślona. Nie jest nawet jednym z owych sentymentalnie zabarwionych wspomnień, jakim tak często u schyłku swych dni oddaje się człowiek, któremu się w życiu powiodło. To, co przedsięwziął sobie siedmioletni chłopiec, stało się rzeczywistością. W sześćdziesiątym drugim roku życia Schliemann, wówczas słynny już na cały świat ze swych wykopalisk, będąc przypadkowo w swych stronach rodzinnych znowu zamierzał zbadać grób okrutnego Henniga. W przedmowie do swej książki o Itace pisze:

„Gdy w 1832 roku, mając dziesięć lat, wręczyłem memu ojcu jako prezent na gwiazdkę wypracowanie o głównych wydarzeniach wojny trojańskiej oraz przygodach Agamemnona i Odyseusza, nie przeczuwałem, ze w trzydzieści sześć lat później przedłożę publiczności pracę na ten temat, dostąpiwszy przedtem szczęścia oglądania na własne oczy widowni tej wojny i ojczyzny bohaterów, których imiona dzięki Homerowi stały się nieśmiertelne."

Mówi się, że pierwsze wrażenia, jakie odbiera dziecko, pozostają mu na całe życie. Ale u Schliemanna niedługo łączyły się one z opowiadaniami o czynach antycznych bohaterów. Jego lata szkolne urywają się w czternastym roku życia. Zaczyna wtedy jako terminator pracować w sklepie kolonialnym w małym miasteczku Fürstenberg. Przez pięć i pół roku sprzedaje tu śledzie, wódkę, mleko i sól, miele kartofle przeznaczone do destylacji, zamiata sklep. I tak dzień w dzień, od piątej rano do jedenastej wieczór.

Rychło zapomniał, czego się nauczył i co zasłyszał od ojca. Aż pewnego dnia wszedł do sklepu pijany czeladnik młynarski, wgramolił się na ladę i jął grzmiącym głosem skandować wiersze, pełen pogardliwego patosu, jaki człowiek, który łyknął trochę wykształcenia, zwykł okazywać mniej od niego uczonym prostaczkom. Schliemann był oszołomiony. Nie rozumiał ani słowa. Ale gdy usłyszał, że są to wiersze z *Iliady* Homera, pozbierał uciułane grosze i fundował pijakowi po kieliszku wódki za każde powtórzenie.

Niezwykłe są koleje życia Schliemanna. W 1841 roku pojechał do Hamburga i najął się jako chłopiec okrętowy na statek odpływający do Wenezueli. Po czternastu dniach podróży statek zaskoczony przez groźny sztorm zatonął w pobliżu wyspy Texel. Schliemann, całkowicie obdarty, znalazł się w jakimś szpitalu. Dzięki rekomendacji przyjaciela rodziny dostaje się potem jako chłopiec na posyłki do pewnego biura w Amsterdamie. Jego wyprawa na dalekie lądy i morza nie powiodła się. Ale za to teraz zaczyna zdobywać sukcesy na innym polu — na niwie nauki.

Mieszkając w nędznej izdebce na poddaszu, w której nie ma nawet pieca, zaczyna się uczyć nowożytnych języków. Stosując niezwykłą metodę własnego pomysłu nauczył

się w ciągu dwóch lat angielskiego, francuskiego, holenderskiego, hiszpańskiego, portugalskiego i włoskiego.

„Po upływie jednego roku — pisze później — te wytężone, przechodzące zwykłą miarę studia językowe tak dalece wzmocniły mą pamięć, że nauczenie się języka holenderskiego, hiszpańskiego, włoskiego i portugalskiego wydało mi się już bardzo łatwe. Nie potrzeba mi było więcej niż sześciu tygodni, aby nauczyć się każdego z tych języków i władać nim biegle w słowie i piśmie."

Zaawansowawszy na korespondenta i księgowego w pewnej firmie, utrzymującej stosunki handlowe z Rosją, zaczął w 1844 roku — miał wtedy 22 lata — uczyć się rosyjskiego. Ale w Amsterdamie nikt nie władał tym najtrudniejszym chyba z języków. Jakaś stara gramatyka, jakiś słownik i kiepskie tłumaczenie *Telemacha* — oto wszystko, co zdołał wyszukać jako pomoce naukowe.

I z tym rozpoczął naukę. Mówił tak głośno, recytował wyuczonego na pamięć *Telemacha* tak grzmiącym głosem, obijającym się o gołe ściany izdebki, że lokatorzy wnosili skargi i dwa razy musiał się z tego powodu przeprowadzać. W końcu przyszła mu myśl, że dobrze byłoby mieć słuchacza. Zaangażował więc za cztery franki tygodniowo pewnego biednego Żyda, który siedząc na krześle wysłuchiwał recytacji *Telemacha,* choć ani słowa z tego nie rozumiał. Ale po sześciu tygodniach wytężonej pracy Schliemann swobodnie rozmawiał po rosyjsku z rosyjskimi kupcami, którzy przybyli do Amsterdamu na aukcję indyga.

Takie same sukcesy jak w nauce zaczął osiągać w interesach. Zbyteczne dodawać, że miał przy tym szczęście. Trzeba natomiast dodać, że należał do tych nielicznych ludzi, umiejących przytrzymać szczęście, które co dnia przechodzi obok każdego człowieka. I oto syn ubogiego protestanckiego pastora, terminator sklepowy, rozbitek, chłopiec na posyłki, ale zarazem i znawca ośmiu języków zostaje zrazu handlowcem, a potem — w szybkim przebiegu zawrotnej kariery — wyposażonym w patent królewski kupcem, który wcale nie kryje się z tym, że drogę do pieniędzy uważa za drogę prowadzącą do powodzenia. W 1846 roku, mając dwadzieścia cztery lata, udaje się jako przedstawiciel swej firmy do Petersburga. W rok później zakłada tu własny dom

handlowy. Wymagało to pracy, wymagało czasu.

„Dopiero w 1854 roku — pisze o sobie Schliemann — mogłem się nauczyć języka szwedzkiego i polskiego!" Odbywał podróże. W 1850 roku widzimy go w Ameryce Północnej. Wskutek przyłączenia Kalifornii do Stanów Zjednoczonych nabywa automatycznie prawo obywatelstwa tego kraju. Ogarnięty, jak wielu innych, gorączką złota, zakłada „Bank dla handlu złotem". W okresie tym jest już człowiekiem, którego przyjmuje na audiencji prezydent Stanów Zjednoczonych. „O godzinie siódmej — opowiada Schliemann — pojechałem do prezydenta Stanów Zjednoczonych. Powiedziałem mu, że pragnienie zobaczenia tego wspaniałego kraju i poznania jego wielkich przywódców skłoniło mnie do odbycia tej podróży z Rosji i że uważałem za swój pierwszy i największy obowiązek złożyć mu uszanowanie. Prezydent przyjął mnie bardzo serdecznie, przedstawił mnie swej żonie i córce, jak również swemu ojcu. Rozmawiałem z nim półtorej godziny."

Wkrótce potem Schliemann ciężko zachorował na febrę. W końcu niepokój, jaki wzbudzała w nim nieobliczalna, dzika klientela jego banku, skłonił go do tego, aby jak najszybciej powrócić do Petersburga. Faktem jednak jest, że był w owych latach poszukiwaczem złota, tak też opisuje go jeden z jego biografów, Emil Ludwig.

Ale z listów Schliemanna z owych czasów i z jego dwóch autobiografii wynika, że nigdy i nigdzie nie opuszczało go marzenie z lat dziecinnych, aby pewnego dnia ujrzeć miejsce czynów bohaterów Homera i poświęcić się ich zbadaniu. Marzenie to tkwiło w nim tak głęboko, że — on, prawdopodobnie największy geniusz językowy swego stulecia — odczuwał jakiś dziwny lęk przed zbliżeniem się do języka greckiego, przypuszczalnie z obawy, że ulegnie jego urokowi i wycofa się ze swych interesów, zanim zdąży zdobyć majątek umożliwiający mu niezależną pracę naukową. Dopiero w 1856 roku zaczyna się uczyć języka nowogreckiego, który znowu opanowuje w ciągu sześciu tygodni. W ciągu dalszych zaś trzech miesięcy przezwycięża trudności Homerowego heksametru. Kosztem jakiego trudu? Schliemann sam odpowiada na to pytanie: „Jestem w trakcie tak gruntownego studiowania Platona, że gdybym za sześć tygodni mógł napisać list do niego, na

pewno by go zrozumiał."

W ciągu następnych lat był już dwa razy bliski tego, by stanąć na ziemi bohaterów Homera. W czasie podróży do drugiej katarakty Nilu przez Palestynę, Syrię i Grecję tylko nagła choroba przeszkodziła mu w tym, aby odwiedzić także wyspę Itakę. (Podczas tej podróży Schliemann całkiem „mimochodem" nauczył się łaciny i języka arabskiego. Jego dzienniki podróży dostępne są tylko dla genialnych poliglotów: pisał je zawsze w języku kraju, przez który właśnie przejeżdżał).

W 1864 roku, w chwili, gdy miał zwiedzić równinę trojańską, uległ pokusie odbycia dwuletniej podróży naokoło świata, której owocem była pierwsza jego książka napisana w języku francuskim.

Ale wtedy Schliemann był już człowiekiem materialnie niezależnym. Syn skromnego meklemburskiego pastora wykazał zupełnie niebywały zmysł do interesów i przedstawia się nam jako *Selfmademan* na miarę amerykańskich pionierów. Gdy wyzyskuje w celach swej polityki handlowej wojnę krymską 1853 roku albo bogaci się na amerykańskiej wojnie domowej, lub w rok później na imporcie herbaty, sam w pewnym liście pisze o swym „twardym sercu". Przy tym we wszystkich przedsięwzięciach towarzyszy mu nieprawdopodobne szczęście. W czasie wojny krymskiej musiał „przedyrygować" dwa ładunki okrętowe do Kłajpedy. W magazynach kłajpedzkich wybuchł nagle pożar. Wszystkie towary zostały zniszczone. Wszystkie — ale nie towary Henryka Schliemanna, które z braku miejsca zamagazynowano przypadkowo w jakimś stojącym na uboczu baraku.

Mógł tedy później pisać, i niemało dumy przebija przez skromność użytych słów: „Niebiosa w cudowny sposób pobłogosławiły mym przedsięwzięciom handlowym, tak, że przy końcu 1863 roku znalazłem się w posiadaniu majątku, o którym nawet w najambitniejszych snach nigdy nie śmiałem marzyć." A zaraz po tym zdaniu następują słowa, które w swej naturalności wydają się jakąś ekstrawagancją, słowa będące rzeczowym stwierdzeniem faktu, który — dla wszystkich innych wręcz niepojęty — tylko dla Henryka Schliemanna był sam przez się zrozumiały. „Dlatego też — pisze z prostotą — wycofałem się z handlu, aby poświęcić się wyłącznie badaniom, które

mnie najbardziej pociągają."
W 1868 roku wyjechał przez Peloponez i Troadę na Itakę. Przedmowa do jego książki *Itaka* nosi datę 31 grudnia 1868 roku. Podtytuł książki brzmiał: *Archäologische Forschungen von Heinrich Schliemann* (Badania archeologiczne Henryka Schliemanna).

Na jednej z fotografii z czasów petersburskich widzimy go ubranego w ciężkie futro. Podarował to zdjęcie żonie pewnego leśniczego, którą znał jeszcze jako małą dziewczynkę. Na odwrocie wypisana jest harda dedykacja: „Fotografia Henry Schliemanna, niegdyś terminatora u pana Hückstaedta w Fürstenbergu, obecnie petersburskiego kupca hurtowego pierwszej gildy, sędziego petersburskiego sądu handlowego i dyrektora Cesarskiego Banku Państwowego w Petersburgu."
Czy nie brzmi to jak bajka, że człowiek, który osiągnął fantastyczne wprost powodzenie w interesach, pali za sobą wszystkie mosty, aby pójść drogą wyśnioną w marzeniach młodości? Że — i tu dochodzimy do nowego odcinka tego niezwykłego żywota — mając w głowie mało co więcej nad swego Homera, śmie się przeciwstawić całemu światu naukowemu, wszystkim wątpiącym w Homera rzucić w odpowiedzi swoje własne credo i wzgardzić piórem filologów, aby za pomocą łopaty wyjaśnić to, co sto książek dotąd zdołało tylko zawikłać?
W czasach Schliemanna Homer uważany był za piewcę zaginionego, prehistorycznego świata. Powątpiewanie w samo istnienie osoby Homera szło w parze z niewiarą w autentyczność opowiadanych przez niego wydarzeń. Uczeni owych czasów dalecy jeszcze byli od sformułowania swych następców, którzy nazwali Homera „pierwszym sprawozdawcą wojennym w dziejach świata". Wartość historyczną epopei o walce pod grodem Priama stawiano na równi z wartością starych pieśni bohaterskich lub wręcz zaliczano do mitów.
Alboż *Iliada* nie rozpoczyna się od tego, że „trafiający z daleka Apollon" zsyła śmiertelną chorobę na szeregi Achajów? Czyż Zeus we własnej osobie nie miesza się

do walki podobnie jak „białoramienna Hera”? Czyż bogowie nie stają się tu ludźmi, czyż tak jak oni nie podlegają zranieniu, skoro nawet Afrodyta zostaje trafiona spiżowym grotem włóczni?

Homer? Cóż znajdujemy u Homera? Mit, podanie, legendę. Wszystko to zdradza boską iskrę jednego z największych poetów, ale właśnie — poetów.

I jeszcze jedno. Grecja przedstawiona w *Iliadzie* musiała być krajem o wysokiej kulturze. Tymczasem Grecy, gdy po raz pierwszy występują w naszej datowanej historii, są prymitywnym małym ludem, nie wyróżniającym się ani wspaniałością pałaców, ani potęgą królów, ani flotą liczącą tysiące okrętów. Istotnie, łatwiej było uwierzyć w poetyckie natchnienie Homera-człowieka aniżeli przypuścić, że po epoce rozwiniętej cywilizacji nastąpił powrót do wczesnego barbarzyństwa, a po nim znowu szczytowy okres helleńskiej kultury.

Ale Schliemanna, marzyciela wędrującego po świecie Homera, tego rodzaju rozważania nie mogły odwieść od wiary. Czytał Homera jako czystą rzeczywistość. Jako czterdziestosześcioletni mężczyzna wierzył w tę rzeczywistość tak samo, jak wierzył w nią jako chłopiec, gdy oglądał rycinę, która przedstawiała uciekającego Eneasza.

Gdy sprawdzał opis zdobnej w Gorgone tarczy Agamemnona, gdy słyszał, że przypasana była rzemieniem mającym kształt trzygłowego węża, gdy czytał o rydwanach wojennych, broni, sprzęcie i naczyniach opisywanych we wszystkich szczegółach, nie wątpił, że jest to opis greckiej rzeczywistości. Wszyscy ci bohaterowie, Achilles i Patrokles, Hektor i Eneasz, mieliby być zmyślonymi postaciami? Ich przyjaźń, nienawiść i miłość — tylko wytworem fantazji? Schliemann wierzył w prawdziwość ich istnienia. I wiedział, że tę wiarę podzielała cała starożytna Grecja, że podzielali ją wielcy historycy Herodot i Tucydydes, którzy zawsze uważali wojnę trojańską za wydarzenie prawdziwe, a wszystkich jej uczestników za postacie historyczne.

Z tą wiarą czterdziestosześcioletni Henryk Schliemann, pan wielomilionowej fortuny, wyjechał nie do współczesnej Grecji: wyjechał prosto do państwa Achajów. I czyż nie

musiał poczuć się umocniony w swej wierze i przejęty entuzjazmem, gdy pierwszy spotkany przezeń mieszkaniec Itaki, miejscowy kowal, przedstawił mu swą żonę, która nazywała się Penelopa, i synów — Odyseusza i Telemacha?

Opis sceny, która potem nastąpiła, brzmi może nieprawdopodobnie, ale jest prawdziwy. Wieczorem ów bogaty i dziwny cudzoziemiec zasiadł na placu wiejskim i czytał potomkom tych, którzy nie żyli już od trzech tysięcy lat, dwudziestą trzecią pieśń *Odysei.* Czytał i nie mógł opanować wzruszenia — płakał. A wraz z nim płakali otaczający go mężczyźni i kobiety.

To, co teraz nastąpiło, pozostaje mimo wszystko rzeczą zdumiewającą. Bo gdzież i kiedy zdarzyło się w dziejach świata, żeby sam entuzjazm przywiódł kogo do powodzenia? Przypowieść o szczęściu, które nie opuszcza jedynie ludzi dzielnych, nie bardzo daje się tu zastosować. Jest bowiem rzeczą bardzo wątpliwą, czy Schliemann, przynajmniej w pierwszych latach swych prac wykopaliskowych, był — w rozumieniu naukowej archeologii — człowiekiem „dzielnym", to znaczy człowiekiem „wiedzącym". A przecież szczęście sprzyjało mu jak nikomu innemu.

Jako miejsce, gdzie mogła leżeć Troja — o ile w ogóle kiedykolwiek istniała — większość współczesnych uczonych wskazywała rnałą wioskę Bunarbaszi, która odznaczała się jedynie tym, że na każdym z jej domów znajdowało się (i tak jest do dziś dnia) około dwunastu gniazd bocianich. W Bunarbaszi były dwa źródła. One to co śmielszych archeologów przywiodły do twierdzenia, że tu ewentualnie leżeć mogła dawna Troja.

Już pagórek, już wiatrem kołysane figi,
Już wreszcie omijają wdzięczne okolice,
Gdzie tryskają Skamandru dwoiste krynice...[1]

1 Przekład Fr. Ks. Dmochowskiego.

Tak mówi Homer w dwudziestej drugiej pieśni *Iliady*. Schliemann najął sobie za czterdzieści pięć piastrów przewodnika, siadł na oklep na konia i zobaczył po raz pierwszy krainę swych snów chłopięcych.

„Przyznaję — pisze o sobie — że z ledwością mogłem opanować wzruszenie, gdy ujrzałem ogromną równinę trojańską, której obraz majaczył przede mną w marzeniach najwcześniejszego dzieciństwa."

Ale już to pierwsze wejrzenie powiedziało mu, że Troja nie mogła leżeć w tym miejscu, odległym o trzy godziny drogi od wybrzeża, skoro bohaterowie Homera po kilka razy dziennie przebiegali od swych okrętów pod zamek i z powrotem. A na tym małym pagórku miał stać zamek Priama, ze swymi sześćdziesięcioma dwiema salami, cyklopowymi murami i drogą pod bramą, przez którą przemyślny bohater wprowadził do miasta drewnianego konia?

Schliemann obejrzał źródła i pokiwał głową. Na przestrzeni pięciuset metrów znalazł nie dwa źródła, o jakich mówi Homer, lecz trzydzieści cztery. W dodatku przewodnik twierdził, że musiał się przeliczyć, bo jest ich tu czterdzieści i dlatego miejscowość nazywa się „Kirk Giös", co w tłumaczeniu znaczy „Czterdzieścioro oczu".

I czyż Homer nie mówił o jednym ciepłym i jednym zimnym źródle? Schliemann, który Homera brał dosłownie, tak jak wcześni teolodzy brali Biblię, wyciągnął kieszonkowy termometr i zmierzył temperaturę każdego z owych trzydziestu czterech źródeł. Temperatura była wszędzie jednakowa i wynosiła siedemnaście i pół stopnia.

Ale Schliemann nie poprzestał i na tym. Otworzył *Iliadą* i przeczytał raz jeszcze wiersze o straszliwej walce Achillesa z Hektorem. O tym, jak to Hektor uciekał przed „śmiałym biegaczem", jak obydwaj „miasto potrójnym okrążyli skokiem", a „bogowie ciągle bacznym szli za nimi okiem".

Schliemann przebył opisaną w *Iliadzie* drogę. Znalazł zbocze tak strome, że musiał zeń złazić na czworakach. To utwierdziło go w przekonaniu, że Homer, którego opisy terenu Schliemann traktował tak, jakby chodziło o najściślejszą topografię wojskową, nie mógł pomyśleć o tym, żeby jego bohaterowie mogli po tak stromym zboczu trzykrotnie biegiem okrążyć miasto.

Z zegarkiem w jednym i Homerem w drugim ręku odmierzył teraz drogę między pagórkiem, który kryć miał w sobie Troję, a przylądkiem, gdzie stać miały okręty Achajów. Śledził przebieg pierwszego dnia walk bitwy trojańskiej, tak jak opiewa ją *Iliada* od drugiej do siódmej pieśni, i obliczył, że gdyby Troja leżała tu, w Bunarbaszi, Achajowie musieliby w ciągu dziewięciu godzin walk przebiec nie mniej niż 84 kilometry!

Uzasadnienie swych wątpliwości co do tego, czy tu mogła leżeć Troja, znalazł Schliemann w kompletnym braku jakichkolwiek śladów ruin. Mało tego, nie natknął się nawet na gliniane skorupy, które na ogół znajduje się tak często, że kogoś skłoniło to nawet do powiedzenia, iż „sądząc po znaleziskach archeologów, dawne ludy nie trudniły się niczym innym, jak tylko wytwarzaniem waz, przy czym na krótko przed swym upadkiem zawsze przejawiały tak niegodziwy charakter, że roztrzaskiwały je na drobne kawałki, pozostawiając najpiękniejsze okazy jako łamigłówki".

„Mykeny i Tiryns — pisał Schliemann w 1868 roku — zostały zburzone 2335 lat temu, a jednak ich ruiny są dziś w takim stanie, że mogą chyba przetrwać jeszcze z 10 000 lat." Troja została zburzona zaledwie o 722 lata wcześniej; cyklopowe mury nie znikają bez śladu, tu zaś nie było najmniejszego śladu po nich.

Ale za to takich śladów nie brak było gdzie indziej. Między ruinami Nowego Ilionu, obecnej wioski Hissarlik, co oznacza tyle co „pałac", o dwie i pół godziny drogi na północ od Bunarbaszi, a tylko o jedną godzinę drogi od brzegu, widać je było już przy pierwszym pobieżnym spojrzeniu. Schliemann dwukrotnie badał szczyt pewnego wzgórza, tworzącego czworokątny, równinny płaskowyż, o bokach długich na 233 metry. Teraz był już przekonany, że odnalazł Troję.

Począł zbierać dowody. Stwierdził przy tym, że nie jest w swym poglądzie całkowicie odosobniony. Niewielu jednak było takich, którzy go podzielali. Należał do nich na przykład Frank Calvert, amerykański wicekonsul, Anglik z urodzenia. Część wzgórza Hissarlik była jego własnością. Posiadał tam willę i przedsięwziął kilka wykopalisk, które przywiodły go do tej samej teorii, co Schliemanna. Calvert nie wyciągnął jednak z tego żadnych konsekwencji. Również uczony szkocki C. MacLaren i Niemiec

Eckenbrecher podzielali to zdanie, lecz głosy ich przebrzmiały bez echa.

Ale jak tutaj przedstawiała się sprawa z wymienionymi przez Homera źródłami, ową główną podstawą teorii doszukującej się Troi w miejscu obecnego Bunarbaszi? Schliemann tylko na krótko zachwiany był w swym przekonaniu, gdy zastał tu sytuację wręcz odwrotną niż w Bunarbaszi, tzn. gdy nie znalazł w ogóle żadnego źródła, podczas gdy tam znalazł ich trzydzieści cztery. Wątpliwości Schliemanna rozproszyła uwaga Calverta, który zaobserwował, iż w ciągu krótkiego czasu w tym wulkanicznym terenie kilka gorących źródeł nagle zniknęło i potem znowu wytrysło. Toteż Schliemann to, co uczonym dotychczas wydawało się tak ważne, zbył tylko mimochodem wtrąconą uwagą. To, co w Bunarbaszi służyło mu za kontrargument, tutaj posłużyło za dowód. Walka między Hektorem a ścigającym go Achillesem nie miała już w sobie nic nieprawdopodobnego, jeżeli rozegrała się tutaj, gdzie *wzgórze* opadało łagodnym i szerokim stokiem. Hektor i Achilles obiegając trzykrotnie miasto musieli przebyć 15 kilometrów. Schliemann, opierając się na własnym doświadczeniu, uważał, że nie jest to za wiele dla wojowników, których ożywiała gorączka walki i nienawiść.

I znowu zdanie starożytnych pisarzy miało dla niego większe, bardziej decydujące znaczenie aniżeli opinia współczesnych mu uczonych. Czyż Herodot nie opowiada, że Kserkses przybył do Nowego Ilionu, obejrzał resztki „Pergamosu Priama" i złożył Ilijskiej Minerwie tysiąc wołów w ofierze?

A czyż według Ksenofonta wódz wojsk spartańskich, Mindaros, nie uczynił tego samego? A Arrianos? Czyż nie opowiada, że Aleksander Wielki, nie poprzestając na złożeniu takiej samej ofiary, zabrał z Troi broń, którą kazał swej straży przybocznej nieść przed sobą w czasie bitwy jako talizman szczęścia? I czyż Cezar nie zrobił wiele dla Nowego Ilionu, raz dlatego, że był wielbicielem Aleksandra, a po wtóre, że mniemał, iż posiada wyraźne dowody swego pokrewieństwa z trojańczykami?

Czyż wszyscy oni mieliby paść ofiarą jakiejś ułudy? Czy wprowadziły ich w błąd nieprawdziwe relacje?

Lecz w końcu rozdziału Schliemann, przytoczywszy nagromadzone przez siebie

dowody, odrywa się od wszelkiej uczoności. Patrzy oczarowany na roztaczający się przed nim krajobraz i spod pióra wymykają mu się słowa, jakimi chyba odezwałby się będąc jeszcze chłopcem: „...chcę więc jeszcze napomknąć, że skoro tylko staje się na równinie trojańskiej, odczuwa się zdumienie na widok pięknego wzgórza Hissarliku, które jak gdyby sama natura przeznaczyła do tego, by kryło ono w swym łonie wielkie miasto i warownię. W istocie pozycja ta, gdyby była dobrze umocniona, panowałaby nad całą równiną trojańską; w całej okolicy nie ma drugiego miejsca, które dałoby się z nią porównać."

„Z Hissarliku — pisze dalej — widać także górę Idę, z której szczytu Jowisz ogarniał spojrzeniem miasto Troję!"

Schliemann zabrał się jak szalony do pracy. Cała energia, która z chłopca sklepowego uczyniła milionera, znajdowała sobie teraz ujście w urzeczywistnieniu dawnych młodzieńczych marzeń. Nie oglądając się na nic, angażował w to dzieło wszystkie swe środki materialne i własne siły.

W 1869 roku Schliemann ożenił się z Greczynką, Zofią Engastromenos. Była tak piękna jak wymarzony przez niego obraz Heleny. Zofia niebawem sama zapomniała o świecie, oddając się bez reszty wielkiemu zadaniu znalezienia Homerowej Troi. Dzieliła z mężem wszystkie trudy, udręki i przeciwności. Schliemann rozpoczął prace wykopaliskowe w 1870 roku. W 1871 roku kopał przez dwa miesiące, w ciągu następnych dwu lat po cztery i pół miesiąca. Miał do dyspozycji około stu robotników. Był niestrudzony, nic nie było w stanie powstrzymać go od pracy: ani złośliwa i niebezpieczna febra, przenoszona z bagien przez komary, ani brak dobrej wody, ani krnąbrność robotników, ani opieszałość władz, ani wreszcie brak zrozumienia ze strony uczonych całego świata, którzy nazywali go głupcem, a niekiedy obdarzali i gorszymi jeszcze epitetami.

Na wysokości miasta stała niegdyś świątynia Ateny. Pcsejdon i Apollo zbudowali mury Pergamosu. Tak pisze Homer. A skoro tak pisze, to świątynia znajdować się

musi w samym środku wzgórza, a dokoła niej mury wzniesione przez bogów. Schliemann zaczął kopać. Gdy napotykano mury, które zdawały się nie mieć większego znaczenia, usuwano, po prostu burzono przeszkodę. W toku prowadzenia prac wykopaliskowych Schliemann znalazł broń i sprzęty domowe, klejnoty i wazy, nieodparty dowód, że stało tu niegdyś bogate miasto. Ale znalazł jeszcze coś innego. I wtedy nazwisko Henryka Schliemanna po raz pierwszy obiegło świat: pod ruinami Nowego Ilionu znalazł inne ruiny, a pod tymi — jeszcze inne. Całe wzgórze było podobne do ogromnej cebuli, z której, niby łupinę po łupinie, trzeba było zdzierać jedną warstwę po drugiej. Wszystko wskazywało na to, że poszczególne warstwy były zamieszkałe w różnych czasach. Ludy żyły tutaj i znikały, miasta powstawały i upadały. Szalał ogień i miecz, jedna cywilizacja następowała po drugiej, za każdym razem nowe miasto żywych powstawało na ruinach miasta umarłych.

Każdy dzień przynosił nową niespodziankę. Schliemann podjął swą wyprawę, aby znaleźć Homerową Troję, ale z biegiem lat wraz ze swymi współpracownikami znalazł ni mniej, ni więcej tylko siedem pogrzebanych w ziemi miast, a potem jeszcze dwa inne! Dziewięć miast — dziewięć spojrzeń w świat prehistoryczny, o którym nikt nic nie wiedział, którego istnienia nawet nikt się nie domyślał.

Ale które z tych dziewięciu miast jest Troją Homera, Troją bohaterów, widownią heroicznych walk? Było jasne, że warstwa najniższa to warstwa prehistoryczna, najstarsza, tak stara, że jej mieszkańcy nie znali jeszcze użycia metalu, i było tak samo jasne, że pierwsza warstwa od góry musiała być warstwą najmłodszą, kryjącą w sobie ruiny Nowego Ilionu, gdzie Kserkses i Aleksander składali bogom ofiary.

Schliemann kopał i szukał. W drugiej i trzeciej warstwie od dołu znalazł ślady pożaru, znalazł szczątki olbrzymich wałów, resztki olbrzymiego muru. Był od razu pewny: te mury otaczały zamek Priama, a ta brama była Bramą Skajską.

Natrafił na skarby — skarby z naukowego punktu widzenia. To, co odesłał do domu i przekazał do oceny fachowców, składało się na obraz odległej epoki, na zamknięty w sobie obraz, w którym rozpoznać było można każdy szczegół. W całości swej był to portret żyjącego tu niegdyś narodu.

Był to triumf Henryka Schliemanna, ale zarazem i triumf Homera. Bo oto zostało udowodnione, że to, co uchodziło za podanie i mit, co przypisywano wyłącznie wyobraźni poety, faktycznie niegdyś istniało.

Fala entuzjazmu przeszła przez cały świat. Schliemann, który ze swymi robotnikami usunął ponad 250000 metrów sześciennych ziemi, uznał, że należy mu się krótki odpoczynek. Zaczynał już kierować wzrok ku innym zadaniom. Ustalił, że dzień 15 czerwca 1873 roku będzie — przynajmniej na razie — ostatnim dniem prac wykopaliskowych. I oto w wilię tego ostatniego dnia, w którym po raz ostatni miał zapuścić w ziemię swój rydel, znalazł to, co miało uwieńczyć jego dzieło, oblać je blaskiem złota i wprawić w zachwyt cały świat.

Zdarzenie to miało dramatyczny przebieg. Historię tego odkrycia czyta się jeszcze dzisiaj z zapartym tchem. Był wczesny ranek upalnego dnia. Schliemann wraz z żoną nadzorował jak zwykle prace wykopaliskowe. Nie liczył już na to, że wydobędzie jeszcze coś istotnego, ale był uważny jak zawsze. Na głębokości dwudziestu ośmiu stóp robotnicy dotarli do muru, który zdaniem Schliemanna opasywał niegdyś zamek Priama. Nagle wzrok jego spoczął na czymś, co od razu tak rozkołysało jego wyobraźnię, że zaczął działać jak gdyby pod jakimś nieodpartym przymusem. I kto wie, co uczyniliby jego skłonni do rozboju robotnicy, gdyby i oni zobaczyli to, co zobaczył Schliemann. Chwycił żonę za rękę.

— Złoto — szepnął.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Prędko — z trudem wyszeptał te słowa — odeślij robotników do domu, ale zaraz!

— Ależ... — zaczęła piękna Greczynka.

— Żadnego ale, opowiedz im, co chcesz, powiedz, że mam dzisiaj urodziny, że dopiero w tej chwili przypomniałem to sobie, i że wszyscy mają dziś wolny dzień. Tylko prędko, prędko!

Robotnicy oddalili się.

— Przynieś swój czerwony szal — zawołał Schliemann i skoczył do wykopu. Jak szalony zaczął pracować nożem. Olbrzymie zwały kamieni, gruz tysiącleci, coraz

groźniej zwisały nad jego głową. Nie zwracał uwagi na niebezpieczeństwo. „W największym pośpiechu — pisze — wyciąłem skarb wielkim nożem. Było to możliwe tylko przy najwyższym natężeniu sił i groziło śmiertelnym niebezpieczeństwem, gdyż wielki mur forteczny, który musiałem podkopać, mógł każdej chwili zwalić się na mnie. Ale widok tylu przedmiotów, z których każdy z osobna miał nieocenioną wprost wartość, dodawał mi szaleńczej odwagi, nie myślałem o niebezpieczeństwie."

Kość słoniowa połyskiwała matowym blaskiem, złoto brzęczało. Żona Schliemanna przyniosła szal. Zapełnił się skarbami, których wartość zdawała się nie do ocenienia. Skarb Priama! Skarb jednego z najpotężniejszych królów zamierzchłej przeszłości, skarb zbroczony krwią i łzami — klejnoty ludzi podobnych do bogów! Wszystko to zagrzebane od trzech tysięcy lat i wydobyte na światło dzienne nowej epoki spod gruzów siedmiu zaginionych państw. Schliemann ani na chwilę nie wątpił, że znalazł właśnie skarb Priama. Dopiero krótko przed jego śmiercią udowodniono, że oszołomiony zachwytem z powodu swego odkrycia dał się wprowadzić w błąd. Troja nie leżała ani w drugiej, ani w trzeciej, lecz dopiero w szóstej warstwie od dołu. Skarb odkopany przez Schliemanna był skarbem jakiegoś króla, który żył na tysiąc lat przed Priamem.

Małżonkowie przenieśli skarb do swej drewnianej chaty. Przenieśli go po kryjomu, w pośpiechu, jak złodzieje. Znalezione klejnoty leżały teraz na surowym blacie stołu. Były tu diademy i brosze, sprzączki, łańcuchy, tace, guziki, druty, węże i złote nici. „Widocznie ktoś z rodziny Priama — pisze Schliemann — w najwyższym pośpiechu zapakował skarb do skrzyni i zabrał ją ze sobą nie zdążywszy wyciągnąć klucza. Zaskoczony jednak na murze czy to przez wroga, czy przez pożar, musiał pozostawić skrzynię, którą od razu na wysokość pięciu lub sześciu cali zasypał czerwony popiół i kamienie stojącego opodal domu królewskiego."

I oto Schliemann, fantasta i marzyciel, bierze parę kolczyków, bierze naszyjnik i ubiera w nie swą młodą małżonkę. Klejnoty sprzed trzech tysięcy lat na dwudziestoletniej Greczynce XIX wieku. Patrzy na nią i szepce: „Helena!..."

Ale gdzie podziać skarb? Schliemann nie może milczeć. Wieść o znalezisku

przedostaje się do wiadomości publicznej. Wśród mnóstwa przygód, z pomocą krewnych swej żony przewozi skarb do Aten, a stąd dalej na wieś. Gdy na żądanie posła tureckiego dom Schliemanna zostaje obłożony sekwestrem, urzędnicy już nie znajdują w nim ani śladu złota.

Czy jest złodziejem? Ustawodawstwo tureckie w sprawie ochrony zabytków było wieloznaczne. Panowała samowola. Czy można się dziwić, że człowiek, który dla marzenia lat dziecinnych zmienił całe swe życie, teraz oszołomiony sukcesem pragnął uratować skarb dla siebie, a przez to i dla europejskiej nauki? Czyż siedemdziesiąt lat przedtem Thomas Bruce, hrabia Elginu i Kincardine, nie postąpił zupełnie tak samo z innym skarbem? Ateny należały wtedy jeszcze do Turcji. Lord Elgin posiadał firman sułtana tureckiego zawierający polecenie, aby „nikt nie stawiał mu przeszkód w zabraniu z Akropolu kilku bloków kamiennych z' wyrytymi na nich inskrypcjami lub postaciami". Zdaniu temu Elgin nadał bardzo szeroką interpretację: wysłał do Londynu dwieście skrzyń wypełnionych klejnotami z Partenonu. Spór o prawo własności do tych cudownych dzieł sztuki greckiej toczył się przez lata. Zdobycie ich kosztowało lorda Elgina 74 240 funtów szterlingów. Gdy w 1816 roku na mocy uchwały parlamentu angielskiego odkupiono od niego tę kolekcję, nie zapłacono mu nawet połowy tej sumy: 35 000 funtów.

Schliemann wydobywszy „skarb Priama" czuł się u szczytu swego życia.

Czy mógł się spodziewać jeszcze większych sukcesów?

Rozdział piąty

MASKA AGAMEMNONA

Są ludzie, których życie jest nagromadzeniem tylu nieprawdopodobnych sukcesów, że późniejszy biograf musi czuwać nad swym piórem, aby nie popaść w literacką egzaltację i już na samym początku nie wyczerpać wszystkich superlatywów, które później okażą mu się tym potrzebniejsze. Ale są i takie żywoty ludzkie, które od początku do końca przebiegają niejako w superlatywach. Takie właśnie były koleje życia Henryka Schliemanna. Jego niezwykły charakter staje się coraz bardziej zdumiewający, a wielkie odkrycia archeologiczne osiągają trzy punkty szczytowe. Pierwszym było odnalezienie „skarbu Priama". Drugim stać się miało odkopanie grobów królewskich w Mykenach.

Jednym z najbardziej ponurych, a zarazem najbardziej podniosłych rozdziałów greckiej historii, w którym ukazują się nam ludzie starożytnej Grecji, ludzie pełni niskich namiętności, jest historia Pelopidów w Mykenach, historia powrotu i śmierci Agamemnona. Dziesięć lat stał Agamemnon pod Troją. Egist umiał wykorzystać ten czas:

„Kiedy my staliśmy pod Troją i walczyli, on w głębi Argos koniorodnego spokojnie sobie uwodził Agamemnonową żonę."[1]

Egist wystawił wartownika, który miał go uprzedzić o powrocie męża. Trzymał w pogotowiu dwudziestu ludzi. Po powrocie Agamemnona zaprosił go na ucztę, lecz „w lot obmyślił podstęp... i zabił podczas wieczerzy, jakby kto zabił wołu nad żłobem. I nie został ani jeden z towarzyszy Atrydy, którzy z nim przyszli." 2 Minęło osiem lat, zanim pojawił się Orestes, syn i mściciel. Zabił swą matkę Klitemnestrę i Egista, mordercę swego ojca.

Tragicy podchwycili ten temat. Najznakomitsza sztuka Ajschylosa jest na nim osnuta. Jeszcze za naszych dni Jean-Paul Sartre napisał dramat o Orestesie. Pamięć o Agamemnonie, „królu mężów", jednym z najpotężniejszych i najbogatszych władców, którzy panowali nad Peloponezem, nigdy nie wygasła.

1 Przekład Jana Parandowskiego.

Istniały jednak nie tylko krwawe, istniały i złote Mykeny. Już Troja, jak opowiada Homer, była bogata. Ale Mykeny były jeszcze bogatsze. W jego opisach tego miasta coraz to powtarza się przymiotnik „złote". Schliemann, urzeczony skarbem Priama, szukał nowego skarbu. I — rzecz nie do wiary — znalazł go. Mykeny leżą „w najdalszym zakątku koniorodnego Argosu", w pół drogi między Argos a Przesmykiem Korynckim. Patrząc od zachodu na dawny zamek królewski widzi się pola zasłane ruinami, szczątki potężnych murów, za którymi zrazu łagodnymi, a potem stromymi stokami wznosi się góra Eubea z kaplicą proroka Eliasza.

Około 170 roku n.e. Pauzaniasz podróżował po tych stronach i opisał, co widział. A widział wtedy jeszcze więcej niż to, co teraz ukazało się oczom Schliemanna. Zadanie, przed którym stał tutaj Schliemann, tym różniło się od zadania, jakie miał pod Troją, że miejsce, w którym leżały dawne Mykeny, było bezspornie ustalone. Prawda, że mury pokrył pył tysiącleci, a tam, gdzie niegdyś panowali królowie, teraz pasły się owce. Ale ruiny istniały i świadczyły o wielkości i dawnej świetności tego miasta.

„Lwia Brama", główne wejście do pałacu, stała odsłonięta, ukazując się oczom zdumionych wędrowców. Odsłonięte były również tak zwane „skarbce" — niegdyś uważano je za piece piekarnicze — w tym najsłynniejszy skarbiec Atreusza, pierwszego Pelopidy, ojca Agamemnona. Ponad trzynaście metrów wysoka podziemna komora miała kształt kopuły, której niepodparte sklepienie z nie ciosanych cyklopowych kamieni rozpinało się w najśmielsze łuki.

Schliemann wczytywał się w dzieła kilku antycznych pisarzy, którzy opisywali to miejsce jako miejsce grobów Agamemnona i jego zamordowanych przyjaciół. Położenie zamku nie nastręczało żadnych wątpliwości, ale co do tego, gdzie leżały groby, wątpliwości było wiele. I jeżeli Schliemann odnalazł Troję, przeciwstawiając się zdaniu wszystkich uczonych i kierując się jedynie Homerem, to tym razem znowu kierował się pewnym miejscem opisu Pauzaniasza. Twierdził, że wszyscy uczeni źle je przetłumaczyli i źle zrozumieli. Dotychczas uważano — a było to zdanie dwóch największych autorytetów archeologii: Anglika Dodwella i Niemca Curtiusa — że

według Pauzaniasza groby leżały po zewnętrznej stronie muru zamkowego. Schliemann był innego zdania. Twierdził, że muszą one leżeć po stronie wewnętrznej. Już w swej książce o Itace bronił tego poglądu, który i tym razem opierał się więcej na ortodoksyjnej wierze w pisma starożytnych pisarzy niż na naukowej analizie. Ale to w końcu nie ma znaczenia. Grunt, że Schliemann kopał i że wyniki prac wykopaliskowych potwierdziły słuszność jego tezy.

„Rozpocząłem to wielkie dzieło — pisze — 7 sierpnia 1876 roku z sześćdziesięcioma trzema robotnikami..." Dalej zaś pisze: „Od 19 sierpnia prowadziłem wykopaliska, przeciętnie ze 125 robotnikami i czterema wozami do zwożenia gruzu, osiągając pomyślne wyniki."

Istotnie, na początku znajdował tylko ogromne ilości waz, coraz to nowe wazy i jeszcze raz wazy, potem zaś odkrył bardzo dziwny okrągły plac, okolony podwójnym rzędem pionowo ustawionych kamieni. Schliemann bez chwili wahania uznał, że jest to mykeńska okrągła agora, że dziwny krąg kamieni to ławy, na których zasiadali dostojnicy dworscy przybywając na zgromadzenie ludowe, na radę lub sąd, i że właśnie na tym placu stał herold, który w *Elektrze* Eurypidesa zwołuje lud na agorę.

Potwierdzenie swego przypuszczenia znalazł Schliemann u swoich „uczonych przyjaciół" — starożytnych pisarzy. A gdy u Pauzaniasza, opisującego inną agorę, natrafił na zdanie: „Tutaj zbudowali plac dla zgromadzenia rady, aby grób bohaterów mieścił się w jego obrębie", wówczas; z tą samą somnambuliczną pewnością, która poprzez sześć warstw wzgórza Hissarlik przywiodła go do skarbu Priama, wiedział, że stoi na grobie Agamemnona.

Następnym odkryciem było dziewięć grobów — pięć grobów szybowych wewnątrz murów zamkowych i cztery, o sto lat młodsze, groby kopulaste na zewnątrz murów; dziś znamy ich ogółem piętnaście. W czterech grobach dobrze zachowały się płaskorzeźby. Po tym odkryciu zniknęły dla Schliemanna ostatnie wątpliwości, zniknęła ostrożność naukowca. „W rzeczy samej — pisze — ani na chwilę nie waham się oznajmić, że znalazłem tutaj groby, które Pauzaniasz, idąc za tradycją, uważa za groby «króla mężów» Agamemnona, woźnicy jego rydwanu wojennego Eurymedona,

Kasandry i ich towarzyszy.”

Tymczasem prace koło skarbca w pobliżu Lwiej Bramy tylko powoli posuwały się naprzód. Twardy jak kamień gruz utrudniał kopanie. Ale i tutaj Schliemann pisze z tą samą pewnością lunatyka: „Jestem przekonany, że tradycja, według której te tajemnicze budowle służyły jako skarbce do przechowywania skarbów prastarych królów, najzupełniej odpowiada prawdzie.”‘ Już pierwsze znaleziska w gruzach, które musiał usuwać, aby uzyskać dostęp do wejścia, przewyższały pod względem subtelności formy, piękności wykonania i jakości materiału wszystko, co znalazł w Troi. Fragmenty fryzów, malowane wazy, terakotowe posążki Hery, kamienie formierskie do odlewania klejnotów (Schliemann, poszukiwacz skarbów, od razu dodaje, że „prawdopodobnie wszystkie były ze złota i srebra”), ornamenty z emaliowanej gliny, perły ze szkła, gemmy. O rozmiarach robót ziemnych przeprowadzonych przez Schliemanna i jego robotników świadczy następująca uwaga uczonego: „W wyniku dotychczasowych postępów moich prac wykopaliskowych nie znajduję nigdzie nagromadzenia gruzów sięgającego głębiej niż na dwadzieścia sześć stóp, a i tę głębokość osiągam jedynie koło wielkiego muru, okalającego miasto. Od tego miejsca szybko podnosi się skalisty grunt i dalej głębokość gruzu nie przekracza 13—20 stóp.”

Ale praca się opłaciła.

Pod datą 6 grudnia 1876 roku Schliemann notuje odkrycie pierwszego grobu. Poszukiwania musiał prowadzić z największą oględnością. Przez dwadzieścia pięć dni Zofia, jego niestrudzona pomocnica, posuwała się na kolanach, skrobała scyzorykiem, grzebała rękami. Potem znaleźli w sumie pięć grobów, a w tych grobach — szkielety piętnastu trupów. Schliemann wysyła wówczas do króla Grecji telegram:

„Z największą radością donoszę Waszej Królewskiej Mości, że odkryłem groby, które tradycja określa jako groby Agamemnona, Kasandry, Eurymedona i ich towarzyszy, zamordowanych podczas uczty przez Klitemnestrę i jej kochanka Egista.”

Można sobie wyobrazić, jak wstrząśnięty był Schliemann, gdy odkopywał jeden po drugim szkielety ludzi, których świat zaliczał do legendy, tak jak zaliczał do legendy bohaterów walczących pod Troją. Jak był wstrząśnięty, kiedy spoglądał na twarze zżarte przez czas, ale przecież jeszcze rozpoznawalne, o pustych oczodołach, bez nosów, z ustami wykrzywionymi w straszliwym grymasie, jak gdyby pod wrażeniem zbrodni widzianej w ostatniej chwili życia. Kości, do których miejscami przylegało jeszcze ciało, na których brzęczały bransolety i biżuteria, kości ludzi, którzy żyli przeszło dwa tysiące lat temu — żyli opanowani namiętnościami i nienawiścią.

Schliemann nie wątpił o słuszności swej interpretacji. Trzeba przyznać, że istotnie wiele okoliczności zdawało się potwierdzać jego zdanie.

„Ciała te — pisze — były obsypane klejnotami i złotem." Czyż zwykłym śmiertelnikom — pytał — wkładano by do grobu podobne skarby? Znalazł broń, bogatą, kosztowną broń, w którą uzbrojono zmarłych na wszelką ewentualność w krainie cieni. Schliemann wskazywał na widoczny pośpiech, z jakim spalono zwłoki. Ci, którzy je pochowali, zasypali je żwirem i ziemią, nie czekając nawet, aż ogień wszystko strawi. Działali z pośpiechem morderców pragnących zatrzeć ślady swej zbrodni. A jakkolwiek złożenie skarbów pozwalało wnioskować o uszanowaniu panujących zwyczajów, to sam sposób pochowania zwłok i miejsce wybrane na groby były tak niegodne, że poważyć się na to mógł tylko morderca pałający nienawiścią do swej ofiary. Czyż nie „wrzucono ich do nędznych dołów jak ścierwo nieczystych zwierząt"?

I znowu Schliemann odwołuje się do swoich autorytetów — antycznych pisarzy. Przytacza cytaty z *Agamemnona* Ajschylosa, z *Elektry* Sofoklesa, z *Orestesa* Eurypidesa. Nie istniał dla niego żaden cień wątpliwości. A jednak dziś wiemy, że jego teoria była fałszywa. Niewątpliwie, znalazł pod agorą groby królewskie, ale nie były to groby Agamemnona i jego towarzyszy, lecz groby według wszelkiego prawdopodobieństwa o czterysta lat starsze.

Ale to nieważne. Ważne jest to, że zrobił drugi wielki krok prowadzący w zaginiony świat prehistoryczny, że znowu wykazał prawdziwość Homera i wydobył skarby (w

naukowym i materialnym tego słowa znaczeniu) informujące nas o kulturze będącej pramacierzą wszystkich kultur kontynentu europejskiego.

„Przecież odkryłem dla archeologii — woła w uniesieniu — zupełnie nowy świat, którego istnienia nikt nawet nie podejrzewał!"

I oto osiągnąwszy znowu szczyt powodzenia, gdy cały świat domaga się od niego wiadomości, ten wspaniały człowiek, który korespondował telegraficznie z ministrami i królami, człowiek pełen nieposkromionej dumy, lecz przy tym nigdy nie wyniosły, nie zapomina nawet o sprawach najdrobniejszych i oburza się ponad wszelką miarę na wyrządzoną drugiemu krzywdę. Pewnego dnia, po niezliczonych wizytach znakomitych gości, na miejsce wykopalisk przybył cesarz Brazylii. Zwiedził Mykeny i odjeżdżając pozostawił miejscowemu komendantowi policji nazwiskiem Leonardos iście królewski napiwek wynoszący aż... 40 franków! Ów Leonardos zawsze lojalnie zachowywał się wobec Schliemanna. Toteż archeolog jest oburzony, gdy dowiaduje się, iż zawistni koledzy Leonardosa twierdzą, że w rzeczywistości otrzymał on 1000 franków i różnicę schował do kieszeni. Gdy Leonardosa wskutek tego zwolniono, Schliemann postanawia interweniować. Uruchamia — on, sławny na cały świat badacz — swe najwyższe koneksje, aby przyjść z pomocą skromnemu policjantowi. Nie szukając żadnych dróg okrężnych telegrafuje wprost do ministra: „Tytułem odwzajemnienia za wiele setek milionów, które przysporzyłem Grecji, proszę o wyświadczenie mi grzeczności i przebaczenie memu przyjacielowi policjantowi Leonardosowi w Nauplion oraz o pozostawienie go na zajmowanym stanowisku. Będę to uważał za osobiście wyświadczoną mi przysługę. Schliemann." Gdy nie otrzymuje natychmiast odpowiedzi, wysyła drugi telegram: „Przysięgam policjant Leonardos uczciwy i dzielny. Wszystko oszczerstwo. Ręczę otrzymał tylko 40 franków. Żądam sprawiedliwości." Posuwa się jeszcze dalej, robi rzecz wprost niewiarygodną. Wysyła do cesarza Brazylii, który tymczasem wylądował w Kairze, następujący telegram:

„Opuszczając Nauplion Wasza Cesarska Mość dał komendantowi policji Leonidasowi Leonardos 40 franków do podziału między policjantów. Burmistrz, aby oczernić tego

poczciwego człowieka, twierdzi, że otrzymał on od Waszej Cesarskiej Mości 1000 franków. Leonardos został zwolniony ze stanowiska i tylko z wielkim trudem udało mi się go uratować od więzienia. Ponieważ znam go od lat jako najuczciwszego człowieka pod słońcem, proszę Waszą Cesarską Mość w imię świętej prawdy i człowieczeństwa o telegraficzną wiadomość, ile Leonardos otrzymał: czterdzieści franków czy więcej?" I Schliemann, badacz i archeolog, „w imię sprawiedliwości" zmusza cesarza Brazylii do publicznego przyznania się do swego brudnego skąpstwa. Leonardos jest uratowany. Tak postępował Schliemann. Był marzycielem, gdy kierował swój wzrok ku zaginionym światom, chłodno rozumującym detektywem, gdy poszukiwał skarbów, i istnym Michaelem Kohlhaasem[1], gdy walczył o słuszną sprawę.

Skarby były olbrzymie. Dopiero znacznie później, już w naszym XX wieku, przewyższyły je znaleziska Carnarvona i Cartera w Egipcie. „Wszystkie muzea świata razem wzięte — pisał Schliemann — nie posiadają nawet piątej części tego, co tu znalazłem."

W pierwszym grobie znalazł na każdym z trzech szkieletów po pięć szczerozłotych diademów, liście wawrzynowe i krzyże ze złota. W innym grobie — leżały tu trzy kobiety — zebrał nie mniej niż 701 cienkich liści ze złota ze wspaniałymi ornamentami, zwierzętami i kwiatami, motylami i mątwami; złote klejnoty, ozdobione wizerunkami lwów i innych zwierząt, wojowników toczących morderczą walkę; klejnoty w postaci lwów i gryfów, leżących jeleni oraz w postaci kobiet z gołębiami. Jeden ze szkieletów miał na głowie koronę ze złota; na jej przepasce osadzonych było 36 złotych liści, ustawionych pionowo dokoła głowy, która była teraz bliska rozsypania się w proch, podobnie jak inna głowa, ozdobiona kunsztownie wykonanym diademem z przylepionymi jeszcze do niego częściami czaszki.

1 Bohater noweli H.Kleista pod tym samym tytułem. Michael Kohlhaas na skutek nadmiernie wybujałego poczucia sprawiedliwości zmienia się w rozbójnika i mordercę i ginie w końcu na szubienicy.

Prócz tego *znalazł* pięć złotych diademów zaopatrzonych w złoty drut, którym były przymocowane do głowy. Znalazł niezliczoną ilość złotych krzyży i rozet, broszki i spinki do upinania włosów. Kryształy górskie, agatowe zasuwki i soczewkowate gemmy z sardoniksu i ametystu. Znalazł berła z pozłacanego srebra, z rękojeściami z kryształu górskiego, złote puchary i szkatuły, klejnoty rzeźbione w alabastrze.

Znalazł — co najważniejsze — owe złote maski i napierśniki, którymi, zgodnie z tradycją, próbowano chronić królewskie zwłoki przed wszelkimi wpływami z zewnątrz. Znowu na kolanach i w asyście swojej żony zdrapał warstwę gliny z pięciu trupów czwartego grobu. Głowy tych trupów widoczne były tylko przez kilka godzin, potem rozsypały się w proch. Ale złote maski, roztaczające migotliwy blask, zachowały ich kształt. Kształt tych głów i rysy twarzy były na wskroś indywidualne „i tak całkowicie różniły się od idealnych typów bogów i bohaterów, że nie ulega wątpliwości, iż każda z nich przedstawiała wizerunek nieboszczyka".

Znalazł sygnety wykonane najmisterniejszą techniką intaglio, bransolety, przepaski na czoło, paski, 110 złotych kwiatów, 68 złotych guzików bez ozdób intaglio i 118 złotych guzików z takimi ozdobami. I na tym jeszcze nie koniec, bo na następnej stronicy swego opisu grobów wspomina znowu o 130 złotych guzikach, dalej — o wykonanym ze złota modelu świątyni, jeszcze dalej — o mątwie ze złota. Ale poprzestańmy na tym, bo cały opis znalezisk wypełnia u Schliemanna 206 stron druku dużego formatu. Znalazł złoto, złoto i jeszcze raz złoto.

Wieczorem, gdy cienie nocy słały się nad mykeńskim akropolem, Schliemann kazał rozpalać ogniska — „po raz pierwszy od 2344 lat". Przypominały one ogniska, które ongiś oznajmiły tutaj Klitemnestrze i jej kochankowi powrót Agamemnona. Tym razem ogień służył do innych celów. Miał odstraszyć złodziei od jednego z największych skarbów, jakie kiedykolwiek wydobyto z grobów królewskich.

Rozdział szósty

SCHLIEMANN I NAUKA

Trzecie z kolei wielkie prace wykopaliskowe Schliemanna nie wydobyły już na światło dzienne złota. Ale za to odsłoniły zamek w Tirynsie, a wykopaliska wraz z tym, co odkrył w Mykenach i co w dziesięć lat po nim angielski archeolog Evans znalazł na Krecie, uzupełniły dopiero obraz prehistorycznego kręgu kulturowego, panującego niegdyś na wybrzeżach Morza Śródziemnego.

Zatrzymajmy się jednak na chwilę nad pozycją Schliemanna we współczesnym mu świecie naukowym. Sprawa ta nie straciła nic na aktualności. Jeszcze i dziś każdy badacz-archeolog walczy w krzyżowym ogniu krytyki publiczności i fachowców. Sprawozdania Schliemanna z prac wykopaliskowych miały inny krąg czytelników niż traktaty Winckelmanna o wykopaliskach w Herkulanum. Winckelmann, osiemnastowieczny światowiec, pisał dla ludzi wykształconych, dla małego grona uprzywilejowanych, którzy bądź sami posiadali własne muzea, bądź co najmniej uzyskiwali do nich dostęp jako osoby należące do sfer dworskich. Odkrycie Pompei zelektryzowało ten mały światek. Wykopanie choćby jednego posągu wprawiało tych ludzi w zachwyt, ale ich zainteresowanie nigdy nie opuszczało gładkich parkietów rozmiłowanego w pięknie estetyzmu. W końcu wprawdzie wpływ Winckelmanna sięgnął znacznie dalej, ale po to, aby z cienkiej warstwy erudytów promieniować w głąb i wszerz swych czasów, potrzebne mu było pośrednictwo — pośrednictwo poetów i pisarzy.

Schliemann oddziaływał bez tego rodzaju „transmisji". Oddziaływał bezpośrednio. Publikował sprawozdania o każdym ze swoich znalezisk i sam był największym ich wielbicielem. Rozsyłał listy na cały świat. Jego artykuły trafiały na łamy wszystkich gazet. Gdyby wówczas istniało radio, film i telewizja, z pewnością posługiwałby się nimi. Jego znaleziska w Troi rozpętały burzę nie tylko w małym światku ludzi wy-

kształconych, lecz wśród najszerszego ogółu. Gdy Winckelmann opisywał znalezione posągi, przemawiał do estetów, do zachwyconych znawców. Znaleziska Schliemanna, znaleziska ze złota, przemawiały do wyobraźni ludzi okresu nazywanego w jego ojczyźnie „okresem grynderstwa", do ludzi płynących z wezbraną falą gospodarczej *prosperity*. Ludzie ci, dla których *Selfmademan* był człowiekiem godnym najwyższego szacunku i którzy kierowali się zdrowym rozsądkiem, stawali po jego stronie wówczas, gdy „czyści naukowcy" odwracali się od niego jako od „laika".

W kilka lat po ogłoszeniu przez Schliemanna sprawozdań w prasie (w 1873 roku) pewien dyrektor muzeum pisał: „W okresie ukazywania się tych sprawozdań panowało zarówno wśród uczonych, jak wśród publiczności wielkie podniecenie. Wszędzie — w mieszkaniach i na ulicy, w dyliżansach pocztowych i na kolei, mówiono o Troi. Wszyscy byli pełni zdumienia, wszystkim na usta cisnęły się pytania."

Jeżeli Winckelmann, jak mówi o nim Herder, „ukazał nam z daleka tajemniczy świat Greków", to Schliemann odkrył już ich świat przedhistoryczny. Z nieprawdopodobną śmiałością wyprowadził archeologię z kręgu światła lamp naftowych, palących się w pracowniach uczonych, pod słońce helleńskiego nieba. Spór o Troję rozstrzygnął łopatą. Jednym wielkim krokiem wyszedł z zamkniętego kręgu klasycznej filologii, aby przekroczyć próg żywego świata przedhistorycznego i poszerzyć naukę klasyczną o prehistorię.

Tempo, w jakim następowały po sobie te rewolucjonizujące archeologię przedsięwzięcia, coraz większe ich powodzenie, sama dwoistość osoby Schliemanna, który, nie będąc ani w pełni kupcem, ani w pełni uczonym, osiągnął jednak i na jednym, i na drugim polu nadzwyczajne sukcesy, „reklamiarska nuta" jego publikacji — wszystko to „szokowało" międzynarodowy, a w szczególności niemiecki świat naukowy. O rozmiarach tego oburzenia świadczy choćby liczba dziewięćdziesięciu publikacji o Troi i Homerze, które w owych latach działalności Schliemanna wyszły spod pióra różnych autorów. W filipikach tych uczeni atakowali głównie jego dyletantyzm. W dalszym ciągu naszej historii wykopalisk będziemy się wciąż

spotykać z tym, jak zawodowi archeolodzy zatruwali życie ludziom, którzy wszak swymi odkryciami dodali tylko bodźca do nowych „skoków" w nieznaną przeszłość. Ale że ataki przeciw Schliemannowi były natury zasadniczej, więc warto tu coś niecoś o nich powiedzieć i przytoczyć niektóre cytaty. Jako pierwszy niechaj zabierze głos zgorzkniały filozof Artur Schopenhauer:

„Dyletanci, dyletanci! — tak ludzie uprawiający jakąś naukę lub sztukę z zamiłowania i z zapału do niej, *per U loro diletto,* nazywani są lekceważąco przez tych, którzy zajęli się nią dla zysku, bo ich pociągają tylko pieniądze, które na tym można zarobić. To lekceważenie polega na niskim przekonaniu, że nikt nie poświęci się poważnie jakiejś sprawie, jeśli go nie popchnie do tego nędza, głód albo takie czy inne pożądanie. Publiczność jest tego samego ducha i dlatego też tego samego zdania. Stąd jej powszechny respekt dla «fachowców» i jej nieufność do dyletantów. Tymczasem w rzeczywistości dla dyletanta przedmiot jego pracy jest celem, dla fachowca zaś jako takiego jedynie środkiem. Ale ten tylko z całą powagą odda się jakiejś sprawie, komu bezpośrednio na niej zależy, kto zajmuje się nią z zamiłowania, uprawia ją *con amore.* Tacy ludzie, a nie robigrosze zawsze tworzyli rzeczy największe."

Profesor Wilhelm Dörpfeld, współpracownik, doradca i przyjaciel Schliemanna, jeden z niewielu fachowców w Niemczech, którzy stanęli u jego boku, pisał jeszcze w roku 1932: „Nigdy natomiast nie rozumiał szyderstwa i drwin, z jakimi wielu uczonych, a w szczególności niemieccy filolodzy traktowali jego prace w Troi i na Itace. I ja zawsze ubolewałem nad szyderstwem, z jakim później kilku wielkich uczonych odniosło się do moich wykopalisk w Homerowych miejscowościach. Uważałem je nie tylko za nieuzasadnione, ale i za nienaukowe."

Nieufność „fachowców" do odnoszących sukcesy outsiderów to nieufność mieszczanina do geniusza. Człowiek o unormowanym sposobie ‘ życia gardzi człowiekiem bujającym w niepewnych strefach, człowiekiem, który buduje na „kruchych podstawach". Pogarda ta jest nieuzasadniona.

Jeżeli spojrzymy na rozwój badań naukowych od najdawniejszych choćby czasów,

nietrudno będzie nam stwierdzić, że ogromnej ilości wielkich odkryć dokonali właśnie „dyletanci", outsiderzy, ba, nawet „samoucy". Opętani jakąś ideą, nie odczuwali hamulców fachowego wykształcenia, nie znali lęku specjalistów, przeskakiwali przeszkody wzniesione przez tradycjonalizm czcigodnych akademików.

Otto von Guericke, największy fizyk niemiecki XVII wieku, był z zawodu prawnikiem. Denis Papin był medykiem. Beniamin Franklin, syn mydlarza, nie mając wykształcenia gimnazjalnego, a już tym bardziej uniwersyteckiego, został nie tylko aktywnym politykiem (do tego wystarczają niekiedy i mniejsze kwalifikacje), lecz również wybitnym uczonym. Galvani, odkrywca elektryczności, był z wykształcenia medykiem i — jak wykazuje Wilhelm Ostwald w swej *Historii elektrochemii* — zawdzięczał to odkrycie właśnie lukom w swej wiedzy. Fraunhofer, autor wybitnych prac o widmie optycznym, do czternastego roku życia nie umiał czytać ani pisać. Michael Faraday, jeden z najwybitniejszych przyrodników, był synem kowala i zaczął jako introligator. Juliusz Robert Mayer, odkrywca prawa o zachowaniu energii, był lekarzem. Lekarzem był także Helmholtz, gdy mając dwadzieścia sześć lat ogłosił swą pierwszą pracę na tenże temat. Buffon, matematyk i fizyk, najpoważniejsze prace ogłosił z dziedziny geologii. Człowiekiem, który skonstruował pierwszy telegraf elektryczny, był profesor anatomii Thomas Sömmering. Samuel Morse był malarzem, tak samo jak Daguerre; pierwszy stworzył alfabet telegraficzny, drugi wynalazł fotografię. Opętani swą ideą twórcy balonu sterowego Zeppelin, Gross i Parseval byli oficerami i nie mieli żadnego pojęcia o technice. Przykłady te można by mnożyć w nieskończoność. Gdyby wszystkich tych ludzi i ich działalność usunąć z historii nauki, zawaliłby się cały jej gmach. Mimo to musieli oni za życia znosić drwiny i szyderstwa.

Ten szereg przykładów znajduje dalszy ciąg w nauce, o której traktuje nasza książka. William Jones, który dokonał pierwszych dobrych przekładów z sanskrytu, nie był orientalistą, lecz sędzią okręgowym w Ben-galu. Grotefend, który pierwszy odcyfrował jeden z rodzajów pisma klinowego, był filologem klasycznym, a jego następca, Rawlinson — oficerem i politykiem. Pierwsze kroki na długiej i żmudnej

drodze od cyfrowania hieroglifów postawił Thomas Young, z zawodu lekarz. Champollion, który osiągnął ten cel, był właściwie profesorem historii. Humann odkopał Pergamon, a był z zawodu inżynierem kolejowym.

Lista ta chyba wystarcza, aby wysunąć następujące twierdzenie: Nie można kwestionować tego wszystkiego, co wyróżnia fachowca. Ale czyż najważniejszy nie jest wynik, o ile tylko został osiągnięty „czystymi środkami"? I czyż outsiderzy nie zasługują na naszą szczególną wdzięczność?

Pewnie, Schliemann w czasie swych pierwszych wykopalisk popełnił poważne błędy. Zburzył budowle, które miały wielką wartość, rozwalił mury, które stałyby się cennymi wskazówkami. Ale Ed. Meyer, wielki niemiecki historyk, przyznaje mu następującą zasługę: „Dla nauki nie-metodyczne postępowanie Schliemanna — jego celem było dotrzeć bezpośrednio do warstwy pierwotnej — okazało się w najwyższym stopniu pożyteczne. Przy systematycznym prowadzeniu wykopalisk najstarsze warstwy kryjące się we wzgórzu Hissarlik, a zatem i owa kultura, którą określamy jako właściwą kulturę trojańską, prawdopodobnie nigdy nie zostałyby odkryte."

Tragicznym zbiegiem okoliczności właśnie pierwsze interpretacje Schliemanna i pierwsze ustalone przez niego daty prawie wszystkie były błędne. Ale czyż Kolumb odkrywając Amerykę nie sądził, że znalazł Indie? Czy to pomniejsza jego odkrycie?

Jedno jest niewątpliwe. Jeżeli w pierwszym roku Schliemann wyruszając na wzgórze Hissarlik przypominał po trosze chłopca, który uderza młotkiem w swą zabawkę, aby zobaczyć, co się w niej kryje, to Schliemann, który odkopał Mykeny i Tiryns, bezsprzecznie uważany być musi za naukowego badacza-archeologa. Potwierdzają to Dörpfeld, jak również wielki Anglik Evans — ten drugi co prawda z pewnymi zastrzeżeniami.

Ale zupełnie tak samo jak Winckelmann cierpiał niegdyś w „kraju despotyzmu" — w Prusach, tak i Schliemann musiał wiele przecierpieć wskutek niezrozumienia, z jakim

się spotykał we własnej ojczyźnie, z której niegdyś wywędrował zabierając ze sobą marzenia młodości. Mimo głośnych już na cały świat wyników jego wykopalisk jeszcze w 1888 roku ukazało się w Niemczech, już w drugim wydaniu, *Objaśnienie „Iliady"* niejakiego Forchhammera, zawierające niedorzeczną próbę przedstawienia wojny trojańskiej jako symbolu walki ścierających się na równinie trojańskiej prądów morskich i rzecznych, mgły i deszczu. Ale Schliemann bronił się jak lew. Gdy .kapitan Boetticher, głupi kwerulant i główny przeciwnik Schliemanna, posunął się do twierdzenia, że Schliemann w toku swych prac wykopaliskowych umyślnie zburzył mury, aby usunąć dowody obalające jego hipotezę o dawnej Troi, zaprosił go na swój własny koszt do Hissarliku. Spotkanie odbyło się w obecności rzeczoznawców naukowych, którzy potwierdzili słuszność poglądów Schliemanna i Dörpfelda. Kapitan Boetticher starannie wszystko obejrzał i z widoczną na twarzy wściekłością odjechał do domu twierdząc, że „tak zwana Troja" nie jest niczym innym, jak olbrzymim starym cmentarzyskiem, nekropolią spalonych zwłok. Wtedy Schliemann podczas czwartych z kolei prac wykopaliskowych w 1890 roku zaprosił na swe wzgórze przedstawicieli międzynarodowego świata naukowego, dla których zbudował na skraju wzgórza w dolinie Skamandru małe drewniane baraki. Znalazło tu pomieszczenie czterdziestu uczonych. Anglicy, Amerykanie, Francuzi i Niemcy (m.in. Virchow) przyjęli zaproszenie. Również i oni pod nieodpartym wrażeniem tego, co zobaczyli na własne oczy, potwierdzili ścisłość sprawozdań Schliemanna i Dörpfelda.
Zbiory Schliemanna miały nieocenioną wartość. Według jego ostatniej woli miało je po śmierci otrzymać muzeum narodu, „który — pisze Schliemann — najbardziej kocham i cenię". Początkowo zaofiarował je rządowi greckiemu, potem francuskiemu. W 1876 roku pisał do pewnego rosyjskiego barona w Petersburgu: „Gdy przed kilku laty zapytano mnie o cenę moich zbiorów trojańskich, wymieniłem sumę 80 000 funtów szterlingów. Ale spędziwszy dwadzieścia lat mego życia w Petersburgu i wobec tego, że cała moja sympatia zwraca się ku Rosji i że szczerze pragnę, aby zbiory moje tam właśnie się znalazły, żądam od rządu rosyjskiego tylko 50 000 funtów, a w razie potrzeby gotów jestem nawet obniżyć tę cenę."

Krajem jednak, który Schliemann najbardziej pokochał, otwarcie przyznając się do tej miłości, była Anglia. Tu znalazł najżyczliwsze echo. „Times" zawsze otwierał mu swoje szpalty, gdy wszystkie niemieckie dzienniki jeszcze je przed nim zamykały. Sam premier angielski Gladstone napisał przedmowę do jego książki o Mykenach (tak jak przedtem słynny oksfordczyk A. H. Sayce napisał przedmowę do jego pracy o Troi).

Jeżeli mimo to zbiory Schliemanna zawędrowały w końcu do Berlina „na wieczną własność i niepodzielne przechowanie", to było to znowu — o ironio! — zasługą człowieka, który interesował się archeologią tylko jako miłośnik-amator. Człowiekiem tym był wielki niemiecki lekarz Virchow. Za jego sprawą Schliemann został członkiem honorowym niemieckiego Towarzystwa Antropologicznego, a później wraz z Bismarckiem i Moltkem obywatelem honorowym Berlina.

Niegdyś Schliemann niczym złodziej ukrył i zabezpieczył swe zbiory przed władzami tureckimi. Po wielu perypetiach cenne okazy jego kolekcji wylądowały w berlińskim Museum für Früh- und Vorgeschichte. Tutaj spoczywały przez dziesiątki lat i przetrwały pierwszą wojnę światową. Później przyszła druga wojna światowa. Na Berlin spadały bomby. Część zbiorów ocalała; przewieziono ją w bezpieczne miejsce. „Złoty skarb Priama" umieszczono najpierw w Banku Pruskim, później w schronie przeciwlotniczym koło berlińskiego Zoo. Obydwa te miejsca zostały zburzone. Zbiory ceramiki przewieziono do Schönebeck nad Łabą, do zamku koło Wrocławia i do zamku w Lebus. W Schönebeck nic nie ocalało. Zamek w Lebus został przy końcu wojny splądrowany; później rząd wschodnioniemiecki postanowił zburzyć ruiny. Wkrótce jednak do Berlina doszły wiadomości, że w Lebus można jeszcze uratować coś niecoś ze zbiorów ceramiki. Pewna uczona otrzymała zezwolenie na przeprowadzenie poszukiwań, nie znalazła jednak poparcia u lokalnych władz wschodnioniemieckich. Wtedy zaopatrzyła się w 50 funtów cukierków i w ten sposób pozyskała dzieci: miały jej znosić starą ceramikę. Dzieci wprawdzie okazały się wkrótce tak sprytne, że tłukły nie uszkodzone przedmioty, aby przynieść dwa lub trzy razy skorupy, a tym samym dwa lub trzy razy „zainkasować" słodycze. Ale znalazły

się także sztuki nie uszkodzone. Pochodziły z mieszkań, gdzie garnki, miski i dzbany, z których ongi jedli i pili trojańczycy i królewski ród Atrydów, służyły chłopom z Marchii Brandenburskiej do codziennego użytku.

Ale nasza uczona stwierdziła gorsze jeszcze rzeczy. Gdy minęły pierwsze następstwa klęski niemieckiej, pozostali przy życiu mieszkańcy Lebus nie mieli najmniejszego pojęcia o wartości skrzyń z glinianymi naczyniami. We wsi zaczęło budzić się nowe życie. Młodzi chłopcy w ostatni wieczór przed ślubem któregoś z kolegów wyruszali na „połów": sprowadzali na taczkach urny i amfory, niepowtarzalne znaleziska Henryka Schliemanna, i wśród radosnych okrzyków rozbijali je na progu mieszkania narzeczonych.

Tak oto w 1945 roku części Troi zostały po raz drugi zniszczone, a z pomocą pół worka słodyczy — po raz drugi zebrane.

Rozdział siódmy

MYKENY, TIRYNS I WYSPA ZAGADEK

W 1876 roku pięćdziesięcioczteroletni wówczas Schliemann rozpoczął prace wykopaliskowe w Mykenach. W latach 1878—1879 z pomocą Virchowa kopał po raz wtóry w Troi. W roku 1880 odsłonił bogaty strop skarbca Minyasa w Orchomenos, trzecim z kolei mieście, które Homer obdarza przydomkiem „złote". W 1882 roku kopał po raz trzeci w Troadzie, a w dwa lata później podjął wykopaliska w Tirynsie.

Tu znowu następuje to samo, co znamy już z poprzednich wykopalisk. Mur zamku stał widoczny dla wszystkich na powierzchni ziemi. Ale że szalejący tu niegdyś pożar wypalił kamienie na wapno, a spajającą je glinę na prawdziwe cegły, archeologowie

sądzili, że pochodzi on z czasów średniowiecza, a greccy przewodnicy oznajmiali podróżnym, że w Tirynsie „nie ma nic szczególnie godnego widzenia".

Ale Schliemann polegał na swoich starożytnych pisarzach. Zaczął kopać z taką gorliwością, że zniszczył przy tym jakiemuś wieśniakowi z Kophinion plantację kminku, za co musiał zapłacić 275 franków grzywny.

W Tirynsie ponoć urodził się Herakles. Cyklopowe mury uchodziły w starożytności za jeden z cudów świata. Pauzaniasz przyrównywał je do egipskich piramid. Legenda głosi, że Projtos, legendarny król Tirynsu, sprowadził sobie siedmiu cyklopów i że to oni wznieśli te mury. Później podobne mury stawiano również gdzie indziej, tak że Eurypides całą Argolidę nazywa „krajem cyklopowym".

Schliemann kopał i znalazł fundamenty pałacu przewyższającego swymi rozmiarami wszystkie dotąd odkopane pałace. Dawał on imponujące wyobrażenie o prehistorycznym ludzie, który go zbudował i którego królowie tu mieszkali.

Zamek ten podobny do twierdzy wznosił się na skale z wapienia. Mury składały się z bloków kamiennych dwa do trzech metrów długich, na metr wysokich i na metr grubych. W dolnej części, gdzie znajdowały się tylko pomieszczenia gospodarskie i stajnie, łączna ich grubość wynosiła siedem do ośmiu metrów. W górnej części zamku, gdzie mieszkał władca, sięgała jedenastu, wysokość zaś szesnastu metrów!

Jakiż widok musiało przedstawiać wnętrze tego zamku w czasach, gdy zamieszkiwali go szczękający orężem wojownicy. Nic dotąd nie wiedziano o planach tych homerowych pałaców. Z pałaców Menelaosa, Odyseusza i innych władców nic się nie zachowało. Nawet szczątki Troi i zamku Priama nie dawały już możliwości zorientowania się w założeniach architektonicznych.

Tutaj, w Tirynsie, pod łopatą badacza taki homerowy pałac wyłonił się jasno i wyraźnie. Można było rozpoznać hale kolumnowe i sale, dziedziniec męski z ołtarzem, okazały megaron z poprzedzającym go portykiem i salą, łaźnię (posadzkę jej tworzył jeden blok wapienia wagi 20 000 kilogramów), gdzie bohaterowie Homera kąpali się i namaszczali. Tu pod łopatą Schliemanna wynurzył się z ziemi obraz, jaki daje nam *Odyseja,* opisując powrót przemyślnego bohatera, ucztę zalotników i

krwawą rzeź w wielkiej sali.

Ale było tu coś, co zasługiwało na jeszcze większą uwagę: rodzaj znalezionych wyrobów garncarskich oraz malowidła ścienne. Schliemann od razu zauważył podobieństwo między znalezioną tu ceramiką — wazami, wazonami i naczyniami glinianymi, a ceramiką, którą znalazł poprzednio w Mykenach. Co więcej, wskazał nawet na ich podobieństwo z ceramiką znalezioną przez innych archeologów w Asine, Nauplion, Eleuzis i na różnych wyspach, w tym na największej z nich — Krecie. Już w gruzach mykeńskich znalazł jajo strusie (początkowo, co prawda, wziął je za wazę z alabastru), co zdawało się wskazywać na kontakty z Egiptem. Tu zaś, w Tirynsie, znalazł teraz wazy o tzw. wzorze „geometrycznym", jakie już w 1500 roku przed Chr. Fenicjanie przywozili na dwór faraona Totmesa III.

Schliemann w obszernych objaśnieniach starał się dowieść, że trafił na ślad kręgu kulturowego, którego kolebką była Azja lub Afryka, na ślad kultury, która panowała na całym wschodnim wybrzeżu Grecji, obejmowała większość wysp, a głównie swe centrum miała prawdopodobnie na Krecie.

Dziś tę kulturę nazywamy kulturą kreteńsko-mykeńską. Schliemann natrafił tylko na pierwsze jej ślady. Zasługa pełnego odkrycia tej kultury przypaść miała w udziale komu innemu.

Wszystkie pomieszczenia pałacu były otynkowane wapnem. Na wszystkich ścianach widniały malowidła ścienne w postaci fryzów, przeważnie obwiedzionych żółto-niebieskim pasem, który ciągnął się prawdopodobnie na wysokości wzrostu człowieka, dzieląc ściany komnat na dwie połowy.

Wśród malowideł ściennych zwłaszcza jedno zadziwiało swą treścią.

Na niebieskim tle przedstawiony był potężny byk o czerwonych łatach, widocznie w momencie ogromnego skoku; koliste oko zdradzało dzikość, ogon był podniesiony jak gdyby do smagania. Na byku stał mężczyzna w dziwnej pozycji: jedną ręką uczepiony rogu zwierzęcia, zdawał się ni to szykować do skoku, ni to tańczyć.

W swej książce o Tirynsie Schliemann przytacza na ten temat następujące uwagi niejakiego doktora Fabriciusa: „...można by zatem sądzić, że ów człowiek na grzbiecie byka to akrobata lub pogromca byków popisujący się swą zręcznością, polegającą na tym, by w szalonym pędzie skoczyć na grzbiet zwierzęcia, podobnie jak w znanym miejscu *Iliady* pogromca rumaków prowadząc czworokonny zaprzęg skacze w pełnym pędzie z grzbietu jednego na grzbiet innego rumaka." To objaśnienie, do którego Schliemann wówczas nie miał widocznie nic do dodania, nie było wystarczające. Gdyby Schliemann pojechał wtedy na Kretę, jak od dawna planował, znalazłby tam coś, co w związku z tym obrazem potwierdziłoby wiele jego przypuszczeń i stałoby się ukoronowaniem dzieła całego jego życia.

Zamiar podjęcia wykopalisk na Krecie, w szczególności koło Knossos, nie opuszczał Schliemanna do końca życia. Gdzie było wiele gruzów, tam były tez widoki znalezienia wielu rzeczy. Na rok przed śmiercią pisał: „Chciałbym zakończyć prace swego życia wielkim dziełem, a mianowicie odkopaniem prastarego, przedhistorycznego pałacu królów panujących w Knossos na Krecie, pałacu, który jak sądzę, odkryłem przed trzema laty."

Natrafił jednak na duże opory. Gubernator Krety wprawdzie udzielił mu potrzebnego zezwolenia, ale właściciel wzgórza, o które chodziło, był przeciwnikiem wszelkiego „grzebania w ziemi". Zażądał za swój teren fantastycznej ceny 100 000 franków i tylko za nią gotów go był odprzedać. Schliemannowi po długich targach udało się zredukować cenę do 40 000 franków. Ale gdy powrócił na Kretę, aby sfinalizować transakcję, i przeliczył drzewka oliwkowe na swej nowej posiadłości, stwierdził, że teren odgraniczono inaczej, niż było uzgodnione, tak, iż zamiast 2500 drzew oliwnych pozostałoby mu tylko 888. Wskutek tego odstąpił od kupna. Tym razem jego kupiecka natura przeważyła nad zainteresowaniami archeologa. Włożył ogromny majątek w pracę naukową, a z powodu oliwy z 1612 drzew oliwkowych wyrzekł się możliwości znalezienia klucza do przedhistorycznych zagadek, które sam stworzył swymi znaleziskami, lecz bynajmniej nie wszystkie rozwiązał.

Czy należy tego żałować? Chyba nie. Życie Schliemanna było bogate, a zadanie

spełnione, gdy w 1890 roku śmierć wytrąciła mu z ręki łopatę, grzebiąc tego, który sam za życia tyle odgrzebał.

Święta Bożego Narodzenia 1890 roku chciał Schliemann spędzić w rodzinnym gronie, z żoną i dziećmi. Choroba ucha przyprawiała go o wielkie cierpienia, ale zaabsorbowany nowymi projektami, poprzestał na tym, że w przejeździe przez Włochy zasięgnął porady kilku mało znanych lekarzy. Uspokoili go, twierdząc, że to nic groźnego. Ale w dzień Bożego Narodzenia w Neapolu na Piazza delia Santa Caritä upadł na ulicy. Nie stracił wprawdzie przytomności, ale odjęło mu mowę. Litościwi przechodnie przenieśli chorego milionera do szpitala. Nie chciano go przyjąć. Gdy potem, w komisariacie policji, przeszukano jego kieszenie, znaleziono adres pewnego lekarza. Sprowadzony na miejsce wytłumaczył, kim jest ten cudzoziemiec, i zażądał sprowadzenia dorożki, aby go przewieźć. Ludzie popatrzyli na leżącego na ziemi złamanego chorobą człowieka w skromnym ubraniu, które zdawało się świadczyć raczej o ubóstwie. Gdy zapytali, kto ma zapłacić za dorożkę, lekarz zawołał: „Ależ to bogacz!" Sięgnął do ubrania chorego i wyciągnął sakiewkę. Była pełna złota.

Schliemann męczył się przez jedną noc, wciąż zachowując przytomność. Skonał nad ranem.

Gdy sprowadzono zwłoki do Aten, przy trumnie stanął król i następca tronu Grecji, przedstawiciele dyplomatyczni obcych państw, członkowie rządu greckiego i kierownicy wszystkich greckich instytucji naukowych. W obliczu popiersia Homera składali dziękczynny hołd wielkiemu filhellenowi, który wiedzy o greckiej starożytności przysporzył całe tysiąc lat. Przy trumnie stała jego żona i dwoje dzieci. Nazywały się Andromacha i Agamemnon.

Artur Evans urodził się w 1851 roku. W dniu, w którym Schliemann zaniknął oczy, miał więc trzydzieści dziewięć lat. Był Anglikiem w każdym calu. To on miał prawie do końca zamknąć krąg, który Schliemann rozpoznał na tablicy dziejów jako niejasny

jeszcze zarys.

Był skrajnym przeciwieństwem Schliemanna. Ukończył studia w Harrow, Oksfordzie i Getyndze. Zaczął się interesować hieroglifami. Znalazł znaki pisarskie, które zwróciły jego uwagę na Kretę. Udał się więc na tę wyspę i w 1900 roku rozpoczął wykopaliska. W dziewięć lat później został profesorem archeologii prehistorycznej w Oksfordzie. Powoli i systematycznie dochodził do coraz to wyższych godności naukowych. Pewnego dnia mógł do imienia swego dodać tytuł szlachecki „sir". Otrzymał wiele odznaczeń, m.in. jako jedno z ostatnich w 1936 roku cenioną Copley Medaille brytyjskiego Royal Society. Krótko mówiąc, tak z charakteru, jak pod względem przebiegu kariery życiowej był przeciwieństwem bujnej, nieposkromionej natury Schliemanna.

Ale wyniki jego poszukiwań były nie mniej godne uwagi. Przybył na Kretę, aby na miejscu znaleźć potwierdzenie swej teorii, która go szczególnie interesowała.

Pobyt swój obliczał na niedługi okres czasu. Gdy jednak przewędrował wyspę i zobaczył resztki gruzów i ruin, które już przedtem tak bardzo zainteresowały Schliemanna, odsunął na bok pewnego dnia swe teorie o nie zbadanym dotąd piśmie i sięgnął do łopaty. Było to w 1900 roku. W rok później ogłosił, że trzeba mu co najmniej jeszcze jednego roku, by odkopać tu wszystko, co mogłoby się przydać nauce. Omylił się: minęło ćwierć wieku, a on wciąż jeszcze kopał, wciąż jeszcze prowadził wykopaliska w tym samym miejscu, o którym niegdyś sądził, że niedługo tam zabawi.

Kopał idąc śladem legend i podań — zupełnie tak samo jak Schliemann. I tak samo jak Schliemann odkopał pałace i skarby. Schliemann nakreślił obraz, Evans dał do niego ramy. Ale zarazem dał także szkice do wielu dalszych obrazów, do których brak po dziś dzień w naszej palecie wszystkich kolorów… Zapuścił rydel w ziemię kreteńską, wdarł się w łono wyspy zagadek.

Rozdział ósmy

NIĆ ARIADNY

Kreta leży na samym obwodzie zagiętego w łuk pasma górskiego, które ciągnie się od Grecji poprzez wyspy Morza Egejskiego aż do Azji Mniejszej.

Morze Egejskie nie było przegrodą dzielącą narody. Już Schliemann dowiódł tego, gdy w Mykenach i Tirynsie znalazł przedmioty, które musiały pochodzić z dalekich krain. Potem Evans odkrył na Krecie kość słoniową z Afryki i posągi z Egiptu. W małym świecie starożytnym handel i wojna tak samo były sprężynami stosunków między narodami, jak w naszym wielkim świecie dzisiejszym. Pierwszy — sprężyną równie pokojową, druga równie zbójecką. Wyspy Morza Egejskiego tworzyły więc wraz ze swymi dwiema metropoliami jedną gospodarczą i kulturalną całość. Ze swymi metropoliami? Metropolią wcale nie musiał tu być kraj leżący na kontynencie. Rychło też okazało się, że właściwą metropolią, właściwym krajem macierzystym (w sensie dokonywającego się tu aktu kulturotwórczego) była nie Grecja lądowa, lecz jedna z wysp — Kreta.

Według legendy sam Zeus urodził się na Krecie. Rea, córka Ziemi, powiła go w pieczarze w górach Dikte. Pszczoły znosiły mu miód, koza Amalteja podawała wymię, piastowały go nimfy. Chłopcy zdolni już posługiwać się orężem zebrali się w gromadę, aby go bronić przed własnym jego ojcem, Kronosem pożerającym swe dzieci.

Tutaj na Krecie miał też panować legendarny król Minos, syn Zeusa, jeden z najpotężniejszych władców, którego imię starożytni wymieniali z najwyższą czcią.

Evans rozpoczął wykopaliska pod Knossos.

Tuż pod powierzchnią ziemi natrafił na mury. Już kilka pierwszych godzin pracy przyniosło rezultaty. Po paru tygodniach Evans stał przejęty podziwem przed

szczątkami budowli pokrywającymi przestrzeń ośmiu arów. Z biegiem lat z ziemi wynurzyły się resztki pałacu pokrywające przestrzeń dwóch i pół hektara.

Dające się wyraźnie rozpoznać założenie architektoniczne wykazywało — mimo pozornie wielkich różnic — podobieństwo z pałacami w Tirynsie i Mykenach. Jednakże ogrom pałacu, jego przepych i piękno świadczyły o tym, że te zaniki w Grecji lądowej mogły być tylko grodami ubocznymi, niczym więcej jak głównymi miastami kolonii, kresowych prowincji.

Wokół głównego dziedzińca pałacowego, tworzącego olbrzymi prostokąt, wznosiły się ze wszystkich stron skrzydła zabudowań. Mury były z dętych cegieł, dachy płaskie, wsparte na kolumnach. Ale komnaty, korytarze, sale na różnych piętrach tworzyły tak poplątaną całość, stwarzały tyle możliwości zabłądzenia, obrania fałszywego kierunku, że okrzyk „Labirynt!" wyrywał się z ust każdego, nawet najprostszego podróżnika, chociażby nie wiedział o tym, że legenda właśnie królowi Minosowi przypisuje posiadanie zbudowanego przez Dedala Labiryntu — prawzoru wszystkich labiryntów.

Evans nie zwlekając obwieścił światu, że znalazł pałac Minosa, syna Zeusa, ojca Ariadny i Fedry, władcy Labiryntu i mieszkającego w nim straszliwego potwora, na poły byka, na poły człowieka — Minotaura.

Odtąd Evans odkrywa w Knossos same cuda. Lud, który niegdyś tu mieszkał — Schliemann znalazł tylko ślady kolonizacyjnej działalności tego ludu, o którym do owego czasu poza pewnymi okruchami legend nie miano żadnych wiadomości — pławił się w bogactwie i rozkoszy. Przypuszczalnie u szczytu swego rozwoju popadł w sybarytyczną dekadencję, która niesie już w sobie zarodek zagłady, jako że wtedy i posłanie z róż wydaje się za twarde.

Tylko najwyższy rozkwit gospodarczy może stać się źródłem takiej schyłkowej kultury. Kreta była wówczas tym, czym jest jeszcze dziś — krainą wina i oliwy z drzew oliwkowych. Ale wtedy była wielkim ośrodkiem handlu, a że była wyspą, więc prowadziła handel morski. Jeżeli już pierwsze wykopaliska zadziwiły świat tym, że ten najbogatszy pałac Grecji przedhistorycznej w ogóle nie był obwarowany, nie miał

muru obronnego ani żadnych innych umocnień, to zagadkę tę rozwiązało znalezienie towarów handlowych, wymagających silniejszej, bardziej ofensywnej ochrony niż defensywna tylko zapora murów obronnych; ochronę tę dawała panująca nad morzem flota.

Oczom zbliżających się ku brzegom Krety żeglarzy pałac w Knossos ukazywał się więc nie jako gród warowny, lecz jako jaśniejąca pod prażącym słońcem kreteńskim perła mórz. Lśnił kolumnami z białego wapienia i zdobnymi w stiuki ścianami, błyszczał bogactwem jak szlifowany diament rzucający ognie z każdej fasety.

Evans odkrył magazyny — spichrze pałacowe. Stały w nich obok siebie dzbany, niegdyś pełne oliwy, olbrzymie dzbany, zdobne w bogate ornamenty, pokryte kunsztownymi wzorami, podobnymi do tych, jakie już przedtem znaleziono w Tirynsie. Evans zadał sobie trud, aby obliczyć pojemność tych magazynów oliwy. Wynosiła ona ni mniej, ni więcej tylko 75 000 litrów; zapasy jednego pałacu...

A użytkownicy tego bogactwa?

Evans już po niedługim czasie doszedł do wniosku, że jego znaleziska nie mogą pochodzić z jednej i tej samej epoki, że wiek murów nie jest jednakowy, że nie cała ceramika, nie wszystkie fajanse i malowidła zrodziły się z jednego stylu. Niebawem też, ogarniając przenikliwym wzrokiem tysiąclecia rozwoju tej kultury, rozpoznał dzielące ją cezury. Odróżnił — podział ten uznawany jest do dziś dnia — okres wczesnominojski, od trzeciego do drugiego tysiąclecia przed Chr., okres średnio-minojski około 1600 roku przed Chr., i okres późnominojski, najkrótszy, zakończony około 1250 roku przed Chr. nagłą zagładą. Znalazł nawet ślady działalności ludzkiej z czasów dawniejszych od okresu wczesnominojskiego, z czasów, które nazywamy epoką neolitu, kiedy nie znano jeszcze metalu, a wszystkie sprzęty wyrabiano z kamienia. Znaleziska te datował Evans na 10 000 lat przed Chr. Inni badacze, co prawda, nie cofali się za nim aż w tak odległą przeszłość, niemniej jednak określali ich wiek na 5000 lat, uważając tę periodyzację za pewną.

Skąd te datowania? Skąd ta periodyzacja?

Evans znajdował z każdej epoki przedmioty obcego pochodzenia, w tym ceramikę i

naczynia gliniane z Egiptu, pochodzące ze ściśle datowanych okresów dynastii faraońskich. Jako okres rozkwitu i najwyższej kultury określa okres przejściowy od średniominojskiego do późnominojskiego, a więc dziesięciolecia na przełomie 1600 roku przed Chr., kiedy przypuszczalnie żył na Krecie Minos, pan wielkiej floty, władca mórz. Był to okres, w którym z ogólnego dobrobytu zrodził się zbytek. W czasach tych na Krecie uprawiano kult piękna. Pochodzące z owego okresu malowidła ścienne przedstawiają młodzieńców wędrujących przez łąki i zrywających krokusy do smukłych kielichów, dziewczęta brnące po kostki w łanach liliowych. Kultura przeradzała się w przepych. Malarstwo nie było już zakrzepłą w formie, poskromioną przez twórcę ozdobą, lecz pławiło się w kolorach, upajało blaskiem i wspaniałością. Mieszkanie przestało być koniecznością, stało się zbytkiem. Odzież nie była już potrzebą podyktowaną przez naturę i obyczaj, lecz sprawą gustu i wyrafinowania.

Nic dziwnego, że Evans do znalezionych przez siebie przedmiotów stosuje określenie „nowoczesne". Pałac w Knossos nie ustępował co do wielkości pałacowi buckinghamskiemu w Londynie. Posiadał rowy odwadniające, luksusowe łazienki, urządzenia wentylacyjne i kanalizację. Ale porównanie z czasami nowożytnymi narzucało się jeszcze bardziej przy obserwowaniu ludzi, ich postawy, ich strojów, ich mody.

Jeszcze w początkach okresu średniominojskiego kobiety nosiły wysokie, spiczaste czapki, długie, z przodu rozcięte, ściągane paskiem wzorzyste spódnice oraz wysokie sztywne kołnierze z głębokim dekoltem odsłaniającym piersi.

Z tych starych ubiorów rozwinął się w okresie najwyższego rozkwitu wyrafinowany strój. Z dawnej prostej sukni powstał stanik z rękawami, ciasno ściągnięty w talii, uwypuklający kształty i również odsłaniający obnażony biust, teraz jednak już z wyraźnie zaznaczoną, ekscytującą kokieterią. Długie po kostki spódnice z falbankami, bogato i jaskrawo haftowane, ozdobione były niekiedy obrazami przedstawiającymi pagórek, z którego wyrastały stylizowane kwiaty lotosu; na spódnicach — jaskrawe fartuszki. Na głowach nosiły damy kreteńskie wysoki toczek powstały z dawnej spiczastej czapki. Czyżby te „modne" postacie były aż groteskowe w swej

„hipernowoczesności”? Skoro dziś panuje u nas moda, że kobiety noszą krótkie włosy, to kobiety kreteńskie istotnie nosiły się więcej niż modnie, bo miały głowy ostrzyżone zupełnie tak samo jak mężczyźni.

Tak też ukazują się nam na obrazach: z niedbałą gracją w ruchach, z pełnym wdzięku znużeniem, bawiąc się rękawiczką, prowadzą konwersację z charme’em paryżanki w spojrzeniu i wyrazie twarzy. Trudno wprost uwierzyć, że damy te żyły w czasach odległych od nas o tysiące lat.

Starczy jednak rzucić tylko jedno spojrzenie na mężczyzn, aby uprzytomnić sobie, o jak odległe chodzi tu czasy: wszyscy bez wyjątku nosili tylko opaskę na biodrach.

Wśród wszystkich wspaniałych obrazów znalezionych przez Evansa („nawet nasi robotnicy pozbawieni wszelkiego wykształcenia — pisze Evans — odczuli ich czar i urok”) powtarza się wciąż jeden znany nam już motyw: młodzieniec tańczący na byku.

Tancerz? Akrobata? Za takiego uważał go Schliemann, gdy znalazł podobny obraz w Tirynsie, owym ponurym kresowym grodzisku, w którym nie było nic, co mogłoby przypominać stare legendy, byki, obiaty i krew dymiącą po świątyniach.

Inaczej z Evamsem. Znajdował się przecież na ziemi, gdzie niegdyś panował Minos, król posiadający Minotaura — potwora podobnego do byka. Posłuchajmy, co mówi o tym legenda:

Minos, król Knossosu, całej Krety i wszystkich mórz Hellady, wysłał swego syna Androgeosa do Aten, aby wziął tam udział w igrzyskach. Gdy silniejszy od wszystkich Greków Androgeos zwyciężył, zabił go rozgniewany król Aten Egeusz. Rozjuszony Minos wysłał swą flotę do Aten, nawiedził je wojną, odniósł zwycięstwo i zażądał straszliwej kary. Co- rok Ateńczycy mieli mu przysyłać kwiat swej młodzieży, siedmiu młodzieńców i siedem dziewcząt, jako ofiary dla Minotaura. Gdy jednak nastąpił termin trzeciej z kolei strasznej ofiary, Tezeusz, syn Egeusza, powróciwszy z długiej, wypełnionej bohaterskimi czynami podróży, zaofiarował się, iż pożegluje na Kretę, aby zabić potwora.

Wśród bryzgów niebieskich statek pruł dziobem
Morze Kreteńskie. A wiózł Tezeusza
I siedem par jońskiej młodzieży...

Czarne żagle łopotały na maszcie. Jeżeliby mu się udało dopiąć celu, miał je Tezeusz zastąpić w drodze powrotnej białymi żaglami. Ariadna, córka Minosa, ujrzawszy młodzieńca skazanego na niechybną śmierć, zapałała miłością ku niemu. Wręczyła mu miecz, aby miał czym walczyć, i kłębek nici, który przyrzekła trzymać, gdy Tezeusz uda się do Labiryntu, by zabić potwora. W straszliwej walce Tezeusz pokonał Minotaura. Idąc za nicią Ariadny znalazł wyjście z Labiryntu i pośpiesznie wraz z Ariadną i swymi towarzyszami uciekł do rodzinnych Aten. Był jednak tak wzburzony z powodu cudownego ocalenia, że nie pomyślał o tym, aby zgodnie z umową zamiast czarnych rozpiąć białe żagle. I oto Egeusz, ojciec Tezeusza, ujrzawszy czarne żagle i widząc w tym znak, że syn jego poległ — rzucił się do morza.

Czy ta legenda dawała podstawę do objaśnienia obrazu? Dwie dziewczyny i chłopiec igrali z bykiem. Ale może nie była to tylko zabawa, może chodziło tu o śmierć i życie? Może na tym obrazie ofiary stoją przed Minotaurem, co — dodajmy znowu: może — nie oznaczało nic innego, jak „byka króla Minosa”?

Przy porównywaniu tej legendy ze znaną już teraz z wykopalisk rzeczywistością, nasuwały się jednak jeszcze i inne pytania. Nie ulegało wątpliwości, że zawierała ona ziarno prawdy: chodziło o Labirynt. Można także przypuszczać, że zwycięstwo Tezeusza było alegorią, oznaczającą zwycięstwo najeźdźców, którzy przybyli z kontynentu i zburzyli pałac Minosa. Żeby jednak osobisty akt zemsty Minosa — wielkość ofiary, której zażądał za swego zamordowanego syna — miał być powodem zburzenia jego państwa, to wydaje się w najwyższym stopniu nieprawdopodobne.

Ale faktem jest, że państwo Minosa zostało zburzone. I to zburzone tak doszczętnie i tak niespodziewanie, że ci, którzy je zburzyli, nie mieli nawet czasu, aby tu cokolwiek zobaczyć, cokolwiek usłyszeć, czegokolwiek się nauczyć. Zburzone tak doszczętnie,

jak w trzy tysiące lat później zburzone zostało państwo Montezumy przez Hiszpanów, tak doszczętnie, że nie pozostało po nim nic poza ruinami, poza martwymi kamieniami, które nie mogły przemówić.

Skąd więc to wszystko się brało i ku czemu zmierzało? Pochodzenie i koniec tego bogatego ludu kreteńskiego stanowi jeszcze i dziś zagadkę dla wszystkich archeologów, wszystkich naukowców zajmujących się wczesną historią.

Według Homera mieszkało na Krecie pięć rozmaitych ludów. Według Herodota Minos nie był Grekiem, według Tucydydesa był nim. Evans, a więc człowiek, który najwięcej zajmował się tym zagadnieniem, twierdził, że Minos był pochodzenia afrykańskiego, że pochodził z Libii. Eduard Meyer, gruntowny historyk starożytności, ogranicza się do negatywnego stwierdzenia, że Kreteńczycy prawdopodobnie nie przybyli z Azji Mniejszej. Dörpfeld, dawny współpracownik Schliemanna, jeszcze w 1932 roku, jako osiemdziesięcioletni starzec, polemizuje z tezą Evansa i twierdzi, że sztuka kreteńsko-mykeńska pochodzi z Fenicji, że wbrew tezie wysuniętej przez Evansa nie powstała na Krecie.

Gdzież jest nić Ariadny, która by nas wyprowadziła z labiryntu wszystkich tych *pro* i *contra*?

Tą nicią mogłoby być pismo. Evans przecież dla pisma kreteńskiego przybył na Kretę. Już w 1894 roku opisał pierwsze jego znaki. Znalazł niezliczone inskrypcje obrazkowe, a pod Knossos około 2000 glinianych tabliczek, pokrytych znakami jakiegoś pisma linearnego. Ale Hans Jen-sen jeszcze w 1935 roku w swej źródłowej pracy pt. *Die Schrift* (Pismo) stwierdza: „Sprawa odcyfrowania pisma kreteńskiego znajduje się jeszcze w powijakach, tak że o jego prawdziwej istocie nie wiemy nic pewnego."

Równie zagadkowy jak pochodzenie i pismo państwa kreteńskiego — jest też i jego koniec. Różne istnieją co do tego teorie, jedna śmielsza od drugiej. Evans odróżnia trzy fazy zburzenia państwa Minosa. Dwa razy pałac w Knossos odbudowano, za trzecim razem został ostatecznie zburzony.

Gdybyśmy spróbowali spojrzeć na dzieje owych czasów z lotu ptaka, ujrzelibyśmy

wędrujące hordy, które wtargnęły do Grecji. Ujrzelibyśmy bladolicych Achajów przybywających z północy, z krajów naddunajskich, być może z południowej Rosji. Widzielibyśmy, jak barbarzyńscy najeźdźcy napadają na grody śniadych tubylców, jak burzą Mykeny i Tiryns, jak rozpraszając się coraz bardziej, przepływają morze i niszczą Kretę. Niedługo potem ujrzelibyśmy nowe zastępy zbrojnych: to Doro-wie wypierają Achajów, wnosząc jeszcze mniej kultury niż tamci. Jeżeli Achajowie byli godnymi Homerowych pieśni najeźdźcami, którzy umieli brać coś „w posiadanie", to Dorowie byli tylko łupieżcami, którzy nie umieli nic więcej, jak tylko burzyć. A jednak to od nich rozpoczynają się dzieje Grecji.

Tak przynajmniej twierdzą jedni. A co mówią inni?

Evans odkrył, że zburzenie pałacu Minosa musiało nastąpić z gwałtownością kataklizmu. Pompeja była klasycznym przykładem tego rodzaju żywiołowej klęski. Tutaj, na Krecie, Evans natrafił w komnatach pałacu na podobne oznaki zaskoczenia mieszkańców przez śmierć i zniszczenie, na jakie po raz pierwszy d'Elboeuf i Venuti natrafili u podnóży Wezuwiusza: pozostawione w pośpiechu narzędzia, rozpoczęte i nagle przerwane roboty, nie dokończone dzieła sztuki, po domach równie nagle prze-rwane zajęcia gospodarskie.

W umyśle Evansa zaczęła się krystalizować teoria, którą mu potwierdzało własne doświadczenie. 26 czerwca 1926 roku o godzinie 21.45 leżąc w łóżku czytał książkę. Nagle nastąpił podziemny wstrząs. Łóżko zakołysało się, ściany domu zadrżały, przedmioty spadały na podłogę, woda wylała się z wiadra. Ziemia zrazu jak gdyby westchnęła, wydała głęboki jęk, a później zagrzmiała, tak że wydawać się mogło, iż ożył byk Minosa — Minotaur. Wstrząs trwał niedługo. Gdy ziemia się uspokoiła, Evans wyskoczył z łóżka i wybiegł na ulicę. Popędził do pałacu. Jego rekonstrukcje poszczególnych części budowli — Evans, gdzie tylko mógł, podparł je stalowymi dźwigarami i słupami — wytrzymały wstrząs. Lecz w okolicznych wsiach, aż po samą Kandię, stolicę Krety, trzęsienie ziemi wyrządziło straszliwe spustoszenia.

Dla Evansa to osobiste przeżycie stało się potwierdzeniem jego teorii. Punktem wyjścia tej teorii był fakt, że Kreta jest jednym z terenów Europy najczęściej

nawiedzanym przez trzęsienia ziemi. Tylko siła takiego kataklizmu, który nagle wstrząsał ziemią, tak że tworzące się w niej rozpadliny pochłaniały dzieła rąk ludzkich — tylko taka siła mogła do tego stopnia zniszczyć pałac Minosa, że poza kilkoma nędznymi chatami nic już nie dało się na jego gruzach wybudować.

Tyle Evans. Są tacy, którzy nie podzielają jego zdania. Kiedyś i ta sprawa będzie wyjaśniona. Evansowi udało się zamknąć krąg, którego pierwsze przebłyski ujrzał pod zgliszczami Myken niezachwiany w swej wierze Schliemann. Obaj byli odkrywcami. Teraz przyszedł czas, aby głos zabrali interpretatorzy, ci, którzy odnajdą nić Ariadny. Gdzie pali się lampa oświetlająca biurko człowieka, który w przyszłości odcyfruje pismo kreteńskie? Lampa rzucająca tak dalekie światło, by mogło rozjaśnić nieprzebyte mroki, w które spowita była przez tysiące lat inna, nie znana nam Europa?

Tymi pytaniami zakończyłem w 1949 roku ten rozdział. Tymczasem w połowie 1950 roku przyszła już pierwsza na nie odpowiedź; Ernst Sittig, profesor w Tybindze, rozwiązał jakoby ów problem — problem, nad którym badacz fiński Sundwall mozolił się przez czterdzieści lat, nad którym później pracowali Niemiec Bossert, Włoch Meriggi, czeski uczony Hrozny (znany z odcyfrowania hetyckich tekstów klinowych w Bogazkoy), aż w końcu Alice Kober w Nowym Jorku w 1948 roku z rezygnacją stwierdziła: „Nieznany język, pisany nieznanym pismem, nigdy go nie można będzie odczytać..."

Zdawało się więc, że odkrycie Sittiga oznacza wielki triumf nauki. On pierwszy z całą konsekwencją zastosował do filologii antycznej wykształconą w ciągu dwóch wojen światowych sztukę (a także naukę) odcyfrowywania szyfrów wojskowych, opartą na danych statystycznych i matematycznych oraz obliczeniach częstotliwości. Zrazu sądził, że odczytał jedenaście, a potem nawet trzydzieści znaków tzw. „kreteńskiego pisma linearnego B". Ale w połowie 1953 roku sytuacja znowu się zmieniła. Młodemu Anglikowi Michaelowi Ventris wpadła w ręce gliniana tabliczka wykopana przez Blegena w Pylos. Wykazywała ona ugrupowanie znaków, z jakim się Sittig do

tego czasu nigdy nie spotkał, a które genialny Ventris — z zawodu architekt, a więc znowu Outsider — zdołał ponad wszelką wątpliwość odczytać jako grekę. Przekreśliło to interpretacje podane przez Sittiga; z jego trzydziestu tłumaczeń zaledwie trzy były prawidłowe.

Odtąd jednak rozpoczęła się i długo trwać jeszcze będzie walka o wyjaśnienie innych, nie zgłębionych dotychczas tajemnic. Filologia antyczna jest wprawdzie bliska ostatecznego odcyfrowania pisma kreteńskiego: większość tabliczek kreteńskich jest czytelna. Co jednak było powodem, że na Krecie, w tym ognisku samoistnej, wysoko rozwiniętej kultury, na sześćset lat przed Homerem pisano własnym pismem w języku Greków, naówczas bynajmniej jeszcze niewysoko rozwiniętego plemienia? Czyżby istniało obok siebie kilka języków greckich? A może w naszej chronologii wczesnogreckiej coś się nie zgadza? Może nawet Homer znowu staje się problemem?

W 1963 roku oksfordzki profesor Leonard R. Palmer miał dosyć odwagi, by w swej książce *Mycenaeans and Minoans* („Mykeńczycy i Minojczycy. Prehistoria egejska w świetle tabliczek linearnych B") wystąpić z nowymi interpretacjami. Został jednak tak gwałtownie zaatakowany przez fachowców i wytknęli mu oni tyle błędów, że musiał już po dwóch latach opublikować „znacznie poprawione i uzupełnione" wydanie. Cóż, dalsze lata badań przyniosą wyjaśnienie tych spraw.

My zaś tymczasem przenieśmy się do innego kraju, którego pismo również przez długi czas stawiało nas przed zagadką (rozwiązaną, jak dalej zobaczymy, w sposób nieomal dramatyczny), do kraju, który od początku przemawiał do nas językiem najbardziej gigantycznych pomników, jakie pozostawił nam świat starożytny — do kraju nad Nilem.

II. KSIĘGA PIRAMID

Żołnierze! Czterdzieści wieków spogląda na was!

Napoleon

Ci, co wznieśli te budowle z granitu, co obmurowali halę w Piramidzie, co tą piękną pracą piękne stworzyli rzeczy... grobowce ich są równie puste jak groby ludzi zmęczonych, którzy umierają na brzegu nie pozostawiając po sobie nikogo bliskiego.

Przypowieść staroegipska.

O Matko Nut! Rozpostrzyj nade mną swe skrzydła jako gwiazdy wiekuiste!

Napis na trumnie Tutanchamona.

Rozdział dziewiąty

O PEWNEJ KLĘSCE, KTÓRA STAŁA SIĘ ZWYCIĘSTWEM

Dwaj ludzie dali początek archeologicznemu odkryciu Egiptu: Napoleon I i Vivant Denon. Cesarz i baron. Wódz i artysta. Część drogi odbyli razem. Znali się dobrze, ale z istoty swej nic nie mieli ze sobą wspólnego. Gdy sięgali po pióra, u jednego powstawały rozkazy, dekrety i kodeksy, u drugiego frywolne, rozwiązłe, ba, pornograficzne nowele i rysunki przechowywane jako sekretne osobliwości.
Napoleon przydzielając tego człowieka do ekspedycji egipskiej jako współpracownika do spraw sztuki zrobił jedno z owych szczęśliwych posunięć, które dopiero potomność umie ocenić.

17 października 1797 roku podpisany został pokój w Campo Formio. Kampania włoska była zakończona. Napoleon powrócił do Paryża.
„Bohaterskie dni Napoleona minęły!" — pisał wówczas Stendhal. Mylił się: dopiero się rozpoczynały. Zanim jednak Napoleon zabłysnął niby kometa nad całą Europą, by potem ją spalić, oddawał się „szaleńczej, zrodzonej z chorego mózgu chimerze". Kroczył tam i z powrotem po swej małej izdebce, pożerany ambicją. Porównując się z Aleksandrem Wielkim, rozpaczając na myśl o rzeczach jeszcze nie dokonanych, pisał: „Paryż ciąży na mnie niby płaszcz z ołowiu! Kretowisko — oto czym jest wasza Europa! Tylko na Wschodzie, gdzie żyje sześćset milionów ludzi, można zbudować wielkie imperia i dokonać wielkich rewolucji." (Dodajmy zresztą, że ogromne znaczenie Egiptu jako bramy do Wschodu zrozumiano na długo przed Napoleonem.

Już Goethe przepowiedział budowę Kanału Sueskiego i pod względem politycznym właściwie ją ocenił. A jeszcze wcześniej, bo w 1672 roku, Leibniz w memoriale przedłożonym Ludwikowi XIV trafnie — trafnie z punktu widzenia późniejszego rozwoju politycznego — przedstawił znaczenie Egiptu dla francuskiej polityki imperialnej.)

19 maja 1798 roku Napoleon na czele floty liczącej trzysta dwadzieścia osiem okrętów, mających na pokładzie trzydzieści osiem tysięcy żołnierzy (dokładnie tyle, ile miał ich Aleksander Macedoński wyruszając na podbój Indii), wypłynął z Tulonu. Cel: przez Maltę do Egiptu.

Plan był godny Aleksandra Wielkiego. Wzrok Napoleona bowiem sięgał dalej niż do Egiptu — sięgał do Indii. Skoro do Anglii nie można było dobrać się w Europie, ta wyprawa zamorska miała ją trafić śmiertelnie w jednym z członów imperium. Nelson, dowódca floty angielskiej, krążył przez cały miesiąc po Morzu Śródziemnym. Dwa razy miał już flotę Bonapartego w polu widzenia i dwa razy dał mu się wymknąć.

2 lipca Napoleon stanął na ziemi egipskiej. Nastąpił straszliwy marsz przez pustynię. Ale marsz się skończył i oto żołnierze napoleońscy kąpią się w Nilu. 21 lipca o pierwszym brzasku oczom ich ukazał się Kair. Ze smukłymi wieżami swych czterystu minaretów, z kopułą meczetu Dżami-el-Azhar sprawiał wrażenie wizji z „tysiąca i jednej nocy". Ale obok tego bogactwa form pełnych lekkiego wdzięku, obok spowitej w mgłę wczesnego świtu filigranowej ornamentyki, obok całej tej bujnej, bogatej wspaniałości zaczarowanego świata Islamu, na wprost szarofioletowej ściany gór Mokattamu wyłaniały się ze spalonych żółtych piasków pustyni zarysy gigantycznych, odpychających swym zimnem budowli: piramidy w Gizeh, skamieniała geometria, milcząca wiekuistość, świadkowie świata, który był już martwy, gdy Islam jeszcze się nie narodził. Żołnierze nie mieli czasu oddawać się zachwytom. Tam daleko w pustyni leżała martwa przeszłość, Kair był dla nich kuszącą przyszłością, na razie zaś stali w obliczu twardej wojennej rzeczywistości. Tą rzeczywistością było wojsko Mameluków. Dziewięć tysięcy wspaniale wyćwiczonych jeźdźców z lśniącymi jataganami u boku, na drżących z niecierpliwości koniach. A

przed tym mrowiem jazdy mameluckiej na śnieżnobiałym rumaku, w zielonym turbanie, cały błyszczący od brylantów — Murad, władca Egiptu, otoczony dwudziestoma trzema bejami. Napoleon wskazał ręką na piramidy. W tej chwili już nie tylko wódz przemawiał do swych żołnierzy, nie tylko psycholog do tłumu, to Europejczyk mierzył się z historią świata. Właśnie tutaj padły słowa: „Żołnierze! czterdzieści wieków spogląda na was!"

Starcie się wojsk było straszliwe. Zwyciężył nie zapał mieszkańców Wschodu, zwyciężyły czworoboki europejskich bagnetów. Bitwa zamieniła się w rzeź. 25 lipca Bonaparte wkroczył do Kairu. Zdawało się, że połowa drogi do Indii jest przebyta.

Ale 7 sierpnia nastąpiła bitwa morska pod Abukirem. Nelson znalazł wreszcie flotę francuską i spadł na nią jak demon zemsty. Napoleon znalazł się w pułapce. Los egipskiej awantury był przesądzony. Wprawdzie trwała jeszcze rok, przyniosła jeszcze zwycięstwa generała Desaix w Górnym Egipcie, a pod koniec zwycięstwo Napoleona w bitwie lądowej pod tymże Abukirem, który był świadkiem zniszczenia jego floty.

Ale rok ten przyniósł więcej nieszczęść niż zwycięstw. Przyniósł głód, zarazę morową, a dla wielu uczestników ekspedycji ślepotę wskutek egipskiej choroby oczu, która stała się we wszystkich jednostkach wojskowych zjawiskiem tak nagminnym, że w medycynie przyjęła się dla niej nazwa *ophthalmia militaris.*

19 sierpnia 1799 roku Bonaparte opuścił po kryjomu swą armię. 25 sierpnia odpłynął z Egiptu na fregacie „Muiron". Stojąc na pokładzie patrzył, jak w dali pogrąża się w morzu wybrzeże kraju faraonów. Odwrócił się i skierował wzrok ku Europie.

Pod względem wojskowym wyprawa Napoleona zakończyła się niepowodzeniem. Ale widziana z perspektywy czasu była politycznym otwarciem współczesnego i naukowym odkryciem starożytnego Egiptu. Flota francuska przywiozła nie tylko dwa tysiące armat. Przywiozła także stu pięćdziesięciu „uczonych cywilów", dla których majtkowie znaleźli krótką, równie dosadną, jak nietrafną nazwę: „osły". Przywiozła bibliotekę, w której nie brakło ani jednego niemal dzieła o Egipcie, jakie we Francji można było zdobyć, oraz kilkadziesiąt skrzyń z różnymi aparatami naukowymi i

instrumentami pomiarowymi.

Wiosną 1798 roku przed wyprawą do Egiptu Napoleon, przemawiając do uczonych w wielkiej sali posiedzeń Institut de France, po raz pierwszy przedstawił im swe plany. Trzymając w ręku dwutomowe dzieło Niebuhra' *Arabische Reise* (Podróż arabska) i dla potwierdzenia swych słów postukując raz po raz palcem w skórzany grzbiet oprawy, wyjaśniał zebranym, jakie zadania nauka ma do spełnienia w Egipcie. Już w kilka dni później na pokładach jego statków stali astronomowie i geometrzy, chemicy i mineralogowie, technicy i orientaliści, malarze i poeci. Był wśród nich pewien dziwny człowiek, którego zalotna Józefina poleciła Napoleonowi jako rysownika.

Człowiek ten nazywał się Dominique Vivant Denon. Za Ludwika XV był kustoszem zbiorów antycznych gemm. Uchodził wtedy za faworyta pani Pompadour. Będąc później sekretarzem poselstwa w Petersburgu cieszył się względami Katarzyny. Swiatowiec, kobieciarz, uprawiał po amatorsku wszystkie rodzaje sztuki. Pełen złośliwości, sarkazmu i błyskotliwej inteligencji, przyjaźnił się z całym światem. Gdy przebywał na placówce dyplomatycznej w Szwajcarii, był częstym gościem Woltera. To on namalował słynny obraz *Śniadanie w Ferney.* Inny jego rysunek, wykonany w stylu Rembrandta *Hołd pasterzy,* przyniósł mu nawet członkostwo Akademii. Wiadomość o wielkiej rewolucji francuskiej zastała go we Florencji, gdzie obracał się w nasyconej sztuką atmosferze toskańskich salonów. Spieszy wtedy do Paryża. I oto on, Denon, wczoraj jeszcze poseł króla francuskiego, bogaty i niezależny *gentilhomme ordinaire,* znajduje swe nazwisko na liście emigrantów. Wszystkie jego dobra skonfiskowano, cały pozostały majątek obłożono sekwestrem.

Biedny, opuszczony, zdradzony przez wielu przyjaciół, wegetuje w nędznych dzielnicach Paryża, utrzymując się z ulicznej sprzedaży swych rysunków. Włóczy się dokoła placów targowych, widzi, jak na placu Greve spadają pod gilotyną głowy wielu jego dobrych znajomych. W końcu niespodziewanie znajduje protektora. Jest nim Jacques Louis David, wielki malarz rewolucji. Denon wykonuje miedziorytowe kopie projektowanych przez Davida strojów, które miały zrewolucjonizować również modę. Zyskuje sobie życzliwość Robespierre'a. Ledwo zdążył strzepnąć z siebie błoto

dzielnicy Montmartre i stanąć na gładkim parkiecie nowych możnowładców, a już rozwija swe talenty dyplomatyczne. Robespierre zwraca mu majątek i skreśla go z listy emigrantów. Denon poznaje wtedy Józefinę Beauharnais, zostaje przedstawiony Napoleonowi, podoba mu się, i oto jest uczestnikiem ekspedycji egipskiej.

Powróciwszy znad Nilu, Denon, teraz już doświadczony, szanowany człowiek, który zrobił karierę, otrzymuje stanowisko generalnego dyrektora wszystkich muzeów. Towarzysząc Napoleonowi w zwycięskim pochodzie przez Europę, „szabruje", gdzie tylko się da, dzieła sztuki (nazywa to „kolekcjonerstwem") i zwozi je do Paryża, kładąc podwaliny pod jedno z bogactw Francji. Skoro z takim powodzeniem uprawiał jako dyletant rysunek i malarstwo, czemuż nie miałby odnosić takich samych sukcesów na polu literatury? Gdy na jakimś zebraniu towarzyskim pada z czyichś ust twierdzenie, że nie można napisać prawdziwej historii miłosnej nie popadając w sprośność, Denon zakłada się, że jest to możliwe. Już po dwudziestu czterech godzinach przedkłada swym partnerom nowelę *Le Point de Lendemain,* którą zyskał sobie szczególne miejsce w literaturze. Nowela ta, zdaniem wielu znawców, jest najsubtelniejszym utworem tego gatunku literackiego. Balzac wyraził się o niej, że „dla żonatych jest ona wyższą szkołą życia, a dla kawalerów wybornym obrazem obyczajów ubiegłego stulecia".

To Denon również jest autorem wydanego po raz pierwszy w 1793 roku zbioru sztychów *Oeuvre Priapique,* który dotrzymuje obietnicy zawartej w tytule i którego falliczna niedwuznaczność nie pozostawia nic do życzenia. Ciekawa rzecz, że nawet archeologowie bliżej zajmujący się Denonem zdają się nic nie wiedzieć o tej stronie jego działalności, a co najzabawniejsze, nawet tak sumienny historyk kultury jak Eduard Fuchs, który jako badacz obyczajów cały ustęp w swym dziele poświęcił Denonowi pornografowi, ani słowem nie wspomina o znaczeniu Denona jako jednego z pierwszych egiptologów.

Ten wszechstronny bowiem, pod niejednym względem zadziwiający człowiek dokonał tylko jednej rzeczy, która zapewniła mu pamięć potomnych. Napoleon zdobył Egipt bagnetami i nie zdołał go potem utrzymać dłużej niż rok, on natomiast,

Denon, zdobył kraj faraonów ołówkiem rysownika, utrwalił go po wszystkie czasy i od razu, jednym pociągnięciem wprowadził do naszej świadomości.

Gdy Denon, do tego czasu lew salonów, stanął na ziemi egipskiej i po raz pierwszy poczuł gorący dech pustyni, gdy oślepiły go jej migocące piaski, popadł w zachwyt, który trwał tak długo, jak długo z coraz to innych olbrzymich rumowisk szło ku niemu tchnienie pięciu tysiącleci.

Przydzielono go do sztabu generała Desaix, który w pościgu za uciekającym Muradem, wodzem Mameluków, w szalonym marszu pędził ze swą armią do Górnego Egiptu. Ciesząc się sympatią generała, który mógł być jego synem — Denon miał wówczas pięćdziesiąt jeden lat — podziwiany przez żołnierzy, wśród których nie brak było także wyrostków, to wyprzedzał straż przednią, to znów wlókł się w ogonie taborów. Już o świcie nie było go w namiocie. Rysował na biwakach, rysował w marszu, nie rozstawał się ze swym szkicownikiem spożywając w pośpiechu skromny posiłek. Alarm bojowy! Denon w wirze potyczki zagrzewa żołnierzy do walki wymachując swym szkicownikiem. Ale wystarcza, by zauważył jakąś malowniczą scenę, a już zapomina, gdzie się znajduje, i zabiera się do rysowania.

Gdy po raz pierwszy stanął przed hieroglifami, nic o nich nie wiedział. Nie było tu nikogo, kto mógłby zaspokoić jego głód wiedzy. Ale na wszelki wypadek robi z nich rysunki. Chociaż laik, okiem nawykłym do szybkiego chwytania sedna rzeczy odróżnia natychmiast trzy rodzaje napisów, które trafnie rozpoznaje jako należące do trzech różnych epok: hieroglify wklęsłe, lekko wypukłe oraz wydrążone — *en creux.* W Sakkarze rysuje piramidę schodkową, w Denderze — olbrzymie ruiny z czasów późnoegipskich. Biega tam i z powrotem po rozległych gruzowiskach stubram-nych Teb. Jest niezmordowany. Z rozpaczą dowiaduje się o rozkazie wymarszu, w chwili gdy nie zdążył jeszcze uchwycić ołówkiem wszystkiego, co ukazywało się jego oczom. Jest wściekły, piorunuje, spędza kilku wałęsających się żołnierzy, każe im prędko, w największym pośpiechu odkopać głowę jakiegoś posągu, której wyraz go zafascynował.

Tak wśród niezliczonych przygód pochód trwa aż do Assuanu, do pierwszej katarakty

Nilu. W Elefantynie Denon rysuje pełną tajemniczego uroku, otoczoną kolumnami kryptę grobową faraona Amenhotepa (Amenophisa) III. Jego znakomity rysunek jest jedyną wiadomością o tym grobowcu, który w 1822 roku został rozebrany. A gdy kolumna wojsk francuskich wyrusza w drogę powrotną, odnosi zwycięstwo pod Sedimanem i Murad zostaje pobity na głowę, baron Dominique Vivant Denon wiezie do Francji niezliczone rysunki — zdobycz znacznie cenniejszą niż łupy żołnierzy, którzy wzbogacili się mamelucką biżuterią.

Mimo że widok tych obcych światów oddziaływał potężnie na jego wyobraźnię artystyczną, dokładność rysunków nigdy na tym nie ucierpiała. Trzymał się owego, tak pożytecznego również dla nauki, realizmu dawnych rytowników, którzy nie pomijali żadnego szczegółu, nic nie wiedzieli ani o impresjonizmie, ani o ekspresjonizmie, godzili się z tym, że nazywano ich „rzemieślnikami", i bynajmniej nie uważali tego za degradację. Dzięki temu realistycznemu ujęciu rysunki Denona stały się nieocenionym materiałem dla uczonych, dla ich badań, porównań. One też głównie stanowiły materiał, na podstawie którego powstało dzieło, które zapoczątkowało egiptologię: *Description de 1'Egypte.*

W Kairze tymczasem założony został Instytut Egipski. W tym samym czasie, gdy Denon rysował, reszta Komisji Uczonych i historyków sztuki badała i zbierała to, co w Egipcie znajdowało się na powierzchni ziemi. A można było ograniczyć się do powierzchni ziemi, bo materiał był tu tak bogaty, tak zupełnie jeszcze nie znany i pełen wszelkiego rodzaju zagadek, że nie zachodziła potrzeba sięgania do łopaty. Obok odlewów, notatek, kopii, rysunków, sporządzonych z materiałów botanicznych, zoologicznych i mineralogicznych, kolekcja obejmowała dwadzieścia siedem rzeźb, przeważnie fragmentów posągów, oraz kilka sarkofagów. Prócz tego zawierała jeszcze jedno niezwykłe w swoim rodzaju znalezisko: stelę z czarnego polerowanego bazaltu. Kamień ten, na którym wyryta była w trzech różnych językach i trzech różnych pismach inskrypcja, zasłynął jako „trójjęzyczny kamień z Rosetty" i miał stać

się ni mniej, ni więcej tylko kluczem do wszystkich tajemnic Egiptu.
Ale we wrześniu 1801 roku, po kapitulacji Aleksandrii, Francja po długich oporach musiała wydać Anglii wszystkie zdobyte przez Bona-partego egipskie zabytki. Transport ten przejął generał Hutchinson. Król Jerzy III przekazał te bezcenne przedmioty, należące wówczas do największych rzadkości, Muzeum Brytyjskiemu. Zdawało się, że Francja mimo położonych zasług nie odniesie żadnej z nich korzyści, że rok pracy został zmarnowany, że na nic poszła ofiara wielu uczonych, którzy dotknięci chorobą egipską stracili wzrok. Ale niebawem okazało się, że to, co dostało się do Paryża, wystarczało dla całej generacji uczonych, wszystkie bowiem bez wyjątku znaleziska skopiowano. Pierwszym człowiekiem, który zaprezentował światu widomy i trwały owoc ekspedycji egipskiej, był Denon, wydając w 1802 roku swe dzieło *Voyage dans la Haute et la Basse Egypte* (Podróż po Górnym i Dolnym Egipcie). Jednocześnie Francois Jomard, w oparciu o całość materiałów Komisji Uczonych, a w szczególności o materiały Denona, przystąpił do opracowania jedynego w swoim rodzaju w dziejach archeologii dzieła, które za jednym zamachem ukazało współczesnemu światu znaną dotąd tylko niewielu podróżnikom kulturę, wprawdzie nie zaginioną jak Troja, lecz nie mniej od niej odległą i nie mniej zagadkową

Opracowane przez Jomarda dzieło *Description de 1'Egypte* obejmowało dwadzieścia cztery grube tomy. Ukazywały się one kolejno w ciągu czterech lat — od 1809 do 1813 roku. Sensacja, jaką wówczas wywołały, daje się tylko porównać z sensacją wzbudzoną przez pierwszą publikację Botty o odkopaniu Niniwy i przez późniejszą książkę Schliemanna o Troi.
Dziś, w czasach maszyny rotacyjnej, trudno zdać sobie sprawę ze znaczenia, jakie miały wtedy wspaniałe wydawnictwa albumowe z niezliczoną ilością sztychów w kosztownej oprawie, dostępne jedynie dla ludzi zamożnych, ale też przechowywane przez nich jako skarby nauki. Dziś każde ważniejsze odkrycie naukowe obiega natychmiast cały świat, za pośrednictwem ilustracji, filmu, prasy i radia dochodzi do

wiadomości milionów ludzi, spotyka się z innymi publikacjami, jedną głośniejszą od drugiej. Każdy może sobie te publikacje kupić i każdy zaraz je zapomina, bo już inne, nowsze przyciągają jego uwagę. Dziś niczego się nie przechowuje. Rzeczy cenne giną w powodzi bezwartościowej tandety. Toteż w naszych czasach możemy się co najwyżej domyślać podniecenia, jakie ogarnęło ludzi, gdy trzymali w ręku pierwsze tomy *Description* Jomarda, gdy patrzyli na rzeczy nigdy dotąd nie widziane, czytali o rzeczach nigdy nie słyszanych, dowiadywali się o życiu, o którego istnieniu nie mieli pojęcia, i rzucali spojrzenie w głąb tysiącleci. Ludzi tych, dostępniejszych niż my dla uczucia pietyzmu, przejmowało to dreszczem zgrozy i podziwu.

Egipt bowiem był stary. Był starszy od każdej innej kultury, o której do owej pory słyszano. Był stary już wówczas, gdy pierwsze zebrania na Kapitolu kładły podwaliny pod politykę rzymskiego imperium światowego. Był stary i zszedł już z areny dziejów wówczas, gdy w lasach północnej Europy Germanie i Celtowie polowali na niedźwiedzie i lwy. W okresie gdy pierwsza dynastia egipska objęła panowanie nad krajem, zapoczątkowując datowaną historię Egiptu, to znaczy okrągło pięć tysięcy lat temu, istniała już w tym kraju godna podziwu formacja kulturowa. A gdy wymarła i zginęła ostatnia, dwudziesta szósta dynastia, upłynęło jeszcze pięćset lat, zanim rozpoczęła się nasza era. Egiptem rządzili Libijczycy, Etiopowie, Asyryjczycy, Persowie, Grecy i Rzymianie, nim zabłysła gwiazda betlejemska.

Oczywiście, wiedziano o kamiennych cudach nad Nilem. Ale były to wiadomości raczej legendarne, oparte na małej znajomości rzeczy. Niewiele tylko zabytków dostało się do muzeów, niewiele było dostępnych dla publiczności. Podróżny zwiedzając Rzym mógł podziwiać lwy na schodach wiodących do Kapitolu (dzisiaj tych lwów tam już nie ma), jak również posągi kilku królów z dynastii Ptolemeuszów wykonane w czasie, gdy świetność Egiptu dawno już minęła, a szeroko promieniowała nowa świetność — Grecji aleksandryjskiej. Znano już też wtedy parę obelisków (dwanaście z nich stało w Rzymie), płaskorzeźby w pałacach kardynałów, skarabeusze, rzeźby odtwarzające święte dla Egipcjan żuki, dla swych tajemniczych znaków używane w Europie jako amulety, a później jako ozdoby i sygnety.

To wszystko.

W ówczesnych paryskich księgarniach mało można było znaleźć materiałów naukowych informujących o Egipcie. W 1805 roku ukazał się wprawdzie znakomity pięciotomowy przekład pism geograficznych Strabona, który podróżował po Egipcie za czasów cesarza Augusta. Przekład ten uprzystępnił wszystkim to, do czego dotąd tylko uczeni mieli dostęp. Wiele ciekawego zawierała także gruba księga Herodota, tego najdziwniejszego podróżnika starożytności. Któż jednak brał do ręki dzieła Herodota? I w czyjej pamięci żyły wiadomości rozproszone po dziełach innych starożytnych autorów?

„Światłością jest szata, którą masz na sobie..." — mówi psalmista. Wczesnym rankiem wschodzi słońce na stalowoniebieskim firmamencie i zatacza swe koło. Jest żółte, jaskrawe, skrzące. Odbijają je brązowe, żółte, ochrowe i białe piaski. Cienie odcinają się ostro, jakby rozlany na piasku niebieski atrament, jak wycinanki. W tę wiecznie zalaną słońcem, spieczoną pustynię, która nie zna „pogody i niepogody", nie wie, co to śnieg, grad lub mgła, nie słyszała jeszcze huku grzmotu ani nie widziała błyskawic — w tę pustynię, gdzie spiekota czyni powietrze suchym, pozbawionym bakterii, konserwującym, a ziemię nieurodzajną, zgruzowaciałą, popękaną, o kruszących się skibach, wpada Nil. „Patriarcha Nil", ojciec wszystkich rzek. Przybywa z głębi kraju. Karmiony jeziorami i deszczami spadającymi na ciemną, wilgotną ziemię tropikalnego Sudanu, wzbiera, występuje z brzegów, zalewa piaski, pochłania pustynię i bluzga szlamem, żyznym lipcowym mułem. Tak dzieje się od tysiącleci. Nil podnosi się o szesnaście łokci — w symbolicznej marmurowej grupie w Watykanie szesnaścioro dzieci bawi się dokoła bóstwa rzek — a gdy powoli opada i powraca do swego łożyska, syty i zadowolony, pochłonął nie tylko pustynię, lecz wchłonął także suszę ziemi, suchość piasków. Tam gdzie przetoczyły się jego brunatne wody, rozpoczyna się kiełkowanie, zboże wytryska z ziemi, daje podwójne i czterokrotne plony, przynosi „tłuste lata", które pozwalają przetrwać „lata chude".

Tam co roku na nowo rodzi się Egipt, „dar Nilu", jak nazwał go Herodot dwa i pół tysiąca lat temu, „spichlerz starożytności", bo gdy zdarzało się, że wody Nilu stały za nisko lub podniosły się zbyt wysoko, Rzym głodował.

Dziś nad tą krainą górują lśniące kopuły i kruche, strzeliste minarety. Stoją wypełnione różnojęzycznym zgiełkiem miasta, przez które przetacza się tłum ludzi stu ras i wszystkich kolorów skóry: fellachowie, Arabowie, Nubijczycy, Berberowie, Koptyjczycy, Beduini, Murzyni. A tuż obok wznoszą się ruiny świątyń, grobów, sal kolumnowych — pozdrowienie z innego świata.

Tu, w pozbawionej cienia pustyni, którą słońce obrało sobie za poligon, wznosiły się ustawione szeregiem piramidy, olbrzymie grobowce królów — sześćdziesiąt siedem w samej okolicy Kairu. Jedna z nich była zbudowana z dwóch i pół miliona kamiennych bloków, które sto tysięcy niewolników znosiło tu w ciągu dwudziestu lat.

Tutaj również spoczywał jeden ze sfinksów, pół zwierzę, pół człowiek. A że służył za cel Mamelukom, którzy strzelali doń ze swych armat, więc jego lwia grzywa była rozbita, a z nosa i oczu pozostały tylko puste jamy. Szeroko rozpostarty na swych łapach, odpoczywał od tysiącleci, czekając na dalsze wieki — na wieczność. A był tak ogromny, że Tut-mos — myśląc, iż dopomoże mu to do zdobycia tronu — mógł między jego łapami wybudować kaplicę.

Tutaj też ostre jak igły, strzegące bram świątyń, podnosiły się ku niebu na wysokość dwudziestu ośmiu metrów obeliski, drogowskazy pustyni, zbudowane ku czci królów i bogów. Były tu poza tym świątynie w grotach i pieczarach, posągi zmarłych — od „wójta" wiejskiego do boskiego faraona — sarkofagi, kolumny, pylony, rzeźby wszelkiego rodzaju, płaskorzeźby i malowidła. W nie kończących się szeregach przesuwały się na nich procesje ludzi, którzy niegdyś panowali nad Egiptem. Sztywni, wyprostowani, w każdym ruchu majestatyczni, byli zawsze przedstawiani z profilu, zawsze w drodze do jakiegoś celu: „życie Egipcjan polegało na wędrówce ku śmierci". To świadome zdążanie do określonego celu jest w egipskich reliefach ściennych tak silnie podkreślone, że jeden z nowoczesnych filozofów kultury uznał, iż „Droga" jest prasymbolem egipskiej kultury o równie głębokim znaczeniu, jak w

naszej kulturze „Przestrzeń", a w greckiej „Ciało".

Na tym ogromnym cmentarzysku pomników — największym, jakie zna nasz świat — wszystko było pokryte hieroglifami. Pokryte zagadkowymi znakami, obrazkami, zarysami, aluzjami, tajemniczymi szyframi, symbolami ludzi, zwierząt, legendarnych istot, roślin, owoców, narzędzi, odzieży, broni, figur geometrycznych, falistych linii i płomieni. Widać je było wyrżnięte w drzewie, wyryte w kamieniu, wypisane na niezliczonych papirusach. Znajdowały się na ścianach świątyń, w komorach grobowych, na tablicach pamiątkowych, na trumnach, stelach, posągach, rzeźbach przedstawiających bogów, na skrzyniach i naczyniach, ba nawet na przyborach do pisania i laskach. Mogłoby się zdawać, że Egipcjanie byli najchętniejszym do pisania narodem spośród wszystkich narodów świata: „Kto zechciałby zrobić odpisy z inskrypcji samej tylko świątyni w Edfu i pisałby od rana do wieczora, nie skończyłby tej pracy nawet za dwadzieścia lat."

Ten oto świat ukazywała Jomardowska *Description de 1'Egypte* Europie i jej badaczom, którzy wyruszyli na wędrówkę w daleką przeszłość. Z inicjatywy Karoliny, siostry Napoleona, z nową energią prowadzono wtedy wykopaliska w Pompei. Nauczywszy się od Winckelmanna pierwszych metod prowadzenia badań archeologicznych, uczeni pragnęli je czym prędzej wypróbować.

Obsypawszy dzieło Jomarda *Description de 1'Egypte* tyloma pochwałami, musimy poczynić co do niego także pewne zastrzeżenia. Zawarty w nim materiał w postaci opisów, rysunków i kopii był wprawdzie bogaty, ale w części, która dotyczyła Starego Egiptu, poprzestawał na pokazywaniu jego zabytków. Autorzy przeważnie niczego nie tłumaczyli, a jeżeli to czynili, to tłumaczyli błędnie.

Wszystkie ukazywane przez nich pomniki były nadal nieme i martwe Wszelkie próby autorów *Description,* by wnieść w ten materiał jakiś ład i porządek, wypływały z wyczucia, a nie z poznania. Hieroglify były nieczytelne, wszystkie znaki — niezrozumiałe, język — obcy. *Description* pokazywała zupełnie nowy świat; ale ten

nowy świat, gdy chodzi o jego powiązania, ład i znaczenie, był nadal całkowitą zagadką.

Iluż rzeczy można by się dowiedzieć, gdyby się komuś udało odczytać hieroglify. Ale czy to było w ogóle możliwe? „Problem — mówił wielki paryski orientalista de Sacy — jest zbyt zawiły, jest naukowo nieroz-wiązalny.” Ale czyż pewien skromny niemiecki nauczyciel z Getyngi nazwiskiem Grotefend nie wydał dopiero co małej książeczki, która wskazała drogę do odcyfrowania tekstów pisma klinowego z Persepolis, i czyż nie przedstawił już pierwszych wyników swej pracy? A przecież Grotefend rozporządzał niezmiernie skąpym materiałem, podczas gdy inskrypcje hieroglifowe były dostępne w niezliczonych ilościach. I czyż nie istniała znaleziona przez pewnego żołnierza napoleońskiego dziwna czarna płyta z bazaltu? Wszak nie tylko uczeni, którzy ją widzieli, ale nawet gazeta, podając pierwszą o niej wiadomość, twierdziła, że ten szczęśliwy przypadek daje klucz do odcyfrowania hieroglifów. Gdzież więc był człowiek zdolny zrobić użytek z tej płyty?

Krótko po jej znalezieniu „Courrier de l’Egypte” przyniósł o tym wiadomość pod rewolucyjną datą: „*Le 29 fructidor VII-e année de la République. Rosette, le 2 fructidor, an 7.*” Dziwny przypadek zrządził, że egzemplarz tej wydawanej w Egipcie gazety trafił do rodzinnego domu człowieka, który w dwadzieścia lat później w genialnej, jedynej w swoim rodzaju pracy odczytał inskrypcje czarnej płyty, a tym samym rozwiązał zagadkę hieroglifów.

Rozdział dziesiąty

CHAMPOLLION I TRÓJJĘZYCZNY KAMIEŃ Z ROSETTY

Gdy dr Gali, słynny frenolog, dla spopularyzowania swej nauki o czaszkach wędrował od miasta do miasta, przez jednych podziwiany i szanowany, przez innych wyśmiewany i oczerniany, w Paryżu przy okazji jakiegoś towarzyskiego spotkania przedstawiono mu młodziutkiego .studenta. Gali zmierzywszy od razu oczyma czaszkę swego vis ä vis wykrzyknął ze zdumieniem: „Ach, cóż za geniusz językowy!" Istotnie, stojący przed nim szesnastoletni student znał wówczas — o czym frenolog nie mógł wiedzieć, chyba że cała ta scena była jedną z jego dobrze zaaranżowanych szarlatanerii — poza łaciną i greką jeszcze pół tuzina wschodnich języków.

W XIX wieku przyjął się pewien rodzaj opisów biograficznych, których autorzy z gorliwością wykazywali na przykład, że Descartes jako trzyletni chłopiec na widok popiersia Euklidesa zawołał: „Ach!", lub gromadzili rachunki, które Goethe płacił swej praczce, aby i w zestawieniu żabotów i mankietów wykazać jego lwi pazur.
Pierwszy przykład można uważać za metodologiczny wybryk, drugi po prostu za bzdurę. Ale z takich źródeł powstają anegdoty, a cóż można mieć przeciw anegdotom? Nawet historia o trzyletnim Descarcie warta jest felietonu, byle był napisany lekko i odrywał się od wszystkich rozmyślań o sprawach poważnych, które co dnia przez dwadzieścia cztery godziny wypełniają życie człowieka. A więc i my nie lękajmy się opowiedzieć o cudownych narodzinach Champolliona.
Matka jego była całkowicie sparaliżowana. Gdy wszyscy lekarze bezsilnie opuścili ręce, mąż, Jacques Champollion, właściciel księgarni w małej francuskiej mieścinie Figeac — kazał w połowie 1790 roku zawezwać do jej łoża „cudotwórcę" Jacquou. Miasteczko Figeac leży w południowo-wschodniej Francji, w Delfinacie, w „prowincji siedmiu cudów", jednej z najpiękniejszych części Francji, którą Bóg i tak już obrał sobie za siedzibę. Mieszkańcy Delfinatu to ludzie twardzi i konserwatywni. Trudno ich zbudzić z letargu, ale raz z niego zbudzeni, zdolni są do bezgranicznego fanatyzmu. Są to przy tym pobożni katolicy ze skłonnościami do mistycyzmu i cudów.

Cudotwórca — fakt ten, jak i to, co dalej następuje, potwierdza wielu świadków — kazał ułożyć chorą na gorących ziołach, dawać jej gorące wino i zapowiedział szybkie wyleczenie. Ponadto, ku najwyższemu zdumieniu całej rodziny, przepowiedział, iż wkrótce urodzi ona chłopca, dodając, że dziecko to, dziś jeszcze znajdujące się w łonie matki, dostąpi wielkiej sławy, która przetrwa wieki.

Trzy dni później chora wstała z łóżka. A 23 grudnia 1790 roku o godzinie drugiej w nocy urodził się Jean-Francois Champollion, który wsławić się miał odcyfrowaniem hieroglifów. Oba proroctwa spełniły się.

Jeżeli dzieci spłodzone przez diabła mają końskie kopyto, to nikogo nie zdziwią pomniejsze znamiona u dziecka, w którego przyjście na świat wmieszany był czarownik. U małego Francois lekarz ku wielkiemu swemu zdziwieniu stwierdził żółtą rogówkę, właściwą tylko ludom wschodnim, zdarzającą się u Europejczyków niezmiernie rzadko. Prócz tego niemowlę miało niezwykle ciemną, omal że brązową cerę, a i cały owal twarzy był zdecydowanie wschodni. Wszystko to sprawiło, że w dwadzieścia lat później Champolliona nazywano „Egipcjaninem".

Champollion był dzieckiem rewolucji. We wrześniu 1792 roku w Figeac dowiedziano się o ogłoszeniu republiki. Od kwietnia 1793 roku rozpoczął się okres terroru. Dom rodzinny Champolliona stał o trzydzieści kroków od Place d'Armes (później plac ten nazwano jego imieniem), na którym zasadzono Drzewo Wolności. Pierwszymi dźwiękami, które doszły do uszu małego Francois, była burzliwa melodia *Carmagnoli* i płacz ludzi szukających w domu jego ojca schronienia przed rozszalałym plebsem; znajdował się wśród nich pewien ksiądz, który później miał się stać jego nauczycielem.

Champollion miał pięć lat, gdy — jak ze wzruszeniem notuje jeden z jego biografów — po raz pierwszy „odcyfrował" tekst pisany. Nauczywszy się go na pamięć i porównując z drukiem, sam bez niczyjej pomocy nauczył się czytać. Jeszcze nie skończył siódmego roku życia, gdy po raz pierwszy usłyszał słowo „Egipt". Padło ono — jak później mówi o tym — „w ułudnym blasku fatamorgany", gdy brat starszy odeń o lat dwanaście powziął zamiar wzięcia udziału w ekspedycji egipskiej; plan ten

zresztą nie doszedł do skutku.

W Figeac, jak stwierdzają świadectwa szkolne i wypowiedzi współczesnych, Champollion jest złym uczniem. Dlatego w 1801 roku jego brat, sam zresztą zdolny filolog, żywo interesujący się archeologią, zabiera go do Grenoble, by zająć się jego edukacją. Gdy jedenastoletni Francois zaczyna niebawem przejawiać zupełnie niebywałe wiadomości z zakresu łaciny i greki i ze zdumiewającymi wynikami uczy się hebrajskiego, brat, choć sam nieprzeciętnie uzdolniony, przewidując, że Francois zdobędzie kiedyś sławę i przyniesie honor rodzinnemu nazwisku, postanawia przez skromność nosić odtąd nazwisko Champollion-Figeac, a później nawet tylko Figeac.

W tym samym roku z młodym Francois rozmawia Fourier. Słynny fizyk i matematyk brał udział w ekspedycji egipskiej: był sekretarzem Instytutu Egipskiego w Kairze, komisarzem francuskim przy rządzie egipskim, szefem sądownictwa i duszą Komisji Uczonych. Teraz, jako prefekt departamentu Izery, zamieszkał w Grenoble, gdzie od razu zgromadził dokoła siebie najwybitniejsze umysły. Podczas wizytacji jednej ze szkół wdaje się w dłuższą rozmowę z Francois. Jest nim żywo zainteresowany, zaprasza go do siebie i pokazuje mu swe egipskie zbiory. Śniady chłopiec patrzy jak urzeczony na pierwsze fragmenty papirusów. Ogląda napisy hieroglificzne na kamiennych płytach.

— Czy można to przeczytać? Fourier zaprzecza ruchem głowy.

— A ja to odczytam! — mówi mały Champollion z najgłębszym przekonaniem. (Później sam często opowiadał tę historię.) — Odczytam za parę lat. Kiedy dorosnę.

Czy nie przypomina nam to innego chłopca, który mówił do swego ojca: „Ja znajdę Troję" — a mówił to z tym samym przekonaniem, z tą samą somnambuliczną pewnością. Jakże różne jednak były drogi, jak z gruntu odmienne metody, które miały jednego i drugiego przywieść do urzeczywistnienia chłopięcych marzeń. Schliemann zdążał do tego celu jako całkowity samouk, Champollion natomiast ani na sekundę nie zstępował z wyznaczonej drogi systematycznego naukowego wykształcenia. (Przebywał ją zresztą tak szybko, że pozostawił w tyle wszystkich swych kolegów z ławy szkolnej i uniwersyteckiej.) Schliemann przystępując do swego dzieła nie miał

najmniejszego przygotowania fachowego, Champollion przystąpił do swego w pełnym rynsztunku wiedzy, jaką rozporządzało jego stulecie.

O to wykształcenie troszczył się jego brat usiłujący poskromić w chłopcu ogromny, nigdy nienasycony głód wiedzy. Daremne wysiłki. Champollion zapuszcza się w najbardziej odległe tereny nauki, toruje sobie drogę prowadzącą na wszystkie szczyty wiedzy. Mając dwanaście lat pisze swą pierwszą książkę na bardzo dziwny temat: *Historia sławnych psów.* Odczuwając brak uporządkowanej chronologii historycznej, który bardzo przeszkadza mu w studiach, opracowuje tablicę, której nadaje tytuł: *Chronologia od Adama do Champolliona młodszego.* (Starszy brat zrzekł się rodzinnego nazwiska, przeczuwając, że Francois bardziej je wsławi. Champollion, nazywając siebie „młodszym", wskazuje pośrednio na brata.)

Mając lat trzynaście zaczyna się uczyć języka arabskiego, syryjskiego, chaldejskiego i koptyjskiego. Przy tym wszystko, czego się uczy, wszystko, co robi i co zgarnia po drodze, stoi — pod znakiem Egiptu. Czymkolwiek się zajmuje, zawsze wyłania się dla niego jakiś problem egipski. Uczy się języka starochińskiego jedynie po to, aby zbadać jego ewentualne pokrewieństwo z językiem staroegipskim. Studiuje próbki tekstów najbardziej odległych języków zend, pahlavi i języka Parsów, czerpiąc te próbki z najrzadszych materiałów, które jedynie za sprawą Fouriera docierają do Grenoble. Zbiera wszystko, co mu się nasuwa pod rękę, i w lecie 1807 roku — ma wtedy lat siedemnaście — opracowuje pierwszą historyczną mapę Egiptu, pierwszą w dziejach mapę państwa faraonów.

Aby zrozumieć śmiałość tych poczynań, należy sobie uprzytomnić, że nie istniały w tym zakresie żadne inne podstawy, jak tylko odnośne miejsca Biblii, zniekształcone przeważnie teksty łacińskie, arabskie i hebrajskie oraz porównania z językiem koptyjskim, jedynym językiem, który, być może, faktycznie mógł służyć za pomost do starego języka egipskiego, ponieważ w Górnym Egipcie mówiono nim jeszcze do XVII wieku n.e.

Jednocześnie gromadzi materiały do książki. Postanawia przeprowadzić się do Paryża. Akademia w Grenoble żąda przedłożenia pracy końcowej. Grono profesorskie

myślało, że będzie to, zgodnie ze zwyczajem, jakieś przemówienie, zwykły popis krasomówstwa. Tymczasem Champollion przedkłada profesorom książkę: *Egipt pod panowaniem faraonów.*

1 września 1807 roku czyta wstęp. Przed kolegium profesorskim Akademii stoi smukły, wysoki młodzian o subtelnej urodzie, cechującej wszystkich przedwcześnie dojrzałych. To, co mówi, sformułowane jest w śmiałych tezach, przedstawione z nieodpartą logiką. Wrażenie jest wręcz nadzwyczajne. Siedemnastoletni Champollion zostaje jednomyślnie obrany członkiem Akademii w Grenoble. Jej prezes, Renauldon, powstaje z miejsca, obejmuje go i mówi: „Jeżeli Akademia mimo pańskiego młodego wieku powołuje pana na członka, to czyni to z uwagi na to, czego pan dokonał. Jeszcze bardziej jednak liczy na to, czego pan dokona w przyszłości. Jest przekonana, że spełni pan jej nadzieje i pewnego dnia, zdobywszy nazwisko, przypomni sobie, że to u niej znalazł pierwszą zachętę i uznanie."

Tak wiec z dnia na dzień Champollion został członkiem Akademii.

Zemdlał opuszczając gmach uniwersytetu. Sangwinik o silnej skłonności do depresji, był w tym okresie chorobliwie przeczulony. Duchowo nie tylko wysoko rozwinięty, lecz przez wielu już publicznie nazywany geniuszem, jest pod względem fizycznym rozwinięty ponad swe lata. Gdy opuszczając ławę szkolną postanawia się żenić, nie jest to u niego tylko mrzonką niedowarzonego sztubaka. Wie, że stoi u progu nowego życia. Widzi przed sobą olbrzymie miasto, centrum Europy, ognisko życia intelektualnego i polityki, ale zarazem i siedlisko międzynarodowych aferzystów. Gdy ciężki, trzęsący dyliżans, w którym wraz z bratem tłucze się przez siedemdziesiąt godzin po wyboistej szosie, zbliża się do Paryża, Francois ma za sobą długie godziny rozmyślania. Oscylując między marzeniem a rzeczywistością, widzi oczyma wyobraźni pożółkłe papirusy, w uszach dźwięczą mu słowa dwunastu różnych języków, na barkach zdają się ciążyć zapisane hieroglifami kamienie, a przede wszystkim tajemniczy, czarny bazaltowy kamień z Rosetty. Widział go po raz pierwszy niedawno, przy pożegnaniu z Fourierem. Napisy nie dają mu spokoju.

Wtem — szczegół ten również jest autentyczny — nachyla się do brata i kontynuując

już na głos swe myśli, z pałającymi w śniadej twarzy oczyma, wypowiada to, o czym dawno potajemnie już marzył:

— Odcyfruję hieroglify! Wiem, że je odcyfruję.

Jako człowieka, który znalazł kamień z Rosetty, wymienia się Dhautpoula. Ale Dhautpoul był tylko dowódcą wojsk saperskich, zwierzchnikiem człowieka, który faktycznie znalazł bazaltową płytę. Inne źródła wymieniają jako znalazcę Boucharda. Ale Bouchard był tylko oficerem kierującym pracami fortyfikacyjnymi pod zapadłym fortem Rachid, zwanym już wtedy Fort Julien, o 7,5 kilometra na północny zachód od Rosetty nad Nilem, tylko tym człowiekiem, który później przewiózł trójjęzyczny kamień do Kairu.

W rzeczywistości trójjęzyczną bazaltową płytę znalazł jakiś nieznany żołnierz. Nigdy nie dowiemy się, czy przypadkowo był na tyle wykształcony, że natrafiwszy na nią kilofem od razu ocenił jej znaczenie, czy też na widok czarnej płyty, pokrytej od góry do dołu tajemniczymi znakami, zaczął być może, wydawać okrzyki, jakie wydaje człowiek, który boi się popaść pod wpływ jakichś tajemnych mocy.

Płyta, która tak niespodzianie wynurzyła się z rumowiska starego fortu, była wielkości blatu stołowego, drobnoziarnista, z czarnego bazaltu. Jedna strona była polerowana. Nosiła trzy napisy, w trzech rzędach, częściowo zwietrzałe i zamazane wskutek długiego tarcia ziarenek piasku, pod którym leżała przez dwa tysiące lat. Z tych trzech napisów pierwszy miał czternaście wierszy i był hieroglificzny, drugi dwudziestodwuwierszowy, był demotyczny, trzeci liczył pięćdziesiąt cztery wiersze i był grecki.

Grecki! A więc czytelny. A więc zrozumiały.

Jeden z napoleońskich generałów, namiętny hellenista, od razu zabrał się do tłumaczenia. Stwierdził, że napis, pochodzący z r. 196 przed Chr., zawiera adres hołdowniczy kapłanów z Memfis do Ptolemeusza V z dziękczynieniami za doznane dobrodziejstwa.

Po kapitulacji Aleksandrii płytę wraz z wszystkimi innymi zdobytymi przez Francję zabytkami wydano Anglii. Zawędrowała do Muzeum Brytyjskiego w Londynie. Ale

francuska Komisja Uczonych, jak z wszystkich innych przedmiotów, tak i z tej płyty sporządziła odlewy i kopie. Przewieziono je do Paryża. Zebrali się uczeni i zaczęli porównywać teksty.

Tak jest, porównywać, bo już samo uszeregowanie trzech kolumn zdawało się wskazywać na to, że zawierają one jednakowy tekst. Już „Courrier de PEgypte" mówił o tym, że płyta ta stanowi klucz do bram martwego Egiptu, że dzięki niej „Egipt zostanie objaśniony przez Egipcjan". Zdawało się, że po przetłumaczeniu greckiego napisu nie będzie już rzeczą zbyt trudną ustalić znaki hieroglificzne odpowiadające greckim słowom, pojęciom i nazwom.

Pracowały nad tym najtęższe głowy owych czasów. I nie tylko we Francji. Nad odcyfrowaniem kamienia z Rosetty pracowano także w Anglii (na podstawie oryginału), w Niemczech, we Włoszech. Na próżno. Wszyscy bowiem uczeni bez wyjątku wychodzili z fałszywego założenia. Jeśli chodziło o hieroglify, wszyscy trwali przy tradycyjnych pojęciach, które po części sięgały Herodota i które z niesamowitą uporczywością, właściwą tak wielu fałszywym wyobrażeniom ducha ludzkiego, zaślepiały ich umysły. Aby przejrzeć tajemnicę hieroglifów, potrzebny był przewrót w nauce w skali omal że kopernikowskiej, potrzebny był pomysł, który by wyłamując się z wszystkich utartych torów tradycji jak błyskawica rozjaśnił ciemności.

Siedemnastoletni Francois Champollion, wprowadzony przez brata, stanął przed swym przyszłym nauczycielem de Sacy, małym, niepozornym człowiekiem, ale znanym już daleko poza granicami Francji uczonym. Francois nie był ani onieśmielony, ani zmieszany. I tak jak niegdyś Fouriera w Grenoble, tak teraz oczarował de Sacy'ego.

Początkowo de Sacy, liczący wtedy pięćdziesiąt lat, uczony, który osiągnął szczyty wiedzy swoich czasów, odniósł się do młodzieńca raczej nieufnie. W swej książce *Egipt pod panowaniem, faraonów* młody Champollion z niesłychaną śmiałością

podjął przecież plan, o którym on, de Sacy, poprzednio się wyraził, że nauka jeszcze nie dojrzała do tego, aby go urzeczywistnić. Później wszakże, w swych wspomnieniach o tym pierwszym zetknięciu się z Champollionem, de Sacy pisze „o głębokim wrażeniu", jakie ono na nim zrobiło. Książka Champolliona — de Sacy znał tylko wstęp — była na przełomie tego roku już całkowicie ukończona. Liczne więc dowody uznania, jakie w siedem lat później towarzyszyły jej ukazaniu się w druku, należały się właściwie autorowi już wtedy, gdy miał siedemnaście lat.

Champollion z zapałem zabrał się do studiów. Obojętny na wszystkie pokusy Paryża, zakopał się w bibliotekach, biegał od jednego instytutu do drugiego, załatwiał mnóstwo poleceń uczonych, którzy z Grenoble zasypywali go listami. Studiuje w tym okresie sanskryt, arabski i perski — „język włoski Wschodu", jak nazywa go de Sacy — pień, z którego wyrosły wszystkie języki wschodnie, a równocześnie prosi brata o przysłanie mu chińskiej gramatyki — „dla rozrywki".

Tak dalece wczuwa się w ducha języka arabskiego, że zmienia mu się głos i że na jakimś towarzyskim spotkaniu pewien Arab, biorąc go za swego ziomka, zaczyna go witać wśród głębokich ukłonów z ceremoniałem muzułmańskiego salemu. Przez same studia tak dalece pogłębia swą wiedzę o Egipcie, że najsłynniejszy wówczas podróżnik po Afryce Somini de Manencourt po rozmowie z nim wykrzykuje ze zdumieniem: „Ależ on zna kraje, o których mówimy, nie gorzej ode mnie!"

W rok później włada już tak dobrze w słowie i piśmie językiem koptyjskim („mówię po koptyjsku sam do siebie..."), że przeznaczone do własnego użytku rozprawy i notatki pisze dla nabycia wprawy po koptyjsku pismem demotycznym. A w czterdzieści lat później zdarza się przezabawna historia, bo jakiś uczony publikuje któryś z tych tekstów jako egipski oryginał z czasów Antoninów i dodaje doń wyczerpujący komentarz. Mamy tu francuskie *pendant* do niemieckiej książki Beringera o skamielinach.

Przy tym materialnie powodzi mu się bardzo źle. Gdyby nie brat, który z największym poświęceniem przychodzi mu z pomocą, przymierałby głodem. Mieszka w nędznej izdebce niedaleko Luwru, za którą płaci 18 franków czynszu. Zalegając i z tą zapłatą,

pisze błagalny list do brata, zaklina go, aby go ratował w opresji. Życiowo niezaradny, nie umie gospodarować swym skromnym budżetem. Ale jest w najwyższym stopniu zdumiony, gdy Figeac pisze mu, że będzie chyba musiał zastawić swą bibliotekę, jeżeli on, Francois, nie ograniczy swych wydatków. Ograniczyć wydatki? Nosi podarte zelówki, wystrzępiony surdut, wstydzi się wprost pokazać w towarzystwie. Choruje i w ciągu tej wyjątkowo surowej, przejmująco chłodnej i wilgotnej paryskiej zimy nabawia się początków cierpienia, które później stało się przyczyną jego śmierci. Dwa drobne sukcesy podtrzymują go wtedy na duchu.

Cesarz potrzebuje żołnierzy. W 1808 roku zarządzony zostaje generalny pobór rekruta, obejmujący wszystkich mężczyzn od szesnastego roku życia. Champollion jest przerażony. Cała jego natura wzdraga się przed wszelką formą przymusu. On, który przestrzega najsurowszej dyscypliny ducha, drętwieje na widok czworoboków gwardii poddanych bezdusznej dyscyplinie, niwelującej wszelką samodzielność myślenia. Czyż nie widzieliśmy, jak Winckelmann cierpiał z powodu gróźb innego militaryzmu? „Są dni — pisze zrozpaczony Francois do Figeaca — kiedy zupełnie tracę głowę!"

Brat, który zawsze przychodzi mu z pomocą, pomaga i tym razem. Odwołuje się do wpływowych przyjaciół, pisze niezliczone podania i w końcu Champollion został uwolniony od wiszącej nad nim zmory. Może dalej studiować, może w okresie, gdy dokoła rozlega się tylko szczęk oręża, oddawać się nadal studiom nad martwymi językami.

Druga jednak rzecz, która go zajmuje, a raczej tak dalece fascynuje, że chwilami zapomina nawet o grożącym mu powołaniu do wojska — to badania nad kamieniem z Rosetty. Ciekawa rzecz. Schliemann, znając w słowie i piśmie wszystkie języki europejskie, wiele razy cofał się przed nauką języka starogreckiego, choć właśnie on był celem wszystkich jego marzeń. Cofał się, bo wiedział, że z chwilą gdy zacznie się go uczyć, odda mu się bez reszty. Tak samo Champollion. Wszystkie jego myśli krążą koło kamienia z Rosetty, jakby zwężającą się coraz bardziej spiralą oplatają ten cel wszystkich jego dążeń. A jednak im jest go bliższy, tym bardziej się ociąga, bo wciąż

mu się zdaje, że nie posiadł jeszcze całego rynsztunku wiedzy, w którym powinien przystąpić do tego dzieła.

Teraz jednak, gdy zupełnie niespodzianie ma przed sobą nową, wykonaną w Londynie kopię kamienia z Rosetty, już nie może się pohamować. Wprawdzie i tym razem nie przystępuje jeszcze do właściwego odcyfrowania tekstu, ogranicza się do porównania napisów z pewnym papirusem, ale od razu udaje mu się „dla całego szeregu liter znaleźć samodzielnie właściwe wartości". 30 sierpnia 1808 roku pisze do brata: „Przedkładam ci wyniki mego pierwszego kroku!" Przez skromność, z jaką objaśnia swą metodę, przebiła po raz pierwszy duma młodego odkrywcy.

I właśnie w tym momencie, gdy zrobił pierwszy krok i wie już, że jest na właściwej drodze, wiodącej do sukcesu i sławy, otrzymuje wiadomość, która spada na niego jak grom z jasnego nieba. On, który między sobą a swym celem nie widział nic poza pracą, trudem i wyrzeczeniami, który gotów był na to wszystko i już tak daleko posunął się naprzód, dowiaduje się nagle, że wszystko, czego dokonał, wszystko, w co wierzył, na co liczył i co już wiedział, stało się bezprzedmiotowe, pozbawione wszelkiego sensu: hieroglify są odcyfrowane!

Na zupełnie innym polu ludzkich poszukiwań i trudów, w trwającej od dziesiątków lat walce o zdobycie bieguna południowego, zdarzyła się podobna historia. W jeszcze dramatyczniejszej, w jeszcze uchwytniej-szej formie występuje w niej moment, który całkowicie odpowiada temu, co obecnie przeżywa Champollion, dowiadując się, że ktoś inny go ubiegł. Gdy kapitan Scott z kilkoma towarzyszami, paroma saniami i psami wśród potwornych trudów zbliżył się wreszcie do bieguna, już tylko na wpół przytomny z głodu i wycieńczenia, ale pełen nieopisanej dumy, że pierwszy osiągnął ten cel, wówczas na bezkresnym śnieżnym polu, które zdobywał jako teren dziewiczy, ujrzał nagle flagę — zatkniętą już na biegunie flagę Amundsena.

Przykład, powtarzamy, jest bardziej dramatyczny, bo tu za rozczarowaniem człowieka stała jeszcze ponadto i biała śmierć. Czyż jednak młody Champollion nie odczuwał tego co kapitan Scott? Słaba to pociecha, że w tym tak bogatym w odkrycia stuleciu to samo, co jemu, zdarzyło się dziesiątkom innym. Wszyscy oni z pewnością czuli to

samo co Scott na widok flagi.

Wiadomość uderzyła w Champolliona jak grom, ale i wrażenie jej było równie przemijające jak wrażenie gromu. Flaga Amundsena była niezbitym faktem, świadczyła o bezspornym zwycięstwie. Odcyfrowanie hieroglifów takim niezbitym faktem jeszcze nie było.

Champollion dowiedział się o nim na ulicy. Szedł właśnie do College de France. Zakomunikował mu to z największym przejęciem kolega, nie podejrzewając nawet, o co od dawna walczy Champollion, o czym marzy, nad czym pracuje przez niezliczone dni i noce, w imię czego cierpi biedę, znosi głód i upokorzenia. Teraz jest przerażony, widząc, jak Champollion słania się na nogach i wspiera się na jego ramieniu.

— Odcyfrował je Alexandre Lenoir! — mówi. — Jego praca dopiero co się ukazała. Jest to właściwie broszura *Nouvelle explication,* całkowite odcyfrowanie hieroglifów. Pomyśl, jakie to ma znaczenie!

Komu to mówi!

— Lenoir? — pyta Champollion.

Kręci głową. Budzi się w nim iskierka nadziei. Jeszcze wczoraj widział się z Lenoirem. Zna go od roku. Lenoir jest cenionym naukowcem, ale dalibóg, nie geniuszem.

— To niemożliwe — powiada Champollion. — Nikt o tym nie mówił. Sam Lenoir nie wspomniał o tym ani słowem.

— To cię dziwi? — odpowiada kolega. — Któż przed czasem rozgłasza podobne odkrycie?

Champollion już chce biec dalej.

— Który księgarz to wydał?

Szybko oddala się. Drżącymi rękami odlicza na zakurzonej ladzie księgarni frankowe monety. Dotąd sprzedano zaledwie kilka egzemplarzy broszury. Pędzi do domu, rzuca się na wytartą otomanę i zaczyna czytać.

W parę chwil później zacna wdowa Mścran, zajęta w swej kuchni, nagle odstawia garnki na stół: z pokoju jej lokatora dochodzi jakiś piekielny hałas. Przerażona,

nasłuchuje, potem wybiega z kuchni i otwiera drzwi. Francois Champollion leży na otomanie, ciało jego wygięte jest w pałąk, z ust wydobywają się jakieś nieartykułowane dźwięki, ale nie ma żadnej wątpliwości: śmieje się, zanosi od nieopanowanego, histerycznego śmiechu.

W ręku trzyma książkę Lemoira. Odcyfrowanie hieroglifów? Tu ktoś za wcześnie zatknął swą flagę! Champollion jest dostatecznie zorientowany, by móc natychmiast osądzić, że wszystko, co twierdzi Lenoir, jest wierutną, wyssaną z palca bzdurą. Cała jego teoria to mieszanina fantazji i błądzącej po manowcach uczoności.

Niemniej wstrząs był okropny. Champollion nigdy go nie zapomni. Przeżycie to dowiodło mu, jak bardzo już wewnętrznie zrósł się ze swym zadaniem — od dawna wszak pragnął zmusić martwe obrazy i znaki, żeby przemówiły. Gdy wycieńczony zasypia, prześladują go dziwne sny. Z kłębu sennych widziadeł dochodzą go jakieś egipskie głosy. Sen uprzytamnia mu to, co w trudach i kłopotach codziennego życia nieraz się zacierało: że jest opętańcem, że opętały go hieroglify, że cierpi na *idie fixe.*

Ale we wszystkich tych snach widzi siebie u celu. Teraz cel ten wydaje mu się uchwytny. I gdy tak przewraca się z boku na bok, osiemnastoletni Champollion nawet nie podejrzewa, że minie jeszcze dwanaście lat, zanim go osiągnie. Nie wie, że czeka go wiele niepowodzeń i przeszkód, że on, który w myślach ma tylko hieroglify i kraj faraonów, pewnego dnia pójdzie na wygnanie jako zdrajca stanu.

Rozdział jedenasty

ZDRAJCA STANU ODCYFROWUJE HIEROGLIFY

Gdy Champollion jako dwunastoletni chłopiec uczył się Starego Testamentu z tekstu

oryginalnego, w pewnym wypracowaniu wypowiedział się za republikańską formą rządu jako jedynie słuszną. Wychowany w ideologii przygotowanej przez wiek Oświecenia, a wyzwolonej przez wielką rewolucję, cierpiał później z powodu nowego despotyzmu, który przejawiał się już w edyktach i dekretach Republiki, a po koronacji Napoleona na cesarza zupełnie otwarcie pokazał swoje oblicze. W przeciwieństwie do swego brata nie uległ urokowi Napoleona. Pozostał krytyczny mimo wszystkich sukcesów i nawet w myślach nie towarzyszył orłom francuskim w ich zwycięskim pochodzie.

Nie tu miejsce śledzić polityczny rozwój Champolliona. Czy mamy jednak przemilczeć, że on, egiptolog, wiedziony nieprzezwyciężonym pragnieniem wolności, ze sztandarem w ręku zdobywał cytadelę Grenoble? Chociaż cierpiał pod twardymi rządami Napoleona, nie znosił Burbonów i własną ręką zdarł z wieży cytadeli powiewającą na niej chorągiew z liliami, zatykając trójbarwny sztandar rewolucji. Teraz w sztandarze tym, który piętnaście lat łopotał na czele hufców napoleońskich przemierzających całą Europę, widział symbol nowej wolności.

Champollion znowu przebywał w Grenoble. Jego nominacja na profesora historii na tamtejszym uniwersytecie nosi datę 10 lipca 1809 roku. Mając więc dziewiętnaście lat wykładał jako profesor w tych samych murach, w których niedawno sam jeszcze studiował. Byli wśród jego studentów młodzi ludzie, którzy jeszcze przed dwoma laty siedzieli z nim na jednej ławie szkolnej. Czy można się dziwić, że w tych warunkach stał się przedmiotem zawiści i że oplatała go sieć intryg? Knuli je przeciw niemu zwłaszcza starsi profesorowie, którzy uważali się za pominiętych, skrzywdzonych i upośledzonych.

I jakież to idee głosił ten młody profesor historii! Głosił, że najwyższym celem badań historycznych jest poszukiwanie prawdy, przez prawdę zaś rozumiał prawdę absolutną, a nie bonapartystyczną czy burbońską. Domagał się wolności nauki, przez co znowu rozumiał wolność absolutną, a nie taką, której dekrety i zakazy zakreślają granice i od której żąda się zrozumienia konieczności podyktowanych żądzą władzy. Domagał się więc tego, co głosiły fermentujące umysły pierwszych dni wielkiej re-

wolucji, a co od tego czasu z roku na rok coraz jawniej zdradzano.

Toteż Champollion siłą rzeczy musiał popaść w konflikt spowodowany rozwojem wydarzeń. Nigdy nie sprzeniewierzył się swym ideom, często jednak upadał na duchu. W listach do brata przytacza sentencje, które kto inny na jego miejscu zaczerpnąłby prawdopodobnie z ostatnich słów Wolterowskiego *Kandyda,* ale które on czerpie wprost ze świętych ksiąg Wschodu: „Wykarczuj swe łany! Lepiej — tak mówi Zendawesta — zaorać sześć ćwierci ziemi niż wygrać dwadzieścia cztery bitwy." I dodaje: „Najzupełniej podzielam to zdanie." A wkrótce potem, uwikłany w coraz liczniejsze intrygi, co przyprawia go niemal o chorobę, a na skutek machinacji kolegów skazany na jedną czwartą poborów, pisze znowu do brata: „Los mój jest przesądzony: biedny jak Diogenes spróbuję kupić sobie beczkę oraz worek, który będzie mi służył za odzienie. Potem będę żył nadzieją, że znani ze swej wspaniałomyślności Ateńczycy zapewnią mi utrzymanie."

Pisze satyry przeciw Napoleonowi. Ale gdy Napoleon zostaje ostatecznie obalony i 19 kwietnia 1814 roku sprzymierzeni wkraczają do Grenoble, pyta sam siebie ze sceptyczną goryczą, czy teraz po obaleniu władzy despoty istotnie rozpocznie się panowanie ideałów. Wątpi w to.

Ale choć serce jego gorąco bije dla wolności narodu i nauki, ani na chwilę nie zagłusza w nim wielkiej namiętności — namiętności do studiów nad Egiptem. Jego płodność jest w dalszym ciągu wręcz nieprawdopodobna. Przy tym jednocześnie zajmuje się rzeczami okolicznościowymi, ubocznymi. Pracuje nad słownikiem języka koptyjskiego, pisze sztuki teatralne — w tym dramat o Ifigenii — dla salonów towarzyskich Grenoble. Pisze pieśni, politycznie zabarwione *chansons,* które ledwie schodzą z jego biurka, już rozbrzmiewają na ulicach. Rzecz niepojęta na przykład dla niemieckich uczonych, ale we Francji najzupełniej zgodna z tradycją, którą zapoczątkował już w XII wieku Pierre Abelard. Przede wszystkim jednak zajmuje się tym, co nadal pozostaje głównym zadaniem jego życia: wgryza się coraz głębiej w tajemnice Egiptu. Egipt bowiem trzyma go nadal pod swą władzą — obojętnie, czy na ulicach grzmią okrzyki *Vive l'Empereurl,* czy *Vive le Roü* Pisze w tym okresie

niezliczone artykuły, przygotowuje książki, wspomaga radą innych autorów całego świata. Męczy się z przeciętnymi studentami. Wszystko to szarpie, zjada jego nerwy, podkopuje zdrowie. W grudniu 1816 roku pisze: „Mój słownik koptyjski staje się z każdym dniem grubszy. Za to jego autor staje się z każdym dniem cieńszy." Gdy stwierdza, iż doszedł do strony 1069, a słownik wciąż jeszcze nie jest zakończony, z piersi jego wydobywa się ciężkie westchnienie.

Nadeszło „sto dni" Napoleońskich. Europa raz jeszcze zadrżała, gdy Napoleon znowu sięgnął po władzę. To, co z trudem zostało tak niedawno zbudowane, znów waliło się w gruzy. Prześladowani stali się prześladowcami, władcy zamieniali się w poddanych, król w zbiega. Dni te i Champolliona wypędzają z pracowni: Napoleon wraca! Gazety znaczą jego drogę kamieniami milowymi zakłamania pisząc z prawdziwie operetkową gradacją: „Potwór uciekł!", „Wilkołak wylądował w Cannes", „Tyran zatrzymał się w Lyonie!" „Uzurpator stoi o 60 mil od stolicy!", „Jutro Napoleon będzie w murach Paryża!", „Jego Cesarska Mość znajduje się w Fontainebleau!"

7 marca Napoleon w swym marszu do stolicy staje pod Grenoble. Stuka tabakierką w bramę miasta. Jest noc, dokoła płoną pochodnie. Operowa scena historyczna. Bo oto przez krótką, ale jakże straszliwą minutę Napoleon stoi sam jeden w obliczu ustawionych na wałach armat, koło których krzątają się już kanonierzy. Wtem wybucha okrzyk: „Niech żyje Napoleon!", i oto „przyszedłszy do Grenoble jako awanturnik opuszcza je jako cesarz". Grenoble bowiem, serce Delfinatu, jest najważniejszą bazą operacyjną, jaką należało zdobyć.

Figeac, brat Champolliona, już niegdyś oczarowany przez cesarza, teraz oddaje mu się duszą i ciałem. Napoleonowi potrzebny jest zaufany sekretarz osobisty. Burmistrz przedstawia mu Figeaca i z rozmysłem błędnie wymawia jego nazwisko: „Champoleon". „Cóż za dobra wróżba — woła cesarz — przecież on nosi połowę mego imienia!" Champollion również obecny jest przy tej scenie. Napoleon wypytuje go o jego pracę, słyszy o koptyjskiej gramatyce, o słowniku. I podczas gdy Champollion zachowuje chłodną rezerwę (czyż od dwunastego roku życia nie obcuje z władcami, którzy bliżej stali bogów niż Napoleon?), Napoleon jest zafascynowany

młodym uczonym, długo z nim rozmawia i w przystępie cesarskiej łaskawości obiecuje wydać drukiem w Paryżu obydwa jego dzieła. Mało tego, następnego dnia odwiedza go w bibliotece uniwersyteckiej, znowu powraca do jego studiów językowych — wszystko to w dniach, godzinach, gdy jest w trakcie odzyskiwania swego imperium. Naprzeciw siebie stoją dwaj zdobywcy Egiptu: jeden włączył ten kraj w swe zakrojone na skalę światową plany polityczne, chciał go na nowo powołać do życia (w czasie ekspedycji egipskiej myślał o wybudowaniu tysiąca śluz, aby mu na wszystkie czasy zapewnić rentowność gospodarczą), a teraz, słysząc bliższe szczegóły o języku koptyjskim, ogarnięty nowym zapałem, postanawia uczynić go językiem całego Egiptu; drugi, choć nigdy jeszcze nie był w Egipcie, w duchu widział go już tysiące razy i później zdobędzie go siłą swej wiedzy i swego umysłu.

Ale dni panowania Napoleona są policzone. Równie nagły jak drugi jego wzlot jest i drugi upadek. Elba była dlań wycieczką. Wyspa Św. Heleny staje mu się łożem śmierci.

Burboni znowu wkraczają do Paryża. Nie są silni, więc nie są też mściwi. Niemniej jednak — czyż mogło być inaczej? — wyroki skazujące liczą się na setki, „kary spadają niby manna u Żydów". Cóż dziwnego, że i Figeac, który podążył z Napoleonem do Paryża i zajmował tu eksponowane stanowisko, znajduje się wśród prześladowanych. W pośpiechu, z jakim przeprowadzono procesy polityczne, a może i za sprawą wielu zawistnych, jakich miał młody profesor w Grenoble, obu braci pomylono ze sobą; i przedtem już mylono ich ze sobą jako naukowców. W dodatku Champollion w ostatnich godzinach „stu dni", w tym samym czasie, gdy czynił rozpaczliwe starania o zdobycie tysiąca franków na kupno egipskiego papirusu, pomagał w założeniu tzw. Związku Delfinatu, który opowiedział się po stronie wolności. Teraz jego członkowie należą do podejrzanych.

Gdy rojaliści wyruszyli przeciw Grenoble, Champollion na wałach fortecznych zagrzewa jej obrońców do oporu, zupełnie nie rozumiejąc, czyje zwycięstwo rokuje większą wolność. Ale co dzieje się potem? W chwili gdy generał Latour zaczyna bombardować śródmieście, Champollion widząc, że przybytek nauki i owoc jego

pracy są w niebezpieczeństwie, zapomina o polityce i wojsku, opuszcza w pośpiechu wały forteczne, wbiega na drugie piętro biblioteki uniwersyteckiej i tu znosząc wodę i piasek, sam jeden pozostaje w wielkim gmachu przez cały czas bombardowania, narażając życie, byle ocalić swe papirusy.

Właśnie w tych dniach, pozbawiony katedry i jako zdrajca stanu skazany na banicję, przystępuje do pracy nad ostatecznym odcyfrowaniem hieroglifów. Wygnanie trwa półtora roku. Po powrocie rozpoczyna się okres niezmordowanej pracy. Punktami oparcia są znowu Grenoble i Paryż. Tymczasem grozi mu nowy proces o zdradę stanu. Jako zbieg opuszcza w lipcu 1821 roku miasto, w którym z ucznia stał się członkiem Akademii. Ale w rok później ogłasza swą pracę *Lettre ä M. Dacier relative ä l'alphabet des hiiroglyphes phonitiques,* która położyła podwaliny pod odcyfrowanie hieroglifów. Dzięki tej pracy nazwisko Champolliona znalazło się na ustach wszystkich, którzy, spragnieni odpowiedzi na nie rozstrzygnięte dotąd pytania, mieli wzrok utkwiony w piramidach i świątyniach Egiptu.

Trudno wprost uwierzyć, co było powodem, że hieroglify dotąd nie zostały odcyfrowane. Przecież cały świat miał je przed oczyma. Pisało o nich wielu starożytnych autorów, rozwodzili się, nadając im coraz to nową interpretację, uczeni średniowiecznej Europy. Po egipskiej ekspedycji Napoleona dotarły w niezliczonych odpisach do pracowni uczonych. Jeżeli mimo wszystko jeszcze ich nie odcyfrowano, to nie tylko dlatego, ze nie umiano tego dokonać, nie tylko dlatego, ze wiele ludzi grzeszyło brakiem przenikliwości, lecz także dlatego, że jeden człowiek sprowadził te badania na manowce.

Herodot, Strabon i Diodor, którzy podróżowali po Egipcie, wspominają o hieroglifach jako o niezrozumiałym piśmie obrazkowym. Ale tylko Horapollon w IV stuleciu naszej ery dał szczegółowy opis ich znaczenia (wzmianki, jakie czynią o nich Klemens Aleksandryjski i Porphyrius, są niezrozumiałe). Nic dziwnego, ze z braku jakiegokolwiek innego oparcia, za punkt wyjścia wszystkich dociekań przyjęto dzieło

Horapollona. Ale Horapollon stale mówi o hieroglifach jako o piśmie obrazkowym. Przez długie więc stulecia każda próba ich interpretacji doszukiwała się w obrazkach symbolicznego znaczenia. Laikom pozwalało to puszczać wodze fantazji, uczonych jednak doprowadzało do rozpaczy.

Gdy Champollion odcyfrował hieroglify, można było zdać sobie sprawę, ile prawdy było w tym, co podawał o nich Horapollon. Można było dostrzec, że we wczesnym ich rozwoju stosowana była symbolika, w której kreska falista oznaczała wodę, prosta kreska — dom, a chorągiew — boga. Stosowanie jednak, w oparciu o Horapollona, tej symboliki do późniejszych napisów prowadziło na manowce.

Perypetie tych błędnych dociekań były wręcz niewiarygodne. Gdy w latach 1650—1654 uczony jezuita Athanasius Kircher, człowiek skądinąd obdarzony inwencją (był m.in. konstruktorem pierwszej latami magicznej), wydał w Rzymie cztery tomy zawierające przekłady hieroglifów, ani jeden, ale to dosłownie ani jeden przekład nie tylko nie był prawdziwy, ale nawet w przybliżeniu nie odgadywał prawdziwego ich znaczenia. Grupę znaków oznaczających przydomek rzymskich cesarzy „autocrator" odczytał on, jak następuje: „Twórcą płodności i wszelkiej roślinności jest Ozyrys, którego twórczą siłę święty Mophta czerpie z nieba dla swego państwa."

Jednakże Kircher zrozumiał negowane przez wielu innych uczonych znaczenie, jakie dla odcyfrowania hieroglifów ma późniejsza forma języka Egipcjan — język koptyjski.

W sto lat później de Guignes wystąpił na podstawie porównawczego badania hieroglifów w paryskiej Academie des Inscriptions et des Beaux-Arts z tezą, ze Chińczycy są kolonistami egipskimi. Ale (to „ale" stosuje się niemal do każdego badacza, każdy z nich bowiem natrafiał co najmniej na jeden właściwy ślad) odczytał prawidłowo imię królów egipskich „Menes". Któryś jednak z jego przeciwników od razu doszukał się w tych znakach innego słowa: „Manouph", co Woltera, najzjadliwszego komentatora swoich czasów, skłoniło do wypadu przeciw etymologom: „...samogłoski — pisał — dla nich się nie liczą, a na spółgłoskach mało im zależy". (Dodajmy zresztą, że w przeciwieństwie do tezy de Guignes'a

współcześni mu angielscy badacze uważali, że, na odwrót, nie Chińczycy przywędrowali z Egiptu, lecz Egipcjanie przywędrowali z Chin.)

Można by sądzić, że znalezienie trójjęzycznego kamienia z Rosetty powinno było położyć kres tym niedorzecznym odgadywaniom. Tymczasem stało się inaczej. Droga do rozwiązania zagadki hieroglifów wydawała się teraz tak prosta, że nawet laicy porywali się na rozwiązanie tego zadania. Pewien anonimowy „badacz" z Drezna wysylabizował z krótkiego hieroglificznego fragmentu kamienia z Rosetty cały tekst grecki. Pewien Arab nazwiskiem Achmet Bin Abubekr „odkrył" jakiś tekst, który poważny skądinąd orientalista Hammer-Purgstall nawet przetłumaczył. Jakiś anonimowy paryżanin rozpoznał w napisie na świątyni w Denderze psalm 100, a w Genewie ukazało się tłumaczenie napisów na tak zwanych „obeliskach pamfilijskich", które miały być „napisanym na cztery tysiące lat przed Chr. opowiadaniem o zwycięstwie pobożnych nad bezbożnymi".

Rozkołysana fantazja nie znała już żadnych granic. U takiego hr. Palina np. łączyła się z niebywałą czelnością i głupotą: twierdził on, że istotę kamienia z Rosetty uchwycił na pierwsze wejrzenie. W oparciu o Horapollona, o doktrynę Pitagorasa i o Kabałę tak szybko odgadł symbole bazaltowej płyty, że w ciągu jednej nocy miał już gotowy wynik, a w osiem dni później przedłożył go publiczności. Twierdził przy tym, że tylko ten pośpiech „ustrzegł go przed systematycznymi błędami, które rodzą się jedynie i wyłącznie z długiego rozmyślania".

Wśród tych przemijających jak fajerwerki „odcyfrowań" hieroglifów Champollion porządkuje materiały. Porównuje je, sprawdza, szczebel za szczeblem wznosi się do ostatecznego rozwiązania. Słyszy, że ksiądz Tandeau de St.-Nicolas wydał broszurę, w której „niezbicie" dowodzi, iż hieroglify w ogóle nie były pismem, lecz tylko środkiem zdobniczym. Nie zmylony tym Champollion już w 1815 roku w jednym ze swych listów pisze o Horapollonie: „Praca jego choć nosi tytuł — *Hieroglyphica,* bynajmniej nie objaśnia tego, co nazywamy hieroglifami. Objaśnia jedynie święte symboliczne rzeźby, tzn. egipskie symbole, które różnią się zasadniczo od właściwych hieroglifów. Ta moja opinia jest sprzeczna z ogólnie przyjętym poglądem, ale dowody

jej słuszności znajdują się na egipskich pomnikach. W emblematycznych scenach widać święte rzeźby, o których mówi Horapollon, jak np. węża gryzącego własny ogon, sępa w opisanej przez niego postawie, deszcz spadający z nieba, człowieka bez głowy, gołębia z liściem wawrzynu, nie widać ich jednak we właściwych hieroglifach."

W owych latach doszukiwano się w hieroglif ach i bądź. systemu.jakiegoś „mistycznego epikureizmu, bądź kabalistycznej, astrologicznej i gnostycznej wiedzy tajemnej, bądź też praktycznych wskazówek rolniczych, kupieckich czy techniczno-administracyjnych. Wyczytywano z nich fragmenty Biblii, a nawet literaturę przedpotopową, chaldejskie, hebrajskie, ba, nawet chińskie traktaty, „jak gdyby — pisze Champollion — Egipcjanie nie posiadali własnego języka i nie pragnęli wyrazić go w piśmie".

Wszystkie te próby objaśnienia hieroglifów opierały się w większym lub mniejszym stopniu na pismach Horapollona. Istniała tylko jedna droga do ich odcyfrowania. Droga ta prowadziła przeciw Horapollonowi. I tą właśnie drogą poszedł Champollion.

Wielkie odkrycia ducha ludzkiego rzadko kiedy dają się określić w czasie. Są wynikiem niezliczonych procesów myślowych, wieloletniego ćwiczenia umysłu w kierunku jednego określonego problemu. W odkryciach tych świadomość łączy się z nieświadomością, skupiona na celu uwaga — z sennym marzeniem. Rzadko rozwiązanie następuje z nagłością błyskawicy.

Wielkie odkrycia, gdy przyjrzeć się temu, co je poprzedziło, tracą coś niecoś ze swej wielkości. Późniejszym pokoleniom, dla których nie stanowią już one zagadki, popełnione błędy wydają się naiwne, fałszywe wyobrażenia — rezultatem zaślepienia, problemy — proste. Dziś trudno już sobie wyobrazić, co znaczył w owych czasach fakt, ze Champollion wbrew opinii świata uczonych, przysięgających na Horapollona, wystąpił ze swym własnym zdaniem. Nie należy zapominać, że zarówno uczeni, jak publiczność nie dlatego wierzyli w Horapollona, że poważali w nim autorytet, tak jak

ich średniowieczni koledzy wierzyli w autorytet Arystotelesa, a późniejsi teologowie w Ojców Kościoła. Nie, trzymali się Horapollona po prostu dlatego, że nawet przy największym sceptycyzmie nie widzieli w ogóle możliwości żadnej innej interpretacji prócz tej jednej: hieroglify są pismem obrazkowym. Tu bowiem — na nieszczęście dla badań naukowych — autorytatywna wypowiedź łączyła się z oczywistością. W osobie Horapollona przemawiał nie tylko człowiek bądź co bądź bliższy ostatnich pisanych hieroglifów o półtora tysiąca lat, ale i ktoś, kto mówił to, co każdy mógł widzieć: w hieroglifach widać było tylko obrazy, obrazy i jeszcze raz obrazy.

Otóż w tym nie dającym się ściśle określić momencie, gdy Champollion wpadł na myśl, że hieroglificzne obrazki są „literami" (ściślej — „znakami fonetycznymi", pierwsze bowiem sformułowanie Champolliona brzmi: „...nie będąc ściśle alfabetycznymi, są jednak fonetyczne"), dopiero w tym momencie nastąpił zwrot — odwrócenie się od Horapollona — co doprowadziło do odcyfrowania hieroglifów. Czy po takim życiu i pracy jak życie i praca Champolliona można w ogóle mówić jeszcze o „pomyśle", o „szczęśliwej minucie"? Gdy Champollionowi po raz pierwszy przyszła ta myśl, odrzucił ją. Pewnego dnia zidentyfikował znak leżącego węża z dźwiękiem „f"; odsunął od siebie to twierdzenie jako nie wytrzymujące krytyki. Gdy kilku innych badaczy — skandynawscy uczeni Zoega i Akerblad, Francuz de Sacy, a przede wszystkim Anglik Thomas Young — rozpoznało w demotycznej części kamienia z Rosetty „pismo literowe", udało im się kilka częściowych rozwiązań. Dalej jednak postąpić już nie mogli i rezygnowali ze swych prac lub nawet odwoływali osiągnięte wyniki. De Sacy całkowicie skapitulował przed hieroglificznymi tekstami stwierdzając, iż są one „niedostępne jak święta arka przymierza".

Nawet Thomas Young, który w odcyfrowaniu demotycznej części osiągnął wybitne wyniki, ponieważ czytał ją „fonetycznie", jeszcze w 1818 roku przekreślił swe interpretacje, gdy przy odcyfrowywaniu imienia „Ptolemeusz" znowu dowolnie rozkładał znaki na litery i na wartości jedno- i dwuzgłoskowe.

I tu właśnie występuje na jaw różnica między dwiema odmiennymi metodami i dwoma różnymi wynikami. Young, przyrodnik, niewątpliwie człowiek genialny, ale

filologicznie niewyszkolony, pracując schematycznie przez porównywanie i pomysłową interpretację, odcyfrował w końcu tylko kilka słów, przy czym wspaniałym dowodem jego intuicji jest późniejsze stwierdzenie Champolliona, że z listy swych 221 grup symbolicznych 76 odczytał trafnie. Champollion, który znając ponad dwanaście starożytnych języków, w tym także koptyjski, bliżej niż ktokolwiek inny dotarł do ducha języka starych Egipcjan, odgadł nie tylko, jak Young, poszczególne słowa lub litery, lecz rozpoznał system. Nie poprzestał na samej interpretacji pisma: uczynił je czytelnym, uczynił zeń pismo, którego można się nauczyć. Z chwilą zaś, gdy poznał podstawy systemu, na którym było oparte, mógł już w sposób prawdziwie owocny podjąć na nowo myśl, dawno już wypowiedzianą jako przypuszczenie, ze odcyfrowanie hieroglifów rozpocząć należy od imion królów.

Dlaczego od imion królów? Również i ten pomysł narzucał się sam przez się i dziś wydaje się bardzo prosty. Napis na kamieniu z Rosetty, jak juz mówiliśmy, zawierał oświadczenie, że kapłani przyznają najwyższe hołdy królowi Ptolemeuszowi Epifanesowi. Tekst grecki, który odczytano od razu, mówił to jak najwyraźniej. Otóż w miejscach, gdzie w tekście hieroglificznym należało domniemywać się imienia króla, znajdowała się grupa znaków okolona owalną ramką, którą zwykło się dziś nazywać „kartuszem".

Czyż nie było rzeczą oczywistą, że w tych „kartuszach", jedynych uwydatnionych miejscach, należało spodziewać się słowa zasługującego na takie uwydatnienie, czyli imienia króla? Dziś niejeden gotów powiedzieć, że zadanie to mógłby rozwiązać każdy inteligentniejszy uczeń, wystarczyło bowiem uszeregować litery imienia „Ptolemeusz" pod odpowiednimi znakami hieroglificznymi i w ten sposób (według starej pisowni) zidentyfikować osiem hieroglifów odpowiadających ośmiu literom.

Wszystkie wielkie myśli wydają się proste, gdy patrzy się na nie z perspektywy czasu. To, co stało się tutaj za sprawą Champolliona, oznaczało zerwanie z horapollonowską tradycją, która przez czternaście stuleci siała zamęt w umysłach. Nic nie pomniejsza triumfu odkrywcy, któremu niebawem szczęśliwy przypadek przyniósł wspaniałe potwierdzenie jego odkrycia. W 1815 roku znaleziono tzw. „obelisk z Philae"; w 1821

roku archeolog Banks przywiózł go do Anglii. Na tym obelisku, który był niejako drugim „kamieniem z Rosetty", również znajdowały się obok siebie dwa napisy: hieroglificzny i grecki. I na nim obramowane kartusze zawierały imię Ptolemeusza. Kartuszem jednak okolona tu była jeszcze i inna grupa znaków. Champollion, kierując się greckim napisem umieszczonym na samym dole obelisku, przypuszczał, iż oznacza ona imię „Kleopatra".

I znowu brzmi to bardzo prosto. Ale gdy Champollion odpowiednio do przypuszczalnego imienia wypisał obie grupy znaków jedną pod drugą (tu w naszej pisowni):

i gdy okazało się, że w imieniu „Kleopatra" znaki drugi, czwarty i piąty zgadzają się z czwartym, trzecim i pierwszym znakiem w imieniu „Ptolemeusz", wówczas klucz do odcyfrowania hieroglifów był znaleziony. Czy tylko klucz do niezbadanego pisma? Nie, klucz do wszystkich zamkniętych bram Egiptu.

Dziś wiemy, jak nieskończenie skomplikowane jest pismo hieroglificzne. Dziś student uczy się jako rzeczy samo przez się zrozumiałej tego, co wówczas było niepoznawalne, co Champollion, opierając się na pierwszym wyniku, zdobywał mozolnym trudem, i co wtedy, ponieważ rozciągało się na okres trzech tysiącleci — nadal musiało pozostać omal że nieprzeniknione. Dziś wiemy o przeobrażeniach, jakim ulegało pismo hieroglificzne, znamy jego rozwój, który od hieroglifów najstarszych prowadził do graficznego pisma „hieratycznego", a następnie, jeszcze później, po dalszych skrótach i uproszczeniach, do pisma użytkowego, tzw. „demotycznego". Za czasów Champolliona uczeni nie wiedzieli o tym rozwoju. Odkrycie, które pomagało w odczytaniu jednej inskrypcji, zawodziło przy próbie odczytania innej. Kto z Europejczyków umie dziś odczytać rękopis jakiegoś mnicha z XII wieku, nawet gdy pisany jest w jednym z nowoczesnych języków? W ozdobnym inicjale średniowiecznego pergaminu laik nie rozpozna nawet litery. A przecież od tych pism należących do naszego kręgu kulturowego nie dzieli nas nawet tysiąc lat.

Uczony stając przed hieroglifami miał przed sobą obce pismo, które w obcym kręgu kulturowym rozwijało się przez trzy tysiące lat.

Dziś rozróżnianie między „znakami fonetycznymi", „znakami słownymi" i „znakami pojęciowymi" nie nastręcza już żadnych trudności. Podział ten wniósł pierwszy ład w różnorodną wartość znaków i obrazków. Dziś nikogo to nie drażni, że jeden napis trzeba czytać z prawa na lewo, inny z lewa na prawo, jeszcze inny z góry na dół, wiadomo bowiem, że były to sposoby pisania właściwe różnym, dziś ustalonym już epokom. Rosellini we Włoszech, Leemans w Niderlandach, de Rouge we Francji, Lepsius i Brugsch w Niemczech zdobywali coraz to nowe szczeble poznania. Do Europy sprowadzono dziesięć tysięcy papirusów. Z czasem nauczono się płynnie odczytywać coraz to nowe napisy na grobowcach, pomnikach i świątyniach. W Paryżu, w latach 1836—1841, ukazało się pośmiertne wydanie *Grammaire ćgyptienne* Champolliona, później jego pierwszy szkic słownika staroegipskiego (objaśnienie języka zawsze szło ręka w rękę *z* odcyfrowaniem pisma), jego *Notatki* i wreszcie *Pomniki.* W oparciu o te wyniki i o dociekanie późniejszych badaczy nauka zdołała uczynić jeszcze jeden — praktycznie zbędny, ale jakże imponujący krok naprzód: od odczytania hieroglifów do pisania hieroglifami. W Egyptian Court Pałacu Kryształowego w Sydenham imiona królowej Wiktorii i księcia małżonka Alberta wypisane są pismem hieroglifowym. Na dziedzińcu Muzeum Egipskiego w Berlinie napis erekcyjny również wykonany jest w hieroglifach. Lepsius już przedtem umieścił na piramidzie Cheopsa w Gizeh tablicę pamiątkową i na niej w hieroglifach uwiecznił imię króla pruskiego Fryderyka Wilhelma IV, który wyposażył jego ekspedycję.

Człowiek, który wsławił się tym, że kazał przemówić pomnikom, sam do trzydziestego ósmego roku życia znał Egipt, przedmiot swych badań, jedynie z napisów. Spróbujmy towarzyszyć mu w jednej z jego pierwszych rzeczywistych przygód egipskich. Udajmy się za nim do Egiptu.

Uczonemu pracującemu w zaciszu swego gabinetu nie zawsze dane jest oglądać na własne oczy potwierdzenie swych teorii. Częstokroć nie nadarza mu się nawet sposobność zobaczenia miejsca, w którym wyobraźnią przebywał przez dziesiątki lat.

Champollionowi nie było sądzone do swych wielkich odkryć teoretycznych dodać jeszcze szczęśliwe odkrycia wykopaliskowe. Ale dane mu było przynajmniej zobaczyć Egipt, przekonać się naocznie o słuszności myśli, które powziął w swej samotni uczonego. Już jako młodzian, sięgając dalej niż po samo tylko odcyfrowanie hieroglifów, pracował nad chronologią i topografią starożytnego Egiptu. Snuł jedną hipotezę po drugiej, aby na podstawie skąpych danych umiejscowić w przestrzeni i w czasie jakiś posąg czy napis. Teraz wreszcie przybywał do kraju, który od lat był przedmiotem jego badań. Znalazł się po trosze w sytuacji zoologa, który wymodelował z resztek kości i skamielin postać ichtiozaura, a potem przeniesiony nagle w epokę kredową spotyka go obleczonego w krew i ciało.

Ekspedycja Champolliona (od lipca 1828 roku do grudnia 1829 roku) była jednym wielkim pochodem triumfalnym. Tylko urzędowi przedstawiciele Francji wciąż jeszcze nie mogli zapomnieć, że niegdyś uchodził za zdrajcę stanu (w ramach zarządzeń „tolerancyjnej monarchii" postępowanie przeciw niemu zostało umorzone; brak jednak co do tego bliższych szczegółów). Ale tubylcy ściągali tłumnie, aby zobaczyć człowieka, który „umie czytać pismo starych kamieni". Champollion musi stosować żelazną dyscyplinę, aby co wieczora ściągać uczestników swej ekspedycji na stojące na Nilu dwa statki „Hator" i „Izyda", pod osłonę tych „dwu życzliwych bogiń egipskich". Entuzjazm tubylców udziela się członkom ekspedycji, którzy w końcu odśpiewują nawet Mahommetowi bejowi, gubernatorowi okręgu Girge, *Marsylianką* i pieśni wolnościowe z opery *Niema z Portici.* Ale ekspedycja ponadto również pracuje. Champollion dokonuje jednego odkrycia po drugim. Znajduje wciąż nowe potwierdzenia swych teorii. W kamieniołomach Memfisu od pierwszego wejrzenia rozpoznaje i ustala periodyzację prac pochodzących z różnych epok. W Mit-Rahine odkrywa dwie świątynie i całe miasto umarłych. W Sakkarze (gdzie w kilka lat później Mariette odkryje wiele znalezisk) znajduje w jednej z inskrypcji imię króla „Onnos", którego natychmiast z niezawodną pewnością zalicza do najwcześniejszej epoki Starego Państwa. W Tel-el-Amarna odkrywa, że olbrzymia budowla, którą Jomard określił jako spichlerz zbożowy, była w rzeczywistości główną

świątynią tego miasta.

Potem dane mu jest zaznać triumfu, że słuszne było jego twierdzenie, które jeszcze przed sześciu laty przyniosło mu drwiny całej Komisji Uczonych.

Statki przybijają do brzegu w Denderze. Przed nimi leży świątynia, jedna z wielkich świątyń egipskich, o której dziś wiemy, że budowali ją kolejno królowie XII dynastii, najpotężniejsi władcy Nowego Państwa, Tutmos (Totmes) III, Ramzes Wielki i jego następca, kończyli zaś Ptole-meusze i Rzymianie Augustus i Nerwa; bramę i mur otaczający świątynię budowali jeszcze Domicjan i Trajan. Do tego właśnie miejsca, do Dendery, dotarły 25 maja 1799 roku wojska Napoleona po straszliwym marszu. Tu właśnie stanęły olśnione roztaczającym się przed nimi obrazem. Tu, na kilka miesięcy przedtem, generał Desaix, urzeczony potęgą i wspaniałością zaginionego państwa, zaprzestał ze swą dywizją pościgu za Mamelukami (rzecz nie do wiary dla generała XX wieku). Teraz stoi tu Champollion. Zna każdy niemal szczegół z opisów, rysunków, kopii i napisów (jakże często rozprawiał o tym z Denonem, który towarzyszył tu generałowi Desaix). Jest noc. Jasna, księżycowa, roziskrzona gwiazdami egipska noc. Towarzysze nalegają i Champollion ustępuje. Piętnastu uczonych biorących udział w ekspedycji, których teraz nic nie jest w stanie powstrzymać, z Champollionem na czele wdziera się na teren świątyni. Egipcjanin wziąłby ich za szczep Beduinów, Europejczyk za poczet dobrze uzbrojonych kartuzów.

L'höte, jeden z uczestników ekspedycji, opowiada o tym, z trudem dobierając słowa: „Pędzimy na los szczęścia przez gaj palmowy — czarodziejski widok w poświacie księżyca! Potem droga prowadzi przez wysokie trawy, ciernie i zarośla. Zawrócić? Nie, tego nie chcemy. Iść naprzód? Nie wiemy jak i którędy. Krzyczymy z całych sił, ale poza dalekim ujadaniem psów nie ma żadnej odpowiedzi. Wtem spostrzegamy obdartego fellacha, który zasnął pod jakimś drzewem. Uzbrojony w kij, odziany w kilka czarnych łachmanów, wygląda jak demon („wędrująca mumia" — mówi o nim Champollion). Przerażony, drżąc na całym ciele, wstaje pełen lęku, myśląc, że czeka go śmierć... Jeszcze dwie godziny tęgiego marszu i wreszcie skąpana w poświacie księżyca ukazuje się świątynia. Widok ten upaja nas podziwem... W drodze

śpiewaliśmy, aby przezwyciężyć niecierpliwość. Ale tu, pod zalanym światłem księżyca propylonem — co za wrażenie! Pod wspartym na olbrzymich kolumnach portykiem panuje niczym nie zmącona cisza i tajemniczy czar wywołany głębokimi cieniami — a na zewnątrz olśniewające światło księżyca. Niesamowity, cudowny kontrast...

Rozpalamy wewnątrz świątyni ognisko z suchej trawy... Nowy czar, nowy wybuch entuzjazmu, graniczącego z ekstazą. Ogarnia nas gorączka. Czujemy się bliscy szaleństwa. Byliśmy wszyscy w stanie upojenia... Ten czarodziejski obraz, pełen tajemniczości, był rzeczywistością — rzeczywistością pod portykiem świątyni w Denderze."

A co pisze o tym sam Champollion? Uczestnicy ekspedycji nazywają go „mistrzem". Champollion zachowuje licujący z tą godnością umiar: „Nie będę nawet próbował opisywać wrażenia, jakie zrobił na nas zwłaszcza portyk wielkiej świątyni. Można go wprawdzie wymierzyć, ale trudno dać jakiekolwiek o nim wyobrażenie. Nie można sobie wyobrazić doskonalszego połączenia wdzięku i majestatyczności. Spędziliśmy tu dwie godziny w ekstazie. Oprowadzani przez naszego nieszczęsnego fellacha, wędrowaliśmy po salach i próbowaliśmy w świetle księżyca odczytać napisy na zewnętrznej ścianie świątyni."

Jest to pierwsza wielka, dobrze zachowana egipska świątynia, która ukazuje się oczom spragnionego tego widoku Champolliona. Jego notatki spisane jeszcze w ciągu tej nocy świadczą o tym, z jaką intensywnością żył on już w Egipcie, zanim po raz pierwszy stanął na jego ziemi, jak dalece przygotowany był tym, co przebył w wyobraźni, marzeniach i myśli, tak że nic faktycznie nie wydawało mu się nowe, wszystko było dlań tylko potwierdzeniem. Nieoczekiwanie dochodził do zrozumienia rzeczy w jakimś metafizycznym punkcie przecięcia, gdzie nawet racjonalistyczne umysły nawiedza oświecenie. Dla towarzyszy, będących tylko uczonymi, jest niespodzianką.

Większość uczestników ekspedycji Champolliona patrzyła na świątynie, bramy, kolumny, napisy tylko jak na kamienie i martwe pomniki. Dla nich dziwaczny strój, w

jaki się poubierali, nie był niczym więcej jak maskaradą. Tymczasem Champollion żył, prawdziwie żył w tym stroju. Wszyscy ostrzygli sobie włosy, nosili na głowach ogromne turbany, mieli szamerowane złotem kurtki i buty z żółtej skóry. „Nosimy to dobrze i z arcydostojną miną" — notuje L'höte. Ale z tej uwagi przebija tylko uciecha, widać, że bawi go to przebranie. Natomiast Champollion, którego już w Grenoble nazywano „Egipcjaninem", porusza się w nim, zdaniem przyjaciół, jak najautentyczniejszy tubylec.

Champollion nie poprzestaje na odcyfrowaniu tekstów i interpretacji. Oddaje się pracy koncepcyjnej, na niejedno nagle otwierają mu się oczy. Głosi swój triumf odniesiony nad Komisją: to nie jest świątynia Izydy, jak twierdzą, to jest świątynia bogini Hator, bogini miłości. Ta świątynia w Denderze miałaby być „prastara"? Nic podobnego, ostateczną swą postać otrzymała dopiero za Ptolemeuszy, a ukończyli ją Rzymianie (cóż znaczy jej wiek — osiemnaście stuleci — wobec trzydziestu poprzednich stuleci historii Egiptu!). Przemożne wrażenie, jakie sprawiła na nim świątynia w świetle księżyca, nie przeszkadza mu rozpoznać, że budowla ta jest wprawdzie „arcydziełem architektury", ale „rzeźby, które ją pokrywają, są w najgorszym stylu". „Niechaj Komisja nie weźmie mi za złe — pisze Champollion — ale płaskorzeźby w Denderze są ohydne. Nie może być inaczej: wszak pochodzą z epoki upadku. Rzeźba była już zdegenerowana, natomiast sztuka budowlana, która jako sztuka oparta na obliczeniach cyfrowych nie ulega tak szybko przemianom, utrzymywała się jeszcze w postaci godnej egipskich bogów i podziwu wszystkich stuleci."

W trzy lata później Champollion umiera. Za wcześnie osierocił młodą jeszcze naukę egiptologii. Za wcześnie odszedł, nie dożył pełnego, nieograniczonego potwierdzenia wszystkich swych osiągnięć. Natychmiast po jego śmierci ukazują się, zwłaszcza spod pióra angielskich i niemieckich uczonych, paszkwile, które — dziś wiemy, ile w tym było zaślepienia — cały jego system odcyfrowania hieroglifów, mimo oczywistych, słusznych wyników, zbywają jako czczy wytwór fantazji. Ze świetną obroną Champolliona występuje Niemiec Richard Lepsius, który w 1866 roku znajduje dwujęzyczny tzw. „Dekret z Kanopus", potwierdzający niezbicie metodę

Champolliona. Wreszcie w 1896 roku angielski uczony Le Page-Renouf w przemówieniu w londyńskim Royal Society przywraca Champollionowi należne mu miejsce — w sześćdziesiąt cztery lata po jego śmierci!

Champollion rozwiązał tajemnicę pisma hieroglifów. Teraz można było sięgnąć do łopaty.

Książka ta daje tylko pewien przegląd. Krocząc od jednego wielkiego odkrycia archeologicznego do drugiego, nie może ona poświęcić dostatecznej uwagi mrówczej pracy uczonych, których wielką zasługą było sklasyfikowanie, skatalogowanie znalezisk, a zarazem i śmiała interpretacja, twórcze hipotezy i owocna inicjatywa.

Wielkie odkrycia egiptologiczne dokonane w ciągu najbliższych dziesięcioleci po odcyfrowaniu hieroglifów przez Champolliona łączą się — w kolejności i hierarchii podyktowanej naszą metodą opisu — z nazwiskami czterech ludzi. Są to Włoch — Belzoni, Niemiec — Lepsius, Francuz — Mariette i Anglik — Petrie. Można zwięźle, niemal że jednym słowem określić rolę, którą każdy z nich odegrał w dziejach egiptologii. Rolę Belzoniego jako Zbieracza, Lepsiusa — jako Systematyka, Mariette'a — jako Wielkiego Strażnika zabytków egipskich, a Petriego jako wielkiego ich Mierniczego i Interpretatora. Byłoby dobrą wróżbą na przyszłość, gdyby można widzieć w tym pewien symbol, że ci czterej archeologowie, należący do czterech wielkich narodów europejskich, pracowali nad jednym i tym samym dziełem, że zmierzali do jednego celu, złączeni wyższym nad wszystkie inne dążeniem do Poznania i Prawdy, które dopiero nasze stulecie — a nie ma ono powodu do tego, by się tym szczycić — podporządkowuje interesom narodowym.

Giovanni Battista Belzoni (1778—1823), który jeszcze na krótko przed przybyciem do Egiptu produkował się jako „siłacz" w jednym z cyrków londyńskich, to według słów archeologa Howarda Cartera „jedna z najciekawszych postaci w całej historii egiptologii". Dając taką charakterystykę Belzoniego miał Carter raczej na myśli jego osobę niż wielkość dokonanego przezeń dzieła. Wiemy przecież już od dawna, że w dziejach archeologii outsiderzy odgrywają wielką rolę. Ale spośród tych outsiderów Belzoni jest bez wątpienia jednym z najbardziej ekscentrycznych.

Urodzony w Padwie, pochodził z szanowanej rzymskiej rodziny. Przeznaczono go do stanu duchownego: miał zostać księdzem lub mnichem. Zanim jednak zdążył przywdziać habit zakonnika, wplątał się w jakąś polityczną aferę i zamiast powędrować do któregoś z włoskich więzień, zawsze gotowych do przyjęcia nowych „pensjonariuszy", wolał wyjechać do Londynu. W pewnej recenzji spotykamy jego nazwisko jako „włoskiego olbrzyma" i „siłacza", który co wieczór popisuje się obnoszeniem kilku mężczyzn dookoła sceny w jednym z podrzędnych teatrzyków londyńskich. Wtedy Belzoni niezawodnie daleki był jeszcze od jakichkolwiek ambicji archeologicznych. Nie jest wykluczone, że później studiował budowę maszyn (ale równie dobrze można przypuścić, że był po prostu szalbierzem udającym fachowca), bo oto w 1815 roku spodziewa się zrobić fortunę w Egipcie przez wprowadzenie mechanicznego koła hydraulicznego o czterokrotnie większej wydajności od stosowanych tam prymitywnych czerpaków-żurawi. W każdym razie musiał być człowiekiem nieprzeciętnie obrotnym, skoro zdołał uzyskać zezwolenie na wystawienie modelu swego wynalazku w pałacu Achmeta Alego. Achmet Ali bowiem, biedny jak mysz kościelna Albańczyk, później handlarz kawą, a po zawrotnej karierze najpierw dowódca wojsk, a potem pasza i władca Egiptu oraz części Syrii i Arabii, był raczej groźnym człowiekiem. Gdy Belzoni przybył do niego, był on już od dziesięciu lat, jako następca wypędzonego tureckiego gubernatora, zatwierdzonym przez Wysoką Portę paszą Egiptu. Dwa razy pobił na głowę wojska angielskie i urządził jedną z największych w dziejach świata rzezi, likwidując swój zatarg polityczny z Mamelukami w ten prosty sposób, że pod jakimś pretekstem sprosił wszystkich czterystu osiemdziesięciu bejów na „bankiet" do Kairu i tu kazał ich zamordować. Tak czy owak faktem jest, że Achmet Ali, choć jak widzimy, skądinąd zwolennik „postępu", nie dał się przekonać o celowości zastosowania wynalazku Belzoniego. Ten jednak uzyskał tymczasem od szwajcarskiego podróżnika po Afryce, Burckhardta, list polecający do angielskiego konsula generalnego w Egipcie, Salta, i podjął się dla niego przewiezienia z Luksoru do Aleksandrii „kolosu Memnona" (popiersia Ramzesa II; dziś stoi ono w Muzeum Brytyjskim w Londynie).

Następne pięć lat życia Belzoniego wypełnia zbieranie egipskich zabytków. Zbiera je zrazu dla Salta, potem na własny rachunek. Zbiera wszystko, co mu się nawija pod łopatę, od skarabeuszów do obelisków (gdy taki obelisk podczas transportu wpada mu do Nilu, Belzoni wyławia go z wody). Czyni to wszystko w czasie, gdy Egipt, znany już teraz szeroko jako największe na świecie cmentarzysko zabytków, stał się przedmiotem bezplanowej, chaotycznej grabieży. Nikt nie wzdragał się wtedy poszukiwać w Egipcie złota antycznego takimi samymi metodami, jakie w dwadzieścia lat później stosowali poszukiwacze naturalnego złota w Australii i Kalifornii. Nie istniały tu żadne prawa, a jeżeli istniały, to nikt na nie nie zważał. Niejeden spór rozstrzygano dubeltówką.

Czyż można się dziwić, że tego rodzaju pasja zbierania, w której chodziło tylko o zdobycie obiektu, a nie o zdobycie poznania, więcej niszczyła, niż odkrywała, więcej wyrządzała szkód, niż przysparzała wiadomości? Również Belzoni, który jak się wkrótce okazało, mimo zmiennych kolei dotychczasowego życia znalazł czas na przyswojenie sobie pewnych wiadomości fachowych, nie znał w dążeniu do zdobycia pożądanego obiektu żadnej przeszkody. Wystarczy powiedzieć, ze zapieczętowane komory grobowe rozbijał taranem.

Przy tego rodzaju metodach, od których archeologowi włosy stają dęba na głowie, wydaje się na pierwsze wejrzenie rzeczą niezrozumiałą, jak człowiek pokroju Howarda Cartera może o nim mówić w innym miejscu swej książki, że należy mu się „pełne uznanie za jego wykopaliska i sposób ich prowadzenia". Ale nie należy zapominać, że Belzoni był dzieckiem swoich czasów i że poza tym dokonał — po raz pierwszy na tak wielką skalę — dwóch rzeczy, które miały stać się pierwszymi ogniwami nie zamkniętego jeszcze łańcucha badań archeologicznych.

W październiku 1817 roku Belzoni odkrył w dolinie Biban-el-Muluk koło Teb obok innych grobów długi na sto metrów grób Setiego I, poprzednika wielkiego Ramzesa, pogromcy Libijczyków, Syryjczyków i Hetytów. Znaleziona przez Belzoniego wspaniała trumna z alabastru znajduje się w muzeum Soane w Londynie. (Sarkofag ten był pusty już od trzech tysięcy lat; zasługa znalezienia mumii Setiego i wykrycia

wszystkich wędrówek, jakie odbyła, miała przypaść w udziale komu innemu, nie Belzoniemu). Wyśledzenie tajemnicy tego grobu zapoczątkowało najważniejsze odkrycia w „Dolinie Królów", które swój punkt kulminacyjny osiągnęły dopiero w naszym stuleciu.

W rok później, 2 marca 1818 roku, Belzoni — jak jeszcze dzisiaj obwieszcza to zwiedzającym napis nad wejściem — otworzył drugą piramidę w Gizeh, piramidę Chefrena, gdzie przedostał się aż do komory grobowej. Te pierwsze badania dały początek nauce o piramidach, największych budowlach starożytnego świata. We wnętrzu tych regularnych, geometrycznych konstrukcji zaczęły z mroków wczesnej historii egipskiej wyłaniać się pierwsze ludzkie rysy ukazujące nam starożytnych Egipcjan.

Belzoni nie był pierwszym, który szperał w „Dolinie Królów". I nie on pierwszy szukał wejścia do jednej z piramid. Ale chociaż był raczej poszukiwaczem złota niż prawdy, to jednak on pierwszy w dwóch miejscach: przed komorą grobową i przed piramidą — zbliżył się do problemów archeologicznych, które jeszcze i dzisiaj w tych samych miejscach zadają archeologom nie rozwiązane dotąd zagadki.

W 1820 roku udał się Belzoni do Anglii i w wybudowanej na osiem lat przedtem Egyptian Hali w Piccadilly urządził wystawę, której głównymi eksponatami i największą ozdobą były alabastrowa trumna Setiego i model jego grobowca. W kilka lat później Belzoni zmarł w czasie nowej podróży eksploracyjnej do Timbuktu. Darujmy mu, ze w tebańskim Ramesseum uwiecznił swe nazwisko na tronie Ramzesa II i że obok wielkich swych zasług zapoczątkował tym wandalski zwyczaj, który odtąd przez całe generacje kontynuuje, ku zgorszeniu i oburzeniu archeologów, niejeden Mr. Brown, Herr Schmid czy Monsieur Blanc.

Belzoni był wielkim Zbieraczem. Teraz przyszedł czas na wielkiego Systematyka.

Aleksander von Humboldt, podróżnik i przyrodnik, nakłonił króla pruskiego Fryderyka Wilhelma IV (który na ogół więcej snuł planów, niż dokonał czynów) do

wyasygnowania znacznych sum pieniężnych na ekspedycję badawczą do Egiptu. Na jej kierownika powołano Richarda Lepsiusa. Nie można było dokonać szczęśliwszego wyboru.

Lepsius urodził się w 1810 roku w Naumburgu. Studiował filologię i lingwistykę porównawczą. Promował się na doktora mając lat dwadzieścia trzy, a w wieku trzydziestu dwóch lat został profesorem nadzwyczajnym uniwersytetu w Berlinie. W rok później, po dwuletnich przygotowaniach, wyruszył z ekspedycją do Egiptu.

Ekspedycja była obliczona na trzy lata, od 1843 do 1845 roku. Miała więc to, czym dotąd nie rozporządzała żadna ekspedycja naukowa: miała czas. Nie chodziło jej już tylko o szybkie odkrycia, lecz o źródłowe zbadanie znalezisk i ich rejestrację. Mogła zatknąć łopatę wszędzie, gdzie tylko istniały jakieś widoki powodzenia. Na same badania w Memfis zużyła sześć miesięcy, na badania w Tebach — siedem (dziś, jeżeli uprzytomnić sobie, że w naszym stuleciu badania samego tylko grobu Tutanchamona pochłonęły kilka lat, czas użyty przez Lepsiusa na badanie ogromnych terenów ruin wydaje się krótki, wtedy jednak było to bardzo dużo).

Pierwszym sukcesem Lepsiusa było odkrycie kilku pomników z okresu Starego Państwa (Stare Państwo — to okres wczesnej historii Egiptu od około 2900 do 2270 roku przed Chr., okres budowy piramid). Znalazł ślady i resztki nie znanych dotąd piramid, których ogólna liczba wzrosła przez to do sześćdziesięciu siedmiu. Ponadto odkrył zupełnie do tego czasu nie znany rodzaj grobów, tzw. mastaby (groby szybowe możnych Starego Państwa), i zbadał sto trzydzieści takich grobów. W Tel-el-Amarna ukazała się w pierwszych zarysach sylwetka Amenhotepa IV, reformatora religijnego. Lepsius pierwszy dokonał pomiarów „Doliny Królów". Z płaskorzeźb na ścianach świątyń, z niezliczonych inskrypcji, a przede wszystkim ze znacznych ilości kartuszów z imionami królów sporządzono kopie lub odlewy. Spenetrował, przetrząsnął historię kilku tysięcy lat i dotarł w ten sposób aż do czwartego tysiąclecia przed Chr. (tak mu się zdawało, dziś wiemy, że chodziło o trzecie tysiąclecie). Był pierwszym badaczem, dla którego to, co widział, układało się w pewną uporządkowaną całość, pierwszym, który widział egipską historię, widział rzeczy w

procesie ich powstawania, tam gdzie przed nim inni widzieli tylko porozrzucane rozwaliny.

Owocem prac wykopaliskowych ekspedycji Lepsiusa były skarby zebrane potem w Muzeum Egipskim w Berlinie. Owoc jej studiów u samego źródła stanowiła niezliczona ilość publikacji począwszy od wspaniałego dwunastotomowego wydawnictwa albumowego *Denkmäler Ägyptens und Äthiopiens* (Pomniki Egiptu i Etiopii) — dzieło to można by nazwać wnukiem *Description de l'Egypte* Jomarda — aż do specjalistycznych badań nad najbardziej odległymi od właściwego tematu zagadnieniami. Gdy Lepsius zmarł w 1884 roku, w wieku siedemdziesięciu czterech lat, jego niemiecki biograf Georg Ebers — doskonały egiptolog, ale lichy powieściopisarz, którego romanse z faraońskiego Egiptu, *Uarda i Egipska króleuma,* jeszcze na przełomie naszego wieku znaleźć można było w każdej wypożyczalni i w biblioteczce każdego podlotka — miał pełne prawo powiedzieć, że Richard Lepsius był właściwym twórcą współczesnej naukowej egiptologii.

Dwie przede wszystkim prace zapewniają na zawsze Lepsiusowi w oczach potomności miano wielkiego Systematyka egiptologii: wydana w 1849 roku w Berlinie *Chronologie Aegyptens* (Chronologia Egiptu) i wydana w rok później, również w Berlinie, praca *Aegyptisches Königsbuch* (Księga królów egipskich).

Egipcjanie, podobnie jak wszystkie inne ludy starożytne, nie mieli rozpoczynającej się od pewnego ustalonego momentu historycznego dokładnej rachuby czasu w naszym rozumieniu tego słowa, nie mieli ścisłego poczucia historycznego. Tylko niewzruszona wiara w postęp, charakterystyczna dla XIX wieku — stulecia, które uważało siebie za szczytowy wykwit wszystkich czasów — mogła się w tym dopatrywać dziejowej prymitywności. Dopiero Oswald Spengler dostrzegł w tym „braku" jedynie charakterystyczny sposób patrzenia na rzeczy, właściwe starożytnym ludom pojęcie czasu, które tym tylko różni się od naszego, że było od niego „odmienne".

Gdzie nie ma rachuby czasu, tam nie ma też dziejopisarstwa. Toteż Egipt nie miał historyków. Miał tylko bardzo niekompletne kroniki, wzmianki o rzeczach przeszłych, pod względem historycznym na ogół nie o wiele bliższe prawdy niż nasze podania i baśnie. Wyobraźmy sobie, jak by to wyglądało, gdybyśmy dzisiaj próbowali odtworzyć jako tako dokładną co do lat chronologię historii naszego zachodniego świata na podstawie napisów na gmachach publicznych, tekstów Ojców Kościoła i bajek braci Grimm. A przed takim mniej więcej zadaniem stali archeolodzy, gdy podjęli pierwsze próby chronologicznego zrekonstruowania przebiegu dziejów Egiptu. Musimy się tu pokrótce zatrzymać nad próbami stworzenia tego rodzaju chronologii. Dają one bowiem znakomity przykład przenikliwości, z jaką archeolog wykorzystując pojedyncze punkty zaczepienia, zabrał się do uporządkowania wydarzeń czterech tysiącleci. Z jakim skutkiem? Z tym, że znamy dziś daty egipskie znacznie dokładniej, niż znali je na przykład Grecy, niż znał je Herodot, który podróżował po Egipcie blisko dwa i pół tysiąca lat temu. (Aby nie powracać do tego tematu, wybiegamy tu naprzód opierając przytaczane dane na wiadomościach późniejszych od czasów Lepsiusa i jego poprzedników).

Jakkolwiek więc wszystkie źródła egipskie należało z góry traktować ostrożnie, to jednak pierwszy punkt zaczepienia znaleziono w pewnym dokumencie spisanym przez egipskiego kapłana. Był nim Manethom z Sebennytosu, który około 300 roku przed Chr., za panowania pierwszych dwóch królów dynastii Ptolemeuszów (a więc krótko po śmierci Aleksandra Wielkiego), napisał — już w języku greckim — historię swego kraju, *Kroniki egipskie.*

Przy tym dzieło jego nawet nie zachowało się w całości. Znamy je tylko z fragmentów i wyjątków cytowanych przez późniejszych pisarzy, jak Julius Africanus, Euzebiusz i Józef Flawiusz. Manethon podzielił długą listę znanych mu faraonów na trzydzieści „dynastii". Podział ten został przez nas przejęty i jest stosowany po dziś dzień, chociaż dawno znane nam są błędy źródeł Manethona i chociaż współczesny amerykański historyk Egiptu J. H. Breasted nazywa jego książkę „zbiorem dziecinnych bajek ludowych".

Mimo tak ostrego sądu musimy sobie uprzytomnić, że Manethon, nie mając żadnego poprzednika, a przystępując do napisania historii trzech tysięcy lat, znajdował się mniej więcej w takiej samej sytuacji, w jakiej znalazłby się współczesny historyk grecki, który, zdany jedynie na zachowane podania i tradycje, chciałby dziś napisać historię Grecji od czasów wojny trojańskiej. Lista królów Manethona była przez kilkadziesiąt lat punktem oparcia dla archeologów (dodajmy tu zresztą, że nazwa „archeologia", jak dotąd, tak i nadal jest uogólniającym pojęciem wszystkich nauk o starożytności; ponieważ zaś bogactwo egipskich pomników i inskrypcji wymagało studiów specjalnych, przeto od czasu Lepsiusa mówimy o „egiptologii", tak jak ostatnio przywykliśmy używać terminu „asyriologia" w odniesieniu do badań archeologicznych w Mezopotamii). Jak daleko nauka z czasem odeszła od Manethona i jego datowań, pokazuje nam poniższa lista prób ustalenia roku, w którym król Menes po raz pierwszy dokonał zjednoczenia Górnego i Dolnego Egiptu, a więc ustalenia najstarszej dynastycznej daty, od której rozpoczyna się właściwa historia Egiptu:

Champollion ustala tę datę na 5867 r. przed Chr., Lesueur na 5770 r., Bökh na 5702 r., Unger na 5613 r., Mariette na 5004 r., Brugsch na 4455 r., Lauth na 4157 r., Chabas na 4000 r., Lepsius na 3892 r., Bunsen na 3623 r., Ed. Meyer na 3180 r., Wilkinson na 2320 r., Palmer na 2225 rok przed Chr. Ostatnio podaje się znowu daty wcześniejsze. Według Breasteda połączenie Górnego i Dolnego Egiptu przez króla Menesa nastąpiło w 3400 roku, według Niemca Georga Steindorffa w 3200 roku. Najnowsze badania ustalają tę datę na 2900 rok przed Chr.

Jest rzeczą oczywistą, że wszystkie te datowania stawały się coraz trudniejsze w miarę tego, jak sięgano w coraz dalszą przeszłość. Do nowszej historii Egiptu (rozumiemy przez nią okres Nowego Państwa i tzw. „epokę późną", które były już zakończone wówczas, gdy Cezar leżał u boku Kleopatry) można było posługiwać się porównawczymi datami historii asyro-babilońskiej, perskiej, hebrajskiej i greckiej (Lepsius w 1859 roku wydał pracę *Über einige Berührungspunkte der ägyptischen, griechischen und römischen Chronologie* — O niektórych punktach stycznych chro-

nologii egipskiej, greckiej i rzymskiej).

Dla bardziej odległej przeszłości wyłoniły się nagle nowe możliwości porównawcze i kontrolne, gdy w 1843 roku przewieziono do paryskiej Biblioteki Narodowej tzw. „Tablicę królewską z Karnaku", która zawiera spis władców Egiptu od czasów najstarszych aż do osiemnastej dynastii. W Muzeum Egipskim w Kairze możemy dziś oglądać znalezioną w pewnym grobowcu „Tablicę królewską z Sakkary", która po jednej stronie zawiera hymn na cześć Ozyrysa, boga podziemia, na drugiej zaś modlitwę pisarza Tunri do pięćdziesięciu ośmiu wyliczonych w dwu rzędach królów, z których pierwszym jest Miebis, ostatnim zaś Ramzes Wielki. Słynniejsza jednak, a dla egiptologii ważniejsza jest „Lista królewska z Abydos" (Abdżu). W jednej z galerii świątyni boga Seta widzimy króla Setiego Ii — jeszcze jako następcę tronu — Ramzesa II. Oddają oni cześć — Seti porusza przy tym kadzielnicą — swym przodkom, których nie mniej niż siedemdziesięciu sześciu wyliczonych jest imiennie. (Wymienione też są odpowiednie ilości chleba, piwa, wołowiny, gęsiny, kadzidła, których nie wolno zapominać przy składaniu ofiar.) Dawało to oczywiście możliwości porównań, sprawdzenia kolejności królów, ale nie pozwalało ustalić dat ich panowania.

Istniały wszakże dane, rozsiane mniej więcej wszędzie, o latach panowania kilku królów, o czasie trwania tej czy innej wyprawy wojennej lub budowy jakiejś świątyni. Z tego tzw. „dodawania minimalnej długości" okresu panowania wszystkich królów powstał szkielet historii Egiptu.

Pierwsze bezsporne datowania umożliwiło coś, co było starsze od Egiptu, starsze niż historia ludzkości, starsze od samego rodzaju ludzkiego: bieg ciał niebieskich.

Egipcjanie mieli kalendarz słoneczny (potrzebny im był od najdawniejszych czasów, aby obliczać z góry okres przyborów Nilu, od których zależało istnienie kraju), jedyny do pewnego stopnia zaspokajający praktyczne potrzeby kalendarz starożytności. Nie był on, jak się dalej przekonamy, pierwszym kalendarzem, chociaż według Ed. Meyera pochodzi z 4241 roku przed Chr. Kalendarz egipski stanowił zresztą podstawę wprowadzonego w Rzymie w 46 roku przed Chr. „kalendarza juliańskiego",

przyjętego przez świat zachodni i dopiero w 1582 roku n.e. zastąpionego kalendarzem gregoriańskim.

Archeologowie zwrócili się o radę do matematyków i astronomów. Przedłożyli im stare teksty, przetłumaczone inskrypcje, uprzystępnili w czytelnej formie wszystkie hieroglificzne wzmianki o wydarzeniach astronomicznych, o biegu ciał niebieskich. W ten sposób na podstawie wiadomości o wzejściu gwiazdy Syriusz — z wzejściem Syriusza w pierwszym dniu miesiąca Thout, a więc 19 lipca, rozpoczynał się rok egipski — udało się początek XVII dynastii ustalić dość dokładnie na 1580 rok przed Chr., a początek XII dynastii na około 2000 rok przed Chr., (z dokładnością od trzech do czterech lat).

Teraz więc posiadano pewne punkty wyjścia, do których można było „dopasować" znane już lata panowania całego szeregu królów egipskich. Pozwoliło to stwierdzić, że dane Manethona o trwaniu panowania niektórych dynastii były absurdalne, bo jak dziś wiemy, w wielu wypadkach aż dwukrotnie przesadzone. W oparciu o ten szkielet dziejów trzech tysiącleci można było za pomocą tak uzyskanej chronologii — a pierwszą taką praktycznie przydatną chronologię stworzył systematyk egiptologii Lepsius — przystąpić do nakreślenia historii Egiptu.

Dla łatwiejszego zrozumienia powiązań dziejowych podajemy tu krótki przegląd historii Egiptu (najlepszym jeszcze i dzisiaj dziełem w tej dziedzinie jest książka amerykańskiego historyka J. H. Breasteda *A history of Egypt).*

Kultura egipska jest nierozerwalnie związana z Nilem. Z pierwszego połączenia się rozdrobnionych państewek w scalone organizmy polityczne powstało w delcie Nilu „Państwo Północne", a między Memfisem (Kairem) i pierwszą kataraktą Nilu „Państwo Południowe".

Właściwa historia Egiptu rozpoczyna się od zjednoczenia obu „Państw" około 2900 roku przed Chr. pod panowaniem króla Menesa (I dynastia).

Liczne następujące teraz po sobie dynastie ujęto dla uzyskania lepszego przeglądu w kilka większych grup, które określa się jako „Państwa". (Datowania, zwłaszcza, jeżeli chodzi o okres wczesnoegipski, są jeszcze i dziś niedokładne i mogą w odniesieniu do

początków historii egipskiej odbiegać od rzeczywistości o około stu lat. Daty i układ dziejów Egiptu aż do czasów Nowego Państwa podaję tu za niemieckim historykiem Georgiern Steindorffem. Potem obieram przejrzysty, odpowiadający celom niniejszej książki układ historyczny, jednakże daty dynastyczne nadal podaję za tym samym autorem).

STARE PAŃSTWO (2900—2270 r. przed Chr.)
obejmuje okres panowania dynastii I do VI. Jest to okres pełen niezbadanych zagadek początków egipskiej kultury, która stwarza swe pierwsze prawa, religię, pismo, pierwsze formy artystyczne. Jest to okres budowy piramid w Gizeh — królów Cheopsa, Chefrena i Mykerinusa; wszyscy trzej należą do IV dynastii.

PIERWSZY OKRES PRZEJŚCIOWY (2270—2100 r. przed Chr.)
rozpoczyna się od katastrofalnego upadku Starego Państwa. Okres ten, w którym utrzymuje się w Memfisie całkowicie osłabiona władza królewska, jest, być może, okresem przejścia do feudalizmu. Pierwszy okres przejściowy obejmuje panowanie dynastii VII do X o ogólnej liczbie ponad trzydziestu królów.

ŚREDNIE PAŃSTWO (2100—1700 r. przed Chr.)
stoi pod znakiem książąt tebańskich, którzy obalają królów w Herakleo-polis i łączą znowu Górny i Dolny Egipt w jedno państwo. Obejmuje ono królów od XI do XIII dynastii. Jest okresem najwyższego rozkwitu kulturalnego, który za panowania czterech królów imieniem Amenemhet i trzech imieniem Sezostris przejawia się w wielu wspaniałych budowlach.

DRUGI OKRES PRZEJŚCIOWY (1700—1555 r. przed Chr.)
stoi pod znakiem panowania Hyksosów. W okresie tym panują królowie XIV do XVI dynastii. Semicki lud Hyksosów („królowie pasterzy") zdobywa Egipt, panuje przez

sto lat, zostaje jednak w końcu wypędzony przez książąt tebańskich (XVII dynastia). (Dawniej przypuszczano, że z wypędzeniem Hyksosów łączy się biblijne podanie o wyjściu Żydów z Egiptu. Dziś od tej tezy odstąpiono.)

NOWE PAŃSTWO (1555—1090 r. przed Chr.)

jest opoką politycznej mocarstwowości, faraońskiego „cezaryzmu". Obejmuje panowanie królów od XVIII do XX dynastii. Podboje Tutmosa III stwarzają kontakty z Azją Przednią, zmuszają obce ludy do płacenia Egiptowi daniny i powodują napływ olbrzymich bogactw. Powstają wspaniałe budowle. Amenhotep III nawiązuje stosunki z królami Babilonii i Asyrii. Po nim następuje Amenhotep IV (którego małżonką jest Nefretete), wielki reformator religijny. Zastępuje dawną religię kultem słońca i odtąd przybiera imię „Echnaton". Na piaskach pustyni wznosi nową stolicę Tel-el-Amarna, która zajmuje miejsce Teb. Nowa religia nie przetrwała jednak swego twórcy; wygasa w czasie wojen domowych. Za panowania jego zięcia Tutanchamona stolicą kraju stają się znowu Teby. Do najwyższej jednak potęgi politycznej dochodzi Egipt za panowania faraonów XIX dynastii. Ramzes II, nazwany później Wielkim, w ciągu sześćdziesięcioszścioletniego panowania przejawia swą potęgę w monumentalnych, ściślej — kolosalnych budowlach w Abu Simbel, Karnaku, Luksorze, w „Ramesseum", Abydos i Memfisie.

Po jego śmierci następuje okres anarchii. Ramzes III, który panuje dwadzieścia jeden lat, przywraca znowu spokój i porządek. Później Egipt popada pod władzę kapłanów boga Amona, którzy od dłuższego już czasu wzrastali w potęgę.

TRZECI OKRES PRZEJŚCIOWY (1090—712 r. przed Chr.)

ta przeplatające się ze sobą czasy rozkwitu i upadku. Panują w nim królowie XXI do XXIV dynastii, w tym Sezonchis I, który zdobył Jerozolimę i zburzył świątynię Salomona. Za panowania XXIV dynastii cały Egipt przechodzi czasowo pod panowanie Etiopii.

EPOKA PÓŹNA (712—525 r. przed Chr.)

Za panowania XXV dynastii Egipt zdobywają Asyryjczycy pod królem Asarhaddonem. XXVI dynastii udaje się raz jeszcze zjednoczyć Egipt (ale już bez Etiopii). Na skutek kontaktów z Grecją ożywia się komunikacja, handel i kultura. Ostatni król tej dynastii Psametych III zostaje zwyciężony przez króla Kambizesa pod Peluzjum. Egipt staje się prowincją perską. W 525 roku kończy się właściwa historia Egiptu, kończą się dzieje jego samoistnej kultury.

PANOWANIE PERSKIE (525—332 r. przed Chr.)

umocnione za panowania Kambizesa, Dariusza I i Kserksesa I — upada za Dariusza II. Kultura egipska w okresie tym żyje swą dawną tradycją; kraj staje się „łupem silnych ludów".

PANOWANIE GREKÓW I RZYMIAN (332 r. przed Chr. do 638 po Chr.)

W 332 r. przed Chr. Aleksander Wielki zdobywa Egipt i zakłada Aleksandrię, która staje się ogniskiem szeroko promieniującej stąd kultury greckiej. Po upadku imperium Aleksandra Ptolemeusz III raz jeszcze przywraca Egipt do politycznej potęgi. Ostatnie dwa stulecia przed Chr. wypełnione są dynastycznymi walkami Ptolemeuszy. Egipt popada coraz bardziej pod wpływy Rzymu. Za panowania późniejszych cesarzy rzymskich zachowane zostają pozory narodowego państwa egipskiego, w rzeczywistości jednak jest ono już tylko rzymską prowincją — eksploatowaną kolonią i spichlerzem imperium rzymskiego.

Chrześcijaństwo wcześnie wkracza do Egiptu, który jednak od 640 r. n.e. popada w całkowitą zależność od państwa arabskich kalifów, potem zaś od państwa Osmanów. Dopiero ekspedycja egipska Napoleona umożliwia mu zetknięcie z historią europejską.

W 1850 roku Auguste Mariette, trzydziestoletni archeolog francuski, wszedł na wzgórze cytadeli w Kairze. Chociaż dopiero co wylądował w Egipcie, chciał jak najprędzej zobaczyć tak gorąco zachwalany cudzoziemcom roztaczający się stąd

widok na miasto. Ale Mariette widzi więcej niż leżący u jego stóp Kair. Widzi całe istniejące tu ongiś państwo. Jego oczy, oczy dobrze przygotowanego archeologa, wybiegają poza strzeliste minarety do zarysowujących się na skraju zachodniej pustyni sylwetek olbrzymich budowli i widzą w nich jedno tylko: zaginiony świat. Przybył do Egiptu dla spełnienia przelotnego zadania. Tymczasem widok z kair-skiej cytadeli stał się dla niego przeznaczeniem.

Urodzony w 1821 roku w Boulogne, wcześnie już zajął się studiami egiptologicznymi. W 1849 roku został asystentem Muzeum Luwru w Paryżu. Otrzymał polecenie zakupienia w Kairze pewnych papirusów. Gdy jednak przybył do Egiptu i przekonał się naocznie o rabunkowej gospodarce, uprawianej w dziedzinie zabytków starożytności, rychło przestają go interesować targi o zakup papirusów prowadzone z handlarzami antyków, rozważa natomiast konkretne kroki, którymi można by zaradzić tym nadużyciom. Zaradzić? Mariette widział, że Egipt sam nie zdając sobie z tego sprawy, przeprowadzał generalną wyprzedaż starożytnych zabytków. Uczeni i turyści, prowadzący wykopaliska archeologowie, kto tylko z jakichkolwiek powodów stawał na ziemi egipskiej — wszyscy zdawali się być opętani manią „zbierania antyków", co w praktyce oznaczało obrabowywanie starych budowli i wywożenie z kraju najkosztowniejszych pamiątek. Tubylcy pomagali w tym dziele. Robotnicy najmowani przez archeologów kradli cichaczem wszystkie mniejsze przedmioty i sprzedawali je za bezcen cudzoziemcom, którzy byli tak „głupi", by płacić za nie brzęczącym złotem. Przy tym wciąż jeszcze bez żadnych skrupułów burzono, niszczono różne obiekty, ważniejsza bowiem od sukcesu naukowego była bezpośrednia zdobycz materialna. Znowu, mimo wzorowego przykładu, jaki dawał swym postępowaniem Lepsius, weszły w modę metody stosowane za czasów Belzoniego. Toteż Mariette, aczkolwiek nade wszystko pociągały go badania archeologiczne i wykopaliska, zrozumiał, że dla przyszłości archeologii najważniejszą rzeczą jest zachować zabytki egipskie, uchronić je przed rabunkową gospodarką. Postanowił na zawsze pozostać w Egipcie, gdzie tylko on mógł roztoczyć nad nimi opiekę i ochronę. Wtedy nie śniło mu się nawet, jakie czekają go tutaj sukcesy. Nie

podejrzewał, że za parę lat dzięki niemu powstanie największe na świecie muzeum egiptologiczne.

Ale i Mariette, ten trzeci z kolei wśród czterech wielkich egiptologów ubiegłego stulecia, nim spełnił swe posłannictwo — zachowanie i ochrona skarbów Egiptu — poszedł przede wszystkim drogą odkryć archeologicznych.

Krótko po przybyciu do Egiptu zwrócił uwagę na pewną dziwną okoliczność. W luksusowych prywatnych ogrodach dostojników, jak również przed nowszymi świątyniami, tak w Aleksandrii, jak w Kairze i Gizeh, ustawione dla ozdoby — podobnie jak dla ozdoby ustawione były antyczne greckie posągi w pysznych ogrodach — stały zupełnie jednakowe kamienne sfinksy. Mariette pierwszy postawił pytanie: skąd pochodzą te sfinksy? Kto je tu przy wlókł?

Przypadek odgrywa wielką rolę we wszystkich odkryciach. Mariette wędrując po gruzowiskach Sakkary w pobliżu wielkiej piramidy stopniowej znowu znalazł sfinksa. Tylko głowa wystawała z piasku. Mariette bynajmniej nie był pierwszym, który ją zauważył. Ale on pierwszy dostrzegł, że ten sfinks był zupełnie podobny do sfinksów w Kairze i Aleksandrii. Gdy zaś znalazł napis, w którym wymieniony był Apis, święty byk z Memfisu, wszystko, co dotąd przeczytał, zasłyszał lub widział na własne oczy, skojarzyło się w jego głowie z wizją tajemniczej, zaginionej alei sfinksów. Wiedziano, że taka aleja niegdyś istniała, lecz nikt się nie orientował, gdzie należy jej szukać. Mariette najął kilku Arabów, sam wziął w rękę łopatę. Odkopał sto czterdzieści jeden sfinksów.

Dziś najważniejszą część tego wszystkiego, co pod Sakkarą znajdowało się już to na powierzchni piasków, już to pod piaskiem, nazywamy „Serapeum" lub „Serapeion" — od boga Serapisa. Wszystko, co znajdowało się także pod piaskiem? Gdy Mariette odnalazł aleję sfinksów łączącą dwie świątynie (poza dobrze zachowanymi sfinksami odkrył w niej niezliczoną ilość fundamentów, z których sfinksy skradziono i zawleczono nie wiadomo dokąd) i odsłonił ją spod wiecznie znoszonych tu wiatrem

piasków, które i dziś znowu od dawna pokryły Serapeum, znalazł jednocześnie jeszcze coś innego, co zawsze wymieniano w połączeniu z aleją sfinksów: groby świętych byków Apis. Odkrycie to pozwoliło mu wejrzeć głęboko w pewne obce nam, niesamowite formy kultu religijnego Egipcjan, które już starożytnym Grekom wydawały się tak dalece obce i niesamowite, że w swych opisach podróży wspominali o nich jako o rzeczach niezwykłych i przejmujących zgrozą.

Bogowie Egipcjan dopiero w późniejszym okresie dziejów przybrali postaci ludzkie. W świadomości religijnej czasów dawniejszych wcieleni byli w znaki, rośliny i zwierzęta. Inkamacją bogini Hator była sykomora, bóg Neferten żył w kwiecie lotosu, bogini Neith czczona była jako tarcza, do której przybite były dwie na krzyż złożone strzały. Przede wszystkim jednak bóstwo objawiało się w postaci zwierząt: bóg Chnum jako baran, bóg Horus — jako sokół, bóg Thout — jako ibis, bóg Suchos — jako krokodyl, bogini Bubastis — jako kot, a bogini Buto — jako wąż.

Ale obok tych bożków w postaci zwierzęcej czczono i samo zwierzę, jeżeli posiadało pewne szczególne znamiona. Takim najbardziej znanym zwierzęciem, otoczonym najpyszniejszym kultem, jakim kiedykolwiek otaczano na świecie jakiekolwiek zwierzę, był Apis, święty byk z Memfisu, którego Egipcjanie uważali za „sługę boga Ptah".

Święte to zwierzę spędzało swe życie w świątyni, gdzie opiekę nad nim roztaczali kapłani. Gdy zdychało, wśród uroczystych ceremonii balsamowano je i grzebano, a jego miejsce zajmował inny byk o takich samych znamionach. Powstały cmentarze byków — cmentarze godne bogów lub królów. Do takich cmentarzy zwierzęcych należą groby kotów w Bubastis i Benihasan, groby krokodylów w Ombos, groby ibisów w Aszmunen, groby baranów w Elefantynie. Kulty tych zwierząt przenosiły się z jednego okręgu kraju na drugi i ulegały w dziejach Egiptu niezliczonym przemianom, raz wybuchając z niezwykłą siłą, to znów idąc w zapomnienie na całe stulecia. (Ten z nas, komu wyda się to dziwne i kto może zbędzie to uśmiechem, niechaj spróbuje sobie wyobrazić, jak absurdalny wydawać się musi wszystkim ludziom należącym do innych kręgów kulturowych nasz kult niepokalanego poczęcia

Najświętszej Panny.)

Mariette stał tedy na cmentarzu świętych byków Apis. Nad wejściem, podobnie jak w grobowcach egipskich dostojników, znajdowała się kaplica. Pochyły chodnik prowadził w dół do krypt grobowych, gdzie od czasów Ramzesa II spoczywały obok siebie wszystkie byki Apis. Komory grobowe znajdowały się w długiej na sto metrów podziemnej galerii. W toku prac nad poszerzeniem cmentarza, które trwały do czasów Ptole-meuszów, katakumby te przedłużono do trzystu pięćdziesięciu metrów. Co za kult!

W migocącym świetle pochodni, mając za sobą robotników, którzy nie śmieli mówić nawet szeptem, Mariette przechodził z jednej komory grobowej do drugiej. Kamienne sarkofagi, w których spoczywały byki, były z ciężkiego czarnego lub czerwonego granitu, każdy wykonany z jednej polerowanej bryły; wysokość ich wynosiła trzy metry, szerokość dwa i długość co najmniej cztery metry. (Obliczono, że każdy z tych bloków waży 65 000 kilogramów.)

Wieka wielu sarkofagów były odwalone. Mariette i jego następcy znaleźli już tylko dwa nienaruszone sarkofagi, które zawierały jeszcze wszystkie złożone w nich niegdyś kosztowności; wszystkie inne były obrabowane. Kiedy? Nikt tego nie wie. Przez kogo? Rabusie pozostali bezimienni. Raz po raz egiptologowie z żalem i bezsilnym gniewem napotykali jedynie ślady ich „roboty". Wiecznie wędrujące piaski, które zasypywały świątynie, grobowce i całe miasta, dawno zatarły wszelkie po nich ślady.

Mariette wstąpił w tajemniczy krąg dawno zaginionych kultów. Później dane mu było jeszcze (nie możemy się tu bliżej zająć jego wykopaliskami i poszukiwaniami w Edfu, Karnaku i Der-el-Bahri) uzyskać wgląd w bogate, barwne życie codzienne starożytnych Egipcjan.

Dzisiaj turysta, opuściwszy katakumby z grobami byków, odpoczywa na tarasie „Domu Mariette'a". Mając po prawej ręce piramidę stopniową, po lewej Serapeum,

popija arabską kawę i słucha chętnych do rozmowy strażników opisujących mu świat obrazów, które z kolei ma obejrzeć.

Niedaleko Serapeum odkrył Mariette grób urzędnika dworskiego i wielkiego posiadacza ziemskiego nazwiskiem Ti. Prace przy ostatnich grobach byków wykonywano jeszcze w czasach Ptolemeuszów (wtedy jednak przerwano je tak nagle, że tuż za wejściem porzucono olbrzymi sarkofag z czarnego granitu, którego nie przetransportowano już do podziemnej galerii). Natomiast grób bogacza Ti pochodził z czasów prastarych, czasów jeszcze wcześniejszych od królów Cheopsa, Chefrena i Mykerinusa, którzy zbudowali swe piramidy około roku 2600 przed Chr. Ale ten grobowiec, przybytek śmierci, mówił więcej o życiu Egipcjan niż jakikolwiek z dotąd odkrytych pomników. Mariette nazbyt dobrze znał sposób chowania przyjęty u starożytnych Egipcjan, aby nie przewidywać, że i w tym grobowcu obok kosztowności znajdzie także przedmioty codziennego użytku oraz wiele rzeźb i płaskorzeźb o tematach opisowych. Ale to, co zastał tutaj w galeriach i chodnikach, bogactwem szczegółów przedstawiających codzienne życie przewyższało wszystkie dotychczasowe znaleziska.

Bogaty pan Ti zatroszczył się o to, aby po śmierci mieć koło siebie wszystko, ale to dosłownie wszystko, co otaczało go w różnych zajęciach za życia. Oczywista, że punktem centralnym wszystkich płaskorzeźb jest on sam, bogaty pan Ti, zawsze trzy albo i cztery razy przewyższający wzrostem niewolników lub prostych ludzi z gminu, przez co i w proporcjach cielesnych wyrażona jest przepaść dzieląca jego potęgę i znaczenie od ludzi mniej ważnych i pozbawionych władzy.

W bardzo stylizowanych, linearnych, zawsze jednak oddających najdrobniejsze szczegóły malowidłach ściennych i płaskorzeźbach widzimy nie tylko próżniacze życie bogaczy, ale także chłopów przy obróbce lnu, kosiarzy przy żniwach, poganiaczy osłów, chłopów przy młócce i oczyszczaniu zboża. Jedna z płaskorzeźb przedstawia kolejne fazy budowy okrętu sprzed czterech tysięcy lat: obróbkę kloców, ciosanie desek, stosowanie kafarów i dłut ciesielskich. Rozpoznajemy dokładnie poszczególne narzędzia i przekonujemy się, że Egipcjanom znana była już wtedy piła,

siekiera, a nawet świder korbowy. Widzimy złotników i dowiadujemy się, jakimi sposobami rozdmuchiwali ogień w piecach dla uzyskania wysokich temperatur. Widzimy rzeźbiarzy, kamieniarzy, rymarzy.

Ale widzimy także, i to na każdym kroku, jaką władzę mieli wysocy urzędnicy, tacy jak bogaty pan Ti. Oto siepacze spędzają przed dom wójtów jego wsi dla złożenia rachunków, wloką ich po ziemi, brutalnie i dziko chwytają za gardło. Widzimy nie kończące się szeregi wieśniaczek znoszących mu daninę, widzimy sługi, jak wloką i zarzynają zwierzęta ofiarne (obrazy przedstawiają to tak szczegółowo, że dowiadujemy się, jakie chwyty cztery tysiące pięćset lat temu stosowali rzeźnicy dla powalenia wołu). Jak gdyby przez otwarte okna mieszkania zaglądamy do prywatnego życia pana Ti. Oto bogaty pan Ti przy stole, pan Ti ze swą żoną, z rodziną, pan Ti polujący na ptaki, pan Ti w podróży po Delcie, pan Ti — jest to jedna z najpiękniejszych płaskorzeźb — płynący łodzią przez gęstwinę papirusowych zagajników.

Stoi wyprostowany. Umęczeni wioślarze pochylają się pod ściskającymi ich rzemieniami. W górze, w gęstwinie drzew, szybują ptaki. W wodzie pod łodzią roi się od ryb i zwierząt nilowych. Łódź pana Ti poprzedza inna łódź, jej załoga zarzuca harpuny na tłuste karki hipopotamów, z których jeden właśnie gryzie krokodyla. Dla nas, ludzi XX wieku, dzieło to mimo zwartości kompozycji, jasności i pewności rysunku ma w sobie coś niesamowitego. Pan Ti płynie nie tylko przez gęstwinę krzewów papirusowych — płynie przez gęstwinę wieków historii.

Za czasów Mariette'a nie strona artystyczna decydowała o nieocenionej wartości tych malowideł i płaskorzeźb. Wartość ich polegała na tym, że odtwarzały najintymniejsze szczegóły codziennego życia starożytnych Egipcjan, pokazując przy tym nie tylko to, c o robili, ale i jak robili. Zarówno grobowiec bogatego pana Ti, jak grobowiec Ptahotepa, wysokiego urzędnika państwowego, oraz odkryty w czterdzieści lat później grobowiec Mereruki, obydwa w pobliżu Serapeum, dają nam wgląd, w co prawda starannie wypracowany, ale pod względem środków technicznych nieskończenie prymitywny sposób pokonywania materialnych trudności życia.

(Wszystko było wtedy oparte na pracy niewolniczej.) Wgląd ten jeszcze bardziej uwypukla ogrom dzieła, jakiego dokonali budowniczowie piramid, dla czasów Mariette'a jednak czynił je tylko bardziej zagadkowym. (Jeszcze w kilkadziesiąt lat po śmierci Mariette'a pokutowały w prasie, książkach fachowych i opisach podróży najbardziej fantastyczne przypuszczenia, co do tajemnych środków, jakimi Egipcjanie wznieśli swe cyklopowe budowle. Tę tajemnicę, która nią bynajmniej nie była, rozwiązał później człowiek urodzony w Londynie właśnie w tym samym czasie, kiedy Mariette odkopywał Serapeum).

Minęło osiem lat od chwili, gdy Mariette z kairskiej cytadeli po raz pierwszy rzucił okiem na starożytny Egipt. Przez te osiem lat wśród wszystkich prac wykopaliskowych musiał na każdym kroku bezsilnie przyglądać się temu, jak nadal trwała generalna wyprzedaż egipskich zabytków. Potem jednak, choć przybył do Egiptu tylko po to, aby zakupić kilka papirusów — osiągnął cel, który wydał mu się nierównie ważniejszy: założył w Bulak Muzeum Egipskie, a wkrótce potem został mianowany przez wicekróla dyrektorem egipskiego zarządu starożytności i generalnym nadzorcą wszystkich wykopalisk.

W 1891 roku muzeum przeniesiono do Gizeh. W 1902 roku znalazło ono swą ostateczną siedzibę w Kairze, nie opodal wielkiego mostu na Nilu, w gmachu zbudowanym przez Dourgnona w typowym dla schyłku ubiegłego stulecia archaizującym stylu. Odtąd wszystko, co odkrywano w Egipcie, co znajdowano przypadkowo lub też planowo odkopywano, stanowiło własność muzeum prócz kilku okazów, które poważnym archeologom i uczonym pozostawiano jako honorowy upominek. Tym samym Mariette powstrzymał wyprzedaż, rabunek egipskich zabytków. Będąc Francuzem uratował dla Egiptu to, co słusznie i z mocy prawa stanowiło jego własność. Wdzięczny zaś Egipt wzniósł mu na skwerze przed muzeum w Kairze popiersie, przewiózł jego zwłoki i pochował je w marmurowym sarkofagu.

Dzieło Mariette'a rosło. Za jego następców na stanowisku dyrektora Muzeum Egipskiego — Grebauta, de Morgana, Loreta, a przede wszystkim Gastona Maspero — prowadzono co roku archeologiczne prace wykopaliskowe. Za czasów Maspero

muzeum zostało uwikłane w sensacyjną aferę kryminalną. To jednak należy już do rozdziału o grobach królewskich. Przedtem musimy w osobnym rozdziale zająć się człowiekiem, który jest czwartym w tym szeregu wielkich twórców podstaw egiptologii, Anglikiem, który przybył do Egiptu, gdy Mariette stał już nad grobem.

Rozdział trzynasty

PETRIE I GRÓB AMENEMHETA

Jest rzeczą zdumiewającą, jak wiele ludzi właśnie wśród archeologów odznaczało się od najmłodszych lat niezwykłymi uzdolnieniami. Schliemann terminując u kupca władał sześcioma językami. Champollion mając lat dwanaście wypowiadał się w sprawach politycznych. Rieh już w dziewiątym roku życia budził sensację swymi zdolnościami. William Matthew Flinders Petrie, którego nazwaliśmy Wielkim Mierniczym i Interpretatorem egiptologii, jako dziesięcioletni chłopiec — jak podaje pewna biograficzna notatka dziennikarska — wykazywał niezwykłe zainteresowanie egipskimi pracami wykopaliskowymi. Już wtedy z ust jego paść miało zdanie, które później stało się dewizą całego jego życia: zachowując właściwą proporcję między pietyzmem a dążeniem do poznania, należy „zeskrobać", przesiewając ziarnko po ziarnku, całą ziemię egipską, nie tylko, by zobaczyć, co kryje w swym łonie, lecz także, żeby się dowiedzieć, jak te rzeczy, dziś ukryte, niegdyś leżały na powierzchni ziemi. Notatka ta (którą przytaczamy tu gwoli ciekawości, lecz której nie mogliśmy sprawdzić) ukazała się w jednym z dzienników londyńskich w 1892 roku w związku z mianowaniem Flindersa Petrie profesorem University College (został nim zresztą

mając lat trzydzieści dziewięć, a więc wcale nie wyjątkowo wcześnie).

W każdym razie jest rzeczą pewną, że już za najmłodszych lat łączył ze swym zainteresowaniem zabytkami starożytnymi wiele innych skłonności, które do tego czasu rzadko kiedy występowały w podobnym połączeniu, a które później miały mu oddać wielkie usługi. Eksperymentował na polu nauk przyrodniczych, interesował się — nie tylko po dyletancku — chemią, a przede wszystkim odnosił się z bałwochwalczym wprost kultem do nauki, która od czasów Galileusza stanowiła podstawę nauk ścisłych — do matematyki pomiarowej. Jednocześnie szperał po londyńskich antykwariatach, sprawdzając na konkretnych obiektach trafność swych obserwacji. Przy tym — wszystko to jeszcze w latach szkolnych! — biadał nad tym, że na polu archeologii, w szczególności zaś egiptologii, wciąż brak podstawowych prac.

To, czego brak odczuwał będąc jeszcze uczniem, sam potem stworzył jako człowiek dojrzały. Publikacje naukowe Petriego obejmują dziewięćdziesiąt tomów. Jego trzytomowa *Historia Egiptu,* wydana w latach 1894—1905, odznacza się niezwykłym bogactwem materiału badawczego i stała się punktem wyjścia wszystkich późniejszych prac w tej dziedzinie. Wydane w 1892 roku sprawozdanie *Dziesięć lat prac wykopaliskowych w Egipcie 1881—1891* jeszcze dzisiaj czyta się z najwyższym zainteresowaniem.

Urodzony 3 czerwca 1853 roku pod Londynem, rozpoczął swą działalność jako badacz starożytności w Anglii; pierwszą jego publikacją jest praca o Stonehenge, osiedlu z epoki neolitu. Ale już w 1880 roku, mając dwadzieścia siedem lat, udaje się do Egiptu, gdzie odtąd z pewnymi przerwami prowadzi wykopaliska przez czterdzieści sześć lat, do 1926 roku.

W dolinie Nilu znajduje greckie miasto Naukratis. Z gruzowisk w Nebeshe odkopuje świątynię Ramzesa. Koło miasta Kantara (ongi przechodził tu wielki trakt wojenny z Egiptu do Syrii, dziś na wielkim placu lądują samoloty) „odskrobuje" we „Wzgórzu Grabarzy" obóz zaciężnych żołnierzy faraona Psametycha I i identyfikuje to miejsce z grecką miejscowością Daphnae i biblijnym Tachpanches. Wreszcie staje tam, gdzie

dwieście lat przed nim, w 1672 roku, jako pierwszy stanął dociekliwy badacz europejski Vansleb, ksiądz z Erfurtu: przed szczątkami dwóch olbrzymich posągów z piaskowca przedstawiających króla Amenhotepa III, o których wspomina już Herodot. (Starożytni Grecy nazywali te posągi „kolumnami Memnona". Gdy Eos — Matka Jutrzenka, wschodziła nad horyzontem, jej syn Memnon żalił się i skarżył dźwiękiem, który, choć nie był ludzki, chwytał wszystkich za serce. Wspominają o tym Strabon i Pauzaniasz. Już w czasach dużo późniejszych, w 130 roku naszej ery, Hadrian wraz ze swą małżonką Sabiną czekali tutaj, aby usłyszeć ten dźwięk. Cierpliwość ich była hojnie nagrodzona, usłyszeli bowiem skargę tak żałosną, że wzruszyła ich jak nic przedtem. Odkąd jednak Septimus Severus kazał „odbudować" górną część posągu, do czego użyto bloków piaskowca, dźwięk nigdy się już nie powtórzył. Do dziś nie mamy żadnego niezawodnego naukowego wyjaśnienia, jak powstawał dźwięk, sam fakt jednak jest niewątpliwy).

Kolumny Memnona skruszył wiatr stuleci. Vansleb widział przynajmniej jeszcze dolną część jednego z posągów. Petrie widział już tylko ich szczątki i mógł jedynie pośrednio wyciągać wnioski. Wysokość każdej z tych dwóch królewskich postaci obliczał na dwanaście metrów. (Długość średniego palca u ręki południowego kolosa wynosi 1,38 metra.) Opodal znalazł Petrie wejście do grobowca piramidy w Hauwara, a tym samym zaginiony grobowiec Amenemheta i jego córki Ptahnofru. Znalezisko to jeszcze i dziś zasługuje na to, aby dokładnie opowiedzieć jego historię.

Nie możemy w tej książce, która nie jest biografią Petriego, wyliczyć wszystkich jego prac wykopaliskowych. A Petrie „kopał" przez całe życie. Nie specjalizował się na żadnym określonym obiekcie, tak jak to uczynił na przykład Evans, który poświęcił dwadzieścia pięć lat na badania samego tylko pałacu w Knossos. Petrie faktycznie „przesiewał" cały Egipt, odbywając przy tym wędrówki przez trzy tysiąclecia. Stał się zwłaszcza — rzecz dla niego charakterystyczna — znawcą rzeczy najmniejszych, najbardziej familiarnych, jakie Egipcjanie pozostawili po sobie: ceramiki i całej drobnej sztuki plastycznej (dokonał tu pracy pionierskiej, pierwszy poddając ją periodyzacji), a zarazem znawcą tego, co Egipt pozostawił po sobie największego,

najwznioślejszego i co zachowało się po nasze czasy — olbrzymich, wznoszących się wysoko ku niebu grobowców-piramid.

Czytelnik, którego w ostatnich rozdziałach raczyliśmy więcej historią niż historiami, więcej wyliczeniem faktów niż przeżyciami ludzi, prawdopodobnie zaczyna się już niecierpliwić. Spodziewam się, że następne rozdziały wynagrodzą mu dotychczasowe rozczarowania.

W 1880 roku pod piramidami w Gizeh pojawił się dziwny Europejczyk. Po zbadaniu terenu znalazł jakiś opuszczony grobowiec, który już przedtem kto inny, kto używał go być może jako magazynu, zaopatrzył w drzwi. Dziwny przybysz oznajmił swemu tragarzowi, że ma zamiar zamieszkać w tym grobie. Istotnie, następnego dnia już się tu urządził. Na skrzyni kopciła lampa naftowa, w kącie syczała spirytusowa kuchenka: William Flinders Petrie był zainstalowany.

Odtąd co wieczór, o godzinie, gdy ziemię spowijały granatowe cienie nocy, rozebrany do naga przełaził przez gruzy piętrzące się u stóp wielkiej piramidy, docierał do wejścia i podobny do widma błąkającego się po martwych komorach, znikał w grobowcu. Po północy znowu zeń wyłaził. Miał rozpalone oczy, bolała go głowa, cały był zlany potem, wyglądał jak człowiek wypuszczony z rozpalonego pieca. Potem przykucnąwszy przed swą skrzynią kopiował zrobione naprędce w piramidzie notatki, spisywał pomiary, przekroje podłużne i poprzeczne, spadzistość korytarzy i rozwarcie kątów, rozważał pierwsze hipotezy.

Hipotezy? Czegóż mogły dotyczyć? Czyż mogły istnieć jeszcze jakieś tajemnice piramidy, która stała tu od tysięcy lat, widoczna dla wszystkich? Już Herodot ją podziwiał (nie wspominając ani słowa o Sfinksie), a starożytni nazwali ją jednym z siedmiu cudów świata. Ale cudem jest to, co niepojęte. Czyż więc ludziom XIX wieku, zracjonalizowanej i zmechanizowanej epoki, ludziom pozbawionym wiary i nie mającym żadnego zrozumienia dla wzniosłości, jaka może tkwić w dziełach materialnie nieużytecznych, samo istnienie piramid nie musiało się wydawać za-

dziwiającą zagadką?

Wiedziano, ze piramidy były grobami, olbrzymimi domami-sarkofagami. Ale cóż, na Boga, skłoniło faraonów do wznoszenia w tym celu budowli o rozmiarach nie mających sobie równych na ziemi? (Tak sądzono wówczas. Dziś po odkryciach w Ameryce Środkowej wiemy, że w dżungli Tolteków wznoszono podobne budowle). Co zmuszało faraonów, by swe grobowce przeobrażać w fortece z tajemnymi przejściami, ślepymi drzwiami, ślepymi szybami kończącymi się nagle przed jakimś granitowym blokiem? Co skłoniło Cheopsa do tego, by nad swoim grobowcem zbudować górę z dwóch i pół miliona metrów sześciennych piaskowca? Petrie, który pracował noc w noc, prawie oślepły, z trudem chwytając oddech w wysuszonym powietrzu na poły zasypanych korytarzy, był zdecydowany rozwiązać naukowymi metodami swego stulecia zagadkę piramid, przeniknąć tajemnicę, dlaczego je wznoszono, poznać sposób ich budowy, znaleźć odpowiedź na wszystkie pytania nasuwające się każdemu, kto je oglądał.

Wiele osiągniętych przez Petriego rezultatów znalazło potwierdzenie, wiele innych zdementowały późniejsze badania. Gdy dziś mówimy o piramidach, nie opieramy się tylko na tym, co mówił niegdyś Petrie. Liczby, które przytaczamy, pochodzą juz z nowszych badań. A gdy po raz pierwszy podążamy tropem rabusiów, którzy dzieło faraonów sprowadzili do absurdu, obieramy sobie znowu Petriego za przewodnika.

Cofnijmy się w czasy odległe od nas o cztery tysiące lat. Znad brzegu Nilu sunie pod górę tłum nagich niewolników. Są wśród nich i biali, i czarni, jedni o płaskich nosach, inni o grubych wargach i ostrzyżonych głowach. Cuchną zepsutą oliwą, potem, rzodkwią, cebulą i czosnkiem (według Herodota samo wyżywienie niewolników zatrudnionych przy budowie piramidy Cheopsa kosztowało w przeliczeniu ok. dwu milionów dolarów w złocie). Krzycząc pod uderzeniami bata, jęcząc z bólu od wrzynających się w plecy sznurów wloką powoli po wygładzonych płytach granitowej szosy, prowadzącej znad Nilu na plac budowy, na wielkich saniach

kamienie, z których każdy ma objętość jednego metra sześciennego. To wśród ich krzyku, ich jęków, ich konania rosła piramida. Rosła tak przez dwadzieścia lat. Co roku, gdy muliste wody Nilu występowały z brzegów, gdy ustawały wszelkie prace w polu, spędzano sto tysięcy robotników faraona, aby budowali jego grobowiec, któremu nadano nazwę „Echet Chufu" — „Horyzont Cheopsa".

Piramida rosła. Sprowadzono dwa miliony trzysta tysięcy bloków kamiennych i spiętrzono je na sobie — wszystko to siłą ludzkich mięśni. Każdy bok jej kwadratowej podstawy miał ponad dwieście trzydzieści metrów długości, a gdy wreszcie ukończono budowlę, wierzchołek jej osiągnął wysokość stu czterdziestu sześciu metrów. Grobowiec tego jednego faraona jest prawie tak wysoki jak katedra w Kolonii, przewyższa swą wysokością katedrę Św. Stefana w Wiedniu i jest znacznie wyższy od bazyliki Św. Piotra w Rzymie — największego kościoła świata chrześcijańskiego — którą zresztą można by wraz z londyńską katedrą Św. Pawła wygodnie pomieścić w tym jednym grobowcu egipskiego faraona. Zużyty tu budulec, na który złożyły się skały i piaskowce z obu brzegów Nilu, wynosi 2 521000 metrów sześciennych i pokrywa powierzchnię 54 300 metrów kwadratowych.

Dziś do terenu piramid dojeżdża się tramwajem — tramwajem linii nr 14. Wrzaskliwy tłum dragomanów oraz poganiaczy osłów i wielbłądów czeka tu podróżnych domagając się bakszyszu. Nie słychać już jęku niewolników, wiatr nilowy dawno uniósł echo poświstujących batów i zapach ludzkiego potu. Pozostała jedynie olbrzymia budowla. I nie tylko ta jedna. Starczy wejść na piramidę Cheopsa — największą i najwyższą i spojrzeć na południe (na lewo stoi Sfinks, na prawo druga i trzecia piramida Chefrena i Mykerinusa), a widzi się w dali inną grupę olbrzymich faraonowych grobowców. To piramidy w Abusir, Sakkarze i Dahszur. Z wielu innych piramid pozostały tylko ruiny. Piramidę w Abu Roasz rozebrano, tak że można z góry zajrzeć do komory grobowej, którą niegdyś pokrywało tysiąc ton ciężkich głazów. Piramida w Hauwara (w której zamulonych korytarzach Petrie w 1889 roku śledził krok za krokiem drogę rabusiów) oraz piramida w Illahun, wzniesiona z niepalonych cegieł wokół skalnego rdzenia, nie obroniły się przed niszczącym zębem czasu. Tak

zwana „fałszywa piramida” pod Medum („el Ha-ram-el-Kaddab”, tak nazwali ją Arabowie, bo wydawała im się zupełnie odmienna od wszystkich innych piramid) była najbardziej wystawiona na zniszczenie, działania atmosferyczne i lotne piaski, nigdy bowiem nie ukończono jej budowy. A jednak i ona wznosi się na wysokość czterdziestu metrów. Piramidy! Budowano je od najstarszych czasów aż do okresu etiopskich władców z Meroe — sama tylko północna grupa na terenie Meroe liczy czterdzieści jeden piramid, kryjących w sobie mumie trzydziestu czterech królów, pięciu królowych i dwóch następców tronu. Budowano z krwi, potu i łez grobowce dla pojedynczych ludzi, z których każdy był Jedyny i kazał coraz to innym setkom tysięcy bezimiennych niewolników, by uwiecznili jego imię w kamiennym piśmie wznoszącym się ku niebu. Czyż tylko dla swej chwały? Czy tylko z chęci, by monumentalny kamienny pomnik dawał świadectwo ich wielkości? Czy była to tylko pycha możnych, którzy zatracili miarę zwykłych śmiertelników?

Właściwy sens budowy piramid wytłumaczyć można jedynie osobliwym charakterem wierzeń religijnych Egipcjan. Nie wiarą w bogów, bo było ich niezliczone mnóstwo, nie uczonością kapłanów, bo obrzędy i dogmaty tak samo zmieniały swe formy jak świątynie „Starego” i „Średniego” i „Nowego Państwa”. Zrozumieć je można jedynie na tle podstawowego wierzenia religijnego, że droga człowieka po jego śmierci cielesnej trwa nieprzerwanie dalej i prowadzi do wieczności, że „tamten świat” leży „naprzeciw” nieba i ziemi i że zamieszkują go zmarli, jeżeli — i to jest tu najistotniejsze — dano im na drogę pośmiertną środki potrzebne do dalszej egzystencji. Do tych środków należało w gruncie rzeczy wszystko, z czego nieboszczyk korzystał za życia na ziemi. A więc mocno zbudowany dom, a więc żywność, aby mógł zaspokajać głód i pragnienie, a więc służba, niewolnicy i urzędnicy, a więc wszystkie przedmioty codziennego użytku. Najważniejsze jednak było zachowanie ciała, niezawodne zabezpieczenie go od wszelkich wpływów zewnętrznych, które by mogły spowodować jego rozkład. Tylko wówczas istniała możliwość, że bujająca swobodnie po śmierci dusza człowieka — po egipsku *baj* — będzie mogła każdej chwili powrócić do ciała, do którego była przynależna, i że tak

samo będzie mógł powrócić do niego anioł-stróż, uosobienie jego sił żywotnych — po egipsku ka — który urodził się wraz z człowiekiem, lecz nie zginął wraz z jego śmiercią i nadal żyje, aby dać zmarłemu na tamtym świecie potrzebne siły — na tamtym świecie, gdzie zboże rośnie na siedem łokci wysoko, lecz mimo to wymaga uprawy.

To wyobrażenie znalazło dwojaki wyraz: w mumifikacji zwłok (spotykamy ją także u Inków, Maorysów, Jiwarosów i innych ludów, lecz w postaci nieporównanie mniej wykształconej) i w budowie grobów na modłę fortec. Każda bowiem piramida była twierdzą, której jedynym przeznaczeniem było chronić ukrytą w niej mumię przed jakimkolwiek wrogiem, przed wszelką profanacją lub zakłóceniem spokoju.

Tysiące żywych ludzi padało ofiarą najcięższej niewolniczej pracy, aby jednemu zmarłemu zapewnić wieczne bezpieczeństwo i wieczne życie. Faraon, który przez dziesięć, piętnaście czy dwadzieścia lat kazał budować dla siebie grobowiec, rujnował siłę ludu, pogrążał w długach nie tylko siebie, lecz także swe dzieci i wnuki. Mało tego, jeszcze po śmierci podrywał finanse swego państwa, gdyż jego *ka* wymagało ciągłych ofiar, stałych posług kapłańskich. Pewien szczególnie przezorny faraon zapisał kapłanom, którzy mieli celebrować ofiarne nabożeństwa dla jego *ka,* dochody z dwunastu wsi.

Wiara w życie pozagrobowe była tak silna, że zagłuszała wszelki głos politycznego i moralnego rozsądku. Dzieło faraonów — i tylko faraonów, gdyż mniej od nich możni dostojnicy państwowi zadowalali się skromniejszymi grobowcami, tak zwanymi mastabami, a przeciętni mieszkańcy zwykłym grobem wykopanym w piasku pustyni — jest owocem bezmiernie wybujałego egocentryzmu, któremu obcy był wszelki rodzaj myślenia kategoriami wspólnoty.

Piramidy nie służyły gminie pobożnych, jak służyły jej olbrzymie budowle świata chrześcijańskiego, katedry i tumy. Nie były, jak babilońskie wieże zikkuraty, siedliskiem bogów i świętością dla wszystkich. Służyły przede wszystkim tylko jemu, faraonowi, tylko jego martwemu ciału, jego duszy, jego *ka.*

Jedno wszakże jest pewne ponad wszelką wątpliwość: wielkość grobowców, które

czterdzieści siedem wieków temu kazali sobie wznosić królowie czwartej dynastii, przekracza wszelką miarę, jaką nakazywała wiara, religia i bezpieczeństwo. Później widzimy, jak wznoszenie tak wielkich piramid bardzo rychło zaczyna zanikać i w końcu całkiem ustaje. Ustaje zaś w czasach, gdy panowali królowie będący nie mniej absolutnymi władcami od Cheopsa, Chefrena i Mykerinusa, którzy byli nawet bardziej podobni do bogów niż ich poprzednicy i — jak Seti I i Ramzes II — oddzieleni jeszcze większą przepaścią od jęczących pod jarzmem pańszczyzny mas swego ludu.

Jednym z powodów, dla których zaprzestano wznoszenia wielkich piramid, powodem jednak nazbyt materialistycznym, by sam przez się mógł to wytłumaczyć, była wzrastająca śmiałość rabusiów okradających groby królewskie ze skarbów. Doszło do tego, że w niektórych wsiach to zbójeckie rzemiosło stało się regularnym sposobem zarobkowania: swego rodzaju socjalne wyrównanie między wiecznie głodnymi i wiecznie sytymi (o tych rabusiach, którzy z historii grobowców egipskich uczynili godną pióra Pitavala kronikę wypadków kryminalnych, jeszcze usłyszymy). Piramidy więc nie gwarantowały już mumiom faraonów bezpieczeństwa.

To zmusiło do szukania nowych, zgoła odmiennych środków ochronnych, a tym samym i do budowania innego rodzaju grobowców.

Dalszy powód zaprzestania budowy piramid prawdopodobnie ujawnić może tylko morfologiczna metoda historyczna, która widzi kultury obok siebie w analogicznym rozwoju i analogicznym upadku i w każdej świeżo powstałej kulturze znajduje tendencję do szturmującej niebo monumentalności. Toteż mimo całej odmienności babilońskich zikkuratów, romańsko-gotyckich budowli kościelnych i egipskich piramid istnieje między nimi też pewne podobieństwo. Wszystkie one powstają w początkowym okresie poszczególnych kultur, kiedy to z barbarzyńską, brutalną siłą wznosi się budowle-olbrzymy. (Nie zapominajmy, że wczesne katedry gotyckie były tak wielkie, że cała ludność miasta, w którym je budowano, nie była w stanie ich wypełnić). Siła ta nie uznaje żadnych przeszkód, z najgłębszych pokładów świadomości wydobywa nagle sztukę obliczania niezbędnej statyki i poprzez mozolne

przenikanie tajemnic przyrody stwarza pierwsze prawa niezbędnej do tego mechaniki. W XIX wieku, wieku postępu technicznego, nie chciano wierzyć, by to w ogóle było możliwe. Nie chciano wierzyć, że tego rodzaju budowle można było wznosić bez „maszyn", bez wyciągów łańcuchowych, a prawdopodobnie i bez dźwigów i żurawi. Ale pęd do monumentalności przezwyciężył wszystkie przeszkody — ilościowa siła wczesnej kultury dorównała jakościowej sile późniejszej cywilizacji!

Piramidy zbudowała siła ludzkich mięśni. W wywiercone uprzednio otwory skalne wprowadzano drzewo i tak długo oblewano je wodą, aż zaczynało pęcznieć: w ten sposób odpadały od skał kamienie ciosowe w górach Mokattamu. Na walcach i wozach ciągniono je potem na plac budowy. Jedna na drugiej układały się coraz wyżej kamienne warstwy piramid. Do dziś dnia jest w archeologii kwestią otwartą, czy istniał tylko jeden plan budowy, czy też było ich więcej. (Lepsius i Petrie re-prezentują dwa skrajnie przeciwstawne poglądy. Nowsze badania skłaniają się raczej ku poglądom Lepsiusa, przypuszczając, że istniało kilka planów, które powstawały niejako „skokami" w miarę tego, jak powiększały się rozmiary budowy). Ci ludzie sprzed czterech tysięcy siedmiuset lat pracowali z taką dokładnością, że wszystkie błędy popełnione przy budowie wielkiej piramidy w obliczeniu przekrojów poziomych i kątów — jak wyraża się Petrie — „można by przykryć dużym palcem jednej ręki". Płyty zaś były tak ściśle dopasowane, że już przed ośmiuset laty arabski pisarz Abd-el-Latif stwierdzał z podziwem, iż dokonano tu mistrzowskiej roboty, gdyż między spojenia kamiennych płyt nie można wsunąć igły ani włosa. Dziś każdy turysta może to stwierdzić i utrwalić na błonie fotograficznej. Jeżeli zaś pewien krytyk zaznacza, że w zakresie statyki starożytni budowniczowie byli aż nazbyt przezorni, gdyż na przykład dla odciążenia poprzeczek stropów pozostawiali nad nimi pięć wolnych przestrzeni, podczas gdy według nowoczesnych obliczeń wystarczyłaby jedna, to uwaga ta jest niesłuszna. Zapomina on, że i my — w czasach gdy spoistość dźwigarów sprawdzana jest promieniami Roentgena — zwykliśmy budować, i to nie tylko mosty, z pięciokrotną, ośmiokrotną, a nawet dwunastokrotną marżą bezpieczeństwa.

Piramidy stać będą jeszcze długo. Z piramidy Cheopsa odpadł tylko wierzchołek (tworząc płaskowzgórze o powierzchni dziesięciu metrów kwadratowych), a zdobiące ją gładkie oblicowanie z najprzedniejszego piaskowca z gór Mokattamskich, z wyjątkiem małych zachowanych resztek, odpadło odsłaniając żółtawy piaskowiec, który pochodził z innych pobliskich kamieniołomów i stanowił tu główny budulec. Piramida Cheopsa stoi, a wraz z nią stoi i wiele innych. Gdzież jednak są królowie, którzy pragnęli znaleźć w nich bezpieczeństwo, wolne od obaw miejsce spoczynku dla swych martwych ciał i swych ka?

I tu właśnie pycha faraonów poniosła zasłużoną, tragiczną karę. Łaskawiej niż z faraonami los obszedł się z tymi, którzy znaleźli miejsce wiecznego spoczynku nie w kamiennych twierdzach, lecz w ukrytych pod ziemią mastabach i w zwykłych, w piasku wykopanych grobach. Wielu spośród nich nie tknęła ręka rabusia. Natomiast granitowy sarkofag Cheopsa jest okaleczony i pusty. Od jak dawna pusty, nie wiemy. Już Belzoni zastał w r. 1818 sarkofag Chefrena z potrzaskanym wiekiem i wypełniony kamieniami. Z pokrytego bogatym ornamentem bazaltowego sarkofagu Mykerinusa już w latach trzydziestych ubiegłego stulecia, gdy angielski pułkownik Vyse znalazł komorę grobową, brakowało wieka. Części wewnętrznej drewnianej trumny leżały w jednym z górnych pomieszczeń, a wśród nich poniewierały się kawałki mumii królewskiej. (Sarkofag ten zatonął u brzegów Hiszpanii wraz z okrętem, który przewoził go do Anglii).

Miliony kamiennych płyt miały chronić martwe ciała królów. Zamurowane chodniki, wymyślne pułapki architektoniczne miały zatrzymać każdego, kto próbowałby świętokradczą ręką sięgnąć po złożone tu bogactwa. W komorach grobowych bowiem pełno było bogactw, pełno nie dających się opisać skarbów. Król, chociaż martwy, pozostawał królem. W chwili gdy jego fca wśliźnie się do mumii i powoła go do nowego życia na tamtym świecie, będzie musiał mieć swe klejnoty, przedmioty zbytku i kosztowne sprzęty, którymi się posługiwał za swego ziemskiego życia, będzie musiał mieć swą dawną broń ze złota i szlachetnych metali, zdobną w lapis-lazuli, drogie kamienie i kryształy. Czy piramidy dawały mumiom faraonów tę

ochronę? Okazało się, że przez swą wielkość nie tylko nie odstraszały rabusiów, lecz wręcz przeciwnie, tym bardziej ich przyciągały. Pewnie, kamienne płyty piramid ukrywały powierzone im skarby. Ale ich wielkość aż nazbyt wyraźnie wołała: mamy coś do ukrycia!

Toteż rabusie przystąpili do dzieła od najdawniejszych czasów i kontynuują je po dziś dzień. Ile zaś wkładano w to przebiegłości i wytrwałości, ile w tym było korupcji i fortelów, odkrył Petrie, gdy zawiedziony stanął przed pustym sarkofagiem w grobowcu Amenemheta.

Tu musimy wtrącić kilka uwag na temat tego, co mniej więcej od stu lat coraz to poruszane jest w prasie (nie wyłączając czasopism naukowych) jako „zagadka wielkiej piramidy".

Wiadomo, że gdzie zachodzi jeszcze niepewność, tam otwiera się pole do wszelkiego rodzaju spekulatywnych domysłów. Trzeba jednak rozróżniać między spekulacją a hipotezą. Hipoteza jest jedną z metod pracy każdej gałęzi nauki. Biorąc za punkt wyjścia fakt ustalony, otwiera możliwości, nad którymi zawsze stoi znak zapytania. Spekulacja natomiast nie zna żadnych hamulców. Tu przeważnie nawet punkt wyjścia nie jest „ustalony", lecz dowolnie „przystosowany", to zaś, co nazywa się wnioskiem, nie jest niczym innym, jak czystą fantazją. Karmiąc się złudami spekulacja wstępuje na błędne ścieżki metafizyki, zapuszcza się w najciemniejszy gąszcz mistyki i na najbardziej tajemniczy teren fałszywych interpretacji Pitagorasa i Kabały. Najniebezpieczniejsze zaś są takie spekulatywne rozważania, które zdają się iść w parze z logiką — ową logiką, przed którą my, ludzie XX wieku, zawsze jesteśmy gotowi uchylić czoła.

Znaleziska egipskie wprost prowokowały do tego rodzaju spekulatywnych domysłów. Kilka z nich wymieniliśmy już omawiając sposób interpretowania hieroglifów przed Champollionem. Tu możemy dodać jeszcze jedną, bardzo nowoczesną próbkę. Pani Galahad — pod nazwiskiem „sir Galahad" ukrywa się bowiem kobieta — w swej

książce *Matki i amazonki* występuje nie z dyskusyjną tezą, lecz z kategorycznym twierdzeniem, że w Egipcie już w czasach historycznych istniał wyraźny matriarchat (pani Galahad przedstawia zresztą swe dowody tak urzekająco błyskotliwym stylem, że należałoby sobie życzyć, aby podobny kunszt choć raz przypadł w udziale jakiemuś poważnemu archeologowi). W związku z tym na szczególną wzmiankę zasługuje ekonomista Silvio Gesell, który od 1945 roku znowu cieszy się w Niemczech wielkim rozgłosem. Wychodząc poza ramy swej specjalności Gesell wysunął doniosłe pytanie: czy Mojżeszowi znany był proch? Silvio Gesell „dowodzi" z niezwykłą „przenikliwością", że Mojżesz, przebywając na dworze Ramzesa, przy pomocy swego teścia Jethro, który jako kapłan miał dostęp do tajemnic, użył Arki Przymierza jako laboratorium do produkowania materiału wybuchowego. Druga księga Mojżesza, rozdział 30, werset 23—38, podaje „receptę" na ten materiał wybuchowy. Płonący krzak cierniowy, egipskie rydwany wojenne, które przewracają się i których koła zostają oderwane przez tajemnicze moce, skała pękająca pod jednym uderzeniem pałki, banda Korego, którą pochłania otwierająca się ziemia, mury Jerycha obalone dźwiękiem trąb — wszystko to, zdaniem Gesella, zdziałała nauka: wyprodukowany w Arce Przymierza proch. Czyż Mojżesz nie otrzymał tablicy z dekalogiem wśród huku moździerzy i kłębów dymu? Czyż okazawszy się niezręcznym laborantem nie musiał przez czterdzieści dni leczyć odniesionych oparzeń?

Zdanie Silvia Gesella popiera od strony przyrodniczej Johannes Lang, nieustępliwy obrońca teorii próżni światowej. Nie każda jednak spekulacja naukowa tak wyraźnie sama się dyskredytuje.

Cała rzecz w tym, że wielka piramida, piramida Cheopsa (ciekawe, ze właśnie ona, a nie żadna inna) od najdawniejszych czasów objawiała mistyczne cuda liczb. Całą tę mistykę cyfr należy traktować tak samo jak przytoczone wyżej przykłady, mimo że jeszcze i za naszych czasów oddają się jej poważni naukowcy, którzy skądinąd w dziedzinie swej specjalności mają duże osiągnięcia.

Wielką piramidę często określano jako „zakutą w kamień Biblię". Znamy

„interpretacje” Biblii. Interpretacje wielkiej piramidy niemal im dorównują. Z rzutu poziomego, ze sposobu rozmieszczenia bram, korytarzy, hal i komory grobowej próbowano odczytać całą historię rodzaju ludzkiego. Znalazł się nawet i taki „badacz”, który na podstawie tej utrwalonej w piramidzie Cheopsa „historii” przepowiedział na rok 1913 wybuch pierwszej wojny światowej, a ci, którzy go brali na serio, mówili: cóż, omylił się tylko o jeden rok.

A trzeba pamiętać, że ci mistycy liczb rozporządzają materiałami, które, jeśli się ich od razu nie sprowadzi do właściwego znaczenia — działają istotnie oszałamiająco. Tak na przykład faktem jest, że piramidy są ustawione dokładnie według stron świata. Przekątna piramidy Cheopsa z północnego wschodu na południowy zachód pokrywa się w swym przedłużeniu z przekątną piramidy Chefrena. Niemal wszystkie jednak dalsze twierdzenia polegają na błędnych pomiarach lub na przesadnym, całkowicie dowolnym rozwijaniu wniosków, jakie można wysnuć z każdej wielkiej budowli, gdy mierzy się ją bardzo małymi jednostkami miary. Piramidę Cheopsa od czasu pierwszych pomiarów dokonanych przez Petriego zmierzono stosunkowo dokładnie. Należy jednak mieć na uwadze, że wszelkie, nawet nowoczesne pomiary dają tylko przybliżone wyniki, gdyż nie zachowała się okładzina piramidy i zburzony jest jej wierzchołek. Żadna więc mistyka liczb, operująca dowodami wymierzonymi w centymetrach lub calach, nie zasługuje na wiarę. I jeszcze jedno: chociaż musimy przyznać, ze Egipcjanie posiadali niezwykłe wiadomości z dziedziny astronomii, to jednak w żadnym razie nie możemy im przypisywać posiadania tak dokładnej miary, jak np. wzorcowy metr paryski (aby zrozumieć obcość świata myśli nie skierowanej, jak myśl dzisiejsza, ku ścisłości, przypominamy tu raz jeszcze charakterystyczny dla Egipcjan brak historycznego poczucia czasu).

Nietrudno, operując w stosunku do bardzo wielkiej budowli bardzo małymi wartościami miary, uzyskać frapujące rezultaty. Można uważać za rzecz niemal pewną, że jeżeli katedrę w Chartres lub katedrę koloń-ską będziemy rozbierać miarą centymetrową, to przez odpowiednie dodawanie, odejmowanie i mnożenie uzyskamy najbardziej nieoczekiwane porównania z wartościami liczbowymi rzędu kosmicznego.

W tej też prawdopodobnie płaszczyźnie leży stwierdzenie, że liczba *pi* nie jest już „ludolfiną", że nie odkrył jej Ludolf van Keulen, lecz znali ją już budowniczowie piramid.

Gdyby się nawet okazało, że Egipcjanie faktycznie utrwalili w wielkiej piramidzie niezwykle doniosłe wiadomości astronomiczne i matematyczne (wiadomości, które nowoczesna nauka osiągnęła dopiero w XIX i XX wieku, np. rzeczywista odległość słońca), to i wtedy nie byłoby powodu do nadawania im jakiegoś mistycznego znaczenia, a już tym bardziej wyprowadzania z nich proroctw.

W 1922 roku niemiecki egiptolog Ludwik Borchardt po bardzo dokładnym zbadaniu wielkiej piramidy wydał książkę *Gegen die Zahlenmystik an der grossen Pyramide bei Gizeh* (Przeciwko mistyce cyfr wokół wielkiej piramidy w Gizeh). W książce tej znajdujemy argumenty, które kładą tamę temu zalewowi mistyki.

Petrie należał do typu archeologów, których nie odstraszają żadne przeszkody. Był uparty, nieustępliwy, wytrwały, rozmiłowany w tropieniu raz natrafionego śladu. Gdy w 1889 roku nie może *znaleźć* wejścia do zbudowanej z cegieł piramidy jakiegoś króla (nie wiedząc wtedy jeszcze, że królem tym był Amenemhet III, jeden z rzadkich w dziejach Egiptu wielkich władców prowadzących politykę pokojową), przekopuje szyb-tunel w poprzek piramidy i stwierdza, że przed nim byli tu już inni, przemyślniejsi od niego, jeszcze bardziej niż on wytrwali i wprawieni w tropieniu śladów, ludzie dawno minionej epoki, którzy znaleźli drogę, by zbezcześcić grób. Przebijali się do komory grobowej nie z zamiarem wydobycia na światło dzienne świadectw minionej epoki, wydobycia ich ku czci przeszłości i dla dobra nauki współczesnej, lecz po to, aby rabować. Okazało się rzeczą ważną, że właśnie nie kto inny, tylko niestrudzony Petrie był tym człowiekiem, który wpadł na trop jeszcze bardziej od niego niestrudzonych — rabusiów.

Gdy przystępował do zbadania tej piramidy, którą jadąc ze wsi Hau-waret-el-Makta na grzbiecie swego osła, osiągał po trzech kwadransach drogi, szukał wejścia tam,

gdzie znajdowało się ono niemal we wszystkich piramidach: po stronie p”łncnej. Nie znalazł go jednak, tak jak przed nim nie znaleźli go ior archeologowie. Nie znalazłszy go także po stronie wschodniej, postanowił nie tracić czasu na żmudne poszukiwania i przekopać w poprzek budowli tunel.

Wspaniała myśl. Ale środki techniczne Petriego były ograniczone. Wiedział, że czeka go ciężka praca, lecz nie przewidywał, że będzie tu musiał kopać przez długie tygodnie. Toteż trzeba z całą siłą wyobraźni wczuć się w jego położenie, gdy po trudach ponoszonych w egipskim skwarze, pracując niedostatecznymi narzędziami i z coraz to buntującym się zespołem robotników, w chwili usunięcia kamienia do szczęśliwie wreszcie znalezionej komory grobowej — stwierdził, że inni go ubiegli.

Raz jeszcze spotykamy się tu z uczuciem, które jakże często jest jedyną nagrodą badacza stającego u kresu swych mozolnych poszukiwań, z uczuciem straszliwego rozczarowania, któremu tylko ludzie prawdziwie silni nie dają się złamać. (Petrie, gdyby ten wypadek zdarzył mu się dokładnie w dwadzieścia lat później, doznałby przynajmniej satysfakcji, że to samo spotkało i innych. Nowocześni następcy starożytnych rabusiów grobów królewskich włamali się do grobowca Amenemheta II, zmarłego około 1420 roku przed Chr. Szukając skarbów pozdzierali bandaże, w które owinięta była mumia. Czekało ich rozczarowanie większe niż Petriego, okazało się bowiem, że już trzy tysiące lat przed nimi byli tu ich koledzy po fachu, którzy tak gruntownie uporali się ze swym zadaniem, że nic, ale to dosłownie nic nie pozostawili dla swych następców).

Otwór wyłamany w murze okazał się na razie za wąski, by Petrie mógł przezeń przejść. Nie miał jednak cierpliwości, żeby czekać, aż go poszerzą. Obwiązał więc liną egipskiego wyrostka, dał mu do ręki świecę i wysłał go do ciemnej komory grobowej. W chybotliwym świetle świecy ukazały się dwa sarkofagi. Wieka były odwalone, oba sarkofagi — puste.

Petriemu jako człowiekowi nauki pozostało tylko jedno: spróbować mimo dokonanego tu rabunku dociec, czyj to był grób. Ale tu pojawiła się nowa trudność. Wnętrze piramidy zalewała woda podskórna. Gdy Petrie poszerzył pierwszy otwór i

sam wszedł do komory grobowej, stał po kostki w wodzie; to samo zdarzyło mu się później w pewnym grobie szybowym, w którym znalazł pokrytą klejnotami mumię. Ale tak jak w tym drugim wypadku, Petrie i tutaj nie dał za wygraną. Przeszukał łopatą całą podłogę, cal za calem. Znalazł alabastrowe naczynie, na którym wyryte było imię Amenemhet. W drugiej komorze znalazł mnóstwo wotów. Wszystkie były złożone imiennie księżniczce Ptahnofru, córce Amenemheta III.

Amenemhet III, król XII dynastii, panował od 1849 do 1801 roku przed Chr. (według Breasteda). Jego potomkowie zasiadali na tronie Egiptu przez dwieście trzynaście lat, okres zaś, kiedy Amenemhet połączył obie korony Górnego i Dolnego Egiptu, należał do najszczęśliwszych w tym kraju pustoszonym od wieków przez wojny zewnętrzne (przeciwko barbarzyńskim ludom ościennym) i wewnętrzne (przeciw coraz to ponawiającym się powstaniom udzielnych książąt poszczególnych prowincji). Amenemhet starał się o pokój. Wzniósł niezliczone budowle — między innymi otoczył groblą całe jezioro — służące zarówno celom świeckim, jak i religijnym, wydał zarządzenia w dziedzinie socjalnej, które według naszych pojęć są może mało ważne, lecz dla Egiptu, z jego podziałem na klasy i gospodarką opartą jedynie na niewolnictwie, miały ogromne znaczenie.

> On więcej niż wielki Nil pokrywa Egipt zielonością,
> On kraje obydwa siłą napełnił,
> On jest życiem, które chłodzi nozdrza.
> Skarby, które rozdaje, są strawą dla tych, którzy idą za nim.
> On żywi tych, co wstępują na jego drogę.
> Król jest pożywieniem, jego usta są dosytem.

Znalezienie tego grobu było nie lada zasługą. Jako naukowiec Petrie mógł być zadowolony. Ale jako archeologa, „diggera" pracującego łopatą, pociągało go rozwiązanie innego jeszcze zagadnienia: jaką drogą wtargnęli ci, którzy go ubiegli? Gdzie znajdowało się rzeczywiste wejście do piramidy? Czy rabusie znaleźli te drzwi,

których on, a przed nim i inni badacze szukali bezskutecznie? Rabusie szli śladem architektów. Petrie poszedł śladem rabusiów.

Podjęcie tego zadania w wiele stuleci po dokonanej tu kradzieży nie ustępowało niemal decyzji przebicia tunelu. Stojąca w piramidzie woda podskórna, błoto, odłamki cegieł i żwir utworzyły twardy szlam i nie brak było takich przejść, przez które Petrie, jak zawsze niestrudzony, musiał jak foka czołgać się na brzuchu, z ustami i nosem pełnymi stwardniałego błota. Ale chciał za wszelką cenę dowiedzieć się, gdzie znajdowało się prawdziwe wejście! Znalazł je. Wbrew wszystkim dotychczasowym doświadczeniom, wbrew wszelkiej egipskiej tradycji znajdowało się w ścianie południowej. A przecież rabusie mimo to je znaleźli. Czy można się dziwić, że Petrie, zadraśnięty w swej ambicji badacza, pytał sam siebie, czy aby za tym „znalezieniem" nie kryje się jakaś nieczysta sprawa? Czy było ono doprawdy jedynie owocem samej tylko bystrości umysłu, wynikiem niezmordowanej wytrwałości? Powziąwszy pewne podejrzenie Petrie poszedł wywęszonym śladem.

Szedł systematycznie drogą, którą niegdyś szli rabusie. Stawał przed wszystkimi przeszkodami, przed którymi i oni stawali. I wciąż odwoływał się do własnej bystrości umysłu, ta zaś nie zawsze dawała mu odpowiedź, którą rabusie jednak znaleźli. Jakiż to tajemniczy instynkt przeprowadził ich przez wszystkie pułapki, triki i zasadzki faraonowych architektów? Oto jakieś schody urywają się nagle ślepą komorą, z której nie ma wyjścia. Nie ma wyjścia? Rabusie najwidoczniej szybko wykryli, że wyjściem z komory jest sufit, cały strop, który podnosił się jak olbrzymia klapa. Z trudem przedostali się przez nią, jak nowocześni kasiarze rozpruwający drzwi pancernego skarbca. Ale oo im to dało? Znaleźli się w krużganku zawalonym masywnymi blokami z kamienia. Petrie jako fachowiec mógł ocenić, ile pracy wymagało samo tylko oczyszczenie tego przejścia. Rozumiał uczucia rabusiów, gdy po pokonaniu tej przeszkody znowu natknęli się na komorę bez wyjścia, a następnie, przebywszy już i tę pułapkę, natrafili z kolei na komorę również pozbawioną drzwi. Petrie w końcu sam już nie wiedział, co więcej podziwiać, czy instynkt rabusiów, który za każdym razem wskazywał im właściwe wyjście, czy ich wytrwałość. Nie

ulegało bowiem żadnej wątpliwości, że musieli się tu przekopywać przez długie tygodnie, miesiące, może rok cały, a kto wie, czy nie więcej. I to w jakich warunkach! Prawdopodobnie w ciągłym strachu przed strażnikami, kapłanami, a także przed wszystkimi tymi, co ściągali tutaj, aby złożyć Amenemhetowi dary i wota.

A może wszystko odbyło się całkiem inaczej? Ambicja Petriego, umiejącego wykrzesywać z siebie tyle inwencji przy pokonywaniu trudności, którymi starożytni architekci dla ochrony królewskich mumii zagrodzili drogę przyszłym świętokradcom, nie pozwalała mu wierzyć, że sama bystrość umysłu tych egipskich rabusiów, prostych, prymitywnych ludzi sprzed wielu stuleci, pomogła im przebrnąć przez te powikłane drogi. Czy nie zachodziła raczej inna możliwość — w literaturze egipskiej znajdują się pewne podstawy ku temu — że rabusie korzystali z czyjejś „fachowej pomocy"? Może kapłani i strażnicy, sprzedajni członkowie skorumpowanej klasy urzędniczej, służyli im wskazówkami i pomocą?

I to prowadzi nas do „kryminalnego rozdziału" egipskiej historii. Rozpoczął się on w zamierzchłej przeszłości, miał potem swój dalszy ciąg w „Dolinie Królów" i wcale niedawno osiągnął swój punkt kulminacyjny w zgoła już nowoczesnej aferze kryminalnej.

Rozdział czternasty

ZBÓJCY W «DOLINIE KRÓLÓW»

Na początku 1881 roku pewien zamożny, interesujący się sztuką Amerykanin płynął Nilem w górę rzeki do Luksoru, wsi położonej naprzeciw Teb, dawnej rezydencji faraonów. Chciał kupić kilka starych zabytków, omijał jednak oficjalny, od czasu

Mariette'a surowo kontrolowany handel zabytkami i zdawał się na własny instynkt. Wieczorami włóczył się po ciemnych zaułkach, zaglądał do kramików na bazarze, aż w końcu zetknął się z pewnym smagłym Egipcjaninem, który zaproponował mu kupno kilku niewątpliwie prawdziwych i cennych przedmiotów.

Metoda tego Amerykanina skłania nas do małej dygresji. Dziś każdy informator podróżny ostrzega turystę przed nabywaniem antyków na „czarnym rynku". I słusznie, bo te tak zwane „antyki" są po większej części wyrabiane przez współczesnych egipskich chałupników lub nawet importowane z Europy. Pokątni handlarze chwytają się najprzemyślniej-szych sposobów, aby nadać im pozór autentyczności. W latach dwudziestych nawet taki znawca antycznych dzieł jak niemiecki historyk sztuki Julius Meier-Graefe dał się wywieść w pole. Gdzieś w piasku — nie wiedząc, że kuty na cztery nogi przewodnik umyślnie go tędy prowadził — znalazł małą statuetkę. Fakt, że sam ją znalazł, nie pozwolił mu wątpić w prawdziwość tego „antyku". Przekupił więc przewodnika, aby zapewnić sobie jego dyskrecję, i schowawszy posążek pod marynarkę powrócił do hotelu. Chcąc kupić do tej statuetki odpowiedni postument, udał się do pewnego handlarza starożytnościami i przy tej okazji zapytał go, co o niej sądzi. Handlarz uśmiechnął się. „Zaprowadził mnie — opowiadał o tym dalej Juliusz Meier-Graefe — do tylnego pomieszczenia swego sklepu, otworzył szafę i pokazał mu cztery czy pięć indentycz-nych posążków, jota w jotę do siebie podobnych, każdy pokryty «tysiącletnią patyną». Dostarczano je z Bolesławca na Śląsku, ale mój handlarz kupował je od pewnego greckiego agenta w Kairze."

Z jakimi niespodziankami — poza fałszowaniem antyków w celach zarobkowych — na skutek nieobliczalnych figli liczyć się musi nawet i nauka, wynika to choćby z autobiograficznego opowiadania współczesnego powieściopisarza francuskiego Malraux, byłego komisarza Francji w Chinach i ministra kultury w rządzie generała de Gaulle'a. Nie ma powodu wątpić w prawdziwość opisanego przez niego zdarzenia, chociaż oczywiście nie można go uważać za typowe. Przytaczamy je też tylko jako swego rodzaju curiosum. W 1925 roku Malraux spotkał w jakimś barze w Singapurze

pewnego kolekcjonera, rosyjskiego emigranta, który podróżując na koszt muzeum w Bostonie zakupywał dla niego stare dzieła sztuki. Po pierwszym potoku słów w języku rosyjskim pokazał on pisarzowi pięć małych słoni z kości słoniowej, dopiero co kupionych od jakiegoś Hindusa, a które teraz ustawił przed sobą na stole jakby piszczałki organów.

— Jak pan widzi, drogi przyjacielu, kupuję takie oto małe słonie, które podczas prac wykopaliskowych wrzucam do grobów, zanim je znowu zasypujemy. Za jakie pięćdziesiąt lat inni ludzie, otwierając te groby, znajdą w nich małe słonie, pięknie pokryte patyną wieków, i będą piekielnie łamać sobie nad tym głowę... Bawi mnie to, żeby ludziom, którzy przyjdą po mnie, zadawać tego rodzaju łamigłówki. Na jednej z wież w Angkor-Wat, drogi przyjacielu, wyryłem wyjątkowo nieprzyzwoity napis w sanskrycie; gdy go potem odpowiednio zamazałem, wyglądał doprawdy bardzo staro. Z pewnością znajdzie się kiedyś jakiś mądrala, który go odcyfruje. Trzeba w naszych poczciwych bliźnich wywoływać trochę zgorszenia...

Po tej dygresji powróćmy do naszego Amerykanina. Chociaż jako egip-tolog był dyletantem, znał się trochę na rzeczy. Gdy więc zetknął się w Luksorze z owym Egipcjaninem, jego oferta wprawiła go w takie podniecenie, że nie wdając się w dłuższe targi, należące do uświęconych zwyczajów Wschodu, kupił od niego rzadkiej piękności i wyjątkowo dobrze zachowany papirus. Ukrył go w swym kufrze i ominąwszy szczęśliwie kontrolę policyjną i celną czym prędzej opuścił Egipt. Gdy przybył do Europy, oddał go do ekspertyzy jakiemuś rzeczoznawcy. Dowiedział się, że w istocie nie tylko nabył rzecz wyjątkowo cenną, lecz ponadto — choć dalej sprawy potoczyły się już bez jego udziału — zapoczątkował tym kupnem zgoła niepowszednią aferę.

Zanim jednak o niej opowiemy, musimy się pokrótce zapoznać z niezwykłą historią „Doliny Królów".

„Dolina Królów", znana także pod nazwą „Groby królewskie w Biban-el-Muluk", leży na zachodnim brzegu Nilu, naprzeciw Karnaku i Luksoru (gdzie wznoszą się olbrzymie kolumnady i świątynie z okresu „Nowego Państwa"), i stanowi część

rozległego, obecnie opustoszałego terenu dawnej tebańskiej nekropolii. Tu za czasów „Nowego Państwa" powstały podziemne krypty dla zmarłych dostojników, a oBok nich także świątynie wzniesione na cześć królów i świątynie boga Amona.

Utrzymanie i stała rozbudowa tego olbrzymiego miasta umarłych wymagały ogromnego personelu. Podlegał on specjalnemu urzędnikowi, który nosił tytuł: „Książę Zachodu i pułkownik wojsk nekropolii." Straż mieszkała w koszarach. W rozsianych grupach domów, które z czasem przybrały rozmiary małych wsi, mieszkali robotnicy zatrudnieni przy robotach ziemnych i budowlanych, kamieniarze i malarze, wszelkiego rodzaju rzemieślnicy i artyści, wreszcie specjaliści od mumifikacji i balsamowania ciał, którzy zachowywali doczesną powłokę zmarłych, tworząc wieczystą powłokę dla ich duszy, dla ich *ka.*

Wszystko to, jak powiedzieliśmy, działo się w okresie „Nowego Państwa", gdy na tronie Egiptu zasiadali najpotężniejsi władcy, jacy kiedykolwiek panowali nad tym krajem: „synowie słońca" — Ramzes I i Ramzes II. Były to czasy XVIII, a przede wszystkim XIX dynastii, od około 1350 do 1200 roku przed Chr., czasy — jeżeli myśleć kategoriami analogii Oswalda Spenglera — naszej teraźniejszości, panowania omal że najczystszej cywilizacji i wykształconego „cezaryzmu". To, co wówczas historycznie dokonywało się w Egipcie, to jednocześnie — „jednocześnie" w sensie Spenglerowskim — dokonywało się w Rzymie cezarów, który położył kres monumentalnej kulturze Grecji zachowując z niej tylko „kolosalność", tak jak wyrażona w piramidach wielkość starożytnych Egipcjan wyrodziła się w pompatyczne budowle Karnaku; Luksoru i Abydosu. Stosując dalej Spenglerowskie analogie, to samo działo się „w tym samym czasie" w Niniwie Sanheryba, owym „asyryjskim Rzymie", przejawiało się „jednocześnie" (wciąż w rozumieniu Spenglera) u chińskiego „cezara" Hoang-ti i we wznoszonych od 1250 roku olbrzymich budowlach indyjskich. Były to czasy, kiedy kulturę Egipcjan spotkało to samo, co obecnie spotyka nas, mieszkańców Zachodu — ludzi Nowego Świata ucieleśnionego w Nowym Jorku, mieście drapaczy chmur.

Dla nas wydaje się to rzeczą błahą. W Egipcie oznaczało to nagłe, buntownicze

zerwanie z utrzymywaną od siedemnastu wieków tradycją.

Oddzielając świątynię, w której w okresach świąt składano zmarłemu dary i wota tak niezbędne dla istnienia jego *ha,* Tutmos stworzył dla własnego *ha,* a tym samym dla swego życia po śmierci, nieobliczalne trudności. Ale — i to było zewnętrznym bodźcem do tej decyzji — był przekonany, że w ten sposób zapewni swemu martwemu ciału bezpieczeństwo, którego, jak świadczyły o tym sprofanowane i okradzione groby, nie zaznali jego poprzednicy. Motorem wskazówek, które dał swemu architektowi nazwiskiem Ineni, był strach — mimo całego racjonalistycz-nego rozpadu i laicyzacji religii (XXI dynastia składała się już z „kró-lów-kapłanów", kapłanów Amona, których potęga w państwie od dłuższego czasu stale wzrastała), wciąż jeszcze żywy strach przed zniszczeniem jego mumii, zbezczeszczeniem grobu. W początkach panowania XVIII dynastii, dynastii tebańskiej, nie było w całym Egipcie bodaj ani jednego grobu królewskiego, który by nie został obrabowany, ani jednej mumii znaczniejszej osoby, która by nie została odarta przynajmniej z części „magicznego rynsztunku", a tym samym na wieczne czasy zbezczeszczona. Przy tym ujęcie rabusiów okradających groby trafiało się niezmiernie rzadko. Co najwyżej tu i ówdzie zdarzało się może, że spłoszeni podczas rabunku musieli uciekać, pozostawiając na miejscu część swego łupu. Na pięćset lat przed Tutmosem I nieznany świętokradca, który dla ułatwienia sobie transportu dopiero co pociął na kawałki mumię żony króla Zera, został w tym momencie spłoszony i w pośpiechu ukrył oderwane ramię królowej w jakiejś dziurze w murze grobowca. Angielscy archeologowie znaleźli je tu w 1900 roku w stanie nie uszkodzonym, z zachowanym pod bandażami kosztownym pierścieniem, wysadzanym ametystami i turkusami.

Naczelny budowniczy Tutmosa I nazywał się Ineni. Dziś możemy sobie tylko wyobrazić, jak przebiegały narady między monarchą i jego architektem. Powziąwszy decyzję zerwania z tradycją Tutmos zapewne rychło zdał sobie sprawę, że jeżeli chce uniknąć losu swych poprzedników, pozostaje mu tylko jedna droga wyjścia: zachowanie absolutnej tajemnicy co do miejsca i planu grobowca.

Wiadomość o tym, jak tego dokonano, zawdzięczamy próżności Ineniego, który na

ścianach swej własnej kaplicy grobowej pozostawił szczegółową historię swego życia, w tym także sprawozdanie o budowie pierwszego grobu szybowego. „Sam tylko nadzorowałem budowę grobowca skalnego Najmiłościwszego Króla. Nikt inny go nie widział, nikt inny o nim nie słyszał." Jednakże archeolog Carter, jeden z najlepszych znawców „Doliny Królów", orientując się doskonale w trudnościach, jakie musiała napotykać ta budowa, uważa, że Ineni niewątpliwie zatrudniał przy niej co najmniej stu robotników. „Jest rzeczą jasną — pisze trzeźwo Carter, nie wdając się w moralną ocenę omawianych faktów — że nie można było dopuścić do tego, aby stu czy więcej robotników znając największą tajemnicę króla swobodnie poruszało się wśród innych ludzi. Ineni z pewnością znalazł skuteczne środki, aby na zawsze zamknąć im usta. Roboty te, być może, wykonali jeńcy wojenni, których potem zgładzono."

Czy to niesłychane odszczepieństwo, to zerwanie z tradycją dało oczekiwane przez Tutmosa skutki? Jego grób, położony w urwisku zamykającym bezludną ponurą kotlinę, jest pierwszym w „Dolinie Królów". Ineni wykuł w tej skale strome schody i w zasadzie wybudował grób w ten sposób, w jaki potem wszyscy późniejsi architekci faraonów przez pięćset lat budowali groby, tak że Grecy z uwagi na wężykowaty kształt grobowców nazwali je „syryngami" — od słowa *syrinx* oznaczającego długą fujarkę pasterską. (Strabon, grecki podróżnik w ostatnim stuleciu przed Chr., opisuje już czterdzieści takich „godnych zwiedzenia grobów").

Nie wiemy, jak długo Tutmosowi faktycznie dane było spoczywać w spokoju. Wiemy tylko, że mierzony skalą historii egipskiej okres ten nie mógł trwać zbyt długo. Pewnego dnia wraz z córką i innymi mumiami przeniesiono go gdzie indziej. Nie wykradli go jednak rabusie. Wręcz przeciwnie, zabrano go stąd dla ochrony przed rabusiami, bo już i ten skalny grób nie wydawał się bezpieczny. W owych czasach zaczęto groby królewskie wykuwać w skałach coraz bliżej siebie, jeden obok drugiego. Pozwalało to skupić w jednym miejscu straże i zapobiegało rozproszeniu uwagi. Niemniej rabunek trwał dalej.

Do grobowca Tutanchamona rabusie wtargnęli już w dziesięć czy piętnaście lat po jego śmierci. W grobowcu Tutmosa IV pozostawili nawet swój „bilet wizytowy" w

postaci napisów wygryzrnolonych na ścianie w antycznej gwarze złodziejskiej. Przy tym grób zdemolowali tak doszczętnie, że w sto lat później pełen pietyzmu król Haremheb w ósmym roku swego panowania kazał urzędnikowi nazwiskiem Kej „odbudować grób króla Tutmosa IV — błogosławione niechaj będzie imię jego — w świętej siedzibie w zachodnich Tebach".

Największe wszakże rozmiary przybrało plądrowanie grobów za panowania XX dynastii. Minął już wtedy okres wspaniałości i potęgi poprzednich władców — Ramzesa I i II oraz Setiego I i II. Nastąpiło panowanie dziewięciu królów o imieniu Ramzes, którzy nosili jedynie wielkie imię. Rządy ich były niepewne i stale zagrożone. Łapownictwo i korupcja urosły do rozmiarów nowej, niedającej się uchwycić potęgi. Strażnicy cmentarzy byli w zmowie z kapłanami, nadzorcy dzielnic z naczelnikami powiatu, ba, pewnego dnia okazało się, że nawet sam zarządca zachodnich Teb, najwyższy urzędnik państwa powołany do pieczy nad miastem umarłych, był w spółce z rabusiami okradającymi groby. Dziwne ogarnia nas uczucie, gdy dzięki znalezionym papirusom z czasów Ramzesa IX (1142—1123 przed Chr.) stajemy się świadkami sensacyjnego procesu w sprawie plądrowania grobów, w którym sprawcy tych rabunków, dotąd zawsze anonimowi, po raz pierwszy występują imiennie.

Pewnego dnia zarządca miejski wschodniej dzielnicy Teb nazwiskiem Pezer otrzymał wiadomość, że w zachodniej części miasta, w mieście umarłych, odbywa się zakrojone na wielką skalę okradanie grobów. Naczelnikiem zachodnich Teb był niejaki Pewero, osobnik wątpliwej uczciwości. Żywili oni dla siebie wzajemnie mało przyjazne uczucia. Można tedy przypuszczać, że Pezer skwapliwie skorzystał z okazji, aby równego mu rangą kolegę pogrążyć w oczach wspólnego zwierzchnika Chamweze, wezyra całego okręgu tebańskiego. (Opisujemy tę historię według barwnego opowiadania Howarda Cartera, który czerpie swe cytaty ze wspaniałego zbioru dokumentów egipskich Breasteda *Ancient Records of Egypt.)*

Ale sprawa źle się skończyła dla Pezera. Popełnił on ten błąd, że w swej skardze wymienił dokładnie ilość splądrowanych grobów: dziesięć grobów królewskich,

cztery groby kapłanek i tyle a tyle grobów prywatnych. Nie ulega wątpliwości, że niektórzy członkowie komisji, którą Chamweze wydelegował na zachodni brzeg Nilu celem zbadania sprawy, a być może i jej przewodniczący albo nawet sam wezyr ciągnęli zyski z tych kradzieży. Świadczy to zresztą dobrze o przezorności Pewera, płacącego im — jak byśmy to dzisiaj nazwali — „prowizję". Można tedy przypuścić, że komisja wsiadając do łodzi, by przeprawić się przez rzekę, miała już gotowy wyrok. Załatwiła też sprawę w sposób formalno-praw-ny: nie wchodząc w istotę sprawy, czy rzeczywiście popełniono kradzieże, wykazała, że dane Pezera były nieprawdziwe, włamano się bowiem nie do dziesięciu grobów królewskich, tylko do jednego, i nie do czterech, tylko do dwóch grobów kapłanek. Komisja nie mogła wprawdzie zaprzeczyć, że splądrowano wszystkie niemal groby prywatne, lecz nie uważała tego za wystarczający powód, aby tak zasłużonego urzędnika jak Pewero oddawać pod sąd. Postępowanie umorzono. Następnego dnia triumfujący Pewero (z akt procesu można doskonale wyobrazić sobie charakter tego człowieka!) zgromadził „dozorców, administratorów miasta umarłych, rzemieślników, policję tudzież wszystkich Arabów z nekropolii" i wysłał ich na brzeg wschodni, aby urządzili tam demonstrację (według modnego dziś słownictwa nazwalibyśmy ją „spontaniczną"). Nie omieszkał im przy tym specjalnie zalecić, aby bynajmniej nie trzymali się z dala od domu Pezera.

Tego Pezerowi było już za wiele.

Nie bez powodu uznał, że cała historia zakrawa na wyraźną prowokację, i w swym skądinąd zrozumiałym szale wściekłości popełnił drugi, tym razem fatalny już błąd. W toku gwałtownej sprzeczki z jednym z prowodyrów bandy nasłanej z zachodniej części miasta zapowiedział w obecności wielu świadków, że o całym tym niesłychanym zajściu doniesie bezpośrednio królowi. Bezpośrednio, a więc z pominięciem wezyra.

Na to tylko czekał Pewero. Pobiegł w te pędy do wezyra, aby mu donieść o tym niesłychanym, urągającym wszelkim przepisom ładu i porządku zamiarze Pezera odwołania się do najwyższych instancji z pominięciem drogi służbowej. Wezyr

zwołał sąd. Pezer, który popełnił tyle niezręczności, sam musiał teraz wziąć w nim udział jako jeden z sędziów, sam musiał siebie oskarżać i uznać winnym krzywoprzysięstwa.

Nie mniej nowoczesne niż sam przebieg tej historii — do bezspornie udokumentowanych faktów niczego nie dodaliśmy, przeciwnie, nasz opis mógłby być znacznie bardziej szczegółowy — jest jej zakończenie, zakończenie jak z bajki, jakiego zawsze pragniemy, lecz rzadko przeżywamy.

W dwa lub trzy lata po śledztwie i sądzie, przeprowadzonym przez skorumpowanych urzędników, ujęto ośmiu opryszków. Gdy „oćwiczono im stopy i dłonie rózgami", złożyli zeznania. Protokół tych zeznań wpadł widocznie w ręce nieprzekupnego urzędnika i dlatego nie został zniszczony. Znajdujemy w nim nazwiska pięciu członków ośmioosobowej bandy. Byli to: kamieniarz Hapi, rzemieślnik Iramun, wieśniak Amenemheb, nosiwoda Kemwese i niewolnik murzyński Ehenufer. Oto ich zeznania:

„Otworzyliśmy ich trumny i zdjęliśmy z nich powłoki, w które byli owinięci. Znaleźliśmy dostojną mumię króla... Miał na szyi długi sznur amuletów i klejnotów ze złota. Głowa była zakryta złotą maską; cała dostojna mumia króla była od stóp do głowy pokryta złotem. Powłoki były wewnątrz i od zewnątrz posrebrzane oraz wykładane wszelkiego rodzaju kosztownymi kamieniami. Pozrywaliśmy złoto, które znaleźliśmy na dostojnej mumii boga, a także amulety i klejnoty, jakie miała na szyi i w powłoce, w której spoczywała.

W ten sam sposób znaleźliśmy małżonkę króla. Obdarliśmy ją ze wszystkiego, co miała na sobie. Ukradliśmy sprzęty, które znaleźliśmy przy niej, a były to naczynia ze złota, srebra i brązu. Złoto, które znaleźliśmy przy mumiach tych dwojga bogów, amulety, klejnoty i powijaki podzieliliśmy na osiem części."

Sąd wydał wyrok skazujący. Fakty potwierdziły więc twierdzenia Pezera, gdyż jednym z grobów, do których ograbienia przyznali się złoczyńcy, był grób wymieniony w złożonym przez niego doniesieniu.

Zdaje się jednak, że i to postępowanie sądowe — potem jeszcze nieraz zdarzały się

wyroki sądowe w podobnych sprawach — nie było w stanie powstrzymać systematycznego ograbiania „Doliny Królów". Z dokumentów sądowych wiemy, że włamano się do grobów Amenhotepa III, Setiego I i Ramzesa II i że — jak pisze Carter — „...za panowania następnych dynastii wszystkie próby strzeżenia grobów królewskich zostały, zdaje się, zaniechane". Carter kreśli ponury obraz rabunków popełnianych w „Dolinie Królów": „Dolina musiała być świadkiem wielu dziwnych rzeczy. Przeprowadzano tu zuchwałe wyprawy. Można sobie wyobrazić, jak całymi dniami toczyły się narady nad planami grabieży — jak nocą spotykano się na skale, jak przekupywano lub ogłuszano strażników cmentarnych, jak potem zuchwale kopano w ciemnościach, jak przez przebity otwór z trudem przedostawano się do wnętrza komory grobowej, jak w migocącym świetle łuczywa gorączkowo szukano łatwych do przeniesienia skarbów i jak o brzasku rabusie powracali obładowani łupami. Wyobrażając sobie to wszystko, dochodzimy zarazem do wniosku, że było to nieuniknione. Każdy z królów, dbając za życia o odpowiadające jego godności staranne i kosztowne wyposażenie swej mumii, sam przyczyniał się do jej zniszczenia. Pokusa była za wielka. Skarby przechodzące najśmielsze marzenia o bogactwie leżały tu przygotowane, gotowe do wzięcia dla tego, kto znajdzie drogę i środki, aby do nich dotrzeć. Rabusie plądrujący groby wcześniej czy później musieli dojść do celu."

Ale jeszcze znacznie bardziej wstrząsająca niż ten obraz nakreślony przez Cartera musiała być inna scena, która rozegrała się w „Dolinie". Tyle już opowiedzieliśmy o grasujących w niej rabusiach, o zdradzieckich kapłanach, przekupnych urzędnikach, sprzedajnych burmistrzach, o całej tej złodziejskiej organizacji, obejmującej wszelkie szczeble hierarchii społecznej (organizacji, którą pierwszy przewidział Petrie, gdy w grobie Amenemheta wpadł na trop rabusiów), że mogłoby to wywołać wrażenie, jak gdyby zwłaszcza w okresie XX dynastii nie było już w ogóle w Egipcie ludzi prawych, pobożnych, oddających cześć swym zmarłym królom.

W tym samym jednak czasie, gdy nocą złodzieje obładowani łupem uchodzili tajnymi ścieżkami, małe grupy wiernych skradały się po innych ścieżkach. Kapłani z

konieczności chwytali się metod swych przeciwników, ale w zgoła innym celu. Aby zapobiec grabieży, musieli sami wykradać mumie, wykradać je prędzej niż tamci. W tej prewencyjnej wojnie podjazdowej, którą mała garstka wiernych i nieprzekupnych kapłanów prowadziła ze znakomicie zorganizowaną bandą złodziei, odpowiadając na spisek przygotowanym w najbliższym ich sąsiedztwie kontrspiskiem, było z pewnością jeszcze więcej tajemniczości, jeszcze więcej sekretnych przygotowań.

Jeżeli natężymy siłę naszej wyobraźni, usłyszymy szepty, zobaczymy w przyćmionym świetle pochodni nachylone nad otwartym sarkofagiem postacie. Gdyby tych kapłanów złapano „na gorącym uczynku", nic by im nie groziło, byli tu przecież z mocy prawa, lecz jedno spojrzenie przekupnego urzędnika wystarczałoby, aby rabusie zostali poinformowani, którego króla uprowadza się, aby go nie dosięgła ich świętokradcza ręka. Zobaczylibyśmy dalej wędrówkę, jak po dwóch, najwyżej po trzech, spieszą za prowadzącym ich strażnikiem, ostatnim być może, który pozostał wierny swemu urzędowi, jak dźwigają zabalsamowane ciała zmarłych królów, przenoszą mumie z jednego grobowca do drugiego, aby je ochronić przed hienami grobowymi; jak potem, dowiadując się o nowym spisku, znowu udają się na nową wyprawę. Martwi królowie, których mumie miały spoczywać w wiecznym spokoju, zaczynają odbywać wędrówki.

Aż pewnego razu wszystko się zmienia. Tym razem już w jasny dzień. Policja zamyka „Dolinę Królów". Tragarze i kolumny jucznych zwierząt transportują olbrzymie trumny unosząc je z niepewnej komory grobowej do innej, nowej kryjówki. Nadciąga wojsko. Kto wie, może znowu wielu świadków musiało się rozstać z życiem, aby tajemnica została dochowana.

Mumię Ramzesa III trzy razy wyciągano z grobu i trzy razy na nowo chowano. Podobne wędrówki odbywają również Ahmos, Amenhotep I, Totmes II, a nawet Ramzes Wielki. Aż w końcu, z braku nowych kryjówek, wielu leży obok siebie w jednym wspólnym grobie.

„W 14 roku, szóstego dnia trzeciego miesiąca drugiej pory roku przeniesiono Ozyrysa, króla Usermare (Ramzesa II), aby go znów pochować w grobie Ozyrysa,

króla Menmare Setiego (I), a pochował go arcykapłan boga Amona, Pinutem.”
Mumie jednak i w tym nowym grobowcu nie były bezpieczne. Setiego I i Ramzesa II przeniesiono więc do grobowca królowej Inhapi. W grobowcu Amenhotepa II leży w końcu nie mniej niż trzynaście królewskich mumii. Inne mumie przy różnych sposobnościach wyciągano z pierwotnych grobowców, a potem także z pierwszych i drugich kryjówek. Samotną, pustynną ścieżką (można nią jeszcze i dziś odbyć tę samą drogę) przenoszono je z „Doliny Królów” do grobu wykutego w skalistym uroczysku Der-el-Bahri nie opodal olbrzymiej świątyni, którą zaczęła tu budować Hatszepsut, nieszczęsna współregentka i siostra Tutmosa III.
Tutaj nareszcie mumie przez trzy tysiące lat spoczywały w spokoju.
Być może przypadek tylko zrządził, że rabusie nie znaleźli miejsca tego grobowca, tak jak przypadek — może ulewny deszcz, który zmył wejście w niżej położonej części „Doliny”? — po pierwszym pobieżnym splądrowaniu uchronił również grobowiec Tutanchamona. Wreszcie za naszych czasów znów tylko przypadek — podróż amerykańskiego kolekcjonera do Luksoru — sprawił, że ten olbrzymi masowy grób królewsk został ponownie odkryty w 1875 roku naszej ery.

Rozdział piętnasty
MUMIE

Początki „Doliny Królów” giną w mroku bezdziejowości. „Wyobraźmy sobie — jak pisze Howard Carter — bezludną, ale dla Egipcjanina niewątpliwie pełną duchów kotlinę, gdzie wykute w Skale podziemne galerie stoją obrabowane i puste, niektóre niby pieczary z otwartym wejściem, służą za siedlisko szakalom, sowom i całym chmarom nietoperzy. A jednak «Dolina», chociaż groby jej dawno zostały

splądrowane, opuszczone i zburzone, nie straciła nic ze swego tajemniczego uroku. Nadal pozostała «Świętą Doliną Królów» i zapewne długo jeszcze ściągała liczne rzesze marzycieli i ciekawych. Za panowania Osorkona I (około 900 roku przed Chr.) niektóre jej groby zostały ponownie użyte — chowano w nich zmarłe kapłanki."

W tysiąc lat później w „Dolinie" osiedlili się pierwsi chrześcijańscy pustelnicy, gnieżdżąc się w opuszczonych syryngach. „Splendor i przepych królewski — pisze Carter dalej — zastąpiło pełne pokory ubóstwo. «Dostojna siedziba» króla zmieniła się w ciasną celę eremity."

Potem jednak obraz znowu się zmienia. Takie widać było już przeznaczenie „Doliny", że stanowiła jednocześnie siedzibę królów i zbójców. W czasach nowożytnych pierwszy w 1743 roku opisuje „Dolinę" angielski podróżnik Richard Pococke, który z arabskim szejkiem jako przewodnikiem zwiedza czternaście otwartych grobów. (Strabon, jak już wspomnieliśmy, zwiedził ich czterdzieści; obecnie znamy sześćdziesiąt jeden.) Okolica jednak była niepewna. Wśród wzgórz Khurna obozowała banda rozbójników. James Bruce, który zwiedził „Dolinę Królów" w dwadzieścia sześć lat po owym angielskim podróżniku, opowiada o bezskutecznej próbie wykurzenia zbójców: „Wszyscy oni są wyjęci spod prawa i gdziekolwiek by ich napotkano — wydani na śmierć. Stary Osman bej, namiestnik okręgu Girge, nie mogąc dłużej ścierpieć popełnianych przez nich bezeceństw, kazał nazwozić suchego chrustu, obsadził żołnierzami część wzgórza, gdzie gnieździła się większość tych nikczemników, po czym kazał wszystkie pieczary wypełnić wysuszonym chrustem i następnie podpalić. Większość zbójców zginęła; później jednak bandy znowu wzrosły w liczbę i nadal uprawiały dawny proceder."

Gdy Bruce, chcąc sporządzić kopie z płaskorzeźb ściennych w grobowcu Ramzesa III, postanowił spędzić noc w komorze grobowej, przewodników egipskich zdjęło przerażenie. Wśród przekleństw cisnęli swe pochodnie o ziemię i w błyskach dogasającego ognia „rzucali straszliwe proroctwa przepowiadając wszelkie nieszczęścia, jakie natychmiast po ich odejściu nawiedzą pieczarę". Gdy zaś potem, z jednym pozostałym przy nim służącym, jadąc wierzchem wracał do swej łodzi na

Nilu, w okrytej już ciemnością kotlinie podniosły się krzyki, a z wierzchołków okalających ją wzgórz posypały się kamienie i kule. Bruce wśród tej strzelaniny musiał ratować się ucieczką. Dodajmy, że i napoleońska Komisja Egipska, która przybyła tu w trzydzieści lat później dla dokonania pomiarów „Doliny" i jej grobów, doznała podobnego przyjęcia: również została ostrzelana przez tebańsikich zbójców.

Dziś „Dolina Królów" jest celem wycieczek niezliczonych cudzoziemców, przybywających tu z wszystkich krajów świata. W miejscu, gdzie dopiero trzydzieści kilka lat temu odkryto jeden z najbogatrzych skarbów, jaki kiedykolwiek archeologom udało się wydobyć z ziemi, krzykliwi dra-gomani okładają kijami swe osły, ze schroniska urządzonego pod Der-el-Bahri przez Międzynarodowe Biuro Podróży Cooka nadchodzą turyści, których Arabowie w swoistej angielszczyźnie zachęcają do zwiedzenia d e kingses tombes. Trudno oprzeć się melancholijnym refleksjom, ale zarazem i powstrzymać od uśmiechu, gdy mając przed oczyma wyobraźni wielką historię doliny Nilu, jej królów i ludów, czyta się w informatorze turystycznym następującą praktyczną wskazówkę:

„Najważniejsze grobowce i grób Tutanchamona trzy razy w tygodniu w godzinach przedpołudniowych oświetlane są elektrycznością."

Największego odkrycia w „Dolinie Królów", które wprawiło całą opinię europejską w stan takiego napięcia i podniecenia, jaki dotąd w dziejach odkryć archeologicznych wywołało jedynie odkrycie Troi przez Schliemanna, dokonano w 1922 roku.

Ale prawie nie mniej zdumiewające było znalezisko odkryte na kilkadziesiąt lat przedtem w jeszcze znacznie dziwniejszych okolicznościach w kotlinie Der-el-Bahri.

Przypominamy sobie Amerykanina, któremu w zaułkach Luksoru udało się nabyć cenny egipski papirus. Gdy europejski rzeczoznawca stwierdził jego bezsporną autentyczność i nieocenioną wartość, usiłował wypytać owego Amerykanina o bliższe szczegóły. Zadowolony kolekcjoner wiedząc, że teraz w Europie nikt już nie może mu wydrzeć zdobyczy, odpowiadał chętnie, niczego nie ukrywając. Rzeczoznawca napisał o tym wszystkim szczegółowy list do Kairu. Idąc po nitce do kłębka wykryto zupełnie niezwykły wypadek systematycznej profanacji grobów królewskich.

Profesora Gastona Maspero, dyrektora muzeum w Kairze, ów list z Europy przeraził z dwojakiego powodu. Raz dlatego, że zbiorom muzeum znowu wymknęło się cenne znalezisko — znowu, bo co najmniej od sześciu lat na „czarnym rynku" zabytków coraz to pojawiały się w zagadkowy sposób rzadkie, pod względem naukowym niezwykle wartościowe okazy. Pochodzenia tych przedmiotów nigdy nie udawało się ustalić. Nie można go było dojść nawet i wtedy, gdy szczęśliwi nabywcy, znajdując się już poza granicami Egiptu, wyrażali gotowość udzielenia bliższych szczegółów o okolicznościach, w jakich je zakupili. Przeważnie wymieniali jako sprzedawcę jakiegoś nieznanego osobnika, odznaczającego się wyjątkowo wysokim wzrostem. W zeznaniach ich jednak ten tajemniczy olbrzym występował to jako Arab, to jako młody Murzyn, to znów był zamożnym szejkiem. Drugim jednak powodem wzburzenia profesora Maspero było to, że ów najnowszy okaz, zasygnalizowany mu teraz z Europy, stanowił przedmiot przydany do grobu jednemu z królów XXI dynastii, której grobów dotąd nie udało się odnaleźć. Któż zatem je znalazł? I czy był to grób tylko jednego króla?

Już pobieżny przegląd przedmiotów, o których pojawieniu się w po-kątnym handlu zabytkami doniesiono profesorowi Maspero, wystarczył mu, aby stwierdzić, że pochodziły one z grobów różnych królów. A że było rzeczą mało prawdopodobną, aby współczesnym rabusiom udało się odkryć naraz aż kilka grobów, więc nasuwał się wniosek, że znaleźli jeden z wielkich grobów zbiorowych.

Dla uczonego tej miary, co profesor Maspero, otwierało to oszałamiające perspektywy. Należało działać. Skoro zaś policja egipska zawiodła, uznał, że sam musi wpaść na trop nowego rabunku. Po wielu naradach odbytych w ścisłym gronie postanowił wysłać jednego ze swych młodych asystentów do Luksoru.

Ów asystent od pierwszej chwili po opuszczeniu statku w przystani na Nilu zachowywał się zupełnie inaczej, niż zazwyczaj zachowuje się archeolog wyruszający na ekspedycję naukową. Zamieszkawszy w tym samym hotelu, w którym przedtem mieszkał Amerykanin, nabywca owego papirusu, dniami i nocami jako bogaty młody „turysta" włóczył się po wszystkich uliczkach i zaułkach bazaru, podzwaniał

pieniędzmi, kupował tu i ówdzie jakiś drobiazg płacąc zań hojnie. Gdy wchodził z handlarzami w poufniejsze rozmowy, dawał sute napiwki, utrzymane jednak w takich granicach, aby nie wzbudzały podejrzeń. Otrzymywał coraz to nowe propozycje kupna „zabytków" — imitacji pochodzących z współczesnych warsztatów chałupniczych. Rychło jednak zarówno koncesjonowani, jak dzicy handlarze zorientowali się, że ten młody człowiek, który wiosną 1881 roku włóczył się po Luksorze, nie da się oszukać. Cudzoziemiec cieszył się więc u nich coraz większym szacunkiem. Szacunek, jak wiadomo, rodzi zaufanie. Któregoś dnia pewien handlarz siedzący na progu swego kramu skinął mu głową na znak, że chciałby z nim mówić. Po chwili asystent Muzeum Egipskiego trzymał w ręku mały posążek. Zdołał się opanować i przybrać minę na pozór zupełnie obojętną. Usiadł wraz z handlarzem na rozłożonej macie i zaczął się z nim targować. Obracając przy tym w ręku posążek zdążył się przekonać, że ten nie tylko jest autentyczny i pochodzi sprzed trzech tysięcy lat, lecz co więcej — na co wskazywał napis — stanowi przydatek włożony do grobu jednego z królów XXI dynastii.

Targi trwały długo. W końcu asystent kupił małą statuetkę, ale wyrażał się o niej lekceważąco, dając do zrozumienia, że szuka większych, wartościowszych przedmiotów. Jeszcze tego samego dnia zawarł znajomość z pewnym Arabem, mężczyzną w sile wieku i niezwykle wysokiego wzrostu. Olbrzym ten nazywał się Abd-el-Rasul. Był głową szeroko rozgałęzionej rodziny. Młody asystent przez kilka dni kontynuował z nim rozmowy, a gdy na jednym ze spotkań Arab zaofiarował mu kupno innych jeszcze przedmiotów, tym razem pochodzących z grobów XIX i XX dynastii, kazał go aresztować. Nie miał już żadnej wątpliwości, że znalazł poszukiwanego sprawcę kradzieży w grobach królewskich.

Czy rzeczywiście go znalazł?

Abd-el-Rasul wraz z kilkoma krewnymi stanął przed mudirem okręgu Kene, Daudem paszą. Daud pasza osobiście prowadził przesłuchanie. Zjawił się jednak cały poczet świadków odwodowych. Wszyscy mieszkańcy rodzinnej wsi Abd-el-Rasula przysięgali na jego niewinność, na niewinność całej rodziny, jednej — jak zeznawali

— z najstarszych i najbardziej szanowanych w całej gminie. Tymczasem asystent, całkowicie przekonany o słuszności swego oskarżenia, wysłał już do Kairu depeszę z wiadomością o pomyślnym wyniku poszukiwań. Teraz musiał bezsilnie przyglądać się temu, jak Abd-el-Rasula i jego krewnych z braku dowodów wypuszczono na wolność. Zaklinał urzędników, by tego nie czynili — w odpowiedzi wzruszali tylko ramionami. Poszedł do mudira. Ten jednak spojrzał na niego ze zdumieniem i dziwiąc się jego niecierpliwości, powiedział mu, żeby czekał.

Asystent czekał dzień, potem drugi. Wysłał do Kairu nowy telegram odwołując poprzednią wiadomość. Szarpiąca nerwy niepewność i prawdziwie orientalny spokój mudira przyprawiały go o chorobę. Ale Daud pasza znał swoich ludzi.

Howard Carter przytacza w swej książce opowiadanie jednego ze swych najstarszych robotników. W młodych swych latach ujęty jako złodziej, został postawiony przed mudirem. Strach przed surowym Daudem paszą przerodził się w przerażenie, gdy zamiast przed kolegium sędziowskie zaprowadzono go do prywatnego apartamentu paszy, który — jako że rzecz działa się w skwarny dzień — zażywał chłodzącej kąpieli w wielkiej glinianej wannie.

Daud pasza patrzył na niego, nic, tylko patrzył. Ale stary robotnik jeszcze po wielu latach pozostawał pod wrażeniem tej sceny i mówił o niej Carterowi: „...gdy jego oczy przenikały mnie na wskroś, czułem, jak mróz przechodzi po kościach. Potem powiedział do mnie spokojnie: «Ponieważ stajesz przede mną po raz pierwszy, możesz odejść, ale miej się na baczności, miej się bardzo na baczności, żebyś nie przyszedł po raz drugi.» Obleciał mnie taki strach, że zmieniłem zawód i już nigdy nie stanąłem przed mudirem."

Autorytet Dauda paszy — niewątpliwie popierany w razie potrzeby okrutnymi środkami — przyniósł i tym razem owoce, których młody asystent, przykuty wtedy febrą do łóżka, wcale się już nie spodziewał. Bo oto po upływie miesiąca zgłosił się do Dauda paszy jeden z krewnych i wspólników Abd-el-Rasula i złożył wyczerpujące zeznanie. Mudir kazał natychmiast zawiadomić o tym młodego asystenta, który wciąż jeszcze znajdował się w Luksorze. Rozpoczęły sdę nowe przesłuchania. Okazało się,

że cała wieś Khurna — rodzinna wieś Abd-el-Rasula — to zawołani złodzieje i świętokradcy. Rzemiosło to, przechodząc z ojca na syna, kwitło tu od niepamiętnych czasów, prawdopodobnie od XIII wieku przed Chr. Drugiej takiej złodziejskiej dynastii nie było chyba nigdy i nigdzie na świecie.

Największym znaleziskiem, jakie ta dynastia odkryła, był zbiorowy grób w Der-el-Bahri. W jego odkryciu i obrabowywaniu szły ze sobą w parze przypadek i systematyczność. Na sześć lat przed opisywanymi tu wydarzeniami, w 1875 roku, Abd-el-Rasul w masywie skalnym wznoszącym się między „Doliną Królów" a kotliną Der-el-Bahri zupełnie przypadkowo odkrył dobrze zamaskowany otwór szybu. Zbadawszy go — nie bez wielu trudności — przekonał się, że natrafił na rozległą komorę grobową ze spoczywającymi w niej mumiami faraonów. Już pierwsze pobieżne rozejrzenie się po komorze powiedziało mu, że można tu wydobyć skarby, które jemu i całej jego rodzinie zapewnią dożywotnią rentę, o ile tylko uda się to odkrycie zachować w tajemnicy.

Wtajemniczono w nie tylko najpoważniejszych członków rodziny. Wszyscy uroczystą przysięgą zobowiązali się nigdy nie zdradzić tajemnicy, pozostawić skarb tam, gdzie się znajdował od trzech tysięcy lat, traktować go jako zastrzeżone, rzec można, „zmumifikowane" konto bankowe rodziny Abd-el-Rasula, z którego wolno podejmować kwoty tylko na wspólne potrzeby. Trudno wprost uwierzyć, ale faktycznie przez sześć lat udało się zachować tajemnicę. W ciągu tych sześciu lat rodzina doszła do bogactwa. Wszystko to trwało do chwili, gdy 5 lipca 1881 roku przed otworem grobu stanął pełnomocnik kairskiego Muzeum Egipskiego prowadzony przez Abd-el-Rasula.

Była to jedna z owych małych złośliwości losu, że pełnomocnikiem muzeum nie był młody asystent, któremu przypadała cała zasługa wykrycia zbójeckiej bandy, ani profesor Maspero, który je zainicjował. Nowy telegram o niewątpliwych już tym razem zeznaniach nie zastał profesora Maspero w Kairze. Ponieważ nie można było zwlekać, wysłano w jego zastępstwie innego przedstawiciela. Został nim pełniący wówczas przy kairskim muzeum funkcje konserwatora Emil Brugsch-bej, brat

słynnego niemieckiego archeologa Henryka Brugscha. Przybywszy do Luksoru zastał swego młodego kolegę, który z takim powodzeniem odegrał rolę detektywa, chorego na febrę. Brugsch złożył „dyplomatyczną" wizytę mudirowi. Wszyscy zainteresowani byli zgodni co do tego, że grób należy niezwłocznie zabezpieczyć, aby nie dopuścić do dalszego rabunku. Wczesnym rankiem 5 lipca Brugsch wyruszył w drogę w towarzystwie Abd-el-Rasula i swego arabskiego pomocnika. To, co niebawem zobaczył, przypominało skarby z bajki o lampie Aladyna, to zaś, co rozegrało się w ciągu najbliższych dziewięciu dni, miało mu na zawsze pozostać w pamięci.

Po uciążliwym wspinaniu się na skaliste wzgórze Abd-el-Rasul przystanął i wskazał na otwór zakryty w bardzo prosty sposób kamieniami. Nic dziwnego, że znajdując się w niedostępnym miejscu, w dodatku dobrze zamaskowany, od trzech tysięcy lat nie zwrócił uwagi żadnego człowieka. Abd-el-Rasul zdjął z pleców linę i dał do zrozumienia, że Brugsch będzie musiał opuścić się na niej w głąb lochu. Brugsch, zleciwszy straż nad niebezpiecznym przewodnikiem swemu godnemu zaufania pomocnikowi, bez wahania to uczynił. Ostrożnie, nie bez pewnej obawy, czy kuty na cztery nogi opryszek nie zgotował mu jakiejś zasadzki, opuścił się na dół. Jeżeli nawet tliła się w nim jakaś iskierka nadziei, że może istotnie coś tutaj znajdzie, to w każdym razie nie podejrzewał, czym to „coś" okaże się w rzeczywistości.

Szyb miał głębokość jedenastu metrów. Stanąwszy na dole Brugsch zapalił pochodnię. Kilka kroków, ostry zakręt — i oto oczom jego ukazały się pierwsze olbrzymie sarkofagi.

Na jednym z największych, które stały tuż za wejściem, widniał napis wskazujący, iż spoczywa w nim mumia Setiego I, a więc mumia, której w październiku 1817 roku Belzoni na próżno szukał w pierwotnym grobowcu tego faraona w „Dolinie Królów". W migocącym świetle pochodni ukazały się dalsze trumny oraz niezliczone, porozrzucane po podłodze i sarkofagach kosztowności związane z egipskim kultem umarłych. Brugsch posuwał się krok za krokiem dalej. Wtem otwarła się przed nim właściwa komora grobowa. W półmrocznym świetle wydawała się ogromna. Bezładnie rozmieszczone trumny stały, jedne otwarte, inne z zamkniętym jeszcze

wiekiem. Niektóre' mumie poniewierały się na ziemi wśród rozrzuconych sprzętów, naczyń i klejnotów. Brugsch stał osłupiały. Czy zdawał sobie sprawę w tej sekundzie, że dane mu jest widzieć rzeczy, jakich przed nim nie oglądało jeszcze oko Europejczyka?

Leżeli przed nim we własnej osobie najpotężniejsi władcy starożytnego świata. Brugsch mogąc się miejscami swobodnie poruszać, to znów czołgając się, stwierdził, że leży tu faraon Ahmos I (1580—1555 przed Chr.), który wsławił się wypędzeniem Hyksosów, „królów pasterzy" (co jednak wbrew dawniejszym poglądom nie pozostaje w żadnym związku z opowiadaniem o wyjściu Żydów z Egiptu), i Amenhotep I (1555—1545 przed Chr.), późniejszy patron całego tebańskiego miasta umarłych. Wreszcie wśród mnóstwa trumien mniej znanych królów egipskich znajduje mumie dwóch największych faraonów, których sława, od tysiącleci przekazywana z pokolenia na pokolenie, nawet bez odkryć archeologów i dociekań historyków przetrwała do naszych czasów. Jest tak oszołomiony tym odkryciem, że trzymając w ręku pochodnię siada na kilka minut: znalazł martwe ciała Tutmosa III (1501—1447 r. przed Chr.) i Ramzesa II (1298—1232 r. przed Chr.), zwanego Wielkim (na którego dworze, jak wówczas wierzono, wychować się miał Mojżesz, prawodawca narodu żydowskiego i całego świata chrześcijańskiego), martwe ciała dwóch władców, którzy — jeden przez pięćdziesiąt cztery, a drugi przez sześćdziesiąt sześć lat panowania — wśród krwi i łez swych poddanych nie tylko stworzyli światowe imperium, ale i długo zdołali je utrzymać.

Gdy Brugsch, olśniony ogromem znaleziska, pobieżnie odczytywał dalsze napisy, nie wiedząc, od którego zacząć, natrafił niebawem na historię o „wędrujących mumiach". Przed oczyma jego wyobraźni wyłonił się obraz kapłanów, którzy w ciągu niezliczonych nocy unosili ciała martwych faraonów z grobowców w „Dolinie Królów" i częstokroć wędrując od kryjówki do kryjówki w końcu ułożyli je tu, w Der-el-Bahri, w nowych sarkofagach, jedno obok drugiego. Dość było spojrzeć na niektóre mumie, które pozostawiono oparte tylko o ścianę, aby się domyślić, w jakim pośpiechu i strachu to wszystko się działo. Później, już w Kairze, wstrząśnięty do

głębi odczytał to, co kapłani zawierzyli napisom na trumnach — odyseje martwych królów.
Zaczął liczyć zebranych tu władców. Doliczył się czterdziestu. Czterdzieści mumii, czterdzieści zabalsamowanych ciał faraonów, którzy ongiś panowali na podobieństwo bogów, a potem spoczywali w spokoju przez trzy tysiące lat, dopóki nie ujrzał ich najpierw zbójca i świętokradca, a potem on, Emil Brugsch-bej.

22. Echnaton i jego małżonka. Teść Tutanchamona daje upominki kapłanowi Efe i jego żonie.

Mimo wszystkich środków ostrożności (przedsiębranych po części jeszcze za życia) władcy Egiptu częstokroć bardzo pesymistycznie zapatrywali się na swe bezpieczeństwo po śmierci: „...ci, co wznosili te budowle z granitu, co obmurowali halę w Piramidzie, co tą piękną pracą piękne stworzyli rzeczy... grobowce ich są równie puste jak groby ludzi zmęczonych, którzy umierają na brzegu nie pozostawiając po sobie nikogo bliskiego."
Ten pesymizm nie przeszkadzał jednak faraonom przejawiać coraz większej troskliwości o należyte zachowanie swych martwych ciał. Herodot opisuje zwyczaje związane z egipskim kultem umarłych oraz z balsamowaniem ciał, według zebranych przez niego informacji przestrzegane jeszcze w czasie, gdy podróżował po Egipcie (przytaczamy tu tekst za Howardem Carterem): „Gdy umiera jakaś znakomita osoba, kobiety posypują głowy, a niekiedy i twarze ziemią. Potem opuszczają zmarłego, wybiegają z domu i przeciągają ulicami miasta z zakasanymi sukniami, obnażają piersi i biją się w nie. Do ich orszaku przyłączają się wszystkie krewne nieboszczyka i czynią podobnie. Również mężczyźni podkasują szaty i biją się w piersi. Po tych ceremoniach zanoszą zwłoki do zabalsamowania."
Czas tu powiedzieć coś niecoś o mumiach. Samo słowo „mumia" ma wielorakie

znaczenie. Wspomniany już przez nas arabski podróżnik z XII wieku, Abd-el-Latif, pisze, że w Egipcie sprzedawano po niskich cenach „mumię" jako środek leczniczy. Słowo *mumiya* lub *mumiyai* jest słowem arabskim i według Abd-el-Latifa oznacza bądź asfalt, czyli „smołę żydowską", bądź żywicę skalną, którą uzyskiwano z Góry Mumiowej w Derabgerd w Persji. Abd-el-Latif nazywa mumię „mieszaniną smoły i mirry"; w Europie jeszcze w XVI i XVII wieku kwitł handel tym produktem. Nawet w XIX wieku aptekarze sprzedawali „mumię" jako lek na złamanie kości i rany. Wreszcie „mumia" oznacza także włosy i paznokcie obcięte żywemu człowiekowi; wtedy jest „częścią człowieka zastępującą całość", a przeto nadającą się do zaklęć i uroków.

Gdy dziś mówimy „mumia", mamy prawie wyłącznie na myśli zabalsamowane ciało, zwłaszcza dobrze zachowane ciała starożytnych Egipcjan. Dawniej rozróżniano „naturalną" i „sztuczną" mumifikację. Za „mumię naturalną" uważano ciało, które bez zastosowania specjalnych zabiegów zachowało się w stanie nierozłożonym dzięki pewnym szczególnym warunkom, jak np. zwłoki w klasztorze kapucynów pod Palermo, w klasztorze na Górze Sw. Bernarda, w podziemnej „komorze ołowianej" katedry w Bremie lub na zamku Quedlinburg w Niemczech. Rozróżnienie to stosuje się jeszcze i obecnie, jednak z pewnymi ograniczeniami, gdyż liczne badania, w szczególności badania przeprowadzone przez Elliota Smitha oraz dokonana przez Douglasa E. Derry'ego analiza anatomiczna i chemiczna mumii Tutanchamona wykazały, że wspaniałe zakonserwowanie zwłok jest zasługą nie tyle sztuki balsamowania, ile suchego klimatu Egiptu oraz nieobecności bakterii w powietrzu i piasku. W Egipcie znaleziono w piasku pogrzebane bez trumny mumie, które nie wykazywały żadnych śladów usunięcia wnętrzności. Zachowały się one nie gorzej niż zabalsamowane zwłoki, które częstokroć pod działaniem różnych żywic, asfaltów i olejków balsamicznych — papirus Rhind wymienia „wodę z Elefantyny, sodę z Eileithyiaspolis i mleko z miasta Kim" — z czasem uległy w znacznym stopniu rozkładowi lub zlepiły się w bezkształtną masę.

Dawniej, zwłaszcza w XIX wieku, przypuszczano, że Egipcjanie posiadali jakieś

specjalne, tajemne środki chemiczne. Właściwie do dziś dnia nie udało się znaleźć autentycznego, dokładnego i pełnego przepisu na balsamowanie ciała. Obecnie wiemy jednak, że zastosowanie najróżniejszych ingrediencji podyktowane było raczej rytuałem i mistycznymi względami niż ich działaniem chemicznym. Przy tym nie należy zapominać, że w ciągu tysiącleci sztuka mumifikacji niewątpliwie ulegała wielokrotnym przemianom. Tak np. już Mariette zauważył, że mumie z Memfisu, starsze od innych, są niemal czarne, wysuszone i bardzo kruche, natomiast nowsze mumie z Teb są żółte, mają matowy połysk i zachowały pewną giętkość, czego nie można wytłumaczyć samą tylko różnicą czasu, jaki upłynął od z&balsamowamia.

Herodot opowiada o trzech sposobach balsamowania, z których pierwszy był trzykrotnie droższy od drugiego; na trzeci, najtańszy, mógł sobie już pozwolić nawet i niższy urzędnik (w żadnym jednak razie prosty człowiek z ludu, który los swego ciała powierzyć mógł jedynie dobrotliwemu klimatowi).

W czasach najdawniejszych udawało się zachować tylko zewnętrzny kształt ciała. Później znaleziono środki zapobiegające kurczeniu się skóry, tak że znajdujemy mumie, które zachowały swe indywidualne, dające się jeszcze rozpoznać rysy twarzy.

Sam proces mumifikacji na ogół przebiegał w następujący sposób. Nieboszczykowi przede wszystkim wyciągano mózg przez nos za pomocą metalowego haka, po czym kamiennym nożem otwierano jamę brzuszną i wyjmowano wnętrzności (niekiedy usuwano je przez odbytnicę), które chowano w tzw. kanopach (wazonach lub wazach); serce wyjmowano i zastępowano kamiennym skarabeuszem. Z kolei zwłoki po niezwykle gruntownym myciu poddawano „nasoleniu" przez okres przeszło jednego miesiąca. Wreszcie ciało suszono, co według niektórych wiadomości trwało znowu około siedemdziesięciu dni. Mumię chowano bądź w drewnianej trumnie, którą często wkładano w kilka wchodzących jedna w drugą trumien (mających przeważnie kształt ciała ludzkiego), bądź bezpośrednio w sarkofagu; niekiedy te drewniane trumny również wstawiano do kamiennego sarkofagu. Zmarłego chowano w pozycji leżącej z rękami bądź skrzyżowanymi na piersi lub łonie, bądź wyciągniętymi wzdłuż boków. Włosy przeważnie krótko strzyżono, kobietom jednak

często pozostawiano długie i wspaniale ondulowane włosy. Włosy na sromie golono. Aby zapobiec zapadnięciu się ciała, wypychano je gliną, piaskiem, żywicami, trocinami, pakułami płóciennymi, dodając do tego różne wonności, w tym, rzecz dziwna — cebulę. Biust kobiet również wypychano. Potem rozpoczynał się długi niewątpliwie proces zawijania ciała w płócienne bandaże i chusty, które z biegiem czasu tak nasiąkały asfaltowymi substancjami, że uczonym częstokroć już nie udawało się ich odwinąć. Złodzieje, chcąc dostać się do ukrytej w tych wiązadłach biżuterii, oczywiście nie zadawali sobie tego trudu — po prostu rozcinali je wszerz i wzdłuż.

W 1898 roku Loret, ówczesny generalny dyrektor zarządu zabytków, otworzył między innymi grób Amenhotepa II. I on odkrył „wędrujące mumie", a mianowicie trzynaście mumii królów, które za panowania XXI dynastii kapłani wśród uciążliwej nocnej pracy przenieśli do jednego wspólnego grobu. Ale Loret nie znalazł nawet w przybliżeniu tej ilości klejnotów co Brugsch. Tylko same mumie były nie uszkodzone (Amenhotep leżał w kamiennym sarkofagu), wszystko inne zostało zrabowane. Mimo to, gdy grób na skutek nalegań sir Williama Garstina znowu zamurowano, aby martwi królowie mogli spoczywać w spokoju, w rok czy w dwa lata później wtargnęli doń znowu złodzieje, wywlekli Amenhotepa z sarkofagu i ciężko uszkodzili jego mumię. Złodzieje byli prawdopodobnie, tak jak wszyscy niemal ich poprzednicy w ciągu kilku tysiącleci, w spółce ze strażnikami. Przykład ten dowodzi, że Brugsch postąpił słusznie ewakuując zbiorowy grób. Wszelkie skrupuły zrodzone z pietyzmu były w ówczesnych warunkach egipskich nie na czasie.

Gdy tylko Emil Brugsch-bej wydostał się z wąskiego szybu na powierzchnię ziemi, pozostawiając w grobowcu czterdziestu martwych królów, zastanawiał się nad tym, jak by ich stąd wydobyć. Pozostawić grób w tym stanie, w jakim się znajdował, znaczyło dopuścić do dalszego rabunku. Chcąc go jednak opróżnić i przewieźć mumie do Kairu, należało zatrudnić całą masę robotników, których można było zwerbować tylko ze wsi Khurna, rodzinnej wsi Abd-el-Rasula, od niepamiętnych czasów siedliska złodziei. Gdy jednak zgłosił się na nową audiencję do mudira, był mimo wszystkich

grożących niebezpieczeństw zdecydowany na ewakuację grobu. Już następnego rana przystąpił do pracy z trzystu zwerbowanymi fellachami. Kazał otoczyć teren, po czym wespół ze swym arabskim pomocnikiem wydzielił małą grupę fellachów wzbudzających większe zaufanie od innych. Ta ciężko pracująca grupa — okazało się, że do wydobycia na powierzchnię ziemi najcięższych przedmiotów potrzeba było szesnastu ludzi — pojedynczo posyłała na górę bezcenne zabytki, które Brugsch i jego pomocnik przyjmowali, rejestrowali i układali rzędem u stóp wzgórza. Pracy tej dokonano w ciągu czterdziestu ośmiu godzin! Howard Carter, archeolog pracujący nowoczesnymi metodami, zaopatruje to lakoniczną uwagą: „Dziś nie pracujemy już tak prędko." Pośpiech ten był zresztą przesadny nie tylko pod względem archeologicznym, okazało się bowiem, że statek z Kairu ma kilka dni spóźnienia. Brugschbej kazał zapakować mumie, nakryć trumny i przewieźć je do Luksoru. Na statek załadowano je dopiero 14 lipca.

Odtąd jednak Brugsch stał się świadkiem scen, które na nim, trzeźwym naukowcu, zrobiły jeszcze większe wrażenie niż samo odkrycie skarbów. To, co rozgrywało się, podczas gdy statek torował sobie drogę w dół Nilu, wzruszało go już nie jako naukowca, lecz jako człowieka, który nie zatracił uczucia pietyzmu.

Wiadomość o ładunku, jaki wiezie ów statek, rozniosła się lotem błyskawicy po wszystkich wsiach nadbrzeżnych i po całym kraju. I oto okazało się, że starożytny Egipt, który w swych władcach widział bogów, jeszcze nie wygasł. Brugsch stojąc na pokładzie zobaczył, jak setki fellachów ze swymi żonami towarzyszą statkowi, jak począwszy od Luksoru aż do wielkiego kolana Nilu, aż do miejscowości Kuft i Kench tworzyły się wciąż nowe i nowe kondukty. Mężczyźni strzelali w powietrze ze strzelb dla uczczenia martwych faraonów, kobiety obsypywały sobie ciała i twarze ziemią i pyłem, tarły piersi piaskiem. Podczas gdy statek płynął w dół rzeki, z brzegu rozlegały się żałobne pienia. Cała ta procesja, daleka od wszelkiego przepychu, była wstrząsającym wyrazem żałości.

Brugsch nie mógł dłużej wytrzymać tego widoku. Odwrócił się. Dręczyło go pytanie: czy postąpił słusznie? Może w oczach tych, którzy na obu brzegach Nilu zawodzili

swe skargi i bili się w piersi, i on nie jest niczym innym, jak zbójcą, jednym z owych złodziei i świętokradców, którzy przez trzy tysiące lat bezcześcili te groby? Czy wystarczyło powoływać się na to, że uczynił to w służbie nauki?

Howard Carter po wielu latach dał jasną odpowiedź na te pytania. W związku z wydarzeniami, jakie rozegrały się dokoła sprawy grobu Amenhotepa, pisał: „Możemy z tej sprawy wyciągnąć jedną naukę. Polecamy ją krytykom, którzy nazywają nas wandalami, bo zabieramy zabytki z grobów. Przekazując je muzeom, staramy się o ich zachowanie. Pozostawione na miejscu stałyby się wcześniej czy później łupem złodziei, co równałoby się ich zniszczeniu."

Gdy Brugsch-bej wylądował w Kairze, wzbogacił nie tylko jedno muzeum. Wzbogacił cały świat, dając mu poznać to, co ongiś istniało we wspaniałości i niepowtarzalnym majestacie.

Rozdział szesnasty

HOWARD CARTER ODKRYWA GRÓB TUTANCHAMONA

W 1902 roku amerykański archeolog Teodor Davis otrzymał od rządu egipskiego koncesję na prowadzenie prac wykopaliskowych w „Dolinie Królów". Prowadził je przez sześć sezonów zimowych. Owocem ich było wiele ciekawych znalezisk. Odkrył między innymi groby Tutmosa IV, Siptaha i Haremheba oraz mumię i trumnę Amenhotepa IV, wielkiego „króla-kacerza", który, przybrawszy jako reformator religijny imię „Echnaton" („Tarcza słoneczna jest zadowolona"), wprowadził na miejsce wyznawanej od wieków religii kult słońca (żoną Echnatona była Nefretete,

której wspaniałe wielobarwne popiersie jest chyba najpopularniejszą u nas rzeźbą egipską).

W 1914 roku koncesja przeszła na lorda Carnarvona i Howarda Car-tera. Od tego momentu rozpoczyna się historia największego z odkryć grobów królewskich w Egipcie, która — jak pisała później siostra Carnarvona w szkicu biograficznym o swym bracie — „zaczyna się jak bajka o lampie Aladyna, a kończy jak grecka legenda o Nemezis".

Odkrycie grobowca Tutanchamona ma dla naszej książki szczególnie ważne znaczenie. W dziejach odkryć archeologicznych jest ono punktem kulminacyjnym wszystkich osiągnięć. Jednocześnie jednak — jeżeli w rozwoju archeologii dostrzeżemy wzrastające napięcie dramatyczne — stanowi niejako perypetię tego dramatu. Pierwszą jego ekspozycję napisał Winckelmann, a prócz niego niezliczona plejada systematyków, metodologów i specjalistów. Pierwsze węzły dopiero co rozpoczętej akcji rozwiązali Champollion, Grotefend i Rawlinson (o dwóch ostatnich usłyszymy w „Księdze Wież"). Pierwsi czynnie rozwijali ją dalej, zbierając oklaski przy podniesionej kurtynie, Mariette, Lepsius i Petrie w Egipcie, Botta i Layard w Mezopotamii (patrz „Księga Wież") oraz Amerykanie Stephens i Thompson w Jukatanie (patrz „Księga Schodów"). Potem akcja, z udziałem wszystkich *dramatis personae,* po raz pierwszy osiąga zapierające dech w piersiach napięcie w odkryciach Schliemanna i Evansa w Troi i Knossos, następnie zaś Koldeweya i Woolleya w Babilonii i kraju Ur, ojczyźnie Abrahama.

Schliemann był w dziejach archeologii ostatnim genialnym dyletantem, prowadzącym swe poszukiwania w pojedynkę. W Knossos i Babilonii pracowały już całe sztaby fachowców. Rządy, monarchowie i książęta, bogaci mecenasi sztuki i nauki, zamożne uniwersytety, instytuty archeologiczne i prywatni finansiści rokrocznie wysyłali dobrze wyposażone ekspedycje z wszystkich części nowożytnego do wszystkich części starożytnego świata. Ale nigdy jeszcze w takiej mierze nie spożytkowano wszystkich poprzednio zebranych doświadczeń ani nie wyzyskano w takim stopniu wszystkich możliwości najróżniejszych dziedzin nauki, jak przy odkryciu grobowca

Tutanchamona. Tu istniał tylko jeden nakaz — nakaz nauki. Layard musiał jeszcze walczyć z głupim zabobonem, Evans — pokonywać nieżyczliwość miarodajnych władz. Carnarvon i Carter nie znali już tego rodzaju trudności, przeciwnie, korzystali z wszelkiej pomocy rządu. Zazdrość kolegów po fachu, z której zrodziły się oszczerstwa rzucane na Rawlinsona i która zatruwała życie Schliemannowi, zastąpił nie spotykany dotąd w dziejach nauki obraz harmonijnej współpracy i gotowości do pomocy. Minęły już czasy wielkich pionierskich czynów, gdy pojedynczy archeolog — patrz przykład Layarda — tylko z osłem i plecakiem wyruszał na zdobycie zagrzebanego w ziemi miasta. Howard Carter, chociaż jako uczeń Petriego był jeszcze badaczem starej szkoły, stał się już niejako — jeżeli wolno użyć tego porównania — egzekutorem archeologii, który nie dokonywał zuchwałych wypadów, by odkryć nowe lądy historyczne, lecz stosował ścisłe metody mierniczego, zakreślającego zimnym cyrklem odłogi starej kultury.

Przy całej jednak drobiazgowej dokładności naukowej umiał zachować w sercu gorący entuzjazm. Właśnie przez to, że pozostając entuzjastą potrafił za jednym posunięciem podnieść do najwyższej doskonałości ścisłość, dokładność i skrupulatność naukową, stał się jednym z wielkich w królestwie archeologii, w królestwie ludzi, którzy łopatą szukali już nie tylko skarbów i ciał martwych królów, lecz wszystkich tajemnic i zagadek ludzkości, odkąd duch jej nabrał kształtu, wyrazu i oblicza w wysoko rozwiniętych kulturach.

Lord Carnarvon to spotykany właściwie tylko w Anglii typ arystokraty, stanowiący mieszaninę sportowca i zbieracza dzieł sztuki, niezależnego materialnie gentlemana i podróżnika, realisty w działaniu i romantyka w uczuciach. Jeszcze będąc uczniem Trinity College w Cambridge chciał pewnego dnia na własny koszt przywrócić pierwotny, pięk-ny wygląd ohydnie pomalowanej boazerii w swym pokoju. Jako mło-dzieniec szpera po wszystkich sklepach z antykami, później zaś, jako człowiek dorosły, zbiera namiętnie i z dużą dozą zrozumienia stare sztychy i rysunki.

Jednocześnie jednak jest stałym bywalcem na wszystkich torach wyścigowych, ćwiczy się w sztuce strzelania, dopóki nie zostaje doskonałym strzelcem, uprawia sporty wodne i — odziedziczywszy w wieku dwudziestu trzech lat ogromny majątek — odbywa jachtem żaglowym podróż naokoło świata. Trzeci zarejestrowany w Anglii prywatny samochód do niego należy. Staje się namiętnym automobilistą. Namiętność ta miała zadecydować o całym dalszym jego życiu. Około 1900 roku w Niemczech, na szosie w pobliżu uzdrowiska Bad Langenschwalbach, ulega katastrofie samochodowej: jego wóz kapotuje, a on sam obok szeregu poważnych ran nabawia się ciężkiej astmy, która zwłaszcza w warunkach angielskiej zimy przyprawia go o wielkie cierpienia. W 1903 roku udaje się po raz pierwszy do Egiptu z uwagi na łagodność tamtejszego klimatu. Tu trafia na teren prac wykopaliskowych kilku ekspedycji archeologicznych i jako bogaty, niezależny człowiek, nie mając dotychczas żadnego określonego celu życia, dochodzi do wniosku, że właśnie działalność na tym polu daje mu wspaniałą wprost możliwość połączenia zamiłowań sportowych z pragnieniem poważnego zajęcia się sztuką. W 1906 roku sam rozpoczyna wykopaliska. Ale już w ciągu tej pierwszej zimy dochodzi do przekonania, że brak mu wystarczającego przygotowania naukowego. Zwraca się więc o radę do profesora Maspero, który poleca mu młodego Howarda Cartera.

Połączenie tych dwóch ludzi było niezwykle szczęśliwe. Howard Carter stanowił idealne uzupełnienie lorda Camarvona. Był wszechstronnie wykształconym naukowcem i zanim jeszcze lord Carnarvon powierzył mu stały nadzór nad wszystkimi swymi wykopaliskami, nabrał wiele praktycznego doświadczenia jako współpracownik Petriego i Davisa. W swych pracach archeologicznych — chociaż niektórzy krytycy zarzucają mu nadmierną pedanterię — daleki był od typu badacza pozbawionego polotu i interesującego się tylko suchymi faktami. W codziennej pracy był zawsze praktyczny i zręczny, gdy zaś zachodziła potrzeba, dawał dowody wielkiej, nieustraszonej odwagi. Świadczy o tym choćby jego niezwykła przygoda w 1916 roku.

Carter znajdował się wówczas na krótkim urlopie w Luksorze. Pewnego dnia przyszła

do niego delegacja starszyzny tej wsi błagając ze wzburzeniem o pomoc. W wyniku zarządzeń spowodowanych wojną, której skutki dały się odczuć nawet w Luksorze, miejscowy aparat urzędniczy był silnie zdekompletowany. Nieodrodni potomkowie Abd-el-Rasula nie omieszkali skorzystać z osłabienia nadzoru policyjnego, aby zabrać się znowu do plądrowania grobów.

Jedna taka banda odkryła jakieś znalezisko na zachodnim stoku wzgórza w górnej części „Doliny Królów". Dowiedziała się o tym inna, konkurencyjna banda, która natychmiast wyruszyła na to samo miejsce, aby zapewnić sobie udział w spodziewanych łupach. Dalej potoczyły się wypadki przypominające kiepski film sensacyjny.

Między obydwiema bandami doszło do bitwy. Pierwsza, zaskoczona znienacka, została pobita i przepędzona. Zachodziło niebezpieczeństwo, że dojdzie do dalszych krwawych starć. Carter, chociaż znajdował się na urlopie i bynajmniej nie był odpowiedzialny za spokój w okolicy Luksoru, postanowił działać. Posłuchajmy, co sam o tym opowiada:

„Dzień miał się już ku schyłkowi. Szybko zebrałem tych niewielu moich robotników, których ominął pobór do wojska, i zaopatrzywszy się w odpowiedni ekwipunek i broń wyruszyłem na miejsce opisanych wydarzeń. Trzeba było w świetle księżyca wspiąć się na wzgórze pod Khur-ną wysokości 600 metrów. Była juz północ, gdy przybyliśmy na miejsce. Przewodnik pokazał mi koniec liny zwisającej z prostopadłej ściany. Nasłuchując usłyszeliśmy odgłosy pracujących na dole rozbójników. Najpierw odciąłem linę, pozbawiając ich tym samym możliwości ucieczki, po czym umocowawszy mą własną, solidną linę opuściłem się na dół. Opuścić się tak o północy na linie do gniazda zbójców, zajętych właśnie plądrowaniem grobów, to rozrywka nie pozbawiona pewnego uroku. Było ich ośmiu przy robocie. Gdy wylądowałem na dole, przeżyłem kilka dość emocjonujących momentów. Dałem im do wyboru albo wynieść się za pomocą mojej liny, albo pozostać na dole bez żadnej liny. W końcu nabrali rozumu i poszli sobie. Resztę nocy spędziłem na dole u stóp tej skały..."

Gdy uzupełnimy własną wyobraźnią ten skromny, niemal suchy opis, w którym tylko mimochodem, z wisielczym humorem, zaznaczone jest niebezpieczeństwo sytuacji, ukaże się nam obraz wcale wojowniczo usposobionego archeologa. Zbójcy zresztą, nawet gdyby Carter im nie przeszkodził, i tak doznaliby rozczarowania. Okazało się, że znaleziony przez nich grób, przypuszczalnie przygotowany ongiś dla królowej Hatszepsut, nie zawierał żadnych skarbów. Stał w nim tylko sarkofag z krystalicznego piaskowca.

Carnarvon i Howard Carter zabrali się wspólnie do pracy. Dopiero jesienią 1917 roku zdołali poprowadzić wykopaliska na taką skalę, że mogły rokować dobre wyniki. I znowu powtórzyło się to samo, z czym już nieraz spotykaliśmy się w historii nauk: natchnieni szczęśliwą myślą, od razu odgraniczyli teren, na którym później dokonać mieli swego odkrycia. Niebawem jednak różne okoliczności zewnętrzne, krytyczne refleksje, wahania, przede wszystkim zaś „fachowe wskazówki" zaczęły działać hamująco, przez co odkrycie grobu Tutanchamona nie tylko uległo opóźnieniu, lecz o mały włos zostałoby w ogóle udaremnione.

Czyż nie widzieliśmy, jak już jeden z pierwszych odkrywców archeologicznych, neapolitański markiz Alcubierre, któremu udało się 6 kwietnia 1748 roku natrafić na sam środek Pompei, zasypał otwór i począł kopać w innym miejscu, aby dopiero po latach stwierdzić, że właśnie przy owym pierwszym zapuszczeniu rydla w ziemię był na właściwym tropie?

Camarvon i Carter chcieli dokonać swego odkrycia w „Dolinie Królów". Przed nimi dziesiątki innych archeologów prowadziło tu wykopaliska. Żaden z nich nie pozostawił dokładnych notatek ani tym bardziej planów. Na obszarze „Doliny" jedno obok drugiego wznosiły się usypiska gruzów, między nimi zaś leżały wejścia do odkrytych grobów. Nie pozostawało nic innego, jak przekopać się przez te usypiska aż do skalnego gruntu kotliny. Carter zaproponował, aby rozpocząć poszukiwania w trójkącie ograniczonym grobami Ramzesa II, Merneptaha i Ramzesa VI. „Choćbym

miał — pisze później — narazić się na zarzut, że nietrudno być mądrym po fakcie, pragnę stwierdzić, że liczyliśmy wtedy na pewno, iż znajdziemy grób określonego króla — grób Tutanchamona."

Brzmi to wprost nieprawdopodobnie, jeżeli uprzytomnimy sobie, że „Dolina" była już przetrząśnięta wszerz i wzdłuż. Teza Carnarvona i Cartera była tym śmielsza, ze opierali oni swe nadzieje na bardzo kruchych podstawach i że wszyscy specjaliści stanowczo twierdzili, iż okres odkryć w „Dolinie Królów" należy definitywnie do przeszłości.

Dokładnie na sto lat przedtem Belzoni opróżniwszy groby faraonów Ramzesa I, Setiego I, Eje i Mentu-her-Chopszefa pisał: „Jestem głęboko przekonany, że w «Dolinie» Biban-el-Muluk nie ma już innych grobów poza tymi, które niedawno odkopałem. Opinię moją potwierdza fakt, że niezależnie od mych własnych poszukiwań konsul brytyjski pan Salt, który przebywał tu po mnie, przez długie miesiące daremnie usiłował znaleźć jeszcze jakiś grób." W dwadzieścia siedem lat po Belzonim, w 1844 roku, do „Doliny" przybyła wielka ekspedycja pruska, która przeprowadziła gruntowne pomiary. Jej kierownik — był nim znowu Richard Lepsius — opuszczając „Dolinę", również był zdania, że wszystko, co można tu było odkryć, zostało już odkryte. A jednak na krótko przed 1900 rokiem Loret, a niedługo po nim Davis odkryli dalsze groby. Teraz dosłownie każde ziarenko piasku w „Dolinie" było już po trzykroć przesiane i obrócone na wszystkie strony. Zresztą i Maspero, podpisując jako dyrektor zarządu zabytków koncesję dla lorda Carnarvona, oświadczył, sam będąc uczonym, że uważa ją za bezcelową, gdyż w „Dolinie" nie można już dokonać żadnego odkrycia.

Cóż więc dawało Carterowi nadzieję, że mimo wszystko znajdzie tu jeszcze jeden grób, i to w dodatku nie jakiś, lecz grób określonego faraona? Widział na własne oczy znaleziska Davisa. Był wśród nich — znaleziony pod jedną ze skał — fajansowy kubek z wyrytym imieniem Tutanchamona. Ponadto w pobliżu tego miejsca Davis znalazł w pewnym grobie szybowym połamaną drewnianą skrzynię, w której zachowały się jeszcze złote listki również z imieniem Tutanchamona. Davis na tej

podstawie wysunął wtedy pochopne twierdzenie, że właśnie ten grób szybowy był miejscem ostatniego spoczynku Tutanchamona. Carter doszedł do innego przekonania, w którym jeszcze bardziej umocnił go fakt, że trzecie znalezisko Davisa przy pierwszym zbadaniu zostało zidentyfikowane niewłaściwie. Były to gliniane naczynia, znalezione w rozpadlinie skalnej, które zawierały na pozór mało ważne gliniane skorupy i lniane bandaże. Ponowne zbadanie tych przedmiotów w nowojorskim Metropolitan Museum of Art wykazało bezspornie, że są to resztki materiałów użytych przy skomplikowanych ceremoniach pogrzebowych Tutanchamona. Ale i na tym nie koniec: Davis odkrywszy w „Dolinie" grobowiec króla-kacerza Echnatona znalazł w nim kilka glinianych pieczęci Tutanchamona.

Wszystko to, być może, wygląda bardzo przekonywająco. Zdawałoby się, że Carter miał wszelkie podstawy ku temu, aby wyciągnąć stąd wniosek, że wbrew wszelkim przeciwnym opiniom grób Tutanchamona musi się znajdować w pobliżu tych znalezisk, a więc nie gdzie indziej, tylko w „Dolinie Królów". Ale nie wolno zapominać ani o tym, że odkąd te przedmioty znalazły się w „Dolinie", minęło trzy tysiące lat, ani o niezliczonych wypadkach wywlekania całej zawartości grobów przez kapłanów i rabusiów, ani wreszcie o częstokroć bardzo jeszcze niefachowych metodach przeszukiwania „Doliny" przez pierwszych badających ją archeologów. Cóż składało sie ra te cztery „dowody" Cartera? Kilka złotych listków, fajansowy kubek, parę glinianych naczyń i kilka pieczęci. Trzeba było mieć wiele wiary we własne szczęście, aby na tym budować nie tylko nadzieję, ale pewność znalezienia grobu Tutanchamona.

Rozpocząwszy poszukiwania Carnarvon i Carter już w ciągu pierwszego sezonu zimowego usunęli w obrębie odgraniczonego trójkąta znaczną część warstw gruzu i przekopali się aż do stóp wejścia do otwartego grobu Ramzesa VI. „Tu natknęliśmy się — pisze Carter — na ruiny baraków robotniczych zbudowanych na zwałach dużych brył krzemienia, co w «Dolinie» zawsze wskazuje na bliskość jakiegoś grobu."

Tu następuje moment, który w zestawieniu z perypetiami najbliższych paru lat nabiera

prawdziwie dramatycznego napięcia: Carter i Carnarvon mianowicie postanowili zaniechać na razie dalszych prac w obranym kierunku, ponieważ zabarykadowałyby one wejście do grobu Ramzesa VI, chętnie odwiedzanego przez turystów. W sezonie zimowym 1919—' —1920 kontynuowali więc poszukiwania tylko koło wejścia do grobu Ramzesa VI, znajdując zresztą w pewnej małej kryjówce kilka nie pozbawionych wartości archeologicznej pojedynczych przydatków grobowych. „Nigdy jeszcze — notuje Carter w swych pamiętnikach — odkąd prowadziliśmy prace w «Dolinie», nie byliśmy tak bliscy dokonania prawdziwie wielkiego odkrycia."

W końcu Carter i Carnarvon „odskrobali" już — jak powiedziałby Petrie — cały wytknięty przez siebie trójkąt z wyjątkiem terenu, na którym stały owe stare baraki robotnicze. Tych jeszcze i teraz nie ruszyli. Zaczęli kopać w zupełnie innym miejscu, w małej bocznej dolinie, w sąsiedztwie grobu Tutmosa III. Tu kopali przez dwa sezony zimowe nie znajdując, jak notuje Carter, „nie szczególnie wartościowego".

Odbywają teraz długą naradę i już poważnie zastanawiają się nad tym, czy wobec stosunkowo skąpych wyników paroletnich prac nie przenieść wykopalisk gdzie indziej! W dotychczasowym miejscu poszukiwań nie zbadany pozostał tylko teren u stóp grobu Ramzesa VI, gdzie na usypisku krzemiennych brył stały baraki robotnicze. Po długich wahaniach i zmienianych raz po raz decyzjach Carnarvon i Carter postanawiają poświęcić pracom w „Dolinie" tylko jeszcze jedną, ale tym razem doprawdy już ostatnią zimę.

Zaczynają więc znowu kopać dokładnie w tym samym miejscu, gdzie sześć lat temu przerwali prace — w miejscu, gdzie stoją baraki robotnicze. Gdy zaś wreszcie robią to, co robić mogli już przed sześciu laty, a mianowicie burzą ruiny baraków, natychmiast, za pierwszym niemal zatknięciem kilofa, znajdują wejście do grobu Tutanchamona, najbogatszego grobu Egiptu! „Nagłość tego odkrycia — pisze Carter — wprawiła mnie jak gdyby w stan ogłuszenia. Najbliższe miesiące były tak pełne wydarzeń, że nie miałem wprost czasu na to, aby to wszystko przemyśleć."

3 listopada 1922 roku Carter — lord Carnarvon znajdował się wówczas w Anglii — przystąpił do burzenia baraków robotniczych (były to ruiny baraków zbudowanych za

XX dynastii). Już rankiem następnego dnia pod pierwszym zburzonym barakiem natrafiono na kamienny stopień schodów. Do popołudnia 5 listopada odgarnięto dostateczną ilość gruzu, aby nie mieć już najmniejszej wątpliwości, że znaleziono wejście do jakiegoś grobu.

Ale może był to jeden z wielu grobów, których nigdy nie wykończono i nie użyto? Jeżeli zaś zawierał jakąś mumię, to może, jak wszystkie inne, był sprofanowany i splądrowany? Może wreszcie — żeby nie pominąć żadnej pesymistycznej możliwości — jeśli w ogóle znajduje się w nim jakaś mumia, okaże się, że jest to mumia jakiegoś urzędnika dworskiego lub kapłana?

Prace szybko posuwały się naprzód. Podniecenie Cartera rosło z każdym dniem. Spod gruzów wyłaniał się stopień po stopniu. O zachodzie słońca — w Egipcie zmierzch zapada nagle — ukazał się dwunasty stopień, a wraz z nim „górna część zamkniętych, pokrytych zaprawą tynkową, zapieczętowanych drzwi".

„Zapieczętowane drzwi! — pisze Carter w swych pamiętnikach. — A więc wszystko okazało się prawdą... Była to chwila, która każdego archeologa musiałaby przyprawić o dreszcz."

Carter zbadał pieczęcie. Były nałożone przez nadzór królewskiego miasta umarłych. W grobie zatem spoczywać musiała co najmniej mumia jakiegoś wysokiego dostojnika. Ponieważ zaś od czasów XX dynastii baraki robotników zamykały dostęp do grobu, więc przynajmniej od tego czasu nie mógł on paść ofiarą rabunku. Carter, drżąc z przejęcia, wywiercił mały otwór w drzwiach, „akurat wystarczający, aby wsunąć przezeń latarkę elektryczną". Stwierdził, że korytarz za drzwiami pełen jest kamieni — jeszcze jeden przekonywający dowód, że grób ten został gruntownie zabezpieczony.

Gdy Carter, pozostawiwszy na straży swych najpewniejszych robotników, w świetle księżyca powracał przez „Dolinę" do swej kwatery, był w głębokiej rozterce. „Wszystko, dosłownie wszystko — pisze — mogło się kryć za tym korytarzem. Musiałem użyć całej siły woli, aby się opanować, nie wyłamać drzwi i nie prowadzić od razu dalszych poszukiwań." Teraz, podczas gdy muł kłusem zdąża w stronę domu,

młody archeolog walczy z tą pokusą. Umiera z niecierpliwości. Jakiś wewnętrzny głos mówi mu, że oto stoi na progu wielkiego, niebywałego odkrycia. I zaprawdę, godna podziwu jest jego decyzja, bo oto po latach daremnych poszukiwań stojąc w obliczu wielkiego znaleziska postanawia zasypać znowu wejście i czekać na powrót lorda Carnarvona, swego protektora i przyjaciela.

Rano 6 listopada wysyła telegram: „Dokonałem wreszcie cudownego odkrycia w Dolinie. Wspaniały grób z nie uszkodzonymi pieczęciami. Do pańskiego przybycia wszystko znowu zasypane. Gratuluję!" 8 listopada nadchodzą dwie odpowiedzi: „Wracam w miarę możności natychmiast", i druga — „Spodziewam się dwudziestego być w Aleksandrii".

Wreszcie 23 listopada lord Carnarvon wraz z córką- przybywa do Luksoru. Przeszło czternaście dni Carter, zżerany niecierpliwością, czekał bezczynnie przed zasypanym grobem. Już w dwa dni po odkryciu schodów zaczęły napływać niezliczone gratulacje. Ale czego mu winszowano? Jakiego odkrycia? Znalezienia jakiego grobu? Tego Carter wciąż jeszcze nie wiedział. A starczyłoby, gdyby kopał dalej tylko jeszcze na szerokość dłoni. Natrafiłby wtedy na wyraźny, usuwający ostatnie wątpliwości odcisk pieczęci Tutanchamona. „Lepiej bym wtedy spał po nocach — pisze — i oszczędziłbym sobie trzech tygodni niepewności!"

Po południu 24 listopada robotnicy odgarnęli resztki gruzu ze schodów. Carter zeszedł po szesnastu stopniach na dół i stanął przed zapieczętowanymi drzwiami. Teraz dopiero zobaczył wyraźnie odciski pieczęci i wyryte na nich imię Tutanchamona. Ale zobaczył jeszcze coś więcej, coś, co dotąd ukazywało się każdemu odkrywcy grobu królewskiego w Egipcie: ślady, że i tutaj ktoś inny dotarł przed nim, że i tutaj kiedyś grasowali już zbójcy.

„Ponieważ teraz całe drzwi były odsłonięte i widoczne w świetle dnia — pisze Carter — zdołaliśmy dostrzec coś, co przedtem uszło naszym oczom, a mianowicie, że jedną ich część już dwa razy z rzędu otwierano i znowu zamknięto, i że pierwsze odkryte przez nas pieczęcie, wyobrażające szakala i dziewięciu jeńców wojennych, zostały nałożone na tę otwartą i znowu zamkniętą część drzwi. Natomiast pieczęcie Tu-

tanchamona znajdowały się na drugiej, nie naruszonej połowie drzwi, z czego wynikało, że to nimi właśnie pierwotnie zapieczętowano grób. A więc wbrew naszym oczekiwaniom grób nie był całkowicie nie naruszony. Świętokradcy przekroczyli jego próg, i to niejeden raz. Wobec wzniesionych nad nim baraków, rabunek nie mógł być dokonany później niż za panowania Ramzesa IV. Fakt, że rabusie opuszczając grobowiec znowu nałożyli nań pieczęcie, świadczył jednak, że nie wszystko zostało zrabowane."

Ale po tym odkryciu nastąpiło jeszcze inne. Carter był coraz bardziej zdezorientowany i niepewny. Gdy ze schodów usunięto ostatnie resztki gruzu, znalazł skorupy i skrzynie z imieniem Echnatona, Sakere i Tutanchamona oraz skarabeusza Tutmosa III i część innego skarabeusza z wyrytym imieniem Amenhotepa III. Czyż z tej rozmaitości imion królewskich można było wysnuć inny wniosek niż ten, że wbrew wszelkim oczekiwaniom znaleźli nie grób jednego króla, lecz kryjówkę wielu mumii królewskich?

Tylko otwarcie drzwi mogło usunąć wszystkie te wątpliwości. Następne dni poświęcono całkowicie temu zadaniu. Za drzwiami — Carter, jak wiemy, stwierdził to już, gdy po raz pierwszy zajrzał przez wydrążony w nich otwór — znajdował się korytarz wypełniony kamieniami. Z tego, jak różnie w różnych miejscach były ułożone, można było wyraźnie poznać, gdzie rabusie wtargnęli do wąskiego tunelu i jak go potem znowu zasypali.

Po kilku dniach pracy w głębi korytarza, mniej więcej w odległości dziesięciu metrów od wejścia, natrafiono na drugie drzwi, również zaopatrzone w pieczęcie Tutanchamona i zarządu królewskiej nekropolii. I tu wyraźne ślady wskazywały, którędy świętokradcy wtargnęli do wnętrza.

Wobec podobieństwa całego tego rozkładu z pewną odkrytą poprzednio w pobliżu tego miejsca kryjówką Echnatona obaj archeologowie byli prawie przekonani, że w rzeczywistości znaleźli nie grób, lecz jakąś przejściową kryjówkę „wędrujących mumii". A czyż w takiej kryjówce, najwidoczniej nawiedzonej już przez złodziei, można jeszcze było spodziewać się jakichś większych znalezisk?

Chociaż mieli już tylko słabą nadzieję, to jednak w miarę jak usuwano coraz więcej kamieni, zamykających dostęp do tych drugich drzwi, napięcie ich rosło. „Nadeszła — pisze Carter — chwila rozstrzygająca. Drżącymi rękami wydrążyliśmy mały otwór w górnym lewym rogu drzwi..."

Carter wziął żelazny pręt i wsunął go do otworu; żelazo przeszło na wylot natrafiając na pustą przestrzeń. Potem, gdy kilka prób przeprowadzonych z zapaloną świecą wykazało, że w pomieszczeniu za drzwiami nie ma gazów, poszerzył otwór.

Teraz wszyscy obecni — lord Carnarvon, jego córka lady Evelyn i przybyły na pierwszą wiadomość o odkryciu egiptolog Callender — zbili się w ciasną gromadkę koło drzwi. Carter nerwowym ruchem pociera zapałkę, zapala świecę i niepewną ręką przybliża ją do otworu. Dosłownie drżąc z napięcia i ciekawości przykłada do niego głowę, aby nareszcie zajrzeć do wnętrza. Od podmuchu gorącego powietrza światło świecy zaczyna migotać. W pierwszej chwili Carter nie nie może rozpoznać. Potem jednak jego oczy przyzwyczajają się do chybotliwego światła. Dostrzega zrazu niewyraźne kontury, potem cienie pojedynczych przedmiotów, odróżnia kolory, widzi coraz wyraźniej, co zawiera komora za tymi drugimi, opieczętowanymi drzwiami. Nie wydaje z siebie żadnego okrzyku zachwytu. Milczy... Dla czekających przy nim osób chwile te wydają się wiecznością. W końcu Carnarvon nie mogąc dłużej znieść tej niepewności pyta: „Czy widzi pan coś?"

Howard Carter odwraca się powoli. Wzruszany do głębi duszy odpowiada jakby urzeczony: „Tak jest. Widzę cudowne rzeczy."

„W całej dotychczasowej historii wykopalisk archeologicznych z pewnością nigdy jeszcze nie widziano tak cudownych rzeczy jak te, które ukazały nam się teraz w świetle naszej lampy elektrycznej." Te słowa Cartera, wypowiedziane w chwili, gdy minęło już pierwsze wzruszenie i wszyscy po kolei zdążyli już zajrzeć przez otwór do wnętrza, potwierdziły się po otwarciu drzwi. W świetle silnej lampy elektrycznej lśniły się złote łoża, złote krzesło tronowe, połyskiwały matowo dwa duże czarne

posągi, złote wazy i dziwne skrzynie. Jakieś dziwaczne głowy zwierząt rzucały na ściany fantastyczne cienie. Z jednej ze skrzyń wyzierał łeb złotego węża. Dwa czarne posągi stały naprzeciw siebie jak żołnierze na warcie „ze złotymi fartuchami, w złotych sandałach, z maczugą i pałką, ze świętym wężem połyskującym na czole."

Wśród wszystkich tych wspaniałości, które niepodobna było ogarnąć pobieżnym spojrzeniem, widniały jeszcze ślady żywych ludzi, którzy trzy tysiące lat temu krzątali się po tej komorze: kadź stojąca koło drzwi, do połowy wypełniona jeszcze zaprawą wapienną, zakopcona lampa, odcisk palca pozostawiony przy dotknięciu świeżo pomalowanej powierzchni; na progu leżało naręcze kwiatów — ostatnie pożegnanie zmarłego.

Trwało dość długo, nim Carnarvon i Carter, całkowicie pochłonięci kontemplacją tego martwego przepychu i śladów życia sprzed tysięcy lat, nagle ze zdumieniem uświadomili sobie, że wśród całego tego muzealnego bogactwa bezcennych skarbów nigdzie nie widać mumii ani sarkofagu. Czyżby znowu stali przed tak długo rozważanym pytaniem — grobowiec czy kryjówka?

Po raz pierwszy zaczęli systematycznie oglądać wszystkie ściany. Między obydwoma królewskimi szyldwachami odkryli trzecie, również zapieczętowane drzwi. „Przed oczyma naszej wyobraźni — pisze Carter — przesuwało się już wiele innych komór, każda równie pełna przedmiotów jak ta pierwsza, którą mieliśmy przed sobą; potem wizje te znowu pierzchały pozostawiając nas w oszołomieniu." Gdy potem za pomocą silnych lamp elektrycznych, zainstalowanych tymczasem przez Callen-dera, zbadano dokładnie te trzecie drzwi, znaleziono w nich tuż nad ziemią otwór. Był również zapieczętowany, pieczęcie na nim jednak przyłożone były później niż pieczęcie na samych drzwiach. A więc rabusie byli i tutaj. Cóż mogła zawierać ta druga komora albo ten drugi korytarz? Czy za tymi drzwiami znajdowała się mumia? A jeżeli tak, czy była nie uszkodzona? Niejeden szczegół był zagadkowy. Zadziwiał już cały plan tego grobu czy kryjówki, odbiegający od wszystkich innych znanych dotychczas założeń. Jeszcze znacznie dziwniejsze jednak było co innego: dlaczego rabusie zadali sobie trud przedostania się za te trzecie drzwi nie zrabowawszy uprzednio tego, co

tutaj w przedsionku mieli pod ręką? Czego szukali, że przeszli tak obojętnie koło nagromadzonego tu złota?

Carter rozglądając się po tym zdumiewającym skarbcu widział w tych przedmiotach więcej niż samą tylko ich wartość materialną. Ileż wiadomości dadzą one badaczom! Z niezliczonych przedmiotów codziennego użytku, przedmiotów zbytku, dzieł kultury, każdy stanowiłby już sowitą nagrodę za trudy i mozoły prac wykopaliskowych całej zimy. Poza tym sztuka egipska pewnej określonej epoki ukazywała się tutaj tak żywo i wyraźnie, że dla Cartera już na pierwszy pobieżny rzut oka było jasne, iż dokładne zbadanie tych znalezisk „zmieni, nawet być może, obali wszystkie dotychczasowe poglądy".

Niedługo trwało, a zrobili jeszcze jedno ważne odkrycie. Któryś z nich zajrzał z ciekawości pod jedno z trzech wielkich łóż. Znalazł tu mały otwór. Zawołał resztę obecnych w komorze. Do otworu wprowadzono lampę elektryczną. Oczom archeologów ukazała się mała boczna komora, mniejsza od pierwszej, ale pełna, ba, wypełniona wszelkiego rodzaju przedmiotami użytkowymi i kosztownościami. Tej komory rabusie po swej wizycie nie uporządkowali, jak to widocznie uczynili w przedsionku. „Dzieła swego — mówi Carter — dokonali z gruntownością trzęsienia ziemi." (Tu nasuwa się pytanie: grzebiąc w tych komorach złodzieje, jak można się było zorientować, przenieśli niektóre przedmioty z bocznej komory do przedsionka. To i owo zniszczyli lub złamali. W istocie jednak zrabowali bardzo mało. Nie zrabowali nawet tego, co za drugimi drzwiami wprost pchało im się w ręce. Czyżby zostali spłoszeni?)

Do chwili tego nowego odkrycia wszyscy, którym wolno było wejść do komory, byli jakby odurzeni, niezdolni do normalnego myślenia. Dopiero teraz, zobaczywszy, co kryje w sobie boczna komora, i w oczekiwaniu tego, co mogło znajdować się za trzecimi zapieczętowanymi drzwiami, uprzytomnili sobie ogrom czekającego ich zadania naukowego, zrozumieli, ile trudności będą jeszcze musieli pokonać, ile prac zorganizować; nie było mowy o tym, aby z naukowym wykorzystaniem tego znaleziska — nawet tego tylko, które odkryli dotychczas — uporać się w ciągu

jednego zimowego sezonu wykopaliskowego.

Rozdział siedemnasty

ZŁOTY MUR

Jeżeli teraz usłyszymy, że Carnarvon i Carter postanowili znowu zasypać dopiero co odkopany grób, to krok ten miał zupełnie inne znaczenie niż podobne kroki dawniejszych, niecierpliwych odkrywców, gdy prędko zasypywali miejsca prędko dokonanych odkryć.

Wykopaliska związane z odnalezieniem grobu Tutanchamona — wciąż jeszcze nie było pewności, czy jest to jego grób — planowano od pierwszej chwili z taką rozwagą, że można je uważać za wzór prac wykopaliskowych, chociaż skądinąd trzeba uwzględnić, że gdyby wyniki były mniej sensacyjne, Carnarvon i Carter nie doznaliby tej ogromnej pomocy, która wtedy od razu zaczęła napływać ze wszystkich stron świata.

Dla Cartera było jasne, że w żadnym razie nie wolno mu przystąpić natychmiast do szybkiego odkopania całego grobu. Pomijając już to, że należało dokładnie ustalić pierwotne położenie wszystkich przedmiotów (celem uzyskania pewnych datowań chronologicznych oraz innych punktów zaczepienia), trzeba było jeszcze mieć na uwadze, że wiele przedmiotów, aby w ogóle móc je zachować, należało natychmiast po pierwszym dotknięciu — albo jeszcze i przedtem — poddać zabiegom konserwatorskim. Wymagało to — wobec ogromnych rozmiarów odkrycia — założenia wielkiego składu różnych chemikalii i specjalnych materiałów do pakowania. Należało ponadto zasięgnąć porady rzeczoznawców co do najlepszych sposobów

konserwacji i stworzyć na miejscu laboratorium dla zapewnienia sobie możliwości doraźnej analizy takich obiektów, które rozpadłyby się już za pierwszym dotknięciem. Samo skatalogowanie tak bogatych znalezisk wymagało wielu wstępnych prac organizacyjnych.

Wszystkich tych działań nie można było przeprowadzić z „Doliny Królów". Nieodzowny był wyjazd Carnarvona do Londynu; Carter musiał co najmniej wyjechać do Kairu. Ktokolwiek zaś, znając już długą historię grabieży grobów królewskich w Egipcie, miałby jeszcze jakiekolwiek wątpliwości, czy rozdział ten w naszych czasach można już uważać za definitywnie zamknięty, znajdzie odpowiedź w decyzji Cartera, który 3 grudnia znowu... zasypał grób. Mimo iż pozostawił go pod opieką Cal-lendera, widział w tym jedyną możliwość zabezpieczenia się przed zakusami nowoczesnych naśladowców Abd-el-Rasula. Ledwo zaś przybył do Kairu, zamówił ciężką żelazną kratę dla wewnętrznych drzwi grobowca.

Gruntowność i dokładność, z jaką przeprowadzono to największe egipskie wykopalisko, występuje jeszcze wyraźniej w świetle pomocy, z którą często w sposób najbardziej ofiarny i bezinteresowny pośpieszono archeologom ze wszystkich części świata. Carter miał wszelkie powody ku temu, aby w swej książce wyrazić podziękowanie za tę wszechstronną pomoc, z którą się spotkał. Rozpoczyna je od przytoczenia listu, który w czasie jego nieobecności przesłał mu egipski kierownik brygady robotników, a który i my, aby sławić nie tylko pomoc intelektualną, przytaczamy tu za nim:

Karnak, Luksor 5 sierpnia 1923 roku

Mr Howard Carter Esq.

Wielmożny Panie!

Proszę pisarza o napisanie tego listu w nadziei, że cieszy się Pan dobrym zdrowiem, i proszę Boga Wszechmogącego, aby miał Pana w opiece i bezpiecznie przywiódł do

nas z powrotem.

Proszę pisarza zawiadomić Waszą Ekscelencję, że magazyn nr 15 jest w porządku, skarb jest w porządku, północny magazyn jest w porządku, *Wadain* i dom w porządku, a wszyscy pańscy robotnicy stosują się we wszystkim do czcigodnych wskazówek Waszej Wielmożności.

Rais Hussein, Gas Hassan, Hassan Awad, Abdelad Achmet i wszyscy gafirzy domu pragną przesłać swe najlepsze pozdrowienia.

Moje najlepsze pozdrowienia dla Pańskiej czcigodnej Osoby i dla wszystkich członków rodziny Lorda, i dla wszystkich Waszych Przyjaciół w Anglii.

Tęskniąc do Waszego rychłego powrotu

Wasz bardzo posłuszny sługa
Rais Achmet Gurgar.

Gdy Carter zwrócił się z nieśmiałym zapytaniem do innej ekspedycji, pracującej w Tebach, a więc w bezpośrednim sąsiedztwie, czy nie mogłaby mu użyczyć swego fotografa, Harry'ego Burtona, kurator działu egipskiego Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku, Lythgoe, choć w istocie pozbawiał się przez to potrzebnych mu pomocników, odpowiedział telegraficznie: „Niezmiernie rad służyć wszelką pomocą. Proszę dysponować Burtonem i każdym innym członkiem naszego sztabu." Skutek był taki, że również rysownicy Hali i Häuser oraz kierownik wykopalisk prowadzonych koło piramid pod Liszt, A. C. Mace, przeszli do Cartera. Dyrektor państwowego Instytutu Chemicznego w Kairze, Lucas, zadeklarował gotowość przeznaczenia swego trzymiesięcznego urlopu na prace potrzebne Carterowi. Dr Alan Gardiner zajął się inskrypcjami, a profesor James H. Breasted z uniwersytetu w Chicago przybył do „Doliny Królów", aby oddać do dyspozycji swą wiedzę fachową przy badaniu odcisków pieczęci.

Już w parę lat później — 11 listopada 1925 roku — dr Saleh-bej-Hamdi i Douglas E. Derry, profesor anatomii Uniwersytetu Egipskiego, przystąpili do anatomicznych i chemicznych badań mumii Tutanchamona. A. Lucas napisał sporą pracą pt. *Chemia w grobie* traktującą o znalezionych w grobowcu metalach, olejach, tłuszczach i tekstyliach. P. E. New-berry zbadał wieńce kwiatów złożone w grobowcu i określił rodzaje kwiatów sprzed blisko 3300 lat (na podstawie kwiatów i owoców oraz znajomości okresu kwitnięcia bławatków i dojrzewania owoców mandragory — „jabłek miłości" z Pieśni nad pieśniami — Newberry ustalił, że Tutanchamon został pochowany między połową marca a połową kwietnia). „Szczególne substancje" badali Aleksander Scott i H. J. Plenderleith.

Ta współpraca pierwszorzędnych specjalistów (z dziedzin po części bardzo odległych od archeologii) dawała rękojmię, że ewakuacja grobu Tutanchamona przyniesie większy plon naukowy niż jakiekolwiek dotychczasowe odkrycie grobu w Egipcie. Można więc było przystąpić do pracy. Już 16 grudnia grób znowu otwarto. 18 grudnia fotograf Burton dokonał pierwszych zdjęć w przedsionku grobowca. 27 grudnia pierwszy przedmiot wyniesiono z grobu na powierzchnię ziemi.

Gruntowność wymaga czasu. Prace przy grobie Tutanchamona trwały kilka sezonów zimowych. Nie tu miejsce na dokładny ich opis. Idąc za niezwykle barwnym sprawozdaniem Howarda Cartera zatrzymamy się tylko nad najistotniejszymi jego momentami. Nie będziemy bliżej opisywać wszystkich znalezisk i ograniczymy się jedynie do kilku najpiękniejszych okazów. Na pierwszym miejscu wymienimy drewnianą skrzynię, pod względem artystycznym jedno z najcenniejszych dzieł staro-żytnej sztuki egipskiej. Cała pokryta była cienką warstwą gipsu i malowidłami, w których przepyszna, pełna wyczucia kolorystyka łączy się z niezwykłą subtelnością rysunku. Sceny myśliwskie i wojenne są odtworzone z takim kompozycyjnym opanowaniem szczegółów, że — jak pisze Carter — „przewyższają nawet perskie miniatury". Skrzynia ta zawierała najróżniejsze przedmioty. Aby zdać sobie sprawę ze

staranności, z jaką pracowali naukowcy, dość powiedzieć, że Carter zużył trzy tygodnie żmudnej, niezwykle drobiazgowej pracy, aby skrzynię tę opróżnić do dna.
Nie mniej wartościowe były trzy wielkie łoża. Przeznaczenie ich znano już z malowideł ściennych w różnych grobowcach, dotąd jednak nigdy jeszcze nie znaleziono ani jednego takiego łoża. Był to bardzo dziwny rodzaj mebla, z podwyższeniem dla nóg zamiast dla głowy. Pierwsze łoże było ozdobione głowami lwów, drugie — krów; trzecie zdobiła głowa jakiegoś fantastycznego zwierza — na poły hipopotama, na poły krokodyla. Wszystkie trzy były zasypane kosztownościami, bronią i szatami. Na tym wszystkim leżało krzesło tronowe z tak wspaniale zdobionym oparciem, że Carter „bez wahania" twierdzi, iż „jest to najpiękniejszy przedmiot, jaki dotąd znaleziono w Egipcie".
Wreszcie wymienić jeszcze należy cztery rydwany. Ponieważ były za duże, by je w całości wprowadzić do grobowca, więc rozpiłowano je na części; potem rabusie jeszcze raz porozrzucali je po całym przedsionku. Wszystkie cztery wozy były od góry do dołu pokryte złotem, każdy cal powierzchni zdobiły ornamenty i malowidła lub inkrustacje z barwnego szkła i półszlachetnych kamieni.
W samym tylko przedsionku znajdowało się sześćset do siedmiuset przedmiotów. Później usłyszymy jeszcze, jakie napotkano tu trudności nie tylko od wewnątrz (najmniejsza omyłka mogła zniszczyć rzeczy niepowtarzalne), ale i od zewnątrz.
13 maja, przy temperaturze 37 stopni w cieniu, kolejką polową, której szyny stale przenoszono do przodu, wciąż na nowo układając z nich tor, zwieziono pierwsze trzydzieści cztery ciężkie skrzynie na odległy o półtora kilometra brzeg Nilu, gdzie czekał statek towarowy. Bezcenne dary złożone w grobie Tutanchamona odbyły więc tę samą drogę, którą w odwrotnym kierunku przebyły trzy tysiące lat temu, gdy w uroczystej procesji niesiono je do grobowca.
W siedem dni później znajdowały się już w Kairze.

W połowie lutego pierwsza komora była opróżniona. Było teraz dosyć miejsca, aby

móc przystąpić do oczekiwanego przez wszystkich z najwyższym napięciem nowego etapu prac: otwarcia zamurowanych drzwi między obydwoma szyldwachami. Spodziewano się uzyskać nareszcie pewność, czy w tej następnej komorze znajduje się mumia. W piątek, 17 lutego, o godzinie drugiej po południu w przedsionku — czyli w pierwszej komorze — zebrało się około dwudziestu osób zaszczyconych zaproszeniem do wzięcia udziału w tym rozstrzygającym momencie odkrycia. Żadna z nich nawet nie podejrzewała, co zobaczy w dwie godziny potem. Po dotychczasowych znaleziskach trudno było wyobrazić sobie, że można odkryć rzeczy jeszcze bardziej wartościowe, jeszcze piękniejsze.

Zaproszeni goście — członkowie rządu i naukowcy — zajęli miejsca w ciasno ustawionych rzędach krzeseł. Gdy Carter wszedł na schodki, które przystawiono do drzwi, aby mu ułatwić rozebranie zamurowanego wejścia, głęboka cisza zaległa w komorze.

Carter z największą ostrożnością wyjął górną wastwę kamieni. Była to żmudna i mozolna praca, groziło bowiem niebezpieczeństwo, że kamienie mogą się obsunąć, spaść po tamtej stronie ściany i zniszczyć lub uszkodzić to, co się tam znajduje — cokolwiek by to było. Prócz tego musiał starać się zachować w stanie nie uszkodzonym pieczęcie, przedstawiające dużą wartość naukową. Ukazał się pierwszy otwór. Carter opisując później ten moment przyznaje: „Co chwila brała mnie nieprzezwyciężona pokusa, żeby przerwać pracę i zajrzeć do środka."

Mace i Callender pomagali mu w pracy. Szmer przeszedł po zebranych, gdy po dziesięciu minutach zażądał, aby mu podano umocowaną na długim sznurze lampę. Przesunął ją przez otwór.

To, co zobaczył, przechodziło wszelkie oczekiwania, więcej, było tak niesamowite, że aż nadnaturalne, a ponadto na pierwsze wejrzenie zupełnie niezrozumiałe.

Ujrzał przed sobą lśniącą ścianę; patrząc z prawa na lewo nie mógł jej ogarnąć wzrokiem. Przesunął lampę tak głęboko, jak tylko się dało. Nie ulegało wątpliwości — stał przed murem z masywnego złota.

Prędko jął usuwać dalsze kamienie. Teraz już i reszta osób w przedsionku mogła

widzieć ten złoty blask. W miarę jak Carter wraz z Mace'em i Callenderem usuwali kamień po kamieniu, coraz większa część złotego muru stawała się widoczna. „Jakby przez drut elektryczny — pisze Carter — czuliśmy, że osobom przyglądającym się z krzeseł za barierą mrowie przechodzi po ciele."

Zarówno on, jak Mace i Callender jednocześnie zorientowali się, czym jest ten mur: stali przed wejściem do komory grobowej. To, co uważali za mur, było w istocie zewnętrzną ścianą skrzyni-grobowca zupełnie niebywałych rozmiarów, prawdopodobnie największej i najdrogocenniejszej skrzyni grobowej, jaką kiedykolwiek oglądało ludzkie oko. Nie ulegało wątpliwości, że w niej kryć się musi sarkofag z mumią faraona.

Upłynęły jeszcze dwie godziny, zanim zdołali tak poszerzyć otwór, aby móc wejść do komory grobowej. W dodatku nastąpiła nieprzewidziana przerwa, która wystawiła na próbę cierpliwość wszystkich obecnych. Na progu znaleziono mianowicie rozsiane perły naszyjnika; prawdopodobnie upuścili go tu rabusie. Podczas gdy goście, nie mogąc już Usiedzieć, niecierpliwie kręcili się na krzesłach, Carter pieczołowicie zbierał perłę po perle z wytrwałością prawdziwego archeologa, który nawet w obliczu rzeczy największych nie lekceważy najmniejszego drobiazgu.

Okazało się, że komora grobowa leżała o jeden metr niżej od pierwszej komory — przedsionka grobowca. Carter wziął lampę i opuścił się w dół. Tak jest, stał przed skrzynią grobową. Była tak duża, że wypełniała niemal całą kryptę. Między nią a ścianą, oddzielającą komorę grobową od przedsionka, pozostało tylko wąziutkie przejście szerokości zaledwie sześćdziesięciu pięciu centymetrów. Idąc tym przejściem musiał poruszać się bardzo ostrożnie, wszędzie bowiem leżały najróżniejsze dary pogrzebowe.

Pierwsi za Carterem weszli teraz do krypty lord Camarvon i Lacau. Oniemieli z podziwu. Próbowali oszacować w przybliżeniu wielkość skrzyni, która jak później wykazały dokładne pomiary, mierzyła 5,00 X 3,30 X 2,73 metra.

Istotnie, od góry do dołu pokrywało ją złoto. Na bokach wysadzanych jasnobłękitnym fajansem widniały różne czarodziejskie znaki — zaklęcia mające zapewnić

bezpieczeństwo zmarłemu.

Najważniejsze dla wszystkich trzech było teraz pytanie: czy rabusie zdążyli wtargnąć i do tej skrzyni-grobowca? Czy zbezcześcili mumię? Carter stwierdził, że po wschodniej stronie skrzyni wielkie drzwi skrzydłowe były wprawdzie zaryglowane, lecz nie miały na sobie pieczęci. Drżącą ręką odsunął poprzeczną zasuwę. Drzwi trzeszcząc ustąpiły. Stanęli przed drugą, podobną skrzynią ze złota. I ta miała zaryglowane drzwi. Ale na tych drzwiach znajdowały się nie uszkodzone pieczęcie!

Wszyscy trzej odetchnęli z głęboką ulgą. Dotąd w tym grobie rabusie zawsze byli przed nimi. Tutaj, przed najważniejszą częścią grobowca, oni byli pierwsi. Znajdą więc mumię nie tkniętą, tak jak ją złożono trzy tysiące lat temu na ostatni spoczynek.

Zamknęli z powrotem drzwi, „tak cicho, jak tylko mogliśmy" — pisze Carter. Czuli się intruzami. Nim znowu zamknęli drzwi pierwszej skrzyni, zauważyli spłowiały całun, zwisający nad skrzynią wewnętrzną: „czuliśmy, że jesteśmy w obecności martwego króla, że winniśmy mu okazać głęboką cześć i szacunek".

W tej chwili, stojąc u szczytu swych osiągnięć, przytłoczeni wrażeniem wspaniałości, które zobaczyli, nie byli zdolni do żadnych dalszych poszukiwań. A jednak już w następnej minucie czekało ich nowe odkrycie.

Gdy przeszli na drugi koniec krypty grobowej, niespodzianie znaleźli niskie drzwi, które prowadziły do jeszcze jednej, mniejszej komory. Z miejsca, w którym się znajdowali, mogli ogarnąć wzrokiem całą jej zawartość. Co zaś musiała ona przedstawiać, świadczą o tym słowa Cartera, który, po wszystkich cudach znalezionych dotąd w grobowcu, pisze: „Dość było jednego spojrzenia, aby się przekonać, że tu właśnie znajdowały się największe skarby całego grobowca."

Pośrodku komory stał pomnik cały ze złota. Daleko jednak większe wrażenie niż jego przepych i bogactwo robiły postacie czterech bogiń opiekuńczych. Tyle było w nich wdzięku, tyle naturalności i żywości, tyle współczucia i błagalnej prośby o litość, że — jak pisze Carter — „już samo patrzenie na nie wydawało się niemal świętokradztwem... Nie wstydzę się przyznać, że nie byłem w stanie wydobyć z siebie ani jednego słowa."

Carter, Carnarvon i Lacau, idąc powoli wzdłuż złotej ściany, powrócili do przedsionka. Teraz i reszcie obecnych wolno było wejść do krypty. „Ciekawe było — pisze Carter — obserwować ich, gdy znowu jeden po drugim pojawiali się w drzwiach. Oczy ich błyszczały, wszyscy podnosili ręce do góry, jakby podświadomie chcąc dać wyraz temu, że żadne słowa nie są w stanie opisać tego, co widzieli..."

Około godziny piątej po południu, a więc w trzy godziny po przekroczeniu podwojów grobowca, wszyscy obecni znowu wyszli na powierzchnię ziemi. Gdy znaleźli się w jasnym świetle dnia, wydawało im się, że „nawet i sama dolina zmieniła się, ukazywała się w jakimś innym, szczególnym świetle".

Dalsze badania tego największego znaleziska w dziejach archeologii ciągnęły się jeszcze przez kilka sezonów zimowych. Pierwsza zima niestety niemal wcale nie została wykorzystana. Lord Carnarvon zmarł. Po jego śmierci wyłoniły się poważne kłopoty, gdyż rząd egipski robił trudności w sprawie przedłużenia koncesji i podziału znalezisk. W końcu dzięki interwencji czynników międzynarodowych udało się doprowadzić do polubownego załatwienia sporu. Można więc było na nowo rozpocząć prace. W zimie 1926/27 roku przedsięwzięto najważniejsze kroki: otwarto złotą skrzynię, rozebrano bezcenne trumny i poddano analizie mumię Tutanchamona. Prace te zrazu przyniosły mało niespodzianek żądnej sensacji publiczności, ale za to egiptologię wzbogaciły wieloma nowymi odkryciami. Potem jednak osiągnęły one swój punkt szczytowy skupiając znowu na sobie uwagę całego świata. Była to chwila, gdy odkrywcy grobu po raz pierwszy spojrzeli w twarz Tutanchamona, zobaczyli we własnej osobie faraona, który, niedostępny dla oka ludzkiego, spoczywał tu od trzydziestu trzech stuleci. Ale właśnie ta chwila, oczekiwana przez wszystkich z napięciem, przyniosła pierwsze i jedyne rozczarowanie w historii odkrycia tego grobu, stanowiąc jeszcze jeden dowód, że i w najpiękniejszym łańcuchu szczęścia trafia się pęknięte ogniwo.

Prace rozpoczęto od zburzenia ściany z cegieł, dzielącej przedsionek od krypty grobowej. Następnie rozebrano pierwszą złotą skrzynię. Stała w niej druga, a w tej — trzecia skrzynia.

Carter miał wszelkie podstawy ku temu, aby przypuszczać, że teraz ukaże się już sarkofag. Oto jak sam opisuje otwarcie trzeciej skrzyni i związaną z tym nową niespodziankę: „Ledwo mogąc opanować wzburzenie przystąpiłem do otwarcia trzeciej skrzyni. Tej chwili największego napięcia w ciągu całej naszej mozolnej pracy nigdy chyba nie zapomnę. Przeciąłem sznur, zdjąłem cenne pieczęcie, odsunąłem rygle, otworzyłem drzwi i oto stała przed nami — czwarta złota skrzynia. Była podobna do poprzednich, ale jeszcze wspanialsza, jeszcze piękniej wykonana niż trzecia. Cóż za nieopisana chwila dla archeologa! Znowu więc staliśmy przed niewiadomą. Co kryje w sobie czwarta skrzynia? Drżąc z niecierpliwości odsunąłem rygle tych nie zapieczętowanych drzwi. Drzwi powoli się rozwarły. Przed nami, wypełniając całą skrzynię, stał olbrzymi sarkofag z żółtego kwarcytu, nietknięty, tak jak gdyby go pobożne ręce dopiero co zamknęły. Niezapomniana, wspaniała chwila. Jej wrażenie potęgował jeszcze blask bijący od wewnętrznej ściany złotej skrzyni. W nogach sarkofagu stała bogini opiekuńcza, której rozpostarte ramiona i skrzydła jakby broniły zmarłego przed intruzami. Z głęboką czcią staliśmy przed tą pełną wymowy rzeźbą..."

Samo wydostanie tych złotych skrzyń-grobowców na powierzchnię ziemi zajęło osiemdziesiąt cztery dni ciężkiej fizycznej pracy. Skrzynie składały się z około osiemdziesięciu części. Każda z nich była ciężka, nieporęczna, każdą nader łatwo było uszkodzić.

W tym wszystkim nie pozbawiony komizmu — którego nawet obok rzeczy wzniosłych nigdy nie powinno się pomijać — jest fakt, że Carter, specjalista w rozbieraniu odkopanych zabytków, ostro krytykuje pracę tych, którzy ongiś zmontowali te skrzynie. Pełen podziwu dla wysokiego kunsztu rzemieślników, którzy je zbudowali, przed zestawieniem starannie ponumerowali i każdą ich część opatrzyli znakami orientacyjnymi, surowo gani monterów. „Skrzynie widocznie montowano w pośpiechu — pisze — powierzając tę pracę ludziom, na których absolutnie nie można było polegać. Pomylili oni różne części i ustawili je w odwrotnym kierunku, tak że drzwi tych skrzyń-grobowców zamiast na wschód otwierały się na zachód; sarkofag

zaś zwrócony jest nogami na wschód zamiast na zachód. Ten błąd w końcu można by monterom jeszcze darować. Ale inne zaniedbania są niewybaczalne. Uszkodzili złote ozdoby, tak że dziś jeszcze widać na nich głębokie ślady od uderzeń młotem. W niektórych miejscach odtrącone zostały całe fragmenty. Wiórów i innych odpadków w ogóle nie uprzątnięto."

Wreszcie 3 lutego badacze po raz pierwszy zobaczyli odsłonięty całkowicie sarkofag. Wyciosany z jednego monumentalnego bloku najszlachetniejszego żółtego kwarcytu, miał 2,75 m długości, 1,50 szerokości i 1,50 m wysokości. Nakryty był wiekiem z granitu.

Gdy ze zgrzytem pracować zaczęły dźwigi, które miały podnieść ciężkie wieko, ważące 1200 kilogramów, w grobowcu znowu zebrało się całe grono zaproszonych dygnitarzy i uczonych. „Wśród głębokiego milczenia — pisze Carter — podniosło się olbrzymie wieko sarkofagu. W pierwszej chwili obecni doznali zawodu: ujrzeli tylko niezliczone zwoje płótna. Ale po odsunięciu tych tkanin oczom ich ukazał się oszałamiający obraz — postać króla!"

Czy już jego ciało? Nie, złota rzeźba, przedstawiająca chłopięcą postać faraona. Bił od niej taki blask, jak gdyby dopiero co wyszła z pracowni artysty. Głowa i ręce były plastycznie uformowane, ciało natomiast przedstawione w płaskorzeźbie. W skrzyżowanych rękach młody król trzymał egipskie insygnia królewskie: pastorał i kropielnicę, inkrustowane niebieskim fajansem. Twarz była z litego złota, oczy z aragonitu i obsydianu, brwi i rzęsy z lapis-lazuli. Ta mozaika barw czyniła twarz podobną do maski, nadawała jej kamienny, a jednak żywy wyraz.

Co jednak na Carterze i na reszcie obecnych zrobiło nieporównanie większe wrażenie, to — jak pisze Carter — .....wzruszający wianuszek kwiatów, złożonych przez młodą wdowę, jako ostatnie pożegnanie ukochanego męża. Cały królewski przepych, całe bogactwo, blask złota — wszystko to bladło wobec tych skromnych zeschłych kwiatów, które jeszcze zachowały nikły ślad dawnej świeżości kolorów. To one z najbardziej nieodpartą wymową przypominały o znikomości tysiącleci." W zimie 1925/26 roku Carter znowu wchodzi do grobowca, aby otworzyć trumny. Warto

przytoczyć słowa, w jakich o tym pisze: „I tym razem nie mogliśmy się oprzeć wrażeniu nieodgadnionej tajemnicy tego grobu. Znowu owładnęło nami uczucie onieśmielenia i głębokiej czci dla rzeczy dawno minionych, dla dawnej wielkości, która wciąż jeszcze była wielkością. Archeolog nawet wtedy, gdy w tłoku swych prac zawodowych wykonuje często mechaniczne czynności, nigdy się całkiem nie wyzbywa tego uczucia.” Nie powinniśmy w tych uwagach ani w tamtych o wianuszku kwiatów dopatrywać się taniego sentymentalizmu. Traktujmy je jako głos ludzkiego uczucia. Jest coś pokrzepiającego w tym, że nie jest ono obce i zimno myślącym naukowcom.

Nie możemy się tu dłużej zatrzymywać nad różnymi szczegółami i drobnymi zdarzeniami, które towarzyszyły pracy przy otwarciu trumien. Była ona mozolna i trudna. W ciasnym pomieszczeniu wciąż groziło niebezpieczeństwo, że najmniejszy fałszywy krok, niewłaściwe nastawienie dźwigu, załamanie się któregoś ze słupów podtrzymujących sklepienie mogły spowodować poważne uszkodzenie skarbów. Podobnie jak wieko pierwszej trumny, jak i wieko drugiej wyobrażało, w tym samym przepychu i wśród mnóstwa ozdób, młodego faraona w postaci boga Ozyrysa. To samo powtórzyło się przy odsłonięciu trzeciej trumny. W ciągu tych prac zastanawiała wszystkich zupełnie niezrozumiała, ogromna waga trumny. Zagadkę tę rozwiązała znowu jedna z niespodzianek, którym w tym grobowcu nie było końca.

Gdy Bur ton dokonał już swych zdjęć, a Carter usunął wianuszek kwiatów i osłaniający trumnę lniany całun, okazało się, że trzecia trumna, długości 1,85 metra, cała wykonana jest z masywnego złota, grubości od dwóch i pół do trzech i pół milimetra; sam użyty materiał przedstawiał wprost nieocenioną wartość.

Zaraz po tej niespodziance — z pewnością nie można jej było nazwać nieprzyjemną — nastąpiło inne odkrycie, które wzbudziło w badaczach najgorsze obawy. Już przy odsłonięciu drugiej trumny stwierdzili, że zdobiące ją ornamenty widocznie ucierpiały od jakiejś wilgotnej substancji. Teraz zaś okazało się, że cała przestrzeń między drugą a trzecią trumną wypełniona była czarną, twardą masą, przypominającą smołę.

Wprawdzie udało się całkowicie oczyścić z niej znaleziony tu podwójny naszyjnik ze złotych i fajansowych paciorków, ale nasuwało się niepokojące pytanie, jakie szkody te oleje, użyte widocznie w nadmiernej ilości, wyrządziły samej mumii? Gdy bowiem jeden ze współpracowników Cartera dotknął dobrze na pozór zachowanego ostatniego całuna i wieńca kwiatów z fajansowymi paciorkami, przedmioty te od razu się rozpadły. Święte oleje całkowicie je rozłożyły.

Lucas natychmiast przystąpił do chemicznej analizy olejów. Chodziło widocznie o jakąś ciekłą lub półciekłą substancję, której głównymi składnikami były tłuszcze i żywica; obecności żywicy drzewnej — chociaż masa po nagrzaniu wydzielała silny jej zapach — na razie nie udało się stwierdzić.

Wszystkich znowu ogarnęła gorączka, teraz bowiem miała nastąpić doprawdy ostatnia, rozstrzygająca chwila.

Wyciągnięto kilka złotych gwoździ, ujęto złote uchwyty wieka ostatniej trumny i odsłonięto mumię. Tutanchamon, którego archeologowie szukali przez sześć długich lat, leżał przed nimi we własnej osobie.

„W takich chwilach — pisze Carter — zawodzą wielkie słowa."

Nasuwa się pytanie, na które właściwie dawno już należało Odpowiedzieć: kimże był ten faraon, ten Tutanchamon, że pochowano go w takim grobowcu? Otóż, rzecz dziwna, był władcą, który się niczym szczególnie nie wyróżnił. Zmarł w wieku osiemnastu lat. Wiadomo na pewno, że był zięciem Echnatona, „króla-kacerza", a najprawdopodobniej i jego rodzonym synem. W latach chłopięcych, które przypadały na okres reformy religijnej jego teścia, był wyznawcą boga słońca — Atona. Że potem powrócił do dawnej religii, świadczy o tym zmiana jego imienia z „Tutanchaton" na „Tutanchamon". Wiemy, że okres jego panowania pod względem politycznym był dosyć burzliwy. Widzimy na obrazach, jak depce nogami jeńców wojennych, a w bitwie w iście królewski sposób kładzie pokotem szeregi nieprzyjaciół. Czy jednak w rzeczywistości brał kiedykolwiek udział w jakiejś bitwie, to rzecz wcale niepewna.

Nie znamy nawet dokładnego czasu trwania jego panowania; wiemy tylko, że panował około 1350 roku przed Chr. Zasiadł na tronie dzięki małżeństwu z księżniczką Anchesanamon, którą poślubił w bardzo młodym wieku; jeżeli obrazy nie kłamią, była to czarująca istota.

Z wielu obrazów i płaskorzeźb zdobiących jego grób, a także z niektórych przedmiotów mających bezpośredni związek z jego osobą, jak np. krzesło tronowe, poznajemy wiele rysów charakteru, ukazujących go w raczej dodatnim świetle. Ale o jego czynach monarszych, o rządach wiemy niewiele. Jedno jest pewne: monarcha zmarły w osiemnastym roku życie nie mógł dokonać rzeczy wielkich.

Toteż Carter w swym szkicu historycznym nie bez słuszności dochodzi do następującej lakonicznej konkluzji: „Na podstawie tego, co dziś wiemy, możemy powiedzieć z całą pewnością, że jedyną rzeczą godną uwagi w jego życiu było to, że umarł i został pochowany."

Stwierdzenie tej prawdy przywodzi do bardzo ważnego wniosku: jeżeli ten osiemnastoletni faraon został pochowany z takim, na nasze zachodnie pojęcia przechodzącym wszelkie wyobrażenie, przepychem, to cóż dopiero musiały zawierać groby Ramzesa Wielkiego i Setiego I? To ich właśnie ma na myśli Derry, gdy pisze: „Z pewnością każda poszczególna komora w ich grobach zawierała tyleż skarbów co cały grobowiec Tutanchamona."

Teraz już łatwo sobie wyobrazić, jakie skarby, nagromadzone w grobowcach królewskich „Doliny", wpadły w ciągu tysiącleci w ręce rabusiów.

Widok mumii faraona był zarazem wspaniały i straszny. Namaszczono go taką absurdalną ilością olejów, że skleiły się w jedną lepką, obecnie stwardniałą i sczerniałą masę.

W przeciwieństwie do tej ciemnej, bezkształtnej masy lśniła prawdziwie królewskim blaskiem zakrywająca twarz złota maska, która była wolna od wszelkich śladów oleju, podobnie jak nogi.

Z wielkim trudem po wielu daremnych próbach udało się przez nagrzanie do temperatury 500° Celsjusza (zabezpieczając złotą trumnę blachą cynkową) oddzielić drewnianą trumnę od złotej.

Gdy przystąpiono do zbadania mumii — jedynej mumii w „Dolinie", której przez trzydzieści trzy wieki nie tknęła żadna ludzka ręka — nasunął się wniosek, sformułowany przez Cartera w następujących słowach: „Ironia losu sprawiła, że archeologowie przekonali się teraz, iż rabusie i kapłani, unosząc obrabowane mumie z grobów, najbardziej przyczynili się do ich konserwacji." Istotnie, na mumie wykradzione lub uprowadzone przed wiekami niszczące oleje wcześniej przestały działać. Mumie te (z wyjątkiem tych, które „wykradli" kapłani) często były uszkodzone i przeważnie obrabowane, ale zachowały się lepiej niż mumia Tutanchamona, która — gdy chodzi o jej stan — wśród wszystkich odkryć w grobowcu stanowiła jedyne rozczarowanie.

11 listopada, o godzinie 9,45 rano, anatom dr Derry przeciął pierwsze wierzchnie bandaże spowijające mumię. Z wyjątkiem twarzy i stóp, które nie zetknęły się z olejami, cała mumia była w okropnym stanie. Utlenianie się składników żywicy wywołało coś w rodzaju samospa-lania się, wskutek czego nie tylko znaczna część bandaży, ale do pewnego stopnia nawet tkanki ciała oraz kości były naj dosłowniej zwęglone. Warstwa olejów po części tak stwardniała, że spod poszczególnych członków i samego tułowia trzeba ją było odskrobywać rylcem.

Potem dokonano jeszcze jednego nieoczekiwanego odkrycia. Pod wezgłowiem mającym kształt korony znaleziono amulet. Samo przez się nie było to nic nadzwyczajnego, gdyż bandaże spowijające mumię Tutancha-mona, podobnie jak bandaże wszystkich innych mumii egipskich, zawierały cały przepisowy „magiczny rynsztunek" — niezliczone amulety, symbole i znaki tajemne. Na ogół amulety tego rodzaju wykonane były z hematytu. Ale amulet znaleziony pod wezgłowiem Tutanchamona był z żelaza! Znalezisko to wskazywało na jeden z najwcześniejszych momentów użycia żelaza w Egipcie; zakrawa to niemal na ironię, że w grobie dosłownie kapiącym od złota jednym z najcenniejszych znalezisk pod

względem historyczno-kulturalnym był mały kawałek żelaza!

Niezwykle delikatną pracą było odwinięcie ostatnich lnianych bandaży ze zwęglonej głowy młodego faraona. Nawet za najlżejszym dotknięciem małego pędzelka z sobolego włosia resztki spróchniałych tkanek rozsypywały się w proch. Wreszcie ukazało się — w tym końcowym momencie odkrycia oddajmy głos samemu Carterowi — „...pełne spokoju, łagodne oblicze młodzieńca. Oblicze szlachetne i dostojne, o ładnych rysach i mocnej linii warg."

Bogactwo klejnotów i kosztowności, którymi obsypane było ciało Tutanchamona, przekracza wszelkie wyobrażenie. W trakcie odwijania bandaży znajdowano w nich coraz to nowe klejnoty ułożone ogółem w 101 grupach. Palce rąk i nóg tkwiły w złotych tulejkach. Dość powiedzieć, że jeżeli w książce Cartera opis badania mumii zajmuje trzydzieści trzy strony, to więcej niż połowa całego tego opisu poświęcona jest znalezionym przy niej klejnotom. Osiemnastoletni faraon dosłownie spowity był w kilka warstw złota i szlachetnych kamieni.

Później prof. Derry ogłosił drukiem osobną pracę przedstawiając wyniki anatomicznych badań mumii Tutanchamona. Przytoczymy tu tylko trzy jego wnioski. Przede wszystkim więc z dużą dozą prawdopodobieństwa udowadnia ojcostwo Echnatona, czyli tezę, według której Tutanchamon był rodzonym synem tego „króla-kacerza"; fakt ten ma duże znaczenie dla wyjaśnienia stosunków dynastycznych, a tym samym i politycznych za wymierającej już na tych władcach XVIII dynastii. Po wtóre, wskazuje on na rzecz wysoce interesującą z punktu widzenia historii sztuki (niejednokrotnie podkreślaną także przez Cartera), a mianowicie na stosunek sztuk plastycznych ówczesnego Egiptu do realizmu. Przytoczmy tu jego własne słowa: „Złota maska — pisze — ukazuje Tutanchamona jako młodzieńca o miłej i ujmującej powierzchowności. Komu dane było spojrzeć na odsłoniętą twarz jego mumii, ten może potwierdzić, jak trafnie, z jaką dokładnością i wiernością artysta z czasów XVIII dynastii odtworzył jego rysy. Pozostawił nam na wieczne czasy wyrzeźbiony w niezniszczalnym metalu wspaniały portret młodego monarchy." Wreszcie trzeci wniosek Derry'ego jako anatoma wyjaśnia ostatecznie kwestię wieku Tutanchamona,

co do którego źródła historyczne nie dają odpowiedzi. Na podstawie stanu skostnienia guzków stawowych oraz wzrostu goleni Derry ustala, że Tutanchamon liczył od siedemnastu do dziewiętnastu lat; najprawdopodobniej zmarł mając lat osiemnaście.

Na tym właściwie moglibyśmy skończyć historię odkopania grobu Tutanchamona. Wprawdzie opróżnienie bocznej komory i małego skarbca przyniosło jeszcze wiele ważnych wiadomości, jednak dla naszego szkicu nie mają one istotnego znaczenia.

Z wykopaliskiem tym jednak łączy się jeszcze inna historia, której tu nie możemy pominąć. Jest to historia „klątwy faraona", która miała jakoby spowodować tajemniczą, nienaturalną śmierć ponad dwudziestu osób uczestniczących w odkopaniu grobu Tutanchamona.

W ciągu dwustu lat, od których istnieje archeologia, żadne jeszcze znalezisko z dawno zaginionego świata nie nabrało takiego rozgłosu jak odnalezienie tego grobu w „Dolinie Królów" i mumii młodego faraona. Nic w tym dziwnego, skoro odkrycie to nastąpiło już w czasach prasy rotacyjnej, fotografii, filmu, a nawet stawiającego już pierwsze kroki radia. Zainteresowanie, jakie wzbudziło ono na całym świecie, znalazło najpierw wyraz w depeszach gratulacyjnych. Potem zjawili się reporterzy. Następnie — czyż nie roztrąbiono na wszystkie strony, że znaleziono nieocenione skarby? — zaczęły napływać listy. Jedne były krytyczne, inne entuzjastyczne, jedne podnosiły najcięższe oskarżenia o zbezczeszczenie grobu, inne — jak wspomina Carter — zawierały praktyczne projekty szat śmiertelnych. W ciągu pierwszej zimy każdy dzień przynosił dziesięć do piętnastu takich listów, co najmniej niepotrzebnych, a często wręcz bezsensownych. „Cóż na przykład — pisze Carter — powiedzieć o człowieku, który całkiem na serio zapytuje, czy odkrycie tego grobu rzuciło jakieś nowe światło na sprawę rzekomych belgijskich okrucieństw w Kongo?"

Potem zaczęły napływać rzesze turystów. Normalny napływ zwiedzających przybrał niebawem rozmiary istnych pielgrzymek. Ponieważ przy mozolnych i długich pracach w grobowcu, zwłaszcza w pierwszym okresie, rzadko kiedy jakiś przedmiot z grobu wynoszono na światło dzienne (aby go przenieść do laboratorium), więc licznie wśród turystów reprezentowani miłośnicy fotografii wystawali całymi dniami przed

grobowcem czekając, aż zdarzy się okazja do pstryknięcia migawkowego zdjęcia. Carter któregoś dnia zauważył, jak kawałek zwykłego płótna do owijania mumii, który kazał sobie przynieść do laboratorium, został aż osiem razy uwieczniony na fotografii.

W 1926 roku, gdy grób Tutanchamona stał w centrum uwagi całego świata, zwiedziło go w ciągu trzech miesięcy 12 300 turystów; w tym samym okresie 270 zbiorowych wycieczek odwiedziło założone przy grobowcu laboratorium.

Jest rzeczą samą przez się zrozumiałą, że w normalnych warunkach pracy dziennikarskiej redakcja dziennika, gdy cały świat mówi o sensacyjnym odkryciu archeologicznym w Egipcie, nie może kazać swym czytelnikom czekać, aż jakiś specjalista-egiptolog napisze o tym sprawozdanie lub artykuł. Do niejednej więc wiadomości agencyjnej lub innych dziennikarskich sprawozdań o znaleziskach w grobie Tutanchamona wkradły się siłą rzeczy błędy i nieścisłości. Leży to już w samej istocie gazety, że do sensacji przykłada większą wagę niż do suchych faktów. W tych warunkach trudno się dziwić, że luki w konkretnym, rzeczowym materiale informacyjnym zaczęto wypełniać płodami wyobraźni.

Jak zrodziła się bajka o „klątwie faraona", tego dziś nikt nie potrafi powiedzieć. Tak czy inaczej faktem jest, że nawet jeszcze w latach trzydziestych pokutowała ona na łamach prasy światowej. Oceniać ją można tylko tą samą miarą, co omówioną już przez nas „mistykę liczb", związaną rzekomo z wielką piramidą, tak samo, jak coraz to odświeżaną, z palca wyssaną historię o kwitnącej na nowo „mumiowej pszenicy" — ziarnach pszenicy sprzed trzech albo i czterech tysięcy lat, które, włożone do starych grobów egipskich, jakoby zachowały zdolność kiełkowania (odkąd historia ta nabrała rozgłosu, zwykli turyści dość często „odkrywają" takie ziarna w szczelinach zwiedzanych grobów królewskich; sprytni przewodnicy źle na tym nie wychodzą).

„Klątwa faraona" to w istocie taki sam „pasjonujący", przejmujący dreszczykiem temat do rozmów, jak słynna „klątwa diamentu Hope" albo straszliwe pasmo tragicznych wypadków spowodowanych rzekomo przez mniej znaną „klątwę mnichów z Locrum" (położonej naprzeciw Dubrownika dalmackiej wyspy, przeklętej

przez wypędzonych z niej mnichów; późniejsi właściciele tej wysepki — cesarz Maksymilian, cesarzowa austriacka Elżbieta, arcyksiążę Rudolf, król bawarski Ludwik II i arcyksiążę Franciszek Ferdynand — umarli nienaturalną śmiercią).

Prawdopodobnie pierwszy asumpt do skonstruowania tej historii o „klątwie faraona" dała nieoczekiwana śmierć lorda Carnarvona, który ukąszony przez moskita zmarł w trzy tygodnie potem, 6 kwietnia 1923 roku. Już wtedy podniosły się głosy mówiące o „karze, która spotkała świętokradcę".

Później pod sensacyjnym tytułem *Zemsta faraona* kolejno pojawiać się zaczęły wiadomości o „drugiej", „trzeciej", „siódmej", „dziewiętnastej" ofierze „klątwy Tutanchamona". O tej dziewiętnastej ofierze pewien dziennik niemiecki 21 lutego 1930 roku donosił w „telegramie własnym z Londynu": „W dniu dzisiejszym siedemdziesięcioośmioletni lord Westbury skoczył przez okno swego położonego na siódmym piętrze mieszkania ponosząc śmierć na miejscu. Syna lorda Westbury, który swego czasu jako sekretarz archeologa Cartera brał udział w odkopaniu grobu Tutanchamona, w listopadzie ubiegłego roku znaleziono martwego w jego mieszkaniu, chociaż poprzedniego wieczora udając się na spoczynek był najzupełniej zdrów. Dokładnej przyczyny śmierci nie udało się ustalić."

„Dreszcz grozy przechodzi przez Anglię..." — tymi słowami pewien dziennik rozpoczynał wiadomość o śmierci Archibalda Douglasa Reida, który padł martwy w chwili, gdy chciał prześwietlić promieniami Roentgena jakąś mumię egipską. Potem przyszła kolej na „dwudziestą pierwszą ofiarę faraona": egiptolog Artur Weigall zmarł od jakiejś „nieznanej odmiany febry".

Następnie zmarł A. C. Mace, który wspólnie z Carterem otworzył komorę grobową (w sprawozdaniu o jego śmierci przemilczano jednak fakt, że Mace już przed odkopaniem grobu był chory i chociaż początkowo pomagał Carterowi, musiał właśnie z powodu tej choroby wycofać się z dalszej współpracy przy tym wykopalisku).

Wreszcie umiera — popełniając „samobójstwo w stanie nagłego przystępu obłędu" — brat przyrodni lorda Carnarvona, Aubrey Herbert, a w lutym 1929 roku (rzecz na

pozór istotnie zastanawiająca) umiera lady Elisabeth Carnarvon od „ukąszenia jakiegoś owada". W 1930 roku spośród wszystkich osób, które współdziałały w odkopaniu grobu, pozostaje przy życiu już tylko sam jego odkrywca — Howard Carter.

„Śmierć na prędkich skrzydłach dosięgnie tego, kto zakłóci spokój faraona" — tak brzmiał jeden z wielu szerzonych wariantów „klątwy", zawartej rzekomo w jednej z inskrypcji w grobowcu.

Gdy wreszcie pewnego dnia doniesiono, że w Ameryce w tajemniczych warunkach straciła życie w jakimś nieszczęśliwym wypadku jeszcze jedna ofiara faraona, nazwiskiem Carter, czyli że teraz faraon ostrzega już samego odkrywcę grobowca, dosięgając karzącą dłonią jego rodziny, zarówno Carter, jak kilku innych poważnych archeologów uznali, że czas gruntownie rozprawić się z tymi bredniami.

Carter pierwszy udziela odpowiedzi. Odkrywca — pisze — „przystępuje do swej pracy z powagą i głęboką czcią, ale bez tego dreszczyka grozy, którego tak bardzo pożąda i któremu tak łatwo ulega żądna sensacji szeroka publiczność". Dalej mówi o „śmiesznych historyjkach", które nie są niczym innym, jak odmianą „opowiadań o duchach". Potem rzeczowo rozprawia się z twierdzeniem, jakoby samo przekroczenie progu grobowca — co z naukowego punktu widzenia może łatwo byłoby uzasadnić — kryło w sobie niebezpieczeństwo życia. Carter wykazuje, że grób — jak bezspornie stwierdzono — był wolny od jakichkolwiek niebezpiecznych bakterii. W ostatnim zdaniu swej odpowiedzi pisze z goryczą: „We wszystkich tych niedorzecznych plotkach nie ma ani krzty rozsądku. Widocznie ludzkość od czasów prehistorycznych dokonała mniejszego postępu, niż to sobie ludziska na ogół wyobrażają."

W 1933 roku, chcąc zaspokoić ciekawość opinii publicznej, zabiera głos w tej sprawie niemiecki egiptolog Georg Steindorff. Zadaje sobie przy tym trud, aby tam, gdzie to w ogóle jest jeszcze możliwe, dociec do źródła każdej z tych fantastycznych wiadomości. Stwierdza, że owego Cartera, który w Ameryce padł ofiarą nieszczęśliwego wypadku, nic nie łączyło z archeologiem Carterem poza

przypadkową identycznością nazwiska. Stwierdza dalej, że ani lord Westbury, ani jego syn nie mieli nic wspólnego z odkryciem grobu ani z jego opróżnieniem, ani z samą mumią. Po wielu innych jeszcze dowodach wysuwa w końcu decydujący argument: „klątwa faraona" w ogóle nie istnieje, nie jest zawarta w żadnej inskrypcji grobowej.

Steindorff potwierdza to, na co wskazywał już Carter: „Egipski rytuał umarłych nie znał w ogóle tego rodzaju klątw rzucanych na ludzi żywych, znał tylko prośby o pobożne życzenia szczęśliwości dla zmarłego."

Próba nadania niektórym, nielicznym zresztą formułom zaklęć, które widniały na kilku magicznych figurkach w komorze grobowej Tutanchamona, znaczenia „klątwy" polega na wyraźnym wypaczeniu ich sensu. Formuły te, jak pisze Steindorff, „mają odstraszyć wroga Ozyrysa" (tu Ozyrysem jest zmarły), w jakiejkolwiek pojawiłby się postaci.

Od czasu odkrycia grobu Tutanchamona wiele ekspedycji archeologicznych prowadziło prace wykopaliskowe w Egipcie. W latach 1939 — 1940 i 1946 profesor Pierre Montet odkrył pod Tanisem całą „kolonię" grobów królewskich z czasów XXI i XXII dynastii, w tym grób faraona Psusennesa. W wykutych w skale podziemnych galeriach długości przeszło jednego kilometra profesor Sami Gabra znalazł miejsca kultu ibisa, olbrzymie cmentarzyska tych świętych zwierząt. Ekspedycja wyposażona przez króla Faruka dokonała szeregu odkryć sięgających pradziejów Egiptu; znalazła ona groby z drugiego i trzeciego tysiąclecia przed Chr. W 1941 roku dr Achmad Badawi i dr Mustafa El-Amir, zajęci właściwie innymi wykopaliskami, odkryli przypadkowo pod Memfisem miejsce kultu faraona Amenhotepa II i n i e t k n i ę t y grób księcia Szoszenka zawierający ogromne ilości klejnotów.

Od czegóż to rozpoczęła się nasza „Księga Piramid"? Od egipskiej kampanii Napoleona i od narodzin śniadego chłopca nazwiskiem Jean Francois Champollion. W tym samym czasie, gdy nastąpił upadek Napoleona, a młody Champollion zaczął

opanowywać obce języki, w Getyndze pewien skromny nauczyciel ślęczał nad kilkoma bardzo osobliwymi kopiami starych inskrypcji. Gdy człowiek ten odkrył znaczenie znaków pokrywającego je pisma, można było przystąpić do naukowego zdobycia innego starożytnego imperium, jeszcze starszego od Egiptu, krainy Międzyrzecza Eufratu i Tygrysu, gdzie niegdyś stała wieża Babel, gdzie stała i upadła Niniwa.

III. KSIĘGA WIEŻ

Przede mną ojciec mój i ojciec mego ojca rozbili tu swoje namioty... Od dwunastu stuleci prawdziwi wierni — a tylko oni, Bogu niechaj będzie chwała, posiadają prawdziwą mądrość — osiedli w tym kraju, a żaden z nich nie słyszał nigdy o jakimś podziemnym pałacu ani nie słyszeli o nim ci, co byli tu przed nimi. I patrz! Oto przychodzi cudzoziemiec z Zachodu, z kraju odległego o wiele dni drogi, idzie prosto przed siebie na wiadome mu miejsce, bierze laską, przeciąga linię w jedną stronę, przeciąga linię w drugą stronę. «Tutaj — powiada — jest pałac, a tam — powiada jest brama», i pokazuje nam to, co przez

całe nasze życie leżało pod naszymi stopami, a my nic o tym nie wiedzieliśmy. Cudowne! Cudowne! Czy nauczyłeś się tego z książek, od czarnoksiężników, czy od waszych proroków? Mów, o beju! Powiedz mi tajemnicę mądrości!

Przemówienie szejka Abd-el-Rahmana
do angielskiego archeologa Layarda.

Rozdział osiemnasty

Pismo Święte powiada

O spadających niby miecz sprawiedliwości najazdach Asyryjczyków opowiada Biblia, o budowie wieży Babel, o pysznej Niniwie, o siedemdziesięcioletniej niewoli Żydów, o Nabuchodonozorze. Opowiada o sądzie bożym nad „wielką nierządnicą", o naczyniach gniewu Jehowy, które siedmiu aniołów wylewało na krainę nad Eufratem. Prorocy Izajasz i Jeremiasz głosili swe straszliwe widzenia roztaczając obraz zagłady „najpiękniejszego wśród królestw", obraz zniszczenia „cudownej wspaniałości" Chaldejczyków, którą Pan zastępów wywróci, „jak wywrócił Sodomę i Gomorę", iżby „dzikie psy wyły po ich pałacach, a sza-kale po wesołych zamkach".

W stuleciach chrześcijańskiej pobożności słowo Biblii było nietykalne, każda jej litera — święta. Czasy Oświecenia przyniosły krytykę. To samo jednak stulecie, w którym we wszystkich doktrynach filozoficznych opartych na materializmie krytyka stała się ustawicznym wątpieniem, dowiodło jednocześnie, że jądro Biblii zawierało pod

skorupą późniejszych zmyśleń wiele prawdy.

Kraj między Eufratem a Tygrysem był wielką równiną. Tylko tu i tam wznosiły się tajemnicze wzgórza. Szumiały nad nimi wichry, szalały kurzawy, piętrząc czarną ziemię w spadziste wydmy, które rosły tak sto lat, aby potem w ciągu pięciu dalszych stuleci znowu rozwiać się na wszystkie strony. Beduini zatrzymujący się tu, aby odpocząć w drodze i nakarmić swe wielbłądy, nie wiedzieli, czy wzgórza te kryją coś w sobie. Jako wierni wyznawcy Allacha i jego proroka Mahometa nie znali słów Biblii opisujących tę krainę. Potrzebne było czyjeś pierwsze przypuszczenie, pierwszy domysł, pytanie. Potrzeba było pierwszego bodźca, energicznej inicjatywy człowieka ze świata zachodniej cywilizacji. Trzeba było, aby ktoś po raz pierwszy zaczął tu kopać...

Człowiek, który pierwszy zapuścił rydel w tę ziemię, urodził się w 1803 roku we Francji. Mając lat trzydzieści ani się domyślał, co stanie się głównym zadaniem jego życia. Wykonywał wtedy jeszcze zawód lekarza. Gdy zaś uczestnicząc w pewnej egipskiej ekspedycji naukowej przybył w drodze powrotnej do Kairu, wioząc ze sobą jakieś skrzynie, a policja zażądała ich otwarcia, okazało się, że zawierały one dwanaście tysięcy starannie przyszpilonych owadów.

W czternaście lat później ten lekarz i zbieracz owadów wydał pięciotomowe dzieło o Asyrii, które w zainicjowaniu naukowego odkrycia Międzyrzecza odegrało nie mniejszą rolę niż dwudziestoczterotomowe *Description de 1'Egypte* w zapoczątkowaniu odkrycia starożytnego Egiptu.

W niecałe sto lat później w Niemczech — a podobne przykłady można by przytoczyć także *z* Francji i Anglii — ukazała się książka profesora Brunona Meissnera pod tytułem *Könige Babyloniens und Assyriens* (Królowie Babilonii i Asyrii).

Waga tego dzieła w najmniejszej mierze polega na jego znaczeniu naukowym. Praca Meissnera wcale zresztą do tego nie pretendowała, stawiała sobie jedynie za zadanie opowiedzieć w popularnej formie o władcach, których świetność przeminęła dwa do

pięciu tysięcy lat temu. Dla naszego opisu rozwoju archeologii prawdziwe jej znaczenie — tak jak znaczenie wielu innych podobnych książek, które wyszły spod pióra autorów innych narodowości — polega na tym, że w ogóle mogła być napisana. W jeszcze większej zaś mierze na tym, że mogła być napisana w popularnej formie. „Taki bowiem sposób przedstawienia przedmiotu — pisze autor we wstępie — wymaga materiałów dokumentalnych mogących dorzucić soczyste tony do kolorystyki obrazu życia wybitnych mężów i kobiet, jeżeli mają oni powstać przed nami jak żywi."

A jak w danym wypadku miała się rzecz z owym materiałem przekazowym? Pomijamy tu przybrane w symbolikę opowieści biblijne i cytujemy dalej Meissnera: „Jeszcze sto lat temu asyriologia była dla nas zamkniętą księgą, a przed kilkudziesięciu laty władcy Babilonu i Asyrii ukazywali się nam jako nieożywione schematy; znaliśmy właściwie tylko ich imiona. Czyż więc po upływie tak krótkiego czasu miałoby dziś być rzeczą możliwą napisać obejmującą ponad dwa tysiąclecia historię starożytnego Międzyrzecza i dać rzeczywistą charakterystykę jego władców?" Książka Meissnera (jak wiele innych książek wydanych w tym samym mniej więcej czasie) dowodzi, że w naszym stuleciu napisanie historii Mezopotamii stało się możliwe, że w ciągu zaledwie kilkudziesięciu lat grupa zapalonych „archeologów łopaty", naukowców i dyletantów, zdołała wydobyć na światło dzienne całą dawno umarłą kulturę. Co więcej, załączona do tego dzieła tablica chronologiczna daje nam, z bardzo niewieloma lukami, pełny przegląd imion i dat panowania władców starożytnej Mezopotamii. Tablicę tę opracował Ernst F. Weidner, jeden z najdziwniejszych wśród często jakże bardzo dziwnych asyriologów. Weidner przez dwadzieścia lat był współredaktorem popularnego tygodnika „Berliner Illustrierte Zeitung" prowadząc dział... krzyżówek i lekkich powieści. Jednocześnie wszakże ogłaszał w prasie fachowej cenne artykuły naukowe z zakresu chronologii asyryjskiej i sam wydawał międzynarodowe czasopismo naukowe poświęcone zagadnieniom asyriologii, które ukazując się w nakładzie zaledwie kilkuset egzemplarzy zaliczało do swych prenumeratorów tylko uniwersytety i uczonych. Dopiero w 1942 roku, gdy w

stolicy Trzeciej Rzeszy wskutek nieustannych nalotów alianckich bombowców wszelka praca naukowa stała się niemożliwa, objął profesurę na jednej z uczelni austriackich — ku niemałemu zdumieniu wszystkich członków redakcji „Berliner Illustrierte Zeitung", którzy przez dwadzieścia lat nawet nie podejrzewali, że mają w swym gronie wybitnego asyriologa.

Znaczenie książki Meissnera i wszystkich innych podobnych książek o dziejach Asyrii i Babilonii polegało więc przede wszystkim na tym, iż w ogóle mogły się ukazać. Spopularyzowane w nich wyniki badań naukowych stanowiły większy triumf nauki niż na przykład pierwsza chronologia egipska Lepsiusa. Podawały one sumę wiadomości nagromadzonych przez trzy generacje opętanych pasją odkrywczą badaczy. Ukazywały sukcesy nie jednego, lecz całej plejady archeologów, wyniki niezliczonych godzin ich pracy czy to w kancelarii konsulatu francuskiego w Mossulu, czy w izdebce getyńskiego nauczyciela, czy pod prażącym słońcem doliny Eufratu i Tygrysu, czy też w małej kabinie okrętowej, gdzie w świetle niespokojnie chybocącej się lampy angielski oficer mozolił się nad tajemnicą pisma klinowego.

Wynik żmudnych prac wykopaliskowych w Mezopotamii dlatego wybija się nad wszystkie inne triumfy archeologii, że nie było tu niemal żadnych widomych śladów minionej wielkości. Nie stały tu, jak na klasycznej ziemi Grecji i Włoch, świątynie ani posągi, nie wznosiły się ku niebu, jak w Egipcie, piramidy i obeliski, nie było, jak w lasach Jukatanu i Meksyku, kamieni ofiarnych opowiadających o hekatombach pomordowanych ofiar. W surowych twarzach Beduinów i Kurdów żaden rys nie nosił śladów wielkości dawnych pokoleń. Skarbnica ich żywych jeszcze podań i legend nie sięgała dalej niż do świetnych czasów Haru-na-al-Raszyda; wszystko, co było przedtem, spowijał mrok i ciemności. Żywe zaś jeszcze w czasach obecnych języki, którymi tu mówiono, nie naprowadzały na żaden ślad pobratymstwa z językami sprzed tysiącleci.

Triumf ten wreszcie dlatego jest tak wielki, że badacz nie miał tu — poza rozproszonymi wzgórzami mało pasującymi do nizinnego krajobrazu Międzyrzecza — żadnego innego punktu wyjścia, jak tylko parę słów Biblii i znajdowane tu i

ówdzie gliniane skorupy pokryte dziwnymi znakami klinowymi. Znaki te jednak uważano za ornamentalne ozdoby. Według słów jednego z wcześniejszych podróżników wyglądały one tak, „jak gdyby ptaki przeleciały nad mokrym piaskiem".

Rozdział dziewiętnasty

BOTTA ZNAJDUJE NINIWĘ

Aram-Nacharaim, Syria między rzekami — tak w Starym Testamencie nazywa się północna część doliny Eufratu i Tygrysu. To tu leżały miasta, które ściągnęły na siebie gniew boży. To tu, w Niniwie i w leżącym dalej na południe Babilonie, panowali groźni królowie, którzy mieli innych bogów obok NIEGO i dlatego zostali starci z oblicza ziemi.

Znamy ten kraj pod nazwą Mezopotamii. Dziś nazywa się Irakiem, a stolicą jego jest Bagdad. Na północy graniczy z Turcją, na zachodzie z Syrią i Jordanią, na południu z Arabią Saudyjską, na wschodzie z Iranem — dawniejszą Persją.

Obie rzeki, Eufrat i Tygrys, które z tego kraju, podobnie jak Nil z Egiptu, uczyniły kolebkę kultury, biorą swój początek w Turcji. Płynąc z północnego zachodu na południowy wschód łączą się niedaleko dzisiejszego miasta Basra i wpadają do Zatoki Perskiej (w starożytności wpadały do niej oddzielnymi korytami).

Asyria, dawny kraj Assur, rozpościerała się na północy, na pobrzeżu płynącego tu rwącym nurtem Tygrysu. Babilonia, dawny Sumero-Ak-kad, rozciągała się na południu między Eufratem i Tygrysem sięgając aż do wybrzeży zielonych wód Zatoki Perskiej. W pewnej encyklopedii z 1867 roku znajdujemy pod hasłem „Mezopotamia" opis kończący się następującymi słowami: „Okresem największego rozkwitu tego

kraju były czasy panowania asyryjskiego i babilońskiego. Pod panowaniem Arabów stał on się siedzibą kalifów i doszedł jeszcze raz do wielkiego rozkwitu. Dopiero z najazdami Seldżuków, Tatarów i Turków zaczął podupadać; dziś jest po części bezludną pustynią."

W tej to pustyni wznosiły się owe tajemnicze wzgórza o spłaszczonych wierzchołkach i stromych stokach, w wielu miejscach porysowane i popękane jak suszony owczy ser Beduinów. Wzgórza te do tego stopnia rozpaliły wyobraźnię kilku ludzi, że właśnie tu, w Mezopotami, archeologia jako nauka wykopaliskowa mogła święcić swe pierwsze wielkie triumfy.

Paul Emile Botta już w młodych latach odbywał podróże po dalekich krajach. W 1830 roku wstąpił jako lekarz na służbę Mechmeta Alego i uczestniczył w ekspedycji egipskiej do Sennaaru (właśnie wtedy zebrał wspomnianą już wyżej kolekcję owadów). Mianowany w 1833 roku konsulem francuskim w Aleksandrii, podejmuje podróż do Arabii i wydaje o niej pokaźną książkę. W 1840 roku został agentem konsularnym w Mossulu. A miasto to wszakże leży nad górnym Tygrysem... Co dnia o zachodzie słońca Botta uciekając od dusznego powietrza bazarów wyjeżdża konno za miasto. I co dnia wzrok jego zatrzymuje się na owych dziwnych wzgórzach.

Nie był pierwszym, którego zaintrygował ich widok. Przed nim już inni podróżnicy, jak Kinneir, Rieh, Ainsworth, przypuszczali, że kryją się pod nimi ruiny. (Najbardziej interesującą postacią wśród tych podróżników jest C. J. Rieh. Podobnie jak Champollion był cudownym dzieckiem. Już jako dziewięcioletni chłopiec zaczął studiować języki wschodnie. Mając lat czternaście studiował język chiński. W wieku dwudziestu czterech lat został konsultantem Kompanii Wschodnio-In-dyjskiej i odbywał podróże po całej Mezopotamii, które przysporzyły wielu cennych wiadomości ówczesnej nauce). Anglicy i Francuzi, znacznie częściej niż na przykład Rosja, Niemcy lub Włochy, dawali nauce i sztuce ludzi będących zarazem wytrawnymi światowcami, ludzi, którzy doskonale reprezentując swe kraje za granicą mieli w sobie żyłkę awanturniczą, a wszechstronne zainteresowanie dla znakomitych przejawów życia umysłowego umieli łączyć z głębokim zmysłem spraw politycznych.

(Przykładem tego są w czasach najnowszych Paul Claudel i Andrś Malraux we Francji lub pułkownik T. E. Lawrence w Anglii[1]).

Botta należał do rzędu tych ivdzi. Z zawodu był lekarzem. Interesował się naukami przyrodniczymi. Był dyplomatą i umiał wykorzystywać stosunki towarzyskie. Nie był tylko — archeologiem. Na jego przygotowanie do przyszłego zadania składała się jedynie znajomość języka tubylców, zdobyta w wielu podróżach umiejętność utrzymywania przyjaznych stosunków z wyznawcami Proroka i — rzecz nie mniej ważna — niespożyta pracowitość, której nie był w stanie złamać zabójczy klimat Jemenu i bagnistych żuław nilowych.

Z tym rynsztunkiem przystąpił do pracy. Spoglądając dziś retrospektywnie na jego działalność można z całą pewnością powiedzieć, że nie miał przed sobą żadnego określonego planu, nie wychodził z żadnej śmiało powziętej hipotezy. W gruncie rzeczy miał tylko jakąś bliżej nieokreśloną nadzieję z pewną domieszką ciekawości. Toteż w końcu sam nie mniej niż cały świat był zdumiony własnym sukcesem. Dzień w dzień po zamknięciu konsulatu z nieprawdopodobną wytrwałością badał okolice Mossulu. Odwiedzał dom po domu, wstępował do każdej chałupy, wszędzie stawiając te same stereotypowe pytania: „Czy macie jakieś starożytne przedmioty? Może stare garnki? Starą wazę? Skąd wzięliście cegły, z których zbudowana jest ta stajnia? Skąd pochodzą te gliniane skorupy z dziwnymi znakami klinowymi?”

Kupował wszystko, co mu się nadarzyło. Ale gdy zaklinał ludzi, aby mu wskazali miejsce, skąd pochodziły owe przedmioty, wzruszali tylko ramionami, mówiąc, że Allach jest wielki i z pewnością rozsiał je wszędzie. Niechaj więc sam się rozejrzy.

Gdy starania Botty, aby przez wypytywanie ludności ustalić miejsce rokujące szczególnie bogate znaleziska, spełzły na niczym, postanowił rozpocząć wykopaliska pod pierwszym lepszym wzgórzem. Wybór jego padł na wzgórze pod Kujundżykiem.

Wybór okazał się niefortunny, przynajmniej jeśli chodzi o Bottę i o pierwszy rok prac wykopaliskowych. Bo że właśnie to wzgórze kryło w sobie ruiny zamku Asurbanipala (którego Grecy nazywali Sardanapalem), odkryć to miał dopiero kto inny. On, Botta,

1 Niezwykle barwna postać brytyjskiego podróżnika i żołnierza, nie

kopał tu daremnie.

Wyobraźmy sobie, co to oznacza wytrwać w takiej bezowocnej pracy. Trzeba wczuć się w sytuację badacza, który nie mając żadnej wyraźnej wskazówki, wiedziony jedynie nieokreślonym przypuszczeniem, że wzgórza te kryją w sobie coś, co warte jest odkopania, kopał w nich dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, nie znajdując nic prócz paru poszczerbionych cegieł pokrytych znakami, których nikt nie umiał odczytać, lub oprócz kilku torsów rzeźb tak potrzaskanych, że całość była niepoznawalna albo wydawała się tak prymitywna, że nie mogła pobudzić niczyjej wyobraźni.

I tak przez okrągły rok.

Czyż można się dziwić, że po upływie tego roku Botta, zwiedziony już niejedną fałszywą informacją tubylców, ze zniecierpliwieniem odprawił gadatliwego Araba, gdy ten w kwiecistych słowach znów jął mu opowiadać o jakimś wzgórzu, gdzie pełno jest wszystkich tych przedmiotów, których on, Botta, poszukuje? Że chciał go nawet przepędzić ze swego obozu, gdy coraz natrętniej rozwodził się nad tym, iż pochodzi z odległej wsi, ale usłyszawszy o życzeniach Francuza, jako że lubi w ogóle „Franków", chce mu dopomóc. Botta szuka cegieł — mówi ów Arab — cegieł z napisami? W jego rodzinnej wsi, w Chorsabadzie, jest ich bez liku. Chyba musi to wiedzieć, skoro sam zbudował sobie piec z takich cegieł i skoro w jego wsi wszyscy od niepamiętnych czasów robili to samo.

Botta, nie mogąc się opędzić przed natarczywością tego człowieka, posłał z nim kilku swych ludzi do Chorsabadu, odległego od wzgórza Kujundżyk o szesnaście kilometrów. Dał im dokładne wskazówki, co mają robić. Bo w końcu nie można wiedzieć, a nuż?...

Chwila, w której Botta zdecydował się wysłać tę małą ekspedycję, uczyniła jego nazwisko nieśmiertelnym w dziejach archeologii. Nazwisko Araba jest dawno zapomniane i nikt o nie nie pyta.

Botta pozostał tym, który wydobył na światło dzienne pierwsze szczątki kultury, co kwitła przez dwa tysiąclecia i dalsze dwa tysiące lat spoczywała pogrzebana w czarnej

ziemi, pogrzebana w ludzkiej niepamięci.

W tydzień po wysłaniu przez Bottę tej małej grupki ludzi przybył z Chorsabadu wzburzony goniec. Ledwo zapuszczono rydel w ziemię — opowiadał — wynurzyły się z niej mury. Ledwo zaś z grubsza odczyszczono je z brudu, ukazały się napisy, obrazy, płaskorzeźby, jakieś straszne zwierzęta...

Botta skoczył na konia i popędził do Chorsabadu. W kilka godzin potem siedział przykucnięty w wykopanym dole i rysował fantastyczne postacie, brodatych mężczyzn, uskrzydlone zwierzęta — formy z jakiegoś zupełnie obcego świata wyobrażeń, postacie, jakich nie widział nawet w Egipcie i jakich nigdy jeszcze nie oglądało oko Europejczyka. W parę dni później sprowadził już wszystkich swych robotników z Kujundżyku. Wśród brzęku kilofów i szpadli zaczęły wyłaniać się mury, wciąż nowe mury i mury. Wreszcie nastąpiła chwila, kiedy Botta nie mógł już wątpić, że odkrył, jeżeli nie całą Niniwę, to w każdym razie jeden z najwspanialszych pałaców starożytnych królów asyryjskich. Tej pewności nie mógł dłużej zachować dla siebie. Musiał się z nią podzielić z całym światem. Wysyła wiadomość o odkryciu do Francji — do Paryża.

„Sądzę — pisze z dumą, a gazety pod wielkimi nagłówkami drukują jego słowa — że jestem pierwszym człowiekiem, który odkrył rzeźby pochodzące niewątpliwie z okresu, gdy kwitła Niniwa."

Odkrycie pierwszego pałacu asyryjskiego było nie tylko sensacją dziennikarską dla całej Europy. Było także nowiną pierwszorzędnej wagi dla nauki. Dotychczas przypuszczano powszechnie, że to Egipt był kolebką ludzkości. Nigdzie bowiem dzieje ludzkości nie sięgały czasów tak odległych jak w kraju piramid i mumii. O dolinie Eufratu i Tygrysu dotąd opowiadała tylko Biblia — dla nauki XIX wieku „zbiór legend i podań". Już więcej wagi przywiązywano do skąpych wzmianek antycznych pisarzy. Te zaś, choć nie były niewiarygodne, częstokroć sobie przeczyły i nie zgadzały się z danymi przytaczanymi przez Biblię.

Odkrycie Botty oznaczało zatem ni mniej, ni więcej tylko to, że w Międzyrzeczu faktycznie istniała kultura co najmniej równie stara jak kultura egipska, a być może —

jeżeliby teraz nadal dawać wiarę Biblii — nawet starsza od niej, że kwitła tu wśród wspaniałości i potęgi, dopóki ogniem i mieczem nie została starta z oblicza ziemi.

Fala entuzjazmu ogarnęła Francję. Mobilizowano na wielką skalę wszystkie środki, aby umożliwić Botcie kontynuowanie prac. Botta prowadził wykopaliska przez trzy lata, od 1843 do 1846 roku. Pracował wbrew klimatowi, wbrew porom roku, wbrew tubylcom, wbrew paszy, tureckiemu gubernatorowi, któremu podlegał ten kraj. Pasza zaś był groźnym despotą i wielkim chciwcem. Dla niestrudzonych poszukiwań Botty znajdował tylko jedno wytłumaczenie: widocznie szuka złota.

Zaczął mu więc odstręczać miejscowych robotników, groził im torturami i więzieniem, byle wpaść na ślad jego tajemnicy. Obstawił wzgórze chorsabadzkie kordonem strażników. Pisał raporty do Konstantynopola. Ale Botta był człowiekiem żelaznej wytrzymałości. Nie na próżno był też dyplomatą. Na intrygę odpowiadał intrygą. W końcu pasza oficjalnie dał mu spokój. Ale nieoficjalnie zakazał wszystkim tubylcom, pod groźbą najstraszliwszych kar, pomagać cudzoziemcowi, który kopiąc te rowy nie ma nic innego na celu, jak zbudować tu twierdzę i zagrozić wolności wszystkich ludów Mezopotamii.

Botta, niewzruszony, kontynuował wykopaliska.

Z ziemi, zbudowany na potężnych tarasach, wynurzał się pałac. Uczeni, którzy na pierwszą wieść o odkryciu Botty całą rzeszą pośpieszyli na miejsce wykopalisk, rozpoznali w nim wymieniony w proroctwach Izajasza pałac króla Sargona, letnią rezydencję królewską na krańcach Niniwy — coś w rodzaju Wersalu lub powiększonego do olbrzymich rozmiarów poczdamskiego Sanssouci. Pałac zbudowany był w 709 roku przed Chr., po zdobyciu Babilonu. Z gruzów jedne po drugich wynurzały się coraz to nowe mury, dziedzińce ze zdobnymi w bogate ornamenty portalami, wspaniałe sale, korytarze, komnaty, trójdziałowy harem i szczątki tarasowej wieży.

Bogactwo rzeźb i płaskorzeźb było oszałamiające. Raptem, zupełnie niespodzianie, tajemniczy lud Asyryjczyków wyłonił się z mroków czasu. Oto ich wizerunki, oto ich narzędzia i broń, oto jyidać ich wśród codziennych zajęć domowych, na wojnie, na

polowaniu.

Ale rzeźby wykonane w wielkiej części z łatwo niszczejącego alabastru, gdy nagle pozbawione zostały chroniącej warstwy gruzu, pod gorącym tchnieniem pustyni rozsypywały się w proch. Wysłany przez rząd francuski, przybył do Chorsabadu Eugene Napolśon Flandin, znany rysownik i podróżnik po Persji, który wydał już kilka albumowych dzieł o zabytkach starożytności. Stał on się dla Botty tym, czym Vivant Denon dla napoleońskiej Komisji Egipskiej. Z tą wszakże różnicą, że Denon przerysowywał *rzeczy,* które i nadal się zachowały, gdy tymczasem Flandin próbował ratować na papierze ginące na jego oczach znaleziska.

Botcie udało się pewną ilość rzeźb załadować na tratwy. Ale Tygrys, tutaj, w górnym biegu, rwąca jeszcze i nieposkromiona rzeka górska, nie chciał nieść na swym grzbiecie tego niezwykłego ładunku. Tratwy porwane wirem poczęły kręcić się w koło, straciły statyczność, przechyliły się i oto bogowie i królowie Asyrii, dopiero co wydarci mrokom wieków, pogrążyli się w odmęcie wód.

Nie zrażony tym Botta przedsięwziąwszy wszystkie środki ostrożności wysłał w dół rzeki nowy ładunek. Tym razem bezcenne znaleziska dopłynęły do portu morskiego. Załadowane na okręt, wylądowały wkrótce we Francji; w parę miesięcy później stały już w Luwrze.

Botta przystąpił teraz do opracowania wielkiego ilustrowanego dzieła o wykopaliskach w Chorsabadzie. Edycją zajęła się dziewięcioosobowa komisja uczonych. W skład jej wchodzili między innymi: Burnouf, niebawem jeden z najwybitniejszych francuskich archeologów (w dwadzieścia lat później Schliemann często cytować go będzie jako jednego ze swych „uczonych przyjaciół"), i pewien Anglik nazwiskiem Layard, którego sława niedługo potem zaćmiła sławę Botty. Layard już wtedy szedł jego śladami. Miał on stać się jednym z najszczęśliwszych archeologów, jacy kiedykolwiek zatknęli łopatę w gruz tysiącleci.

Jednakże Botta, pionier na ziemi asyryjskiej, nie poszedł w zapomnienie. Prawda, że jako pionier był w Asyrii tym samym, czym Belzoni w Egipcie — nie znającym hamulców *diggerem,* „kopaczem", poszukiwaczem zdobyczy dla Luwru. (Po nim

inny Francuz, Victor Place — znowu konsul — objął w Niniwie rolę „strażnika zabytków", jaką Mariet-te odegrał w Kairze.) Mimo to jego książka *Monuments de Ninive* dć-*couverts et dicrits par Botta, mesures et dessinis par Flandin* (Pomniki Niniwy, odkryte i opisane przez Bottę, wymierzone i przerysowane przez Flandina) należy do klasycznych dzieł archeologii. Wydana w latach 1849 i 1850, obejmuje pięć tomów; dwa pierwsze zawierają tablice architektury i rzeźby, tom trzeci i czwarty — zbiór inskrypcji, tom piąty wypełniają opisy.

Rozdział dwudziesty

ODCYFROWYWANIE PISMA KLINOWEGO

Do czyich rąk trafiła książka Botty? Kto doczytał do końca trzeci i czwarty jej tom? Dla kogo zrozumiałe były nagromadzone w nich inskrypcje?

Historia wszystkich wielkich osiągnięć naukowych dowodzi, że odkrycie i praktyczne jego spożytkowanie mogą w czasie być bardzo od siebie odległe.

Wówczas, gdy Botta obok rzeźb zbierał w Chorsabadzie także pokryte dziwnymi znakami klinowymi cegiełki i po sporządzeniu kopii wysyłał je do Paryża (sam nie mając żadnego pojęcia, jak należy czytać te znaki), w różnych punktach Europy i Bliskiego Wschodu badania nad pismem klinowym prowadziło wielu uczonych, którzy mieli już w ręku klucz do jego odszyfrowania.

Brzmi to wprost nieprawdopodobnie, a jednak już od lat mieli w ręku klucz do odczytania pisma używanego w państwie, o którym dopiero teraz dzięki Botcie po raz pierwszy uzyskali bogate materiały. Jeżeli liczyć od dnia ukazania się książki Botty, mieli go dokładnie od lat czterdziestu siedmiu. Aby posunąć się dalej w odcyfrowaniu

tego pisma, brakowało im jedynie nowych, coraz to nowych inskrypcji — innych, dokładniejszych, liczniejszych niż te, które mieli przed oczyma dotychczas. Najistotniejsze wszakże podstawy do odcyfrowania systemów pisma klinowego osiągnięto już wtedy, gdy jeszcze nie był odsłonięty ani jeden mur pałacu Sargona, a o Niniwie — gdzie Layard właśnie rozpoczynał wykopaliska — nie wiedziano nic ponad to, co opowiadała o niej Biblia. Teraz, po pionierskim czynie Botty, po dokonanych niebawem odkryciach La-yarda, po zdobyciu nowych wiadomości przez pewnego śmiałego Anglika, który niedaleko od miejsca ich wykopalisk opuścił się na linach i hakach ze szczytu prostopadłej skały jedynie po to, aby skopiować wykuty w niej napis klinowy, następowały jedne po drugich coraz to nowe wykopaliska i odkrycia. Odcyfrowywano coraz to nowe teksty, wprowadzano wciąż nowe udoskonalenia do metody ich odczytywania. Wszystko to, w połączeniu z wiadomościami czerpanymi z językoznawstwa i ogólnej znajomości historii archaicznych ludów, złożyło się w ciągu jednego dziesięciolecia na tak zwartą konstrukcję naukową, że w połowie ubiegłego wieku badacze byli już uzbrojeni we wszystkie niezbędne elementy wiedzy, aby móc niezwłocznie wziąć na warsztat wyniki każdego nowego odkrycia dokonanego łopatą archeologa.

Dla pierwszego jednak człowieka, który zrobił rozstrzygający krok na drodze do odcyfrowania pisma klinowego, bodźcem do tego czynu — trudno odnotować ten fakt bez uśmiechu na ustach — nie była bynajmniej ani ciekawość uczonego, ani pęd do odkryć naukowych. Był to Niemiec, rokujący piękne nadzieje młody człowiek w wieku dwudziestu siedmiu lat, w 1802 roku nauczyciel gimnazjum miejskiego w Getyndze. Za pomocą metody, która zasługuje po wsze czasy na miano genialnej, odcyfrował on pierwsze dziesięć liter jednego z rodzajów pisma klinowego — bo poszedł o zakład, że tego dokona!

O istnieniu tekstów pisanych pismem klinowym dowiedziano się już w XVII wieku, kiedy włoski podróżnik Piętro delia Valle przesłał pierwsze kopie napisów klinowych

do Europy. W 1693 roku Aston opublikował w *Philosophical Transactions* dwa wiersze znaków klinowych skopiowane przez niejakiego Flowera, agenta Kompanii Wschodnio-Indyj-skiej w Persji. Najbardziej rewelacyjne wiadomości nie tylko o pismach i zabytkach Azji Przedniej, ale i o jej krajach i zamieszkujących je ludach przywiózł Karsten Niebuhr, Hanowerczyk pozostający na służbie króla duńskiego Fryderyka V. W latach 1760 do 1767 wraz z gronem innych uczonych odbył on podróż po krajach Wschodu. Już w ciągu pierwszego roku wszyscy członkowie ekspedycji, z wyjątkiem Niebuhra, pomarli. Niebuhr, nieustraszony, sam jeden podróżował dalej, powrócił zdrów i cały i wydał swą *Reisebeschreibung von Arabien und anderen umliegenden Ländern* (Opis podróży po Arabii i innych krajach ościennych) — książkę, którą Napoleon stale miał przy sobie podczas swej wyprawy do Egiptu.

Te pierwsze kopie pisma klinowego, niepełne, zniekształcone, źle przerysowane (jeszcze w XVIII wieku słynny angielski orientalista Hyde twierdził, że chodzi tu o wykutą w kamieniu ornamentykę, ale przenigdy o pismo), które różnymi drogami okrężnymi dostały się do Europy, przeważnie nie pochodziły z dawnej Asyrii i Babilonii w ściśle geograficznym znaczeniu tego określenia. Niemal wszystkie bez wyjątku znalezione zostały w olbrzymich rumowiskach o siedem mil na północny wschód od Szirazu, które już Niebuhr słusznie uważał za szczątki dawnego Persepolis.

Rumowiska te należą do kultury późniejszej od tej, którą w latach czterdziestych ubiegłego stulecia Botta swym rydlem znowu przywołał do życia. Są to szczątki rezydencji Dariusza i Kserksesa, ruiny olbrzymiego pałacu, który Aleksander Wielki zburzył — według Diodora — „podczas pijackiej biesiady, w stanie zamroczenia". O tej samej libacji opowiada także Kleitarch, dodając jednak, że tancerka ateńska Tais w szale tańca porwała z ołtarza płonącą głownię i rzuciła ją między drewniane kolumny pałacu, a pijany Aleksander wraz ze swymi towarzyszami poszedł za jej przykładem. (Droysen w swej *Geschichte des Hellenismus* mówi o tych relacjach, że „z niepospolitym talentem, lecz kosztem historii, tworzono tu historyjki".) Pałac w

Persepolis służył jeszcze za siedzibę średniowiecznym książętom islamu. Później już tylko owce pasły się wśród jego ruin. Pierwsi podróżnicy „szabrowali" rozsiane tu zabytki; nie ma chyba na świecie ani jednego wielkiego muzeum, które nie mogłoby się poszczycić posiadaniem fragmentów jakiejś płaskorzeźby z Persepolis. Flandin i Coste rysowali te ruiny, Andreas zaś i Stolze sfotografowali je juz w 1882 roku. Podobnie jak rzymskie Koloseum, tak i ruiny pałacu Dariusza służyły potem za kamieniołomy. W ubiegłym stuleciu można było obserwować, jak z każdym dziesiątkiem lat ulegały dalszemu zniszczeniu. W latach 1931 do 1934 Ernst Herzfeld na polecenie Oriental Institute uniwersytetu w Chicago zainicjował tu pierwsze systematyczne badania, a zarazem i pierwsze skuteczne środki mające na celu zachowanie ocalałych szczątków.

Na ziemiach tych dawne kultury leżą na sobie warstwami jak nigdzie indziej. Można sobie na przykład wyobrazić następującą scenę. Oto jakiś Arab przynosi archeologowi do jego pracowni w Bagdadzie kilka glinianych tabliczek pokrytych pismem klinowym. Na tych tabliczkach, pochodzących być może z Behistunu, mowa jest o Dariuszu, królu Persów. Archeolog, mając zawsze pod ręką swego Herodota, znajduje u niego, a także u nowszych badaczy, potwierdzenie, że Dariusz około 500 roku przed Chr. stał u szczytu swej potęgi i ze państwo jego stało się suzerenem olbrzymiego imperium. Badając napisy na innych cegiełkach nasz archeolog znajduje wzmianki wskazujące na dawniejsze dynastie, na wojny, spustoszenia, mordy. Znajduje na przykład wzmiankę o Hammurabim, a więc o innym olbrzymim państwie, które okres swego rozkwitu przeżywało około 1700 roku przed Chr., lub o królu Sanherybie, czyli o trzecim olbrzymim imperium, które istniało tu na przełomie VIII i VII stulecia przed Chr. Aby jednak i na tym nie urwał się łańcuch relacji o owych olbrzymich imperiach, wystarczy, jeżeli nasz archeolog wyjdzie za swym Arabem na ulicę. Zobaczy wtedy, jak ten na najbliższym rogu przykucnie wśród kręgu zebranych tu ludzi, jak cały zamieniony w słuch zawiśnie na ustach ulicznego bajarza opowiadającego monotonnie śpiewnym głosem i z potęgującymi efekt pauzami o Harun-al-Raszydzie, wspaniałym kalifie, który około 800 roku po Chr. — a więc wtedy, gdy na zachodzie

Europy panował już Karol Wielki — stał u szczytu potęgi, a sława jego mądrości rozchodziła się szeroko po świecie.

Jeżeli dodamy do tego nasze najnowsze wiadomości o dziejach Mezopotamii, to okaże się, że między dzisiejszym Damaszkiem a Szirazem kwitło sześć wielkich centrów kulturowych, z których każde promieniowało na rozległe obszary i wywarło ogromny wpływ na świat starożytny. Okaże się dalej, że te kultury, ściśnięte na tak wąskim obszarze, wzajem się zazębiając i wzajemnie zapładniając, ale zarazem od siebie niezależne, wypełniły burzliwą treścią pięć tysiącleci historii — pięć tysiącleci częstokroć strasznych, ale często też wzniosłych dziejów ludzkości. Wobec tego bogactwa dziejów ludzkich, przed którym stanął archeolog w dolinie Eufratu i Tygrysu, dziewięć warstw kulturowych, na które natknął się Schliemann odkopując Troję, było zaprawdę prostym problemem. Zawierały one tylko jedną warstwę kulturową o prawdziwie wielkim znaczeniu historycznym. W Mezopotamii warstw kulturowych bez znaczenia wprost niepodobna zliczyć. Dość powiedzieć, że jedno tylko miasto z okresu akkadyjskiego, z trzeciego tysiąclecia przed Chr., wznosiło się już na pięciu warstwach takiego gruzu kulturowego — w okresie gdy Babilon jeszcze się nie narodził.

Że w tak olbrzymich okresach dziejów wraz z wszystkim innym zmieniały się nie tylko języki, lecz także pisma, jest rzeczą samo przez się zrozumiałą. Tak jak jedne hieroglify nie były identyczne z innymi, tak i jedno pismo klinowe nie było tym samym, co inne. Cegiełki z tekstami klinowymi wysłane przez Bottę do Paryża wyglądały zupełnie inaczej niż teksty przywiezione przez Niebuhra z Persepolis. Jednakże właśnie te teksty z Persepolis, te tabliczki sprzed dwu i pół tysiąca lat (i dlatego we wszystkich pierwszych publikacjach o odcyfrowaniu pisma klinowego nigdy nie ma mowy o napisach asyryjskich lub babilońskich, lecz zawsze tylko o persepolitańskich) stały się kluczem do odszyfrowania wszystkich innych tekstów pisma klinowego, które teraz wynurzały się z gruzów w dolinie Eufratu i Tygrysu.

Odcyfrowanie pisma klinowego było dziełem genialnym. Pozostanie ono jednym z najwyższych osiągnięć mózgu człowieka, godnym stanąć obok największych naukowych i technicznych konstrukcji myślowych ludzkiego umysłu.

9 czerwca 1775 roku w niemieckim mieście Münden urodził się Georg Friedrich Grotefend. Po odbyciu szkół najpierw w mieście rodzinnym, potem w Ilfeld, studiował filologię w Getyndze, gdzie w 1797 roku został zastępcą nauczyciela w miejscowym gimnazjum. W 1803 roku jest prorektorem, potem zaś konrektorem gimnazjum we Frankfurcie nad Menem. W 1817 roku założył stowarzyszenie uczonych dla badań języka niemieckiego. W 1821 roku zostaje dyrektorem liceum w Hanowerze. W 1849 roku — rzecz zwykła w życiu urzędnika — przechodzi na emeryturę. Zmarł 15 grudnia 1853 roku.

Mając dwadzieścia siedem lat człowiek ten, którego całe życie, nacechowane wyjątkową prawością, wolne było od wszelkiej ekstrawagancji lub jakiegokolwiek wybryku, pewnego razu przy którejś tam kolejce piwa powziął raptem myśl, żeby pójść z kolegami o absurdalny wprost zakład, iż znajdzie klucz do odszyfrowania pisma klinowego. Wszystko, czym wtedy dysponował, ograniczało się do kilku kiepskich kopii napisów z Persepolis. Z młodzieńczą beztroską zabrał się do rozwiązania problemu. I właśnie jemu udało się dokonać tego, co najwybitniejsi uczeni owych czasów uważali za rzecz niemożliwą. W 1802 roku przedstawił Akademii Nauk w Getyndze pierwsze wyniki swych badań. Jego liczne późniejsze prace filologiczne dziś są już od dawna pozbawione znaczenia i zapomniane. Ale jedna jego praca pozostanie na zawsze pracą epokową: *Beiträge zur Erläuterung der persepolitanischen Keilschrift* (Przyczynki do objaśnienia pisma klinowego z Persepolis).

Przystępując do swego zadania Grotefend mógł oprzeć się na następujących pracach wstępnych, których przed nim dokonali już inni badacze:

Inskrypcje w Persepolis wykazywały bardzo różnorodny charakter. Na kilku tabliczkach widoczne były trzy różne rodzaje pisma w trzech wyraźnie odgraniczonych od siebie kolumnach. Uczonym znane były, przede wszystkim z pism

antycznych autorów greckich, dzieje dawnych Persów, władców z Persepolis; jako młody humanista znał je także Grotefend. Wiedział, że około 540 roku przed Chr. Cyrus pobił na głowę Babilończyków, że stworzywszy pierwsze wielkie imperium perskie przypieczętował na zawsze los Babilonii. Z faktu tego narzucał się wniosek, że co najmniej jeden z trzech napisów musiał być napisem w języku zaborców. Dalej, kierując się ogólnym wyczuciem, które rzeczy najważniejszej zawsze dopatruje się w miejscu centralnym, przypuszczano, że tym tekstem w języku staroperskim według wszelkiego prawdopodobieństwa jest kolumna środkowa. Poza tym badacze tych inskrypcji już przedtem zauważyli, że niezwykle często powtarza się w tych napisach pewna grupa znaków i pewien pojedynczy znak. Przypuszczano, że ta grupa znaków oznacza być może słowo „król"; znajomość innych zabytków starożytnych nasuwała tego rodzaju wniosek. Pojedynczy zaś znak — przebiegającą z lewa na prawo ukośną kreskę klinową — uważano za znak rozdzielczy.

To było wszystko — dla odcyfrowania pisma klinowego naprawdę bardzo niewiele. Tym bardziej że te skąpe hipotezy nawet nie dawały pewności, jak należy czytać inskrypcje, nie wyjaśniały, gdzie była górna, a gdzie dolna ich strona, nie mówiąc już o tym, że nie dawały odpowiedzi na pytanie, czy należy czytać to pismo z prawa na lewo, czy z lewa na prawo.

Grotefend, od najmłodszych lat przywykły do gruntowności, zabrał się do zbadania sprawy jeszcze raz od samego początku.

Champollion, który w dwadzieścia lat później odcyfrował hieroglify, stał — jeżeli uwzględnić istniejące ku temu warunki — przed nierównie mniej skomplikowanym problemem. Grotefend nie miał trójjęzycznego kamienia z Rosetty, który Champollionowi dawał wyraźny przekład. Nie znał ani jednego z figurujących tu obok siebie trzech różnych języków i pism. Nie pozostawało mu więc nic innego, jak rozpocząć od próby ścisłego opisu.

Najpierw uzasadnił tezę, że znaki klinowe są pismem, a nie ornamentyką. Potem na podstawie konkretnego braku jakichkolwiek zaokrągleń stwierdził, że nie nadają się do „pisania", lecz mogą jedynie być wyciskane rylcem w trwałym materiale.

(Wtrąćmy tu nawiasem, że jak obecnie wiemy, ten dla naszych pojęć tak uciążliwy proceder aż do czasów Aleksandra Wielkiego najzupełniej wystarczał do załatwiania wszelkich spraw związanych z życiem politycznym i gospodarczym Mezopotamii i starożytnej Persji. Tak na przykład pisarze jakiegoś magazynu, zamiast zakładać do maszyny do pisania — jak uczynilibyśmy to dziś — drukowane formularze firmowe z kalką i przebitką, brali świeżo przygotowane, jeszcze miękkie tabliczki gliniane, wyciskali w nich rylcem spis dostarczonych materiałów i jedną taką tabliczkę zachowywali dla siebie, drugą zaś wręczali dostawcy; obie cegiełki szybko wypalano w piecu, gdzie tak twardniały, że przetrwały potem wszelkie rodzaje dokumentów papierowych i jeszcze po trzech tysiącach lat informują nas o sprawach ówczesnych.)

Następnie Grotefend dowiódł, że chociaż znaki klinowe ostrzem swym zwrócone były w czterech kierunkach, to jednak zasadniczy kierunek pisma zawsze przebiegał od góry do dołu lub od lewa na prawo. Kąty utworzone przez dwa połączone kliny zawsze rozwierają się w prawo. Z tych na pozór tak prostych stwierdzeń wyciągnął Grotefend pierwszy wniosek, jak należy patrzeć na napisy: „Trzymać należy je tak, aby ostrza klinów pionowych zwrócone były w dół, ostrza zaś klinów poziomych w prawo i aby kąty także rozwierały się na prawo. Trzymając się tej zasady przekonamy się, że żadne pismo klinowe nie jest pisane w kierunku perpendykularnym, lecz zawsze w kierunku horyzontalnym i że figury umieszczone obok znaków pisarskich na gemmach i walcach nie stanowią podstawy do określenia kierunku pisma.” Jednocześnie wyciągnął z tego wniosek, że pismo klinowe czytać należy z lewa na prawo — co tylko nam, ludziom cywilizacji zachodniej, wydaje się rzeczą naturalną.

Wszystko to jednak nie posuwało naprzód sprawy odcyfrowania samego pisma.

Grotefend stał teraz przed rozstrzygającym krokiem. To, że zrobił ten krok, świadczy o jego geniuszu.

Być genialnym znaczy to między innymi mieć zdolność widzenia rzeczy skomplikowanych w ich formie najprostszej, zdolność rozpoznania zasady, na której opiera się jakaś konstrukcja. Prawdziwie genialny pomysł Grotefenda, który zadecydował o powodzeniu jego badań, był zdumiewająco prosty.

Trudno przypuścić — powiedział sobie — by pewne uświęcone tradycją zwyczaje związane z napisami na pomnikach (kopie pisma klinowego, które miał przed sobą, były właśnie kopiami inskrypcji pomnikowych) miały ulec jakiejś raptownej zmianie. W jego własnej ojczyźnie napis: „Niechaj spoczywa w pokoju", powtarzający się regularnie na nagrobkach dziadów i pradziadów, będzie przypuszczalnie powtarzał się na grobach wnuków i prawnuków. Dlaczegóż więc stale powracające pierwsze słowa na pomnikach nowoperskich nie miałyby się także znajdować na pomnikach staroperskich, oczywiście pod warunkiem słuszności samego założenia, iż jedna z kolumn zawiera tekst w języku staroperskim? Innymi słowy, dlaczegóż by inskrypcje w Persepolis nie miały się zaczynać tak samo, jak wszystkie znane mu nowsze inskrypcje:

„X — wielki król — król królów — król (krajów) A i B — syn Y — wielkiego króla — króla królów...",

czyli rozpoczynać się od stereotypowego wyliczenia genealogii dynastycznej? Myśl ta była genialnym rozwinięciem hipotezy, według której jedna z często występujących grup znaków klinowych oznaczać miała słowo „król". Ten wątek rozumowania otwierał znacznie szersze niż dotąd możliwości, pozwalał bowiem od razu wyciągnąć następujące wnioski: jeżeli hipoteza była słuszna — słuszna w dosłownym znaczeniu tego wyrazu — to pierwsze słowo musiało być imieniem króla, potem następować musiał ukośny klin jako znak rozdzielczy, następnie zaś dwa dalsze słowa, z których jedno znowu oznaczać musiało „król". W pierwszej więc części napisu to słowo „król" musiało powtarzać się często! Możemy tu tylko oddać samą zasadę dalszego, bardzo zawiłego rozumowania Grotefenda. Nie trzeba mieć szczególnie bujnej wyobraźni, aby przedstawić sobie uczucie triumfu, jakie przypuszczalnie opanowało młodego badacza, skromnego nauczyciela gimnazjalnego, gdy w zatopionej w dociekaniach naukowych Getyndze, odległy o tysiące kilometrów od miejsca, gdzie znajdowały się oryginały tych inskrypcji, i w trzy tysiące lat od chwili, gdy zostały

napisane — stwierdził, że jego hipotezy są słuszne. Słuszne? Nie, słowo to jest zbyt pochopne. Znalazł wprawdzie w inskrypcji powtarzającą się parokrotnie kolejność, którą sobie „wyliczył", i często powtarzający się zespół znaków, który według jego domniemania oznaczać musiał słowo „król". Ale czy znajdzie się ktoś, kto uzna to za wystarczający dowód? I co w gruncie rzeczy dało to odkrycie?

Sprawdził raz jeszcze osiągnięte dotąd wyniki. I tu odkrył rzecz następującą: na wszystkich niemal tabliczkach, które miał do dyspozycji, znajdował tylko dwa różne warianty pierwszych grup znaków klinowych. Ile razy porównywał tekst, wciąż natrafiał na te same dwie grupy, te same dwa początkowe słowa, które według jego teorii musiały oznaczać imię jakiegoś króla. Co więcej, znalazł i takie inskrypcje, które zawierały jednocześnie oba warianty, czyli obydwa imiona królów!

Grotefend był tym zupełnie oszołomiony. Idąc dalej za wątkiem jego teorii mogło to wszak mieć tylko jedno znaczenie, a mianowicie, że wszystkie pomniki i grobowce, z których pochodziły leżące przed nim kopie inskrypcji klinowych, dotyczyły tylko dwóch królów. Skoro zaś na niektórych tabliczkach wymienieni oni byli obok siebie, to czyż nie było więcej niż prawdopodobne, że chodziło tu o ojca i syna?

Tam gdzie te imiona pojawiają się oddzielnie, po jednym z nich następowała grupa znaków o domniemanym znaczeniu „król", natomiast po drugim imieniu słowo to nie figurowało. Z tego, zgodnie z teorią Grotefenda, wynikałby następujący schemat: „X — król — syn Z — Y — król — syn X — króla..."

Nie wolno zapominać, że dotąd wszystkie rozważania Grotefenda były hipotezą — hipotezą opartą jedynie na częstotliwości kilku znaków, na stałym ich powtarzaniu się i na ich kolejności. Można sobie łatwo wyobrazić, jakie ogarnęło go gorączkowe podniecenie, gdy przy ponownym sprawdzeniu tej ostatniej, podanej wyżej kolejności, nagle jasno i wyraźnie ujrzał przed sobą drogę prowadzącą do faktycznego, nieodpartego udowodnienia swej teorii. Zachęcamy uważnego czytelnika — czyż nie żyjemy w stuleciu lubującym się w zgadywankach i wszelkich rodzajach sportu umysłowego? — aby, nim czytać będzie dalej, sam również sprawdził ten ostatni schemat. Co w nim rzuca się w oczy?

Trudno przeoczyć szczegół prowadzący do rozwiązania zagadki. Jest nim pewna luka mająca decydujące znaczenie dla następnego kroku. Ściślej — brak jednego słowa. Jeszcze ściślej — brak słowa „król" po imieniu, które w przytoczonym wyżej schemacie oznaczone jest literą „*Z*".

Jeżeli bowiem schemat ten istotnie odpowiadał rzeczywistości historycznej, to określał on pewne następstwo dynastyczne — dziadka, ojca i syna, gdzie ojciec i syn byli królami, natomiast dziadek nim nie był.

Grotefend mógł odetchnąć z uczuciem ulgi: jeżeli badając znamy obecnie poczet królów perskich — mówił sobie — uda mi się odnaleźć taką jak wyżej opisana grupę trzech pokoleń dynastycznych, to słuszność mej teorii jest udowodniona — rozwiązałem zagadkę pierwszych słów pisma klinowego!

Czas udzielić głosu Grotefendowi. Niechaj sam opowie o tej decydującej fazie próby odcyfrowania pisma klinowego:

„Byłem mocno przekonany, że szukać należy dwóch królów z dynastii Achemenidów. Uważałem, że starożytni historycy greccy, szczegółowo opowiadający o współczesnych im wydarzeniach, są źródłem najbardziej wiarygodnym. *Zacząłem* tedy przeglądać listę tych królów sprawdzając, które imiona najbardziej dają się przystosować do znaków klinowych w inskrypcjach. Nie mogły to być imiona Cyrusa (Kyrosa) i Kambizesa, gdyż dwa imiona powtarzające się w inskrypcjach nie miały jednakowej litery początkowej. Nie mógł to w ogóle być ani żaden Cyrus, ani Artakserkses, w zestawieniu bowiem z zespołami znaków pierwsze imię było za krótkie, drugie natomiast za długie. Pozostały mi więc tylko imiona Dariusza i Kserksesa. Dawały się one tak łatwo dopasować do grup znaków klinowych, że nie mogłem mieć żadnej wątpliwości, iz o nich właśnie chodzi. W dodatku inskrypcja dotycząca syna wymieniała także tytuł królewski ojca, natomiast przy drugim imieniu następującym po imieniu ojca brak było tego tytułu. Spostrzeżenie to potwierdzały wszystkie napisy z Persepolis we wszystkich rodzajach pisma."

Dowód zatem był przeprowadzony. Nie tylko Grotefend, który wierzył w swą teorię, ale i każdy bezstronny krytyk musiał uznać nieodpartą siłę przekonywającą

stworzonego tu łańcucha logicznego.

Pozostał do zrobienia jeszcze jeden, ostatni krok. Dotychczas Grotefend wychodził z greckiej pisowni imion królewskich przekazanych głównie przez Herodota. Biorąc za punkt wyjścia znane mu imię dziadka (Hystaspesa) pisze dalej:

„Ponieważ właściwe odczytanie imion musiało mi umożliwić poznanie dwunastu liter, w tym prócz jednej właśnie wszystkich liter tytułu królewskiego, więc chodziło teraz o to, aby imionom tym, znanym tylko w brzmieniu greckim, nadać brzmienie perskie i przez prawidłowe określenie wartości dźwiękowej każdej litery odcyfrować tytuł królewski i w ten sposób odgadnąć język, w którym pisane były te inskrypcje. Otóż z ksiąg Zendawesty (zbiorowa nazwa świętych ksiąg Persów) wyczytałem, ze imię Hystaspesa po persku brzmiało Goszap, Kistap, Gustasp lub Wisztaspa, co dało mi pierwszych siedem liter w imieniu Hystaspesa wymienionym w inskrypcji Dariusza; ostatnie trzy litery rozpoznałem już przedtem przez zestawienie wszystkich tytułów królewskich."

Odtąd uzupełniano, udoskonalano odkrycie Grotefenda. Minęło, rzecz szczególna, ponad trzydzieści lat, zanim zdołano dokonać dalszych decydujących odkryć. Łączą się one z nazwiskiem Francuza Emila Bur-noufa i Norwega Christiana Lassena; i jeden, i drugi ogłosili wyniki swych badań w 1836 roku.

Jedno w tym wszystkim jest zastanawiające. Nazwisko Champolliona, który odcyfrował hieroglify, znane jest szerokiemu ogółowi. Natomiast mało kto zna dziś nazwisko Grotefenda. Nie uczą go w szkołach, a nawet niektóre dzisiejsze encyklopedie bądź wcale go nie wymieniają, bądź poprzestają na krótkich wzmiankach w źródłach bibliograficznych. A przecież jemu, i tylko jemu, należy się prawo pierwszeństwa w dokonaniu tego rozstrzygającego odkrycia, dzięki któremu można było dopiero poznać wartość historyczną wspaniałych wykopalisk w dolinie Tygrysu i Eufratu.

Powiedzieliśmy: prawo pierwszeństwa, gdyż jak wiele innych odkryć i wynalazków ludzkiego umysłu, tak i odcyfrowanie pisma klinowego było dziełem dokonanym kolejno przez dwóch różnych odkrywców. Pismo klinowe zupełnie niezależnie od

Grotefenda odcyfrował pewien Anglik. Przy tym, rzecz dziwna, dokonał tego nie tylko później od Grotefenda, lecz również później niż Burnouf i Lassen, którzy uzupełnili dzieło Grotefenda.

Pierwsze istotne wyniki swych badań ów Anglik ogłosił dopiero w 1846 roku. Dane mu jednak było przekroczyć w znacznej mierze wszystkie odkrycia swoich poprzedników. Zdołał on wiadomości o piśmie klinowym przenieść z pracowni uczonych na teren uniwersytetów, z przedmiotu badań uczynić przedmiot nauczania. Tym samym umożliwione zostało spożytkowanie ich przez wielu badaczy, którzy stopniowo w coraz większej liczbie potrzebni byli do opracowywania odkopywanych w coraz większej ilości materiałów inskrypcyjnych. Pewnego dnia bowiem znaleziono całą bibliotekę składającą się z takich glinanych tabliczek (odkrycie tej biblioteki to osobna historia, o której później jeszcze będzie mowa). Ażeby zdać sobie sprawę z ogromnego bogactwa tekstów klinowych, ukrytych w ziemi Mezopotamii, wystarczy powiedzieć, że do dziś dnia nde odcyfrowano i nie opublikowano wszystkich tabliczek z pismem klinowym, które jedna tylko ekspedycja naukowa V. Hilprechta, Amerykanina niemieckiego pochodzenia, odkryła w Nippurze od 1888 do 1900 roku.

Rozdział dwudziesty pierwszy

POCZWÓRNA PRÓBA

W 1837 roku angielski major Henri Creswicke Rawlinson, który przez pewien czas służył w armii perskiej, opuścił się na linach i hakach ze szczytu wysokiej skały pod Behistunem w Persji wyłącznie tylko w celu skopiowania wykutego w tej skale napisu.

Anglik ten jest obok Botty drugim asyriologiem, który z zamiłowaniem do tej nauki umiał łączyć życie polityka i światowca.

Życie Rawlinsona było w tej samej mierze awanturnicze, w jakiej życie Grotefenda było urzędnicze. Jego zainteresowanie się starożytną Persją zrodziło się z przypadkowego spotkania. Mając lat siedemnaście był aspirantem oficerskim na statku, który płynąc dookoła przylądka Horn znajdował się w drodze do Indii. Aby w tej wielomiesięcznej podróży skrócić pasażerom dłużący się czas, wydawał gazetkę pokładową. Jednym z pasażerów był sir John Malcolm, gubernator Bombaju i wybitny orien-talista. Polubił on rozgarniętego siedemnastoletniego redaktora. Prowa-dzili godzinami rozmowy, których tematem, rzecz jasna, były sprawy interesujące sir Johna Malcolma — historia Persji, język perski, perska literatura. Rozmowy te wywarły decydujący wpływ na zainteresowania Rawlinsona, którym pozostał wiemy do końca życia, nawet i wtedy, gdy w latach już znacznie późniejszych absorbowały go odpowiedzialne zadania polityczne.

Urodzony w 1810 roku, wstąpił w 1826 roku na służbę w oddziałach wojskowych Kompanii Wschodnio-Indyjskiej. W 1833 roku stacjonował jako major w Persji. W 1839 roku widzimy go w Kandaharze jako agenta politycznego Anglii w Afganistanie. W 1843 roku zostaje konsulem w Bagdadzie, w 1851 roku — konsulem generalnym z jednoczesnym awansem na podpułkownika. W 1856 roku powraca do Anglii, zostaje wybrany do parlamentu i do rady Kompanii Wschodnio-Indyjskiej. W 1859 roku mianowany zostaje posłem brytyjskim przy dworze perskim w Teheranie, w latach 1865 do 1868 zasiada znowu w parlamencie.

Gdy zaczął się zajmować pismem klinowym, za punkt wyjścia służyły mu te same tabliczki, którymi jako podstawą do swych badań posługiwał się przed nim Burnouf. I

oto następuje rzecz zdumiewająca: Rawlinson, nie wiedząc nic o pracach Grotefenda, Burnoufa i Lassena, odcyfrowuje podobną metodą jak Grotefend najpierw imiona tych samych trzech królów perskich: Darajawahusz (staroperska pisownia imienia Dariusza), Kserksesa (Kszajarszy) i Hystaspesa (Wisztaspy), ponadto zaś jeszcze cztery inne imiona oraz kilka słów samego tekstu, choć sposobu ich odczytania nie uważa jeszcze za pewny. Gdy wreszcie w 1836 roku po raz pierwszy zapoznaje się z publikacjami Grotefenda i porównuje swój alfabet staroperski z alfabetem skromnego getyngeńskiego nauczyciela, stwierdza, że znacznie przewyższył jego wyniki.

Teraz brakowało mu tylko jednego: nowych inskrypcji, a na nich imion, imion i jeszcze raz imion.

W świętej od prastarych czasów „boskiej krainie" Bagistanu, rozpościerającej się po obu stronach starożytnego traktu handlowego wiodącego z Hamadanu przez Kermanszah do Babilonu, stoi wysoka, skalista góra o dwóch wierzchołkach. Tu okrągło dwa tysiące pięćset lat temu król perski Dariusz (Darajawahusz, Dorejawasz, Dara, Darab, Darejos — to tylko różne pisownie i brzmienia tego samego imienia) kazał na urwistej ścianie skalnej, na wysokości pięćdziesięciu metrów nad równiną, przymocować płaskorzeźbę i wykuć napisy sławiące jego osobę, jego czyny i zwycięstwa.

Na kamiennym pomoście, odstając od skalnej ściany widnieje tu płaskorzeźba, a w niej wypukłe, wyrzeźbione postacie. Wysoko skrząc się w powietrzu, niedostępny dla świętokradczej dłoni, stoi król królów, wsparty o łuk, trzymając prawą nogę na powalonym magu Gaumacie, który usiłował mu odebrać tron i królestwo. Za królem stoją dwaj perscy wielmoże, każdy z łukiem, kołczanem i oszczepem. Przed nim, ze skrępowanymi rękami, związani ze sobą postronkiem zarzuconym na szyje — dziewięciu samozwańców, pokonanych i ukaranych „królów kłamstwa". Po obu bokach i poniżej rzeźby widnieją w czternastu kolumnach napisy opowiadające o królu Dariuszu i jego czynach. Pisane są w trzech różnych językach, które już Grotefend odróżnił na tabliczkach w Persepolis, nie umiejąc ich jednak określić: staroperskim, elamskim i babilońskim. Wykuto je w skale w piśmie klinowym z

myślą o tym, by trwały tu wiecznie:

Oto co wieści król Darajawahusz:
Ty, co w przyszłych latach
zobaczysz ten napis,
który wykuć kazałem w skale,
co zobaczysz te ludzkie postacie —
nie niszcz i nie burz niczego!
Póki nosisz w sobie nasienie,
dbaj, by ich nikt nie uszkodził!
Poczwórna próba

Rawlinson, dwudziestosześcioletni żołnierz i sportowiec, nie uląkł się owych pięćdziesięciu metrów dzielących napis od równiny. Zawieszony na tej zawrotnej wysokości z narażeniem życia, mogąc w każdej chwili runąć w przepaść, skopiował staroperską kolumnę napisu. O dotarcie do tekstu babilońskiego pokusił się dopiero w parę lat później. Potrzebne były do tego olbrzymie drabiny, liny i potężne haki, w miejscowych warunkach trudne do zdobycia. Ale w 1846 roku przedłożył Królewskiemu Towarzystwu Azjatyckiemu w Londynie nie tylko pierwszą dokładną kopię tego słynnego napisu, lecz zarazem pełny jego przekład. Był to pierwszy wielki, dla wszystkich widoczny i dla wszystkich dostępny triumf badań nad odcyfrowaniem pisma klinowego.

W Europie jednak uczeni tymczasem nie próżnowali. Zwłaszcza Oppert, Francuz niemieckiego pochodzenia, i Irlandczyk Hincks posunęli się o dalszy krok naprzód. W porównawczych badaniach dokonano cudów przenikliwości. Dokonała ich zwłaszcza lingwistyka porównawcza posługując się coraz dokładniejszą znajomością języka zend i sanskrytu, przede wszystkim zaś wszystkich języków indoeuropejskich, aby zgłębić język staroperski również pod względem gramatycznym. Dzięki tym wspólnym wysiłkom wszystkich uczonych udało się, w prawdziwie międzynarodowej

wspólnocie pracy, ustalić około sześćdziesięciu znaków staroperskiego pisma klinowego.

Tymczasem jednak Rawlinson i inni uczeni podjęli już badania nad pozostałymi kolumnami napisu behistuńskiego, który rozmiarami swymi przewyższał wszystkie zebrane dotąd materiały. I oto Rawlinson dokonał odkrycia, które za jednym zamachem zachwiało, niemal przekreśliło wszelką nadzieję na dalsze odcyfrowanie tekstów klinowych, zwłaszcza tekstów odkopanych ostatnio przez Bottę.

Wiemy już, że zarówno w inskrypcjach z Persepolis, jak w napisie behistuńskim można było rozpoznać trzy różne języki. Grotefend z niezawodną pewnością rozpoczął pracę nad odszyfrowaniem pisma klinowego tam, gdzie nastręczało ono stosunkowo najmniej trudności i gdzie ponadto mniejsza odległość w czasie umożliwiała przeprowadzenie pewnych porównań z bardziej znanymi grupami językowymi: od kolumny środkowej, którą już przed nim nazwano I klasą pisma klinowego.

Teraz jednak, ledwo przezwyciężono trudności odszyfrowania tej I klasy pisma klinowego, zaczęto już zajmować się dwiema pozostałymi klasami. Ostateczne utorowanie do odcyfrowania II klasy pozostanie zasługą Duńczyka Westergaarda; pierwsza praca o osiągniętych przez niego wynikach ukazała się w Kopenhadze w 1854 roku. Zasługa natomiast odszyfrowania III klasy przypadła w udziale po części Oppertowi, po części zaś znowu Rawltnsonowi, który wówczas był konsulem generalnym w Bagdadzie.

W toku badań nad pismem klinowym III klasy bardzo rychło jednak dokonano druzgocącego odkrycia. Klasa I — pismo staroperskie — było pismem literowym z alfabetem w pełni porównywalnym z naszymi alfabetami; w piśmie tym każdy zespół znaków klinowych z reguły oznaczał jedną odrębną literę. Inaczej rzecz miała się z pismem stanowiącym teraz przedmiot dalszego etapu badań. Tutaj pojedynczy znak oznaczał już sylabę, ba, częstokroć nawet całe słowo. Gorzej jeszcze, zdarzały się wypadki — a im dłużej trwały badania, tym były one liczniejsze — że jeden i ten sam znak służył do oznaczenia kilku różnych sylab, a nawet kilku różnych słów, co — jak

się w końcu okazało — nie stanowiło wyjątku, lecz raczej regułę.

Panowało kompletne zamieszanie.

Wydawało się rzeczą zupełnie wykluczoną, aby przebić się przez ten gąszcz wieloznaczności, utorować choćby najskromniejszą ścieżkę wiodącą do odcyfrowania tak pogmatwanego pisma. W szczególności odkrycia opublikowane przez Rawlinsona — z wyraźnym zaznaczeniem, że mimo to można to pismo odczytać — wywołały gwałtowne protesty w świecie uczonych i falę oburzenia wśród laików. Do dyskusji włączali się obok fachowców ludzie najmniej do tego powołani. W literackich i naukowych dodatkach dzienników znani i nieznani autorzy, naukowcy i laicy wysuwali pytanie: czy doprawdy ktoś zamierza na serio twierdzić, że takie całkowicie pomieszane pismo rzeczywiście kiedyś istniało? I że, gdyby istnienie jego miało być faktem, można je mimo tej wieloznaczności odczytać? Odzywały się głosy napominające uczonych, którzy wysuwali podobne twierdzenie, przede wszystkim zaś samego Rawlinsona, aby „zechcieli łaskawie zaniechać" niewczesnych żartów, nie mających nic wspólnego z nauką.

Nie możemy się tu zagłębiać w całe to zawiłe zagadnienie. Jednakże dla zorientowania czytelnika przytaczamy wyrwany z tego całokształtu jeden prosty przykład. Otóż głoska r oznaczona jest w tym piśmie przez sześć różnych znaków, zależnie od tego, czy mają one wyrażać zgłoski *ra, ri, ru, ar, ir* lub *ur*. Gdy zaś do tych zgłosek dochodzi jeszcze jakaś spółgłoska, to przez każdorazowe połączenie dwóch znaków powstają znowu inne, odrębne znaki dla zgłosek *ram, mar* i tak dalej. Wieloznaczność polega na tym, że gdy kilka znaków klinowych łączy się w grupę wyrażającą jakieś określone pojęcie lub imię, tracą one swą pierwotną wartość dźwiękową. Tak na przykład grupa znaków, wyrażająca imię sławnego króla Nabuchodonozora, czytana prawidłowo daje formę tego imienia Nebukudurriussur. Te same znaki, jeżeli każdemu z nich nadać jego zwykłą wartość dźwiękową, dają w rezultacie słowo A n-p a-s a-d u-s i s!

I oto w owych dniach, gdy wszystkim postronnym obserwatorom wydawało się, że nic nie zdoła rozplatać tego chaosu, we wzgórzu Kujun-dżyk, gdzie przedtem już

Botta prowadził wykopaliska, inny archeolog odgrzebał swą łopatą około stu glinianych tabliczek. Tabliczki te, pochodzące, jak później stwierdzono, mniej więcej z połowy VII wieku przed Chr. — sporządzone prawdopodobnie na użytek uczniów szkół pisarskich — zawierały objaśnienia wartości poszczególnych znaków w zestawieniu ze znaczeniem ich odpowiedników w piśmie literowym.

Znalezisko to przedstawiało nieocenioną wprost wartość. Nie ulegało wątpliwości: były to słowniki!

Słowniki niezbędne dla uczących się abecadła pisma klinowego w okresie, kiedy zaczęto upraszczać, unowocześniać dawne pismo obrazkowe i sylabiczne. Znaleziono potem całe „podręczniki" dla początkujących i zaawansowanych, „słowniki" z zestawieniem nazw sumeryjskich i ich semickich odpowiedników, wreszcie nawet coś w rodzaju „encyklopedii", w której ustawione były rzędami łączące się tematycznie przedmioty codziennego użytku w ten sposób, że w jednej kolumnie podane były ich nazwy sumeryjskie (używane już tylko w tekstach rytualnych i prawniczych), w drugiej zaś nazwy semickie.

Oczywista, że znalezisko to, mimo swego ogromnego znaczenia, było z natury rzeczy niekompletne i dawało zaledwie pewne punkty zaczepienia. Tylko fachowiec zna trudności, manowce i wszystkie okrężne drogi, jakimi kroczyć musieli badacze, zanim zdołali dojść do pierwszych wyników swych dociekań, zanim w tym konkretnym wypadku mogli powiedzieć: tak jest, mimo wszystkich wieloznaczności jesteśmy w stanie odczytać nawet najbardziej skomplikowane pismo klinowe.

Gdy po tym okresie zupełnego zamieszania w szczególności Rawlinson (atakowany i szkalowany przez niegodnych przeciwników, jak każdy pionier każdej wielkiej nauki) postanowił przeprowadzić publicznie dowód, iż jest w stanie tego dokonać, Królewskie Towarzystwo Azjatyckie w Londynie zdecydowało się na krok zgoła niezwykły, nie mający prawie precedensu w dziejach nauki.

Do czterech najwybitniejszych wówczas znawców pisma klinowego wysłano w zapieczętowanych kopertach świeżo odkryty obszerny tekst asyryjski pisany pismem klinowym, prosząc o odczytanie go i odwrotne nadesłanie wyników; żaden z

adresatów nie wiedział, że tekst otrzymali do odczytania również trzej inni.

Tak więc nie wiedząc jeden o drugim, czterej uczeni — byli to Anglicy Rawlinson i Talbot, Irlandczyk Hincks i Francuz niemieckiego pochodzenia Oppert — zabrali się jednocześnie do pracy. Każdy z osobna, każdy swą własną metodą. W końcu odesłali w zapieczętowanych kopertach wyniki swych prac. Specjalnie powołana komisja zbadała teksty. I to, co jeszcze na krótko przedtem tak głośno podawano w wątpliwość, zostało znakomicie udowodnione. Okazało się, że i to tak niezwykle skomplikowane pismo zgłoskowe można odczytać: wszystkie cztery przekłady były w istotnych punktach zupełnie identyczne.

Prawda, że ta niezwykła próba wywołała rozgoryczenie wielu uczonych. Poczuli się jak gdyby „nabrani" tego rodzaju metodą weryfikacji badań naukowych, obliczoną na aplauz publiczności, lecz nie licującą z godnością nauki.

Ale za to w 1857 roku w Londynie mogła się ukazać publikacja zatytułowana: *Napis króla Asyrii Tyglatpilezara, przetłumaczony przez Rawlinsona, Talbota, Hincksa i Opperta* — publikacja będąca jednym z najświetniejszych i najbardziej przekonywających dowodów, że wbrew wszelkim trudnościom można odrębnymi metodami osiągnąć najzupełniej zgodne wyniki naukowe.

Rozwój badań nad pismem klinowym postępował dalej naprzód. W dziesięć lat później ukazały się pierwsze elementarze — gramatyki języka asyryjskiego. Badania, wybiegając już poza tajemnicę pisma, zaczęły zgłębiać tajemnicę języków. Dzisiaj wielu naukowców umie czytać pismo klinowe. Jeżeli natrafiają jeszcze na trudności, to tylko na takie, jak niewyraźność znaków i fragmentaryczność tabliczek z tekstami — trudności natury zewnętrznej, następstwa owych trzech tysięcy lat, które niosąc wiatry i deszcze, piaski i muł, przeciągnęły nad glinianymi cegiełkami, nad murami pałaców, nad miastami starożytności.

Rozdział dwudziesty drugi

PAŁACE POD WZGÓRZEM NIMRUD

W 1854 roku londyński Pałac Kryształowy, w którym trzy lata przedtem mieściła się wystawa światowa, został przeniesiony z Hyde Parku do Sydenham, gdzie zainstalowano w nim muzeum.

Ludzie zachodnich stref cywilizacji europejskiej mogli tu po raz pierwszy wyrobić sobie pojęcie o wspaniałości i przepychu pogrzebanych w ziemi metropolii, które w Biblii zostały tylekroć przeklęte jako siedliska występku i gniazda zepsucia. W zbudowanych tu dwu olbrzymich staroasyryjskich salach i zrekonstruowanej ogromnej fasadzie pałacu po raz pierwszy bezpośrednio przemówiła imponująca architektura, o której dotąd opowiadały tylko podania, legendy, wątpliwe opisy podróży antycznych pisarzy i święte księgi.

W muzeum sydenhamskim odtworzono wielką halę ceremonialnych przyjęć, królewską komnatę, ustawiono uskrzydlone byki o ludzkich twarzach i posągi Gilgamesza, „zwycięskiego bohatera", „władcy kraju", „pogromcy lwów". Ściany były wyłożone cegłami, pokrytymi wielobarwną glazurą, jakich nie zna żadna inna sztuka budowlana. Płaskorzeźby ukazywały pasjonujące sceny myśliwskie i wojenne sprzed dwudziestu siedmiu stuleci, z czasów wielkiego króla Asurnasyrpala.

Człowiek, któremu świat zawdzięczał tę wystawę, nazywał się Austen Henry Layard. W 1839 roku jako nikomu nie znany hołysz przybył konno, z jednym tylko towarzyszem podróży, do Mossulu nad Tygrysem. W roku, gdy muzeum sydenhamskie otworzyło swoje podwoje ukazując nagromadzone w nim skarby, „hołysz" ten zasiadał już jako podsekretarz stanu w brytyjskim ministerstwie spraw zagranicznych.

Życie Layarda pod niejednym względem przypomina życie Botty i Rawlinsona. Tak jak oni miał w sobie żyłkę awanturniczą, będąc zarazem człowiekiem dużego

formatu; jak oni był wybitnym uczonym, łącząc z tym jednak upodobania światowca; jak oni interesował się polityką i znał dobrze wszystkie arkana sztuki obchodzenia się z ludźmi.

Pochodził z osiadłej od dawna w Anglii francuskiej rodziny. Oto kilka najważniejszych dat z jego życia. Urodził się 1817 roku w Paryżu. Część dzieciństwa i lat chłopięcych spędził z ojcem we Włoszech. W 1833 roku powraca do Anglii i zaczyna studiować prawo. W 1839 roku widzimy go podróżującego po krajach Bliskiego Wschodu. Potem pracuje jakiś czas w poselstwie brytyjskim w Konstantynopolu. W 1845 roku rozpoczyna wykopaliska w Mezopotamii. W latach 1852 i 1861 dwukrotnie powoływany jest na stanowisko podsekretarza stanu w brytyjskim ministerstwie spraw zagranicznych. W 1868 roku zostaje ministrem robót publicznych, w 1869 roku — posłem angielskim w Madrycie.

Wschód pociąga go od najwcześniejszych lat. Już wtedy marzył o dalekim Bagdadzie i Damaszku, o Persji. Gdy w wieku dwudziestu dwu lat ślęczy w zatęchłej londyńskiej kancelarii adwokackiej, mając przed sobą mało urozmaiconą, z góry ściśle określoną karierę, która nie rokuje mu nic poza tradycyjną peruką angielskiego adwokata, pali za sobą mosty i podąża za swym marzeniem.

Jego życie jest przeciwieństwem życia Henryka Schliemanna. Wprawdzie u obu na początku stało młodzieńcze marzenie — u jednego wzbudzone lekturą Homera, u drugiego baśniami z *Tysiąca i jednej nocy.* Ale Schliemann najpierw szedł twardo i konsekwentnie drogą zdobywania sukcesów materialnych, aby potem, już jako milioner posiadający rozległe stosunki na całym świecie, podążyć szlakiem wyśnionym w latach dziecięcych. Inaczej Layard. Nie mógł i nie chciał czekać. Z młodzieńczym zapałem i z pustą sakiewką wyruszył do krainy z baśni, zobaczył więcej, niż mu baśnie obiecywały, zdobył sławę i zaszczyty i wtedy dopiero zaczął stopień po stopniu osiągać coraz wyższe szczeble kariery.

Jedno wszakże miał wspólne z Schliemannem. Tak jak ten na swym amsterdamskim poddaszu uczył się obcych języków, aby przygotować się do zadania, do którego wzywał go głos wewnętrzny, tak Layard już w latach młodzieńczych uczy się

wszystkiego, co jak sądzi, może mu się przydać w podróży do krainy jego marzeń. A były to rzeczy nader praktyczne, jakże odległe od studiów prawniczych: posługiwanie się kompasem, oznaczanie czasu i miejsca za pomocą sekstansu, sposób użycia wszelkiego rodzaju geograficznych instrumentów pomiarowych. Zapoznawał się także ze sposobami zwalczania chorób tropikalnych i niesieniem pierwszej pomocy w razie nieszczęśliwego wypadku. Wreszcie — rzecz z pewnością nie najmniej ważna — uczył się języka perskiego i gromadził zasób wiadomości o Iranie i Iraku starając się poznać kraj i ludzi.

W 1839 roku wyrywa się z ciasnoty londyńskiej kancelarii i rozpoczyna swą pierwszą podróż na Bliski Wschód. Rychło też objawia pewien talent, który posiadało niewielu tylko jego kolegów pracujących w tej samej gałęzi nauki: okazuje się nie tylko wielkiej miary badaczem archeologicznym, lecz także świetnym pisarzem, malowniczo i barwnie opisującym swe prace.

Posłuchajmy, co sam opowiada o tej pierwszej podróży (cytat jest nieznacznie skrócony):

„Jesienią 1839 roku i zimą 1840 roku wędrowałem po Azji Mniejszej i Syrii. Towarzyszył mi człowiek nie mniej ode mnie spragniony wiedzy. Nie zważaliśmy na żadne niebezpieczeństwa. Podróż odbywaliśmy konno, sami, we dwójkę; za jedyną ochronę służyła nam broń, plecak przytroczony do siodła zawierał całą naszą garderobę, a jeżeli gościnność mieszkańców jakiejś turkmeńskiej wsi lub arabskiego namiotu nie uwalniała nas od tych czynności — sami obrządzaliśmy nasze wierzchowce. W ten sposób zapoznawaliśmy się bliżej z ludem.

Z przyjemnością wspominam te błogie dni, kiedy o pierwszym brzasku opuszczaliśmy skromną chatę lub zaciszny namiot, aby wędrując przed siebie, gdzie oczy poniosą, znaleźć się o zachodzie słońca u stóp odwiecznych ruin, wśród których jakiś koczujący Arab rozbił swój szałas, lub w jakiejś zapadłej wiosce noszącej jeszcze znaną z dawna nazwę...

Poczułem teraz nieprzepartą chęć powędrowania dalej — na ziemie leżące po tamtej

stronie Eufratu, które historia i tradycja określa jako źródło mądrości Zachodu. Większość podróżników odczuwa to samo pragnienie przekroczenia owej wielkiej rzeki i zbadania okolic, które na mapie dzieli od granic Syrii ogromna biała plama rozpościerająca się od Aleppo aż het po brzegi Tygrysu. Głęboki mrok spowija jeszcze dzieje Asyrii, Babilonii i Chaldei. Z nazwami tymi łączą się nazwy wielkich narodów, łączy ponury cień historii wielkich miast, olbrzymie rumowiska rozsiane pośrodku pustynnych obszarów — tak zagubione w odludnym pustkowiu i tak pozbawione jakiegokolwiek kształtu, że wymykają się spod wszelkiego opisu podróżnika; łączą się wreszcie z tymi nazwami resztki owych wielkich ludów jeszcze dziś, zgodnie ze słowami Proroka, koczujące po tych ziemiach, po tych równinach, które zarówno Żydzi, jak poganie uważają za kolebkę swego plemienia.

18 marca opuściłem z mym towarzyszem Aleppo. Wciąż jeszcze podróżowaliśmy bez przewodnika, bez służącego. 10 kwietnia przybyliśmy do Mossulu. Podczas naszego pobytu w tym mieście zwiedziliśmy wielkie usypiska na wschodnim brzegu Tygrysu, które powszechnie uważano za ruiny Niniwy. Wyjeżdżaliśmy również konno na pustynię i zbadaliśmy *wzgórze* Kalah Szergat, olbrzymie zwalisko kamieni położone nad Tygrysem w odległości około pięćdziesięciu mil od miejsca jego połączenia się z rzeką Zab. W drodze do tego wzgórza zatrzymaliśmy się na noc w małej wiosce Hamum Ali, wokół której można jeszcze natrafić na ślady jakiegoś nieznanego starożytnego miasta. Z wierzchołka sztucznego wzniesienia wzrok nasz ogarniał rozległą równinę, od której oddzieleni byliśmy tylko rzeką. Szereg wysokich usypisk, z których jedno, mające kształt piramidy, przewyższało wszystkie inne, ograniczało tę równinę od wschodu; dalej, za nimi, bieg wód Zabu rysował się już tylko niewyraźnie. Z samego jednak położenia łatwo było zidentyfikować to najwyższe wzniesienie. Była to piramida, którą opisuje Ksenofont (to w pobliżu niej rozłożyło się obozem jego «dziesięć tysięcy»), te same ruiny, które wódz grecki widział dwadzieścia dwa wieki temu, a które już wtedy były ruinami jakiegoś dawnego miasta. Jakkolwiek Ksenofont pomylił obcojęzyczną nazwę tego miasta i nadał mu bliższą greckiemu uchu nazwę Larisa, to jednak tradycja wskazuje nam jeszcze na

pochodzenie tych ruin: przypisuje założenie tego miasta Nemrodowi, którego imię usypisko nosi do dziś dnia, i łączy je z pierwszymi sadybami rodu ludzkiego."

Na razie jednak Layard nie od razu zbadał dokładnie owe tajemnicze wzgórza mające za sobą aż tak daleką przeszłość. Ale był nimi zafascynowany. Obchodził je dokoła, jak chciwiec obchodzi zamkniętą szkatułę z pieniędzmi. W swym opisie podróży wciąż na nowo do nich powraca, próbuje je opisać coraz to innymi słowami:

„Wzgórza te — to olbrzymia, bezkształtna masa, porosła teraz trawą i nie ukazująca nigdzie żadnego śladu pracy rąk ludzkich, z wyjątkiem niektórych tylko miejsc, gdzie zimowe deszcze wyżłobiły rozpadliny w prostopadłych przeważnie zboczach, odsłaniając ich zawartość." A zaraz potem, na następnej stronicy: „Podróżnik daremnie sili się na określenie kształtu tych spiętrzonych bez ładu i składu pustynnych usypisk, które ukazują się teraz jego oczom."
Dalej Layard porównuje roztaczający się przed nim obraz z ziemiami i ruinami, które widział w Syrii: „Miejsce bogato rzeźbionych kapiteli i gzymsów, na poły zakrytych bujną roślinnością, zajmują bezkształtne, ponure zwaliska ziemi wznoszące się niby wzgórza nad spaloną słońcem równiną."

Layard, chociaż niebawem musi udać się w drogę powrotną, nie może już poskromić swej ciekawości. „Wśród Arabów — pisze — krąży legenda, że pod tymi ruinami kryją się jakieś wyciosane z czarnego kamienia postacie. Ale w ciągu całego niemal dnia, który spędziliśmy na badaniu zwałów ziemi i cegieł pokrywających znaczny pas obszarów na prawym brzegu Tygrysu, daremnie szukaliśmy tych posągów."
Wreszcie reasumując pierwsze wrażenia pisze: „Te olbrzymie gruzowiska dawnej Asyrii zrobiły na mnie większe wrażenie, pobudziły do poważniejszych rozmyślań i refleksji niż świątynie Balbeku i teatry Jonii."
Jedno zwłaszcza wzniesienie zainteresowało Layarda więcej niż inne.
Zarówno swą wysokością i rozmiarami, jak nazwą miejscowości, której gruzy

piętrzyły się u jego stóp — nazwą, którą znał i która zdawała się stanowić bezpośredni pomost do owej, jak sam się przedtem wyraził, „kolebki rodu ludzkiego" — do biblijnego Nemroda.

Chus — tak mówi dziesiąty rozdział I Księgi Mojżesza — był jednym z synów Chama, którego ojcem był Noe. Chus wraz z trzema synami i ich żonami oraz ze wszystkim zwierzęciem ziemskim, czystym i nieczystym, począł po wielkim potopie płodzić na nowo wszystek rodzaj ludzki. To on właśnie, Chus, spłodził Nemroda.

„Ten począł być możny na ziemi. Przeto się mówi: jako Nemrod, możny łowca przed Panem. A początek królestwa jego był Babilon i Erech, i Achad, i Chalne w krainie Sennaar. Z onej krainy wyszedł do Assur i zbudował Niniwę i Rechowot Ir, i Kalah, a także Resen między Niniwą i Kalah. A to jest miasto wielkie."

Ale Layard musiał wracać. Jego skromny fundusz podróżny już się wyczerpał. Pojechał do Konstantynopola, gdzie poznał posła brytyjskiego sir Stratforda Canninga. Dzień po dniu opowiadał mu o tajemniczych wzgórzach w okolicy Mossulu. Mówił o nich coraz natarczywiej, gdyż świat tymczasem dowiedział się o znaleziskach Botty pod Chorsabadem i był nimi zelektryzowany. Płomienne słowa Layarda, jego barwne opisy, entuzjazm zrobiły wrażenie na pośle. Wreszcie, pewnego dnia — w pięć lat po pierwszej podróży Layarda i w chwili gdy Botta znajdował się u szczytu swych sukcesów pod Chorsabadem — sir Stratford Canning podarował mu sześćdziesiąt funtów szterlingów. Sześćdziesiąt funtów! Zaprawdę, niewielka była to suma dla zrealizowania zamierzeń Layarda, który chciał dokonać czynów jeszcze większych niż Botta, a Botta korzystał przecież z pomocy rządu francuskiego i zajmował urzędowe stanowisko w Mossulu!

8 listopada 1845 roku Layard popłynął tratwą w dół Tygrysu, aby rozpocząć wykopaliska pod wzgórzem Nimrud.

Ale nie tylko brak pieniędzy miał tu stanąć na przeszkodzie. Czekały go jeszcze całkiem inne trudności. Pięć lat minęło, odkąd przebywał w tych stronach. Gdy tym razem zeszedł ze swej tratwy na brzeg, znalazł się w kraju ogarniętym zamieszkami.

Mezopotamia pozostawała w tych czasach pod panowaniem tureckim. Na krótko przed przyjazdem Layarda mianowany został nowy namiestnik. Zdaje się, że odkąd świat światem, leżało w zwyczaju wszystkich namiestników (najbardziej interesujące historie o nich opowiadają nam dzieje starożytnego Rzymu), żeby kraj oddany im pod zarząd eksploatować, a mieszkańców uważać za dojne krowy lub kury mające znosić złote jajka.

Nowy gubernator Mossulu był despotą na miarę azjatycką. Sądząc z opisów, wyglądał jak uosobienie zła, jak gdyby żywcem wyszedł z jakiejś bajki. Miał tylko jedno oko i jedno ucho. Był mały i tłusty — tłusty, jak bywają tylko Lewantyńczycy. Dla dopełnienia obrazu tego łotra dodajmy, że miał twarz pociętą śladami po czarnej ospie. Jego głos był straszny, ruchy nieokrzesane, gwałtowne, podejrzliwe, jak gdyby zawsze i wszędzie wietrzył jakąś grożącą mu zasadzkę. Był inteligentnym sadystą, obdarzonym potworną wprost pomysłowością. Niedługo po objęciu rządów nałożył na ludność „podatek od zębów", pozostawiający daleko w tyle za sobą wszystkie europejskie „podatki od soli". Mówił, iż wprowadził go tytułem odszkodowania za zużycie uzębienia i rwanie zębów, na co został narażony, odkąd zmuszony był spożywać „obrzydłe jadło tego kraju".

Była to jednak zaledwie niewinna przygrywka do tego, co niebawem miało nastąpić. Ludność drżała ze strachu. Ekspedycje karne podejmowane przez paszę równały się najazdom łupieżców. Grabił miasta, puszczał z dymem wsie.

Gdzie istnieje despotyczny system rządów, tam nieodłącznie towarzyszy mu plotka — służba informacyjna uciśnionych. Pewnego dnia wśród grona ludzi z Mossulu rozeszła się wieść, że Allach ulitował się nad położeniem nieszczęsnej ludności i że namiestnik wkrótce będzie odwołany. W kilka godzin potem gubernator wiedział już o tej pogłosce. Wpadł na pomysł, który mógłby być zaczerpnięty ze starowłoskiej noweli; jest u Boccaccia podobna historia, tylko, że dużo pogodniejsza, nie związana z tak makabrycznymi okolicznościami.

Podczas jednego z najbliższych wyjazdów pasza udał, że jest chory. Przewieziono go

w pośpiechu do pałacu, dokąd przybył na pozór nieżywy. Stwierdzały to sprawozdania naocznych świadków. Słowa ich na skrzydłach nadziei rozniosły się po całym mieście. Następnego dnia bramy zamku pozostały zamknięte. Gdy zaś za murami rozległy się zawodzenia straży przybocznej i eunuchów, ludność zaczęła wznosić radosne okrzyki: „Niech będzie pochwalony Allach — pasza nie żyje!" Tłum wśród wrzasku i okrzyków, miotając przekleństwa na znienawidzonego tyrana, zgromadził się pod murami pałacu. Nagle wrota się rozwarły. Stał w nich pasza — mały, tłusty, obrzydliwy. Z opaską na pustym oczodole, z szyderczym grymasem na dziobatej twarzy...

Skinął — i żołdacy rzucili się na osłupiały z przerażenia tłum. Rozpoczęła się straszliwa rzeź. Głowy padały gęsto. Przy tym gubernator nie zapomniał w swym sadyzmie i o merkantylnej stronie sprawy. Skonfiskował mienie wszystkich „buntowników" — przy tej okazji również wszystkich tych, których majątku dotąd nie wolno mu było ruszyć. Konfiskatę uzasadniał tym, że „rozsiewali pogłoski podważające autorytet władzy".

W końcu ludność chwyciła za broń. Plemiona, których światem były stepy dokoła Mossulu, powstały przeciw tyranowi. Powstały jednak na swój własny sposób. Niezdolne do zorganizowanego oporu, na grabież odpowiedziały grabieżą. Żadna droga nie była bezpieczna, żaden cudzoziemiec pewien swego życia.

W owych właśnie dniach Layard wylądował w Mossulu z zamiarem przeprowadzenia wykopalisk pod wzgórzem Nimrud...

Layard nie potrzebował wiele czasu, aby zorientować się w sytuacji. Już po kilku godzinach było dla niego jasne, że nie wolno mu w Mossulu zdradzić się ze swymi planami. Kupił sobie ciężkiego kalibru strzelbę i krótki oszczep, rozpowiadając na prawo i lewo, że wybiera się do doliny Tygrysu, aby polować na dziki.

Po kilku dniach najął wierzchowca i ruszył w drogę w kierunku wzgórza Nimrud. Nie wiedział, że już w najbliższej wsi natknie się na rozbójniczych Beduinów.

Stała się jednak rzecz wręcz nieprawdopodobna. Do wieczora tego dnia Layard pozyskał przyjaźń Awada, przywódcy szczepu obozującego w pobliżu wzgórza

Nimrud. Co więcej, miał już do dyspozycji sześciu Arabów, którzy zgodzili się za małym wynagrodzeniem dopomóc mu w zbadaniu, co też ta góra zawiera „w swym brzuchu".

Gdy Layard wieczorem wlazł pod płótno swego namiotu, przewracał się bezsennie na łożu. Jutro miało się okazać, czy szczęście mu nadal dopisze. Już jutro? Może dopiero za miesiące... Czyż Botta nie kopał daremnie przez cały rok?

Faktycznie jednak Layard już w dwadzieścia cztery godziny później odsłonił swym rydlem pierwsze fragmenty dwóch asyryjskich pałaców.

Wschód słońca zastał go na wzgórzu. Szperając po nim znajdował wszędzie cegły z napisami wyglądającymi jak odciski pieczęci. Wreszcie Awad, szejk Beduinów, zwrócił uwagę swego nowego przyjaciela na wystający z ziemi rąbek alabastrowej płyty. I to właśnie znalezisko rozstrzygnęło kwestię, gdzie rozpocząć wykopaliska.

Siedmiu ludzi zabrało się do pracy przekopując we wzgórzu podziemny chodnik. Pierwsze rezultaty nie dały na siebie długo czekać. Już po paru godzinach znaleziono kilka pionowo ustawionych płyt kamiennych. Okazało się, że jest to zdobny we fryzy cokół z tak zwanych ortostatów, a więc lamperia ścian jakiejś komnaty. Bogactwo ozdób wskazywało na komnatę jakiegoś pałacu.

Layard podzielił swą małą drużynę roboczą na dwie grupy. Opanowany nagle lękiem, by czasem nie przeoczyć jakiegoś miejsca kryjącego jeszcze bogatsze znaleziska, a także w nadziei odsłonięcia zupełnie nie uszkodzonych murów (te, które dotąd odgrzebał, nosiły ślady pożaru), kazał trzem swoim ludziom rozpocząć jednocześnie poszukiwania w całkiem innym kącie wzgórza. I znowu łopata Layarda pracowała z niezawodnością różdżki czarodziejskiej: znalazł od razu mury pokryte rzeźbionymi płytami, które oddzielał fryz zawierający inskrypcje. Okazało się, iż natrafił na narożnik drugiego pałacu.

Aby zorientować się w rodzaju niektórych znalezisk, które Layard odkopał jeszcze w ciągu listopada, posłuchajmy, jak sam opisuje jeden z ortostatów zdobnych w płaskorzeźby:

„Jedna z nich przedstawiała scenę bitewną: dwa rydwany wojenne unoszone przez

galopujące rumaki. W każdym rydwanie stali trzej wojownicy, z których jeden, zapewne główna osoba, nie nosił brody i był widocznie rzezańcem. Miał na sobie zbroję, która na płaskorzeźbie wykonana była z metalowych łusek. Na głowie nosił spiczasty hełm. Przybranie głowy przypominało dawnych Normanów. W lewej ręce trzymał napięty łuk, prawą pociągał ku uchu cięciwę z gotową do wystrzelenia strzałą. Miecz jego tkwił w pochwie ozdobionej na końcach dwoma misternie wyrzeźbionymi lwami. W tym samym rydwanie stał woźnica popędzający konie cuglami i batem oraz tarczownik, który okrągłą, wykutą ze złota tarczą zasłaniał siebie i dwóch pozostałych wojowników od strzał przeciwnika. Z podziwem patrzyłem na elegancję i bogactwo ozdób, na wierny i misterny rysunek członków ciała i muskulatury zarówno u ludzi, jak u koni, na artyzm przejawiający się w ugrupowaniu postaci i w całej kompozycji."

Płaskorzeźby tego rodzaju stoją dziś w każdym muzeum każdego kraju Europy i Ameryki. Zwiedzający przeważnie rzucają na nie tylko pobieżne spojrzenie i idą dalej. Niesłusznie. Zasługują one na to, aby je obejrzeć uważnie. Ukazują nam tak drobiazgowy realizm w przedstawieniu treści (o realizmie stylu mówić można tylko w odniesieniu do określonych epok), że już sama uważna obserwacja kilkudziesięciu takich płaskorzeźb pozwala wejrzeć głęboko w życie tych ludzi, a przede wszystkim w życie władców, o których Biblia opowiada tak okropne rzeczy.

Dziś, w czasach fotografii, niezliczone reprodukcje dają już dzieciom w szkole jakieś pojęcie o rzeźbach i płaskorzeźbach starożytnych Asyryjczyków. Wtedy jednak, gdy Layard, owiany pyłem pustyni, stał pośród garstki Arabów, znane one były jedynie z kilku pierwszych okazów, które Botta zdołał wysłać do Paryża. Były wtedy jeszcze czymś nowym, zupełnie nie znanym, czymś oszałamiającym dla człowieka, któremu dane było wydobyć je z ziemi i otrząsnąć z pyłu tysiącleci.

Dla świata europejskiego mrok osłaniający dolinę Międzyrzecza — trzeba to sobie dziś jasno uprzytomnić — rozstąpił się nagle, niemal za jednym zamachem: w 1843 roku Rawlinson ślęczał w Bagdadzie nad odcyfrowaniem napisu behistuńskiego, w tym samym roku Botta rozpoczął swe wykopaliska pod Kujundżykiem i Chorsabadem, a w 1845 roku Layard kopał pod Nimrudem. Ile światła wniosła ta

praca trzech lat, wynika choćby z tego, że sam napis behistuński dał nam dokładniejsze wiadomości o władcach z Persepolis niż do tego czasu wszyscy antyczni pisarze razem wzięci. Można bez cienia przesady powiedzieć, że wiemy dziś więcej o historii Asyrii i Babilonii, o rozkwicie i upadku Babilonu i Niniwy, niż wiedziała o nich cała klasyczna starożytność, wszyscy greccy i rzymscy historycy, choć byli oni bliżsi tym zamierzchłym czasom o przeszło dwa tysiące lat.

Arabowie widząc codziennie, w jaki zachwyt wprawiają Layarda spękane płyty kamienne, posągi i porysowane cegły, uważali go za wariata. Dopóki jednak dobrze płacił, gotowi byli mu pomagać i kopać gorliwie. Ale nie było jeszcze takiego pioniera archeologii, który mógłby w spokoju doprowadzić swe dzieło do końca. Z ich poszukiwaniami szła zawsze w parze przygoda, z nauką zawsze łączyło się niebezpieczeństwo, a w pełną poświęcenia ofiarność zawsze wkraczała szalbiercza ingerencja z zewnątrz. To samo zdarzyło się Layardowi. Tylko że Layard umiał sobie radzić.

Pewnego dnia — prace wykopaliskowe były wtedy tak zaawansowane, że usprawiedliwiały wszelkie nadzieje, najmniejsza zaś przerwa wydawała się Layardowi stratą czasu — Awad, jego przewodnik i przyjaciel, odciągnął go na bok dla poufnej rozmowy. Chytrze i porozumiewawczo mrugając doń okiem, a jednocześnie ostentacyjnie obracając w brudnych palcach mały posążek ze śladami pozłoty, dał mu do zrozumienia — coraz to odbiegając od przedmiotu i raz po raz wzywając imię Proroka — że wie, czego on, czcigodny cudzoziemiec, tutaj szuka. Życzy mu szczęścia i wszystkiego złota, które kryje się w tym wzgórzu (nie tając bynajmniej, że ma w tym i swoje własne rachuby). Sprawa jednak wymaga zachowania największej ostrożności. Ci durni robotnicy nie umieją trzymać języka za zębami. Nie wolno pod żadnym pozorem dopuścić do tego, aby sukcesy Layarda doszły do uszu namiestnika w Mossulu. Tu Awad szeroko rozłożył ręce pokazując, jak wielkie są te uszy.

A każdy despota ma nie tylko własne „duże" uszy — ma tysiące takich uszu. Zmysły jego są wielokrotnie pomnożone o zmysły wszystkich jego kreatur, które patrzą w

niego jak w boga i służą mu z rozkoszą. Niedługo też trwało, gdy pasza zaczął się interesować Layardem. Na miejsce wykopalisk przybył turecki kapitan z grupką żołnierzy. Obejrzeli, raczej tylko dla formy, przekopane przez Layarda chodniki i wydobyte już rzeźby, przy czym okazało się, że są dobrze poinformowani, iż tu i ówdzie pojawiły się ślady złota. Wreszcie kapitan uroczyście wręczył Layardowi rozkaz namiestnika zakazujący dalszych prac wykopaliskowych.

Łatwo sobie wyobrazić, jakie wrażenie zakaz ten zrobił na Layardzie, który wobec pierwszych, fenomenalnych sukcesów swych prac wykopaliskowych przejmował się nawet najmniejszą stratą czasu. Bez chwili namysłu skoczył na konia i pogalopował do Mossulu. Przybywszy na miejsce zażądał natychmiastowej audiencji u paszy.

Został przyjęty. Podczas posłuchania miał możność poznać całą przebiegłość człowieka Wschodu. Pasza błagalnie wznosił ręce do nieba. Ależ naturalnie, uczyni wszystko, dosłownie wszystko, aby mu pomóc. Podziwia, szanuje jego naród, prosi go o przyjaźń — dziś, jutro, do końca swych dni, dopokąd Allach go nie odwoła z tego świata. Ale dalej kopać pod Kujundżykiem? Nie, to niemożliwe. Toż to teren starych mahometańskich cmentarzy. Niechaj Layard się rozejrzy, a znajdzie nagrobki. W oczach wszystkich wiernych to, co tam obecnie robi, jest profanacją. Wierni gotowi są chwycić za broń, powstać przeciwko cudzoziemcowi, a także przeciwko niemu, paszy. Wtedy zaś nie będzie już mógł swą opiekuńczą ręką osłaniać przyjaciela z dalekiego kraju.

Wizyta była upokarzająca. Przy tym upokorzenie to nie dało najmniejszego rezultatu. Layard siedząc wieczorem przed swym szałasem jasno zdał sobie sprawę, że cała jego praca stanęła pod znakiem zapytania. Powróciwszy od paszy pojechał od razu na wzgórze, by sprawdzić, czy doprawdy znajdują się tam mahometańskie nagrobki. Tak jest, pasza mówił prawdę. Gdy Layard w ustronnym miejscu znalazł pierwszą płytę grobową, zawrócił przybity i zniechęcony. Teraz rozmyślając, co dalej robić, wsunął się pod swój koc. A nie powinien był tego robić. Powinien raczej obejrzeć sobie bliżej owe nagrobki, co zresztą mógłby był uczynić już na dzień przed audiencją u paszy. Teraz zaś nakrywając się kocem tracił znowu, już drugiej z rzędu nocy, okazję

zobaczenia czegoś, co uzbroiłoby go w znakomite argumenty do rozmowy z paszą. I tej bowiem, i poprzedniej nocy zobaczyłby, jak jakieś tajemnicze postacie z cicha, ostrożnie skradają się ku wzgórzu Nimrud, nie mogą jednak uniknąć od czasu do czasu jakiegoś chrząknięcia lub brzęku wydanego przez potrącony kamień. Zbliżały się parami i tak samo parami znowu znikały. I tak przez całe dwie noce. Czyżby rabusie — jak w Egipcie? Ale cóż by tu mieli rabować? Tu, gdzie jedyny łup stanowić mogły ciężkie rzeźby?

Layard miał chyba w sobie jakiś niebywały *charme,* musiał być nie lada mistrzem w sztuce zjednywania sobie ludzi. Gdy następnego dnia jechał ku wzgórzu Nimrud, spotkał tego samego kapitana, który przywiózł mu rozkaz paszy. Wdał się z nim w rozmowę i — nie ma na to innych słów — od razu zdobył jego serce. Kapitan stawał się coraz wylewniejszy i w końcu wyznał mu w wielkim zaufaniu, że na rozkaz paszy musiał wraz ze swymi żołnierzami ciężko napracować się przez te ostatnie dwie noce, aby zwieźć z okolicznych wsi nagrobki na wzgórze Nimrud.

„Aby stworzyć tu ów rzekomy cmentarz — mówił — zniszczyliśmy więcej prawdziwych grobów wyznawców Proroka, niż mógłby ich pan sprofanować między Zabem a Selamijah. Zmordowaliśmy się i zajeździliśmy nasze konie, żeby sprowadzić te przeklęte kamienie!”

Zanim jeszcze Layard mógł zrobić odpowiedni użytek z tej niespodziewanej nowiny — gdyby był nieco uważniejszy, dowiedziałby się o niej dużo wcześniej — trudności same się rozwiązały. I to w zupełnie inny, zgoła nieoczekiwany sposób. Dość powiedzieć, że krótko po tej rewelacyjnej rozmowie Layard odwiedził paszę w więzieniu. Tak jest, Layard paszę — a nie odwrotnie. Łaskawy los, który rzadko pozwala despotom dożyć późnego wieku, zrządził, że pasza nie tylko został odwołany, lecz co więcej, pociągnięty do odpowiedzialności za swoje sprawki. Layard zastał go w lochu więziennym, gdzie przez popękany sufit kapały krople deszczu. „Tak to jest z tymi kreaturami! — oburzał się pasza. — Wczoraj jeszcze całowali mi stopy, a dziś wszystko wali się i spada na mnie!” Spojrzał na sufit i dodał: „Wszystko, nawet deszcz.”

Po upadku despotycznego namiestnika Layard mógł na nowo podjąć prace wykopaliskowe. Pewnego poranka z drugiego stanowiska położonego na północno-zachodniej stronie wzgórza, w pląsach, wymachując łopatami i wrzeszcząc na cały głos nadbiegli podnieceni robotnicy. Ich podniecenie zdawało się być jakąś dziwną mieszaniną strachu i radości. „Spiesz się, o beju! — wołali. — Bóg jest wielki, a Mahomet jego prorokiem! Znaleźliśmy Nemroda, Nemroda we własnej osobie! Widzieliśmy go na własne oczy!”

Layard pośpieszył na owo miejsce wykopalisk. Zbudziła się w nim pewna nadzieja, która przypinała mu skrzydła do ramion. Nie wierzył ani na chwilę, by — jak sądzili arabscy robotnicy — z gruzów wydobyto posąg przedstawiający Nemroda. Nie, nadzieję czerpał z sukcesów Botty. Czyżby i tu odkopano jedną z owych wspaniałych rzeźb, przedstawiających dziwne postaci na poły ludzi, na poły zwierząt, jakie Botta znalazł pod Chorsabadem?

Po chwili stał przed gigantyczną rzeźbą. Była to wyciosana z alabastru olbrzymia ludzka głowa uskrzydlonego lwa. „Rzeźba — pisze Layard — była nad podziw dobrze zachowana. Wyraz twarzy miała spokojny, pełen majestatu. Rysy oddane ze swobodnym artyzmem, którego trudno było się spodziewać po dziełach sztuki z tak wczesnego okresu.”

Dziś wiemy, że ta pierwsza odkopana rzeźba przedstawiała jednego z asyryjskich astralnych bogów czterech stron świata. Bóstwa te, zróżnicowane postacie boga słońca, to Marduk przedstawiony jako uskrzydlony byk, Ninib — jako człowiek, Nergal — jako uskrzydlony lew i Ninurta — jako orzeł.

Na Layardzie odkrycie to zrobiło głębokie wrażenie. Później pisze o nim w następujących słowach:

„Godzinami wpatrywałem się w te tajemnicze symbole i rozmyślałem nad ich znaczeniem i historią. Jakież szlachetniejsze formy mógł lud ten wprowadzić do świątyni swych bogów? Jakie wznioślejsze obrazy mogli zapożyczyć od przyrody ludzie, którzy bez pomocy objawionej religii usiłowali ucieleśnić swe pojęcie o mądrości, potędze i wszechobecności najwyższej istoty? Dla rozumu i wiedzy nie

mogli znaleźć lepszego symbolu niż głowa człowieka, dla siły — ciało lwa, dla wszechobecności — skrzydła ptaka.

Te uskrzydlone lwy o ludzkich głowach nie były stworami pozbawionymi znaczenia, nie były tylko wytworem fantazji. Widniejące na nich napisy mówiły, co one miały oznaczać. Napełniały czcią i uczyły całe pokolenia, które żyły i kwitły trzy tysiące lat temu. Strzegły portali, przez które królowie, kapłani i wojownicy nieśli ofiary przed ołtarze na długo przedtem, nim mądrość Wschodu dotarła do Grecji, nim Grecy wprowadzili do swej mitologii symbole, które w Asyrii znane były wtajemniczonym już od dawna. Ziemia pochłonęła je w czasach, gdy nie istniało jeszcze Wieczne Miasto i nie wiedziano o ich istnieniu. Przez dwadzieścia pięć wieków były ukryte przed ludzkim okiem, a teraz oto ukazywały się raz jeszcze w całej okazałości swego antycznego majestatu. Jakżeż jednak zmieniła się otaczająca je sceneria! Przepych i cywilizacja potężnego narodu ustąpiły miejsca nędzy i ciemnocie na poły barbarzyńskich plemion. Wspaniałość dawnych świątyń i bogactwo ludnych miast zastąpiły ruiny i bezkształtne usypiska. Nad przestrzennymi salami pałaców, w których niegdyś stały te posągi, pług znaczył ziemię bruzdami i szumiały łany zboża. Zapewne, Egipt posiada nie mniej wspaniałe pomniki, tam jednak były one w ciągu długich stuleci widoczne, świadcząc o minionej potędze i sławie. Posągi zaś, które teraz stały przede mną, dopiero obecnie wynurzyły się z ziemi, aby potwierdzić słowa proroka, że «istniało niegdyś Assur jakoby wysoki cedr na Libanie, o pięknych konarach i gęstym listowiu, a jego wierzchołek sterczał nad dużymi, grubymi gałęziami.»”

Straszliwe proroctwo Sofoniasza kończy się w rozdziale drugim, wiersz 13—15, następującymi słowami:

„I (Pan) wyciągnie ku północy swą rękę, i zniszczy Assur, i obróci
Niniwę w pustkowie. I będzie bezludna jako pustynia.
A wszelakie zwierzęta obiorą sobie w niej leże:
i bąk i jeż mieszkać będą pod głowicami jej kolumn.

I będą śpiewać w oknach,
a progi jej opustoszeją,
bo zdarte będą deski cedrowe.
I to jest owo miasto radosne, co tak pewne było siebie, co mówiło
w swym sercu:
Jam jest, a oprócz mnie nie masz więcej innego!
Jakże się stało pustynią, legowiskiem zwierząt?
A kto tu przejdzie,
ksykać będzie
i machać na nie ręką!"

Słowa proroka spełniły się. Spełniły się już przed wieloma wiekami. Teraz jednak Layard wywiódł na światło dzienne to, co ocalało z Niniwy.

Wieść o znalezisku podziałała na wszystkich tubylców mniej lub więcej zastraszająco i szybko rozniosła się po całym kraju. Zewsząd co koń wyskoczy śpieszyli na wzgórze Nimrud Beduini. Pewien szejk przybył z polową swego szczepu. Wszyscy strzelali w powietrze. Wspaniała arabska *fantasia* dla uczczenia prastarego świata, od odwiecznych czasów pogrzebanego w ziemi! Jeźdźcy podjeżdżali do samej krawędzi wykopu, rzucali spojrzenie na gigantyczną głowę, którą wybieliły sączące się od tysiącleci krople wody. Wznosili ramiona ku niebu i przywoływali swego Boga.

Dopiero po długich namowach udało się nakłonić szejka, by zszedł do rowu i przekonał się, że to nie żadna zjawa, żaden straszliwy zły duch, żaden dżin, ale i żaden bóg nie wychodzi z podziemia na światło dzienne. „Nie jest to dzieło rąk ludzkich — zawołał szejk — tylko dzieło tych nieprawdopodobnych olbrzymów, o których Prorok — pokój niechaj będzie z nimi — powiedział, że byli wyżsi niż najwyższe drzewo daktylowe. To jeden z owych bożków, których Noe — pokój niechaj będzie z nim — przeklął jeszcze przed potopem."

Tymczasem jeden z Arabów — ten, który pierwszy zobaczył olbrzymią głowę „Nemroda" — wśród oznak przerażenia, rzuciwszy swe narzędzia, uciekł ze wzgórza

i pobiegł aż do Mossulu, gdzie wiadomość, iż wielki Nemrod powstał ze swego grobu, wywołała niemałe wzburzenie na bazarze.

Miejscowy kadi zajął się sprawą. Przesłuchał owego Araba. „Co znaleziono? — pytał. — Kości, prochy Nemroda? Czy tylko jego posąg, dzieło rąk ludzkich?" Kadi naradził się z muftim. Ten zainteresował się sprawą głównie od strony teologicznej: usiłował ustalić, czy należy uznać Nemroda za prawdziwie wiernego wyznawcę Allacha, czy też za niewiernego psa.

Nowy gubernator, następca despotycznego paszy, wydał salomonowy wyrok. Poradził Layardowi, aby na wszelki wypadek traktował „szczątki Nemroda" z należną czcią, na razie jednak zaprzestał dalszych wykopalisk.

Cóż, dla Layrda nie była to pierwszyzna. Postarał się o rozmowę z gubernatorem. Zdołał go przekonać, że dalsze prowadzenie wykopalisk w niczym nie może obrazić religijnych uczuć wyznawców Proroka. W tym samym czasie nadszedł wreszcie firman sułtański z Konstantynopola, który raz na zawsze uwolnił Layarda od wszelkich szykan ze strony władz lokalnych i od trudności powodowanych przez fanatyzm religijny Arabów.

Coraz to nowe rzeźby wyłaniały się z ziemi. Wkrótce z gruzów wydobyto już trzynaście par uskrzydlonych lwów i byków. Odkopanie przez Layarda wspaniałej budowli, która stopniowo wynurzała się z ziemi w północno-zachodnim kącie wzgórza Nimrud, okryło jego imię sławą znacznie przewyższającą sławę Botty. Budowlę tę zidentyfikowano później jako pałac Asurnasyrpala II (według Weidnera — od 884 do 859 roku przed Chr.), króla Asyrii, który przeniósł stolicę z Assur do Kalchu (obecnego Nimrud). Podobnie jak jego poprzednicy żył on w duchu Nemroda, „wielkiego łowcy w obliczu Pana". Właśnie w tym pałacu znalazł Layard owe płaskorzeźby przedstawiające sceny myśliwskie i obrazy zwierząt, których naturalizm, skoro tylko stały się znane w Europie, wpłynął na sztukę całych pokoleń współczesnych plastyków. Myślistwo było codziennym zajęciem asyryjskich wielmożów. Wskazywały na to wszystkie odkopane płaskorzeźby, obrazy i inskrypcje. Utrzymywali oni zwierzyńce, nazywane „rajami", prototypy naszych

ogrodów zoologicznych, chowając na ogrodzonych terenach gazele i lwy. Urządzali polowania z nagonką i uprawiali pewien rodzaj polowania „z sieciami", którego dzisiaj nie uprawia się już chyba nigdzie na świecie.

Najwięcej kłopotu sprawiało Layardowi przewiezienie tych kamiennych kolosów do Londynu. Lato tego roku przyniosło złe urodzaje. Należało się liczyć z tym, że w okolicach stolicy pojawią się zbójeckie bandy. Layard, mimo iż zdobył sobie wśród Arabów wielu przyjaciół, uznał, że lepiej nie zwlekać z wysłaniem tych zabytków.

Pewnego dnia tłum Arabów i Chaldejczyków przewalał się przez na wpół przegniły most pod Mossulem, popychając, ciągnąc i szamocąc ze wszystkich stron gigantyczny wehikuł — olbrzymi wóz, który para zaprzężonych doń bawołów ledwo mogła uciągnąć; monstrum to kazał Layard naprędce zbudować w Mossulu. Do pierwszego transportu wybrał dwa posągi, byka i lwa, spośród najlepiej zachowanych, ale zarazem i najmniejszych okazów, gdyż wobec skromnych środków technicznych, jakie miał do dyspozycji, przedsięwzięcie było już i tak dość ryzykowne.

Aby z usypiska wydostać jednego tylko byka, trzeba było od miejsca, gdzie go znaleziono, do skraju wzgórza przekopać rów na trzydzieści metrów długi, pięć metrów szeroki i siedem metrów głęboki. Podczas gdy Layard umierał z niepokoju, dla Arabów przedsięwzięcie to stało się świętem ludowym. W przeciwieństwie do egipskich fellachów, którzy w smutku i z żałobnymi pieniami odprowadzali swych martwych królów, gdy Brugsch płynąc w dół Nilu wywoził ich do Kairu — widzieli oni w tym jedynie okazję do ogłuszających, radosnych wrzasków. Przy tym akompaniamencie, znakomicie zagrzewającym do zdwojenia wysiłku, kolosa wytoczono na walcach z usypiska.

Gdy Layard wieczorem po pomyślnym zakończeniu tego pierwszego etapu prac powracał konno do siebie, towarzyszył mu szejk Abd-el-Rahman. Layard przytacza w swej książce jego przemówienie, którego część z uwagi na swoisty, nie pozbawiony dla nas zabawnej nuty wyraz podziwu Arabów, umieściliśmy jako motto na wstępie tej księgi. Szejk zwrócił się do Layarda w takich oto słowach:

„Cudowne! Cudowne! Na pewno jest tylko jeden Bóg, a Mahomet jest jego

Prorokiem! W imię Najwyższego, powiedz mi, o beju, co chcesz uczynić z tymi kamieniami? Wydać tyle tysięcy worków z pieniędzmi na takie rzeczy! Czyż to możliwe, że lud twój, jak mówisz, uczy się z nich mądrości, czy też, jak mówi czcigodny kadi, bożki te pójdą do pałacu królowej, która modli się do nich jak inni niewierni? Bo jeżeli chodzi o mądrość, to posągi te nie nauczą was robić lepszych noży, nożyczek i barwnych materiałów, a przecież w wytwarzaniu tych rzeczy Anglicy pokazują swą mądrość. Ale Bóg jest wielki! Oto kamienie, które od czasów świętego Noego, pokój niechaj będzie z nim, były tu pogrzebane. A może już przed potopem leżały pod ziemią!

Od wielu lat żyję w tym kraju. Przede mną ojciec mój i ojciec mego ojca rozbili tu swoje namioty, nigdy wszakże nie słyszeli nic o tych posągach. Od dwunastu stuleci prawdziwi wierni — a tylko oni, Bogu niechaj będzie chwała, posiadają prawdziwą mądrość — osiedli w tym kraju, a żaden z nich nie słyszał nigdy o jakimś podziemnym pałacu ani nie słyszeli o nim ci, co byli tu przed nimi.

I patrz!

Oto przychodzi cudzoziemiec z Zachodu, z kraju odległego o wiele dni drogi, idzie prosto przed siebie na wiadome mu miejsce, bierze laskę, przeciąga linię w jedną stronę, przeciąga linię w drugą stronę.

«Tutaj — powiada — jest pałac, a tam — powiada — jest brama», i pokazuje nam to, co przez całe nasze życie leżało pod naszymi stopami, a my nic o tym nie wiedzieliśmy.

Cudowne! Cudowne!

Czy nauczyłeś się tego z książek, od czarnoksiężników, czy od waszych proroków?

Mów, o beju! Powiedz mi tajemnicę mądrości!”

Noc zapadała, a ze wzgórza Nimrud wciąż jeszcze rozbrzmiewały krzyki i wrzawa. Wśród muzyki i tańców, wśród dźwięku cymbałów obchodzono pomyślne zakończenie prac. Uskrzydlony byk, biały i olbrzymi, leżał na wozie spoglądając na zmieniony świat...

Następnego rana przystąpiono do przewiezienia posągów na brzeg rzeki. Bawoły

zaprzężone do monstrualnej platformy nie były w stanie uciągnąć olbrzymiego ciężaru. Layard poprosił o pomoc. Szejk dał mu ludzi i liny. Sam obok Layarda jechał na czele pochodu, aby wskazywać drogę. Za nimi tanecznym krokiem szli muzykanci wygrywając na bębnach i piszczałkach, czyniąc hałas, na jaki tylko stać było ich instrumenty.

„Za nimi — pisze Layard — toczył się wóz. Ciągnęło go około trzystu ludzi popędzanych przez kawasów i nadzorców. Pochód zamykały kobiety, które piskliwymi okrzykami podtrzymywały entuzjazm Arabów. Jeźdźcy Abd-el-Rahmana uwijali się dokoła tej ciżby ludzkiej, popisywali się różnymi sztukami, wyskakiwali do przodu, staczali inscenizowane potyczki."

Jednak jeszcze nie wszystkie trudności były przezwyciężone. Wóz dwa razy utknął w miejscu. Załadowanie posągów na tratwy było nie lada zadaniem; Layard pocił się ze strachu i zdenerwowania. Załadowanie na tratwy znacznie lżejszych płyt z płaskorzeźbami, które już przedtem wysłał do Anglii, nie nastręczało nawet połowy tych trudności. Wyprawił je wtedy z Mossulu do Bagdadu, stamtąd zaś do Basry nad Zatoką Perską, gdzie przeładowanie na statki morskie przy pomocy wszystkich istniejących tam urządzeń technicznych było już rzeczą najłatwiejszą. Tym razem jednak ze względu na olbrzymią wagę tych uskrzydlonych kolosów chciał uniknąć przeładunku w Bagdadzie, którego osobiście nie mógł nadzorować.

Flisacy z Mossulu nawet słyszeć nie chcieli o podjęciu się tego zadania. Załamywali ręce: przecież nigdy w życiu jeszcze nie dopłynęli swymi tratwami do Basry! I tylko dzięki przypadkowi — pewnemu bagdackiemu flisakowi groziło więzienie z powodu długów — zdołał Layard kosztem wielkich ofiar pieniężnych przeprowadzić swój zamiar i wysłać ładunek bezpośrednio do Basry. Przy tym nie spotkało go to, co Bottę, któremu posągi, jak wiemy, zatonęły w Tygrysie.

Bóstwa-kolosy, uskrzydlone zwierzęta o ludzkich głowach, które przez dwadzieścia osiem wieków spoczywały w ziemi, wyruszyły w daleką drogę. Przebyły tysiąc kilometrów płynąc tratwą w dół Tygrysu. Potem przebyły dalsze dwadzieścia tysięcy kilometrów płynąc przez dwa oceany dokoła Afryki (Kanał Sueski otwarto dopiero w

1869 roku) do Londynu. Tu w British Museum znalazły nową siedzibę.

Zanim Layard zakończył, przynajmniej na razie, swe prace wykopaliskowe pod wzgórzem Nimrud, raz jeszcze z notatnikiem w ręku obszedł wokoło odsłonięte przez siebie pałace. Oto końcowy opis z jego książki *Niniveh and its Remains,* która w następnych latach stała się głośna:

„Wychodzimy na owo sztuczne wzniesienie, lecz nie widzimy jeszcze żadnego wystającego z ziemi kamienia: nic, tylko szeroki, płaski wyż, po części pokryty bujnym łanem dojrzałego jęczmienia, po części zaś żółty i spalony, bez żadnej roślinności z wyjątkiem kilku mizernych ostów. Gdzieniegdzie widać jakieś niskie czarne kopy; pośrodku nich cienki słup dymu wzbija się w górę. To namioty Arabów, dokoła których włóczy się kilka starych kobiet budzących politowanie swoim wyglądem. Ówdzie znowu dostrzeżesz może jedną lub dwie arabskie dziewczyny, jak wyprostowane, pewnym krokiem, z dzbanem wody na ramieniu lub wiązką chrustu na głowie wchodzą na wierzchołek wzgórza.

Tymczasem z boków pojawiają się jakby spod ziemi jakieś dziko wyglądające istoty z rozwianym włosem, których ciało okrywa tylko lekka, szeroka i krótka koszula; jedne wśród tanecznych podskoków i błaznując, wszystkie jednak jak zwariowane latają tam i z powrotem. Każdy z tych ludzi dźwiga na głowie kosz. Doszedłszy do krawędzi opróżnia go podnosząc tuman kurzu, po czym tak prędko, jak tylko może, biegnie z powrotem, tym samym tanecznym krokiem, tak samo jak przedtem krzycząc i wymachując koszem nad głową. Potem, tak samo nagle jak przyszli, znikają, jak gdyby zapadli się w ziemię. To robotnicy wynoszący gruz z ruin.

Zejdźmy teraz po wykopanych w ziemi schodach do największego rowu. Na głębokości dwudziestu stóp znajdujemy się nagle między dwoma uskrzydlonymi lwami o ludzkich głowach, tworzącymi portal. W podziemnym labiryncie panuje ruch i zamieszanie. Arabowie pędzą w najróżniejszych kierunkach, jedni dźwigając napełnione ziemią kosze, inni przynosząc swym towarzyszom dzbany wody.

Chaldejczycy w swych pasiastych ubraniach i dziwnych stożkowatych kołpakach na głowie rozbijają kilofami twardy grunt, za każdym uderzeniem podnosi się gęsty obłok miałkiego pyłu. Z jakiegoś odległego wzgórza dochodzą od czasu do czasu dźwięki dzikich melodii kurdyjskiej muzyki, pracujący zaś Arabowie, ledwo je usłyszą, wznoszą wojenne okrzyki i pracują ze zdwojoną energią.

Przejściem pomiędzy lwami wchodzimy do głównej hali. Po obu stronach widzimy uskrzydlone gigantyczne figury, jedne o głowie orła, inne znów całkiem podobne do ludzi, z mistycznymi symbolami w rękach. Po lewej stronie — znowu portal flankowany przez uskrzydlone lwy. Jeden z nich wszakże zwalił się w poprzek wejścia, tak że z trudem znajdujemy dosyć miejsca, aby się pod nim przeczołgać. Nad portalem wystaje uskrzydlony posąg i dwie płyty z płaskorzeźbami; są jednak tak uszkodzone, że nie możemy niemal rozpoznać, co przedstawiają.

Odtąd nie widać już żadnego śladu muru, jakkolwiek głęboki rów ciągnie się dalej. Znikła również przeciwległa ściana hali, widzimy przed sobą tylko ścianę ziemi. Przy dokładniejszym zbadaniu znajdujemy jednak ślady, iż stał tu niegdyś mur. Świadczą o tym cegły z niepalonej gliny, które zresztą od dawna przybrały tę samą barwę, co otaczająca ziemia.

Alabastrowe płyty, które poodpadały od ścian, są teraz znowu ustawione. Wchodzimy więc do labiryntu małych płaskorzeźb przedstawiających rydwany, jeźdźców, bitwy, oblężenia. A może zdarzy się, że robotnicy akurat przy nas po raz pierwszy ustawią taką płytę? Czekamy z niecierpliwością, co nam ta rzeźba ukaże — jakie nowe doniosłe wydarzenie z dziejów Asyrii, jaki nieznany zwyczaj, jaki obrzęd religijny?

Przewędrowawszy około stu stóp pomiędzy tymi rozsianymi reliktami dawnych dziejów i dawnej kultury, dochodzimy do drogi wiodącej przez bramę tworzoną przez dwa gigantyczne uskrzydlone byki z żółtego piaskowca. Jeden z nich jest jeszcze cały, drugi natomiast zwalił się na ziemię i potrzaskał — jego olbrzymia ludzka głowa leży u naszych stóp.

Idziemy dalej. Widzimy inną uskrzydloną postać trzymającą w ręku delikatny kwiat; wręcza go prawdopodobnie jako dar ofiarny — uskrzydlonemu bykowi. Obok tego

posągu znajdujemy osiem pięknych płaskorzeźb. Oto król na polowaniu: właśnie pokonał lwa i dzikiego byka. Oto wojownicy oblegają jakiś zamek bijąc w jego mury taranem. Doszliśmy teraz do końca hali i widzimy rzeźbę wyjątkowej piękności: dwóch królów, w asyście skrzydlatych postaci, stoi przed emblematem najwyższego bóstwa; między nimi Święte Drzewo. Przed tą płaskorzeźbą znajduje się kamienne podwyższenie, na którym, być może, stał niegdyś tron asyryjskiego monarchy, gdy sprowadzano przed jego oblicze pojma-nych wrogów lub gdy przyjmował swych dworzan.

Po lewej stronie jest czwarte wyjście; tworzą je dwa uskrzydlone lwy. Przechodzimy między nimi i stajemy na krawędzi głębokiego jaru. Na północ od niego wysoko piętrzą się ruiny. Na murach w pobliżu tego jaru widać płaskorzeźby przedstawiające jeńców niosących daniny — kolczyki, bransolety, małpy. Widzimy także dwa olbrzymie byki oraz uskrzydlone posągi ponad czternaście stóp wysokie, leżące prawie na krawędzi jaru.

Ponieważ z tej strony jar ogranicza ruiny, musimy powrócić do żółtych byków. Przedostajemy się tworzonym przez nie wejściem i wchodzimy do komnaty otoczonej posągami o orlich głowach. Na jednym jej końcu znajduje się brama strzeżona przez dwa posągi — kapłanów lub bóstwa — w środku widzimy inny portal mający po bokach dwa uskrzydlone byki. W jakimkolwiek teraz pójdziemy kierunku, wszędzie napotkamy pokoje i nie znając terenu niebawem musielibyśmy zabłądzić. Ponieważ pozbierany gruz na ogół usypywano w środku pokoi, więc całe wykopalisko składa się z mnóstwa wąskich przejść, które mają po jednej stronie płyty z alabastru, po drugiej zaś caliznę ziemi; gdzieniegdzie można w niej dostrzec na wpół zagrzebaną, stłuczoną wazę lub lśniącą emaliowaną cegłę. Możemy tak przez godzinę lub dwie wędrować po tej podziemnej galerii i oglądać otaczające nas dziwne rzeźby oraz liczne inskrypcje. Widzimy tu długi poczet królów w asyście eunu-chów i kapłanów, ówdzie znowuż równie długi poczet uskrzydlonych postaci, które niosąc szyszki jodłowe i religijne emblematy zdają się być pogrążone w adoracji mistycznego Drzewa.

Inne wejścia, również flankowane przez pary lwów i byków, prowadzą nas do dalszych komnat. W każdej z ciekawością i podziwem oglądamy coraz to nowe przedmioty. W końcu przez rów ciągnący się po przeciwnej stronie przekopu, którym weszliśmy, wychodzimy zmęczeni z zasypanego pałacu i znowu znajdujemy się na gołym wierzchołku usypiska."

Wreszcie Layard, pod głębokim wrażeniem tej podziemnej wędrówki, dodaje: „Daremnie rozglądamy sdę za jakimś śladem wspaniałych zabytków, które dopiero co widzieliśmy... Gotowi już jesteśmy uwierzyć, że był to tylko sen lub że słuchaliśmy jakiejś wschodniej opowieści. Kto wie, może ludzie, którzy kiedyś znajdą się na tym miejscu, gdy porośnie ono znów trawą, będą mnie podejrzewać, że opisałem tylko jakąś wizję."

Rozdział dwudziesty trzeci

GEORGE SMITH SZUKA IGŁY W STOGU SIANA

Znaleziska Layarda spod wzgórza Nimrud były tak bogate, tak nadspodziewanie wspaniałe, że zaćmiły sukces uzyskany przez Bottę pod Chorsabadem. Łatwo się domyślić, że osiągnąwszy tak świetne wyniki Layard miał się na baczności, by nie narazić swej opinii jakimś nieprzemyślanym eksperymentem, który według wszelkiego prawdopodobieństwa musiałby się skończyć niepowodzeniem.

Spośród wielu pokrytych cegłami wzgórz, które kusiły do nowych wykopów, obrał za cel nowego ataku wzgórze Kujundżyk — to samo usypisko, w którym Botta na próżno kopał przez cały rok dochodząc niemal do granic rozpaczy.

Ten tylko pozornie niedorzeczny wybór świadczy o tym, że Layard był czymś więcej

niż wiedzionym przez swą pomyślną gwiazdę szczęśliwym odkrywcą, że w toku dotychczasowych prac wykopaliskowych zdobył duże doświadczenie, nauczył się właściwie oceniać powierzchnię usypisk i wyciągać wnioski z najdrobniejszych oznak.

Miał więc Layard wszelkie moralne prawo do tego, aby zdarzyło mu się to samo, co zdarzyło się Schliemannowi, gdy ów były kupiec i późniejszy milioner odkopawszy Troję zapuścił rydel w ziemię koło Lwiej Bramy w Mykenach. Wszystkim zdawało się, że jego pierwszy sukces był przypadkowy i nie może być prześcignięty. Tymczasem okazało się, i cały świat musiał to uznać, że dopiero teraz oko ludzkie sięgnąć miało w najgłębsze tajniki zamierzchłej przeszłości, że dopiero teraz z ziemi wynurzyć się miały na światło dzienne skarby ukazujące całą wielkość i bogactwo zaginionej kultury.

Jesienią 1849 roku Layard zaczął kopać we wzgórzu Kujundżyk, naprzeciw Mossulu, na drugim brzegu Tygrysu. Dokopał się jednego z największych pałaców Niniwy!

Przebijając we wzgórzu pionowy szyb natknął się na głębokości dwudziestu stóp na warstwę cegieł. Stąd poprowadził poziome chodniki w najrozmaitszych kierunkach. Natrafił najpierw na portyk, a potem na bramę z uskrzydlonymi bykami po bokach; po czterech tygodniach pracy odkopał już dziewięć izb. Były to komnaty pałacu Sanheryba (704 do 681 roku przed Chr.), jednego z najpotężniejszych, a zarazem i najkrwawszych władców państwa asyryjskiego.

Jedne po drugich wynurzały się z ziemi inskrypcje, obrazy, płaskorzeźby i rzeźby, wspaniałe ściany z emaliowanych cegieł, białe napisy na turkusowym tle — wszystko to pełne mrocznego przepychu, utrzymane w dziwnie zimnej tonacji barw, wśród których przeważały czarna, żółta i ciemnoniebieska. Płaskorzeźby i rzeźby odznaczały się niezwykłą żywością i siłą wyrazu, a drobiazgowym naturalizmem znacznie przewyższały okazy znalezione we wzgórzu Nimrud.

Z Kujundżyku pochodzi wspaniała (powstała prawdopodobnie za Asur-banipala) płaskorzeźba śmiertelnie trafionej lwicy: raniona w rdzeń pacierzowy, z zadem osuwającym się już bezwładnie ku ziemi, jeszcze pręży przednią część tułowia i

podnosi głowę do potężnego ostatniego ryku. Jest w tej płaskorzeźbie taka sugestywność kompozycji, taka moc artystycznej ekspresji, że zaliczyć ją należy do najznakomitszych dzieł, jakie zna Zachód ze swej własnej historii i z czasów zamierzchłej przeszłości.

Odtąd nasza wiedza o Niniwie — mieście pełnym grozy, ale zarazem wielkim i majestatycznym, które Biblia kolejno sławi, potępia i przeklina — nie ogranicza się już do słów wyrzeczonych przez kilku proroków. Odkopana łopatą Layarda, Niniwa wyjrzała na światło dnia.

Nin, wielka bogini międzyrzecza Tygrysu i Eufratu, dała nazwę prastaremu miastu. Już Hammurabi, prawodawca, wspomina około 1930 roku przed Chr. o świątyni bogini Isztar, wokół której miasto się rozłożyło. Ale wówczas gdy Assur i Kalchu były już stolicami, Niniwa wciąż jeszcze pozostawała miastem prowincjonalnym.

Sanheryb, stroniąc od Assuru, dawnej rezydencji swego ojca, uczynił z Niniwy stolicę państwa, które obejmowało całą Babilonię aż po Syrię i Palestynę, a na wschodzie sięgało do obszarów zamieszkałych przez dzikie, nie dające się ujarzmić plemiona górskie.

Za Asurbanipala Niniwa przeżywa okres swej świetności. Jest naówczas miastem, „gdzie kupcy są liczniejsi niźli gwiazdy na niebie", jest ogniskiem politycznym i gospodarczym, ale zarazem i ogniskiem kultury, nauki i sztuki. Jest Rzymem okresu cezarów. Ale już za jego syna, Sin-szar-iszkuna, który panował tylko siedem lat, pod murami miasta pojawił się Kiaksares, król Medów, z armią wzmocnioną przez Persów i Babilończyków. Obiegł miasto, zajął je, zburzył jego mury i pałace, pozostawił tylko gruzy i zgliszcza.

A że stało się to w 612 roku przed Chr., więc Niniwa była stolicą nie dłużej niż dziewięćdziesiąt lat. Ileż zatem wydarzeń musiało zajść w ciągu tych dziewięćdziesięciu lat, jeżeli dwadzieścia pięć wieków przetrwała żywa sława tego miasta, symbolu wielkości, z którą szła w parze groza i potęga, sybarytyzm i cywilizacja, rozkwit i nagły upadek, zbrodnicza wina i zasłużona kara!

Dzisiaj znamy już te wydarzenia. Dziś, dzięki dociekliwości i domyślności

archeologów i znawców pisma klinowego, wiemy już tyle o życiu obydwu władców, Sanheryba i Asurbanipala (a także ich poprzedników i następców), że możemy powiedzieć: Niniwa zapisała się w pamięci ludzkiej bodaj że głównie przez mordy i grabież, ucisk i pohańbienie słabszych, wojny i nieszczęścia wszelkiego rodzaju, przez krwawy poczet władców, którzy panowali jedynie przy pomocy terroru. Niewielu z nich zdążyło umrzeć śmiercią naturalną, lecz po nich następowali jeszcze gorsi.

Sanheryb to pierwszy na pół obłąkany cezar na tronie pierwszej w dziejach świata metropolii o światowym cywilizatorskim znaczeniu, tak jak w czasach znacznie późniejszych Neron stał się nim pierwszy na tronie Rzymu. Niniwa to asyryjski Rzym, to miasto podniesione do kwadratu. Zrazu stolica, staje się potem metropolią, miastem olbrzymich pałaców, olbrzymich placów i olbrzymich ulic, miastem nowych, nigdy jeszcze nie spotykanych triumfów technicznych. Jest miastem cienkiej warstwy panującej — obojętnie, czy władzę swą wywodziła z krwi, rasy, szlachectwa, pieniądza lub gwałtu, czy też z przemyślnego połączenia wszystkich tych źródeł, ale zarazem i miastem bitej, wyzutej z praw, szarej masy ludzi wyzyskiwanych, którzy (chociaż niejednokrotnie wśród zręcznych frazesów nadawano im pozory wolności) są niewolnikami i muszą pracować (mówią im: dla dobra ogółu) i przelewać krew na wojnie (mówią im: dla dobra narodu). Ta wiecznie płynna masa, wiecznie — niby powracający w dwudziestoletnich odstępach przypływ morski — oscylująca między rewoltą socjalną i bezpieczną obrożą niewoli, jest ślepa, wierząca i tak samo gotowa na ofiary, jak gotowe na ofiarę jest bydło stojące po wielkich podwórcach Niniwy i innych miast — miast już nie jednego Boga, lecz wielu bogów, częstokroć sprowadzonych z daleka, pozbawionych swej dawnej mocy twórczej, miast kłamstwa i propagandy, miast polityki jako rzemiosła wiecznego zakłamania.

Takim miastem była Niniwa.

Widać ją było z daleka, migocącą frontem swych pałaców, które odbijały się w wodach Tygrysu. Otaczał ją mur zewnętrzny i wielki mur noszący nazwę: „Ten, którego groźny blask powala nieprzyjaciół.” Wzniesiony na fundamencie z kamieni

ciosowych był on na czterdzieści cegieł gruby i na sto cegieł wysoki, co stanowi dziesięć metrów grubości i dwadzieścia cztery metry wysokości. Wiodło przezeń piętnaście bram. Wzdłuż wielkiego muru biegł na czterdzieści dwa metry szeroki rów, nad którym koło Bramy Ogrodów rozpięty był most na kamiennych arkadach, w owym czasie cud sztuki budowlanej.

Po stronie zachodniej stał pałac: „Ten, który nie ma sobie równego", pyszna rezydencja Sanheryba. Stare budowle, które przeszkadzały nowemu planowi zabudowy, kazał Sanheryb wyburzyć, tak jak później uczynił to imperator rzymski August, gdy w miejsce Rzymu z cegieł wybudował Rzym marmurowy (i tak jak w czasach najnowszych postąpił Hitler, gdy przeprowadzał nowe „osie" przez swą stolicę).

Szał budowlany Sanheryba osiągnął swój punkt szczytowy w pomyśle zrealizowanym w mieście Assur, gdzie na powierzchni 16 000 metrów kwadratowych dokoła świątyni boga Assur wykuto w skale otwory, połączono je podziemnymi kanałami i wszystko to wypełniono ziemią, bo władcy strzeliło do głowy, że na tym miejscu ma powstać ogród.

Sanheryb rozpoczął swe rządy od tego, że „uszlachetnił" swe drzewo genealogiczne. Wyrzekł się swego ojca Sargona i wywiódł swój ród od królów sprzed potopu, od półbogów, jak Adapa i Gilgamesz. (Można i do tej skłonności znaleźć historyczne paralele, bardzo zaś myliłby się, kto chciałby je uważać za przypadkowe: rzymscy cesarze sami koronowali się na bogów i kazali stawiać sobie posągi we wszystkich prowincjach. A czyż w naszym współczesnym świecie zachodnim pierwsi dyktatorzy również nie pretendowali do miejsca na nowym Olimpie, twierdząc, iż posiedli nieomylność? Lud szemrając wprawdzie, lecz w końcu zawsze powolny, gorliwie im to potwierdzał w transparentach obnoszonych po ulicach miast.)

„Sanheryb — pisze Meissner — był pod każdym względem niezwykłym człowiekiem. Niezmiernie uzdolniony, entuzjazmował się sportem, sztuką i nauką, a przede wszystkim techniką. Ale wszystkie te zalety przekreślał jego arbitralny, porywczy charakter. Zmierzał do wytkniętego celu nie zważając na to, czy wykonanie

danego zamiaru jest w ogóle możliwe. Dlatego też był skrajnym przeciwieństwem dobrego męża stanu."

Jego panowanie daje się określić jednym słowem: wojna. Wojował w Babilonii, podejmował wyprawy wojenne przeciw Galejczykom i Kasytom, w 701 roku pociągnął na Tyr, Sydon, Askalon i Ekron, a także przeciwko Ezechiaszowi judzkiemu, którego doradcą był prorok Izajasz. Chełpił się tym, że w kraju judejskim zdobył czterdzieści sześć twierdz i niezliczoną ilość wsi. Pod Jerozolimą jednak przeżył swą klęskę Warusową. Izajasz głosił:

„Nie wnidzie on do tego miasta ani tam wystrzeli strzały, ani się doń zbliży z tarczą, ani usypie koło niego wału.

I wyszedł Anioł Pański, i poraził w oboziech asyryjskich sto osiemdziesiąt pięć tysięcy luda; a kiedy rano mieli powstać, patrz, same oto trupy martwych leżały."

To zaraza morowa (dziś wiemy: *malaria tropica)* pobiła jego wojsko. Podejmował wyprawy, „spacery wojskowe", na Armenię. Wciąż, prawie bez ustanku, walczył z Babilonem, który nie chciał uznać władzy jego despotycznych namiestników. Na czele floty dotarł aż do Zatoki Perskiej. Jak szarańcza spadał ze swymi zastępami to na jeden, to na inny kraj. Jego opowiadania o własnych czynach są chełpliwe, a podawane w nich liczby — oparte na czczych wymysłach. (Ton tych relacji najzupełniej odpowiada przemówieniom, jakie do swych ludów i wojsk zwykli wygłaszać współcześni dyktatorzy w przekonaniu, że większość im uwierzy. Czyż nam, potomnym, pociechą ma być fakt, że jeden z naszych archeologów znalazł w ruinach Babilonu cegiełkę, na której wyryte było takie oto lapidarne zdanie: „Jeśli się tak rozejrzeć dokoła, to ludzie wszyscy razem są głupi"?)

Podobieństwa wszystkich tych zjawisk nie doszukujemy się rozmyślnie. Gdy umie się widzieć epoki historii narodów nie tylko w ich kolejnym następstwie, ale także obok siebie, jedną przy drugiej, podobieństwo to występuje samo przez się.

Sanheryb przekroczył wszelką miarę despotyzmu, gdy w 689 roku przed Chr. postanowił zetrzeć ostatecznie z oblicza ziemi zbuntowany ponownie Babilon (zetrzeć

w ów gruntowny sposób, dla którego w drugiej wojnie światowej ukuto słowo *ausradieren* — wymazać, a nawet czasownik od Coventry — *coventrieren).* W Babilonie wymordowano takie masy mieszkańców, że stosy trupów zabarykadowały ulice. Zburzono domy prywatne; świątynię Esagila wraz z wieżą przyświątynną strącono do kanału Arachtu. W końcu miasto zalano wodą, tak że ulice, place i domy znikły z powierzchni ziemi. Ale rozjuszonemu Sanherybowi to faktyczne zniszczenie miasta nie wystarczało. Chciał je zniszczyć także symbolicznie. Kazał więc ziemię z Babilonu załadować na statki, wywieźć aż do Tilmunu i rozproszyć na cztery wiatry.

To wreszcie, zdaje się, przywróciło mu spokój i pozwoliło zająć się sprawami wewnętrznej polityki państwa. Aby spełnić życzenia swej faworyty Nakiji, kazał obwołać następcą tronu Asarhaddona, jednego ze swych młodszych synów. Wyrocznię bogów zmusił do zaaprobowania tej decyzji. Zebrał też coś w rodzaju zgromadzenia ludowego, w którym wzięli udział starsi bracia Asarhaddona, urzędnicy asyryjscy i masy ludu. Gdy zapytał, czy wyrażają swą zgodę, odpowiedzieli: „tak". Ale pod koniec 681 roku starsi bracia, wierni tradycji, napadli na ojca, gdy w świątyni Niniwy modlił się do swego boga, i zabili go. Tak skończył Sanheryb.

Wszystko to jednak stanowiło tylko część krwawej historii, którą Layard odsłonił swym rydlem. Drugą część wydobył na światło dzienne, gdy w dwóch pomieszczeniach, widocznie dobudowanych do pałacu Sanheryba w późniejszym okresie, znalazł bibliotekę.

Określenie „biblioteka" nie jest tu użyte niewłaściwie. Jeżeli zaś mierzyć ją miarą naszych obecnych księgozbiorów, nie jest też przesadzone, bezcenny bowiem zbiór odnaleziony przez Layarda obejmował trzydzieści tysięcy tomów! Pomyśleć: biblioteka składająca się z trzydziestu tysięcy cegiełek.

Asurbanipal (668 do 626 roku przed Chr.), wyniesiony na tron przez swą babkę, dawną faworytę Sanheryba, był pod względem charakteru skrajnym jego przeciwieństwem. Pozostawione przez niego inskrypcje, częstokroć nie mniej pyszałkowate niż inskrypcje Sanheryba, zdradzają pokojowe usposobienie, skłonność do beztroskiego życia i spokoju. Z tego nie wynika, jakoby Asurbanipal nie prowadził

wojen. Bracia (jeden z nich, starszy kapłan boga księżyca, zadziwia długością swego imienia Assur-etil-szame-irsiti-ubalitsu), w szczególności zaś Szamasz-szum-ukin, osadzony jako król na tronie Babilonu, przysparzali mu wiele kłopotów. Asurbanipal rozgromił państwo Elamitów, zdobył odbudowane przez swego bezpośredniego poprzednika miasto Babilon, nie zburzył go wszakże, jak Sanheryb, lecz owszem, obszedł się z nim łaskawie. (Nawiasem mówiąc, podczas tego oblężenia, które trwało dwa lata, kwitł w Babilonie „czarny rynek", owa nielegalna forma życia gospodarczego, którą dziś, po 2500 latach i przeżytych ostatnio dwóch wojnach światowych, zwykliśmy uważać za nie znaną przedtem w dziejach, na wskroś współczesną formę chaosu gospodarczego. Trzy silony, czyli dwa i pół litra zboża, kosztowały wówczas sykla, to jest 8,4 grama srebra; za tę cenę w czasach normalnych otrzymywano w Babilonie sześćdziesięciokrotnie większą ilość zboża.)

Poeta sławi Asurbanipala słowami, których nigdy nie mógłby powiedzieć o Sanherybie:

Spoczywał oręż zbuntowanych wrogów,
woźnice rydwanów uwolnili swe zaprzęgi,
spiczaste włócznie leżały bezczynnie,
zwisały cięciwy nie napiętych łuków;
w karbach trzymani byli gwałtownicy,
co zwadę czynili z nieprzyjacioły.

Ni w domu, ni w mieście
nikt gwałtem nie brał mienia swego towarzysza,
na obszarze całego kraju
nie było człowieka, co by czynił szkodę.
Ktokolwiek szedł samotnie swą drogą,
bezpiecznie wędrował dalekim gościńcem.
Nie było zbójcy, co by krew przelewał,

nikt nikomu nie zadawał gwałtu.
George Smith szuka igły w stogu siana
Ziemie były spokojną siedzibą,
jak gaj oliwny kwitły cztery strony świata.

Imię swe Asurbanipal wsławił jednak na wieczne czasy biblioteką, którą założył, „aby samemu w niej czytać". Znalezienie tych cegiełek było ostatnim wielkim triumfem Layarda jako poszukiwacza. Potem ustąpił on miejsca innym i powrócił do Anglii, aby poświęcić się karierze politycznej.

Biblioteka ta była kluczem do kultury asyro-babilońskiej. Zestawiona jest systematycznie. Część tabliczek nabył król od prywatnych posiadaczy; składały się one po większej części z kopii, które kazał sporządzać we wszystkich okręgach swego państwa. Gdy jednego ze swych urzędników, Szadanu, wyprawiał do Babilonu, dał mu takie oto polecenie:

„W dniu, w którym otrzymasz mój list, weźmiesz ze sobą Szurnę, jego brata Bel-etira, Apla i artystów z Borsippy, których znasz, i pozbierasz tyle tabliczek, ile tylko ich jest po domach, tudzież wszystkie tabliczki, które leżą w świątyni Ezida."

List ten kończy Asurbanipal następującymi słowami: „Szukajcie cennych tabliczek, z których nie ma odpisów w Asyrii, i przynieście mi je! Napisałem teraz do przełożonego Świątyni i do burmistrza Borsippy, że ty, Szadanu, masz przechować tabliczki w swoim lamusie i że każdy powinien ci je bez oporu oddawać. Jeżeli uznacie, że jakaś cegiełka lub tekst obrzędowy nadaje się do pałacu, to szukajcie ich, zabierzcie i przyślijcie mi je!"

Prócz tego pracowali dla niego uczeni i całe „zgromadzenie biegłych w szlachetnej sztuce pisarskiej". Zebrał tym sposobem bibliotekę, która reprezentowała całą wiedzę owych czasów, wiedzę stojącą zresztą pod silnym wpływem magii, zabobonnych wierzeń i czarnoksięstwa. Toteż większą część księgozbioru Asurbanipala stanowią dzieła o nauce zaklęć, wróżb i obrzędów. Ale nie brak w niej także mnóstwa dzieł medycznych, chociaż noszą one charakter wybitnie znachorski, oraz dzieł z dziedziny

filozofii, astronomii, matematyki i filologii (Layard znalazł we wzgórzu Kujundżyk tzw. tabliczki „uczniowskie", które przyczyniły się w ogromnej mierze do odcyfrowania III klasy pisma klinowego).

Znalazły się wreszcie i dynastyczne listy królów, notatki historyczne, polityczne zapiski pałacowe, a nawet i literatura poetycka: epiczno-mityczne opowieści, pieśni i hymny, a wśród nich cegiełki, na których spisane było największe dzieło starożytnego Międzyrzecza, pierwszy wielki epos w historii ludzkości, podanie o wspaniałym i straszliwym Gilgameszu, który był w dwóch trzecich bogiem, a w jednej trzeciej człowiekiem.

Tabliczki te wszakże znalezione zostały już nie przez Layarda. Znalazł je człowiek, który na krótko przedtem został przez pewną ekspedycję uwolniony z ciężkiej dwuletniej niewoli w Abisynii. Gdyby Layard odkrył jeszcze i te tabliczki, jego sława doprawdy przebrałaby miarę. Epos Gilgamesza bowiem był nie tylko interesujący pod względem literackim. Zawierał on opowieść, która rzuciła zupełnie nieoczekiwane światło na naszą najdawniejszą przeszłość, opowieść o zdarzeniach, których jeszcze dziś uczą się w szkole wszystkie dzieci Europy, chociaż do czasu odkrycia w Kujundżyku nikt nawet nie podejrzewał, skąd się ta historia faktycznie wywodzi.

Hormuzd Rassam był pomocnikiem Layarda. Gdy zaś Layard rozpoczął swą karierę ministerialną, Muzeum Brytyjskie powołało Rassama na jego następcę.

Rassam był chaldejskim chrześcijaninem. Urodził się w 1826 roku w Mossulu nad Tygrysem. W 1854 roku jest tłumaczem angielskiego ministra-rezydenta w Adenie, a wkrótce potem, mając zaledwie trzydzieści lat, zostaje wicerezydentem. W 1864 roku został wysłany w misji specjalnej do króla Abisynii Teodora. Autokratyczny Teodor, czarny król, który w toku swego panowania dowiódł, że nie był malowanym królem, kazał go uwięzić. Dwa lata spędził Hormuzd Rassam w lochach abisyńskich, dopóki nie uwolniła go ekspedycja Napiera. Wkrótce potem rozpoczął swe prace wykopaliskowe pod Niniwą.

Prowadził je z nie mniejszym prawie powodzeniem niż Layard. Brak mu jednak było dwóch rzeczy, które Layarda przywiodły do sławy: szczęścia, żeby jak Layard być pierwszym i móc dzięki temu wyzyskać sensacyjną nowość dokonanych odkryć, oraz owej fascynującej zdolności, z jaką Layard, światowiec i późniejszy dyplomata, umiał w barwnych opisach i świetnych sformułowaniach, rzucając śmiałe hipotezy, przedstawić swe odkrycia światu naukowemu i szerokiej publiczności.

Jakże umiałby to „podać" Layard, gdyby w przekopanym juz wszerz i wzdłuż wzgórzu Nimrud odkrył jeszcze jedną świątynię, długą na pięćdziesiąt metrów i na trzydzieści metrów szeroką! W jak bogatych barwach umiałby opisać stłumienie rewolty robotników, którą Rassam zdusił żelazną ręką w momencie, gdy pod Balawat, czternaście kilometrów na północ od Nimrud, odkopał nie tylko świątynię Asurnasyrpala, lecz także szczątki tarasowego miasta, a wśród niezliczonych innych znalezisk wysoką na prawie siedem metrów dwuskrzydłową bramę z brązu, pierwszy i jedyny wówczas dowód, że w pałacach Międzyrzecza w ogóle istniały drzwi i bramy. Z jakąż wreszcie wspaniałą prostotą stylu, świadomie zniewalając czytelnika wyrazem kornego podziwu, opisałby znalezienie eposu Gilgamesza, choćby — tak samo jak Rassam — nie umiał go od razu w pełni ocenić.

To dzieło bowiem, które pozwoliło wniknąć głęboko w niezbadane tajemnice przeszłości, poznano w pełni dopiero z biegiem lat. Dziś oczywiście każda historia literatury powszechnej wymienia je na pierwszych stronicach. Współcześni autorzy ułatwiają sobie jednak zadanie: cytują zeń jakie dziesięć wierszy, dają ich literacką ocenę, wskazują na ten epos jako na praźródło wszystkich opowieści epicznych, ale mało obchodzi ich treść całego dzieła, choć w istocie prowadzi ono do źródła naszego rodu ludzkiego, do praojca we własnej osobie. Natrafienie na ślad tego źródła jest zasługą człowieka, który zmarł już w cztery lata po dokonaniu swego odkrycia, a którego tuzinkowe nazwisko spotyka się dziś w historii archeologii — jakże niesłusznie — tylko w marginesowych uwagach i przypisach.

Tym człowiekiem był George Smith, również *Outsider* na polu archeologii, gra wer pieczęci i banknotów, urodzony 26 marca 1840 roku w Chelsea pod Londynem,

samouk, który wieczorami w swej izdebce oddawał się z niestrudzoną gorliwością studiom nad pierwszymi publikacjami z dziedziny asyriologii. Mając dwadzieścia sześć lat napisał kilka małych artykułów o niektórych wątpliwych jeszcze znakach pisma klinowego. Artykuły wzbudziły zainteresowanie fachowców. W kilka lat później Smith jest już asystentem działu egipsko-asyryjskiego Muzeum Brytyjskiego w Londynie. Gdy w 1876 roku zmarł przedwcześnie, przeżywszy zaledwie trzydzieści sześć lat, dorobek jego obejmował około tuzina książek, a nazwisko związane było z doniosłymi odkryciami.

Ten właśnie były gra wer ślęczał w 1872 roku nad cegiełkami nadesłanymi do Muzeum Brytyjskiego przez Hormuzda Rassama i usiłował je odcyfrować.

W owym czasie nikt jeszcze nie wiedział, że istniała niegdyś literatura asyro-babilońska, której dzieła zasługiwały na to, aby zająć miejsce obok wielkich dzieł literatur późniejszych. Nie to zresztą przykuwało uwagę Smitha, który w gruncie rzeczy był tylko ambitnym naukowcem, prawdopodobnie zupełnie pozbawionym wrażliwości artystycznej. Ledwo zaczął odcyfrowywać tekst, porwało go samo opowiadanie, sama treść. Pasjonowało go to, c o opowiadał epos, a nie jak o tym opowiadał, interesowały zdarzenia, a nie forma, w jakiej były opisane. Im dalej zaś posuwał się naprzód w odcyfrowywaniu tekstów, w tym większe podniecenie wprawiało go to, o czym całkiem mimochodem była mowa na samym końcu.

Dowiedział się więc Smith o wielkich czynach potężnego Gilgamesza. Czytał o człowieku leśnym Enkidu, którego przez ladacznicę-kapłankę zwabiono do miasta, aby pokonał Gilgamesza-pyszałka. Ale heroiczna walka dwóch tytanów pozostała nie rozstrzygnięta. Gilgamesz i Enkidu zawarli przyjaźń, po czym wspólnie dokonali wielkich czynów: zabili strasznego władcę lasu cedrowego Chumbabę i rzucili nawet wyzwanie bogom, ciężko zelżywszy boginię Isztar, która rozmiłowawszy się w Gilgameszu chciała go mieć za kochanka.

Dalej Smith mozolnie odcyfrowując teksty czytał o tym, jak Enkidu zmarł od strasznej choroby, jak Gilgamesz opłakiwał swego druha i nie chcąc podzielić jego losu, wyruszył w drogę, żeby zdobyć nieśmiertelność. Powędrował do Ut-napisztima,

praojca wszystkich ludzi, który, po wielkiej karze zesłanej ongiś przez bogów na ród ludzki, sam tylko ze *swą* rodziną ocalał i którego bogowie potem uczynili nieśmiertelnym.

Ut-napisztim, praojciec, opowiedział Gilgameszowi historię swego cudownego ocalenia. Smith czyta z rozpalonymi oczyma. Lecz akurat w momencie, gdy jego podniecenie przeobrażało się już w pewność wielkiego odkrycia, w tekstach cegiełek odkopanych przez Rassama pojawiać się zaczęły coraz większe luki. Smith przekonał się, że ma przed sobą tylko fragment spisanego tekstu, przy czym część dla niego najistotniejszą, a mianowicie koniec wielkiego eposu, opowiadanie Ut-napisztima, posiadał tylko w ułamkach.

Jednakże to, co do owego momentu wyczytał z eposu Gilgamesza, nie dawało mu spokoju. Nie mógł milczeć. Wśród tak licznych w Anglii znawców Biblii zawrzało. Fakt, że Smithowi przyszedł wtedy z pomocą wielki dziennik angielski, jest wspaniałym przykładem swobodnego ścierania się różnych opinii w demokratycznym kraju. Bo oto londyński „Daily Telegraph" podał do wiadomości, iż stawia do dyspozycji sumę tysiąca gwinei osobie, która zdobędzie resztę tekstów eposu Gilgamesza, to jest uda się do Kujundżyku i przywiezie stamtąd cegiełki z brakującymi napisami.

Pomysł nęcił swą awanturniczością.

George Smith, asystent Muzeum Brytyjskiego, przyjął wyzwanie. Chodziło zaś ni mniej, ni więcej, tylko o to, żeby udać się do Mezopotamii, o tysiące kilometrów od Londynu, i tam w olbrzymim gruzowisku, ledwie tkniętym przez dotychczasowe prace wykopaliskowe — jeśli uwzględnić jego rozmiary — szukać kilku ściśle określonych glinianych tabliczek! Tak jak gdyby chciano wyłowić z jakiegoś jeziora ściśle określoną pchłę wodną czy szukać przysłowiowej igły w stogu siana.

George Smith mimo wszystko przyjął propozycję.

I oto zdarzył się jeszcze jeden niewiarygodny cud w dziejach poszukiwań archeologicznych. Smith znalazł brakujące części eposu Gilgamesza!

Przywiózł ze sobą 384 ułamków cegiełek, w tym brakujące fragmenty historii Ut-

napisztima, która go tak urzekła, gdy tylko wyczytał pierwszą o niej wzmiankę. Historia ta była opowiadaniem o potopie. Nie o jednej z owych katastrofalnych powodzi, jakie spotkać można we wczesnej mitologii wszystkich prawie narodów, lecz o konkretnie określonym potopie, o którym znacznie później opowiada Biblia! Bo Ut-napisztim — to Noe! A oto tekst, o którym mowa: (Przychylny ludziom bóg Ea objawił we śnie swemu ulubieńcowi Ut-napisztimowi, że bogowie zamierzają zesłać karę na ludzi; Ut-napisztim zbudował okręt.)

Wszystko, co miałem, wziąłem ze sobą, cały dorobek mego życia
załadowałem na okręt; rodzinę, wszystkich krewnych.
zwierzęta z pola, bydło z pastwisk, rzemieślników,
wszystko na okręcie pomieściłem.
Wszedłem do okrętu i zawarłem wrota (...)
Gdy wstała poranna jutrzenka,
z widnokręgu nieba wzeszła czarna chmura (...)
Nagle światło dnia w ciemność się zamienia,
brat nie widzi już brata,
mieszkańcy niebios już się nie poznają.
Bogowie ulękli się potopu,
uciekli i w niebie Anu się schronili,
bogowie jak psy skulili się pod ścianą i przylegli cicho (...)
Sześć dni i sześć nocy
wzbierał wicher i potop, srożył się huragan nad ziemią.
Gdy nastał dzień siódmy, burza przycichła,
uspokoiły się wody, które niby wojsko siały spustoszenie.
Fale złagodniały, wiatr przycichł, potop już nie wzbierał.
Spojrzałem na wodę, już się nie burzyła,
wszyscy ludzie w muł się zamienili!
Na wysokość dachu sięgało trzęsawisko! (...)

Patrzałem, gdzie ląd, gdzie horyzont morza;
daleko, bardzo daleko, ukazała się wyspa.
Do góry Nissir dopłynął mój okręt,
góra Nissir zatrzymała okręt, stanął jak na kotwicy (...)
Gdy nadszedł dzień siódmy,
wypuściłem gołębia, dałem mu polecieć,
odleciał mój gołąb, lecz znowu powrócił,
nie miał gdzie spocząć, dlatego powrócił. V
Wypuściłem jaskółkę, dałem jej polecieć, *t*
odleciała moja jaskółka, lecz znów powróciła,
nie miała gdzie spocząć, dlatego wróciła.
Wypuściłem kruka, dałem mu polecieć,
kruk odleciał, zobaczył, że woda opada;
żre, lata, kracze i więcej nie wraca.

Czyż można było jeszcze wątpić, że znaleziony został prawzór biblijnego podania o potopie? Nie tylko podobieństwo samego wydarzenia jest uderzające. Są w eposie Gilgamesza pojedyncze momenty, które później na nowo pojawią się w Biblii. Nie brak nawet gołębicy i kruka, które i Noe wysłał ze swej arki.

Świat współczesny Smithowi, poznawszy ten skreślony pismem klinowym tekst z eposu o Gilgameszu, stanął skonsternowany przed pytaniem: Czyżby prawda Biblii nie była prawdą najstarszą?

Badania wykopaliskowe dokonały jeszcze jednego olbrzymiego skoku w przeszłość. Tym razem jednak wyłaniały się problemy o zupełnie nowych aspektach. Czy historia Ut-napisztima była tylko potwierdzeniem podania biblijnego przez jeszcze dawniejsze podanie? Do niedawna wszystko, co Biblia opowiadała o dziwnym i bogatym kraju między Eufratem i Tygrysem, uważane było za podanie. A czyż nie okazało się, że u podstawy wszystkich tych podań leży jakieś ziarno prawdy?

Czyżby więc i historia o wielkim potopie była czymś więcej niż podaniem?

A jeśli już tak rozumować, to jakich czasów sięga historia Mezopotamii?

Okazało się, że to, co dotychczas uważano za nieprzebyty mur, za którym panuje już tylko mrok bezdziejowości, było jedynie kurtyną; za jej podniesieniem odsłaniała się jeszcze starsza widownia dziejów świata!

Około 1880 roku, a więc w kilka lat po odkryciu George'a Smitha, inny badacz — był nim znowu Francuz i znowu agent konsularny — de Sa-rzec, w toku poszukiwań koło Tello w Babilonii wykopał z piasku posąg, który wykazywał opracowanie artystyczne, jakiego do tego czasu w Mezopotamii nigdy nie spotykano. Prawda, że miał pewne wspólne cechy z dawniejszymi znaleziskami, był jednak bardziej archaiczny, bardziej monumentalny, był dziełem najpierwotniejszej sztuki z okresu dzieciństwa kultury ludzkiej, a w każdym razie znacznie starszy niż dzieła sztuki egipskiej, które do tego czasu uchodziły za najstarsze.

Znalezienie tych prastarych warstw kulturowych i tego prastarego ludu było owocem niezwykle śmiałej hipotezy uczonych. Odkrycie, jakiego przypadkowo dokonał de Sarzec, znakomicie ją potwierdziło.

Tu jednak dotykamy sprawy, która sięga już w czasy późniejsze, bo w lata dwudzieste naszego stulecia. Mało tego, kto wie, czy to nie właśnie za naszych dni znajdzie ona swe rozwiązanie, skoro w 1949 roku wyruszyły trzy ekspedycje, aby na podstawie doniesienia jakiegoś chłopa tureckiego — w ubiegłym wieku uchodziłoby to za czyste wariactwo — szukać na górze Ararat arki Noego.

Wróćmy jednak do czasów, kiedy na przełomie ubiegłego i naszego stulecia pewien Niemiec przystąpił do odkopania Babilonu.

Rozdział dwudziesty czwarty

W 1878 roku dwudziestojednoletni bostoński architekt Francis H. Bacon i jego przyjaciel Clarke wybrali się w drogę, aby odbyć podróż po Grecji i Turcji. Clarke pracował wówczas nad historią architektury doryckiej, Bacon zaś miał do jego książki narysować ilustracje. Prócz skromnej subwencji bostońskiego stowarzyszenia architektów każdy z podróżników posiadał 500 zaoszczędzonych dolarów.

„W drodze z Ameryki do Anglii — pisał Bacon później — obliczyliśmy, ile będzie kosztować wprowadzenie w czyn wszystkich naszych zamiarów, i doszliśmy do wniosku, że mamy za mało pieniędzy, aby to wykonać w zwykłej, normalnej drodze. Postanowiliśmy więc zakupić w Anglii żaglówkę, na której moglibyśmy mieszkać, przepłynąć nią Kanał La Manche, a potem żeglując w górę Renu i w dół Dunaju dotrzeć do Morza Czarnego, dalej zaś przez Konstantynopol i Dardanele na archipelag Egejski i tu krążąc między wyspami zwiedzać stare siedziby greckie. — Wszystko to wykonaliśmy zgodnie z ułożonym planem."

W trzy lata później ci sami, tak niezwykle przedsiębiorczy archeologowie wyruszyli w drugą podróż, tym razem już z większym sztabem współpracowników, w celu przeprowadzenia wykopalisk na południowym wybrzeżu Troady. Byli naukowcami, lecz przy tym młodzi i pełni fantazji.

„4 kwietnia 1881 roku — pisze Bacon — kupiliśmy po długich targach łódź, jakich używa się w porcie smyrneńskim, uwiązaliśmy ją do statku i pozostawiając na wybrzeżu gromadę ludzi żądnych bakszyszu popłynęliśmy do Mityleny." W drodze zatrzymał ich przeciwny wiatr północny. „Skorzystaliśmy z tej przerwy — pisze dalej Bacon — aby oporządzić i pomalować naszą łódź. Kłóciliśmy się o to, jak ją nazwać, a że ani «Arion» ani «Safo», ani żadna inna nazwa klasyczna nie uzyskała jednomyślności, więc w końcu nazwaliśmy ją «Meczitra», co oznacza «Świeży Ser»."

1 kwietnia 1882 roku do tych dwóch rezolutnych podróżników przyłączył się trzeci, który doskonale do nich pasował. Był to Niemiec Robert Koldewey — w dwadzieścia

lat później jeden z najznakomitszych archeologów naszego stulecia.

Miał wtedy dwadzieścia siedem lat. Oto co pisze o nim Bacon pod datą 27 kwietnia 1882 roku: „Koldewey ogromnie zyskuje przy bliższym poznaniu. W sam raz pasuje do Clarke'a i do mnie!" Mamy tu pierwszą opinię o Koldeweyu, wydaną przez kolegę po fachu. Ponieważ jednak wyszła ona spod pióra człowieka, który na małym stateczku przepłynął rzeki całej Europy do Morza Śródziemnego i nadał swej łodzi nazwę „Świeży Ser", a mimo to był poważnym naukowcem, więc znalazła się na stronach naszej książki. Odtąd jednak nie mamy powodu dalej zajmować się Clarkiem ani Baconem. Na liście wielkich archeologów figurują oni daleko w tyle za człowiekiem, którego niegdyś tak łaskawie dopuścili do udziału w swej ekspedycji.

Robert Koldewey urodził się 1855 roku w Blankenburgu w Niemczech. Studiował w Berlinie, w Monachium i Wiedniu architekturę, archeologię i historię sztuki. Od trzydziestego roku życia prowadził prace wykopaliskowe w Assos na wyspie Lesbos. W 1887 roku kopał w Surgulu i El Hibba w Babilonii, potem w Syrii, południowych Włoszech i Sycylii, a w 1894 roku po raz wtóry w Syrii.

Od czterdziestego do czterdziestego trzeciego roku życia był nauczycielem szkoły budowlanej w Görlitz (nie czuł się dobrze w tej roli); potem, w 1898 roku, mając czterdzieści trzy lata, przystępuje do odkopania Babilonu.

Koldewey był człowiekiem niezwykłym; był zwłaszcza w zestawieniu ze swymi kolegami po fachu, niezwykły także jako naukowiec — archeolog. Z archeologią, która w publikacjach uczonych specjalistów na ogół traktowana jest bardzo sucho, łączyło go uczucie głębokiej miłości. Ale rozkochany w swej nauce nie tracił jasnego spojrzenia na kraje i ludzi, na urok otaczającego go świata, nie obojętniał na wszystkie rzeczy radosne i ucieszne, które niósł ze sobą dzień powszedni. Nigdy też pod wpływem poważnego zamiłowania naukowego nie wysychało w nim źródło tryskającego humoru.

Koldewey, uczony archeolog, pozostawił po sobie wiersze — rozbrykane rymy kipiące radością życia, aforyzmy, w których z filuternym zmrużeniem oczu wypowiada wątpliwe prawdy. Nie w latach studenckich, lecz już jako słynny na cały

świat pięćdziesięcioletni profesor nie waha się ogłosić drukiem takiego oto pozdrowienia noworocznego:

Losów przyszłych nie odgadnę,
człowiek w niepewności żyje,
nim do łóżka spać się kładę,
chętnie swój koniaczek piję!

Niezliczone są też jego listy, które błyskotliwą, felietonową nonszalancją budzą nie tylko nieufność, ale i zgorszenie „normalnych", td znaczy zawsze śmiertelnie poważnych uczonych.

Oto na przykład pisze w jednym ze swych listów z podróży po Włoszech: „Dzisiaj w Selinuncie poza wykopaliskami nic się nie dzieje, ale niegdyś było tu istne piekło na ziemi, a dlaczego — nietrudno odgadnąć: jak okiem sięgnąć, cała łagodnie opadająca ku morzu równina faluje zbożem, złoci się wszelkiego rodzaju owocami i winoroślą. Wszystko to należało do Greków z Selinuntu, którzy przez kilkaset lat ze znawstwem i w spokoju spożywali te dary przyrody. Trwało to mniej więcej do 409 roku przed Chr., kiedy na skutek zatargu z Segestańczykami nadciągnęli tu Kartagińczycy i kiedy Hannibal Gisgon począł walić taranami w mury przerażonych mieszkańców Selinuntu, co było z jego strony tym nikczemniejsze, że jeszcze na krótko przedtem Selinunt pomagał Kartaginie. Hannibal rozwalił zaniedbane mury i po dziewięciu dniach straszliwych walk ulicznych — walk, w których damy tego miasta brały żywy udział — szesnaście tysięcy zabitych leżało na ulicach. Kartagińscy barbarzyńcy rabowali i plądrowali, pustoszyli tereny świeckie i świątynne, zdobili swe pasy odrąbanymi rękami i innymi potwornymi rzeczami. Selinunt nigdy się już potem nie podniósł i dlatego dziś po jego ulicach swobodnie biegają sobie króliki. Nieraz wieczorem, gdy wykąpaliśmy już nasze znużone ciała badaczy w spienionych falach wiecznie wzburzonego morza, zdarzało nam się jeść na kolację takiego króla, którego ustrzelił pan Gioffrć i który czekał na nas już upieczony."

W innym liście pisze „z kraju oper i tenorów”: „Jedno w każdym razie jest pewne — tutaj ludzie mają głosy. Człowiek, któremu wysokie C sprawia jakieś trudności, jest uważany za kalekę” — po czym od razu przechodzi do bardzo poważnego omówienia sposobu stawiania świątyń w V stuleciu przed Chr., dopóki od tego tematu nie odciągnie go znowu widok włoskich żandarmów: „...gdy się ich tak widzi przejeżdżających na koniach, w suto szamerowanych frakach i w dumnych trójgraniastych kapeluszach na głowie, snadnie można by ich wziąć za konnych admirałów; jadą tak po szosach, na których nie ma ani żywej duszy, i utrzymują na nich porządek”.

W starożytnym Akragas (Agrygent) odkrył ku swemu zadowoleniu antyczną kanalizację (niedługo potem wpadnie na myśl napisania całej książki o rozwoju kanalizacji). „Urządzenia te — pisze — są dziełem starożytnego ludu «Feaków» i na ich cześć te starożytne kanały nazwano «feakami». W ogóle technicy od samego początku odgrywali tutaj ogromną rolę. Pierwszy tyran Agrygentu, okrutny Falaris, był z zawodu architektem i budowniczym. Gdy zaś budował świątynię na wzgórzu zamkowym, od razu opasał ją murem, wyrzeźbił «byka Falarisa» i rzekł składając bogom ofiary: «Jam jest Falaris, tyran Akragasu.» Było to około 550 roku przed Chr. Dziś chyba naszym kolegom po fachu dosyć trudno zrobić podobną karierę.” Koldewey pisząc te słowa nie przeczuwał, że w 1933 roku dojdzie do władzy człowiek będący poniekąd takim „kolegą po fachu” i wstrząśnie Europą.

Widok świątyni w Himerze pobudził go znów do następującego listu: „Cóż jednak stało się z potężną Himerą!... Tam na dole, tuż koło torów kolejowych, stoją żałosne resztki wspaniałej świątyni, a kilka jej kolumn podpiera bynajmniej nie antyczną oborę. Tak jest, czytelniku, nie omyliłeś się czytając to słowo: oborę, gdzie krowy ocierają się o żłobienia kolumn i w ogóle zachowują się zgoła nie tak, jak trzeba i należy się zachowywać wobec antycznych świątyń. Jedno, co można w tym stanie rzeczy zrobić, to żałować, że nie ma już świątyni, i — zazdrościć krowom. Niejeden niemiecki badacz starożytności dałby wiele za to, gdyby tak mógł przenocować w antycznej świątyni!”

W owych czasach szosy we Włoszech były mało bezpieczne. Kolde-wey był jednak rozczarowany. „Dziesięć lat temu — pisze — szansę spotkania zbójców były jeszcze wcale znaczne, obecnie jednak zmalały do minimum. Owszem, widzieliśmy raz takiego, zdawałoby się, bardzo groźnego zbójcę na szosie przebiegającej przed świątyniami. Stał, groźnie rozstawiwszy nogi, oczy gorzały w spalonej na brąz twarzy, a dziki kalabryjski kapelusz i wszystko, co miał na sobie, pławiło się w takim bogactwie kolorów, jakie dotąd zdarzyło mi się widzieć tylko w widmie słonecznym. Ponieważ w pobliżu znajdowała się winiarnia, szybko weszliśmy do niej. On za nami. Kiedy zaś wdaliśmy się w jakąś zdawkową rozmowę z gospodynią i jej wymownie bujającymi się kolczykami, pytając przy tym o godzinę, wówczas ten groźny opryszek odezwał się w regionalnym niemieckim dialekcie: *'s iśćht no' a Viertelstund bis Fienf.* Pochodził z Wenecji, ale pracował długo w Austrii i Bawarii, no i w ogóle nigdy nie był zbójcą!"

I oto 2 października 1897 roku ten właśnie człowiek, Robert Koldewey, wyznaje jednemu ze swych przyjaciół „pod największym sekretem", że przygotowuje się ekspedycja archeologiczna do Babilonii. Sprawa trochę się jeszcze przewlekła. Lecz 2 sierpnia 1898 roku Koldewey donosi temu samemu przyjacielowi o konferencji odbytej u Richarda Schönego, generalnego dyrektora muzeów berlińskich: „Będziemy odkopywać Babilon!! (stawia po tych słowach dwa wykrzykniki). Pracuję teraz nad projektem instrukcji dla tej ekspedycji. Na razie oblicza się ją na jeden rok. W swym sprawozdaniu zażądałem na wykopaliska babilońskie — na pięć lat prac — sumy 500 000 marek, w tym na pierwszy rok 140 000 marek." 21 września pisze: „Zostałem kierownikiem wykopalisk. Dostaję 600 marek miesięcznie... Mało nie szaleję z radości. Gdyby mi tak szesnaście lat temu ktoś powiedział, że będę odkopywał Babilon, uważałbym go chyba za wariata."

Koldewey okazał się właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Mając trzydzieści osiem lat pisał kiedyś: „Siedzi tam ktoś drugi we mnie i raz po raz powiada: słuchaj, Koldewey, teraz wolno ci zrobić tylko to a to, a wtedy wszystko inne jest mi obojętne." I tak istotnie postępował. Nawet wówczas, gdy świszczały

wokół niego kule rozbójników, korsarzy pustyni, o których istnieniu wątpił, a nawet i wtedy, gdy odkrył wiszące ogrody Semiramidy i odkopał Etemenanki — wieżę Babel!

„Anglicy prowadząc wykopaliska w Babilonii i Asyrii — pisze Koldewey — przebijali przeważnie szyby i tunele! Niektóre z nich są jeszcze dostępne, w większości wypadków jednak zapuszczać się w nie jest rzeczą uciążliwą i mało zachęcającą. Co do mnie, to mam zwyczaj najpierw parę razy wystrzelić do środka, aby spłoszyć zwierzęta — sowy i hieny, które ze strachu niekiedy nie wiedzą, czy mają pożreć intruza, czy nie."

W listach Koldeweya roi się od podobnych uwag. Pewnie, są to tylko marginesowe notatki, podobnie jednak jak uwagi Layarda, cytowane w poprzednim rozdziale, dają one obraz owych tysięcy drobnych przeciwności, na które natrafia naukowiec-archeolog prowadząc wykopaliska. Publikacje naukowe, książki przedkładane światu naukowemu jako owoc wieloletnich prac, nie wspominają zazwyczaj o tych sprawach. Nie mówią o walce z klimatem i chorobami, z brakiem zrozumienia ze strony tubylców, z tępotą miejscowych kacyków, z lichą policją, wszelkiego rodzaju hołotą oraz z krnąbrnością robotników.

Listy pisane przez Koldeweya wspominają także o tych kłopotach. Gdy przejściowo kieruje wykopaliskami w Assurze, pisze: „25 września był dzień wypłat, szczęśliwie doprowadziliśmy już nasz stan zatrudnienia do dziewięćdziesięciu ludzi. Z nich dwudziestu ośmiu przy wypłacie wypowiedziało pracę. Wynagrodzenie, mówili, jest za niskie, a od ciężkiej pracy dostają modzeli na dłoniach. Żądali podwyżki. Nie próbowałem ich zatrzymywać, przeciwnie, dałem im do zrozumienia, że jestem z tego nawet zadowolony, bo widzę, że i tak nie mógłbym na nich polegać. Spodziewali się widać innej odpowiedzi. Kiedy następnego dnia kilku z nich powróciło i chciało znowu przystąpić do pracy, powiedziałem im, że tak nie można. Kto chce odejść, tego nie będę zatrzymywał, ale kto odszedł, ten pracy już nie dostanie. Wtedy pod

przewodem swego szejka Homadiego zaczęli prosić. Homadi mówił, że jego ludzie mają za mało oleju w głowie, w czym się najzupełniej z nim zgadzałem. W końcu obiecałem mu, że w poniedziałek przyjmę ich znowu do pracy. No, i dziś wrócili przepłynąwszy Tygrys na owczych pęcherzach. Mieszkali bowiem na drugim brzegu rzeki i nosili przy sobie te pęcherze-pływaki, tak jak, powiedzmy, hamburczyk nosi ze sobą parasol."

Bardzo często powtarzają się u Koldeweya zapiski o niebezpieczeństwie grożącym na drogach, o zbójeckich Arabach z plemienia Szamarów, o kurdyjskich Jezydach. Na miejsce wykopalisk nie można było sprowadzić rogoży, cukru, lamp, bo przywódcy karawan z powodu ryzykownego transportu żądali za nie zawrotnych cen. Współpracownikom Koldeweya towarzyszyć musiały uzbrojone eskorty. On sam jednak nie tracił humoru. „Przedwczoraj — pisze w jednym ze swych listów — przybyli do naszej okolicy ludzie ze szczepu Beni Hedżeim, aby w nieco gwałtowny sposób zażądać zwrotu zrabowanych owiec. Wczoraj nasi ludzie wzięli odwet za ten napad. Z naszymi szejkami Muhamedem, Abudem i Mis-elem i z dwudziestoma jeźdźcami na czele ruszyli w dwieście strzelb w okolice Cherchere. Doszło do potyczki ze strzelaniną, w czym ludzie tutaj bardzo gustują. Beni Hedżeim stracili jednego zabitego i jedną strzelbę. Po stronie naszych ludzi jeden robotnik został postrzelony w brzuch i dostał kilka uderzeń maczugą po głowie, jeden zaś z naszych dozorców o bardzo arabskim i bardzo doń pasującym nazwisku Deibel (diabeł) — jakżeby go tam mogło zabraknąć! — został ranny w udo. Za to tenże Deibel *a tempo* położył trupem swego przeciwnika i zdobył jego strzelbę. Straty zatem są mniej więcej równe: tutaj dwóch rannych, tam jeden zabity i jedna stracona strzelba. Wieczorem Deibel — mały, uprzejmy jegomość, tylko w nie bardzo czystej koszuli — siedział rozpromieniony w budce strażniczej, otoczony swymi towarzyszami sławiącymi jego lwią odwagę, kłamał jak najęty i łaskawie zezwolił na to, by mu nałożono na ranę o niezbyt równym kanale postrzałowym piękny plaster z ciasta urobionego z mąki, soli i masła."

Pewnego razu jednak i sam Koldewey znalazł się w ogniu. W tych stronach dla synów

pustyni broń palna jest przede wszystkim pukawką. Nie mogą się wyrzec tej zabawy. Była duszna noc. Koldewey, który znowu prowadził czasowo inne wykopaliska, tym razem w Fara, powracał konno do Babilonu.

„Za Muradieh, po jakichś dwóch godzinach jazdy — opowiada — posypały się na nas strzały z wioski leżącej na prawo od drogi. Poczciwi mieszkańcy wzięli nas widocznie za Arabów odbywających zbójecką wyprawę, a w takich wypadkach nikt tu nie wdaje się w długie rozmowy. Aby ich przekonać, że są w błędzie, jechaliśmy powoli ku samej linii ognia, aż wreszcie śrut zaczął uderzać o nasze siodła, a świst kul przybrał ostry, urywany dźwięk, towarzyszący dobrze wycelowanym strzałom.

Obaj żołnierze, którzy stanowili naszą eskortę, krzyczeli wciąż: *Asker! Asker!* — «Żołnierze! Żołnierze!», aby zorientować tamtych, że nie przybywają w złych zamiarach. Ale wołanie to zagłuszał trzask strzałów, wycie mężczyzn i pisk kobiet, które usiłowały w ten sposób dodać animuszu swym brzydszym połowom.

Ludzie ze wsi stali w ciemnościach wyciągnięci w długą tyralierę w odległości około stu metrów od nas. Okrągłe, krwawe ogniki strzałów karabinowych sprawiały, że choć noc sama przez się była niezbyt ciemna, widzialność stała się coraz gorsza, niż była w istocie. Nasz kuchcik Abdallach, jadący na odpoczynek do Hilleh, szukał osłony za jucznym koniem; zrozpaczony wyciągnął rękę trzymając rąbek swego płaszcza i krzyczał: *Cher Allach!* ku wielkiej uciesze swych kolegów, którzy przez całą dalszą drogę nie przestawali go tym drażnić.

Wreszcie Arabowie ochłonęli z pierwszego przestrachu i zaprzestawszy strzelaniny podbiegli ku nam. Około dwustu półnagich, czamobrązowych drabów z pukawkami w rękach wyprawiało dokoła nas jakieś dzikie tańce, cierpliwie znosząc łajania, jakimi obsypywał ich nasz kuchcik Ab-dallach: «Sowy! Szakale! Czyż nie widzicie, że tu jadą żołnierze i bej z Fary, i postadżi? Co za bezczelność urządzać podobną strzelaninę, jak gdyby cała pustynia należała do was!». A po krótkiej pauzie: «Coś takiego może przecież trafić człowieka w oko! Te strzelaniny to istna plaga tej okolicy!»”

Rozdział dwudziesty piąty

ETEMENANKI, CZYLI WIEŻA BABEL

Gdy Niniwa z miasta prowincjonalnego została podniesiona do godności stolicy i poczęła tworzyć historię, Babilon był stolicą już od trzynastu stuleci i pod panowaniem Hammurabiego prawodawcy już na tysiąc dwieście pięćdziesiąt lat przedtem przeżył okres największej świetności i potęgi.

Gdy Niniwa została zburzona (nie, jak Babilon, zburzona i znów odbudowana, lecz tak zburzona, że poeta Lukian kładzie w usta Merkurego słowa wypowiedziane do Charona: „Niniwa wszakże, mój dobry przewoźniku, jest już zniszczona i żaden ślad po niej nie pozostał; dziś nawet trudno powiedzieć, gdzie kiedyś stała") — wódz Nabopolasar założył w Babilonie państwo nowobabilońskie, a jego syn Nabuchodonozor II przywiódł je znowu do potęgi i świetności. Przetrwało ono o siedemdziesiąt trzy lata Niniwę, dopóki nie stało się łupem króla perskiego Cyrusa.

Rozpoczynając 26 marca 1899 roku wykopaliska we wschodniej części babilońskiego zamku „El Kasr" Koldewey, w przeciwieństwie do Botty i Layarda, znał w ogólnych zarysach historię kryjącą się pod gruzami, w które miał zatknąć łopatę. Wykopaliska pod Chorsabadem, Nimrudem i Kujundżykiem — przede wszystkim zaś odkopanie olbrzymiej biblioteki Asurbanipala, zawierającej po większej części kopie znacznie starszych oryginałów babilońskich — przyniosły także wiele wiadomości o delcie Eufratu i Tygrysu, o jej historii, ludach i władcach. Ale który to Babilon miał się wynurzyć spod jego łopaty? Czy prastare państwo i miasto Hammurabiego, państwo i miasto jedenastu królów dynastii Amurru? Czy tez młodszy, nowszy Babilon, odbudowany po straszliwym zniszczeniu przez Sanheryba?

Odpowiedź na to pytanie zarysowała się Koldeweyowi już w styczniu 1898 roku, gdy wcale jeszcze nie było pewne, że powierzą mu kierownictwo wykopalisk. Zbadawszy powierzchownie różne gruzowiska, pisał wtedy z Bagdadu w sprawozdaniu do dyrekcji muzeów królewskich w Berlinie: „Przewidywać jednak należy, że znalezione tam zostaną głównie dzieła Nabuchodonozora."

Czy nie brzmi to tak, jak gdyby nie obiecywał sobie zbyt wiele po tych wykopaliskach? Radość, z jaką przyjął nominację na kierownika, przemawia przeciwko tego rodzaju przypuszczeniu. Ostatni zaś cień wątpliwości rozwiewają wkrótce potem same znaleziska.

5 kwietnia 1899 roku pisze: „Kopię od czternastu dni. Całe przedsięwzięcie w pełni się udało!"

Pierwsze, na co natrafia, to olbrzymi mur babiloński. Wzdłuż muru znajduje szczątki płaskorzeźb. Na razie są to, co prawda, tylko fragmenty: lwie skóry, lwie zęby, ogony, pazury, oczy, ludzkie stopy, brody, oczy, nogi cienkonogich zwierząt — prawdopodobnie gazeli — i zęby dzika. Na ośmiometrowym zaledwie odcinku muru znajduje około tysiąca takich fragmentów. Ponieważ zaś łączną długość wszystkich płaskorzeźb ocenia na trzysta metrów, więc w tym samym liście dodaje: „Liczę zatem na znalezienie około 37 000 fragmentów."

Takie widoki otwierały się już po czternastu dniach prac wykopaliskowych.

Najbardziej obrazowe opisy Babilonu zawdzięczamy greckiemu podróżnikowi Herodotowi i Ktezjaszowi, nadwornemu lekarzowi Artakserkse-sa II. Jako o największym cudzie opowiadali o murze opasującym Babilon. Herodot podaje jego wymiary, które przez dwa tysiące lat uważano za zwykłą przesadę podróżnika zwiedzającego dalekie kraje. Twierdził on, że mur był tak szeroki, iż na jego wierzchu mogły się wymijać dwa zaprzężone w czwórkę koni rydwany!

Koldewey od razu natknął się na te mury. Prace wykopaliskowe były tu bardzo utrudnione, znacznie uciążliwsze niż na jakimkolwiek innym miejscu wykopalisk na

świecie. Zazwyczaj masy gruzu na warstwach kryjących w sobie znaleziska archeologiczne nie przekraczają głębokości dwóch do trzech, najwyżej zaś sześciu metrów. Tutaj natomiast trzeba było odgarnąć pokłady sięgające dwunastu, częstokrość nawet dwudziestu czterech metrów głębokości. Koldewey z dwustu robotnikami kopał, w lecie i zimą, przez przeszło piętnaście lat.

Pierwszy swój wielki triumf święcił, gdy zdołał dowieść, że dane przekazane przez Herodota bynajmniej nie były przesadzone. (Czyż dotychczas każdy archeolog, któremu udało się dokonać wielkiego odkrycia, nie dochodził do podobnych rezultatów? Schliemann dowiódł prawdziwości danych Homera i Pauzaniasza. Evans — ziarna prawdy w podaniach o Minotaurze, Layard — dosłowności niektórych miejsc Biblii.)

Koldewey odkopał gruby na siedem metrów mur z suszonych cegieł. Przed tym murem, w odległości około dwunastu metrów, wznosił się szeroki na 7,8 metra mur z cegieł palonych, do którego przytykał gruby na 3,3 metra mur nad fosą forteczną, również z cegieł palonych. Prawdopodobnie przed tym trzecim murem biegł rów, który w razie grożącego od zewnątrz niebezpieczeństwa napełniano wodą.

Wolną przestrzeń między murami wypełniała ubita ziemia sięgając prawdopodobnie aż do wysokości muru zewnętrznego. To właśnie łącznie tworzyło obwałowanie, na którym mogły się poruszać czterokonne rydwany. Mur najeżony był wieżami strażniczymi rozstawionymi w odległości pięćdziesięciu metrów jedna od drugiej. Koldewey oblicza liczbę tych wież na murze wewnętrznym na trzysta sześćdziesiąt. Na murze zewnętrznym według Ktezjasza miało ich być dwieście pięćdziesiąt, co wobec tamtej liczby wydaje się zupełnie wiarygodne.

Koldewey odkopał zatem bezwarunkowo najpotężniejsze umocnienia miejskie, jakie kiedykolwiek istniały na świecie. Wskazywały one na to, że Babilon był największym miastem starożytnego Wschodu, większym nawet niż Niniwa. Mało tego: jeżeli pojęcie miasta rozumieć w jego znaczeniu średniowiecznym jako „obszar mieszkalny opasany murami", to Babilon pozostał do dziś dnia największym miastem, jakie kiedykolwiek zostało zbudowane pracą ludzkich rąk.

Pisał Nabuchodonozor: „Kazałem otoczyć Babilon od wschodu olbrzymim murem. Wykopałem przed nim rów, a jego skarpę zbudowałem ze smoły ziemnej i cegieł. Na jego brzegu wybudowałem olbrzymi mur, wysoki jak góra; umieściłem w nim szerokie bramy i wstawiłem w nie skrzydłowe drzwi z drzewa cedrowego, które pokryłem powłoką z miedzi. Ażeby wróg, żywiący złe zamiary, nie mógł podejść pod mury Babilonu, otoczyłem miasto potężnymi wodami. Przebycie ich jest jako przeprawa przez wielkie morze słonej wody. Ażeby od tej strony nie można było przedrzeć się do mlista, usypałem nad rowem wał ziemny i otoczyłem go przedmurzem z cegieł. Umocniłem kunsztownie obwałowanie i uczyniłem z miasta Babilon warownię."

Była to twierdza nie do zdobycia dla wszystkich ówczesnych środków oblężniczych. A jednak Babilon został zdobyty! Jak się to stać mogło, na to jedno jest tylko wytłumaczenie: wróg widocznie zwyciężył od wewnątrz, a nie od zewnątrz. Ilekroć bowiem nieprzyjaciel pojawiał się przed murami miasta, w polityce wewnętrznej Babilonu panowało zamieszanie. Zawsze istniały tu partie, które — niekiedy słusznie, niekiedy niesłusznie — pragnęły, aby wszedł on do miasta jako wyzwoliciel. Padła więc i ta najpotężniejsza twierdza świata.

Tak jest, Koldewey nie omylił się przewidując, iż natrafi na Babilon Nabuchodonozora. To Nabuchodonozor — do którego Daniel mówił: „Tyś królem królów!", „Tyś głową złotą" — podjął monumentalną odbudowę Babilonu. Zbudował na nowo świątynię Emach na zamku, świątynię Esagila, świątynię Ninurty i starszą od tamtych świątynię Isztary na babilońskim pagórku Merkes. Wzniósł na nowo mur Arachtu, zbudował pierwszy kamienny most na Eufracie, kanał Libil-higalla, zamek południowy i pałac, a bramę Isztary ozdobił płaskorzeźbami zwierząt z wielobarwnej emalii.

Wszyscy jego poprzednicy wznosili budowle z glinianych cegieł suszonych na słońcu, rychło kruszonych przez wiatr i deszcze. On, Nabuchodonozor, używał natomiast — przede wszystkim przy budovfie umocnień — cegieł palonych. Jeżeli po starszych budowlach Mezopotamii pozostało tak mało śladów, że tworzą one tylko usypiska

gruzów, to przyczyna tego leżała w nietrwałości materiału budowlanego. To jednak, że i po budowlach Nabuchodonozora, choć wzniesionych ze znacznie trwalszego materiału, nie zachowało się dużo więcej, spowodowała gospodarka rabunkowa ludności, która przez długie wieki burzyła resztki tych murów, podobnie jak później papieskie średniowiecze świętokradczą ręką burzyło świątynie pogańskiego Rzymu. Nowoczesne mezopotamskie miasto Hilleh i okoliczne wsie zbudowane są z cegieł Nabuchodonozora (wiemy o tym dokładnie, gdyż wszystkie znaczone były jego pieczęciami). Nawet nowoczesna zapora wodna, spiętrzająca wody Eufratu przed kanałem Hindije, zbudowana jest po większej części z cegieł, po których na dziedzińcach pałacowych stąpali starożytni Babilończycy. Łatwo więc zdarzyć się może, że kiedyś w przyszłości, gdy i ta zapora rozpadnie się w gruzy, późniejsi archeologowie upatrywać w niej będą dzieło Nabuchodonozora.

Pałac — nie, raczej zespół, całe miasto pałaców zajmujące ogromną powierzchnię, które Nabuchodonozor, wciąż jeszcze niezadowolony, stale powiększał, bo to, co dotąd zbudowano, już „nie było godne królewskiego majestatu" — pałac ten ze swymi bogatymi ozdobami, wspaniale emaliowanymi, różnobarwnymi płaskorzeźbami na cegłach, stanowi istny cud świata, cud, od którego bije zimny, obcy, barbarzyński przepych. (Nabuchodonozor twierdził zresztą, że zbudował to wszystko w ciągu piętnastu dni, w co naiwnie wierzono przez wiele stuleci.)

Więcej jednak niż wszystkie inne wykopaliska babilońskie zelektryzowało świat odkopanie przez Koldeweya trzech zwłaszcza budowli. Były to: ogród, wieża i droga. Trzy budowle, które nie miały sobie równych na świecie.

W północno-wschodnim kącie południowego pałacu Koldewey znalazł pewnego dnia sklepione podziemia. Zorientował się od razu, że ma przed sobą niezwykle dziwny, więcej jeszcze, dotąd w Mezopotamii w ogóle nie spotykany rodzaj budowy. Przede wszystkim były to pierwsze napotkane w Babilonie piwnice. Po drugie, dotychczas w całej Mezopotamii nie spotykano tego rodzaju architektury sklepionych łuków. Po

trzecie, znajdowała się tu studnia składająca się z trzech bardzo oryginalnie rozmieszczonych szybów. Dopiero po długich rozmyślaniach Koldewey doszedł do wniosku — choć i wtedy nie był jeszcze pewny — że musiała to być studnia z mechanicznym kołowrotem — oczywiście nie zachowanym — przypominającym stale obracający się gąsienicowy wyciąg, tak zwany paternoster. Urządzenie to niezawodnie służyć musiało do celów ciągłego, nieustannego nawadniania jakiegoś obiektu. I wreszcie, po czwarte, do budowy tego sklepienia użyto nie tylko cegieł, lecz również kamieni ciosowych, dotąd zaś w całym Babilonie kamienie ciosowe napotkano tylko w jednym miejscu — w północnym murze zamku „El Kasr".

W sumie wszystkie wymienione cechy tej oryginalnej budowli dawały tak pod względem technicznym, jak i architektonicznym nader umiejętnie jak na owe czasy skonstruowane urządzenie, które musiało służyć do jakichś zupełnie specjalnych celów. Ale do jakich?

W pewnym szczęśliwym momencie Koldewey wpadł na rozwiązanie tej zagadki. W całej literaturze o Babilonie, u Józefa Flawiusza, Diodora, Ktezjasza i Strabona oraz we wszystkich odcyfrowanych do tego czasu tekstach klinowych, dotyczących „grzesznego" miasta, również wymieniane były — i podkreślane jako szczególnie godne uwagi — dwa tylko miejsca, gdzie użyto kamienia ciosowego: północny mur zamku „El Kasr" (tam Koldewey już go znalazł) i — „wiszące ogrody Semiramidy".

Czyżby więc odkrył te wspaniałe ogrody, które napełniały podziwem wszystkich starożytnych, tak że zaliczyli je do siedmiu cudów świata i połączyli z imieniem legendarnej Semiramidy?

Dla archeologa tego rodzaju znalezisko, taka zrodzona ze szczęśliwego natchnienia hipoteza oznacza godziny gorączkowego napięcia wśród rozkopanej ziemi; wprawia ono w podniecenie wszystkich zainteresowanych, wywołuje nie kończące się rozmowy, namiętne, fachowe dysputy, prowadzone zarówno na miejscu samych wykopalisk, jak i później, wieczorami, przed namiotem lub domem mieszkalnym. Wszystkich ogarnia gorączka, bo oto przy ich współudziale wyjaśnić się ma zagadka tysiącleci.

Koldewey raz jeszcze sprawdził wiadomości przekazane przez antycznych autorów. Ważył każde zdanie, każdy wiersz, każde słowo. Zapuścił się nawet na zupełnie obcy mu teren porównawczej lingwistyki. Doszedł w końcu do przekonania, że jego teza jest słuszna. Tak jest, nie ulegało wątpliwości, że to na tych sklepieniach spoczywały „wiszące ogrody Semiramidy", że właśnie tędy doprowadzano do nich wodę w niezwykły na owe czasy sposób, dzięki czemu mogły wiecznie kwitnąć.

Ale tym samym rozwiewał się „cud", jeden z siedmiu cudów świata. Opadały zeń wszystkie wieńce uwite przez legendę. Czymże bowiem — jeżeli przyznać Koldeweyowi słuszność — były owe „wiszące ogrody"? Zapewne, bardzo pięknymi, bardzo imponującymi ogrodami na dachu wielkiej budowli, arcydziełem ówczesnej techniki. Ale czy w istocie nie wyglądają dość skromnie w porównaniu z innymi dziełami Babilończy-ków, które przez Greków nie były zaliczane do cudów świata?

(Wszystkie nasze wiadomości o legendarnej Semiramidzie są zresztą wątpliwe. Pochodzą one przeważnie od Ktezjasza, który wyróżniał się szczególnie bujną wyobraźnią; tak na przykład według niego olbrzymia rzeźba Dariusza w Behistunie miała przedstawiać Semiramidę, otoczoną przez stu ludzi straży przybocznej! Według Diodora Semiramida była podrzutkiem. Wykarmiona przez gołębie, wyszła za mąż za pewnego królewskiego radcę, król jednak odebrał ją małżonkowi. Nosiła podobno strój, „który nie pozwalał rozpoznać, czy jest ona mężczyzną, czy kobietą". Wreszcie, przekazawszy berło swojemu synowi, odfrunęła jako gołębica z pałacu — prosto w nieśmiertelność.)

Wieża Babel!

Budowla, o której Księga Mojżesza, rozdział 11, wiersz 3 i 4 mówi: „I rzekli, jeden do bliskiego swego: Pójdźcie, naczyńmy cegieł i wypalmy ją ogniem. I mieli cegłę miasto kamienia, a ił kliowaty miasto wapna. I rzekli: Pójdźcie, zbudujemy sobie miasto i wieżę, której by wierzch dosięgał do nieba: a uczyńmy sławne imię nasze, pierwej niźli się rozproszymy po wszystkich ziemiach."

To, co odkopał Koldewey, były to tylko olbrzymie fundamenty. Inskrypcje jednak mówiły o tym, że wieża niegdyś istniała. Wprawdzie wieży, o której mówi Biblia (a

która niewątpliwie została niegdyś zbudowana), przypuszczalnie nie było już za czasów Hammurabiego, lecz wznosiła się tu wieża późniejsza, zbudowana dla upamiętnienia dawnej. Nabopolasar pozostawił po sobie te oto słowa: „W owym czasie nakazał mi Marduk, abym wieżę Babilonu, która w czasach przede mną została osłabiona i obrócona w gruzy, mocno oparł fundamentami o pierś podziemia, wierzchołkiem zaś podniósł ku niebu.” Jego syn Nabuchodonozor kontynuował to dzieło: „Przyłożyłem rękę do tego, aby nasadzić wierzchołek na Etemenanki, tak iżby szedł z niebem w zawody.”

Wieża wznosiła się olbrzymimi tarasami. Herodot twierdzi, że było tu osiem wież ustawionych na sobie (w rzeczywistości było ich siedem), jedna mniejsza od drugiej, i że na szczycie najmniejszej wieży mieściła się, górując wysoko nad krajem, świątynia.

Wieża Etemenanki wyrasta z równiny Sachn, co w dosłownym tłumaczeniu znaczy „patelnia”. „Ale dzisiejsza równina Sachn — pisze Kol-dewey — to tylko obszar dawnego świętego okręgu, gdzie wznosiła się wieża babilońska, zikkurat Etemenanki — «dom podstaw nieba i ziemi» — opasana okólnym murem, o który opierały się różne budowle związane z obrzędami religijnymi.” (Zikkurat, zigura, ziggurah to różne pisownie nazwy sumeryjsko-babilońskich schodkowych piramid lub wież.)

Bok jej kwadratowej podstawy wynosi dziewięćdziesiąt metrów; tyleż wynosiła wysokość wieży. Pierwsze piętro miało trzydzieści trzy metry wysokości, drugie — osiemnaście, trzecie, czwarte, piąte i szóste — po sześć. Świątynia Marduka, boga Babilonu, stała na szczycie i miała wysokość piętnastu metrów. Powleczona złotem i ozdobiona niebieskimi kaflami, z daleka już blaskiem swym pozdrawiała podróżnych.

„Ale cóż znaczą wszystkie te pisemne relacje — pisze Koldewey — w porównaniu z jasnością i wyrazistością obrazu, jaki dają nam same ruiny, mimo iż są tak bardzo zniszczone. Olbrzymi masyw wieży, którą Żydzi w Starym Testamencie uważali za symbol ludzkiej pychy, wznoszący się pośród wspaniałych pałaców kapłanów, rozległe magazyny, niezliczone pomieszczenia dla pielgrzymów, białe ściany, bramy z brązu otoczone groźnymi warownymi murami o wysokich portalach i z lasem

tysiąca wież — wszystko to musiało sprawiać imponujące wrażenie wielkości, potęgi i bogactwa, nie spotykanych chyba nigdzie indziej w rozległym państwie babilońskim."

Każde większe miasto babilońskie posiadało swą wieżę — zikkurat. Ale żadna z tych wież nie dorównywała „wieży Babel". Do tej budowy użyto osiemdziesiąt pięć milionów cegieł. Górowała nad całą okolicą.

Podobnie jak egipskie piramidy tak i wieża Babel jest dziełem rąk niewolników. Jak tam, tak i tutaj świszczały baty dozorców. Między babilońskim zikkuratem a piramidami zachodzi jednak zasadnicza różnica. Piramidę budował jeden władca w ciągu częstokroć krótkiego życia, budował ją tylko dla siebie, dla swojej mumii, dla swego *ka.* Natomiast wieżę schodkową, zikkurat, budowały całe generacje władców; często wnuk kontynuował dzieło rozpoczęte przez dziada. Gdy egipskie piramidy rozpadały się w gruzy lub rabusie plądrowali ich bogactwa, nikt palcem nie ruszył, aby je odbudować, a tym bardziej napełnić nowymi skarbami. Babilońskie zikkuraty, gdy się rozpadały lub ulegały zburzeniu, znowu odbudowywano i na nowo zdobiono.

Działo się zaś tak dlatego, że władcy wznosząc zikkuraty wznosili je nie dla siebie. Budowali je dla wszystkich. Zikkuraty były świętością ludu, celem procesji tysięcy i dziesiątków tysięcy ludzi, którzy czcili Marduka jako największego z bogów. Cóż to musiał być za obraz, gdy nadchodzili tłumnie z dolnej świątyni, złożywszy Mardukowi pierwsze ofiary — przed jego posągiem, który łącznie z tronem, podnóżkiem i stołem ważył według Herodota 800 talentów i cały był ze szczerego złota. (W pomieszczeniach kapłanów znalazł się „pratalent" w postaci kamiennej kaczki — „prawdziwy talent", jak głosiła wyryta inskrypcja — ważący 29,68 kilograma. Jeżeli więc wierzyć Herodotowi, to posąg Marduka wraz z przynależnymi doń rekwizytami wykonany był z około 23 700 kilogramów czystego złota.)

A później, jakiż to musiał być widok, gdy szerokim pochodem wstępowali na olbrzymie kamienne schody, prowadzące z boku wieży na pierwsze piętro, wysokie na trzydzieści trzy metry. Tymczasem środkowymi schodami kapłani wchodzili na drugie piętro, a stamtąd tajemnymi schodkami osiągali sam szczyt wieży —

sanktuarium Marduka.

Glazurowane kafle świątyni lśniły ciemnym błękitem. Herodot widział to sanktuarium około 458 roku przed Chr., a więc mniej więcej w sto pięćdziesiąt lat po ukończeniu budowy całego zikkuratu. Wtedy zapewne było ono jeszcze w dobrym stanie. „Górnej Świątyni" w przeciwieństwie do „Dolnej" nie zdobił żaden posąg. Nie było w niej nic poza „dobrze wymoszczonym" łożem, przed którym stał pozłacany stół (na Wschodzie, podobnie jak w Grecji i Rzymie, wszyscy ludzie znaczni jedli „leżąc przy stole"). Do tego sanktuarium prosty lud nie miał już dostępu, tutaj bowiem ukazywał się Marduk we własnej osobie, a zwykły śmiertelnik nie mógłby znieść jego widoku. Tylko jedna kobieta — wybrana kobieta, pozostawała w tym najświętszym przybytku, każdej nocy gotowa na usługi boga.

„Mówią tu także — pisze Herodot powątpiewając jednak w prawdziwość tej wersji — że sam bóg odwiedza świątynię i spoczywa na tym łożu, co wszakże nie wydaje mi się wiarygodne."

Dokoła, otoczone murem, wznosiły się domy, w których mieszkali pielgrzymi, gdy w dni uroczystych świąt ściągali tu z daleka, aby się przygotować do procesji. Stały tu także domy dla kapłanów Marduka, którzy jako kapłani boga koronującego królów niewątpliwie mieli wielką władzę. Był więc ten dziedziniec, pośrodku którego wznosiła się wieża Etemenanki, niejako babilońskim Watykanem, tylko posępniejszym, pławiącym się w surowym przepychu.

Tukulti-Ninurta, Sargon, Sanheryb i Asurbanipal zdobywając Babilon niszczyli także sanktuarium Marduka — Etemenanki, wieżę Babel.

Nabopolassar i Nabuchodonozor znowu ją odbudowali. Król perski Cyrus w 539 roku przed Chr., po śmierci Nabuchodonozora, zdobył miasto; był on pierwszym zdobywcą Babilonu, który go nie zburzył. Będąc, w rozumieniu historycznym, człowiekiem wcześniejszej epoki w stosunku do współczesnej mu Babilonii, był zafascynowany kolosalnością Etemenanki. Zafascynowało go to do tego stopnia, że nie tylko zaniechał zniszczeń, lecz co więcej, kazał dla siebie wybudować grobowiec w postaci miniaturowego zikkuratu — w postaci małej Etemenanki.

Jednak wieża została jeszcze raz zburzona. Kserkses perski pozostawił po niej tylko gruzy, które ujrzał potem Aleksander Wielki podczas wyprawy do Indii. I on stał jak urzeczony przed olbrzymimi ruinami. Na jego rozkaz dziesięć tysięcy ludzi pracowało przez dwa miesiące nad uprzątaniem gruzów. Więcej jeszcze, zaprzęgnął potem do tej roboty całą swą armię! Strabon wspomina o 600 000 wypłaconych dniówek. W dwadzieścia dwa wieki później stał na tym samym miejscu zachodnioeuropejski uczony. Przyszedł tu szukając nie sławy, lecz wiedzy. I nie z dziesięcioma tysiącami ludzi, tylko z dwustu pięćdziesięcioma. Ale w ciągu jedenastu lat pracy wypłacił więcej dniówek niż Aleksander Wielki, bo aż 800 000. Wtedy zaś dowiedziano się, jak wyglądała niegdyś wieża babilońska — budowla nie mająca sobie równej na świecie.

Odkopawszy „wiszące ogrody", sławione przez starożytnych jako jeden z siedmiu cudów świata, oraz wieżę Babel uchodzącą jeszcze dziś za symbol ludzkiej pychy, Koldewey z kolei odkopał inną jeszcze część tego ogromnego miasta, o której wprawdzie wspominały starożytne inskrypcje, lecz której wielkości świat nigdy sobie dotąd nie uświadomił.

Była to tylko — droga. Ale gdy Koldewey odgrzebał ją spod gruzów, ukazała się ona oczom ludzkim jako najwspanialsza droga świata, wspanialsza niż wszystkie drogi Rzymian, a jeżeli wspaniałość mierzyć nie długością, wspanialsza nawet od dróg dzisiejszego Nowego Świata. Zbudowano ją nie jako drogę komunikacyjną — tym celom służyła tylko ubocznie — lecz jako „świętą drogę", którą szły procesje do wielkiego władcy Marduka — a temu w Babilonie służyło wszystko, służył nawet Nabuchodonozor.

Nabuchodonozor w ciągu czterdziestu trzech lat swego panowania chyba bez przerwy budował. O budowie tej drogi procesyjnej opowiada obszernie: „Drogę babilońską Aibur-szabu dla procesji wielkiego władcy Marduka wypełniłem wysokim nasypem, a od bramy Ulu aż do Isztar-sakipat-tebisza wyłożyłem ją płytami z kamienia

turminabanda i kamienia szedu, aby uczynić ją godną procesji jego bóstwa, i połączyłem ją z częścią, którą wybudował mój ojciec i drogę tę uczyniłem wspaniałą."

31. Pieczęć Nabuchodonozora. Ta sama treść powtarza się na milionach cegieł, z których wzniesiono budowle królewskie. „Nabuchodo-nozor, król Babilonu, opiekun Esagila, syn Nabopolassara, król Babilonu".

Święta droga była jednak nie tylko drogą procesyjną Marduka, lecz zarazem częścią umocnień miejskich. Stanowiła niejako olbrzymi wąwóz, z którego nie można było swobodnie sięgnąć wzrokiem ni w lewo, ni w prawo, gdyż po obu jej stronach wznosiły się wysokie na siedem metrów potężne mury forteczne. Ponieważ zaś prowadziła w ten sposób od muru zewnętrznego aż do bramy Isztary (w przytoczonej wyżej inskrypcji: Isztar-sakipat-tebisza), przez którą dopiero wjeżdżało się do właściwego Babilonu, więc wróg chcąc przypuścić szturm do tej bramy musiał go przypuszczać właśnie tą drogą. Wtedy jednak stawała się ona drogą śmierci.

Wrażenie groźnej matni, jakie ten kamienny wąwóz sprawiał zapewne na każdym atakującym od tej strony przeciwniku, niewątpliwie — jeżeli zważyć zaludniony wszelkimi fantastycznymi stworami i złymi duchami świat wyobrażeń ówczesnych ludów — potęgował jeszcze hufiec około stu dwudziestu lwów, które, każdy dwa metry długi, w zdobiącej mury wielobarwnej płaskorzeźbie zdawały się szybko kroczyć na spotkanie wroga. Stąpały przed siebie dumnie i wyniośle, z rozwartą paszczą, pokazując zęby; sierść ich była płowa lub biała, grzywa — żółta lub czerwona. Wszystko to na jasno- lub ciemnoniebieskim tle. Szerokość drogi wynosiła dwadzieścia trzy metry.

Pośrodku drogi na podmurowaniu z cegieł, pokrytym asfaltem, ułożone były olbrzymie kwadratowe płyty z wapienia o podstawie boku długości jednego metra, po bokach zaś o połowę mniejsze czerwono i biało żyłkowane płyty okruchowca;

wszystkie szczeliny między ich ostrymi kantami były zalane asfaltem. Na każdej płycie wyryty był od spodu następujący napis: „Jam jest Nabuchodonozor, król Babilonu, syn Nabopolassara, króla Babilonu. Otom wybrukował drogę babilońską dla procesji wielkiego władcy Marduka płytami z kamienia szedu. Marduku, władco! Obdarz wiecznym życiem!”

Tym słowom Nabuchodonozora odpowiadała także brama. Jeszcze dziś jej mury wznoszące się na wysokość dwunastu metrów sprawiają większe wrażenie niż wszystkie inne odkopane zabytki Babilonu. Tworzyły ją właściwie dwie olbrzymie budowle z dwiema znacznie występującymi do przodu wieżami. Oko podróżnika również i tutaj pada na święte zwierzęta. Według obliczeń Koldeweya około pięciuset siedemdziesięciu pięciu takich płaskorzeźb składało się na straszliwe mrowie owych dzi-wotworów, które lśniąc na niebieskim tle fascynowały każdego przybysza i napełniały go trwogą przed potęgą rezydencji leżącej za tą bramą.

Bramę zdobiły nie lwy, lecz byki (lew był świętym zwierzęciem bogini Isztary, byk — świętym zwierzęciem boga burzy Rammana, nazywanego też Adadem). Strzegł jej także „Sirrusz”, smok, mieszanina gryfa i węża — żadne określenie nie wystarcza na opisanie tego bajecznego potwora, czczonego jako świętość nawet przez Marduka, najwyższego z bogów. Sirrusz było to zwierzę czworonożne. Łapy miał wysokie, tylne — z ptasimi szponami, tułów pokryty łuskami, a na długiej szyi głowę węża z rozdwojonym językiem i rogi na płaskiej czaszce... SirrUsz — smok babiloński!

I znowu spod skorupy legend wyłuskane zostało prawdziwe ziarno Biblii. Daniel, któremu tutaj w Babilonie w jaskini lwa objawił się cud Jehowy, wykazał bezsilność smoka wobec jego Boga, który stać się miał Bogiem następnych tysiącleci.

„Nie jest wykluczone — pisze Koldewey — że kapłani świątyni Esagila trzymali sobie jakieś podobne zwierzę, jakiegoś płaza, być może, trafiającego się w tych okolicach arwala, i w półmrocznym świetle któregoś z pomieszczeń świątyni pokazywali go potem jako żywego Sirrusza. W każdym razie nie można się dziwić, że Sirrusz nie mógł strawić przyrządzonych dla niego przez Daniela kurcząt nadziewanych włosami i asfaltem.”

Jakiż widok przedstawiać musiała wielka procesja noworoczna ciągnąca drogą Marduka! Koldewey próbuje przeprowadzić tu pewne porównanie:

„Widziałem kiedyś, jak w portalu katedry w Syrakuzach niesiona przez czterdziestu mężczyzn wysoko nad głowami wielotysięcznego tłumu ukazała się nadnaturalnej wielkości srebrna figura Matki Bożej, obsypana wotami, pierścieniami, szlachetnymi kamieniami, złotem i srebrem, i jak w uroczystej procesji wśród dźwięków muzyki i modłów tłumu wyniesiono ją do ogrodów Latomii. Wyobrażam sobie, że podobnie musiała wyglądać procesja boga Marduka, gdy tłum, opuszczając świątynię Esagila, być może, przez perybol, odbywał swój triumfalny pochód świętą drogą Babilonu."

Porównanie to niewątpliwie szwankuje. Procesja Marduka (znamy dość dokładnie związane z nią obrzędy) była zapewne znacznie potężniejsza, więcej w niej było mocy, przepychu, barbarzyństwa, gdy niesiono niższych bogów z „komnaty losu" w świątyni Esagila aż nad brzeg Eufratu podczas trzydniowej adoracji i triumfalnego powrotu.

Na przełomie epok, pod panowaniem Partów, Babilon zaczął pustoszeć. Budowle rozpadały się w gruzy. W okresie Sasanidów (226 do 636 r. po Chr.), być może, stały jeszcze gdzieniegdzie domy mieszkalne tam, gdzie niegdyś wznosiły się pałace. Ale w arabskim średniowieczu miejsce ich zajęły już tylko chaty; tak było aż do XII wieku po Chrystusie.

Dzisiaj wzrok nasz wędruje znowu po zbudzonym przez Koldeweya Babilonie, po ruinach, wspaniałych fragmentach rzeźb i płaskorzeźb, po szczątkach dawnej świetności. Jak brzmiały słowa Jeremiasza?

„Przeto mieszkać będą smokowie z dzikimi wężami i będą w niej mieszkać strusiowie, a nie będą w niej mieszkać dalej aż po wieki, ani będzie zbudowane aż do pokolenia i pokolenia."

Rozdział dwudziesty szósty

TYSIĄCLETNI KRÓLOWIE I POTOP

Gdy czarny kot przebiegnie nam drogę, a nasz zabobon każe nam zawrócić — czy myślimy wtedy o starożytnych Babilończykach? Czy myślimy o nich, gdy patrzymy na tarczę naszego zegarka z dwunasto-godzinną podziałką — my, którzy poza tym myślimy i liczymy systemem dziesiętnym? Albo gdy kupujemy „kopę" jaj (dlaczego akurat sześćdziesiąt?) lub kierując wzrok na ugwieżdżone niebo próbujemy znaleźć jakiś związek między naszym losem a ciałami niebieskimi?

A powinni byśmy o nich pomyśleć, bo część naszego myślenia i odczuwania wywodzi się z Babilonii. Ściślej — może z Babilonii, ale nie od Babilończyków.

Gdy wnika się głębiej w historię rodu ludzkiego, owiewa nas nieraz tchnienie wieczności. Widzimy bowiem, że w ciągu pięciu tysięcy lat dziejów ludzkich mało co zginęło, że to, co było — choćby z dobrego stało się złe, a z prawdziwego fałszywe — nadal działa, nawet wtedy, gdy już nie żyje w naszej świadomości.

W takiej chwili chwyta nas nagle zatrważające uczucie, świadomość tego, co znaczy być człowiekiem, być kroplą w strumieniu niezliczonych pokoleń, których myślenie i sposób odczuwania nosimy w sobie jako niezbywalne dziedzictwo, przeważnie nie zdając sobie sprawy z wielkości tego dziedzictwa (które my jedyni spośród ssaków dźwigamy z sobą) i nie umiejąc we właściwy sposób spożytkować otrzymanych w spuściźnie darów serca i umysłu.

Badacze odkopując ziemię babilońską byli zdumieni, gdy niemal za każdym

zatknięciem łopaty otrzymywali coraz to nowe dowody, ile w naszej świadomości i podświadomości żyje z tego, co myślał i czuł Babilon. Zdumienie to jednak przerodziło się w oszołomienie, gdy dla dociekliwych umysłów badaczy mnożyły się oznaki, że nawet i ta mądrość Babilończyków była mądrością już odziedziczoną, że pochodziła od ludu znacznie starszego, od semickich Babilończyków, ba, starszego nawet od Egipcjan.

W 1946 roku amerykański uczony Samuel Noah Krämer zaczął publikować spisane na glinianych tabliczkach dokumenty tego ludu. W 1956 roku, po dwudziestu sześciu latach niezwykle wytężonej i żmudnej pracy nad odcyfrowaniem różnych tekstów, wydał książkę noszącą tytuł: *History begins at Sumer* („Historia rozpoczyna się w Sumerze"). W książce tej przedstawił swe badania bez balastu naukowego — po prostu opowiadał. A opowiadał z polotem. Stwierdzał, że lud ten odnotował nie mniej niż dwadzieścia siedem rzeczy, doświadczeń i zdarzeń po raz pierwszy zarejestrowanych w dziejach ludzkości; przy tym nie zawahał się nadać im najbardziej nowoczesne definicje. Pominęlibyśmy coś niezmiernie ważnego, gdybyśmy tu ich wszystkich nie wyliczyli.

1. Pierwsze szkoły. 2. Pierwszy wypadek „jałmużniczego przekupstwa". 3. Pierwszy wypadek przestępczości młodocianych. 4. Pierwsza „wojna nerwów". 5. Pierwsze „dwuizbowe zgromadzenie" polityczne. 6. Pierwszy historyk. 7. Pierwszy wypadek obniżenia podatku. 8. Księgi prawodawcze: pierwszy „Mojżesz". 9. Pierwszy „precedens" prawny. 10. Pierwsza farmakopea (księga recept lekarskich). 11. Pierwszy kalendarz rolniczy. 12. Pierwszy eksperyment ogrodniczy. 13. Pierwsza w dziejach ludzkości kosmogonia i kosmologia. 14. Pierwsze prawa moralne. 15. Pierwszy „Hiob". 16. Pierwsze przysłowia. 17. Pierwsze bajki zwierzęce. 18. Pierwsze filozoficzne „nicowanie słów". 19. Pierwszy „raj". 20. Pierwszy „Noe". 21. Pierwsza „opowieść o zmartwychwstaniu". 22. Pierwszy „św. Jerzy". 23. Gilgamesz był bohaterem sumeryjskim. 24. Pierwsza „literatura epicka". 25. Pierwsza pieśń miłosna. 26. Pierwszy katalog książkowy. 27. Pierwszy „złoty wiek pokoju".

Każdy, kto to czyta, odnosi chyba wrażenie, że tutaj entuzjasta w sposób nieco

naciągany zastosował współczesną terminologię do zjawisk społecznych, które wydarzyły się pod innym niebem przed tysiącami lat (niektóre z nich przeszło 4000 lat temu). Ale gdy się samemu czyta znakomite przekłady Kramera, człowiekowi aż dech zapiera. Czytając choćby tylko skargi ojca na jego nieudanego syna i w ogóle na upadek moralności młodzieży, spisane na siedemnastu glinianych tabliczkach 3700 lat temu (a w swej pierwotnej postaci jeszcze o wiele stuleci starsze), to tak, jakby się słyszało tutaj ojca i syna z naszego dzisiejszego sąsiedztwa. Tekst rozpoczyna się od pytania, z którym ojciec zwraca się do syna: „Gdzie byłeś?" Odpowiedź: „Nigdzie nie byłem!"

Istnienie owego ludu — ludu Sumerów — wykryto w najbardziej zdumiewający sposób. Odkrycie to jest jednym z najświetniejszych osiągnięć umysłu ludzkiego. A dokonano go w związku z refleksjami, jakie nasunęły się przy odcyfrowaniu pisma klinowego. Trudno znaleźć lepsze określenie: istnienie tego ludu zostało „wyliczone". Astronomia święciła jeden ze swych wielkich triumfów, gdy po raz pierwszy na podstawie skomplikowanych pomiarów zdołano wysunąć śmiałe twierdzenie, że w pewnej określonej orbicie i w określonym momencie musi pojawić się gwiazda, która jeszcze nie miała nazwy i której nie oglądało żadne ludzkie oko. Triumf nastąpił w chwili, gdy gwiazda, dokładnie tak, jak przepowiedziano, rzeczywiście się pojawiła.

Podobnie miała się rzecz, gdy pewien rosyjski uczony, rozpoznawszy tajemniczy układ w odkrytych do jego czasów pierwiastkach chemicznych, ujął go tabelarycznie i z pustych miejsc między uszeregowanymi w ten sposób pierwiastkami przewidział istnienie nie znanych wtedy jeszcze pierwiastków i dokładnie określił ich własności.

A w antropologii — czy było inaczej? Haeckel czysto teoretycznie wyprowadził formę pośrednią między człekokształtną małpą a człowiekiem i nadał jej nazwę pithecanthropus. W 1892 roku zaś Eugeniusz Dubois znalazł na wyspie Jawie szczątki kości odpowiadające tej teoretycznie wydedukowanej konstrukcji.

Gdy po przezwyciężeniu przez następców Rawlinsona ostatnich trudności, jakie nastręczało odcyfrowanie pisma klinowego, specjaliści mogli się już poświęcić zagadnieniom szczególnym — jak pochodzenie znaków, związki językowe i tym

podobne — wówczas, badając wiele dziwnych faktów, doszli do pewnej teorii, której konkluzją było wręcz zdumiewające twierdzenie.

Fakt wieloznaczności znaków asyro-babilońskiego pisma klinowego nie dawał się wytłumaczyć sam przez się. Tak dalece zagmatwany system pisma — mieszanina pisma literowego, zgłoskowego i piktograficznego (obrazkowego) — nie mógł w chwili, gdy Babilończycy wkroczyli na arenę dziejów, pojawić się od razu w całkowicie wykształconej formie. System ten nosił znamiona długiej ewolucji; nie mógł być produktem pierwotnym, lecz jedynie produktem z drugiej ręki. Setki dociekań, przede wszystkim lingwistycznych, zbiegało się z sobą, wzajemnie się uzupełniało i dostatecznie znalazło wyraz w tezie, że wynalazcami pisma klinowego nie mogli być semiccy Babilończycy i Asyryjczycy, lecz stworzyć je musiał inny lud, przypuszczalnie niesemicki, przybyły z wyżyn Wschodu, lud, którego domniemane istnienie nie było jednak poparte dowodem najmniejszego choćby znaleziska.

Trudno wyobrazić sobie śmielszą hipotezę. Jednakże z biegiem lat badacze byli już tak pewni swego, że nie wahali się nadać nawet nazwy temu ludowi, którego istnienie było tylko wysuniętą przez nich tezą, chociaż nie wskazywała na nie żadna, dosłownie żadna inskrypcja. Jedni uczeni nazwali go ludem Akkadów. Natomiast Jules Oppert, Francuz niemieckiego pochodzenia, mówił o Sumerach. Na razie ta właśnie nazwa się utrzymała; wzięta ona jest z tytułu najwcześniejszych władców południowej części Międzyrzecza — „królów Sumeru i Akkadu".

Tak w bardzo uproszczonym skrócie przedstawia się droga, która od pierwszych refleksji poprzez teorię doprowadziła do skrystalizowanego twierdzenia o istnieniu Sumerów. I zupełnie tak samo, jak niegdyś pojawiła się obliczona z góry planeta, jak odkryto przewidywane już dawniej istnienie niektórych pierwiastków, jak znaleziono szczątki małpoluda odpowiadające teoretycznej konstrukcji pithecanthropusa, tak pewnego dnia znaleziono także pierwsze ślady owego tajemniczego ludu, od którego Babilończycy i Asyryjczycy przejęli pismo. Czy tylko pismo? Niebawem okazało się, że wszystko, co Babilon i Niniwa zdziałały na polu kulturalnym, wywodziło się z dawniejszej pracy tajemniczego ludu Sumerów.

Wspomnieliśmy już wyżej Ernesta de Sarzeca, francuskiego agenta konsularnego — a więc znowu nie zawodowego archeologa, lecz człowieka, który zanim stanął na ziemi mezopotamskiej, nie miał najmniejszego pojęcia o zadaniach archeologii wykopaliskowej. Ale ruiny i wzgórza Mezopotamii tak samo pobudziły jego ciekawość, jak czterdzieści lat przedtem zainteresowały Paula Emila Bottę. W jego początkowo na wskroś dyletanckich badaniach szczęście tak dalece mu dopisało, że u stóp wzgórza w Tello znalazł posąg w zupełnie dotąd nie spotykanym rodzaju. Zachęcony tym Sarzec kopał dalej. Znalazł inskrypcje i pierwsze widome ślady „przepowiedzianego ludu" — ludu Sumerów.

Najcenniejszym znaleziskiem był wykuty z twardego diorytu posąg przedstawiający rządcę prowincji lub króla-kapłana Gudeę. Posąg wraz z innymi cennymi okazami został załadowany na okręt i znalazł się wkrótce w paryskim Luwrze. Niezwykłe podniecenie ogarnęło cały świat naukowy. Wobec okoliczności, w jakich odkopano to znalezisko, i w obliczu tekstów inskrypcji nawet najostrożniejsi, najmniej skorzy do upajania się historycznymi datowaniami asyriolodzy musieli przyznać, że niektóre z tych znalezionych fragmentów niezawodnie pochodzą z 4000—3000 roku przed Chr., czyli są świadectwami kultury starszej nawet od kultury egipskiej.

De Sarzec kopał w latach 1877—1881. W okresie od 1888 do 1900 Amerykanie Hilprecht, Peters, Hayne i Fischer prowadzili wykopaliska w miastach Nippur i Fara. Od 1912 do 1913 roku Niemieckie Towarzystwo Orientalne (Deutsche Orient Gesellschaft) prowadziło wykopaliska w Erech; to samo towarzystwo podjęło nowe prace wykopaliskowe w 1928 roku. W 1931 roku ekspedycja American School of Oriental Research znowu kopała w Farze.

Na światło dzienne wyjrzały olbrzymie budowle, piramidy stopniowe, zikkuraty, które, jak rychło stwierdzono, były w dolinie Eufratu i Tygrysu równie nieodłączne od każdego miasta, jak nieodłączny jest minaret od meczetu, „campanile" od „chiesy", wieża od kościoła. Znaleziono także inskrypcje, dzięki którym można było śledzić historię Mezopotamii cofając się do czasów coraz bardziej odległych — niemal aż do spowitych w mrok początków rodzaju ludzkiego. Oznaczało to dla zrozumienia

owych światów historycznych odkrycie świata przedhistorycznego, mającego takie samo znaczenie dla zrozumienia Babilonii, jak odkrycie kultury kreteńsko-mykeńkiej dla zrozumienia starożytności greckiej.

Kultura sumeryjska prowadzi jednak do czasów bardziej, znacznie bardziej odległych. Wydaje się niemal, że jej początki istotnie zbiegają się ze stworzeniem świata, tak jak opisuje je Biblia, co najmniej zaś z pierwszymi ludźmi, którzy żyli po wielkim potopie zesłanym przez Boga, a który przeżył tylko Noe.

Czyż o tym potopie nie opowiadał już epos półboga Gilgamesza? Epos, którego brakującą część George Smith, asystent Muzeum Brytyjskiego, znalazł wśród milionów glinianych skorup pod wzgórzem Kujundżyk?

W latach dwudziestych naszego stulecia angielski archeolog Leonard Woolley rozpoczął wykopaliska w Ur — biblijnym mieście Chaldei, mieście rodzinnym Abrahama — dowiódł nie tylko, że wielka powódź z epoki Gilgamesza i potop Biblii są ze sobą identyczne, lecz że ta powódź była faktem historycznym.

Jeżeli nasiąkła gąbkę ścisnąć mocno w dłoni, nie tylko straci ona część swych właściwych rozmiarów, lecz stanie się sucha. Nie inaczej będzie z historią babilońską i asyryjską, gdyż ją teraz skomprymujemy na kilku stronach naszej książki. Niemniej jednak taki przegląd, mimo że suchy, będzie użyteczny dla czytelnika, który nie zadowala się samymi historiami, lecz chce zobaczyć historię.

Historia Międzyrzecza nie daje się ująć jednolicie, jak na przykład historia Egiptu. Natomiast narzuca się porównanie z przebiegiem dziejów kultury greckiej i rzymskiej. Tak jak tam obcy lud, przybyły z daleka, stworzył sobie w Tirynsie i Mykenach bastiony własnej kultury i jak potem, po barbarzyńskich najazdach Achajów i Dorów, wszystko to z biegiem stuleci stopiło się we właściwą kulturę helleńską, tak i tutaj obcy lud Sumerów, przybyły nad deltę Eufratu i Tygrysu, przyniósł ze sobą gotową kulturę, zlał się z semickimi Akkadami, a na użyźnionej w ten sposób glebie, wyrósłszy z sumeryjskich państw „Sumeru i Akkadu", powstała i rozkwitła Babilonia.

Czyż Biblia nie opowiada o pomieszaniu języków przy budowie wieży Babel? Faktycznie w Babilonie mówiono dwoma językami państwowymi — sumeryjskim i semickim (z czasem sumeryjski stał się wyłącznie jeżykiem kapłanów i prawników); ale wtargnęli na te ziemie również Amoryci, Aramejczycy, Elamici i Kasyci, później zaś, w Asyrii, Lulubejowie, Mitannijczycy i Hetyci, którzy przynieśli ze sobą własne narzecza.

Pierwszym władcą, któremu udało się zjednoczyć pod swym berłem rozległe obszary — od Elamu aż po Taurus — był Sargon I (2684—2630 roku przed Chr.). O jego narodzinach zachowała się taka sama legenda jak o narodzinach Cyrusa, Romulusa, Kriszny, Mojżesza i Perseusza. Urodzić go miała niepokalana dziewica, która ułożyła niemowlę w trzcinowym koszyku, uszczelnionym asfaltem, i zawierzyła nurtom rzeki. Akki, „wylewacz wody", znalazł dziecko i wychował je na ogrodnika, potem zaś bogini Isztar uczyniła zeń króla Akkadu. Długo wierzono, że Szarru-kin („prawowity król" — Sargon) nigdy nie istniał. Dzisiaj jego historyczna, doniosła działalność jest udowodniona ponad wszelką wątpliwość.

Dynastia Sargona panowała przez dwieście lat; potem uległa zagładzie. (Historię asyro-babilońską, podobnie jak egipską, również dzieli się na dynastie. Ponieważ jednak podział ten nie oświetla rozwoju Mezopotamii w tym samym stopniu, w jakim odzwierciedla rozwój Egiptu, pomijamy go tutaj i uwzględniamy tylko w tablicach chronologicznych na końcu książki). Do kraju wtargnęły ludy górskie, przede wszystkim Gutowie, i spustoszyły go. Królestwa-miasta współzawodniczyły ze sobą o supremację; kapłani-królowie miast Ur i Lagasz, jak Urbau i Gudea, zdołali na pewien czas znacznie rozszerzyć swe wpływy. W okresie tym mimo zamieszek politycznych sztuka i nauka, opierając się całkowicie o dziedzictwo sumeryjskie, dochodzą do takiej twórczej siły, że przez cztery tysiące lat wpływ ich zapładniać będzie całą historię pozostałej ludzkości.

Hammurabi (około 1700 r. przed Chr.) aktami gwałtu politycznego i wyprawami wojennymi znowu zjednoczył kraj. Wtedy Babilonia i jej kultura mogły już pretendować do przodującej roli w świecie ówczesnym. Hammurabi był czymś więcej

niż tylko wojownikiem. Zdobywszy władzę czeka dwadzieścia pięć lat, aż jego najgroźniejszy wróg, Rimsin z Larsy, dostatecznie się zestarzeje, i dopiero wtedy się z nim rozprawia. Jest też pierwszym wielkim prawodawcą w dziejach świata. „Ażeby silny nie czynił szkody słabemu, a sierotom i wdowom wskazane było prawo, spisał on na steli w Babilonie, a mianowicie w świątyni Esagila, swe drogocenne słowa i ustawił je przed swym wizerunkiem przedstawiającym go jako króla sprawiedliwości." (Pomniejsze zbiory praw istniały już przed Hammurabim. Istniały spisane prawa królów Isinu oraz prawa Szulgiego, króla Uru z trzeciej dynastii. Gdy zaś w 1947 roku amerykański archeolog Francis Steele zestawił cztery znalezione w Nippurze fragmenty tekstów klinowych, okazało się, że stanowią one część zbioru praw króla Lipit-Isztar, a więc zbioru o półtora wieku starszego od „Kodeksu Hammurabiego".) Zasługą Hammurabiego jest to, iż zebrał on lokalne prawa i przepisy w nadrzędne, zwierzchnie prawo, którego trzysta paragrafów wywierało swój wpływ jeszcze i wówczas, gdy imperium babilońskie dawno już legło w gruzach.

Ten olbrzymi zryw na długo wyczerpał siłę twórczą kultury sumeryjsko-babilońskiej. Polityczna moc państwa została rozdrobniona. Załamała się także jego potęga gospodarcza, która za Kadaszmana-Enlila I i Burnaburiasza II poprzez wszystkie obszary ościenne sięgała aż do Egiptu (przechowała się korespondencja prowadzona około 1370 roku przed Chr. z Amenhotepem III i IV). Nawet po zrzuceniu jarzma kasyckich zaborców sumeryjski Babilon, nawiedzany przez aramejskich Beduinów i wpadających z północy Asyryjeżyków, na razie nie może się podźwignąć i stworzyć nowego imperium.

I znowu mamy tu doskonałą paralelę z rozwojem kultury grecko-rzymskiej. Tak jak niegdyś kruszyła się polityka, religia, kultura i nauka Aten, gdy parweniuszowski Rzym przetapiał całą ich kulturę w „stechnizowaną", odduchowioną cywilizację, tak i Babilonia i jej stolica Babilon musiały przyglądać się temu, jak ich kultura wskrzeszona została w postaci cywilizacji parweniuszowskiej Asyrii, która w końcu w Ni-niwie stworzyła miasto będące tym samym wobec Babilonu, czym Rzym był wobec Aten.

Tukulti-Ninurta I (około 1250 roku przed Chr.) był pierwszym władcą asyryjskim, który wziął do niewoli króla babilońskiego. Pod panowaniem Tyglatpilezara I (około 1100 roku przed Chr.) Asyria staje się wielką potęgą, mocarstwem, które jednak pod jego następcami okazuje się tak nietrwałe, że koczujący Aramejczycy są w stanie nie tylko na nie napaść, ale i osiedlić się na jego ziemiach. Dopiero Asurnasyrpal (884 do 860 roku przed Chr.) i Salmanasar IV (781 do 772 roku przed Chr.) odbudowują nowe państwo. Dotarli oni aż do Morza Śródziemnego, zdobyli całą Syrię i pobierali daninę od miast fenickich. To Asurna-syrpalowi zawdzięcza ówczesna stolica Kalchu wspaniały pałac królewski, a miasto Niniwa świątynię Isztary. Cztery lata panowała „Semiramida" (Szaammuramat). Jej syn Adad Nirari III (810 do 782 roku przed Chr.) wykazał tyle monarszego „taktu", że — uważając, iż osiągnięcie zamierzonego celu politycznego „warte jest jednej mszy" — usiłował wprowadzić do Asyrii bóstwa Babilonu. Ale dopiero pod rządami niezwykle energicznego uzurpatora Tyglatpilezara III (którego Biblia nazywa Phulem) Asyria znowu poczuła się światowym mocarstwem i zaczęła prowadzić politykę ekspansji i podbojów. Za jego panowania (745 do 727 roku przed Chr.) granice jej rozciągały się od Morza Śródziemnego do Zatoki Perskiej. Tyglatpilezar III posunął się aż do Armenii i Persji i ujarzmił dzikie ludy górskie, które prawdopodobnie zdołałyby oprzeć się każdemu innemu najeźdźcy, zdobył Damaszek i poddał administracji asyryjskiej znaczne połacie północnego Izraela.

Między wszystkimi tymi władcami było wielu innych, którzy chociaż mani nam z imion i dat panowania, zbyt mało zaznaczyli się swymi rządami, aby można ich było wymienić w tak bardzo skomprymowanym przeglądzie.

Następnym więc władcą, o którym wypada nam wspomnieć, jest dopiero Sargon II (722 do 705 r. przed Chr.), zwycięzca Hetytów z księstwa Karkemisz. To może właśnie za jego panowania Asyria osiągnęła największą spoistość polityczną. Sargon II był ojcem Sanheryba (705 do 681 r. przed Chr.), który w obłąkańczym szale zniszczył miasto Babilon, dziadkiem Asarhaddona (681 do 669 r. przed Chr.), który odbudował Babilon, na północy pokonał Kimmerów i w 671 r. przed Chr. zdobył

Memfis w Egipcie i zagrabionym bogactwem pomnożył skarbiec w Niniwie, i wreszcie pradziadkiem Asurbanipala (668 do 626 r. przed Chr.), który wprawdzie utracił ziemie podbite w Egipcie — odebrał mu je Psametych I — ale za to energią i intrygami doprowadził swego zbuntowanego brata Saozduchina, władcę Babilonii, do samobójstwa. Asurbanipal był założycielem największej w czasach starożytnych biblioteki w Niniwie (przewyższają ją dopiero zbiory papirusów w Aleksandrii) i mimo wszystkich swych wypraw wojennych pozostał w dziejach Asyrii raczej królem pokojowym niż wojownikiem.

Wreszcie z dwóch następnych i ostatnich królów Asyrii — Sinszar-iszkun (625 do 606 r. przed Chr.) nie był już w stanie utrzymać w ręku steru państwa ani odeprzeć wzmagającego się naporu Medów, w dodatku zaś zawierzył swój los chaldejskiemu wodzowi Nabopolasarowi, który okazał się zdrajcą. W chwili gdy Medowie wdzierali się już w ulice zdobytej Niniwy, król ten kazał się spalić na stosie wraz ze wszystkimi swymi kobietami i skarbami. (Według Diodora, który powołuje się na Ktezjasza, na stosie tym, wysokim na czterysta stóp, spłonęło ponadto sto pięćdziesiąt złotych sof, tyleż złotych stołów oraz dziesięć milionów talentów złota, sto milionów talentów srebra i niezliczone mnóstwo drogocennych purpurowych szat.)

Czy był to już koniec historii asyro-babilońskiej? Nie. W osobie wiarołomnego wodza Nabopolasara raz jeszcze doszedł w Babilonie do władzy uzurpator, który utorował drogę dla swego, większego odeń, syna — -Nabuchodonozora, „cezara" Międzyrzecza (604 do 562 r. przed Chr.).

Pod jego panowaniem Babilon zabłysnął znowu przepychem, świetnością i nie uznającą niczyjej zwierzchności potęgą. Wszystko to jednak wywodziło się nie tylko z ducha, tradycji i prastarej kultury tego miasta, lecz nosiło wyraźne ślady wpływu kultury asyryjskiej Niniwy. Żadne zewnętrzne nawiązywanie do dawnych kultów, dawnych obyczajów, dawnych form społecznych nie mogło tego przesłonić. „Państwo nowobabilońskie", jak je dziś nazywamy, było schyłkową cywilizacją na podłożu dawnej kultury.

Wszystkie czyny Nabuchodonozora nosiły charakter cywilizatorski. Obszernie i

szczegółowo sławione są jego zasługi techniczne: budowa kanałów i ogrodów, stworzenie sztucznego jeziora, a przede wszystkim niezliczone budowle, religijne i świeckie.

Na ogół jednak każda cywilizacja osiągając swój punkt szczytowy nosi już w sobie zarodek przyszłego upadku. W sześć lat po śmierci Nabuchodonozora wybuchła w Babilonie rewolucja pałacowa; cała rodzina królewska została wycięta. Ostatni władca Nabunaid (555 do 539 r. przed Chr.), zacofany bigot, spłonął w zamku królewskim wydanym przez zdrajców królowi perskiemu Cyrusowi.

Wzlot, do którego kultura Międzyrzecza podniosła się za panowania Nabuchodonozora, był jej ostatnim wielkim wzlotem, a zarazem i ostatnim jej tchnieniem.

W 1911 roku pani Winifred Fontana, żona konsula brytyjskiego, podejmowała u siebie trzech archeologów. A że była malarką, więc potem w swym pamiętniku pisze o tej wizycie: „...wszyscy trzej mogliby stanowić piękne modele dla malarki..."

Tymi trzema archeologami byli David Hogarth, T. E. Lawrence i Leonard Woolley. Jeden z nich w kilka lat potem wsławił się na cały świat — ale już nie jako archeolog. Był to Lawrence, w pierwszej wojnie światowej organizator powstania Arabów. Woolley zyskał niniejszą sławę wśród szerokiej publiczności, tym większą za to wśród swych kolegów-archeologów.

Można zrozumieć panią Winifred Fontana, że później, zapytana raz jeszcze o wrażenie odniesione z ówczesnej wizyty, pod wpływem historycznego znaczenia, jakiego tymczasem nabrała postać Lawrence'a, powiada: .....to jednak Lawrence coraz to przykuwał do siebie moją uwagę".

Natomiast pewien Syryjczyk, który wówczas również był gościem w domu konsula, wyraził się do pani Fontana: „Jakiż niekorzystny kontrast stanowi ce *jeune* Lawrence z monsieur Woolleyem, który jest doprawdy na wskroś światowcem — *un parfait gentilhomme..."*

W znacznie późniejszych latach, w 1927 i 1928 roku, ów *parfait gentilhomme,* mając wtedy czterdzieści siedem lat, rozpoczął wykopaliska w mieście Ur nad Eufratem, legendarnym mieście rodzinnym Abrahama. W niedługim czasie natrafił na niezwykle bogate świadectwa potwierdzające istnienie ludu Sumerów. Odkrył „groby królewskie w Ur", znalazł ogromne skarby i — rzecz nierównie ważniejsza niż znalezione złoto — rozszerzył naszą wiedzę o babilońskiej prehistorii o tyle szczegółów, że ten najwcześniejszy okres kultury ludzkiej nabrał nagle rumieńców życia.

Wśród wielu znalezisk (których tu niepodobna wyliczyć) dwa zwłaszcza okazy były godne największej uwagi: przybranie peruki pewnej sumeryjskiej królowej i tak zwany „mozaikowy sztandar z Ur". Najważniejsze jednak dla naszego poznania najwcześniejszej historii ludzkości było inne odkrycie Woolleya, odkrycie, które w pełni potwierdziło historyczną prawdziwość jednej z najbardziej sugestywnych opowieści biblijnych.

Woolley przebił wykop we wzgórzu, od czego zaczyna się każde niemaj badanie archeologiczne. Do głębokości dwunastu metrów sięgała warstwa popiołów, zmurszałych cegieł, glinianych skorup, gruzu i śmieci. W gruzach tych mieszkańcy Ur wykopali niegdyś groby dla swych królów. W grobie jednej z królowych znaleziono przydane jej bogate klejnoty, naczynia ze złota oraz dwie łodzie, jakich używa się na Eufracie; jedna była z miedzi, druga ze srebra, każda zaś miała sześćdziesiąt centymetrów długości. Znaleziono także przybranie głowy królowej. Grubo podbita peruka była owinięta trzema sznurami paciorków z lapis-lazuli i czerwonego krwawnika. Z dolnego sznura zwisały złote pierścienie, z drugiego złote liście bukowe, z trzeciego — liście wierzbowe i złote kwiaty. Nad tym wszystkim tkwił pięciozębny grzebień ozdobiony złotymi kwiatami z inkrustacją z lapis-lazuli. Spiralne złote druciki zdobiły skronie; ciężko zwisały złote kolczyki w kształcie półksiężyca.

Katarzyna Woolley na podstawie znalezionej czaszki z owych czasów wymodelowała głowę królowej, która niegdyś nosiła te klejnoty. Z ornamentów ceramicznych zorientowała się w noszonych wówczas fryzurach, złote zaś opaski poinformowały ją o proporcjach peruki. Model ten, stojący obecnie w University Museum w Filadelfii,

można uważać za bardzo bliski rzeczywistości. Mówi on nam o tym, jak wysoko rozwinięta była pięć tysięcy lat temu sztuka obróbki szlachetnych metali i zmysł artystyczny. Wśród cennej biżuterii znalezionej w grobach królewskich w Ur znajdują się okazy, których nie powstydziłby się Cartier ani żaden inny wielki jubiler paryski.

Znaleziskiem jednak, które wniosło szczególnie wiele światła w poznanie ówczesnego Sumeru, był tak zwany „sztandar mozaikowy z Ur" (pochodzący według Woolleya z 3500 roku przed Chr.). Składał się on z dwóch prostokątnych tablic o 55 centymetrach długości i 22,5 centymetra szerokości oraz z dwóch trójkątnych przystawek; przypuszczalnie tablice te były przytwierdzone do drzewca i noszone niegdyś na czele procesji i pochodów.

Otóż ten „sztandar z Ur" pokryty był niezliczoną ilością figurynek z masy perłowej i muszli ułożonych w mozaikę na lazurowym tle. Chociaż nie w tej ilości i nie z tym bogactwem szczegółów, co malowidła ścienne, które niegdyś w grobowcu „bogatego pana Ti" wtajemniczyły Mariette'a w życie starożytnych Egipcjan, ukazały one Woolleyowi, niby książka z obrazkami, sceny z życia sprzed pięciu tysięcy lat. Sztandar ten stanowi niezwykle cenny klucz do poznania tych odległych czasów.

Widzimy na nim Sumerów, jak siedzą przy uczcie (przez co dowiadujemy się o ich odzieży, naczyniach i sprzętach), jak prowadzą bydło rzeźne (co mówi nam o tym, jakie wtedy trzymano zwierzęta domowe), widzimy kolumnę jeńców i pochód wojowników (z czego dowiadujemy się o broni i zbrojach), widzimy wreszcie rydwany wojenne, dowód, że to Sumerowie w końcu czwartego tysiąclecia przed Chrystusem wprowadzili do historii sztuki wojennej wojska walczące z rydwanów, wojska, które to spajały, to znów rozbijały olbrzymie imperia Babilończyków, Asyryjczyków, Persów, a nawet jeszcze Macedończyków.

Potem jednak Woolley dokonał swego najstraszliwszego odkrycia: groby królewskie w Ur prócz zwłok królów i królowych zawierały jeszcze i inne prochy.

Wszystko wskazywało na to, że w tych grobowcach odbyły się masakry. W jednym z grobów spoczywały szkielety wojowników z miedzianymi hełmami obok spróchniałych czaszek, z dzidami leżącymi obok rąk. W głębi innej komory grobowej

znaleziono szikielety dziewięciu dam dworskich, strojne jeszcze we wspaniałe przybrania głowy, nałożone przypuszczalnie na uroczystości pogrzebowe. Nie było wątpliwości, kobiety te zostały zamordowane. Naprzeciw wejścia do komory znajdowały się dwa ciężkie wozy z drzewa, a w nich szkielety woźniców. Na przodzie obok szkieletów wołów pociągowych leżały kości sług. I oni zostali zarżnięci!

W grobowcu królowej Szubad znalazł Woolley leżące w dwóch rzędach zwłoki dam dworu. Z brzegu leżał mężczyzna — harfista. Jego kości łokciowe opierały się jeszcze o drogocenną, ozdobioną intarsjami harfę, którą widocznie obejmował aż do chwili, gdy trafił go śmiertelny cios. Nawet przy samych marach, na których spoczywała królowa, leżały skulone szkielety dwojga ludzi, w postawie, w jakiej ich zastał zabójczy cios.

Cóż oznaczało to znalezisko?

Możliwe było jedno tylko wytłumaczenie: tu ludziom śmiertelnym złożono najwyższą ofiarę — ofiarę z ludzkiego życia. Woolley stał w obliczu świadomie składanych ofiar ludzkich. Składali je przypuszczalnie rozfanatyzowani kapłani, pragnący stworzyć władzę królewską otoczoną czcią boską. Z pozycji zwłok i z wszystkich innych okoliczności można było wnioskować, że ci dworzanie, żołnierze i słudzy bynajmniej nie z własnej woli oddali życie, aby towarzyszyć swym władcom do krainy śmierci, jak czyniły to wdowy indyjskie, gdy dobrowolnie szły za zwłokami swych mężów na stos. Tutaj ofiara z ludzkiego życia była wynikiem rzezi — krwawej egzekucji na cześć umarłych królów!

Jakież wnioski nauka wyciągnęła z tego znaleziska? „Nie ma żadnych przekazów piśmiennych — pisze Woolley — które wskazywałyby na ten rodzaj ofiar ludzkich. Również archeologia nie znalazła nigdzie indziej śladu takiego zwyczaju ani żadnych jego resztek w latach późniejszych. Jeżeli ofiary te (...) można objaśnić deifikacją pierwszych królów, to jednak stwierdzić należy, że takiego obrzędu w czasach już historycznych nie domagali się nawet wyżsi bogowie. Mamy tu zatem dowód, że groby w Ur pochodzą z czasów nadzwyczaj odległych."

Do tych odległych czasów sumeryjskiej kultury Woolley niebawem przybliżył się o

dalszy jeszcze krok.

Gdy zaczął systematycznie przekopywać się głębiej, natrafił na głębokości dwunastu metrów pod powierzchnią ziemi na warstwę mułu. Warstwa ta była zupełnie czysta. Nie zawierała ani glinianych skorup, ani nie była zanieczyszczona śmieciami. Przy tym grubość jej wynosiła dwa i pół metra.

Na obecność tej warstwy widocznie aluwialnego mułu istniało tylko jedno wytłumaczenie, na które z większą kompetencją niż archeolog wskazać mógł geolog. Widocznie Sumer nawiedziła niegdyś olbrzymia, katastrofalna powódź, podczas której — skoro pozostawiła ona warstwę mułu grubą na dwa i pół metra — niezawodnie morze wystąpiło z brzegów i rozewrzeć się musiały wszystkie upusty niebios. Przypuszczalnie powódź ta pewnego dnia zalała doliny i wzgórza, kiedy to, mówiąc słowami Biblii (siódmy rozdział Pierwszej Księgi Mojżesza), „przerwały się wszystkie źródła przepaści wielkiej, i upusty niebieskie otworzone są. I opanowały wody ziemię sto i pięćdziesiąt dni."

Woolley stał w obliczu oszałamiającego wniosku.

Gdy uprzytomnił sobie zgodność opowieści biblijnej ze znacznie starszym eposem Gilgamesza, gdy sięgnął do tak zwanych sumeryjskich „list dynastycznych" („potem przyszła powódź, a po powodzi królestwo znowu zstąpiło z niebios"), a ponadto wziął pod uwagę wszystko, co dotąd w wykopaliskach na obszarze Międzyrzecza potwierdzało prawdziwość starych legend i Pisma świętego, nie mogło już właściwie ulegać żadnej wątpliwości, że ta wielka powódź, której niezbite dowody tu zdobył, była — potopem.

Oczywista, że ta powódź będąca faktem historycznym, z którego zrodził się mit o potopie, nie starła z oblicza ziemi całego rodzaju ludzkiego z wyjątkiem jednej tylko rodziny Ut-napisztima — Noego. Musiała to być jedna z owych powodzi — niewątpliwie szczególnie groźna — które raz po raz zalewały obszar delty Eufratu i Tygrysu. Posiadane przez nas dane piśmienne o najstarszych królach sumeryjskich z okresu przed potopem i po nim pozwalają wnioskować, iż przede wszystkim przeżyli ją osiadli tu Sumerowie po prostu dlatego, że — w przeciwieństwie do rdzennych

mieszkańców, barbarzyńskich jeszcze Semitów — mieszkali już w otoczonych wałami ochronnymi i wzniesionych na sztucznym gruncie miastach. Nie jest też wcale wykluczone, że Ut-napisztim, sumeryjski Noe, był postacią historyczną, po prostu osadnikiem, który mieszkając na ziemiach Akkadu zauważył wcześniej niż inni przybieranie powodzi i zawczasu przedsięwziął środki, aby się ratować. Bogowie polecili jemu i jego rodzinie: bądźcie płodni, rozmnażajcie się i wypełnijcie ziemię. Sumerowie spełnili to przykazanie. Z energią, która jeszcze dziś napawa archeologa podziwem, znowu przeistoczyli zniszczony kraj w urodzajne niwy.

Swe znaleziska w grobach królewskich w Ur Woolley datuje z czwartego tysiąclecia przed Chrystusem. Aż do ich odkrycia nasza znajomość tych czasów ograniczała się do mitów i legend. Woolley włączył tę epokę do historii. W toku zaś dalszych wykopalisk udało mu się doku-mentalnie dowieść historycznego istnienia jednego z najstarszych królów w dziejach ludzkości.

Na podstawie dowodów naukowych, opartych jedynie na poszlakach, wysunięto twierdzenie, że istniał kiedyś lud Sumerów. Dziś posiadamy w naszych muzeach zbyt wiele świadectw ich sztuki i rzemiosł, aby można było jeszcze żywić jakiekolwiek wątpliwości co do tego, że naprawdę istnieli. Jednakże o pochodzeniu ludu, który wykonał te rzeczy, wiemy tyle co nic. I znowu nasze twierdzenia opierać możemy tylko na poszlakach.

Jedno nie ulega wątpliwości: Sumerowie, niesemicki, ciemnowłosy lud — inskrypcje nazywają ich „czarnogłowymi" — przybyli ostatni do wielkiej delty Eufratu i Tygrysu. Przed nimi kraj ten zamieszkiwały już (przypuszczalnie) dwa różne plemiona semickie. Sumerowie jednak przynieśli ze sobą wyższą, w istotnych swych częściach już całkowicie wykształconą kulturę i narzucili ją owym na wpół barbarzyńskim Semi-tom.

Gdzie wykształcili tę kulturę? Pytanie to jest jednym z wielkich, wciąż jeszcze nie rozwiązanych problemów archeologii.

Język sumeryjski jest podobny do staroturecckiego (turańskiego). Z budowy swej należy do grupy języków indoeuropejskich. To wszystko, co wiemy. Odtąd zaczynają się już tylko hipotezy. Ludzie, którzy czczą swych bogów jako bóstwa mieszkające na szczytach gór i na obcej równinie budują im nawet sztuczne góry — zikkuraty, nie mogli pochodzić z wielkich równin. Czy przybyli więc może z wyżyn irańskich lub z jeszcze dalszych okolic — z górskich krajów Azji? Przemawiałby za tym fakt, że odkopane w Mezopotamii najwcześniejsze pomniki architektury sumeryjskiej wyraźnie wskazują na tradycje budowli drewnianych, te zaś powstać mogły jedynie w gęsto zalesionych krajach wyżynnych.

Niczego tu wszakże nie można uważać za pewne. Jednocześnie bowiem przeczy tej teorii część prastarej legendy sumeryjskiej, opowiadającej o ludzie, który wtargnął do Mezopotamii znad morza. Są poszlaki przemawiające i za tą możliwością.

Wreszcie pewnego dnia Anglik Arthur Keith stwierdza: „Rysy twarzy starożytnych Sumerów odnaleźć można jeszcze na Wschodzie u mieszkańców Afganistanu i Beludżystanu aż po dolinę Indusu — w odległości 2 400 kilometrów od Mezopotamii."

I rzeczywiście, ledwo zostały wypowiedziane te słowa, w wykopaliskach w dolinie Indusu, gdzie odkryto wysoko rozwiniętą starożytną kulturę, znaleziono charakterystyczne, prostokątne pieczęcie, których forma, styl znaków i inskrypcje były najzupełniej podobne do pieczęci znalezionych poprzednio w Sumerze.

Pytanie jednak, skąd się wziął ten tajemniczy lud, wciąż jeszcze pozostaje otwarte. Nie wolno nam zapominać, jak zamierzchłych czasów sięgają znalezione już dotąd zabytki po tym „czarnogłowym" ludzie Sumerów. Gdy zaś spojrzymy na tak zwane „listy dynastyczne", otwierają się przed nami czasy jeszcze bardziej odległe, jeszcze dawniejsze.

W okresie wczesnobabilońskim wszelkie datowania nawiązywały do jakiegoś doniosłego wydarzenia z roku poprzedniego. Ale już w czasach pierwszej dynastii z Isinu (około 2100 roku przed Chr.) wydarzenia historyczne po raz pierwszy zaczęto spisywać w porządku chronologicznym. Zachowały się kopie „list dynastycznych" —

schematyczne, lecz mimo to cenne dla nas tablice wyliczające królów sumeryjskich — oraz z czasów znacznie nowszych, bo z IV i III stulecia przed Chrystusem, mocno okraszony opis Berosa, kapłana babilońskiego piszącego w języku greckim.

Według tych list dynastycznych historia Sumerów zaczyna się od stworzenia świata. Biblia wymienia od czasów Adama, pierwszego człowieka, aż do potopu dziesięciu „praojców". U Sumerów nazywają się oni „prakrólami" i jest ich również dziesięciu. Już izraelscy praojcowie odznaczali się nieprawdopodobną długowiecznością: Adam spłodził pierwszego swego syna mając sto trzydzieści lat, potem zaś jakoby żył jeszcze osiemset lat. Imię Matuzalema zachowało się do dziś dnia w naszym słownictwie jako synonim długowieczności. Długowieczność starożytnych Sumerów bije jednak wszystkie rekordy. Według jednej listy dynastycznej (wymieniającej wprawdzie tylko ośmiu władców) „prakrólowie" panowali łącznie 241 000 lat, według innej zaś, która wymienia wszystkich dziesięciu, nawet 456 000 lat.

Potem nastąpił potop, po którym ród ludzki odrodził się z plemienia Ut-napisztima. Późniejsi uczeni babilońscy, którzy pisali swe kroniki około roku 2100 przed Chr., zaliczają królów wymienionych od tego okresu do postaci historycznych. Ponieważ jednak w szeregu tych władców znajduje się kilku takich, którzy w przekazanej jednocześnie legendzie przedstawieni są jako bogowie i półbogowie, a dwudziestu trzech królów pierwszej dynastii po potopie miało jakoby panować w sumie 24 510 lat, 3 miesiące i 3V2 dnia, więc trudno się dziwić, że badacze zachodni początkowo w ogóle nie dawali wiary owym listom dynastycznym.

Jest to tym naturalniejsze, że archeologom aż do naszego stulecia nie udało się znaleźć ani jednego dokumentu, który by potwierdzał autentyczność choćby jednego króla z okresu sprzed ósmej dynastii po potopie.

Gdy jednak Woolley widział na własne oczy, jak w toku prac wykopaliskowych wyłaniały się na światło dzienne coraz starsze warstwy najstarszej kultury świata, nabierał do tych list dynastycznych coraz większego zaufania. Podobny w tym był do Schliemanna, który wierzył w Homera i Pauzaniasza. I podobnie jak Schliemannowi, wielkiemu dyletantowi, tak i Woolleyowi, uczonemu specjaliście, udało się

szczęśliwie odkryć znalezisko, które potwierdziło jego wiarę.

We wzgórzu El Obeid pod Ur w Chaldei odkopał świątynię matki bogów Nin-chursag. Ze swymi schedami, tarasem, portykiem, wyłożonymi miedzią drewnianymi kolumnami, bogatymi mozaikami oraz rzeźbami lwów i jeleni była to najstarsza budowla świata, łącząca z tak wielkimi rozmiarami artystyczne wykonanie. W świątyni tej Woolley obok wielu innych wartościowych i bezwartościowych przedmiotów znalazł także złoty paciorek.

I ten właśnie paciorek dzięki swej inskrypcji dał mu pierwszą wiadomość o władcy, który zbudował świątynię. Wyraźnie wyryte było na nim imię: „A-anni-padda".

Jeszcze więcej niż ów złoty paciorek powiedziała Woolleyowi znaleziona potem tablica z wapienia. Widniał na niej napis w dobrze już rozwiniętym piśmie klinowym, który potwierdzał, że budowlę tę poświęcił A-anni-padda, „król Ur, syn Mes-anni-paddy, króla Ur".

Otóż w listach dynastycznych Mes-anni-padda figurował jako założyciel III dynastii po potopie, tak zwanej I dynastii z Ur, a więc jako jeden z owych królów, których historyczne istnienie podawano dotąd w wątpliwość.

Rozdział ten traktujący o odnalezieniu ludu Sumerów rozpoczęliśmy od pytania o czarnego kota, o kopę jaj, o podzieloną na dwanaście części tarczę naszych zegarów. I tym też chcemy go zakończyć.

Od Sumerów prowadzi aż do nas linia tylko pryzmatycznie załamująca się w kulturach, które w owym czasie żyły i przeminęły. Siła twórcza kultury sumeryjskiej była nadzwyczajna. Wpływ jej przenikał we wszystkie dziedziny. Wszystko, co w Babilonie i Niniwie doszło do wysokiego rozkwitu, wyrosło z sumeryjskiego podglebia. Przytoczymy tylko kilka przykładów świadczących o tym, ile cała babilońska kultura zawdzięczała kulturze sumeryjskiej i jak zdobycze tych kultur dają

się hierarchicznie uszeregować w stosunku do dorobku kultur późniejszych.

Znaleziona w Suzie wielka stela praw zawierająca Kodeks Hammurabiego jest w istocie tylko kompilacją starosumeiyjskich zasad prawnych i praw zwyczajowych. Zdumiewa nas w tym zbiorze „nowoczesne" już skrystalizowane pojęcie winy i silne podkreślenie czysto prawnych punktów widzenia (przy jednoczesnym ograniczeniu przykazań religijnych). Tak na przykład krwawa zemsta, która pojawiała się we wszystkich późniejszych kulturach, a w pewnych częściach Europy wywierała swój zgubny wpływ jeszcze w ubiegłym stuleciu, została przez prawa Hammu-rabiego niemal całkowicie zlikwidowana. Zamiast jednostki państwo — i to właśnie w Kodeksie Hammurabiego jest najbardziej „nowoczesne" — występuje jako mściciel krzywdy. Sprawiedliwość była surowa, rozmaitość zaś kar cielesnych nosi wszystkie znamiona wschódniego despotyzmu. Niemniej podstawowe założenia praw Hammurabiego oddziaływają przez długie wieki i znajdują jeszcze odbicie w kodeksach Justyniana i Napoleona.

Medycyna Babilończyków, ściśle związana z magią — w mowie potocznej Rzymian określenie „Babilończyk" lub „Chaldejczyk" oznaczało tyle co czarnoksiężnik — pochodziła z Sumeru. Babilonia posiadała szkoły lekarskie, korzystające z opieki państwa. Sztuka lekarska w wielu wypadkach kierowała się przepisami religii. Lekarz wykonując swój zawód odpowiadał przed państwem, a w bardzo licznych wypadkach ponosił nawet odpowiedzialność karną. Tak na przykład artykuł 218 prawa Hammurabiego przewidywał następującą sankcję za wadliwe dokonanie zabiegu: „Jeżeli lekarz dokona na kimś ciężkiego zabiegu za pomocą noża z brązu i spowoduje śmierć tej osoby, albo nożem z brązu zdejmie komuś kataraktę i przez to spowoduje utratę oka — należy mu uciąć rękę." Bogów i wierzenia religijne Sumerów, którzy wyznawali kult ciał niebieskich, znajdujemy pod innymi nazwami i częstokroć z nie-znacznymi tylko zmianami w Babilonii i Asyrii aż do najpóźniejszych okresów historii tych państw, jak również w Atenach, a nawet jeszcze i w Rzymie (z bezpośrednim oddziaływaniem historii i legend sumeryjskich na Biblię zaznajomiliśmy się już wyżej).

Nauka o niebie i ruchach ciał niebieskich wzniosła się w Babilonie na szczebel nauki ścisłej. Dała podstawowy pogląd na układ planetarny, pozwoliła stworzyć kalendarz i rachubę czasu. Wieże świątynne zikkuratów służyły za obserwatoria. Babilońscy kapłani obliczyli ruchy planety Merkurego z większą dokładnością niż Hipparch i Ptolemeusz z Aleksandrii. Ba, ustalony przez nich obrót księżyca naokoło ziemi wykazuje tylko 0,4 sekundy różnicy w porównaniu z wyliczeniami naszych astronomów wyposażonych w najdoskonalsze środki techniczne.

Matematyka babilońska opierała się na sumeryjskim sześćdziesiętnym systemie liczenia, połączonym przez Semitów z systemem dziesiętnym. Powstałą z tego skrzyżowania uciążliwość liczenia usunęły tablice rachunkowe — antyczne suwaki rachunkowe. Jednakowoż posługując się tym swoistym systemem liczenia doszli Babilończycy do wartości liczbowych zdumiewających rzędów wielkości. Dla Greków, którym także w dziedzinie matematyki i astronomii mamy tyle do zawdzięczenia, już z liczbą 10 000 łączyło się pojęcie „nieobliczalnie wielkiego mnóstwa". W świecie cywilizacji zachodniej pojęcie miliona pojawiło się dopiero w XIX wieku. Tymczasem jedna z tabliczek klinowych odkopanych we wzgórzu Kujunżdyk zawiera szereg matematyczny, którego rezultat końcowy wyrażony w naszym systemie liczbowym daje liczbę 195 955 200 000 000, a więc liczbę rzędu, jakim nie operowano jeszcze w czasach Kartezjusza i Leibniza.

Ciemną jednak stroną tej nauki było jej powiązanie z astrologią i wróżbiarstwem. Wśród wielu rzeczy dobrych, jakie przekazał nam Sumer i Babilon, jedna jest rzecz zła — zabobon, który najmniejsze drobiazgi i najbłahsze czynności wiązał z tajemnymi mocami i ręka w rękę z fanatyzmem religijnym doprowadził na przykład do tak potwornych przejawów jak polowanie na czarownice. I to również poprzez późniejszy Rzym i mauretańską Arabię znalazło swą drogę na zachód. Księga *Malleus meleficarum (Młot na czarownice),* spośród wszystkich głupich książek Zachodu najinteligentniej napisana książka, nie jest niczym innym, jak późnym potomkiem owych ośmiu tabliczek z tekstami klinowymi noszącymi tytuł: *Palenie.*

Leonard Woolley, któremu zawdzięczamy większą część naszych wiadomości o

tajemniczym ludzie Sumerów, dla zilustrowania trwałego oddziaływania kultury sumeryjskiej przytacza następujący przykład zaczerpnięty z dzk dziny architektury: „Łuk architektoniczny poznano w Europie dopiero po podbojach Aleksandra Wielkiego. Greccy architekci skwapliwie podchwycili go jako nową formę architektoniczną i wprowadzili w świecie zachodnim... Później rolę Greków przejęli Rzymianie. Odtąd łuk stanowi powszechnie stosowaną babilońską konstrukcję budowlaną. Nabuchodonozor stosował go przy odbudowie Babilonu w 600 roku przed Chr. W Ur jeszcze dzisiaj stoi łuk w świątyni Kuri-Galzu, króla babilońskiego z około 1400 roku przed Chr., w domach prywatnych w Ur około 2000 roku przed Chr. sklepienie bramy budowano z cegieł, które układano na kształt prawdziwego łuku. Sklepienie kanału w Nip-purze pochodzi przypuszczalnie z 3000 roku przed Chr., a prawdziwe łuki, które znajdujemy w budowie stropów grobów królewskich w Nippurze, świadczą o tym, że ta forma architektoniczna istniała już jakie czterysta lub pięćset lat wcześniej. Można tu więc przeprowadzić wyraźną linię prowadzącą od pierwocin kultury sumeryjskiej do naszego świata współczesnego."

Wreszcie Woolley kończy następującą konkluzją: „Jeżeli wysiłki ludzkie oceniać będziemy wyłącznie według ich powodzenia, to Sumerom (...) przyznać należy zaprawdę chlubne, choć nie wybitne miejsce. Jeżeli jednak oceniać je według oddziaływania na rozwój historii, to zasługują oni na bardziej poczesne miejsce. Kultura Sumerów, która rozświetliła mroki świata pogrążonego jeszcze w głębokim barbarzyństwie, nabiera wtedy znaczenia jednej z pierwszych dźwigni rozwoju świata. Wyrośliśmy w czasach, kiedy źródła wszelkich sztuk doszukiwano się w Grecji i wierzono, że sama Grecja, tak jak Pallas Atena, wyszła z głowy Zeusa olimpijskiego. Widzieliśmy jednak, jak ten wykwit kultury ciągnął swe soki żywotne od Lidyjeżyków, Hetytów, Fenicjan, z Krety, Babilonu i Egiptu. Korzenie te sięgają jeszcze dalej wstecz: za wszystkimi tymi ludami stoją Sumerowie."

Gdy towarzysząc archeologom śledzimy tropy naszego życia cofając się aż do Międzyrzecza, do kraju potopu i „prakrólów", czujemy tchnienie tysiącleci. Widząc zaś działanie tak wielu czynników, które działały już pięć tysięcy lat temu, na złe i na

dobre, możemy powiedzieć, że tysiąclecia te były jak jeden dzień.

Dotąd towarzyszyliśmy archeologom w wędrówce po obszarze geograficznym tylko nieznacznie wybiegającym poza rubieże Morza Śródziemnego. Teraz zrobimy wielki skok — wielki w przestrzeni geograficznej, lecz tylko nieznaczny pod względem odległości w czasie. Wraz z archeologami uzbrojonymi w łopatę przeniesiemy się w świat, który, chociaż zaginiony dopiero od niewielu stuleci, wyda nam się bardziej obcy, bardziej barbarzyński, pod niejednym względem straszliwszy i bardziej niepojęty niż wszystkie dawne światy, które poznaliśmy dotychczas. Udamy się do dżungli Meksyku i Jukatanu.

IV. KSIĘGA SCHODÓW

Miasto ruin leżało przed nami niby barka rozbita pośrodku morza, z pozrywanymi masztami, bez nazwy, bez załogi. Nikt nie wie, skąd przybyła, do kogo należała, jak długo znajdowała się w drodze, co spowodowało jej zagładę. Tylko domniemane podobieństwo jej budowy pozwala się domyślać, kim byli nieznani, zaginieni majtkowie, lecz pewności nie uzyskamy może nigdy.

(John L. Stephens
o swoim pierwszym
odkryciu)

Rozdział dwudziesty siódmy

SKARB MONTEZUMY II

O pierwszym słabym brzasku hiszpański dowódca był już na nogach, aby uszykować swą garstkę ludzi. Gdy zatrąbiono pobudkę i jej podniecające tony poniosły się po jeziorze i lasach zamierając w dalekim echu gór, Hiszpanie z bijącym sercem zbierali się pod sztandarami. Święte znicze płonące na ołtarzach niezliczonych «teocalli», świątyń-piramid, ledwo widoczne poprzez szarą mgłę poranną, wskazywały położenie stolicy. Potem jednak, gdy słońce wstając nad wschodnim pasmem gór zalało wspaniałym światłem piękną dolinę, wyraźnie już widać było świątynie, wieże i pałace. Był to 8 listopada 1519 roku — dzień wielce pomyślny w historii, tego bowiem dnia Europejczycy po raz pierwszy wstąpili do stolicy zachodniego świata."

W tych słowach pewien historyk ubiegłego stulecia (jest nim W. H. Pre-scott, o którym niżej będzie jeszcze obszerniej mowa) opisuje historyczną chwilę, gdy hiszpański poszukiwacz przygód Hernando Cortez — Cortes, jak podpisuje się na swych listach — z garstką czterystu Hiszpanów po raz pierwszy ujrzał Tenochtitlan, stolicę państwa Azteków (dzisiejszy Meksyk).

Wojsko Corteza — Hiszpanom towarzyszyło około sześciu tysięcy Indian, w tym przede wszystkim Tlaskalanowie, odwieczni wrogowie Azteków — przemaszerowało przez groblę łączącą stały ląd z miastem na wyspie i weszło na wielki most zwodzony. Żaden z Hiszpanów nie miał złudzeń co do tego, że od tej chwili oddali się w ręce władcy, o którego potędze mówiły im wymownie nie tylko rojące się dokoła rzesze wojowników, nie tylko widniejące przed nimi olbrzymie budowle, ale i wszystkie zasłyszane dotąd opowiadania tubylców.

Ale most zadudnił krokiem Hiszpanów. Szli bez wahania.

Gdy doszli do głównej ulicy przecinającej środek miasta, po przeciwległej stronie ukazał się zmierzający ku nim barwny orszak strojnych ludzi. Za trzema urzędnikami

państwowymi, trzymającymi w ręku złote laski, niesiona na barkach dostojników kołysała się złota lektyka. Jej baldachim utkany był z różnobarwnych piór, usiany klejnotami i obramowany srebrem. Niosący go dostojnicy szli boso, miarowym krokiem, z oczyma spuszczonymi ku ziemi. W należnej odległości, jak nakazywał szacunek, pochód zatrzymał się. Z lektyki wyszedł wysoki, szczupły mężczyzna w wieku około czterdziestu lat. Kolor jego twarzy był jaśniejszy niż u prostego ludu, włosy miał czarne, gładkie, niezbyt długie, brodę rzadką. Ubrany był w zapięty pod szyję płaszcz haftowany perłami i drogocennymi kamieniami. Na stopach miał złote sandały, których pozłociste rzemyki były spięte na kostkach. Gdy wsparty na ramionach dwóch dostojników począł się zbliżać ku Hiszpanom, słudzy słali przed nim bawełniane chodniki, aby nie pobrudził swych stóp. Tak Monte-zuma II, cesarz państwa Azteków, stanął przed Cortezem.

Cortez zsiadł z konia, wsparł się również na ramionach dwóch spośród szlachciców i poszedł na spotkanie władcy.

Pięćdziesiąt lat później Bertal Diaz, jeden z towarzyszy zdobywcy, pisze o tym spotkaniu: „Nigdy nie zapomnę tej sceny. Jeszcze dziś, po wielu latach, widzę ją tak żywo przed sobą, jak gdybym był wczoraj jej świadkiem."

Gdy jednak ci dwaj mężowie patrzyli sobie w oczy i zapewniali się wzajemnie o przyjaźni, która i z jednej, i z drugiej strony była przyjaźnią kłamaną, stały naprzeciw siebie dwa światy, dwie epoki.

Po raz pierwszy w wielkiej historii odkryć, o której opowiada nasza książka, zdarzyło się, że człowiek chrześcijańskiego Zachodu nie musiał rekonstruować obcej, bogatej kultury, lecz zastawał ją żywą. Cortez stojący przed Montezumą to tak, jak gdyby Brugsch-bej spotkał nagle w dolinie Der-el-bahri Ramzesa Wielkiego lub jak gdyby Koldewey ujrzał przed sobą w wiszących ogrodach Babilonu spacerującego Nabu-chodonozora i jak gdyby obaj mogli z nimi swobodnie rozmawiać tak jak Cortez z Montezumą.

Lecz Cortez był zdobywcą, a nie badaczem. Piękno pociągało go tylko wtedy, gdy przedstawiało wartość materialną, a wielkość, gdy mógł się z nią mierzyć. Chodziło

mu o zysk dla siebie i dla hiszpańskiej korony, o zatknięcie chrześcijańskiego krzyża, ale bynajmniej nie o wiedzę (chyba że jego dążenie do poznania nowych światów uważać będziemy za dążenie do wiedzy). W niespełna rok po tym pierwszym spotkaniu z Cor-tezem Montezumą już nie żył. Minął drugi rok, a przepyszne miasto Tenochtitlan było zburzone. Czy tylko Tenochtitlan, tylko miasto? Nie, nie tylko!

To do tych wydarzeń odnoszą się słowa współczesnego historyka kultury, Spenglera: „Jest to jedyny przykład kultury, która zginęła śmiercią gwałtowną. Kultura ta nie uwiędła, nie była uciskana, hamowana. Została zamordowana w pełni swego rozkwitu, unicestwiona, jak unicestwiony zostaje słonecznik, któremu przechodzień strąca koronę z łodygi."

Aby zrozumieć ten proces uśmiercenia kultury obcego ludu, musimy cofnąć się wstecz do lat znanych pod nazwą „epoki konkwistadorów", do okresu zachodniochrześcijańskiej historii, który czerwony od ognia i krwi zasłaniał się mnisim habitem, a mieczem wytyczał granice.

W 1492 roku genueński kapitan Cristóbal Colón, nazwany później Krzysztofem Kolumbem, odkrył w drodze do Indii leżące przed lądem Środkowej Ameryki wyspy Guanahani, Kubę i Haiti, w późniejszych podróżach Dominike, Gwadelupę, Puerto Rico, Jamajkę, a w końcu także i samo wybrzeże Południowej i Środkowej Ameryki. Podczas gdy w tym samym mniej więcej czasie Vasco da Gama znalazł prawdziwą, to znaczy najbliższą drogę do Indii, Hojeda, Vespucci i Fernando Magellan zbadali położone dalej na południe wybrzeża Nowego Świata. Po podróży Johna Cabota i okrążeniu globu ziemskiego przez Magellana znany już był cały kontynent amerykański od Labradoru aż po Ziemię Ognistą. Gdy zaś Nuńez de Balboa z patosem, od którego nie umie się uchronić żaden wielki odkrywca, w pełnym rynsztunku wypłynął na wody Pacyfiku (aby objąć go w „wieczyste" posiadanie), a Pizarro i Almagro wtargnęli z zachodniego wybrzeża do państwa Inków, dzisiejszego Peru, wówczas w ciągu jednego pokolenia ludzkiego utorowana została droga dla największej w dziejach fiuropy wyprawy awanturniczej. Po odkryciu mogło nastąpić zbadanie nieznanych krain, lecz po zbadaniu musiał nastąpić ich podbój. Nowy Świat

bowiem krył w sobie niezmierzone bogactwa, bogactwa w dwojakim znaczeniu: jako przyszłe źródła handlu i jako skarbiec, który można było obrabować.

Słusznie więc, nie wdając się w jakikolwiek moralno-polityczny machiawelizm, można powiedzieć, że ta druga perspektywa była najsilniejszą pobudką owych niesłychanie śmiałych przedsięwzięć, które podejmowały coraz to nowe garstki ludzi wypływając w nieznane morza na statkach nie większych od naszych dzisiejszych statków rzecznych. Niesłuszne natomiast byłoby twierdzenie, że perspektywa obłowienia się błyszczącym złotem Eldorada była jedyną sprężyną ich poczynań. Nie tylko chęć zysku łączyła się tu z żądzą przygody, nie tylko chciwość szła w parze z junacką brawurą. Badacze i konkwistadorzy przedsiębrali swe podróże nie tylko dla siebie samych, nie tylko dla Izabeli i Ferdynanda, a potem dla Karola V, lecz także dla papieża — dla Aleksandra VI Borgii, który w 1493 roku jednym zamaszystym pociągnięciem pióra podzielił świat pomiędzy Hiszpanię i Portugalię. Płynęli dla Jego Apostolskiej Świątobliwości, pod sztandarem Najświętszej Panny, jako misjonarze przeciwko poganom, i na żadnym z ich okrętów nie brakło duchownego, który miał na dalekich lądach zatknąć krzyż.

Wyprawy badaczy i konkwistadorów do Ameryki sprawiły, że obraz świata po raz pierwszy w dziejach ludzkości stał się obrazem obejmującym cały glob ziemski. Na podróże konkwistadorów istniało zamówienie historyczne. Udzieliły go: duch czasu, religia, polityka i żądza przygody. Znajomość astronomii i geografii i wynikająca stąd znajomość nawigacji morskiej dawały środki realizacji ekspansywnej polityce prawdziwie europejskiego imperium, „w którym słońce nigdy nie zachodziło". Rozfanatyzowana wiara ściągała pod swe święte sztandary ludzi żądnych przygód, bo serca hidalgów dość już miały marzeń i parły do czynu.

Te krótkie przypomnienia i uwagi wystarczą na potrzeby dalszego naszego opowiadania. Nieraz już wspominaliśmy, jak decydującą rolę w dziejach naszej nauki o zaginionych kulturach odegrali stojący z dala od niej outsiderzy. Nie odmawiajmy sobie więc i teraz przyjemności stwierdzenia, że Hernando Cortez, który wśród wszystkich konkwistadorów jako odkrywca Azteków najbardziej nas będzie

interesował, właściwie miał zostać adwokatem. Jego pierwsza ucieczka od tego zawodu, a mianowicie próba wzięcia udziału w ekspedycji Nicolasa de Ovando, następcy Kolumba, nie udała się dlatego, że obsunęły się i pogrzebały go pod sobą kamienie wysokiego muru, przez który młody donżuan chciał dotrzeć do pokoju ukochanej. Kontuzje, które odniósł przy tej przygodzie — pierwszej romantycznej przygodzie Corteza, o której wiemy — przykuły go do łóżka, tymczasem zaś flota Ovandy wypłynęła na morze.

Narzuca się pytanie, czy dzieje Nowego Świata nie potoczyłyby się inaczej, gdyby mur, po którym wspinał się Cortez, był wyższy.

Prawda, że nawet i tacy ludzie jak Cortez nie są niezastąpieni wówczas, gdy domaga się ich historia.

W wyprawie wojennej nie mającej sobie równych pędził Cortez do Meksyku. Gdy szesnaście lat przedtem — Hernando miał wtedy dwadzieścia lat i wylądował właśnie w Hispanioli (Espagnola) — namiestnik chciał mu przydzielić ziemię, odpowiedział wyniośle jego pisarzowi: „Przyjechałem tu, aby zdobyć dla siebie złoto, a nie po to, by jak chłop orać ziemię.” Na złoto jednak musiał Cortez jeszcze trochę poczekać. W pięć lat później pod rozkazami Velasqueza bierze udział w podboju Kuby. Wyróżnia się, lecz potem staje po stronie przeciwników nowego namiestnika i zostaje wtrącony do więzienia. Ucieka, zostaje schwytany, ucieka ponownie. W końcu doszło do pojednania z namiestnikiem. Osiadł wtedy w posiadłości ziemskiej, pierwszy wprowadził na Kubie europejskie bydło rogate, eksploatował kopalnie złota i zebrał znaczną sumę 2 000 do 3 000 castellanos. Biskup de Las Casas, jeden z niewielu przyjaciół Indian w Nowym Świecie, pisze: „Jeden Bóg tylko wie, kosztem ilu żywotów indiańskich zdobył tę sumę, i zażąda od niego zdania rachunku ze swych czynów!”

Nagromadzenie tego majątku rozstrzygnęło o dalszej drodze życiowej Corteza. Teraz bowiem, mogąc już brać udział w finansowaniu każdej ekspedycji, otrzymuje naczelne dowództwo nad flotą wojenną. Wyposażył ją wespół z namiestnikiem

Velasquezem, aby wreszcie wyruszyć ku wybrzeżom legendarnego lądu, o którym tubylcy opowiadali tyle obiecujących rzeczy. W ostatniej chwili wybuchły nowe niesnaski z namiestnikiem. Gdy Cortez z flotą, w którą włożył cały majątek swój i swych przyjaciół, znajdował się już w Trinidadzie na Kubie, Velasquez próbuje go zatrzymać. Wtedy jednak Cortez ma już za sobą żołnierzy oddanych mu na śmierć i życie. Odpowiedzieliby powstaniem na próbę wykonania rozkazu namiestnika.

Z jedenastoma okrętami (największy liczył sto ton) wyruszył więc Cortez na swą największą przygodę, na podbój kraju, o którym nie miał żadnego wyobrażenia. W owej chwili cała jego siła zbrojna składała się ze 110 marynarzy, 553 żołnierzy (w tym 23 kuszników i 13 łuczników z rusznicami), 10 ciężkich dział, czterech lekkich falkonetów i 16 koni.

Na złotem haftowanym sztandarze z czarnego aksamitu widnieje czerwony krzyż i łaciński napis: „Przyjaciele! Podążajmy za krzyżem, a pod jego znakiem, mając wiarę w sercu, zwyciężymy!" Pod tym sztandarem Cortez wygłosił do swej malutkiej armii przemówienie, które zakończył słowami: „Liczebnie słabi, jesteście jednak silni postanowieniem, a gdy ono się nie zachwieje, możecie być pewni, że Wszechmogący, który nigdy nie opuszczał Hiszpanów w walce z niewiernymi, będzie was zawsze strzegł, nawet gdy otoczeni będziecie mrowiem nieprzyjaciół. Albowiem wasza sprawa jest słuszną sprawą, a walczyć będziecie pod znakiem krzyża. Naprzód więc, z radosną odwagą i ufnością w sercu! Doprowadźcie do zwycięskiego końca tak zbożnie rozpoczęte dzieło."

16 sierpnia 1519 roku z miejsca na wybrzeżu w pobliżu dzisiejszego miasta Vera Cruz wyruszył na podbój Meksyku. Myślał, że wypadnie mu pokonać pojedyncze szczepy, a teraz widział, że musi pokonać państwo. Przypuszczał, że będzie musiał się zmierzyć z dzikusami, a przekonał się, że podjął walkę z posiadającym wysoką cywilizację ludem. Spodziewał się spotkać na swej drodze wioski i nędzne osady, a tymczasem przed jego oczyma wyrastały z równiny olbrzymie miasta pełne pałaców i świątyń. To, że napotkawszy to wszystko nie zachwiał się w postanowieniu podbicia tego kraju, świadczy, iż należał do kategorii ludzi, których potomność tylko wtedy

potępia, gdy im się nie powiodło.

Nie możemy zmieścić w tej książce szczegółów tego szaleńczego podboju, który po upływie trzech miesięcy przywiódł Corteza do stolicy Montezumy. Pokonuje trudności terenu, klimatu i obcych, nieznanych chorób. Stacza zwycięskie bitwy przeciw trzydziestu, a nawet pięćdziesięciu tysiącom Indian. Sława o jego niezwyciężonej sile wyprzedza go biegnąc od miasta do miasta. W działaniach bojowych łączy precyzyjną sztukę wojenną z brutalną masakrą. Wykazuje mądre polityczne wyrachowanie, gdy odprawia z podarkami coraz to nowe poselstwa Montezumy, a jednocześnie podszczuwa jedne przeciw drugim ludy wasalne cesarza Azteków i doprowadza do tego, że Tlaskalanowie, dziś będąc jego wrogami, jutro stają się przyjaciółmi. Świadom celu maszeruje dalej i nie mogą go już powstrzymać żadne połowiczne i bezradne posunięcia Montezumy, który go w końcu prosi (władca, mający na swe rozkazy sto tysięcy wojowników!), aby nie wkraczał do stolicy jego państwa.

Trudno znaleźć wytłumaczenie dla tego nieporównanego zwycięskiego pochodu. Siła Corteza polegała na wyprzedzającej go mitycznej wprost sławie, na wyższości organizacji, dyscypliny i taktyki. Tutaj raz jeszcze — jak mówi pewien historyk — stali przeciw sobie Grecy i Persowie. Ale „Grecy" poza dyscypliną mieli teraz jeszcze i broń palną — nową i straszną dla każdego atakującego przeciwnika. I mieli jeszcze coś, co wprawiało Indian w przerażenie: konie. Aztecy uważali je za jakieś potwory pierwotne i byli przekonani, że koń i jeździec to jedno stworzenie. Tego zabobonnego strachu przed końmi nie wyzbyli się nawet wtedy, gdy zdobyli jedno z tych zwierząt i jakiś kacyk kazał je porąbać na kawałki i rozesłać do wszystkich miast państwa azteckiego.

Nastąpił więc nieuchronnie dzień, w którym stolica została zdobyta, a raczej nie tyle zdobyta, ile po prostu zajęta. Było to 8 listopada 1519 roku. Jednakże fakt, że Cortez znalazł w stolicy meksykańskiej skarb, o którym już marzył mając dziewiętnaście lat, oraz przedwczesne zatknięcie krzyża na świątyniach azteckich bogów miały spowodować szereg komplikacji, które o mały włos nie przyprawiły Corteza i jego

Hiszpanów o utratę owoców dokonanego podboju.

10 listopada 1519 roku, w dwa dni po wkroczeniu do stolicy, Cortez prosi cesarza Azteków o zezwolenie, aby w jednym z pałaców przydzielonym jemu i jego ludziom urządzić kaplicę. Montezuma nie tylko od razu zezwala na to, lecz, co więcej, przysyła mu do pomocy azteckich rzemieślników (Montezuma, Moctezuma, Motekuzoma — to tylko różne pisownie tego samego imienia).

Tymczasem jednak Hiszpanie szperając na własną rękę po pałacu zauważyli w starych murach jedno widocznie świeżo otynkowane miejsce. Doświadczenie nabyte w wielu rekwizycjach mówiło im, że znajdują się tu zapewne jakieś ukryte drzwi. To, że na razie byli w pałacu cesarskim wciąż jeszcze gośćmi, nie budziło w nich żadnych skrupułów; rozebrali mur, a gdy istotnie ujrzeli w nim drzwi, natychmiast je wyłamali. Zajrzeli do wnętrza — i od razu posłali po Corteza.

Gdy Cortez stanął w progu otwartego przemocą pomieszczenia, musiał przymknąć oczy. Miał przed sobą salę wypełnioną najbogatszymi i najpiękniejszymi tkaninami, klejnotami, drogocennymi sprzętami, wszelkiego rodzaju wyrobami złotniczymi, a ponadto srebrem i złotem nie tylko w postaci przepięknie wykonanych przedmiotów, ale i w ułożonych w stosy sztabach. Bertal Diaz, kronikarz, który patrzył na to zza pleców Corteza, pisze później: „Byłem wtedy młodym człowiekiem i wydawało mi się, że w sali tej zebrane są chyba wszystkie bogactwa świata."

Był to skarb Montezumy. Ściślej — skarb jego ojca, pomnożony przez syna.

Cortez dał dowód niezwykłej roztropności. Kazał natychmiast z powrotem zamurować drzwi. Nie oddawał się żadnym złudzeniom co do sytuacji, w jakiej się znajdował Wiedział, że siedzi na wulkanie, który każdej chwili może wybuchnąć. Jeżeli zastanowić się, jakie szansę miała ta garstka Hiszpanów w olbrzymim mieście (oceniono je na 65 000 domów), to myśl o ich nieustraszonej odwadze jeszcze dziś zapiera nam dech w piersi.

Bo też, istotnie, jakie mieli przed sobą widoki? Jak potoczy się dalej ich przygoda? Czy mieli choćby najmniejszą szansę wywiezienia kiedykolwiek ze stolicy, na oczach

cesarza i jego niezliczonych wojowników, tego nareszcie uchwytnego skarbu? Czyżby byli tak zaślepieni, żeby wierzyć, iż kiedykolwiek zdołają zagarnąć władzę nad tym państwem i po wszystkie czasy tak samo je eksploatować, jak im się to udało na dzikich wyspach Nowego Świata?

Istotnie, byli tak zaślepieni. Jednak, poskramiane przez Corteza, zaślepienie to nie wybiegało poza możliwości realnej polityki, choć nam ta polityka wydaje się dziś zupełnie nierealna. Istniał tylko jeden środek zdobycia w stolicy Azteków silnej pozycji, a myśl o nim zrodzić się mogła tylko w głowach konkwistadorów i tylko oni zdolni byli obrócić ją w czyn. Cortez zdążył się już aż nadto dobrze przekonać, że osoba Montezumy otoczona była nieomal boską czcią i że tylko wówczas, gdy będzie go miał w swym ręku, zabezpieczy się od jakichkolwiek wrogich kroków ze strony jego poddanych. Po pewnym czasie zaproponował więc Montezumie, aby przeniósł się do jego pałacu i tym samym połączył swą cesarską kwaterę z kwaterą wodza Hiszpanów. Przytoczył zaś takie argumenty, w których z prośbą łączyła się ukryta groźba (we drzwiach stali jego najlepsi rycerze w pełnym rynsztunku wojennym), że Monte-zuma w przystępie haniebnej słabości uległ jego namowom.

Wieczorem tego samego dnia w świeżo urządzonej kaplicy pałacowej duchowni Corteza, księża Olmedo i Diaz, celebrowali mszę świętą. Podczas gdy odprawiano te pobożne obrzędy, w pomieszczeniu na lewo od kaplicy leżał skarb, a każdy z modlących się Hiszpanów uważał się już za jego współwłaściciela. Na prawo od kaplicy siedział posiadacz tego skarbu — cesarz, władca tego państwa, a jednak tylko zakładnik w ręku kilku obcych przybyszów, i słuchał swych dostojników próbujących go pocieszyć w niegodnym położeniu. A Bertal Diaz opisując tę scenę dodaje, że wszyscy Hiszpanie modlili się w poważnym, przykładnym skupieniu, „tak jak tego wymagało nabożeństwo, po części zaś, aby wywrzeć zbawienny wpływ na pogrążonych w ciemności pogan”!

Wielki zwrot w sukcesach Corteza jeszcze nie nastąpił. Jeszcze się zdawało, że każde, nawet najśmielsze jego pociągnięcie będzie uwieńczone powodzeniem. Potem jednak w krótkich odstępach czasu zaszły trzy wydarzenia, które radykalnie zmieniły

sytuację.

Najpierw wyłoniły się niesnaski w szeregach samych Hiszpanów. Po uwięzieniu Montezumy Cortez nie widział już powodu, aby nadal nie ruszać skarbu (nieszczęsny cesarz próbował ratować swą godność darując cały skarb wielkiemu władcy Corteza, królowi Hiszpanii, dodając do tego przysięgę hołdowniczą, co zresztą, zważywszy jego położenie, było rzeczą pozbawioną większego znaczenia). Cortez kazał przenieść skarb do jednej z wielkich sal i oszacować go. Ogólna jego wartość (Hiszpanie musieli sami sporządzić sobie wagi i odważniki, których Aztekowie, wielcy rachmistrze, w ogóle nie znali!) wynosiła około 162 000 złotych pesos, co według pewnego przeliczenia, dokonanego w ubiegłym stuleciu, odpowiadało sumie 6,3 miliona dolarów. W XVI wieku stanowiło to olbrzymi majątek, jakiego przypuszczalnie żaden europejski władca nigdy jeszcze nie posiadał w swym skarbcu. Czyż można się dziwić, że żołnierze wprost oszaleli, gdy obliczyli, ile wyniosą ich równe udziały?

Okazało się jednak, że Cortez inaczej zapatruje się na podział. I czyż nie miał racji? Alboż nie był wysłannikiem hiszpańskiej Korony, która miała prawo spodziewać się swej części? A któż wyposażył okręty? Kto, jeśli nie on, Cortez, pogrążył się w długach, które pewnego dnia będzie musiał spłacić? Zarządzenie Corteza brzmiało więc: jedną piątą skarbu otrzymuje król Hiszpanii, jedną — on sam, jedną Velasquez (wszak był namiestnikiem, a że Cortez odpływając z wszystkimi okrętami zlekceważył jego rozkazy, należało go ugłaskać), jedną piątą szlachcice, artylerzyści, kusznicy i arkabuzjerowie oraz załoga pozostwiona na wybrzeżu w pobliżu Vera Cruz. Jedna piąta pozostawała do podziału. Na każdego żołnierza przypadało 100 pesos w złocie. Żebracze wynagrodzenie za to, czego dokonali! Nędzny napiwek w oczach ludzi, którzy widzieli cały skarb!

Groził bunt. Doszło do krwawych pojedynków. Wtedy jednak Cortez sam wmieszał się w sprawę. Nie surowością próbował uśmierzyć swą małą armię, lecz wymową, „słodkimi słowami, których zawsze miał wiele w zapasie na każdą sposobność” — jak mówi jeden z wojowników. Żołnierze uspokoili się. Cortez roztoczył przed oczami

ich wyobraźni nierównie większą nagrodę, przewyższającą ich najśmielsze marzenia. Na razie więc podzielono tylko tą jedną piątą część skarbu, która przypadła do równego podziału między wszystkich. Reszta, to jest pozostałe cztery piąte, przeznaczone dla króla, namiestnika i Corteza, pozostawała nadal pod dobrą strażą w pałacu.

Drugie wydarzenie jednak, które nastąpiło w miesiąc później, było znacznie poważniejsze. Oto kapitan, pozostawiony na wybrzeżu, zawiadomił Corteza, że pod rozkazami niejakiego Narvaeza wylądowała w pobliżu Vera Cruz flota wysłana przez szalejącego z wściekłości namiestnika. Miała ona polecenie odebrać Cortezowi dowództwo, uwięzić go z powodu jawnej rebelii i przekroczenia uprawnień i przewieźć na Kubę. Cortez dowiaduje się nieprawdopodobnych szczegółów. Na dziewiętnastu okrętach Narvaeza znajduje się dziewięciuset żołnierzy, w tym osiemdziesięciu jeźdźców, osiemdziesięciu kuszników, stu pięćdziesięciu arkabuzjerów i wiele ciężkich dział. Mało więc tego, ze siedzi w mieście Meksyku jak na beczce prochu, teraz jeszcze maszeruje przeciw niemu armia jego własnych rodaków, która nie tylko przewyższa wszystkie siły, jakie on sam może wystawić, lecz stanowi w ogóle największą armię, jaką do tego czasu przeznaczono do walki w Nowym Świecie.

I oto następuje coś wręcz nieprawdopodobnego. Ktokolwiek przypuszczałby, że sukcesy Corteza przypisać należy jedynie jego szczęściu, jego ryzykanctwu i temu, że przeciwnikiem jego byli źle uzbrojeni Indianie, musi zrewidować swój pogląd.

Cortez postanawia wyruszyć przeciw Narvaezowi i pobić go na głowę.

Waży się na to, by dwie trzecie swej malutkiej armii pozostawić pod rozkazami jednego ze swych kapitanów, Pedro de Alvarado, jako załogę Meksyku i straż Montezumy, który w dalszym ciągu jest cennym zakładnikiem. Sam z resztą swej „armii” — to jest z siedemdziesięcioma żołnierzami! — śpieszy na spotkanie Narvaeza. Opuszczając stolicę maluje Montezumie w tak strasznych barwach karę, jaką musi wymierzyć zdrajcom swego własnego narodu, że trwożliwy cesarz Azteków oczekuje po powrocie Hiszpana rzeczy najgorszych i pozostaje głuchy na wszystkie

namowy swych doradców usiłujących w tej niezwykle pomyślnej sytuacji pobudzić go do czynu. Mało tego, Montezuma próbuje ugłaskać Corteza. Odprowadza go w swej lektyce (dobrze strzeżony przez Alvarade) aż na groblę, obejmuje i żegna życząc powodzenia!

Cortez ze swą armią, nie, ze swą garstką żołnierzy, która wzmocniona Indianami urosła do liczby 266 ludzi, schodzi na dół, na nizinną równinę, na *tiera caliente* — „ziemię gorącą". Deszcz leje strumieniami, szaleje burza. Cortez wysyła zwiadowców. Dowiaduje się, że Narvaez doszedł do miasta Cempoalla. Już tylko rzeka dzieli go od przeciwnika.

Tymczasem Narvaez, któremu nie brak wojskowego doświadczenia i rozumu, ściąga wieczorem nad rzekę, aby wydać bitwę Cortezowi. Ale żołnierze sarkają z powodu straszliwej niepogody i wówczas Narvaez w przekonaniu, że w ciągu tej nocy nie należy się spodziewać Corteza, ufny w przewagę swego oręża, cofa się z powrotem do miasta i udaje się na spoczynek.

Cortez zaś przekracza rzekę. Napada znienacka na straże przeciwnika. Z wojennym okrzykiem *Espiritu Santol* — rzecz działa się w noc Zielonych Świątek 1520 roku — jego mizerne, źle uzbrojone oddziały wpadają do obozu Narvaeza pełnego ludzi i broni.

Zaskoczenie udało się w zupełności. W ciągu krótkiego, lecz krwawego nocnego boju, oświetlonego łunami pożarów, a tu i ówdzie błyskami pocisków armatnich (działa oddały tylko po jednym wystrzale), obóz zostaje zdobyty. Narvaez broni się jeszcze na wierzchołku świątyni, aż nagle dzida wybija mu lewe oko. Jego okrzyk bólu zagłuszyły radosne, zwycięskie okrzyki Corteza.

Późniejsze wiadomości podają, jakoby słusznej sprawie Corteza przyszły wtedy z pomocą roje niezwykle dużych świetlików, które wprowadziły w błąd obrońców, sprawiając wrażenie, jak gdyby zbliżała się armia uzbrojona w muszkiety. Cortez odniósł stanowcze zwycięstwo, którego znaczenie ujawniło się w całej pełni w chwili, gdy większość żołnierzy Narvaeza wyraziła gotowość złożenia przysięgi Cortezowi i gdy ten przeliczywszy bogatą zdobycz — działa, strzelby i konie — stwierdził, iż po

raz pierwszy w toku swej wyprawy na Meksyk ma pod rozkazami doprawdy potężne wojsko.

Jednakże to, co dotychczas w tak cudowny sposób udawało się szczupłej garstce Corteza, miało dla tej o ileż silniejszej armii zakończyć się niepowodzeniem.

Rozdział dwudziesty ósmy

ZAMORDOWANA KULTURA

Krzyż widniał na sztandarze, pod którym Hiszpanie ciągnęli na podbój Meksyku. Z okrzykiem *Espiritu Santo,* wzywając Ducha Świętego, szli w największe boje. Krzyże, a niedługo potem kościoły stawały tam, gdzie utwierdzali swą władzę. Księża przed każdą bitwą słuchali ich spowiedzi, a po każdym odniesionym zwycięstwie celebrowali uroczyste msze, po czym zabierali się do nawracania ludów azteckich.

Nie tu miejsce roztrząsać znaczenie i stronę moralną działalności misjonarskiej. Dla nas tu jedno tylko jest ważne: wkraczając do państwa Azteków Hiszpanie po raz pierwszy natrafili już nie na dzikusów, nie na religię wyrosłą z prymitywnego animizmu, z barbarzyńskiej czci dla sił przyrody i duchów, na łatwe do zachwiania obrządki i zwyczaje, lecz na religię ludu o rozwiniętej kulturze, na religię, która chociaż na ogół politeistyczna, jednakże w dwóch głównych bóstwach, Huitzilopochtli i Quetzalcouatl, przejawiała już tendencje monoteistyczne, a przez swe ścisłe powiązanie z regulującą całość życia Azteków wiedzą o kalendarzu wycisnęła na całej ich kulturze tak silne piętno, jakie na znanym dotąd obszarze świata wycisnąć zdolne były tylko religie o zasięgu światowym, oparte na idei zbawienia.

Błąd Hiszpanów i ich duchownych polegał na tym, że za późno to zrozumieli.

Czyż jednak mogli to w ogóle zrozumieć? Musimy przypomnieć sobie znaczenie kościoła na początku XVI wieku. W roku, w którym Cortez. maszerował przez Meksyk, Marcin Luter nie był niczym więcej jak rebelianckim mnichem, który ogłosił kilka buntowniczych pism. Kopernik nie obwieścił jeszcze swego nowego obrazu świata, a dwaj wielcy sceptycy, Galileusz i Giordano Bruno, w ogóle się jeszcze nie urodzili. Nie było sztuki poza sztuką kościelną, nie było nauki poza obrębem Kościoła ani życia bez Kościoła. Światopogląd Europy był światopoglądem chrześcijańskim. Stanowił zaś krąg idei tak zamknięty w sobie, przepojony był tak absolutną wiarą w swą słuszność, w wieczność swego trwania i w swą moc wyzwoleńczą, że siłą rzeczy przyrodzona mu była nietolerancja. Wszystko, co nie było chrześcijańskie, uważane było za pogańskie, wszyscy ludzie nie żyjący i nie myślący według tego samego światopoglądu byli w jego oczach barbarzyńcami.

Te podstawowe wyobrażenia ludzi XVI wieku absolutnie nie pozwalały im na to, aby równorzędne kultury i cywilizacje uznać za równorzędne i wtedy, gdy były one inne niż ich własna kultura, zrodzone z innego poglądu na świat. Wyobrażenia te nie zostały nawet wówczas zachwiane, gdy zdobywcy Meksyku mieli przed swymi oczyma widome objawy wyraźnie ukształtowanego i wysoko rozwiniętego życia społecznego, dobrze zorganizowany system szkolnictwa i wychowania i zdumiewające wprost wiadomości kapłanów azteckich z dziedziny astronomii.

Czysto cywilizacyjne osiągnięcia, przejawiające się w budowie azteckich miast, w organizacji transportu i łączności, we wznoszeniu wspaniałych budowli świeckich i religijnych, w znacznie mniejszym jeszcze stopniu zdolne były zachwiać przekonanie Hiszpanów, że mają przed sobą dzikusów, których trzeba nawrócić. W bogatym mieście Meksyku z jego lagunami, groblami i ulicami, pływającymi ogrodami *chinampas* (oglądał je jeszcze Aleksander von Humboldt) widzieli jedynie dzieło szatana.

Na nieszczęście religia aztecka miała jedną swoistą cechę, która istotnie musiała przejmować zgrozą i przerażeniem każdego, kto się z nią zetknął, i naprowadzać myśl

o diabelskich mocach. Były to składane w niesłychanych ilościach ofiary z ludzi, którym kapłan wyrywał z klatki piersiowej żywe jeszcze serce. Jeżeli zaś Hiszpanie tak bardzo się na to oburzali, to mamy chyba prawo dziś przypomnieć ofiary ich własnej świętej inkwizycji, których ciała smażyły się na stosach. Prawdą jednak jest, że pod tym względem religia aztecka przewyższała wszystko, co kiedykolwiek i gdziekolwiek miało miejsce na świecie.

W cywilizacji azteckiej wysoki poziom etyczny łączył się z dzikim barbarzyństwem. Konkwistadorzy, fanatycy religijni, nie byli w stanie zrozumieć tego rozdwojenia jednej i tej samej cywilizacji. Toteż nie uświadomili sobie, że Aztecy nie byli dzikusami, z jakimi zetknęli się

Kolumb, Vespucci i Cabral, że byli ludem, który znosił upokorzenia tylko do pewnej granicy — dopóki nie obrażono ich wierzeń religijnych. Hiszpanie nie rozumieli, że pod ochroną swej straszliwej broni mogli bezkarnie uprawiać wszelkie bestialstwa, okrucieństwa i gwałty z wyjątkiem jednego — bezczeszczenia świątyń i bogów azteckich. A właśnie to uczynili.

Nieuchronnie doszło więc do owych fałszywych kroków, które o mało nie pozbawiły Corteza wszystkich owoców jego podbojów — dokonanych orężem i polityką.

Rzecz znamienna, że to nie księża w orszaku Corteza okazali się największymi gorliwcami religijnymi. Przeciwnie, duchowni Diaz i Olmedo (zwłaszcza ten ostatni) pełnili swe obowiązki kapłańskie z oględnością podyktowaną rozsądkiem politycznym.

Wszystkie wiadomości zgodnie podają, że pierwszą próbę nawrócenia Montezumy podjął (może z podświadomej chęci usprawiedliwienia swych czynów) sam Cortez. Ale cesarz tylko kurtuazyjnie słuchał, a gdy konkwistador w końcu swych wywodów przeciwstawił krwawym ofiarom ludzkim czystą i prostą ofiarę mszy katolickiej, dał mu do zrozumienia, że jego zdaniem jest rzeczą mniej odrażającą składać bogom ofiary z ludzi niż spożywać ciało i krew swego własnego boga. Nie wiemy, czy Cortez był dostatecznie biegły w dialektyce, aby przeprowadzić do końca tę dysputę.

Cortez posunął się jeszcze dalej. Poprosił Montezumę o zezwolenie na zwiedzenie

jednej z wielkich świątyń. Montezuma, naradziwszy się ze swymi kapłanami, nie bez ociągania się udzielił tego zezwolenia. Cortez natychmiast wszedł na szczyt wielkiego teocalli w centrum stolicy, nie opodal jego kwatery. Gdy zwrócił uwagę księdza Olmedo, że byłoby to najodpowiedniejsze miejsce, gdzie należałoby zatknąć krzyż, kapłan starał się go odwieść od tego zamiaru. Potem stanęli przed blokiem z jaspisu, na którym zarzynano ofiary nożem z obsydianu. Ujrzeli obraz boga Huitzilopochtli, którego budząca grozę twarz zdawała się w oczach Hiszpanów utożsamiać z maszkarami wcielonego diabła, jakie od niepamiętnych czasów stawiała im przed oczyma ich własna religia. Wysadzany perłami i drogocennymi kamieniami wąż oplatał olbrzymimi kręgami ciało obrzydłego bożka. Gdy obecny i tym razem Bertal Diaz odwrócił oczy, wzrok jego padł na rzecz jeszcze straszliwszą: boczne ściany tego pomieszczenia świątyni były od góry do dołu obryzgane zakrzepłą krwią ludzką. „Mdła woń — pisze Diaz — była bardziej nieznośna niż w rzeźniach Kastylii." Spojrzał potem na kamień ofiarny: leżały na nim trzy serca ludzkie. Wyobraźnia jego była rozpalona, wydawało mu się, iż jeszcze dymią i krwawią.

Gdy niezliczonymi stopniami zeszli znowu na dół, zauważyli stojący na pobliskim pagórku budynek z bierwion. Weszli do środka. Okazało się, że był aż po samą powałę wypełniony starannie ułożonymi czaszkami pomordowanych ofiar. Jeden z hiszpańskich żołnierzy przeliczył je. Było ich 136 000.

Wkrótce potem — okres próśb już minął, nastąpiły czasy krótkich żądań popartych groźbami! — Cortez zajął jedną z wież wielkiego teocalli. Poprzednio, gdy zwiedził ją po raz pierwszy, wybuchnął twardymi, nierozważnymi słowami. Montezumę już wtedy zaskoczyły bluźnierstwa Hiszpana. Tym razem, jednak był do głębi wzburzony i po raz pierwszy zwrócił uwagę, że tego lud jego nie ścierpi. Cortez jednak nie zważając na to kazał opróżnić świątynię i ustawić w niej ołtarz, krzyż i obraz Matki Boskiej. Znajdujące się w świątyni złoto i klejnoty usunięto (nie pytajmy, co się z nimi stało). Ściany umajono kwiatami. Gdy zaś w obecności wszystkich Hiszpanów, którzy zgromadzili się na szerokich schodach i platformie wielkiego teocalli, rozbrzmiewało w tej azteckiej świątyni pierwsze Te *Deum, z* ich oczu — jak podają

kroniki — spłynęły łzy radości z powodu zwycięstwa odniesionego przez krzyż.
Odtąd już tylko jeden krok dzielił Hiszpanów od dokonania czynu, który przepełnił miarę cierpliwości Azteków.

Historia ta daje się opowiedzieć w krótkich słowach. Podczas nieobecności Corteza w stolicy — opuścił ją, jak wiemy, aby odnieść swe największe zwycięstwo nad Narvaezem — deputacja azteckich kapłanów zwróciła się do zastępującego go Alvarady z prośbą o zezwolenie na odbycie w wielkim teocalli (którego jedna wieża zajęta już była pod hiszpańską kaplicę) połączonego ze śpiewami i tańcami dorocznego święta palenia kadzideł na cześć boga Huitzilopochtli.
Alvarado postawił dwa warunki: po pierwsze, Aztekom nie wolno będzie składać ofiar z ludzi i po drugie — przybędą bez broni.
W dniu święta zebrało się w świątyni około 600 Azteków (dane kronikarskie różnią się co do tej liczby), przeważnie należących do najwyższej arystokracji, nie uzbrojonych, przybranych w swe najbogatsze szaty i najcenniejsze klejnoty. Rozpoczęły się uroczystości religijne. Niebawem między Azteków wmieszała się cała gromada uzbrojonych po zęby Hiszpanów, którzy w chwili gdy uroczystości osiągnęły swój punkt kulminacyjny, na dany znak rzucili się na bezbronnych uczestników nabożeństwa i wycięli ich co do jednego.
Ten czyn Hiszpanów jest absolutnie niepojęty. Historia też nigdy go całkowicie nie wyjaśniła, gdyż po prostu kroku tego niepodobna wytłumaczyć. Jeden z naocznych świadków tej masakry pisze: „Krew płynęła strumieniami, jak woda ulewnego deszczu.”
Gdy Cortez po zwycięstwie odniesionym nad Narvaezem powrócił do Meksyku, zastał miasto zmienione do niepoznania. Krótko bowiem po tej zdradzieckiej masakrze lud aztecki powstał jak jeden mąż. Obrawszy jednego z braci Montezumy, Cuitlahuaca, zastępcą uwięzionego cesarza, niemal bez przerwy przypuszczał szturm do pałacu, w którym okopał się Alvarado. Gdy Cortez wjechał w mury miasta, był już

najwyższy czas przyjść oblężonym z odsieczą. Tu jednak przyjście z odsieczą oznaczało wpaść samemu w pułapkę. W istocie oznaczało jeszcze więcej.

Wprawdzie każda wycieczka podejmowana przez Corteza z oblężonego pałacu kończyła się zwycięstwem, były to już jednak zwycięstwa pyrru-sowe. Cortez zburzył trzysta domów — Aztecy zburzyli wszystkie mosty stanowiące dla Hiszpanów jedyną drogę odwrotu; spalił wielkie teo-calli — Aztecy ze zdwojoną wściekłością szturmowali jego redutę. Niezrozumiałe było zachowanie się Montezumy, który choć niewątpliwie miał za sobą dzielną przeszłość wojenną (podobno brał czynny udział w dziewięciu bitwach) i przywiódł państwo azteckie do największego rozkwitu i potęgi, od czasu wkroczenia Hiszpanów stał się człowiekiem zupełnie bezwolnym i teraz sam zaofiarował swe pośrednictwo! Przybrany w cesarskie insygnia przemówił do swego ludu! Ale lud sam wymierzył mu sprawiedliwość: ukamienował go. Montezuma II, niegdyś wielki cesarz Azteków, zmarł 30 czerwca 1520 roku, do ostatniej chwili będąc jeńcem Hiszpanów.

Teraz niebezpieczeństwo wiszące nad Hiszpanami osiągnęło swój punkt kulminacyjny. W walce o Meksyk stracili ostatni swój atut — osobę cesarza. Zbliżała się najstraszliwsza noc Corteza, która weszła do historii jako *noche triste* — „smutna noc".

Czyż przy podziale skarbu Montezumy już raz nie doszło omal do buntu?

Gdy owej „smutnej nocy" Cortez wydał rozkaz wymarszu z miasta — zaiste rozpaczliwy rozkaz, jeżeli zważyć, że garstka ludzi chciała się przedrzeć przez dziesiątki tysięcy wojowników — kazał rozpostrzeć skarby i rzekł pogardliwie: „Bierzcie, ile chcecie." Dodał tylko krótką przestrogę: „Ale uważajcie, by się zbytnio nie obładować. Kto nocą wędruje obarczony najmniejszym ciężarem, ten wędruje najbezpieczniej." Sam zabrał i umieścił w środku swej kolumny tylko jedną piątą skarbu — ową jedną piątą, która przeznaczona była dla jego władcy. Gdyby bowiem miał ponieść klęskę i ujść z życiem, tylko ona mogła mu wyjednać łaskę króla

Hiszpanii.

Starzy żołnierze Corteza wiedzieli, co warta jest jego rada, i wzięli tylko niewiele. Nowo zaciężni jednak, do wczoraj jeszcze żołnierze Narvaeza, nie umieli jej ocenić. Zabrali klejnoty, powtykali sztaby złota za pasy i cholewy butów, obładowali się pokrytymi złotem sprzętami i w końcu obciążyli się takim brzemieniem, że już po upływie pierwszej pół godziny marszu ledwo dysząc odpadli na tyły kolumny. (Mimo to prawdopodobnie większa część skarbu pozostała w pałacu).

W ciągu tej pierwszej pół godziny, w noc 1 lipca 1520 roku udało się Hiszpanom niepostrzeżenie dla Azteków (którzy przejawiali dziwny lęk przed walką nocną) przejść przez martwe miasto i osiągnąć drogę na grobli. Wtedy jednak rozległy się okrzyki straży, a z wież teocalli zawarczały bębny kapłanów. Rozpętało się piekło na ziemi.

Było to dosłownie piekło. Hiszpanie za pomocą przenośnego mostu, który sami sobie zbudowali, zdołali przejść przez pierwszą wyrwę w grobli. Nagle spadł ulewny deszcz. W bębnienie strug wody wmieszał się plusk niezliczonych wioseł zbliżających się łodzi wojennych, a w rozpaczliwe nawoływania Hiszpanów, którzy brnąc w grząskim gruncie nie mogli już posuwać się naprzód, włączył się gwizd wojenny Azteków. Potem na Hiszpanów posypały się kamienie i strzały, a pierwsi azteccy wojownicy, ledwie widoczni w ciemnościach nocy i przez strumienie ulewy, zaczęli napierać na Hiszpanów; ich maczugi nabijane twardymi jak żelazo kolcami obsydianu poczęły spadać na głowy konkwistadorów.

Straż przednia Hiszpanów dotarła już do drugiego zburzonego mostu nad kanałem. Ale gdzież się podział przenośny most? Od straży tylnej, podawana z ust do ust, dochodzi wiadomość straszliwsza nad wszystkie inne: pod ciężarem, który się przezeń przewalił, most ugrzązł tak głęboko w rozmokłym gruncie, że nie sposób już było ruszyć go z miejsca. Od tej chwili to, co było zorganizowanym odwrotem, zamieniło się w bezładną ucieczkę, a to, co jeszcze było wojskiem, przeobraziło się w kupę pojedynczych ludzi, z których każdy myślał już tylko o uratowaniu własnego życia. Piechurzy i jezdni rzucali się do przecinającego groblę kanału, aby wpław dotrzeć do

drugiego brzegu. Bagaże, broń, a nawet i złoto, którym się każdy z nich obładował, wyślizgiwały się z rąk i przepadały w ciemnościach nocy.

Niepodobna tu opisać szczegółów tych walk toczonych już tylko w pojedynkę. Ani jeden z ocalałych Hiszpanów — nie wyłączając Corteza, który według wszystkich sprawozdań dokazywał cudów waleczności — nie wyszedł z nich bez lżejszych lub cięższych ran. Gdy wstał szary poranek, jeszcze przysłonięty zasłoną deszczu, i Hiszpanie przebyli już groblę, Aztecy zaś bardziej zajęci byli liczeniem ogromnej zdobyczy niż pościgiem i rozbiciem wrogów, Cortez mógł dokonać przeglądu resztek swego wojska. Dane współczesnych o stratach poniesionych tej nocy przez Hiszpanów wymieniają różne liczby. Przyjmując liczbę pośrednią można przypuszczać, że szeregi Hiszpanów stopniały do jednej trzeciej, a szeregi sprzymierzonych z nimi Tlaskalanów do jednej czwartej lub piątej. Ponadto postradano całą broń palną wraz z amunicją, część kusz i znaczną część koni. Pozostał tylko upiorny cień tego wojska, z którym Cortez dziewięć miesięcy przedtem wkroczył do stolicy Azteków.

Ale kalwaria Hiszpanów jeszcze nie dobiegła kresu. Osiem dni trwały potyczki, wśród których usiłowali możliwie jak najprędzej (a wobec kończących się zapasów żywności i słaniających się z wycieńczenia ludzi tempo to nie mogło być zbyt prędkie) schronić się na terytorium swych sojuszników Tlaskalanów, odwiecznych wrogów Azteków. Gdy jednak 8 lipca 1520 roku przekroczyli pasmo gór zamykających dolinę Otumby, ukazał im się widok, wobec którego los ich zdawał się być ostatecznie przypieczętowany.

Jak okiem sięgnąć, cała dolina — jedyna droga odwrotu — wypełniona była azteckimi wojownikami. Ustawieni byli w lepszym ordynku niż kiedykolwiek przedtem. W porządnie uszykowanych kolumnach bojowych Hiszpanie po mieniących się wszystkimi barwami płaszczach z piór rozpoznali dowodzących tym wojskiem kacyków, którzy wśród masy prostych wojowników odzianych w biały bawełniany strój wojen-ny wyglądali jak barwne ptaki na białym śniegu.

Sytuacja była rozpaczliwa. Hiszpanie jednak nie mieli się nad czym zastanawiać. Cóż

bowiem mogli uczynić? Cofnąć się było niepodobieństwem. Musieli iść naprzód. Nie chcieli zginąć zarżnięci na ofiarę bogom azteckim, a taki los spotykał wszystkich jeńców wojennych, których częstokroć tuczono jeszcze w drewnianych klatkach, by nabrali miłej bogu tuszy. Lepiej więc próbować się przedrzeć, choćby przyszło zginąć. Innego wyboru nie było.

I oto w tej, zdawałoby się, zupełnie beznadziejnej sytuacji (liczbę Azteków oceniano na około 200 000, Hiszpanie zaś stali wobec tej masy bez swej broni palnej, która hukiem i ogniem wywalczyła im pierwsze zwycięstwo) nastąpił cud.

Trzema grupami, z resztkami jazdy (około dwudziestu koni) na skrzydłach, Cortez wrzyna się w morze Azteków, które od razu się nad nim zamyka. Dwudziestu jeźdźców, niby pług krający bruzdy w twardej ziemi, wyrąbuje przejście w zbitej masie ludzi, lecz jak giętkie zielsko podnoszące się na stratowanej ziemi zamykają je znowu Aztecy próbujący od tyłu napaść na konie. Cortez walczy w pierwszej linii. Koń pod nim pada; dosiada drugiego. Otrzymuje cios w głowę; mimo to walczy dalej. Wrogów jednak jest nieprzebrana chmara. Raptem, między jednym a drugim uderzeniem dostrzega na malutkim wzniesieniu niewielką grupę szczególnie bogato ubranych wojowników, a pośrodku nich lektykę. To naczelny wódz Azteków Cihuacu. Cortez poznaje go po przytwierdzonej do pleców buławie, na której, jako chorągiew i znak polowy, powiewa złota siatka. I oto dzieje się – cud. Nie cud Najświętszej Panny ani żadnego ze świętych — cud Hernando Corteza, jeden z tych, które przy ogniskach opiewają żołnierze. Cortez, chociaż ranny, spina rumaka, nie czeka nawet, aż dwaj czy trzej najbardziej wypróbowani towarzysze broni znajdą się u jego boku, i pędzi przed siebie z lancą i mieczem, tratując, rąbiąc i siekąc falangę azteckich wojowników, dopada azteckiego wodza, przebija go lancą, porywa złoty sztandar i powiewa nim wysoko nad morzem falujących głów.

Do tej chwili bitwa z punktu widzenia sztuki wojennej teoretycznie była przegrana. Teraz praktycznie jest wygrana. Aztecy widząc swój symbol zwycięstwa w ręku białego wodza, który zapewne wydał im się teraz potężniejszy od ich własnych bogów, rzucają się do panicznej ucieczki. W chwili gdy Hernando Cortez wzniósł

zdobyty sztandar, Meksyk był zgubiony. Państwo Azteków, państwo ostatniego Montezumy, przestało istnieć.

Przy końcu tego rozdziału głos niechaj zabierze historyk: „Cokolwiek sądzilibyśmy o tym podboju rozpatrując go od strony moralnej, jako czyn wojenny musi on nas napełnić podziwem. Oto garstka awanturników, lada jako uzbrojonych i wyekwipowanych, ląduje u wybrzeży potężnego państwa zamieszkałego przez fanatyczny i wojowniczy lud... Nie znają ani języka, ani kraju, nie mają map ani kompasu, nie wiedzą, czy za najbliższym krokiem znajdą się wśród jakiegoś wrogo usposobionego szczepu, czy w bezludnej pustyni. Choć w pierwszym starciu z mieszkańcami tego kraju nieomal zostają pokonani, nieustępliwie maszerują naprzód ku stolicy państwa... Roztaczający się przed nimi widok potęgi i cywilizacji nie tylko ich nie odstrasza, lecz jeszcze umacnia w powziętym postanowieniu. Ujmują cesarza, każą na oczach jego poddanych ściąć ministrów, a gdy wśród ciężkich strat zostają przepędzeni z bram stolicy, na nowo gromadzą rozproszone resztki swych sił i według planu, wykonanego z nieporównaną mądrością i odwagą, zdobywają stolicę i utwierdzają swe panowanie nad krajem. Fakt, że tego wszystkiego dokonała garstka marnie wyposażonych awanturników, graniczy z cudem. Pozbawiony nawet tego minimum prawdopodobieństwa, jakiego wymagamy od poetyckiego zmyślenia, fakt ten jest bez precedensu w rocznikach historii."

Tylko dla przejrzystości i pełności obrazu dodajmy tu krótko, że w ciągu najbliższych miesięcy po bitwie w dolinie Otumba lud aztecki, znalazłszy się znowu pod właściwym kierownictwem, wzniósł się raz jeszcze do wielkości, której po najeździe Hiszpanów nie ujawnił pod rządami Montezumy, lecz która licowała z tym, czym Aztecy, „amerykańscy Rzymianie", byli przed pojawieniem się Corteza. Po śmierci Cuitlahuaca, który po czterech miesiącach zmarł na czarną ospę, obrany został cesarzem dwudziestopięcioletni Quauhtemoc. Gdy Cortez ze swym wzmocnionym znacznymi posiłkami wojskiem ponownie zaatakował stolicę, młody monarcha

aztecki bronił jej z taką zaciętością, że zadał Hiszpanom większe straty niż wszyscy poprzedni azteccy wodzowie. Dalej jednak sprawy potoczyły się naturalnym biegiem rzeczy: Meksyk został zburzony, domy spalone, bogowie obaleni, kanały zasypane (dziś Meksyk nie jest już „Wenecją"). Sam Quauhtemoc, wzięty do niewoli, został poddany torturom, w końcu zaś powieszony.

Nowy okres rozpoczął się od nawracania Indian i kolonizacji kraju. Na szczycie tego samego teocalli, z którego schodów podczas ostatniego oblężenia azteccy kapłani na oczach Hiszpanów strącali ciała ich wziętych do niewoli rodaków, wyrwawszy im przedtem serca, wznosiła się teraz jaśniejąc z daleka kolegiata pod wezwaniem Sw. Franciszka. Domy odbudowano. Po upływie kilku lat w azteckiej stolicy mieszkało już dwa tysiące rodzin hiszpańskich (częstokroć małżeństwa mieszane) i co najmniej trzydzieści tysięcy rodzin indiańskch. Ziemię podzielono między zdobywców według zasady tak zwanych *repartimientos,* co dla wszystkich ludów należących niegdyś do państwa azteckiego i dla wszystkich innych, później podbitych Indian oznaczało obrócenie ich w niewolników. Tylko Tlaskalanowie, których pomocy Cortez miał tyle do zawdzięczenia, byli na pewien czas wyłączeni spod działania tego prawa. (Czyżby kto doprawdy spodziewał się, że pozostaną wolni na zawsze?)

W tych szybkich osiągnięciach, tak korzystnych dla dalekiej Hiszpanii, jedna była rzecz gorzka dla zdobywców: zaginięcie skarbu Montezumy. Hiszpanie sądzili, że przy powtórnym wkroczeniu do Meksyku zastaną jeszcze tę część skarbu, której nie mogli zabrać ze sobą w ciemnościach pamiętnej *noche triste.* Skarb jednak zaginął (nie znaleziono go zresztą do dziś dnia). Cortez kazał wziąć Quauhtemoca na tortury. Nie wydobył z niego żadnej wiadomości. Kazał centymetr za centymetrem przeszukać przez nurków wszystkie kanały i laguny. Tylko tu i ówdzie znaleziono nieznaczne resztki. W sumie, po długich poszukiwaniach, dało to wartość około 130 000 castellanos w złocie — akurat tyle, by można było wysłać dworowi hiszpańskiemu obiecaną mu niegdyś jedną piątą skarbu. Dodajmy wreszcie — i nikt chyba, kto w dziejach hiszpańskich podbojów śledził historię zdobycia Meksyku, nie oprze się uczuciu złośliwej satysfakcji na tę wiadomość — że statek z tym skarbem,

zapowiedziany przez Corteza listem z 15 maja 1522 roku, został skaperowany przez Francuzów, tak że w końcu nie Karol V hiszpański, lecz Franciszek I, król Francji, ku własnemu zdumieniu znalazł się w posiadaniu skarbu koronnego Azteków.

Czas teraz przerwać na chwilę tok naszego opowiadania i oddać się pewnym refleksjom. Ponieważ książka nasza nie jest historią odkryć geograficznych, a jeszcze mniej historią militarnych i politycznych zaborów, musimy — idąc dalej śladem naszego zainteresowania dawnymi kulturami — zadać sobie nareszcie pytanie, jakie znaczenie ma podbój Corteza dla naszego obrazu dawnych kultur Ameryki Środkowej.

Że w Meksyku w chwili pojawienia się Corteza kultura taka istniała, to po wszystkim, co zostało dotąd opowiedziane, nie wymaga chyba dalszych dowodów. Gdy patrzymy na Corteza z naszego punktu widzenia, czyli nie jak na konkwistadora, lecz szczęśliwego odkrywcę kultury, która już dla ludzi 1600 roku była kulturą umarłą, a dla nas jest martwą jak wszystkie inne zaginione kultury omawiane dotąd w tej książce (żyjący dziś w Meksyku Aztekowie w liczbie około 1,8 miliona ludzi pędzą żywot fellachów, poza nawiasem historii), zainteresować nas musi pytanie, jakie wnioski sam odkrywca, współcześni mu i potomność wyciągnęli z tego odkrycia.

I tu od razu uderza nas rzecz zdumiewająca. Cortez, podobnie jak uczestnicy i świadkowie jego podboju, nie pomijał żadnej sposobności, aby uwypuklić potęgę i znaczenie ujarzmionego przez siebie ludu; gdyby tego nie podkreślał, pomniejszyłby w oczach współczesnego mu świata wielkość swego dzieła. Tego jednak, że zniszczył nie barbarzyńskie, pogańskie państwo dzikusów, lecz — że użyjemy raz jeszcze przytoczonego wyżej porównania — „zamordował, ściął tę kulturę, jak przechodzień strąca koronę słonecznika” — tego Cortez nie zauważył. Nie dostrzegł także, jakiego rodzaju była ta kultura i jakie miała znaczenie. Ale ten sam przez się już zdumiewający fakt daje się jeszcze poniekąd wytłumaczyć duchem czasu i ideologią epoki, która wprawdzie wydała już kronikarza, lecz jeszcze nie zrodziła historiografa. Zgoła natomiast niepojęty i bez przykładu jest fakt, że to dokonane na początku XVI wieku odkrycie, które przyniosło tak niezwykle bogate w szczegóły wiadomości d

życiu, mało tego — o samym istnieniu dawnych Azteków, zostało znowu zapomniane. Podczas gdy dalszy rozwój historyczny coraz ściślej włączał Amerykę w życie gospodarcze i w rytm polityczny Europy (nieporównanie ściślej, niż po dziś dzień włączył w nie na przyład Mezopotamię), świadomość tego, że istniały niegdyś zupełnie niezwykłe kultury amerykańskie, tak całkowicie wypadła z pamięci ludzkiej, że do niedawna nawet nauka nie uważała za stosowne poświęcić temu zaginionemu światu należnej mu uwagi. Aby przekonać się o istnieniu tej luki, wystarczy uprzytomnić sobie, jak mało my sami wiemy o tych kulturach, albo zajrzeć do licznych encyklopedii lub dzieł z dziedziny historii powszechnej, w których kultura Tolteków, Majów i Azteków bądź w ogóle jest pominięta milczeniem, bądź zaledwie wzmiankowana. Argument, który każe przyczyny tego zjawiska dopatrywać się w fakcie, że kultury środkowoamerykańskie nie pozostają z nami w równie ścisłym, wynikającym z rozwoju historycznego związku wewnętrznym, jak kultury Babilonii, Egiptu i Grecji, nie wytrzymuje krytyki. Nie mniej bowiem odległe od nas kultury Chińczyków lub Hindusów znacznie żywiej przeniknęły do naszej świadomości niż dawne kultury amerykańskie, chociaż kraje te mimo swego połączenia lądowego z Europą stoją daleko bardziej na uboczu od naszego życia gospodarczego i politycznego niż Meksyk, który już przed czterystu laty uległ całkowitej hispanizacji, a następnie włączony został do kontynetalno-amerykańskiej sfery działania. I jeszcze jedno zasługuje tu na uwagę: pierwszy założony w 1879 roku amerykański instytut archeologiczny przez dziesiątki lat skupiał całą swą działalność na pracach wykopaliskowych poświęconych starożytności europejskiej. Z ogromnych sum łożonych przez amerykańskie instytuty naukowe na poszukiwania archeologiczne tylko najmniejsza część dociera do rąk nielicznych badaczy starających się zbadać obszary kulturowe, na których po części instytuty te się znajdują.

Tak więc w kulturze Azteków mamy przykład kultury nie tylko umarłej, lecz także — można to śmiało twierdzić — zapomnianej po pierwszym jej odkryciu.

Dotąd często wskazywaliśmy na potęgę i wielkość Azteków. Czas teraz powiedzieć, że tej potęgi i wielkości nie należy przeceniać. Jeżeli podkreślaliśmy ją z takim

naciskiem, to dlatego, że właśnie kultura Azteków pierwsza została odkryta, a w książce naszej wszak postanowiliśmy trzymać się chronologii odkryć archeologicznych. Teraz jednak przekonamy się, że istniały w Ameryce Środkowej inne, znacznie wyższe kultury, co więcej, że kultura aztecka była tylko cywilizacyjnym odblaskiem innej, znacznie bardziej rozwiniętej i daleko starszej kultury.

I to wprowadza nas znowu w tok naszego opowiadania. Przechodzimy do powtórnego odkrycia dawnej Ameryki, a tym samym do dwóch niezwykłych ludzi, z których jeden nie wyszedłszy poza próg swej pracowni odkrył ponownie dawnych Azteków, drugi zaś, przebijając się macze-tą przez dżunglę, odkrył powtórnie znacznie starszy lud (pierwszy na lud ten trafił już jeden z towarzyszy Corteza).

Tym razem wszakże do nowych odkryć przystąpiono z owym wielkim nabożnym skupieniem i szacunkiem wobec minionej wielkości, do którego zdolny stał się dopiero wiek dziewiętnasty. Ku największemu zdumieniu okazało się jednak, że i to powtórne odkrycie dawnych ludów amerykańskich jeszcze nie wystarczało, aby przyznać im należne miejsce w historii kultury — że potrzebne było jeszcze trzecie odkrycie, które dopiero za naszych dni zmierza do swego punktu szczytowego. Do tego tematu powrócimy w jednym z następnych rozdziałów.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

MR. STEPHENS KUPUJE MIASTO

Pewnego wczesnego ranka 1839 roku mała kawalkada jeźdźców jechała doliną Camotan wzdłuż przebiegającej tu granicy między Hondurasem i Gwatemalą. Na

przedzie dwaj biali; resztę stanowili Indianie. Chociaż wszyscy byli uzbrojeni, przybywali w te okolice w na wskroś pokojowych zamiarach. Jednakże ani broń, ani zapewnienia o pokojowych celach podróży nie przeszkodziły temu, że tegoż wieczora całe to towarzystwo znalazło się pod kluczem w „ratuszu" małej mieściny, strzeżone przez bandę uzbrojonych żołdaków, którzy przez całą noc hałasowali zabawiając się dziką strzelaniną.

Od tego mało zachęcającego wstępu rozpoczęła się wielka przygoda badawcza Johna Lloyda Stephensa, który po raz drugi odkrył dawną Amerykę.

Stephens urodził się 28 listopada 1805 roku w Shrewsbury w stanie Nowy Jork. Po odbyciu studiów prawniczych pracował przez osiem lat w sądach nowojorskich. Pasjonował się zabytkami starożytności — śladami dawnych ludów z najrozmaitszych epok. Na przykładzie tego Amerykanina potwierdza się to, na co wskazaliśmy w poprzednim rozdziale: nie tropił on śladów historii dawnych ludów Ameryki, nie udał się do Ameryki Środkowej, gdzie nagromadzone były niezliczone zabytki — po prostu dlatego, że nic o nich nie wiedział. Pojechał do Egiptu, Arabii, Ziemi Świętej, a w rok później do Grecji i Turcji. Dopiero gdy miał trzydzieści trzy lata i sam wydał już dwie książki o swych podróżach, wpadło mu w ręce sprawozdanie z podróży innego autora, które w najwyższym stopniu wzbudziło jego ciekawość i nadało jego zainteresowaniom nowy kierunek.

Chodziło o ujęte na piśmie wyniki urzędowych badań (po części poparte własnymi spostrzeżeniami autora), które niejaki pułkownik Garlindo na polecenie rządu Federacji Ameryki, Środkowej przeprowadził wśród krajowców. Garlindo wspominał w tym sprawozdaniu o szczątkach dziwnych i niezawodnie bardzo starych budowli, które można napotkać w lasach Jukatanu i Środkowej Ameryki.

Te suche uwagi wojskowego niezwykle zaintrygowały Stephensa.

Szukał więc dalszych wiadomości i natknął się na dzieło Juarrosa, historyka Gwatemali, który ze swej strony cytował niejakiego Fuentesa. Ów zaś Fuentes twierdził, że za jego czasów, około 1700 roku, w okolicach Copänu w Hondurasie znajdował się kompleks dobrze zachowanych starożytnych budowli; Fuentes nazywał

go „cyrkiem”.

Te skąpe wiadomości rozstrzygnęły o decyzji Stephensa. Choć wydaje się to wprost nieprawdopodobne, nie zebrał on bliższych wiadomości i tylko pobieżnie zaznajomił się ze źródłami z epoki konkwistadorów. Ale — powtarzamy raz jeszcze — odkrycia hiszpańskich zdobywców, o ile dotyczyły znalezionych starych kultur, dawno już zostały zapomniane. Stephens zaś nie mógł wiedzieć, że akurat w tym samym czasie, gdy wyruszał do Ameryki Środkowej, bardzo niedaleko od niego inny człowiek, również Amerykanin, zbierał wszystkie osiągalne materiały o jednym z dawnych ludów środkowoamerykańskich. Nie wiedział, że człowiek ten mógłby z czterech ścian swojej pracowni nie tylko opowiedzieć mu niesłychanie wiele o tych ludach, lecz nawet powiedzieć mu w przybliżeniu, co on, Stephens, tam znajdzie.

Stephens rozglądał się za jakimś towarzyszem podróży. Znalazł go w osobie swego przyjaciela Fredericka Catherwooda, angielskiego rysownika. Napotykamy tu tę samą wspólnotę pracy, z jaką zetknęliśmy się już, gdy Vivant Denon utrwalał ołówkiem to, co znajdowała napoleońska Komisja Egipska, i gdy Eugene Flandin rysował rozsypujące się rzeźby wydobyte przez Bottę z gruzów Niniwy.

Gdy obaj zajęci już byli przygotowaniami do podróży, nadarzyła się sposobność do przerzucenia większej części kosztów wyprawy na rząd Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. W okresie tym Ameryka Środkowa pod względem gospodarczym coraz bardziej wchodziła w strefę interesów Stanów Zjednoczonych. Gdy nagle umarł dotychczasowy amerykański chargś d’affaires przy rządzie Federacji Środkowoamerykańskiej, Stephens — który z okresu swej pracy w sądach nowojorskich znał prezydenta Stanów Zjednoczonych Martina van Burena, byłego gubernatora Nowego Jorku — został jego następcą. Dzięki temu wyruszył w swą podróż wyposażony nie tylko w wiele listów polecających, ale i w pięknie brzmiący tytuł *encargado de los negocios de los Estados Uni-dos del Norte.* (Iluż to już poznaliśmy pionierów archeologii, którzy jednocześnie byli dyplomatami!)

Wszystko to jednak nic nie pomogło, gdy owi pijani żołdacy napadli na jego orszak podróżny. Stephensowi bowiem w 1839 roku przytrafiło się w Środkowej Ameryce to

samo, co sześć lat potem zdarzyło się Layardowi w Mezopotamii, na brzegu Tygrysu. Tak jeden, jak drugi przybyli do kraju objętego ogniem rewolucji.

W Federacji Środkowoamerykańskiej istniały wtedy trzy wielkie partie polityczne: partia Morazana, byłego prezydenta republiki San Salvador, partia Ferrery, mulaokiego przywódcy w Hondurasie, i partia Carrery, indiańskiego przywódcy politycznego w Gwatemali. Carrera wraz ze swymi zwolennikami, których w sposób mało przyjazny nazwano *cachurecos* („fałszywe monety"), stał wtedy pod bronią. Morazän i Ferrera stoczyli bowiem bitwę pod San Salvador, z której generał Morazän, chociaż ranny, wyszedł jako zwycięzca; teraz oczekiwano jego wkroczenia do Gwatemali. Mała karawana Stephensa wędrowała właśnie drogą, którą przypuszczalnie miał przybyć.

Kraj był zniszczony. Operetkowi generałowie na przemian z hersztami bandytów dowodzili większymi lub mniejszymi oddziałami wojskowymi, składającymi się z Indian, Murzynów oraz kilku europejskich poszukiwaczy przygód, oficerów i dezerterów z armii Napoleona. Były to raczej bandy maruderów niż oddziały wojskowe. Wsie były splądrowane, ludność cierpiała głód. Gdziekolwiek Stephens próbował nabyć żywność, spotykał się niezmiennie z odpowiedzią: *No hay!* — „Nie ma!" Dawano im tylko wodę.

Gdy w jednym z miasteczek zakwaterowali się na nocleg w „ratuszu", miejscowy alkad, wyposażony w oznakę swej godności, laskę ze srebrną gałką, przyjął ich nieufnie. W nocy tenże alkad z watahą dwudziestu pięciu ludzi wtargnął do sali sypialnej. Dowódcą oddziału był oficer, zwolennik Carrery; Stephens opisując tę przygodę stale nazywa go „panem w cylindrze". Doszło do dość gwałtownej wymiany zdań. Służący Stephensa, imieniem Augustin, który został ranny od zbyt pochopnego uderzenia maczetą w głowę, wołał: „Strzelać, sir, strzelać!" W świetle palącego się łuczywa Stephens okazał swe paszporty jak również glejt zaopatrzony w pieczęcie generała Cascary, dezertera armii napoleońskiej, który wtedy odgrywał tu pewną rolę, a którego poparcie Stephens zapewnił sobie wyruszając w drogę. Catherwood natomiast wdał się w uczony wywód na temat prawa międzynarodowego i

immunitetów dyplomatycznych, co na pijanych żołdakach zrobiło jeszcze mniejsze wrażenie niż okazane paszporty. Sytuacja przypominała po trosze scenę z opery *Fra Diavolo,* mogła się jednak skończyć tragicznie; trzy muszkiety były już wymierzone w pierś Stephensa.

Na razie jednak nie doszło do tego krwawego finału, pojawił się bowiem inny oficer, widocznie starszy rangą, gdyż miał na głowie jeszcze bardziej lśniący „cylinder" niż pierwszy. Znowu zbadano paszporty. Oficer zabronił wszelkiego gwałtu, oznajmił jednak alkadowi, iż ten głową odpowiada mu za to, że więźniowie będą dobrze strzeżeni. Stephens napisał w pośpiechu list do generała Cascary i dla większego efektu zapieczętował go amerykańską półdolarówką. „Orzeł — pisze później w swej książce — rozpostarł swe skrzydła, a gwiazdy rozbłysły w świetle pochodni; wszyscy podeszli bliżej, aby sobie dokładnie to obejrzeć."

Tej nocy nikt z gromadki Stephensa nie zaznał snu. Przed ich kwaterą żołnierze zabawiali się w obóz wojenny, wrzeszczeli, krzyczeli i bez miary pili wódkę. Wreszcie jeszcze raz pojawił się alkad, a z nim cala uzbrojona banda. Trzymał w ręku list Stephensa. Widząc, że list nie został wysłany, Stephens tym razem wystąpił energicznie. I, o dziwo, to czego nie zdziałały ani paszporty, ani uczone wywody Catherwooda, zdziałał ten nowy ton. Alkad natychmiast wysłał list przez Indianina, dodając mu kopniaka na drogę, i oddalił się wraz ze swymi towarzyszami. Stephens był przygotowany na to, że wypadnie długo czekać. Raptem jednak sytuacja sama przez się znalazła pomyślne rozwiązanie.

Gdy nazajutrz słońce stało już wysoko, wytrzeźwiony alkad przyszedł z oficjalną, pojednawczą wizytą. Żołnierze, utrzymawszy nocą nowy rozkaz, o świcie opuścili miasteczko.

Miasto Copän leży w Hondurasie nad rzeką tej samej nazwy wpadającą do rzeki Motagua, która z kolei wpada do Zatoki Honduraskiej. (Nie należy mylić Copänu z miastem Cobän nad rzeką Rio Coban lub Cahabon, które leży na północny wschód od Copanu i znajduje się w Gwatemali.)

Tą samą drogą, którą obecnie wędrował Stephens, niegdyś maszerował Cortez, gdy po

zawojowaniu państwa Azteków wyruszył w 1525 roku *z* Meksyku do Hondurasu, aby ukarać pewnego zdrajcę. Droga ta na przestrzeni tysiąca kilometrów prowadzi przez góry i dziewicze lasy.

Gdy Stephens, Catherwood oraz indiańscy przewodnicy i tragarze puścili się w dalszą podróż i zanurzyli się w gęstwinę lasu, który zamknął się nad nimi jak zielona toń morska, zaczęli rozumieć, dlaczego tak mało podróżników i badaczy zapuszczało się w te strony. „Poszycie lasu — pisał trzysta lat przedtem Cortez — rzucało tak gęsty cień, że żołnierze nie wiedzieli, gdzie nogę postawić." Muły zapadały po brzuch w mokradła, a gdy Stephens i Cartherwood zsiadali z koni, aby pomóc ludziom i zwierzętom, kolczaste rośliny kaleczyły im ręce i twarz. Duszny upał odbierał siły, a roje moskitów unoszące się nad bagnami nabawiały febry. „Klimat ten — pisali sto lat przedtem hiszpańscy podróżnicy Don Juan i Ulloa — wysysa z człowieka siły, zabija kobiety przy pierwszym połogu. Woły tracą mięso; krowy przestają dawać mleko, kury — nieść jajka..." Przyroda od tego czasu się nie zmieniła, była taka sama jak za Corteza i owych dwóch Hiszpanów. Gdyby nie to, że wydarzenia wojenne i zamieszanie panujące w Środkowej Ameryce z góry uniemożliwiały wszelką działalność dyplomatyczną i Stephensowi nie pozostało nic innego, jak folgować swej pasji do przygód i odkryć, kto wie, czy nie zawróciłby z drogi.

Ale Stephens należał do tej kategorii ludzi, którzy nawet wśród najcięższych udręczeń nie stają się nieczuli na urok otaczającego ich obcego świata. Las nie tylko z wściekłością obezwładniał i atakował intruza, lecz oszałamiał także powonienie, słuch i wzrok. Z niżej położonych części podnosiły się duszące, bagienne wyziewy. Drzewa mahoniowe i błękitne drzewa kampeszowe rozpościerały rozłożyste korony. Palma corozo swymi do dwunastu metrów długimi liśćmi tworzyła nad głowami wędrowców nieprzenikniony dach. Uważniejszym podróżnikom udawało się niekiedy znaleźć orchideę. Na pniach odwiecznych drzew niby doniczki pousadzały się przeróżne *bromeliazeae.* Gdy zaś wieczorem puszcza budziła się do życia, rozlegał się jazgot małp, skrzeczały papugi, rozbrzmiewało wycie i szczeknięcia, padały głuche, urywane krzyki, jakie wydaje konająca zwierzyna pod zębami szarpiącego ją napastnika.

Stephens i Catherwood przedzierali się przez dziewiczą puszczę, o której im się nawet nie śniło, gdy w Nowym Jorku przygotowywali się do tej wyprawy. Podrapani, okrwawieni, pokryci błotem, z czerwonymi od bezsenności oczyma, przedzierali się naprzód. I w tym świecie przeklętym przez Boga i ludzi, w którym zdawało się, nigdy jeszcze nie postała ludzka noga, miały się wznosić kamienne, wielkie budowle?
Stephens sam później uczciwie przyznaje, że im dalej zapuszczał się w to zielone królestwo, tym bardziej stawał się sceptyczny. „Muszę przyznać — pisze — że obaj, zarówno pan Catherwood, jak i ja, byliśmy nieco sceptyczni i zbliżaliśmy się do Copänu już raczej tylko z nadzieją niż z wiarą w znalezienie poszukiwanych cudów."
A jednak nastąpiła chwila, w której je znaleźli.

Znaleźć w jakimś obcym, nieznanym lesie resztki starych murów, świadczących o dawno minionym życiu, to rzecz niewątpliwie interesująca i pobudzająca do rozmaitych refleksji, lecz trudno- ją nazwać cudem. Musimy sobie uprzytomnić, że Stephens zjeździł pół Lewantu i stał już na ruinach siedzib niemal wszystkich starożytnych ludów. Teraz gdy nie miał już prawie żadnej nadziei i niemal niczego już się nie spodziewał (bo jakąż mógł tu przykładać miarę porównawczą na przykład z Egiptem?), ukazał mu się widok, który w pierwszej chwili wprawił go w osłupienie, a w końcu — gdy pomyślał, jakie wnioski z jego odkrycia będzie mogła wysnuć nauka — istotnie wydał mu się cudem.
Dotarli do rzeki Rio Copán i zatrzymali się na krótko w napotkanej tu wiosce, aby nawiązać przyjazne stosunki z zamieszkującymi ją tubylcami, Metysami i Indianami, którzy wszyscy nawróceni byli na wiarę chrześcijańską. Wyruszywszy stąd dalej do dżungli, stanęli nagle przed dobrze zachowanym murem zbudowanym ze ściśle spojonych kamieni ciosowych. Liczne stopnie wiodły w górą na taras, tak jednak obrosły bujnym zielskiem, że nie można się było zorientować w jego rozmiarach.
Podnieceni tym widokiem, powstrzymywali jeszcze swą radość. Nie mieli pewności, czy nie są to resztki jakiegoś starego umocnienia hiszpańskiego. Zboczywszy z

wyrąbanej ścieżki ujrzeli swego przewodnika, który kilkoma energicznymi cięciami rozbijał gąszcz lian. Rozsunął poplątane ze sobą pnącza, niby kurtynę w teatrze, i — istny *deus ex machina* w dramacie tego odkrycia — pełen oczekiwania, jak gdyby pokazując krytykom swe własne dzieło, wskazał im ręką na jakiś wysoki, ciemny przedmiot.

Oczom Stephensa i Catherwooda, którzy teraz sami maczetą rozcinali zarośla, aby odsłonić sobie widok, ukazała się ogromna stela, wysoka rzeźba, jakiej nigdy w życiu jeszcze nie widzieli, o artystycznym wykonaniu, jakiego dotąd nigdy nie spotykali ani w Europie, ani na Wschodzie, i nigdy nie spodziewaliby się znaleźć w Ameryce.

Kamienna rzeźba pokryta była tak wspaniałymi ornamentami, że w pierwszej chwili wydało im się, iż w ogóle nie można tego opisać. Była ona — wybiegamy tu naprzód, podając dopiero później stwierdzone wymiary — na 3,90 metra wysoka, 1,20 metra szeroka i 0,90 metra gruba. Czworokątna kolumna pokryta była od góry do dołu rzeźbami i ornamentami; ornamenty te, wielkie i szare, odcinały się od soczystej zieleni dziewiczego lasu; w zagłębieniach rzeźb widoczne jeszcze były ślady intensywnych ciemnych kolorów, którymi niegdyś były pomalowane.

Na przodzie, rzeźbiona bardzo wypukłe, widoczna była postać mężczyzny, którego twarz — jak pisze Stephens — była „uroczyście surowa i mogła napawać bojaźnią". Boki steli pokryte były zagadkowymi hieroglifami, tylna zaś strona płaskorzeźbami, „różniącymi się od wszystkiego, co dotąd widzieliśmy".

Stephens był zafascynowany. Ale jako prawdziwy badacz, nawet w obliczu najbardziej niespodziewanego widoku nie wyciąga pochopnych wniosków. Ogranicza się na razie do następującego twierdzenia, czyniąc to jednak z największą stanowczością: „Widok tego niespodziewanie znalezionego pomnika... napełnił nas przekonaniem, że poszukiwane przez nas przedmioty są interesujące nie tylko jako szczątki nieznanego ludu, lecz również jako dzieła sztuki, które niby świeżo odkryte dokumenty historyczne dowodzą, że lud zamieszkujący niegdyś kontynent amerykański nie był ludem dzikim."

Gdy jednak wraz z Catherwoodem przedzierając się dalej przez gąszcz znajduje

drugą, trzecią, czwartą, a w końcu ogółem czternaście przedziwnych rzeźbionych stel, jedną doskonalszą od drugiej, posuwa się już dalej w swych twierdzeniach. Znając pomniki w dolinie Nilu i wiedząc, że jedynie wysoka kultura może wydać podobne dzieła, pisze, że niektóre stele znalezione w dżungli Copanu „były wykonane z większym smakiem artystycznym niż najpiękniejsze pomniki Egiptu, inne zaś co najmniej im dorównywały".

Twierdzenie to dla ówczesnego świata brzmiało wprost absurdalnie. Gdy w jednym ze swych listów przekazał pierwszą wiadomość o odkrytych znaleziskach, przyjęto ją nie tylko z niedowierzaniem, ale i ze śmiechem. A czyż mógł dowieść prawdziwości swych twierdzeń?

Co zrobić? Jak przetransportować te ogromne pomniki zamknięte za nieprzebytym, zielonym murem dżungli? „Beznadziejne niemal przedsięwzięcie — pisze w swej książce. — Wszędzie ruiny ukryte w lesie. Prawda, że przepływała tu rzeka wpadająca do tego samego morza, nad którym leży Nowy Jork. Ale na tej rzece były progi i wodospady. Pozostawało tylko jedno wyjście: porąbać jednego z tych bożków na kawałki i tak go przetransportować, aby mógł służyć za dowód i przykład, z innych zaś zrobić odlewy." Po czym dodaje — i teraz porównanie z tym, co dotąd uważane było za niedościgły twór dawnych kultur, gładko wypływa mu spod pióra: „Wszak odlewy z Partenonu, stojące w Muzeum Brytyjskim, uważane są za cenne pomniki.'„

Odstąpił jednak od tego zamiaru. Przecież ma przy sobie Catherwooda. Nalega więc, aby zabiał się do rysowania. Ale Cartherwood, który wydał przepiękne albumy pomników egipskich, chodzi chmurny, raz po raz dotyka wykutych w kamieniu poczwarnych twarzy, ogląda niezrozumiałe hieroglify, pogmatwane ornamenty. Bada oświetlenie, śledzi głębokość cieni w wypukłe wyżłobionych płaskorzeźbach, potrząsa głową...

Stephens jednak nie przestaje nalegać. Odsyła przewodnika do wioski, aby przepytał mieszkańców, co wiedzą o tych tajemniczych rzeźbach. Nikt nic o nich nie wie. Kto

mógł wykonać podobne artystyczne prace? *Quien sabe* — brzmi stereotypowa odpowiedź.

Z Metysem Bruno, krawcem wiejskim, zapuszcza się coraz głębiej *w* dżunglę. Znajduje coraz to nowe rzeźby, nowe mury, nowe schody i tarasy. „Jeden z pomników — pisze — olbrzymie korzenie drzew obsunęły z piedestału, inny tak mocno oplotły konary, że niemal wyrwały go z ziemi, jeszcze inny zwalony był na ziemię, gdzie przytrzymywały go olbrzymie pnącza. Jeden wreszcie pomnik, z wzniesionym przed nim ołtarzem, stał w gaju okalających go drzew, które jak gdyby chciały zapewnić mu cień i osłaniać go jako świętość; w uroczystej ciszy lasu się być bóstwem opłakującym zaginiony lud." powrócił do Catherwooda, oznajmił mu, że do skopiowania jest pięćdziesiąt obiektów. Ale Catherwood, wypróbowany rysownik, potrząsa głową. Tu nie można rysować, trzeba najpierw zrobić światło. W panujących ciemnościach zacierają się wszelkie kontury.

Odłożyli pracę do następnego ranka. Trzeba było zapewnić sobie pomoc. Wieś musiała dać mu ręce do pracy. Ale cóż to? Czy nie nadchodzi tu jakiś Metys, nieco lepiej i jaskrawiej ubrany niż tragarze i inni mieszkańcy, których dotąd widzieli? Może przyprowadza pomoc, której tak bardzo potrzebują? Lecz ten człowiek o brązowej skórze podchodzi dumnie, ku ich zdziwieniu przedstawia się jako don Josś Maria i okazuje dokumenty, z których wynika, że cały obszar nad Rio Copan, gdzie stoją ruiny, jest jego własnością.

Stephens wybuchnął śmiechem, tak niedorzeczna wydawała mu się myśl, że te ruiny w dżungli mogą w ogóle do kogoś „należeć". Gdy zaś don Jose Maria w odpowiedzi na postawione mu pytanie przyznał, że „niegdyś, co prawda, słyszał coś o tych ruinach, ale..." — nie dał mu dokończyć i odprawił go z niczym.

Wieczorem jednak leżąc w swej małej chacie jeszcze raz zastanawia się nad całą sprawą. Do kogo rzeczywiście należą te ruiny? I — jak pisze w swej książce — już zasypiając rozstrzyga kategorycznie: „Słusznie i prawnie należały one do nas. Jakkolwiek nie wiedziałem, czy nas wkrótce nie przepędzą z tych okolic, postanowiłem, że muszą się one stać naszą własnością. Podczas gdy przed oczyma

majaczyły mi niejasne obrazy sławy i uznania, nakryłem się kołdrą i zasnąłem."

Nazajutrz w dżungli znowu rozległy się krótkie, urywane uderzenia maczety. Indianie podcięli kilkanaście drzew. Potem jedno z nich zwaliło się, padając pociągnęło za sobą inne, a wraz z nimi poszycie z listowia i pnączy.

Stephens obserwował Indian. Wciąż usiłował doszukać się w ich twarzach śladów owej twórczej siły, która stworzyła te kamienne dzieła sztuki — obcej, niesamowitej siły, z wyraźnie widocznym rysem okrucieństwa i groteskowości, lecz przejawiającej się w formie tak doskonałej, jaka nie może znienacka wytrysnąć z ciemności, lecz zazwyczaj wyrasta powoli z głębokiego podłoża. Nie znajdował tych śladów. Przeciwnie, twarze pracujących Indios wydawały mu się raczej tępe.

Podczas gdy Catherwood ustawiał swe sztalugi, aby nie tracąc czasu wykorzystać dopiero co uzyskane światło, Stephens znowu wyruszył do dżungli. Odnalazł mur na brzegu rzeki. Był znacznie wyższy, niż go poprzednio na pierwsze wejrzenie ocenił. Przede wszystkim zajmował znacznie większą powierzchnię. Był jednak do tego stopnia obrośnięty kolącym janowcem, że wyglądało to tak, jak gdyby na jego wierzchołek nasadzono olbrzymią czapę z janowca. Krzyk małp towarzyszył Stephensowi, gdy wraz z Metysem Bruno przedzierał się przez poplątane pnącza. „Widzieliśmy tutaj te stworzenia, ni to małpy, ni ludzi, po raz pierwszy — pisze Stephens. — W otoczeniu dziwnych pomników wydawały nam się wędrującymi duchami zaginionego ludu, strzegącymi ruin swych dawnych siedzib."

Potem Stephens zauważył budowlę w kształcie piramidy. Z trudem zaczął wspinać się po szerokich schodach obrosłych pnączami. Schody prowadziły z ciemności kolczastych zarośli między mniej ścisłe, przepuszczające więcej światła korony drzew, a wreszcie jeszcze wyżej, ponad wierzchołkami drzew ceiba, na taras wznoszący się co najmniej na wysokość trzydziestu metrów nad ziemią. Stephens był oszołomiony. Jakiż lud żył i działał niegdyś na tym terytorium? Kiedy wyginął? Przed iloma stuleciami zbudował tę piramidę? W ciągu jakiego czasu, jakimi narzędziami,

na czyje polecenie i na czyją cześć stworzył te niezliczone rzeźby? Jedno było pewne: takich dzieł i budowli nie mogło wydać, samo z siebie, jedno tylko miasto, musiała za tym stać siła twórcza wielkiego i potężnego ludu. Gdy zaś wyobraził sobie, ile innych nikomu nie znanych podobnych miast kryje się może w dalekich dżunglach Hondurasu, Gwatemali i Jukatanu, wstrząsnął nim dreszcz na myśl o wielkości czekającego go zadania. Opadło go tysiąc pytań. Na żadne z nich nie znajdował odpowiedzi. Spojrzał poprzez korony drzew, pod którymi rysowały się szare kontury pomników.

„Miasto ruin leżało przed nami niby barka rozbita pośrodku morza, z pozrywanymi masztami, bez nazwy, bez załogi. Nikt nie wie, skąd przybyła, do kogo należała, jak długo znajdowała się w drodze, co spowodowało jej zagładę. Tylko domnńrtrne podobieństwo jej budowy pozwala się domyślać, kim byli nieznan\ zaginieni majtkowie, lecz pewności co do tego nie uzyskamy może nigdy."

Gdy chciał obejrzeć pierwsze wyniki pracy swego przyjaciela, ukazał mu się niezwykły widok. Zastał Catherwooda przed stelą, która była ich pierwszym odkryciem. Dokoła niego leżały porozrzucane na ziemi niezliczone arkusze papieru. On sam stał nogami w mokradle, obryzgany od góry do dołu błotem; dla ochrony przed rojami moskitów nałożył na ręce rękawiczki, zasłonił sobie twarz z wyjątkiem oczu i pracował z ponurą zawziętością, chcąc za wszelką cenę pokonać napotkaną trudność. Okazało się bowiem, że Catherwood, jeden z ostatnich wielkich rysowników, których tradycja przetrwała tylko w niewielu angielskich sztychach do przełomu ubiegłego i obecnego stulecia, by potem zaginąć w eksperymencie formalizmu — nie mógł sprostać stojącemu przed nim zadaniu.

Świat form, który miał tu przed sobą, tak dalece różnił się od wszystkich form, z jakimi spotkał się dotąd, leżał tak całkowicie poza obrębem wszelkiego europejskiego wyobrażenia o sztuce plastycznej, że Catherwood stał bezradny; nie poznawał proporcji, przesuwał kąty i ani z szeroko wówczas stosowaną *camera lucida,* ani bez tego środka pomocniczego nie mógł osiągnąć wyników, które by odpowiadały jego wymaganiom. Bo cóż na przykład wyobraża ten oto szczegół — ornament czy część ludzkiego ciała? A oto — czy jest to słońce, czy symbol? Albo tamto — czy to głowa

jakiegoś zwierzęcia? A jeżeli tak, to gdzie istniały podobne zwierzęta, w jakiej wyobraźni zrodziły się podobne poczwary? Kamienie były tu przekształcone we wspaniałe formy, które nigdzie na świecie nie miały wzoru ani odpowiednika. „Wyglądało to tak — pisze Stephens — jak gdyby «bożek» drwił z jego kunsztu. Na pobliskim drzewie dwie małpy zdawały się śmiać z niego!"

Catherwood jednak stał tak przed swą sztalugą całymi dniami, od rana do wieczora. Aż wreszcie przyszedł dzień, kiedy udał mu się pierwszy rysunek. Rysunek ten później wzbudzić miał sensację.

Teraz jednak zdarzyło się coś zdumiewającego. Stephens, któremu potrzebna była pomoc, nawiązał bliższy kontakt z mieszkańcami wioski. Wzajemne stosunki zapowiadały się pomyślnie, gdyż Stephens — już niejeden badacz znalazł się w podobnej sytuacji — mógł i ze swej strony okazać się pomocny rozdając trochę leków i udzielając dobrych rad. Potem jednak zaczęły się kłopoty. Raz po raz, z wytrwałością godną lepszej sprawy, zgłaszał się Josś Maria przedstawiając swe tytuły własności. W ciągu długich pertraktacji okazało się, że właściwie teren z ruinami nie ma dla niego żadnej wartości i nigdy go też nie będzie interesował, a wszystkie te „bóstwa" są mu najzupełniej obojętne. Jeżeli nieustannie molestował Stephensa, to jedynie dlatego, że poczuł się zadraśnięty w swej ambicji prawowitego właściciela.

Ponieważ Stephens chciał za wszelką cenę utrzymać dobre stosunki z wszystkimi okolicznymi mieszkańcami — nie zapominał o tym, że znajduje się w kraju ogarniętym zamieszkami politycznymi — więc powziął szaleńczą decyzję. Po prostu i bez długich wstępów zapytał don Josś Marii: „Ile pan żąda za swoje miasto ruin?"

„Myślę — pisze Stephens — że nie byłby bardziej zaskoczony i skonsternowany, gdybym mu oznajmił, iż chcę kupić jego żonę, biedną starą kobietę, naszą reumatyczną pacjentkę... Najwidoczniej, sam już nie wiedział, kto z nas dwóch postradał rozum. Posiadłość była tak zupełnie pozbawiona wartości, że moja propozycja wydała mu się podejrzana."

Aby więc dowieść uczciwości swych zamiarów, musiał Stephens rad nierad zdecydować się na to, by temu obmierzłemu don Jose okazać wszystkie swe dokumenty i wylegitymować się jako człowiek nieposzlakowanej przeszłości, podróżujący naukowiec i chargć d'affaires wielkich i potężnych Stanów Zjednoczonych. Jeden z mieszkańców wioski umiejący czytać i pisać, niejaki Miguel, głośno odczytał dokumenty. Imć don Jose słuchał przestępując z nogi na nogę, po czym oznajmił, że musi sobie to wszystko przemyśleć i jeszcze powróci.

Ta sama scena powtórzyła się po raz drugi. Miguel znowu przeczytał na głos dokumenty. Ponieważ i to nie poskutkowało, a Stephens w kupnie starego miasta Copän widział jedyną możliwość utrzymania spokoju i przyjaznych stosunków, przeto oceniając trafnie mentalność mieszkańców wioski położonej w samym sercu dżungli chwycił się innych sposobów. Rozegrała się scena, która zdaje się być żywcem wyjęta z jakiejś farsy.

Przywlókł swój kufer podróżny i wydobył z niego mundur dyplomatyczny. Swą misję dyplomatyczną w Ameryce Środkowej dawno już uważał za przekreśloną, lecz czemuż by mundur, skoro nadarzała się ku temu sposobność, nie miał odegrać swej roli? I oto charge d'affaires Stanów Zjednoczonych w obecności osłupiałego Metysa Jose Marii z namaszczeniem ubiera się w galowy frak. Mniejsza, że strój ten uzupełnia rozmokły od deszczu panamski kapelusz, kraciasta koszula i białe pantalony po kolana zawalane błotem, że z drzew po całodziennej ulewie kapią jeszcze krople deszczu, a na ziemi stoją błotniste kałuże, bo oto kilka promieni słońca odbija się w wielkich guzikach z amerykańskim orłem i nadaje haftom i szamerunkom ową przekonywającą siłę autorytetu władzy, której działanie nie zawodzi na żadnej szerokości geograficznej naszego świata.

Jakże więc widok ten miał nie podziałać na don Jose Marię. Opór Metysa był złamany. John Lloyd Stephens, który mówi sam o sobie, że „sprawiał chyba nie mniej dziwaczne wrażenie niż pewien murzyński królik, który grupę brytyjskich oficerów przyjął we wciśniętym na głowę kapeluszu, w wojskowej kurtce i bez inekspymabli" — kupił stare miasto Copän!

Pisząc później o tym Stephens dodaje:

„Czytelnik może ciekaw jest dowiedzieć się, jak w Ameryce Środkowej kupuje się miasta. Jak przy wszystkich innych artykułach handlu, tak i w tym wypadku działa prawo podaży i popytu. Ponieważ jednak starożytne miasta nie są artykułem składowym, jak bawełna i indygo, więc cena ich jest zupełnie dowolna, wtedy zaś w tej dziedzinie akurat panował zastój. Dowiedz się więc, czytelniku, że zapłaciłem za Copän pięćdziesiąt dolarów. Cenę tę uzgodniliśmy bez najmniejszej trudności. Zaproponowałem ją, a don Josś Maria uznał ją za tak wysoką, że w jego oczach byłem skończonym głupcem. Gdybym zaproponował mu więcej, uważałby mnie prawdopodobnie za coś jeszcze gorszego."

Rzecz jasna, że tak doniosłe i niezwykłe wydarzenie, chociaż cała wioska nie umiała go należycie ocenić, należało odpowiednio uczcić. Stephens wydał więc oficjalne przyjęcie. Licznie reprezentowane były na nim damy w podeszłym wieku. Cała wieś przybyła w uroczystym pochodzie. Roznoszono cygara — *cigarro* dla kobiet, *puro* dla mężczyzn. Podziwiano rysunki Catherwooda, a w końcu wybrano się nawet na zwiedzenie samych ruin i pomników. Wywołały one powszechne zdumienie. Okazało się, że żaden z mieszkańców tej wsi nigdy ich jeszcze nie widział. Nikt nie uważał za potrzebne zapuszczać się w duszną, pełną mokradeł dżunglę, nikt, nawet synowie największego miejscowego potentata, don Gregoria, uchodzący za ludzi odważnych i najlepszych znawców dżungli.

A jednak czystej krwi Indianie mieszkający w tej wiosce należeli do tego samego ludu, pochodzili z tego samego pnia, mówili tym samym językiem co dawno zmarli twórcy tych kamiennych rzeźb, piramid, schodów i tarasów...

W 1842 roku w Nowym Jorku ukazała się książka Stephensa *Incidents of Travel in Central America, Chiapas and Yucatan,* a wkrótce potem rysunki Catherwooda. I jedno, i drugie rozpętało burzę w prasie. Rozgorzały namiętne dyskusje i polemiki. Historycy stanęli w obliczu odkryć podważających mocno dotąd ugruntowane poglądy na dzieje dawnych wieków, laicy posuwali się do najbardziej fantastycznych wniosków.

Stephens i Catherwood po swych odkryciach w Copanie powędrowali dalej. Przeszli na terytorium Gwatemali, przemierzyli Chiapas i Jukatan. Na drodze swej wszędzie napotykali pomniki kultury Majów. To zaś, co teraz w słowie i obrazach ukazywali światu, nasuwało nie jedno, lecz tysiąc pytań. Raptem przypomniano sobie i odgrzebano stare źródła hiszpańskie i w materiałach traktujących o pierwszych odkrywcach i zdobywcach Jukatanu — Hernandezie de Cordova i Franzisco de Montejos — znajdowano pierwsze wzmianki o tym tajemniczym ludzie. Teraz też stała się dopiero przedmiotem dyskusji książka, która — choć już na cztery lata przedtem ukazała się w Paryżu i podawała te same informacje co książka Stephensa — dotąd nie zwróciła na siebie niczyjej uwagi.

Na pierwszy rzut oka brak zainteresowania tą książką wydaje się bardzo dziwny. Dzieło Stephensa wzbudziło sensację, doczekało się w ciągu krótkiego czasu szeregu wydań, zostało niemal natychmiast przetłumaczone na wiele języków, słowem — było na ustach całego świata. Natomiast wydana w Paryżu w 1838 roku praca Waldecka pod tytułem Romantyczna podróż *archeologiczna po Jukatanie* pozostała prawie nie zauważona i dziś jest niemal całkowicie zapomniana. Niewątpliwie książka Stephensa jest gruntowniejsza, a przy tym tak świetnie napisana, że jeszcze i dzisiaj czyta się ją z przyjemnością. Waldeck nie miał też towarzysza tej miary co Catherwood, którego rysunki obok swej wartości artystycznej odznaczały się taką dokładnością (nawet fotografie wydają się nam blade w zestawieniu z jego kartonami), że jeszcze dzisiaj mają dokumentalną wartość dla archeologii. Wiele bowiem zabytków, które Catherwood zdążył jeszcze uchwycić swym ołówkiem, tymczasem zagarnęła dżungla; wiele innych rozpadło się lub uległo zniszczeniu.

Brak zainteresowania dziełem Waldecka miał jednak przypuszczalnie inną przyczynę. Ukazało się ono w okresie, kiedy Francja była rozentuzjazmowana odkryciem innej zaginionej kultury, odkryciem, które łączyło się z bardzo niedawnym wydarzeniem historii francuskiej. Żyli jeszcze w tych czasach uczestnicy ekspedycji egipskiej Napoleona, opinia publiczna przejęta była wielkim dziełem Champolliona — odcyfrowa-niem hieroglifów. Francja, i nie tylko Francja — cała Europa, a nawet i

Ameryka miały wzrok utkwiony w Egipcie. (Wszak i sam Stephens skierował tam właśnie swe pierwsze kroki). Uwagę tak całkowicie zaabsorbowaną Egiptem odwrócić mógł tylko poważny wstrząs — inne wielkie odkrycie.

Gdy to nastąpiło i Majowie nagle znaleźli się w centrum zainteresowania, nieuchronnie pojawiły się wszelakie fantastyczne teorie, jakie z reguły dotąd zawsze towarzyszyły każdemu nowemu odkryciu. Po ukazaniu się książki Stephensa jedno wszakże było bezsporne: dawni Majowie byli ludem o wysokiej kulturze, którą można było stawiać w jednym szeregu z kulturami Starego Świata (archeolog stwierdzał to już na podstawie odkrytych budowli, natomiast wysokie osiągnięcia Majów w naukach matematycznych poznano dopiero znacznie później).

Nasuwało się przede wszystkim pytanie: skąd wziął się ten lud? Czy faktycznie wywodził się z tego samego indiańskiego pnia, co inne ludy żyjące dalej na północ i na południe, które w rozwoju swym nigdy nie wyszły poza stadium koczownictwa? A jeżeli tak, to dlaczego właśnie Majowie wznieśli się na tak wysoki szczebel rozwoju? Co było ich siłą napędową? I czy było w ogóle możliwe, żeby na kontynencie amerykańskim, całkowicie odciętym od wielkich nurtów kulturowych Starego Świata, mogła powstać zupełnie swoista własna kultura?

Właśnie w związku z tym ostatnim pytaniem pojawiły się pierwsze śmiałe teorie. Kultura Majów, powiadano, w żadnym razie nie mogła powstać w kompletnej izolacji od Starego Świata. Niewątpliwie w zamierzchłych czasach przedhistorycznych jakieś plemiona musiały przywędrować do Ameryki ze starożytnego Wschodu. Jaką drogą? Istnieją przypuszczenia — brzmiała odpowiedź — w okresie dyluwialnym drogą lądową, łączącą oba kontynenty na dalekiej północy! Inni znowu, którym nie bardzo trafiała do przekonania hipoteza, jakoby ludy żyjące w pobliżu równika przywędrowały przez krąg polarny, dopatrywali się w Majach ocalałych resztek ludu legendarnej Atlantydy. Gdy zaś żadna z tych teorii nie zdołała się ostać, nie zabrakło także głosów twierdzących, że Majowie to jedno z plemion Izraela.

I dalej. Czyż niektóre rzeźby w dostępnym odtąd dla całego świata zbiorze rysunków Catherwooda nie były zdumiewająco podobne do postaci bogów hinduskich? Istotnie,

mówiono na to, są do nich podobne, ale piramidy wskazują stanowczo na inne pochodzenie — na Egipt. Z kolei kilku badaczy zwróciło uwagę na zawarte już w wiadomościach z okresu konkwistadorów wyraźne wskazówki, że w mitologii Majów znajdowały się widoczne elementy chrześcijańskie. Znaleziono symbole krzyża, istniały oznaki, że Majowie znali mit o potopie, i wydaje się nawet, że ich bóg Kukulkan spełniał rolę podobną do roli Mesjasza. Wszystko więc przemawiało za tym, że Majowie pochodzą z Ziemi Świętej.

Gdy jeszcze toczono te namiętne dyskusje (które — dodajmy od razu — i dzisiaj, choć prowadzone na poważniejszych podstawach, bynajmniej jeszcze nie są zakończone), ukazała się książka napisana przez człowieka, który nie był archeologiem-podróżnikiem, jak Stephens, lecz uczonym zagłębionym w studiach w czterech ścianach swej pracowni. Co więcej, człowiek ten był prawie niewidomy. Nie wychodząc za próg swej pracowni, samą tylko przenikliwością umysłu przebijał ścieżki przez dżungle, które Stephens wyrąbywał maczetą. Jeżeli Stephens odkrył stare państwo Majów w Hondurasie, Gwatemali i Jukatanie, to uczony ten odkrył po raz wtóry państwo Azteków — państwo Montezumy w Meksyku. Gdy zaś ogłosił swe odkrycie, dopiero na dobre powstało zamieszanie.

William Hickkling Prescott pochodził ze starej purytańskiej rodziny osiadłej w Nowej Anglii. Urodził się 4 maja 1796 roku w Salemie. Od 1811 do 1814 roku studiował prawo na uniwersytecie harvardzkim. W kilka lat później człowiek ten rokujący wówczas wielkie nadzieje jako prawnik, siedział przed niezwykłym przyrządem do pisania, tak zwanym „noktografem", wynalazkiem niejakiego Wedgewooda. Przyrząd ten podobny był do szkolnej tabliczki łupkowej, na której zamiast linii przeprowadzone były poprzeczne mosiężne sztaby. Sztaby te tak pewnie prowadziły rękę, że na tablicy można było pisać z zamkniętymi oczyma (zanurzenie pióra w atramencie było niepotrzebne, gdyż założona pod sztabami kalka przenosiła nacisk ołówka na papier), czyli mógł na niej pisać również człowiek ślepy.

A William Prescott był niemal ślepy. W czasie studiów w 1813 roku wskutek nieszczęśliwego wypadku stracił lewe oko. Późniejsze intensywne studia do tego

stopnia osłabiły również prawe oko, że mimo iż przez dwa lata odwiedzał najznakomitszych europejskich okulistów, nie odzyskał już wzroku. Zmusiło go to do porzucenia zawodu adwokackiego.

Z nieprawdopodobną siłą woli zabrał się wtedy do prac historycznych. Rezultatem ich było, napisane na „noktografie", dzieło *History of the Conquest of Mexico.* Jest to pasjonujący opis podbojów Corteza. Ale książka ta ma jeszcze inne, głębsze znaczenie. Z nadludzką wytrwałością Prescott zebrał w niej najdrobniejsze przyczynki świadków współczesnych konkwistadorom i roztoczył obraz państwa Azteków z okresu podboju i po nim. Gdy w 1843 roku książka ta ukazała się na półkach księgarskich, przed oczyma świata obok dopiero co odkrytej kultury Majów tak samo niespodzianie wyłoniła się nie mniej od niej zagadkowa cywilizacja Azteków.

I cóż się okazało? Okazało się, że niewątpliwie istniały pewne powiązania między Aztekami i Majami. Wiele elementów wspólnych wykazywała na przykład ich religia; również budowle — świątynie i pałace — zdawały się wypływać z tego samego ducha. Inaczej jednak przedstawiały się sprawy, gdy chodzi na przykład o język i wiek tych dwóch ludów. Już na podstawie pierwszych pobieżnych badań można było stwierdzić, że Aztecy i Majowie mówili językami różnego pochodzenia. I podczas gdy kultura aztecka została przez Corteza „zamordowana" najwidoczniej w okresie swego największego rozkwitu, Majowie szczytowy punkt swego kulturalnego i politycznego rozwoju przekroczyli już na wiele stuleci przedtem i w okresie gdy Hiszpanie wylądowali u ich wybrzeży, byli ludem chylącym się już ku upadkowi.

Niemniej jednak stosując nadal metodę, która nie cofa się nawet przed doszukiwaniem się w przedhistorycznej Ameryce potomków Izraela, można byłoby w końcu wyjaśnić występujące tu sprzeczności. Tymczasem sprawę jeszcze bardziej skomplikowały pewne marginesowe uwagi Pre-scotta, stwarzające wokół kultur środkowoamerykańskich szereg nowych zagadek.

W książce swej Prescott na przykład przerywa w pewnym miejscu tok swego opowiadania o straszliwej *noche triste,* kiedy to Cortez uciekał ze swą drużyną z Meksyku. Przerywa je, by przystanąć przed polem ruin, na które, rzecz zrozumiała,

ścigani Hiszpanie nie zwrócili większej uwagi. Na terenie tym wznoszą się piramidy w Teotihuacan, piramida Słońca i piramida Księżyca — budowle tak olbrzymie, że wytrzymujące porównanie z grobowcami faraonów. (Piramida Słońca wznosi się na wysokość sześćdziesięciu metrów, a bok jej kwadratowej podstawy liczy dwieście metrów.)

Olbrzymie świątynie w Teotihuacan położone są w odległości jednego marszu dziennego (dziś jednej godziny jazdy koleją) od Meksyku, czyli leżą w samym centrum dawnego państwa Azteków. Prescott jednak nie ulega sugestii tego położenia geograficznego, lecz idzie dalej tropem zachowanych indiańskich tradycji i twierdzi, że Aztekowie zastali już te ruiny, gdy niegdyś jako zdobywcy wtargnęli do tego kraju. Innymi słowy, twierdzi, że w Ameryce Środkowej przed Aztekami, a także przed Majami działać musiał jakiś inny, znacznie starszy od nich, trzeci lud o rozwiniętej kulturze.

„Jakież refleksje — pisze Prescott w swej książce — nasuwają się podróżnikowi... gdy kroczy po popiołach pokoleń, które wzniosły te olbrzymie budowle przenoszące nas w zamierzchłą przeszłość! Ale przez kogo zostały zbudowane? Czy przez legendarnych Olmeków, których dzieje, podobnie jak dzieje mitycznych Tytanów, gubią się we mgle legend i podań, czy też — jak się na ogół twierdzi — przez pokojowy, trudniący się rękodzielnictwem lud Tolteków, o których dotąd posiadamy tylko wiadomości opierające się na bardzo niepewnych podaniach? I co stało się z ludami, które je zbudowały? Czy pozostały one na tych ziemiach i zmieszały się z dzikimi Aztekami, którzy przyszli po nich?... Czy też pociągnęły dalej na południe znajdując rozległe obszary dla szerzenia swej kultury, na co wskazuje świadczący o wyższym stopniu rozwoju charakter ruin w dalekich okolicach Ameryki Środkowej i Jukatanu?”

Tego rodzaju hipotezy, które wysuwano teraz z różnych stron, a które dla uproszczenia przytaczamy tylko z książki Prescotta, wywołały, rzecz zrozumiała, jeszcze większe zamieszanie. Jeżeli jednak Prescott powiada: „Wszystko to jest tajemnicą, na którą czas zarzucił nieprzeniknioną zasłonę... zasłonę, której nie zdoła

uchylić ręka żadnego śmiertelnika", to jako historyk mimo wszystkiego, co wydobył z mroków przeszłości na światło dzienne, okazuje się tu nazbyt sceptyczny. Również i dzisiaj „ręce śmiertelników" prowadzą nadal wykopaliska. Rozświetliły one już niejedno, co przed stu laty było nieprzeniknioną tajemnicą, i wszystko przemawia za tym, że odsłonią także to, co obecnie jest jeszcze przed nami ukryte.

Rozdział trzydziesty

INTERMEZZO

W okrągło dwadzieścia lat po ukazaniu się książki Prescotta, w 1863 roku, w Bibliotece Królewskiej w Madrycie pewien czytelnik szperając w państwowych archiwach historycznych znalazł któregoś dnia pożółkły, bardzo stary rękopis, nad którym najwidoczniej nikt tu jeszcze nie pracował. Manuskrypt nosił datę 1566 roku i zatytułowany był *Relacion de las cosas de Yucatan.* Tekst uzupełniały bardzo dziwne, na pierwszy rzut oka zupełnie niezrozumiałe szkice. Nazwisko autora brzmiało Diego de Landa.

Każdy inny odłożyłby znów ten rękopis, i niewątpliwie do owej pory wszyscy tak właśnie postępowali. Przypadek jednak chciał, że człowiek, który teraz trzymał go w ręku, był przez dziesięć lat kapelanem poselstwa francuskiego w Meksyku, od 1855 roku proboszczem w indiańskiej wsi Rabinal w okręgu Salama w Gwatemali i gorliwie oddawał się badaniom nad językami Indian i resztkami ich dawnej kultury. (Prócz tego ten duchowny, misjonarz i uczony napisał pod pseudonimem Etienne Charles de Ravensberg cały szereg opowiadań i powieści historycznych, o czym wspominamy tu jedynie dla podkreślenia wszechstronności jego zainteresowań.)

A więc ów Charles Etienne Brasseur de Bourbourg — tak bowiem brzmiało jego prawdziwe nazwisko, żył zaś od 1814 do 1874 roku — trzymał w ręku zżółkła książeczkę Diego de Landy -i nie odłożył jej, lecz uważnie przeczytał, co doprowadziło do niezmiernie ważnego dla badania kultur środkowoamerykańskich odkrycia.

William Prescott był o dziewięć lat starszy od Stephensa, Brasseur de Bourbourg — o dziewięć lat odeń młodszy. I chociaż de Bourbourg dokonał swego ważnego odkrycia dopiero w 1863 roku, dzieło tych trzech ludzi stanowi jedną całość. Stephens odkopał pomniki Majów; Prescott zebrał materiały do historii Azteków i opisał zamknięty w sobie (co prawda tylko ostatni) okres ich dziejów; Brasseur de Bourbourg zaś dał pierwszy, choć jeszcze niewystarczający, bo nie do wszystkich zamków pasujący klucz do zrozumienia licznych dotychczas niezrozumiałych indiańskich ornamentów i hieroglifów. Zanim jednak przejdziemy do objaśnienia doniosłości jego odkrycia, musimy uświadomić sobie sytuację archeologów badających problem dawnych kultur amerykańskich. Znajdowali się oni w zupełnie innym położeniu niż archeologowie badający którąkolwiek z kultur Starego Świata.

Gdy Chińczycy poczynając od trzeciego tysiąclecia przed Chrystusem — po ich wielkim potopie — zaczęli się łączyć w jedno państwo, proces ten przebiegał wzdłuż dwóch wielkich rzek — Huangho i Jangtsekiangu. Hindusi zakładali swe pierwsze osiedla nad Indusem i Gangesem. Gdy Sumerowie wtargnęli do Mezopotamii, wyrosła z ich pierwszych osiedli kultura babilońsko-asyryjska między Eufratem i Tygrysem. Kultura Egipcjan żyła nie tylko nad Nilem, lecz żyła wraz z Nilem. Czym dla tych ludów były rzeki, tym dla starożytnych Greków było niezbyt rozległe Morze Egejskie. Widzimy więc, że wielkie kultury były kulturami dorzeczy. Badacze przywykli nawet uważać obecność wielkiej rzeki za nieodzowną przesłankę powstania kultury. Otóż kultury amerykańskie nie były kulturami dorzeczy, a jednak nie ulega wątpliwości, że doszły do wysokiego stopnia rozwoju i rozkwitu. (Również kultura

Inków na płaskowyżu peruwiańskim nie była kulturą dorzecza. Zajmiemy się nią później, gdyż nie pozostaje ona w bezpośrednim związku z kulturami środkowoamerykańskimi).

Za dalszą przesłankę powstania kultury uważano skłonność i zdolność ludów do rolnictwa, hodowli bydła i oswojenia zwierząt domowych. Otóż Majowie wprawdzie zajmowali się rolnictwem — chociaż w sposób wymagający osobnego omówienia — natomiast hodowla bydła była im zupełnie nie znana. Kultura Majów jest faktycznie jedyną kulturą nie znającą zwierząt domowych i pociągowych, a zatem także koła i wozu.

Ale nie tylko z tych powodów Majowie ukazują się nam jako lud tak bardzo swoisty. Większość ludów, które stworzyły dawne kultury Starego Świata, wymarła, zniknęła bez śladu z powierzchni ziemi. Wraz z nimi umarły także ich języki, które dziś jako „języki martwe" częstokroć poznajemy dopiero poprzez żmudną drogę odszyfrowywania. Majowie natomiast żyją do dziś dnia w liczbie około jednego miliona. Nie zmienili się wcale pod względem konstytucji fizycznej, bardzo mało w materialnym sposobie życia i tylko nieznacznie pod względem odzieży. Badacz spoglądając dziś na swego indiańskiego służącego ma przed sobą taką samą twarz, jaką dopiero co kopiował z jakiejś starej płaskorzeźby. W 1947 roku dwa czasopisma „Life" i „Illustrated London News" zamieściły zdjęcia z pewnych nowych wykopalisk w Ameryce. Na jednej z tych fotografii mężczyzna i dziewczyna z ludu Majów stoją przed dwiema starymi płaskorzeźbami. Odnosi się wrażenie, że to oni służyli za modele. Gdyby zaś te głowy na płaskorzeźbach mogły przemówić, przemówiłyby tym samym językiem, w którym indiański służący z ludu Majów zwraca się do archeologa na przykład o wypłatę wynagrodzenia.

Wydawałoby się, że tego rodzaju stan rzeczy stwarza szczególnie korzystne warunki dla badań naukowych. Tak jednak nie jest. W rzeczywistości bowiem — również w przeciwieństwie do wszystkich kultur Starego Świata — punkty zaczepienia dla badania kultury Majów, chociaż umarła ona nie 2000 lub 3000, lecz zaledwie 450 lat temu — są mniej liczne niż gdziekolwiek indziej.

O Babilonii bowiem i Egipcie, o dawnych ludach Azji, Anatolu i Grecji mamy wiadomości od niepamiętnych czasów. Wiele co prawda zaginęło bezpowrotnie, ale wiele też zachowało się w dokumentach pisanych i ustnej tradycji. Zapewne, kultury te umarły bardzo dawno, ale to, co stworzyły za życia, działało jeszcze po ich śmierci, umierały zaś bardzo długo. Amerykańskie kultury natomiast — jak już powiedzieliśmy — zostały „zamordowane". Za Hiszpanem, który zwyciężał koniem i mieczem, przyszedł ksiądz. Pisma i obrazy, które mogłyby nam tyle powiedzieć, spłonęły na stosach. Don Juan de Zumárraga, pierwszy arcybiskup Meksyku, spalił w gigantycznym auto-da-fé wszystkie pisma, jakie tylko udało się znaleźć. Biskupi i księża poszli za jego przykładem, a wszystko, co jeszcze ocalało, z nie mniejszą gorliwością zniszczyli żołnierze. Gdy w 1848 roku lord Kingsborough zakończył swe dzieło — zbiór ocalałych dokumentów dawnych Azteków — nie zawierało ono ani jednego dokumentu z okresu hiszpańskiego. A co pozostało nam z dokumentów Majów z okresu przed konkwistadorami? Trzy manuskrypty!

Jeden leży w Dreźnie, jeden w Paryżu i dwa, stanowiące jedną całość, w dwóch różnych miejscach w Hiszpanii. Są to trzy tak zwane kodeksy: *Codex Dresdensis* (najstarszy), *Codex Peresianus* i kodeksy *Troano i Cortesianus.*

Nie zapomnijmy na zakończenie zwrócić także uwagę na trudności związane z poszukiwaniami prowadzonymi bezpośrednio na miejscu. Archeolog podejmując wykopaliska w Grecji lub we Włoszech pracuje w cywilizowanym kraju. W Egipcie pracuje w najzdrowszym na tych szerokościach geograficznych klimacie. Człowiek jednak, który w ubiegłym stuleciu decydował się szukać nowych śladów po Majach i Aztekach, pracował w piekielnym klimacie i z dala od wszelkiej cywilizacji.

(Tak na przykład do dziś dnia, tj. do połowy lat sześćdziesiątych, nie istnieje żadna droga lądowa, którą turysta mógłby dotrzeć do Tikäl w Gwatemali, najważniejszego miejsca wykopalisk, gdzie Uniwersytet Pensylwański w ciągu dziorięciu lat pod kierownictwem Williama Coe przeprowadził badania archeologiczne ponad 300, po części gigantycznych, budowli. Natomiast każdy może dziś w godzinę osiągnąć to miejsce samolotem z Gwatemala-City i w przytulnym hoteliku „Jungle Lodge"

mieszkać i jadać na modłę amerykańską.)

Trojakiego rodzaju trudności piętrzyły się przed badaniami archeologicznymi w Ameryce Środkowej. Po pierwsze, zupełnie niezwykłe zagadki wynikające ze swoistości tych kultur; po drugie, niemożność przeprowadzenia jakichkolwiek porównań i wyciągania jakichkolwiek wniosków, na które zezwala jedynie wielka obfitość materiałów, tu zaś poza ruinami nie było prawie żadnych materiałów; po trzecie, przeszkody terenowe, utrudniające wszelkie próby dalszych szybkich poszukiwań.

Czyż można się więc dziwić, że Majowie i Aztekowie po wspaniałych odkryciach Stephensa i Prescotta znowu zostali zapomniani? 2e przez cztery dziesiątki lat tylko kilku badaczy strzegło wiedzy o tych ludach? Że wprawdzie osiągnięto niezliczone drobne wyniki badawcze, lecz że w okresie od 1840 do 1880 roku żaden pojedynczy archeolog nie dokonał ani jednego prawdziwie wielkiego odkrycia? Że nawet „wykopalisko" Brasseur de Bourbourga w madryckich archiwach państwowych wzbudziło tylko zainteresowanie kilku specjalistów?

Książka Diego de Landy, która przez trzysta lat, chociaż dla wszystkich dostępna, nie była przez nikogo spożytkowana, zawierała owe czarodziejskie słowa, którymi można było — przynajmniej po części — dociec znaczenia i sensu niewielu dokumentów i zabytków materialnych z okresu dawnych Majów. Za mało było jednak tych dokumentów, za mało kamieni, płaskorzeźb i rzeźb, aby móc zastosować te czarodziejskie słowa i na podstawie skrupulatnych porównań sprawdzić ich skuteczność.

Rozdział trzydziesty pierwszy

TAJEMNICA OPUSZCZONYCH MIAST

Jeżeli od miasta Chichen-Itzä na północy Jukatanu przeprowadzić linię do Copanu (Honduras) na południu, a od miast Tikal i Ixkun (Gwatemala) na wschodzie, poprzez Gwatemalę-miasto do Palenque (Chiapas) na zachodzie, to wyznaczone tym będą punkty graniczne obszaru dawnej kultury Majów. Jednocześnie zaś zakreślimy obszar, po którym w latach 1881 do 1894, czyli okrągło licząc czterdzieści lat po Stephensie, angielski badacz Alfred Perdval Maudslay prowadził poszukiwania.

Maudslay zrobił więcej niż Stephens. Dokonał rzeczy, które stały się niezbędne, jeżeli badania nad kulturą Majów nie miały nadal leżeć odłogiem. Z siedmiu wypraw w głąb dżungli przywiózł na wybrzeże nie tylko własne opisy i obrazy, lecz również oryginalne zabytki, starannie zdjęte odciski oraz gipsowe odlewy płaskorzeźb i inskrypcji.

Zbiory jego przewieziono do Anglii. Umieszczone najpierw w Muzeum Wiktorii i Alberta, znalazły się w końcu w Muzeum Brytyjskim. Dzięki udostępnieniu tej tak zwanej „kolekcji Maudslaya" badacze mogli teraz na podstawie oryginalnego materiału podjąć badania nad wiekiem i pochodzeniem zabytków.

I tu znowu dochodzimy do Diego de Landy. Ten drugi od czasu podboju arcybiskup Jukatanu był widać człowiekiem, w którym fanatyzm kapłana nie dawał się pogodzić z zamiłowaniem do nowoczesnej, dążącej do poznania nauki. Można tylko ubolewać, że w tej walce dwóch dusz w jednym ciele zwycięstwo w końcu odniósł fanatyzm. Diego de Landa był bowiem jednym z owych biskupów, którzy kazali pozbierać wszystkie dające się odnaleźć dokumenty Majów i spalić na stosie jako dzieło szatana. Tyle tylko, że ta druga żyjąca w nim dusza skłoniła go do tego, aby jednemu z ocalałych książąt ludu Majów wyznaczyć rolę podobną do roli Szeherezady. Okazało się jednak, że indiański książę tym się różnił od Szeherezady, iż opowiadać umiał nie same tylko bajki. Wynik tego był taki, że Diego de Landa napisał nie tylko historię o życiu i zwyczajach Majów, o ich bogach i wojnach, lecz do zapisków swoich dołączył także szkice, z których można było zorientować się w znakach, jakimi Majowie

wyrażali swe miesiące i dni.

W tym miejscu każdy powie: Może to nawet jest ciekawe, ale dlaczego właśnie tym wiadomościom miano by przypisywać jakieś wyjątkowe znaczenie?

A jednak miały one szczególne znaczenie. Dzięki tym szkicom pomniki Majów, które dotąd wskutek swej budzącej grozę ornamentyki wydawały się jedynie niesamowite, teraz nabrały nagle życia. Z rysunkami Diego de Landy w ręku, uzbrojony w zdobytą wkrótce potem znajomość stosowanej przez Majów pisowni liczb, badacz zobaczył w świątyniach i schodach, w kolumnach i fryzach rzeczy dotąd ukryte.

Okazało się bowiem, że w sztuce Majów, w wyrzeźbionych w kamieniu i kamiennymi narzędziami pomnikach, nagromadzonych w dżungli mimo braku zwierząt pociągowych i wozów, nie było ani jednego ornamentu, ani jednej płaskorzeźby, ani jednego fresku z wizerunkami zwierząt, ani jednej rzeźby, która by nie pozostawała w bezpośrednim związku z jakąś datą! Każda budowla Majów była zakutym w kamieniu kalendarzem. Żaden układ nie był przypadkowy, wszędzie estetyka była podporządkowana matematyce.

Jeżeli dotąd dziwiono się bezsensownemu pozornie powtarzaniu się lub nagłemu urywaniu się poczwarnych kamiennych twarzy, to teraz dowiedziano się, że wyrażało to jakąś liczbę, jakieś szczególne odchylenie kalendarza. Jeżeli na pokrytych hieroglifami schodach w Copanie ornament na balustradzie powtarzał się pięćdziesiąt razy, to okazało się, że wyrażało to ilość minionych okresów przestępnych. Jeżeli same schody liczyły siedemdziesiąt pięć stopni, podawało to ilość minionych w tychże okresach dni przestępnych (piętnaście razy pięć). Drugiej takiej kultury i sztuki, całkowicie podporządkowanej kalendarzowi, nie było na świecie. Gdy zaś badania nad tym kalendarzem — a niektórzy badacze poświęcili im całe swe życie! — coraz głębiej przenikały w jego tajemnice, w tej zaprawdę bogatej już w niespodzianki kulturze pojawiła się jeszcze jedna nowa niespodzianka:

Okazało się, że kalendarz Majów był najlepszym kalendarzem na świecie!

Zbudowany inaczej niż wszystkie znane nam kalendarze, był mimo to od nich dokładniejszy. Nie wchodząc we wszystkie jego finezje (zresztą do dziś dnia

bynajmniej jeszcze nie wyjaśnione), budowę jego przedstawić można następująco. Przede wszystkim operował on serią dwudziestu znaków dni, które w połączeniu z liczbami 1 do 13 dawały cykl 260 dni, tak zwany *tzolkin* (po aztecku — *tonalamatl).* Po drugie, operował serią osiemnastu znaków miesięcy, z których każdy przedstawiał okres dwudziestu dni i uzupełniony był dodatkowym znakiem obejmującym okres pięciu dni. Łącznie był to rok Majów — tak zwany *haab* — liczący 365 dni. Ponadto rachowano także okresem stanowiącym kombinację tzolki-nu i haabu, a określanym obecnie przyjętą w świecie naukowym angielską nazwą *calendar round.* Okres ten obejmował 18 980 dni, czyli 52 lata po 365 dni; był on, jak się o tym jeszcze przekonamy, szczególnie ważny dla całego życia Majów. Wreszcie rachowano jeszcze tak zwanym *long count,* systemem pozostającym w związku z pewną datą wyjściową. Ta data wyjściowa, „4 ahau, 8 cumbu", w funkcji swej — jeżeli chcemy zaryzykować ostrożne porównanie — odpowiadała naszej dacie narodzin Chrystusa, oczywiście, tylko w swej funkcji, a nie gdy chodzi o datę jako taką.

Stosując ten system rachuby czasu (tak rozwinięty i zawiły, że dokładny jego opis wypełniłby osobną książkę) stworzyli Majowie kalendarz przewyższający swą dokładnością wszystkie inne kalendarze świata. Niesłusznie uważamy nasz obecnie używany kalendarz za najlepszy. Stanowi on tylko ulepszenie w stosunku do swych poprzedników.

W 239 roku przed Chr. Ptolemeusz III udoskonalił staroegipską rachubę czasu. Juliusz Cezar przyjąwszy to rozwiązanie oparł na nim kalendarz juliański, który utrzymał się do 1582 roku naszej ery, kiedy to papież Grzegorz XIII zastąpił go kalendarzem gregoriańskim. Jeżeli zestawić długość roku we wszystkich tych kalendarzach z absolutną, astronomicznie obliczoną długością roku, to widzimy, że żaden z nich nie jest tak bliski wartości absolutnej, jak kalendarz Majów.

Długość roku wynosi:

według kalendarza juliańskiego..... 365,250 000 dnia

według kalendarza gregoriańskiego..... 365,242 500 dnia

według kalendarza Majów..... 365,242 129 dnia

według obliczeń astronomicznych..... 365,242 198 dnia

Lud Majów, który okazał się zdolny do najściślejszej obserwacji ruchów ciał niebieskich i umiał połączyć ją z najbardziej zawiłymi sztukami matematycznymi, czyli dał znakomity dowód racjonalistycznego myślenia, jednocześnie całkowicie ulegał najgorszego rodzaju mistycyzmowi. Stworzywszy najlepszy kalendarz świata stał się jednocześnie niewolnikiem tego kalendarza.

Trzecie już pokolenie specjalistów pracuje nad wyjaśnieniem kalendarza Majów. Prace te rozpoczęły się od objaśnień de Landy, osiągnęły swe pierwsze sukcesy podczas opracowywania kolekcji Maudslaya i trwają do dziś dnia. Z sukcesem-osiągniętym na tym polu, jak również w dziedzinie odcyfrowania pisma ideograficznego Majów, łączą się nazwiska takich uczonych, jak E. W. Förstemann (germanista z wykształcenia, pierwszy skomentował *Codex Dresdensis),* Eduard Seler (w swych *Gesammelte Abhandlungen zur amerikanischen Sprach- und Altertumskunde* były nauczyciel, a potem kierownik berlińskiego muzeum etnograficznego zebrał bodaj że najbogatszy po Maudslayu materiał o Majach i o Aztekach), Thompson, Goodman, Boas, Preuss, Ricketson, Walter, Lehmann, Bowditch i Morley. Każde jednak podkreślenie jakiegokolwiek nazwiska jest niesprawiedliwością wobec legionu innych badaczy, którzy bądź w dżungli badali i kopiowali zabytki, bądź w swych pracowniach doszli do większych lub mniejszych wyników naukowych. Dorobek nauki o kulturach amerykańskich jest wspólnym dorobkiem wielu uczonych. Wspólnie też wstąpili badacze na najtrudniejszy odcinek drogi — odcinek prowadzący od kalendarza do chronologii historycznej.

Zgłębienie bowiem tajemnic kalendarza Majów nie mogło być celem samym w sobie. Poczwarne twarze znaków, wyrażających liczby, miesiące, dni i okresy, widniały na fasadach, na balustradach, kolumnach i freskach świątyń i pałaców. Każda budowla miała wypisaną na czole swą datę urodzenia. Obecnie chodziło o to, aby dzieła te ugrupować pod kątem widzenia przynależności do poszczególnych okresów, uporządkować te grupy chronologicznie i po wpływach jednej grupy na drugą rozpoznać

przemianę stylów, słowem — zobaczyć historię.

Ale jaką historię?

Oczywiście historię Majów! — odpowie każdy. — Przecież to jasne! A jednak pytanie nasze nie jest pytaniem tylko scholastycznym. Wszystkie bowiem zdobyte dotąd wiadomości miały ten mankament, że badacz widział tylko historię Majów, ściślej — tylko daty Majów bez żadnego związku z naszą własną rachubą czasu.

I znowu badacze stanęli przed tak zawiłym problemem, jakiego nigdy jeszcze nie postawiły przed nimi dzieje Starego Świata. Spróbujmy dla lepszego zrozumienia sprawy skonstruować przykład z nowszej historii europejskiej. Przypuśćmy, że Anglia w przebiegu swych dziejów nie miała żadnej styczności z kontynentem europejskim, że posiadała własną rachubę czasu, której punktem wyjścia nie była data narodzin Chrystusa, lecz jakaś zupełnie inna, nie znana nam data, i że jej historia zotała spisana według tej „angielskiej ery". I oto przychodzą historycy z kontynentu. Widzą jasno względną relację historyczną od czasów Ryszarda Lwie Serce aż do czasów królowej Wiktorii, lecz nie znając punktu wyjścia rachuby czasu, nie mogą powiedzieć, czy Ryszard Lwie Serce żył współcześnie z Karolem Wielkim, Ludwikiem XIV czy Bismarckiem.

W identycznej sytuacji znaleźli się badacze wobec pomników odnalezionych w dżungli. Doszli wprawdzie bardzo rychło do tego, że mogli powiedzieć, o ile lat starsze były na przykład budowle Copanu od budowli w Quiriguä, lecz nie mogli snuć najbardziej nawet luźnych domysłów, w którym wieku ery europejskiej oba te miasta zostały zbudowane.

Najbliższe zadanie musiało więc, rzecz prosta, polegać na ustaleniu korelacji między chronologią Majów a naszą własną chronologią. Gdy jednak cel ten w najistotniejszej części osiągnięto, wówczas w związku z coraz dokładniejszymi pojedynczymi datowaniami wyłonił się nowy problem, jeden z najbardziej zagadkowych problemów w historii wielkich ludów — tajemnica opuszczonych miast.

Próba objaśnienia metody, według której zdołano w końcu w sposób jako tako zadowalający ustalić korelację między obydwiema chronologiami, przekraczałaby ramy tej książki i zakłóciłaby tok naszego opowiadania.

Nie możemy jednak pominąć pewnego odkrycia, które zresztą jeszcze bardziej utrudniło tę i tak już trudną metodę korelacyjną. Zasługuje ono na uwagę, gdyż wprowadza nas bezpośrednio w najpóźniejszy okres historii Majów, a tym samym drogą okrężną wiedzie znowu do tajemnicy umarłych miast.

W różnych miejscach Jukatanu znaleziono w ubiegłym stuleciu tak zwane Księgi Chilam Bałam. Były to kroniki spisane w okresie pokonkwi-stadorskim, barwne, pełne epizodów politycznych i wartościowe przez to, że przynajmniej po części oparte na oryginalnych dokumentach Majów.

Najważniejszy rękopis znaleziono w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia w Chumayel. Przekazano go biskupowi i historykowi Crescencio Carillo y Ancona. Uniwersytet filadelfijski opublikował później fotografię tego dokumentu. Po śmierci biskupa manuskrypt wylądował w bibliotece Cepeda w mieście Merida, skąd w 1916 roku zaginął bez śladu w tajemniczych okolicznościach. Książka ta zresztą — przechowała się jej fotografia — stanowi prawdziwe kuriozum. Pisana jest w języku Majów, lecz pod wpływem hiszpańskim literami łacińskimi. Kapłani Majów jednak nie uwzględniali ani łacińskiego dzielenia słów, ani interpunkcji: niektóre słowa są zupełnie dowolnie rozbite, inne znów, bez właściwego początku i właściwego końca, połączone w nowe słowa monstrualnej długości. Niektóre dźwięki języka Majów, nie istniejące w języku hiszpańskim, wyrażone są przez łączenie liter łacińskich w nie znane nam wartości dźwiękowe. Zbyteczne dodawać, że odcyfrowanie tego dokumentu, którego tekst poza tym pełen jest mglistych proroctw, było bardzo trudne.

Odkrycie to, chociaż przy powszechnym braku materiału ze wszech miar cenne, zadało badaczom wiele trudnych łamigłówek. Księgi Chilam Bałam operowały bowiem rachubą czasu nie znaną jeszcze w Starym Państwie Majów, mianowicie tak zwanym *katun count.* Chociaż dość rychło okazało się, że chodziło tu tylko o uproszczony *long count,* to jednak należało teraz z kolei ustalić korelację nie tylko

między rachubą czasu według *long count* a erą chrześcijańską, lecz także między tymi dwiema rachubami a rachubą *katun count.*

Było to nad wyraz trudne dodatkowe zadanie, za które jednak badaczy czekała także dodatkowa nagroda. Im bardziej bowiem zbliżano się do rozwiązania, tym więcej uzyskiwano wiadomości o ostatnim okresie historii Majów, który nie tylko nabierał życia, lecz przede wszystkim dawał się uchwycić określonymi datowaniami. O ile dotąd wszystko, co wiedzieliśmy o dawnym ludzie Majów, było obce i dalekie, zakrzepłe jedynie w architekturze, o tyle przynajmniej ten ostatni okres ich dziejów upodobnił się do historii wszystkich innych znanych nam ludów, wypełnił się taką samą jak tamta treścią, napadami, wojnami, zdradą i rewolucją, słowem — stał się ludzki.

Słyszymy tu o rodach dynastycznych Xiu i Itzä walczących o władzę; o świetności metropolii Chichen-Itzä, o jej wspaniałych budowlach, które pod względem wielkości i stylu, jeżeli je porównać ze starymi miastami na południu Jukatanu, zdradzają jakiś dziwny, obcy wpływ; o mieście Uxmäl, które w swej monumentalnej prostocie działa niby renesans Starego Państwa; o Mayapanie, w którym występują obydwa style. Dowiadujemy się o związku miast utworzonym przez miasta Mayapän, Chichen-Itza i Uxmal. Potem jednak zdrada rozbija tę federację. Wojsko Chichen-Itzä zbiera się przeciw Mayapanowi. Lecz Hunac Ceel, władca stolicy związkowej, przy pomocy tolteckich najemników zdobywa miasto Chichen-Itzä; jego władcy zostają uprowadzeni na dwór Mayapanu jako zakładnicy, potem zaś osadzeni jako wicekrólowie. Lecz siła napędowa tego związku miast zanikła. W 1441 roku wybucha powstanie uciśnionych miast, na którego czele staje dynastia Xiu z Uxmalu. Mayapän zostaje zdobyty. Wraz z nim pada nie tylko liga miast, lecz i samo państwo Majów. Miastu, które zakłada jeszcze dynastia Xiu, nadana zostaje nazwa Mani, co zdaniem niektórych badaczy oznacza: „Przeminęło.” Gdy przybywają Hiszpanie, staje się ono dla nich łatwiejszym łupem niż Meksyk dla Corteza.

Ten wgląd w datowaną historię Nowego Państwa obfitował pod niejednym względem w emocjonujące momenty. Aby nie wzbudzić fałszywego wyobrażenia o przebiegu

tych badań, musimy przed omówieniem najbardziej bodaj zagadkowego okresu historii Majów stwierdzić raz jeszcze: wyniki badań nie zawsze łączyły się ze sobą w tej logicznej kolejności, w jakiej staramy się je tu przedstawić, nie zawsze po tezie następowała antyteza i synteza. Przeciwnie, aby dojść do poszukiwanego wyniku, badacz mozolący się nad Księgami Chilam Bałam korzystał zarówno z tego, co jeden z jego kolegów po fachu osiągnął trzydzieści lat przedtem w pracach wykopaliskowych, jak i z tego, co inny przed dziesięciu laty wyświetlił jako lingwista, a trzeci dopiero co odkrył posunąwszy się o krok dalej w odcyfrowaniu kalendarza. Zdobywanie wiadomości o tej zaginionej kulturze nigdy, z wyjątkiem naszych już dni, nie następowało za jednym zamachem, lecz obraz stopniowo stawał się coraz pełniejszy.

Pewnego dnia wypełnił się też obraz jedynego w swoim rodzaju wydarzenia historycznego, które do dziś dnia nie znalazło jeszcze wyjaśnienia zasługującego na ogólne uznanie.

Użyliśmy dopiero co słów „Nowe" i „Stare Państwo". Wybiegliśmy tym naprzód. Skoro jednak słyszeliśmy już coś niecoś o miastach Mayapän, Chichen-Itza i Uxmäl (że wymienimy tylko te najważniejsze miasta Nowego Państwa), więc spróbujmy przeprowadzić mały „wywiad" z ludźmi zajmującymi się chronologią Majów.

Pytanie: Dlaczego te miasta na północy Jukatanu nazywacie panowie Nowym Państwem?

Odpowiedź: Ponieważ zostały one założone bardzo późno, gdzieś między VII a X wiekiem po Chrystusie, i ponieważ to Nowe Państwo w swych charakterystycznych przejawach, tak w architekturze i sztukach plastycznych, jak w systemie kalendarzowym, różni się wyraźnie od Starego Państwa.

Pytanie: Co w danym wypadku oznacza określenie „nowo założone państwo"? Normalnie nowa forma jakiegoś państwa wyrasta z jego starej formy.

Odpowiedź: Tutaj ten normalny porządek nie zachodzi, gdyż Nowe Państwo zostało faktycznie na nowo założone na dziewiczym terenie dżungli. Innymi słowy, położono kamień węgielny pod zupełnie nowe miasta. Stare Państwo znajdowało się nie w

północnej, lecz w południowej części półwyspu Jukatan, na terytorium dzisiejszego Hondurasu, Gwatemali, Chiapas i Tabasco.

Pytanie: A więc Nowe Państwo uważać należy za założoną przez pionierów kolonię Starego Państwa?

Odpowiedź: Nie, właśnie o to chodzi, że założone ono zostało nie przez pionierów, lecz przez cały lud Majów.

Pytanie: Czy chcecie panowie przez to powiedzieć, że pewnego dnia cały lud Majów opuścił swe dobrze ugruntowane państwo, swe solidne miasta, aby na północy, narażony na wszelkie niepewności dziewiczego terenu, zbudować nowe państwo?

Tym razem nasi badacze odpowiadają z uśmiechem: Tak jest, właśnie to chcemy powiedzieć. Sami wiemy, że brzmi to zupełnie nieprawdopodobnie, niemniej jednak tak było.

I tu uczeni przedstawiają nam szereg dat. Mówiliśmy już o tym, jak ten lud, który stworzył najlepszy na świecie kalendarz, stał się jego niewolnikiem. Majowie wznosili swe wielkie budowle nie wtedy, gdy były im one potrzebne, lecz gdy im to nakazywał kalendarz. Inaczej mówiąc, w odstępach pięciu, dziesięciu lub dwudziestu lat stawiali jakąś budowlę i zaopatrywali ją w datę powstania. Niekiedy, gdy jakąś nowa interpolacja kalendarzowa wymagała uwiecznienia, obudowywali którąś z istniejących już piramid murami nowej piramidy. Czynili to przez setki lat z absolutną regularnością, jak świadczą o tym wyryte daty. Fakt, że w pewnym momencie regularność ta nagle się urwała, spowodować mogła tylko jakaś katastrofa lub — gremialna emigracja.

Jeżeli zatem widzimy, że w pewnym określonym roku działalność budowlana w jednym mieście się urywa, a mniej więcej w tym samym czasie w innym mieście dopiero się rozpoczyna, można z tego wyciągnąć jeden tylko wniosek: ludność nagle opuściła pierwsze miasto i założyła to drugie, nowe.

Gdyby chodziło tu o jakieś zjawisko lokalne — choć i ono nasuwałoby wiele zagadek — można by je jeszcze jakoś wytłumaczyć. To jednak, co rozegrało się w państwie Majów poczynając od 610 roku po Chr., przekracza wszelkie wyobrażenie i w ogóle

wytłumaczyć się nie daje.

Oto cały lud, mieszkający przeważnie w miastach, nagle opuszcza swe domy, ulice i place, świątynie i pałace i wywędrowuje na obszary dalekiej, dzikiej północy. Z tej wędrówki nikt już nie powrócił. Miasta opustoszały, dżungla wdarła się w ulice, schody i progi zarosły zielskiem i chwastem, nasiona leśne usadowiły się w szczelinach, które wiatr wypełnił okruchami naniesionej ziemi, gęstwina pnączy oplotła i rozluzo-wała mury. Nigdy stopa ludzka nie postała już na dziedzińcach pałaców ani na schodach wiodących ku szczytowi piramidy.

Aby zrozumieć, jak monstrualne, jak zupełnie niepojęte jest to wydarzenie, spróbujmy wyobrazić sobie, że na przykład Francuzi, naród a tysiącletniej historii, nagle zwartą masą wyruszają do Maroka, aby tam na wybrzeżu założyć „nową Francję". Że opuszczają swe katedry i wielkie miasta. Że wszyscy ludzie z Marsylii, Tuluzy i Bordeaux, z Lyonu, Nantes, i Paryża nagle emigrują. Ale nie dość na tym — ledwo przybywszy do Maroka zaczynają natychmiast budować dokładnie to samo, co dopiero opuścili — takie same katedry, takie same miasta.

Tego rodzaju wydarzenie, które byłoby zupełnie niezrozumiałe u Francuzów, jest tak samo niezrozumiałe u Majów.

Skoro tylko badacze wpadli na jego trop, posypały się zewsząd najróżniejsze teorie usiłujące je wytłumaczyć. Najbardziej naturalna wydawała się hipoteza, że Majowie zostali wypędzeni ze swego kraju przez obcych najeźdźców. Ale jacyż to mogli być najeźdźcy? Majowie stali wówczas u szczytu swego rozwoju i nie było w sąsiedztwie innego ludu, który by nawet w przybliżeniu mógł się mierzyć z ich potęgą militarną. Zresztą ta interpretacja już z innych względów nie wchodziła w rachubę: w opuszczonych miastach nie było żadnego śladu obcego najazdu.

Więc może przyczyną tej emigracji stał się jakiś żywiołowy kataklizm? Tu jednak znowu musimy zapytać: gdzie są ślady tego kataklizmu? I jakaż katastrofa mogła skłonić lud do tego, aby zbudował sobie nowe państwo na innym obszarze, zamiast po ucieczce powrócić znowu do swych siedzib?

A może wybuchła jakaś straszliwa zaraza? Nie ma żadnych oznak, które by

wskazywały na to, że Majowie udający się na tę wielką wędrówkę byli zdziesiątkowani przez jakąś epidemię (a chyba tylko w takiej sytuacji ludy decydują się na zbiorową emigrację). Przeciwnie, lud, który zbudował nowe miasta, takie jak Chichen-Itza, był silny.

A więc może zmienił się klimat, uniemożliwiając Majom dalsze pozostawanie w dawnych siedzibach? Otóż odległość między centrum Starego i Nowego Państwa wynosi w linii powietrznej czterysta kilometrów. Wydaje się mało prawdopodobne, żeby zmiana klimatu (na którą zresztą nic nie wskazuje), będąca przyczyną aż tak radykalnego przewrotu w życiu całego państwa, nie objęła także obszaru położonego w nieznacznej odległości.

Jakież pozostawały jeszcze inne możliwości wytłumaczenia tej zagadkowej emigracji?

Wydaje się, że w ostatnich dziesiątkach lat znaleziono właściwe jej wytłumaczenie, w każdym razie bardziej przekonywające od wszystkich innych. Coraz więcej badaczy skłania się też ku tej teorii, której autorem i najgorliwszym obrońcą był amerykański profesor Sylvanus Gris-wold Morley. Aby uzasadnić to wytłumaczenie, musimy rzucić okiem na historię i strukturę społeczną państwa Majów. W nagrodę za to poznamy jeszcze jedną osobliwość tego dziwnego państwa: okaże się, że wśród wszystkich wysoko rozwiniętych kultur świata kultura Majów była jedyną kulturą, która nie znała pługa.

Powiedzmy z góry, że dla większej przejrzystości — a także i dlatego, że już same daty narzucały tego rodzaju podziały — historię tak zwanego „Starego Państwa" zwykło się dzielić na trzy okresy.

STARE PAŃSTWO

Stare Państwo według ustalonej przez S. G. Morleya korelacji między datami jego budowli a datami ery chrześcijańskiej trwało od czasów nie objętych datowaniami aż

do 610 roku po Chr.

Okres najstarszy trwał od czasów nie datowanych do 374 roku naszej ery. W tym okresie najstarszym miastem było zdaje się Uaxactün (dotąd przynajmniej nie znaleziono miast starszych) położone na północnej granicy dzisiejszej Gwatemali. Później niedaleko od Uaxactün powstały miasta Tikal i Naranjo. W tym czasie jednak na terytorium dzisiejszego Hondurasu założone zostało miasto Copan, potem zaś dzisiejsze Piedras Negras nad rzeką Rio Usumacinta.

Okres średni trwał od 374 do 472 roku naszej ery. W ciągu tych okrągło stu lat założone zostały miasta: Palenque (położone na granicy Chiapas i Tabasco, powstało ono na przełomie najstarszego i średniego okresu; często zalicza się je jeszcze do okresu najstarszego), następnie Menchć (w Chiapas) i wreszcie Quiriguä (w dzisiejszej Gwatemali).

Wielki okres trwał od 472 do 610 roku. Powstały miasta Seibal, Ixkün oraz dzisiejsze Flores i Benque Viejo. Okres ten kończy się emigracją Majów.

Teraz czytelnik, którego zainteresowały dzieje Majów, dobrze zrobi, jeżeli przyjrzy się zamieszczonej na końcu książki mapie (a także tablicy chronologicznej). Znowu bowiem spotykamy się z rzeczą godną uwagi.
Jeżeli przyjrzymy się obszarowi geograficznemu, na którym rozmieszczone były te miasta Starego Państwa, to zauważymy, że ma on kształt trójkąta, którego kąty tworzą miasta Uaxactün, Palenque i Copän. Dalej zauważymy, że jeszcze na ramionach albo już wewnątrz tego trójkąta położone są miasta Tikäl, Naranjo i Piedras Negras. Wreszcie zaś stwierdzimy, że (z wyjątkiem jednego tylko miasta Benque Viejo) wszystkie miasta, które zostały założone najpóźniej i trwały najkrócej, a mianowicie Seibäl, Ixkün i Flores, leżą wewnątrz tego trójkąta.
Mamy tu więc do czynienia z jednym z najbardziej zdumiewających zjawisk, jakie

kiedykolwiek zdarzyły się w historii:

Majowie byli chyba jedynym ludem na świecie, który państwo swe rozwijał od peryferii do środka.

A więc: imperializm z ekspansją ku własnemu centrum! Organizm rosnący od kończyn w kierunku serca. Mówimy „rosnący", bo państwo to rzeczywiście rosło i „rozszerzało się". Nie kurczyło się, ściskane przez jakąś obcą potęgę (w regionach tych nie było innej potęgi poza Majami), lecz rozwijało się bez żadnego wpływu z zewnątrz w kierunku przeczącym wszelkiej logice i wszelkim doświadczeniom historycznym.

Nie będziemy się tu powoływać na przykłady Chińczyków (z ich Wielkim Murem) ani przytaczać mętnego uzasadnienia psychologicznego, jakoby jakiś lud ogarnięty dekadencką pychą nie chciał rozwijać się na zewnątrz. Przyznajmy po prostu, że brak dotychczas wszelkiego wytłumaczenia dla tego zdumiewającego szczegółu w historii Majów. Ponieważ zaś rzadko się zdarzało, żeby jakiś problem historyczny wcześniej czy później nie doczekał się rozwiązania, więc może w tym wypadku potrafi je znaleźć któryś z naszych czytelników? Nie jest to pytanie retoryczne ani podyktowane tylko kurtuazją. Faktem jest, że sama nauka archeologiczna tego problemu nie rozwiąże. Wszystkie jej dotychczasowe dociekania nie doprowadziły do żadnego wyniku.

Sama tylko archeologia nie zdołała także rozwiązać zagadki, dlaczego Majowie, znajdując się u szczytu swego rozwoju, nagle opuścili swe miasta, które doszły wtedy do pełni rozkwitu i potęgi, i wywędrowali na niegościnne obszary północy.

Jak już powiedzieliśmy, Majowie byli ludem mieszkającym przeważnie w miastach. Byli nim w tym samym ograniczonym sensie, w jakim od pięciuset lat mieszkańcami miast były wszystkie ludy europejskie. Klasy panujące (szlachta i duchowieństwo) siedziały po miastach; wszelka władza, ale i wszelka kultura, życie duchowe i wykwintne zwyczaje promieniowały z miast. Wszystkie te miasta nie byłyby jednak

zdolne do życia bez chłopów, bez ziemiopłodów, przede wszystkim bez tego jednego, głównego płodu ziemi, którym u nas było zboże, a u ludów środkowoamerykańskich również zboże, ale „indiańskie zboże", przez nas nazywane także „turecką pszenicą", słowem — kukurydza.

Kukurydza żywiła miasta i klasy panujące. Na kukurydzy wyrosła i nią żyła kultura Majów. Kukurydza też stworzyła dla nich pierwszą przestrzeń życiową, gdyż miasta ich wznosiły się na wypalonych połaciach dżungli, na ziemi, która przedtem rodziła kukurydzę.

Ale struktura społeczna Majów wykazuje ostrzejsze przeciwieństwa niż jakakolwiek inna znana nam kultura. Charakter jej występuje już wyraźnie, gdy porównujemy jakiekolwiek nowoczesne miasto europejskie z którymkolwiek miastem Majów. Nowoczesne miasto jest tworem, którego zewnętrzny obraz wprawdzie unaocznia społeczne przeciwieństwa jego mieszkańców, lecz zarazem wykazuje mnóstwo szczebli pośrednich, a przez to i wiele połączeń i pomostów wiodących od warstwy do warstwy. Natomiast miasta Majów wykazywały te przeciwieństwa społeczne bez żadnych obsłonek. Świątynie i pałace duchowieństwa i arystokracji wznosiły się przeważnie na jakimś wzgórzu tworząc zamknięty w sobie, odosobniony obszar nieomal o charakterze fortecy (tę rolę fortecy prawdopodobnie też niejednokrotnie odgrywały). Dokoła tej kamiennej *city,* bez żadnego szczebla pośredniego, stały szałasy i lepianki prostego ludu. Lud Majów dzielił się na znikomą garstkę warstwy panującej i na przytłaczającą masę uciśnionych.

Przepaść między obydwiema klasami była, na nasze pojęcia, nieprawdopodobnie wielka. Majowie w ogóle nie posiadali pośredniej klasy mieszczańskiej. Arystokracja stanowiła ściśle zamkniętą w sobie klasę, zwaną *almehenoob,* co oznacza: „Ci, którzy mają ojców i matki", czyli prowadzą swoje tablice genealogiczne. Z tej klasy wywodzili się także kapłani, jak również dziedziczny monarcha *Mach uinic* — „prawdziwy mąż". Na szlachtę, na tych, co „posiadali ojców i matki", pracował cały lud. Jedną trzecią zbiorów chłopi oddawać musieli szlachcie, jedną trzecią kapłanom, a tylko jedną trzecią mogli zatrzymać dla siebie. (Wiemy, że w ustroju feudalnym w

Europie oddawanie „dziesięciny" stało się nieznośną pańszczyzną i prowadziło do rewolucji.) W okresie między siewem a zbiorami chłop musiał wspólnie z niewolnikami pracować przy budowach. Bez zwierząt pociągowych i wozów przenoszono ogromne bloki kamienne: bez żelaza, miedzi i brązu, li tylko narzędziami kamiennymi wykuwano wspaniałe rzeźby i płaskorzeźby. Praca dokonywana przez tych robotników nie tylko dorównuje pracy egipskich robotników, którzy budowali piramidy, lecz prawdopodobnie nawet ją przewyższa.

Tak brutalny ustrój społeczny (który w ciągu tysiąca lat nie uległ, zdaje się, żadnemu złagodzeniu) krył w sobie zarodek upadku. Wysoka kultura i nauka kapłanów siłą rzeczy stawała się coraz bardziej ezoteryczna. Nie zasilał jej dopływ świeżych sił od dołu. Nie było wzajemnej wymiany doświadczeń. Bystry umysł uczonych coraz bardziej zasklepiał się w nauce o gwiazdach, zaniedbywał natomiast sprawy rolnictwa, z którego na dalszą metę wyłącznie czerpał swe siły, nie myślał o wynalezieniu środków zaradczych, aby zapobiec grożącej katastrofie. Tylko tą nieprawdopodobną wyniosłością duchową warstwy oświeconej daje się wytłumaczyć fakt, że lud, który miał takie osiągnięcia na polu nauki i sztuki, nie zdołał wynaleźć jednego z najważniejszych, a przy tym i najprostszych narzędzi: pługa.

W toku całej swej historii Majowie stosowali sposób uprawy przedstawiający szczyt prymitywizmu. Uprawa roli oparta była na „siewie gniazdowym". Odbywała się ona w ten sposób, że w jakimś pasie dżungli ścinano wszystkie drzewa, które potem, gdy już wyschły, krótko przed nastaniem pory deszczowej palono. Krótko po porze deszczowej drążono długimi ostrymi palami otwory w ziemi i do każdego dołka wsypywano kilka ziaren siewnych kukurydzy. Po zebraniu plonów z tego pola chłop przechodził do następnego odcinka lasu; ponieważ nie stosowano żadnych nawozów (poza skąpymi nawozami naturalnymi w pobliżu osiedli ludzkich), każde uprzątnięte pole wymagało długiego okresu odpoczynku, zanim znowu mogło rodzić płody.

I tu dochodzimy do trafnego, być może, wytłumaczenia przyczyny, która zmusiła Majów do tego, aby w ciągu krótkiego czasu opuścili swe miasta.

Pola wyjałowiały. Okres odpoczynku, jakiego potrzebowało każde pole, nim znowu

zostało zalesione i zanim znowu można było je podpalić, stawał się coraz dłuższy. Nieuchronnym następstwem tego było, że chłopi karczując i wypalając coraz to nowe zalesiane odcinki musieli coraz głębiej zapuszczać się w dżunglę, coraz bardziej oddalać się od miasta, które mieli żywić i które bez nich nie mogło żyć. W końcu między chłopem a miastami wyrosły spalone i jałowe stepy. Wysoka kultura Starego Państwa Majów dlatego przestała istnieć, że straciła bazę chłopską. Zginęła dlatego, że mogą wprawdzie istnieć kultury bez techniki, ale nie może być kultury bez pługa. W końcu, gdy między poszczególnymi miastami leżały już tylko jałowe stepy, nastały klęski głodowe, które zmusiły ludność do emigracji.

Lud wyruszył w drogę opuszczając miasta i ugory. Podczas gdy na północy powstało Nowe Państwo, na południu dżungla powoli wdzierała się do opuszczonych świątyń i pałaców, spalone ugory znowu pokrywały się lasem, który zagarnął miasta i budowle, ukrył je na tysiąc lat.

Takie prawdopodobnie jest wytłumaczenie tajemnicy opuszczonych miast.

Rozdział trzydziesty, drugi

DROGA DO STUDNI

Księżyc w pełni świecił nad dżunglą. W towarzystwie jednego tylko indiańskiego przewodnika amerykański badacz Edward Herbert Thompson jechał konno przez terytorium, na którym półtora tysiąca lat temu Majowie opuściwszy swe dawne miasta zbudowali na północy Nowe Państwo; podbój Hiszpanów i jemu położył kres. Thompson szukał miasta Chichen-Itzä, które było największe i najpiękniejsze wśród wszystkich ich miast, najpotężniejsze i pełne największego przepychu. Oba konie i

obaj jeźdźcy mieli za sobą ciężkie trudy podróży. Thompson ze zmęczenia zwiesił głowę; za każdym potknięciem się konia tracił równowagę i omal nie spadał z siodła. Wtem zbudziło go głośne nawoływanie przewodnika. Przestraszony poderwał się w siodle. Spojrzał przed siebie i ujrzał zaczarowany świat baśni.

Nad ciemnymi wierzchołkami drzew, na szczycie wysokiego, stromego wzgórza, oblana srebrną poświatą księżyca stała świątynia. Wśród nocnej ciszy wznosiła się wysoko nad dżunglą niby Partenon indiańskiego Akropolu. W miarę jak zbliżali się do niej, zdawała się rosnąć. Indiański przewodnik zeskoczył z konia, rozsiodłał go i rozłożył na ziemi koce. Lecz Thompson jak urzeczony nie mógł oderwać oczu od świątyni. Zsiadł z konia i podczas gdy przewodnik układał się już do snu, sam poszedł dalej. Strome schody, zarosłe trawą i zielskiem, miejscami rozluzowane, prowadziły od stóp wzgórza na szczyt piramidy, ku świątyni. Thompson znał z obrazów egipskie piramidy i wiedział o ich przeznaczeniu. Ale ta piramida Majów nie była grobowcem, jak piramidy pod Gizeh. Z wyglądu przypominała babilońskie zikkuraty, lecz w jeszcze znacznie większym stopniu niż one zdawała się być tu jedynie po to, by służyć za grzbiet olbrzymich schodów, które wiodły wciąż wyżej i wyżej — do boga, do słońca, do księżyca.

Thompson począł wspinać się po schodach. Oczom jego ukazały się ozdoby, bogate płaskorzeźby. Gdy stanął na szczycie, na wysokości niemal trzydziestu metrów nad dżunglą, rozejrzał się dokoła. Liczył — jedna, dwie, trzy... niebawem doliczył się dwunastu budowli. Stały rozproszone, schowane w gęstwinie dziewiczego lasu, tak, że często dopiero muśnięte światłem księżyca zdradzały swą obecność.

To więc była Chichen-Itzś! Służąc prawdopodobnie na początku wielkiej wędrówki za wysuniętą daleko do przodu umocnioną placówkę, wyrosła na wspaniałą metropolię, stała się głównym ośrodkiem Nowego Państwa. W ciągu najbliższych dni Thompson stawał coraz to na innych ruinach. „Pewnego ranka — pisze później — stałem na dachu tej świątyni właśnie w chwili, gdy pierwsze promienie wschodzącego słońca różowiły daleki horyzont. Panowała niezmącona cisza poranna. Szmery nocy już przebrzmiały, głosy dnia jeszcze się nie zbudziły. Niebo i ziemia jakby

wstrzymały oddech w oczekiwaniu czegoś niewiadomego. Potem wzeszło słońce — ogromne, okrągłe, promienne i złote, i w jednej chwili cały świat rozbrzmiał śpiewem i brzękiem. Ptaki na drzewach i owady na ziemi zaintonowały wielkie *Te Deum.* Sama przyroda nauczyła pierwotnego człowieka czcić słońce i człowiek w głębi duszy wciąż jeszcze idzie za tym, czego nauczył się w zaraniu swego istnienia." Thompson stał oczarowany. Nie widział już dżungli, odsłoniły się przed nim rozległe obszary, powolnym krokiem sunęły procesje, rozlegała się muzyka, pałace ożywiły się hucznymi ucztami, w świątyniach odprawiano błagalne nabożeństwa. Gdy w końcu próbował rozpoznać szczegóły w dalej położonych terenach, nieoczekiwany widok przykuł do siebie jego wzrok. Jeżeli dotychczas stał jak urzeczony, to teraz nagle prysnęły obrazy wyczarowane wyobraźnią, rozwiała się wizja przeszłości. Teraz był znowu trzeźwym badaczem i widział przed sobą swe zadanie. Bo tam daleko w bladym świetle rysowała się droga. Prowadziła ona prawdopodobnie do najbardziej porywającej tajemnicy Chichen-Itza — do Świętej Studni.

W tej księdze traktującej o odkryciach w Meksyku i Jukatanie brak dotąd odkrywcy na miarę Schliemanna, Layarda, Petriego. Brak też — jeżeli pominąć pierwszą podróż Stephensa — owego podniecającego połączenia badań archeologicznych z przygodą, zdobyczy naukowych z poszukiwaniem skarbów, brak romantycznej nuty, która pojawia się w pracy archeologa, gdy rydel zapuszczony w ziemię dla badań naukowych natrafia na złoto.

Edward Herbert Thompson był Schliemannem Jukatanu, bo udając się do Chichen-Itza szedł tak jak tamten za słowami pewnej książki, których nikt poza nim nie brał poważnie. Wyniki jego poszukiwań przyznały mu słuszność, tak jak niegdyś przyznały ją wierzącemu w Homera Schlie-mannowi. I tak jak niegdyś Layard z sześćdziesięcioma angielskimi funtami i jednym tylko towarzyszem wyruszył na swe pierwsze odkrycie, tak Thompson, równie jak Layard ubogi, zapuścił się w dżunglę. Gdy zaś napotkał trudności, przed którymi każdy inny byłby skapitulował, wykazał tę samą uporczywość co Petrie.

Czyż nie wspomnieliśmy już, że niegdyś, gdy cały świat był rozgorączkowany

odkryciami Stephensa, broniono między innymi poglądu, jakoby Majowie byli potomkami zaginionego w falach morskich ludu Atlantydy?

Thompson jako początkujący archeolog w pierwszej swej pracy, ogłoszonej w 1879 roku w popularnym czasopiśmie, bronił tego śmiałego poglądu. Gdy jednak w 1885 roku jako najmłodszy konsul amerykański — miał wtedy dwadzieścia pięć lat — udał się do Jukatanu, ten specjalny problem pochodzenia Majów zszedł w jego bardziej już krytycznym umyśle na drugi plan; bardziej niż teoria pociągało go teraz badanie samych zabytków.

Nie ta ryzykowna hipoteza więc, lecz pewna wiara pchnęła go do poszukiwań w Jukatanie, tak jak pewna wiara ciągnęła niegdyś Schliemanna do Troi. U Thompsona była to wiara w słowa Diego de Landy. W książce biskupa znalazł po raz pierwszy opowiadanie o Świętej Studni, o *cenote* w Chichen-Itzä. De Landa, opierając się na starych podaniach, opowiadał, jak to w okresach suszy procesje kapłanów i ludu ciągnęły szeroką drogą nad studnię, aby załagodzić gniew boga deszczu. Prowadzili ze sobą ofiary, które miały go przebłagać: młode dziewczęta i chłopców. Po odbyciu ceremonii dziewczęta wrzucano w toń tak głęboką, że nigdy żadna z tych ofiar nie wypłynęła znowu na powierzchnię.

W pieśniach wszystkich niemal ludów droga dziewcząt do studni — choć temat ten niekiedy jest symbolicznie pogłębiony — występuje zawsze jako radosna afirmacja życia. Droga młodych dziewcząt ludu Maja do świętej *cenote* była drogą śmierci. Udawały się w nią przystrojone w najpiękniejsze szaty, obsypane klejnotami, kończyły ją zaś z głuchym okrzykiem, gdy ich ciała uderzały o taflę mulistej wody.

Diego de Landa opowiadał jeszcze i inne rzeczy. Mówił, iż było w zwyczaju, że w ślad za ofiarami wrzucano do studni bogate dary: ozdobne naczynia, klejnoty, złoto. „Jeżeli kraj ten posiadał kiedyś złoto — pisał w swej książce — to większa jego część powinna się znajdować na dnie tej studni.” Słowa te, które wszystkim innym wydawały się tylko retorycznym upiększeniem opowiadania, Thompson brał dosłownie. Wierzył w nie i był zdecydowany dowieść słuszności swej wiary. Gdy owej księżycowej nocy zobaczył ze szczytu piramidy drogę wiodącą ku studni, nie

przeczuwał, ile go to będzie kosztowało trudu.

Gdy po latach stanął po raz drugi nad studnią, był już doświadczonym badaczem dżungli. Przemierzył Jukatan od północy do południa, wyostrzył jeszcze bardziej swój wzrok przywykły do przenikania tajemnic. W chwili tej doprawdy można go było porównać ze Schliemannem. Dokoła niego stały wspaniałe, czekające zbadania budowle — porywający cel dla każdego archeologa. Nie ku nim jednak skierował swe kroki, lecz ku studni, ku ciemnej jamie, którą wiele stuleci wypełniło szlamem, kamieniami i brudem. Nawet gdyby słowa Diego de Landy były oparte na faktach, to czyż w ogóle istnieją choćby najmniejsze widoki na to, by w tej ziejącej stęchlizną jamie znaleźć klejnoty, które kapłani wrzucili do niej w ślad za ofiarami?

I jak w ogóle rozpocząć poszukiwania? Odpowiedź Thompsona brzmiała awanturniczo. Jak? Nurkować!

Gdy powrócił do Stanów Zjednoczonych, aby wziąć udział w pewnym zjeździe naukowym, pożyczył sobie pieniądze. Uzyskał tę pożyczkę, chociaż każdy, komu opowiadał o swym planie, uważał go za wariata.

„Nikt — mówiono mu — nie może zejść w niezbadaną głębinę tej wielkiej jamy, raczej ścieku niż studni, i spodziewać się, że wyjdzie z niej żywy. Jeżeli już koniecznie chcesz popełnić samobójstwo, to czemuż nie uczynisz tego w sposób mniej nieprzyjemny?”

Ale Thompson zważył już dokładnie wszystkie za i przeciw. Był zdecydowany.

„Następny mój krok — pisze później — polegał na tym, że udałem się do Bostonu, aby nauczyć się sztuki nurkowania na dużej głębokości. Nauczycielem moim był *capitain* Ephraim Nickerson z Long Wharf, który już od dwudziestu lat wycofał się z czynnego wykonywania swego zawodu. Pod jego fachowym i cierpliwym kierownictwem stałem się z czasem dość dobrym, chociaż — jak niebawem miałem się przekonać — bynajmniej nie doskonałym nurkiem. Następnie wystarałem się o nadający się do mego przedsięwzięcia bagier z wyciągiem, kołowrót i trzydziestostopowy maszt. Cały ten materiał leżał zapakowany w skrzyniach i na każde listowne lub telegraficzne wezwanie mógł być natychmiast wysłany.”

I oto znowu stał na krawędzi studni. W najszerszym miejscu średnica jej wynosiła siedemdziesiąt metrów. Za pomocą ołowianki stwierdził, że powierzchnia mulistej wody znajdowała się dwadzieścia pięć metrów poniżej krawędzi studni. Sporządził drewniane kukły o kształtach człowieka i wrzucał je do wody tak, jak według tego, co sobie wyobrażał, ongiś ciskano do niej młode dziewczęta — oblubienice bożka deszczu. Cel tych eksperymentów był jasny: chciał ustalić miejsce, gdzie na dnie studni należy prowadzić poszukiwania. Dokonawszy tej lokalizacji opuścił po raz pierwszy bagier.

„Wątpię, czy ktokolwiek — pisze potem — może sobie wyobrazić moje napięcie, gdy bagier, z pięcioma ludźmi przy wyciągu i hamulcach, z rozwartymi zębami stalowego czerpaka zatoczył krąg, zawisł na krótką chwilę nad ciemnym szybem, po czym miarowo opuścił się na dół i zanurzył w spokojnej wodzie. Kilka chwil czekania, aby ostre zęby czerpaka zdążyły wgryźć się w dno, i oto postacie robotników pochylają się nad korbą wyciągu; muskuły ich niby żywe srebro grają pod ciemną skórą, gdy stalowe liny napinają się pod ciężarem wyciąganego w górę ładunku.

Woda, dotąd jeszcze czerwona jak tafla obsydianu, zaczęła się kłębić i kotłować, gdy czerpak bagra — z jego ściśle zamkniętych zwieradeł kapała czysta woda — powoli podnosił się ku krawędzi studni. Obróciwszy się dokoła masztu zwalił na pokrytą deskami platformę swój wagonowy ładunek ciemnobrązowej masy — drzewa, zgniłego listowia, połamanych gałęzi i najróżniejszych innych rzeczy.

Potem znowu się obrócił, znowu zawisł w tej samej co poprzednio pozycji i opuścił się po nowy ładunek... Pewnego razu wrócił z wciśniętym między zęby czerpaka pniem drzewa, który zdawał się być tak dobrze zachowany, jak gdyby go burza dopiero wczoraj strąciła do szybu. Było to w sobotę. W poniedziałek pień rozsypał się w proch; na stercie kamieni, na której złożył go bagier, pozostało jedynie parę włókien drzewa, a dokoła nich ciemna plama jak po occie drzewnym. Innym razem bagier wydobył z wody kości jaguara i sarny, nieme świadectwo jakiejś tragedii leśnej."

Dzień po dniu bagier wydobywał na powierzchnię jedynie muł i błoto, kamienie i

gałęzie, niekiedy szkielet jakiegoś zwierzęcia, które w czasie suszy zwietrzyło tu wodę i utonęło w *cenote.* Słońce prażyło i z dna szybu wydobywała się woń zgnilizny; buchała także z mułu, którego coraz większe zwały piętrzyły się na brzegach studni.

„Tak praca — pisze Thompson — toczyła się dalej przez długie dni. Byłem coraz bardziej nerwowy, nie mogłem sypiać po nocach. «Czyżby było możliwe — pytałem sam siebie — że nakłoniłem mych przyjaciół do wydatków i sam naraziłem się na śmieszność, aby dowieść tego, co inni przyjęli z góry jako rzecz przesądzoną, że wszystkie te podania to tylko legendy pozbawione wszelkich podstaw?»"

Potem jednak nastąpił dzień, kiedy Thompson, jak zawsze przetrząsając dopiero co wyciągnięty na górę nowy ładunek mułu, znalazł w nim dwie dziwne, żółtawobiałe żywiczne bryłki. Obwąchał je, a nawet skosztował językiem. Szczęśliwa myśl podszepnęła mu, aby rozgrzać żywiczną substancję nad ogniem: rozniósł się odurzający aromat. Okazało się, że bagier wydobył ze studni kadzidło palone przez kapłanów podczas składania ofiar.

Czy był to już dowód, że znajdował się na właściwym tropie? Obok olbrzymich stosów gruzu i mułu — dwie bryłki żywicy? Nikt nie uznałby tego za dowód. Dla Thompsona jednak te dwie grudki oznaczały jeszcze więcej. Uskrzydliły na nowo jego fantazję. „Tej nocy — pisze — po raz pierwszy od wielu tygodni spałem długo i mocno."

Dalsze wypadki potwierdziły przypuszczenia Thompsona. Odtąd bowiem z dna studni wydobywano, jedne po drugich, narzędzia i klejnoty, wazy i ostrza oszczepów, noże z obsydianu i czary z nefrytu, i wreszcie — pierwszy szkielet młodej dziewczyny.

Diego de Landa mówił więc prawdę.

Zanim Thompson przystąpił teraz, jak Bam się wyraża, do „najpiekiel-niejszej części tego piekielnego przedsięwzięcia", znowu odkrył przypadkiem ziarno prawdy zawarte w jeszcze jednym starym podaniu. Jeżeli biskup Diego de Landa wskazał mu drogę do Świętej Studni, to Don Diego Sarmiento de Figueroa, który w 1579 roku był alkadem Valladolidu, powiedział mu, jakie obrzędy towarzyszyły składaniu ofiar nad *cenote.* Oto jego opowiadanie, które Thompsonowi zrazu wydało się niejasne i niezrozumiałe:

„Zgodnie ze zwyczajem, szlachta i dostojnicy kraju po sześćdziesięciu dniach wstrzemięźliwości i postu szli o świcie nad studnię i wrzucali w głąb ciemnego szybu należące do nich indiańskie kobiety. Mówili im przy tym, że każda z nich ma wyprosić dla swego pana pomyślny, odpo-wiadający jego życzeniom rok. Kobiety strącano do studni nie związane. Z wielką siłą i hałasem wpadały do wody. Gdy przed wieczorem te z nich, które były jeszcze w stanie to uczynić, odzywały się głośnymi krzykami, zrzucano im liny i wyciągano ze studni na wpół martwe. Rozpalano dokoła nich ogniska i palono przed nimi kadzidła. Wróciwszy do zmysłów Indianki opowiadały, że na dole znajduje się wiele ludzi z ich ludu, mężczyzn i kobiet, którzy ich przyjęli. Gdy próbowały podnieść głowy, aby na nich spojrzeć, otrzymywały silne uderzenia w głowę. Gdy zaś skłaniały głowę w dół, widziały pod wodą wiele wzniesień i wiele zagłębień; mieszkańcy studni odpowiedzieli na ich pytania co do dobrego lub złego roku, jaki sądzony jest ch panom."

Thompson, który w każdym podaniu tropił ślad prawdy historycznej, długo łamał sobie głowę nad tą na pozór zupełnie fantastyczną opowieścią. Pewnego dnia siedział w spuszczonej już na powierzchnię wody płaskiej łodzi, która miała potem służyć za bazę podczas zamierzonego nurkowania. Około sześćdziesięciu stóp poniżej stanowiska bagra przycumował ją do opadającej urwiskami skały. Spojrzawszy za burtę łodzi ujrzał coś, co wprawiło go w najwyższe zdumienie. „Znalazłem — pisze — klucz do zrozumienia opowieści o owych kobietach wysyłanych w charakterze «ambasadorów» do bożka deszczu. Woda w Świętej Studni jest ciemna i mętna i niekiedy zmienia swą barwę z brązowej na jaspisowo-zieloną, a nawet na krwistoczerwoną, co później jeszcze opiszę. Jest jednak tak mętna, że jak lustro odbija światło i nie załamuje go.

Patrząc na zwierciadło wody mogłem zobaczyć «wiele zagłębień i wiele wzniesień». W rzeczywistości były to odzwierciedlenia wzniesień i zagłębień we wznoszącej się prosto nade mną urwistej skale. Kobiety odzyskawszy zmysły powiedziały, że na dole jest «wiele ludzi z ich ludu» i że «odpowiedzieli na ich pytania». Otóż i ja, gdy w dalszym ciągu patrzyłem w owe «zagłębienia i wzniesienia», zobaczyłem na dole tych

«wiele ludzi z ich ludu»; odpowiedzieli także i mnie. Były to po prostu głowy i ciała mych robotników, którzy pochylili się nad krawędzią studni, aby spojrzeć na łódź. A że przy tym cicho rozmawiali ze sobą, więc głos ich odbijał się o taflę wody, która odrzucała do góry ciche, brzmiące tubylczym akcentem, lecz niezrozumiałe słowa. Epizod ten dał mi wytłumaczenie starego podania...

Poza tym okoliczni tubylcy od dawna twierdzili, że woda Świętej Studni zamienia się w krew. Otóż stwierdziliśmy, że występujące niekiedy zielone zabarwienie wody pochodzi od mikroskopijnych wodorostów; barwę brunatną nadawały jej obumierające liście, pewne zaś ziarna kwiatów i nasion o barwie krwistoczerwonej czasami nadawały powierzchni stawu wygląd zakrzepłej krwi.

Wspominam o tym odkryciu, aby pokazać, dlaczego wierzę, że wszystkie autentyczne podania są oparte na faktach i przy bliższej obserwacji okoliczności, w jakich się zrodziły, zawsze dawały się wyjaśnić."

Najtrudniejsza część pracy leżała jeszcze przed Thompsonem. Dopiero gdy i tę pracę pokonał, osiągnął sukces, którym zaćmił wszystkie swe dotychczasowe sukcesy. Gdy bagier chwytał coraz mniej i w końcu wydobywał na światło dzienne już tylko nieliczne kamienie, Thompson zrozumiał, że nastał czas, aby uchwycić własnymi rękami to, czego zęby czerpaka nie mogły dosięgnąć w szczelinach i rysach dna studni. Najlepiej będzie, jeżeli teraz nasz niezwykły archeolog sam zabierze głos:

„Nicolas, grecki nurek, z którym już przedtem wszystko uzgodniłem, przybył z wysp Bahama, gdzie trudnił się wyławianiem gąbek. Przywiózł ze sobą pomocnika, również Greka. Rozpoczęliśmy przygotowania do poszukiwań pod wodą.

Najpierw w łodzi, która teraz nie była już tratwą, lecz solidnym pontonem, umieściliśmy pompy powietrzne, po czym obaj Grecy zamienili się na jakiś czas w nauczycieli pokazując wybranej brygadzie robotników, jak obchodzić się z tymi pompami, od których zależało nasze życie, jak odczytywać i odpowiadać na sygnały nadawane z dna. Gdy doszli do przekonania, że ludzie ci są już dostatecznie

wyszkoleni, przygotowaliśmy się do nurkowania. Opuściliśmy czerpak naszego bagra na ponton i ubraliśmy się w nasze kombinezony z nieprzemakalnego materiału złączone z dużym miedzianym hełmem, zaopatrzonym w wyłupiaste szkła na oczy, oraz z ołowianymi łańcuchami na szyi, ważącymi połowę tego co hełm. Ubioru tego dopełniały buty z żaglowego płótna, z ciężkimi podeszwami z kutego żelaza. Wyposażony ponadto w tubę głosową, pneumatyczne spodnie i starannie przymocowaną linę ratowniczą, z pomocą greckiego asystenta podszedłem zataczając się do spuszczonej w wodę krótkiej, szerokiej drabiny. Gdy wstąpiłem na pierwszy jej szczebel, robotnicy obsługujący pompę i wszyscy inni moi wierni tubylcy kolejno podchodzili do mnie, z poważną miną ściskali mi dłoń, po czym wracali na *swe* stanowiska, aby czekać na sygnał. Nietrudno było odgadnąć ich myśli. Żegnali się ze mną na zawsze, nie wierzyli, że mnie jeszcze kiedykolwiek zobaczą.

Puściłem drabinę i zanurzyłem się w wodzie, jak wór ołowiu, pozostawiając za sobą smugę srebrzystych pęcherzyków. Do głębokości pierwszych dziesięciu stóp promienie światła były naprzód żółte, potem zielone, w końcu zaś purpurowo-czarne. Potem znalazłem się w zupełnej ciemności. Wskutek wzrastającego ciśnienia odczuwałem ostry ból w uszach. Gdy przełknąłem ślinę i otworzyłem wentyle powietrzne w hełmie, z obydwu uszu wydobył się dźwięk w rodzaju «ft! ft!», po czym bóle ustały. Dopóki nie stanąłem na dnie, musiałem to powtórzyć kilka razy. Podczas opuszczania się odczuwałem jeszcze inną dziwną sensację: miałem wrażenie, jak gdybym gwałtownie tracił na wadze, a gdy wreszcie stanąłem na płaskim końcu wielkiej kamiennej kolumny, która spadła tu ze stojącej u góry ruiny grobowca, zdawało mi się, że już w ogóle nic nie ważę, że jestem raczej pęcherzykiem w wodzie niż człowiekiem obładowanym ciężkimi przedmiotami.

Jednocześnie jednak ogarnęło mnie dziwne uczucie, gdy uprzytomniłem sobie, że jestem jedyną żyjącą istotą, jaka kiedykolwiek znalazła się tutaj i zamierzała się stąd żywa wydostać. Potem obok mnie na dole pojawił się grecki nurek. Zamieniliśmy uścisk dłoni.

Miałem ze sobą podwodny reflektor i podwodny telefon. Ale po tym pierwszym

nurkowaniu więcej ich ze sobą nie zabierałem. Podwodny reflektor nadawał się do czystej lub bardzo mało zmąconej wody. Tymczasem ciecz, w której mieliśmy pracować, nie była ani wodą, ani błotem, tylko jakąś skotłowaną przez bagier mieszaniną jednego i drugiego. Żaden promień światła nie mógł przeniknąć przez tę gęstą, nieomal papkowatą ciecz. Musieliśmy więc pracować w zupełnych ciemnościach, ale już po upływie krótkiego czasu nie stanowiło to dla nas żadnej niemal niedogodności, gdyż nerwy dotyku w koniuszkach naszych palców zdawały się nie tylko odróżniać rodzaj dotykanych przedmiotów, lecz nawet dopomagać do rozpoznawania ich barwy. Telefon podwodny dawał nam mało pożytku i rychło odstawiliśmy go na bok. Łatwiej, a nawet i prędzej, porozumiewaliśmy się z naszą bazą na pontonie za pomocą tuby głosowej i liny ratowniczej.

Uderzyło mnie jeszcze jedno, o czym nigdy nie słyszałem od innych nurków. Obaj bowiem z Nicolasem stwierdziliśmy, że pracując na głębokości sześćdziesięciu do osiemdziesięciu stóp, mogliśmy siadać, a przytykając nosy naszych hełmów wcale dobrze i zrozumiale ze sobą rozmawiać. Nasze głosy brzmiały głucho, bez życia, dochodziły jak gdyby z wielkiej odległości, niemniej jednak mogłem mu dawać wskazówki i dosyć wyraźnie słyszeć jego odpowiedzi.

Dziwna strata na wadze pod wodą, nim się do tego przyzwyczaiłem, powodowała szereg zabawnych incydentów. Chcąc z jednego miejsca dna przenieść się na inne, potrzebowałem tylko wstać i odepchnąć się nogą od skalistego gruntu. Natychmiast jak rakieta szedłem wtedy w górę i sunąc majestatycznie przez brudną ciecz często lądowałem o kilka stóp dalej, niż zamierzałem.

Z grubsza biorąc, studnia ta jest owalnym szybem, którego średnica w najszerszym miejscu wynosi 187 stóp. Powierzchnia wody leżała 67 do 80 stóp poniżej powierzchni dżungli. Łatwo było stwierdzić, gdzie się rozpoczyna, trudniej natomiast było rozpoznać, gdzie kończy się woda, a zaczyna się muł pokrywający dno; nie było między nimi żadnej linii rozgraniczenia. Łączną głębokość wody i mułu oceniałem na 65 stóp. Na dole znajdował się głęboki na 30 stóp pokład mułu, dostatecznie gruby, aby utrzymać na powierzchni konary, gałęzie i duże korzenie drzew. W pokładzie tym

jak rodzynki w cieście tkwiły głazy bardzo różnych kształtów i rozmiarów. Można sobie zatem wyobrazić, jak otoczeni zewsząd falującym błotem szperaliśmy w szparach i szczelinach ostrego wapiennego dna w poszukiwaniu przedmiotów, których czerpak bagra nie zdołał uchwycić. Proszę sobie także wyobrazić, jak w tych styksowych ciemnościach co chwila jakiś głaz obluzowany ze swego miejsca przez naciskającą nań wodę zwalał nam się z pluskiem na głowę. Mimo wszystko nie było to jednak tak groźne, jak by się wydawało. Prawda, że ciężkie bloki spadały, kiedy i gdzie im się podobało, i że nie mogliśmy ani ich widzieć, ani nimi kierować. Dopóki jednak trzymaliśmy się wraz z naszymi tubami, pneumatycznymi spodniami i liną ratowniczą w należytej odległości od ściany, nie groziło nam zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Gdy głazy osuwały się, dużo wcześniej od nich dosięgało nas poprzedzające je ciśnienie wody, tak że nawet wtedy, gdy sami nie odsuwaliśmy się w porę z własnej inicjatywy, trafiało nas ono jak olbrzymia miękka poduszka i wprawiało nas w ruch, często z głową na dół i nogami do góry; balansując i drżąc jak białko w szklance wody poruszaliśmy się tak, dopóki skotłowana woda nie uspokoiła się, po czym mogliśmy znowu stanąć na nogach. Gdybyśmy nieostrożnie oparli się plecami o ścianę, zostalibyśmy niby gigantycznymi nożycami rozcięci na dwoje i bożkowi deszczu złożone zostałyby jeszcze dwie ofiary.

Obecni mieszkańcy tych okolic wierzą, że w mrocznych głębiach Świętej Studni żyją wielkie żmije i potwory. Można jedynie snuć domysły co do tego, czy wiara ta wypływa z nikłego wspomnienia czci oddawanej dawniej wężom, czy też opiera się na czymś, co może niektórzy tubylcy rzeczywiście kiedyś tu widzieli. Co do mnie, to istotnie widziałem wielkie żmije i jaszczurki pływające w wodzie, lecz były to tylko żmije i jaszczurki, które goniąc za zdobyczą spadały z drzew do studni i potem próbowały się z niej wydostać. Ani razu nie widzieliśmy w stawie jakichś szczególnie dużych płazów lub zgoła potworów.

Chociaż nigdy żaden gad nie chwycił mnie swymi mackami, przeżyłem pewną przygodę, którą warto tu opowiedzieć. Kiedyś nurek i ja gorliwie grzebaliśmy w jakiejś wąskiej szczelinie dna odkrywając w niej tyle znalezisk, że zapomnieliśmy o

niektórych zwykłych środkach ostrożności. Raptem poczułem na sobie coś ogromnego, coś, co podstępnym, oślizłym ruchem spychało mnie w dół, coś gładkiego, co z nieodpartą siłą wciskało mnie w błoto. Na chwilę krew zamarła mi w żyłach. Potem poczułem, jak obok mnie Grek szamotał się z tym przedmiotem; pomogłem mu i w końcu uwolniliśmy się spod tego nacisku. Okazało się, że był to zmurszały pień drzewa, który uniesiony wodą od ściany spadł na mnie, gdy byłem skulony.

Pewnego dnia siedziałem na głazie skalnym oglądając interesujące znalezisko — lany metalowy dzwonek, przy czym zupełnie zapomniałem otworzyć wentyle powietrzne, jak to powinienem był uczynić.

Wsunąłem dzwonek do kieszeni i wstałem, by zmienić pozycję, gdy raptem, jak napełniony powietrzem pęcherz, wzbiłem się w górę. Było to śmieszne, ale zarazem i niebezpieczne, gdyż na tej głębokości krew jest jak musujący szampan; jeżeli człowiek nie wznosi się powoli, dając jej czas przystosować się do zmiany ciśnienia, może wyniknąć z tego choroba powodująca śmierć wśród straszliwych bólów. Na szczęście miałem tyle przytomności umysłu, że otworzyłem wentyle, zanim znalazłem się bardzo wysoko, dzięki czemu uniknąłem tej groźnej kary. Niemniej jednak przypłaciłem swą nieostrożność uszkodzeniem bębenków usznych i przytępionym do dziś dnia słuchem.

Nawet wtedy, gdy otworzyłem już wentyle i podnosiłem się coraz wolniej, uderzyłem nagle głową w dno pontonu; doznany wstrząs niemal mnie ogłuszył. Potem zorientowałem się, co zaszło. Na myśl o strachu, jaki musieli przeżyć moi chłopcy słysząc mnie uderzającego tak o dno łodzi, roześmiałem się. Wygramoliłem się spod pontonu i wyciągnąłem rękę w stronę pokładu. Gdy mój hełm pojawił się u boku łodzi, poczułem, że czyjeś ramiona obejmują mnie za szyję i jak czyjeś zaniepokojone oczy wpatrują się w wyłupiaste szkła w mym hełmie. Zdjęto ze mnie skafander i podczas gdy odpoczywałem na podanym mi krześle, powoli wracając do normalnego stanu i rozkoszując się filiżanką gorącej kawy i światłem dziennym, młody Grek opowiedział mi przebieg tej historii.

«Ludzie — powiedział — zzielenieli ze strachu, usłyszawszy uderzenie o spód pontonu zwiastujące pańskie nieoczekiwane przybycie. Gdy im powiedziałem, co to jest, ze smutkiem potrząsali głową, a jeden z nich, wierny stary Juan Mis, powiedział: „Nie ma co, El Arno, szef nie żyje. Połknął go bóg węża i znowu go wypluł. Nigdy go już nie usłyszymy mówiącego.” Oczy miał pełne łez. Gdy jednak pański hełm pojawił się nad pontonem, Mis, zajrzawszy przez jego szkła, podniósł ręce ku niebu i rzekł pełen wdzięczności: „Bogu dzięki, jeszcze żyje i śmieje się.”»

Jeżeli chodzi o wyniki naszego bagrowania i nurkowania, to przede wszystkim udało nam się dowieść, że podania na temat Świętej Studni były we wszystkich swych najważniejszych szczegółach zgodne z prawdą. Poza tym znaleźliśmy znaczną ilość rżniętych w nefrycie i wykutych w złocie i miedzi posążków, wiele kopalu, bryłki żywicznego kadzidła, szczątki szkieletów oraz oszczepy i dzidy o pięknie wykonanych grotach z krzemienia, kalcytu i obsydianu, jak również kilka starych tkanin. Wszystko to miało wielką wartość archeologiczną. Były także wśród tego przedmioty ze szczerego złota: lane, kute, grawerowane. Większość jednak tak zwanych «złotych przedmiotów» wykonana była z pośledniej jakości stopów zawierających więcej miedzi niż złota. Największą wartość znalezionych przedmiotów stanowiły wyryte w nich symbole. Na powierzchnię wydobyto przeważnie tylko fragmenty różnych obiektów. Przypuszczalnie chodziło o dary wotywne, rozbite przez kapłanów w toku jakiegoś rytualnego obrzędu poprzedzającego wrzucenie ich do studni. Rozbite zaś były w takich miejscach, że głowy i rysy twarzy osób przedstawionych w nefrycie lub na złotych płytkach nie zostały zniszczone.

Istniały podstawy ku temu, aby przypuszczać, że te wisiorki z nefrytu, złote płytki i inne ozdoby z metalu lub kamienia z chwilą połamania uważano za zabite. Wiadomo, że dawne cywilizowane rasy amerykańskie, podobnie jak i starsze od nich ludy północnej Azji — a także po dziś dzień Mongołowie — wierzyły, że nefryt i inne uświęcone przedmioty obdarzone są życiem. Dlatego tłuczono je, czyli «zabijano», aby ich dusze mogły zdobić wysłannika, gdy duch jego stanie przed obliczem Hunal

Hu, najwyższego boga w niebiosach."

Pierwsze relacje Thompsona o jego znaleziskach w Świętej Studni wzbudziły ogromne zainteresowanie tak ze względu na bogactwo odkrytego skarbu, jak i na niezwykłe okoliczności, w jakich został wydobyty z zamulonego dna studni. Chodziło przy tym nie o materialną wartość znalezisk.

„Wartość w złocie — pisze Thompson — jaką przedstawiają te przedmioty, z takim trudem i takim kosztem wydobyte ze Świętej Studni, jest raczej nieznaczna. Ale wartość wszystkich rzeczy jest względna. Historyk zapuszcza się w przeszłość z tych samych powodów, dla jakich inżynier wdziera się w głąb ziemi: aby zabezpieczyć przyszłość. Można przypuścić, że na powierzchni niektórych z tych przedmiotów wyryte są w postaci symbolów idee i poglądy, które poprzez zygzaki czasów prowadzą do praojczyzny tego ludu — do kraju za Jeziorami. Aby przyczynić się do wykrycia tego, warto chyba poświęcić pracę całego życia." Mimo tej nieznacznej wartości materialnej znaleziska z Chichen-Itza były z punktu widzenia archeologicznego nieocenionym skarbem, który w naszym stuleciu przewyższyły jedynie skarby odkryte w grobowcu Tutanchamona. Ale złoto faraona leżało dookoła mumii, którą zaniesiono do grobu w podniosłym spokoju. Natomiast złoto w *cenote* leżało obok szkieletów młodych dziewcząt, ofiar okrutnych bogów i okrutnych kapłanów, które szły na śmierć z okrzykiem zgrozy i przerażenia. Czyżby jedna z tych dziewczyn zdołała pociągnąć za sobą w głębiny któregoś z kapłanów? Wśród licznych czaszek młodych dziewcząt znaleziono bowiem jedną jedyną czaszkę mężczyzny. Stopień zgrubienia kości oczodołowych świadczył o tym, że była to czaszka starego człowieka. Czy był nim kapłan?

Thompson umarł w 1935 roku. Nie miał powodu uważać, że zmarnował swe życie, chociaż — jak sam pisał — strawił swą „substancję" w służbie badań nad przeszłością Majów. W ciągu dwudziestu czterech lat, przez które był konsulem w Jukatanie, i bez mała pięćdziesięciu lat, przez które z łopatą w ręku prowadził badania archeologiczne,

rzadko kiedy widziano go przy biurku. Wędrował przez dżunglę i żył z Indianami. Rozumieć to należy dosłownie, jadł bowiem te same potrawy co oni, spał w ich szałasach, mówił ich językiem. Wskutek zakażenia miał sparaliżowaną nogę, a nurkowaniem w Świętej Studni nabawił się nieuleczalnej choroby uszu. Nie żałował niczego. Praca jego nosi wszystkie znamiona entuzjazmu graniczącego częstokroć z egzaltacją. W pierwszych swych sprawozdaniach często wyciągał zbyt pochopne wnioski. Gdy w pewnej piramidzie znalazł kilka grobów, położonych jeden nad drugim, a potem pod fundamentami tejże piramidy, w skalnym gruncie, odkrył główny grobowiec, wydawało mu się, że znalazł miejsce ostatniego spoczynku Kukulkana, legendarnego praboga i nauczyciela ludu Majów. Gdy zaś znalazł cenne ozdoby z dżetu (który wydobywa się nie w Jukatanie, lecz w bardzo odległych od niego okolicach), wówczas, już jako doświadczony badacz, powrócił do swej teorii z młodych lat doszukującej się ojczyzny Majów w Atlantydzie. Był entuzjastą. Czyż jednak taki entuzjazm nie jest potrzebny? Czyż to nie on właśnie jest tą jedyną siłą, która pokonuje paraliżujące energię wątpliwości? Od tej pory w Jukatanie, Chiapas i Gwatemali prowadzono wiele wykopalisk. Wreszcie do poszukiwań archeologicznych użyto także samolotów. Pułkownik Charles Lindbergh, bohater pierwszego przelotu nad Atlantykiem, chyba pierwszy oglądał z lotu ptaka kraj, który był prastary już wtedy, gdy został odkryty przez Corteza jako Nowy Świat. W 1930 roku P. C. Madeiro junior i J. A. Mason odbyli loty nad nieprzebytymi puszczami Ameryki Środkowej fotografując z powietrza i sporządzając mapy nie znanych dotąd osiedli Majów.

W czasach najnowszych, w 1947 roku, wyruszyła ekspedycja do Bonampaku w Chiapas. Zdaje się, że obok bogatych znalezisk dokonano tu interesującego nowego odkrycia. Ekspedycję tę finansował koncern owocowy United Fruit Company, a patronat naukowy sprawował Instytut Carnegiego w Waszyngtonie. (Instytut ten wspólnie z waszyngtońskim Smithsonian Institute położył bodaj że największe zasługi na polu badań nad Majami. Smithsonian Institute operuje odsetkami fundacji, którą Anglik James Smithson okrągło sto lat temu oddał do dyspozycji Stanów

Zjednoczonych przeznaczając ją na cele badawcze.) Ekspedycja ta, której kierownikiem był Giles Greville Healey, znalazła niebawem jedenaście świątyń z czasów Starego Państwa, zbudowanych na krótko przed wielką emigracją. Znalazła ponadto trzy cudowne stele; jedna z nich jest drugą co do wielkości wśród wszystkich dotąd odkrytych stel. Liczy ona sześć metrów wysokości i pokryta jest płaskorzeźbami. Najcudowniejszym jednak znaleziskiem, odkrytym w dżungli również przez Healeya, były tym razem malowidła ścienne. Po zastosowaniu odpowiednich środków technicznych ukazały się na nich wspaniałe niegdyś barwy — czerwona, żółta, ochrowa, zielona i niebieska — oraz wojownicy, królowie i kapłani w uroczystych, ceremonialnych strojach. Podobne obrazy znaleziono dotąd jedynie w Chichen-Itza, w „Świątyni Wojowników".

Więcej jednak wykopalisk niż gdziekolwiek indziej przeprowadzono w Chichen-Itzä, dawnej metropolii Majów. Dziś przed podróżnikiem roztacza się tu obraz zgoła odmienny od tego, który ukazał się Thompsonowi owej pamiętnej księżycowej nocy. Dziś ruiny uwolnione są od dżungli, wszystkie dobrze zachowane zabytki stoją widoczne na odkrytym terenie, a drogami, które niegdyś przebijano maczetą, zjeżdżają autokarami turyści. Zwiedzają tu „Świątynię Wojowników" z kolumnadami, z których wznoszą się schody prowadzące na szczyt piramidy. Widzą tak zwane obserwatorium, okrągłą budowlę, której okna są tak umieszczone, że kierują wzrok na określone gwiazdy. Wędrują po wielkich boiskach — największe z nich ma około 160 metrów długości i 40 metrów szerokości — na których „złota młodzież" Majów oddawała się grze w piłkę podobnej do baskijskiej pelotty. Stoją wreszcie przed największą piramidą „Castillo"; przez dziewięć wysokich kondygnacji prowadzą schody do świątyni upierzonego węża Kukulkana.

Oszołomienie ogarnia obserwatora, gdy zatopi wzrok w straszliwych twarzach, w okropnych głowach wężów, w wykrzywionych grymasem obliczach bożków i stąpających jaguarach i gdy usiłując przeniknąć tajemnicę tych ornamentów i hieroglifów, dowiaduje się, że tutaj żaden znak, żaden obraz, żadna rzeźba nie pozostaje bez związku z liczbami astronomicznymi. Dwa krzyże widoczne jeszcze na

brwiach głowy węża, pazur jaguara koło ucha bożka Kukulkana, kształt jakiejś bramy, ilość „oczek" — forma ciągle powtarzających się motywów zdobniczych w ornamentyce schodów — wszystko to wyraża liczbę i czas. Nigdzie jednak liczba i czas nie łączyły się z taką straszliwością wyrazu. (Angielski powieściopisarz Graham Greene, wróg wszelkich ruin, podróżując dziesięć lat temu po Meksyku i Jukatanie, pisał: „Tutaj herezją była nie jakaś czysto ludzka mieszanina pojęć — jak na przykład ma-nicheizm — lecz błąd rachunkowy!... Tu człowiek spodziewa się zobaczyć wypisane na bruku wielkiego dziedzińca [Greene pisze o Teotihuacanie, potem jednak rozciąga to także na inne ruiny] jakieś quod *erat demcmstran-dum* — podliczoną sumę dodanych do siebie piramid, liczbę tarasów pomnożoną przez liczbę stopni i podzieloną przez ogólną powierzchnię — z końcowym wynikiem równie odczłowieczonym jak problem algebraiczny!") Podróżnik odwiedzający te ruiny stwierdza, że zastygła w kamieniu matematyka może być prawdziwym piekłem, rozgląda się za jakimś śladem życia, przynajmniej za jakąś rośliną. Lecz, o dziwo, w całym tym wspaniałym świecie obrazów i ornamentyki Majów, ludu, który żył kukurydzą i otoczony był pyszną, bujną roślinnością — w całym tym świecie obrazów nadzwyczaj rzadko ukazuje się jakaś roślina: zaledwie kilka spośród niezliczonej w tym kraju ilości kwiatów i ani jedna z ośmiuset odmian kaktusów! Ostatnio w pewnym składającym się z pięciu części ornamencie badacze według swego mniemania rozpoznali kwiat *bombax* aquaticum, drzewa rosnącego na poły w wodzie. Ale gdyby nawet mieli rację — wobec powszechnego w sztuce Majów braku wszelkich motywów roślinnych jest to doprawdy niewiele. Nawet kolumny, które nieomal wszędzie na świecie zrodziły się z widoku pnącego się ku'niebu drzewa, u Majów są podzielonymi na sploty cielskami węży — obrzydłymi potworami z wysuniętym językiem.

Dwie takie kolumny stoją przed „Świątynią Wojowników". Rogata głowa węża przywarła płasko do ziemi, paszcza jest szeroko otwarta, cielsko wije się do tyłu, po czym pionowo dźwiga się w górę: niegdyś ogonem podpierało dach świątyni. Stojąc przed tymi wężami i „Świątynią Wojowników", i nie tylko przed nimi — obserwując

niemal wszystkie budowle w Chichen-Itza, badacze coraz bardziej utwierdzali się w przekonaniu, że sztuka ta różni się od budowli w Copanie i Palenque, w Piedras Negras i Uaxactiin nie tylko tak, jak zwykle różnią się między sobą sztuka Nowego i sztuka Starego Państwa. Przeprowadzali studia nad stylami. Badali i porównywali — tu linię, ówdzie ornament, tu jakąś maskę bożka, tam znowu znak wyrażający rok lub okres przestępny. I w końcu doszli do wniosku: tu pracowały obce ręce, działały obce myśli, przemawiała obca wiedza.

Ale skąd wzięły sdę te obce myśli? Kto je tu przyniósł? Badacze kierowali swój wzrok na Meksyk, jednakże nie na państwo Azteków (było ono przecież znacznie późniejsze od państwa Majów), lecz na budowle, które były już prastare, gdy Aztecy wtargnęli do Meksyku.

Czyżby dla zrozumienia tego zdumiewającego faktu, że potężna kultura Majów uległa obcemu wpływowi, nie było żadnej wskazówki historycznej? Żadnego przewodnika, takiego, jakim niegdyś był Diego de Landa? Nikogo, kto by przynajmniej napomknął słowem o tajemniczym ludzie wielkich „budowniczych”?

Był taki człowiek i znano go już od dawna. Tylko że dotychczas nie brano go serio. Był nim aztecki książę — książę Ixtlilxochitl, zupełnie niezwykły człowiek.

Rozdział trzydziesty trzeci

SCHODY POD LASAMI I LAWĄ

Jest on — tak William Prescott pisał sto lat temu o księciu Ixtlixochitl — bezpośrednim potomkiem rodu królewskiego z Texcoco, który stulecie hiszpańskich podbojów zastało w pełni rozkwitu. Korzystał z każdej sposobności, by wzbogacać

swą wiedzę, a przy tym był bardzo pracowity i zdolny. Jeżeli zaś opowiadania swe upiększał wspaniałymi barwami, co jest zrozumiałe u człowieka pragnącego wskrzesić minioną chwałę starego, lecz w gruzach leżącego państwa, to jednak na ogół chwalono go za szczerość i prawość, a hiszpańscy pisarze, którzy mieli dostęp do jego rękopisów, bez nieufności szli wskazanymi przez niego śladami."

W latach późniejszych świat uczonych zgoła inaczej oceniał tego księcia. „Stulecie krytyki źródeł" uważało go za romantycznego bajarza, za indiańskiego barda; traktowano go z życzliwą wyrozumiałością, gdy opowiadał o świetności swego ludu, lecz nie wierzono mu ani słowa. To, co opowiadał, istotnie było zdumiewające, a niekiedy wręcz niewiarygodne. Dopiero dwaj bodaj że najwybitniejsi niemieccy badacze historii Meksyku, Eduard Seler i Walter Lehmann, zaczęli — bardzo późno — wierzyć, że opowiadania księcia Ixtlilxochitl zawierają jakieś „ziarno prawdy historycznej".

W naszym opisie dziejów archeologii natrafialiśmy raz po raz na krótkie okresy, w których nagromadzenie nowych faktów groziło przeinaczeniem obrazu historycznego, dopiero co uzyskanego wśród największych trudności. Niejednokrotnie też mogliśmy obserwować, jak usiłując trwożliwie uniknąć tego rodzaju przeinaczeń (albo uzyskania nowego obrazu), nowe te fakty bądź w ogóle ignorowano, bądź tak ostrożnie obchodzono wokoło, jak kot obchodzi wkoło zbyt gorącą papkę. Również i „archeologiczna papka" musi wystygnąć, nim się nadaje do spożycia. Toteż badacze krążyli wokół tych staromeksykańskich budowli i ruin, jak gdyby lawa, którą niegdyś zostały na poły zakryte, wciąż jeszcze lała się ognistym strumieniem. Albowiem te budowle wznoszące się w dawnych miastach azteckich w żaden sposób nie pasowały do obrazu, który dzięki znaleziskom i badaniom na obszarze Majów wypełnił się rysunkiem i barwami, uzyskał perspektywę i tło. Jeśli w ogóle dostrzegano (a nikt ich nie szukał), starano się je skrzętnie omijać. I chociaż normalnie biorąc nie można było nie zauważyć na przykład uwag Prescotta (pisanych przed stu laty!) o Teotihuacan — mieście ruin, koło którego przemaszerował Cortez uciekając owej n-oche *triste* ze stolicy Meksyku — to jednak aż do początku naszego stulecia wszystkim niemal ba-

daczom jakoś się to udawało. Kilka oględnych aluzji, bardzo wiele znaków zapytania — i na tym kończyły się komentarze mające objaśnić te prastare ruiny. Aż nastał czas, gdy raptem poznano ich tajemnice jedną po drugiej. W ciągu ostatnich trzydziestu lat zaczęły się nagle mnożyć odkrycia, których dokonać można było już dawno. Najbardziej bowiem zdumiewający był fakt, że dla dotarcia do tych piramid nie trzeba było dopiero organizować ekspedycji, nie trzeba było walczyć z febrą i groźnymi zwierzętami ani przebijać sobie drogi przez nieprzebytą dżunglę. Dojeżdżało się do nich — brzmi to wprost nieprawdopodobnie, a jednak jest prawdą — koleją lub dochodziło w niedzielne popołudnie wygodnym spacerem. Wiele bowiem z tych budowli, największych i najwznioślejszych świadectw dawnej kultury środkowoamerykańskiej, leżało o jedną godzinę jazdy koleją od stolicy Meksyku, co więcej — niektóre z nich stały na krańcach samego miasta.

Książę Ixtlilxochitl, przyjaciel Hiszpanów, był ochrzczony. Posiadał znakomite wykształcenie, a także rozległą wiedzę kapłańską. Gdy okres wojen się skończył, cały wsłuchany w podania, które żywa jeszcze tradycja szeptała mu do ucha, począł spisywać historię swego ludu. Historia, którą napisał (a której nikt nie wierzył), zaczyna się od prastarych, zamierzchłych czasów — od założenia miasta Tulą (inaczej Tollan, w dzisiejszym stanie Hidalgo) przez lud Tolteków. Ixtlilxochitl opowiada o ich wielkości i świetności. Znali pismo, liczby i kalendarz, budowali świątynie i pałace. Ich rządy w Tuli były nie tylko rządami władców, ale i mędrców. Prawa, które wydawali, były sprawiedliwe dla każdego. Religia ich była łagodna, wolna jeszcze od późniejszych okrucieństw. Państwo Tolteków trwało pięćset lat. Potem nastąpiły klęski głodowe, wojny domowe, waśnie dynastyczne. Inny lud, Cziczimekowie, zajął ich kraj. Pozostali przy życiu Toltekowie wywędrowali. Uciekali najpierw do Tabasco, a potem dalej — do Jukatanu.

Kiedy się to wszystko działo? Książę Ixtlilxochitl podaje kilka dat. Nie powtarzamy ich za nim, bo są nieścisłe. W ogóle opisując znaleziska z czasów przedazteckich (a także z czasów poprzedzających historię Majów) nie wierzymy już żadnej dacie. Dla każdego bowiem wydarzenia jest ich tyle, ilu jest badaczy historii meksykańskiej, a

tych jest dzisiaj niemało.

Rzecz dziwna, że nawet i wtedy, gdy pierwsze znalezisko pewnego francuskiego odkrywcy potwierdziło opowiadania indiańskiego historyka, w dalszym ciągu nie dawano im wiary. Żaden archeolog nie wierzył w istnienie miasta Tulą, o którym opowiadał Ixtlilxochitl; jakkolwiek podawał o nim tyle konkretnych szczegółów, porównywano je z mitycznym Tulę. Nawet fakt, że i obecnie na północ od stolicy Meksyku istnieje miasteczko Tulą de Allende, nie dawał, zdaniem badaczy, żadnego punktu zaczepienia, gdyż w okolicy tego miasteczka nie widać było żadnych ruin, które by potwierdzały dane azteckiego księcia i historyka. Nawet gdy w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia Francuz Desirś Charnay (szukając raczej skarbów niż zabytków archeologicznych) w pobliżu tego Tulą de Allende natknął się na piramidę, nauka nie wyciągnęła z tego żadnych konsekwencji.

Dopiero w czasie drugiej wojny światowej, gdy niemal cała reszta świata zajęta była unicestwianiem wszystkich istniejących kultur, meksykańscy archeologowie zaczęli odkopywać swą dawną kulturę.

I, o dziwo, w 1940 roku archeologowie całego świata musieli schylić głowy przed indiańskim księciem. Czyż jednak tak samo nie schylili jej przed Homerem, na skutek wykopalisk Schliemanna, i przed Biblią — wobec znalezisk Layarda? Sceptyczni bowiem badacze znaleźli w końcu owo stare miasto Tulą! Znaleźli piramidę Słońca i piramidę Księżyca, a pod wielometrowym pokładem gruzu dobrze zachowane płaskorzeźby i piękne rzeźby.

Egon Erwin Kisch, najlepszy reporter świata, który jako niemiecki emigrant spędził kilka lat w Meksyku, pierwszy przeprowadził „wywiad" z piramidą Księżyca. „Podczas tej rozmowy — pisze — z platformy nachyla się nad nami ostro zarysowana twarz Indianina. Czyżby to wraz z piramidą wyłonił się z ziemi Ixtlilxochitl, żeby po czterystu latach wygnania i potępienia upomnieć się o swą sławę uczonego?"

W krótkich, jak już powiedzieliśmy, odstępach czasu nastąpiły teraz odkrycia, które

spod innych warstw kulturowych, spod kultury Azteków wydobyły na światło dzienne kulturę legendarnych Tolteków. Ale czy doprawdy spod innych kultur? W rzeczywistości mieszkańcy stolicy Meksyku od kilkuset lat żyli między tymi piramidami, żyli obok nich, nic o tym nie wiedząc. Mijali je, gdy udawali się do pracy w polu. Leżeli u ich podnóży, gdy podczas przerwy w pracy raczyli się łykiem *pulque,* morderczą wódką z agawy, znaną już Toltekom. A wystarczyłoby, gdyby choć raz poszli dalej przed siebie — wpadliby wtedy prosto na jakąś piramidę.

W krótkich — mierząc miarą badań archeologicznych — odstępach czasu następowały teraz po sobie coraz to nowe wykopaliska. W ciągu trzydziestu lat dokonano rewelacyjnych odkryć. Na północno-zachodnich krańcach stolicy Meksyku odkopano w 1925 roku piramidę Węża i stwierdzono, że nie była to jedna piramida, lecz osiem piramid — kamienna cebula, w której pod jedną łupiną kryła się druga. Z danych kalendarzowych wynikało, że prawdopodobnie co pięćdziesiąt dwa lata dodawano do piramidy taką nową obudowę, czyli że w sumie przy tej jednej tylko budowie pracowano z górą czterysta lat (znajduje to jedyny godny odpowiednik w budowanych w świecie zachodnim katedrach i tumach). W samym centrum stolicy prowadzono wykopaliska w poszukiwaniu resztek wielkiego teocalli (tak doszczętnie zniszczonego przez Corteza). Znaleziono fundamenty tej świątyni. Poza obrębem stplicy podejmowano przede wszystkim wciąż nowe prace wykopaliskowe w odległym o pięćdziesiąt kilometrów dzisiejszym mieście San Juan Teotihuacan, największym zbiorowisku piramid i najwspanialszych świadectw dawnej kultury Tolteków, w „Mieście, gdzie zanosi się modły do boga" (takie bowiem jest znaczenie nazwy „Teotihuacan", przy czym warto wskazać na tę osobliwość, że meksykańskie słowo „teo" znaczy tak samo jak w języku starogreckim „bóg"; dodajmy jednak od razu, że takie przypadkowe podobieństwa dźwiękowe nie dają podstawy do żadnych wniosków). Ruiny w Teotihuacan pokrywają powierzchnię siedemnastu kilometrów kwadratowych — a dotąd odkopano dopiero nieznaczną ich część! Wszystko zdaje się wskazywać na to, że mieszkańcy tego miasta przed swą ucieczką zasypali je wielometrową warstwą gruzu. Ta praca ochronna jest nie mniej godna podziwu niż

same budowle, wysokość bowiem największych zasypanych w ten sposób piramid (są to piramidy stopniowe z charakterystycznymi schodami) dochodzi do sześćdziesięciu metrów.

Wreszcie archeologowie przenieśli swe prace wykopaliskowe również na teren meksykańskich prowincji. Eduard Seler pierwszy opisał „Piramidę Forteczną" w Xochicalco, o osiemdziesiąt kilometrów od stolicy. Kopano także w Cholula — w mieście, gdzie niegdyś Cortez popełnił jeden ze swych najhaniebniejszych aktów wiarołomstwa. Archeologowie odkopali tu we wnętrzu największej piramidy, która niegdyś pokrywała większą powierzchnię niż piramida Cheopsa, ciągnący się kilometrami labirynt chodników. Posunięto się jeszcze dalej na południe. W 1931 roku Meksykanin Alfonso Caso przeprowadził na polecenie rządu wykopaliska na Monte Alban („Biała Góra") pod Oaxaca. I tu nareszcie urzeczywistniło się to, co prawdopodobnie było ukrytą, choć nigdy nie wypowiedzianą nadzieją wszystkich pracujących wówczas w Meksyku archeologów: znaleziono skarb.

Skarb z Monte Alban! Tu jednak oddajmy głos lepszemu od nas narratorowi. Egon Erwin Kisch, reporter słynący ze swej gruntowności, przeprowadził „wywiad" również i z tą górą.

„Czy istnieje gdziekolwiek na świecie — pyta Kisch — miejsce, które osłania się taką tajemniczością i pozostawia bez odpowiedzi wszystkie nasze pytania? I co przeważa w nas tutaj — zachwyt czy konsternacja?" Kisch pyta, jaka jest tego przyczyna: „Czy są nią te rozmiary przestrzenne, kontury, otwierające widok na nieskończoność? Czy piramidy, które wyglądają jak wspaniałe schody wiodące do wewnętrznych apartamentów nieba? A może jest nią ten dziedziniec świątyni, który siłą naszej wyobraźni zaludnia się wieloma tysiącami Indios pogrążonych w zapamiętałej modlitwie? Albo obserwatorium, którego zamknięty w murach punkt obserwacyjny tworzy z południkiem kąt azymutu? Czy też spojrzenie na stadion, jakiego od czasów starożytnego Rzymu Europa nie zbudowała aż do dwudziestego wieku — stadion o stu dwudziestu rzędach kamiennych ław?

Czy jest nią system takiego rozmieszczenia wieluset krypt grobowych, że razem nie

tworzą cmentarza i jeden grób nie przeszkadza drugiemu? Czy może pstre mozaiki, freski z figurami, scenami, symbolami i hie-roglifami? Czy też gliniane naczynia, wazy ofiarne o szlachetnych wygięciach, urny o geometrycznej prostocie linii, urny na czterech nóżkach, z których każda ma wewnątrz dzwonek i dzwoni wzywając pomocy, gdy jakaś świętokradcza ręka próbuje ją wykraść?

A może są nią klejnoty? Czyż na nowojorskiej wystawie światowej wszystkie dawne i nowoczesne dzieła sztuki złotniczej nie bladły wobec klejnotów z Monte Alban?

Drobna tylko część tego skarbu mieni się i błyszczy w witrynie Muzeum Narodowego w Meksyku.

Kto by uwierzył, że «dzicy» umieli z taką precyzją szlifować kryształ górski, że potrafili wykuwać liczące po dwadzieścia sznurów naszyjniki składające się z 854 wycyzelowanych i matematycznie równych ogniw ze złota i szlachetnych kamieni? Jedna z brosz przedstawia rycerza śmierci, któremu Lucas Cranach nie umiałby nadać bardziej apokaliptycznego wyglądu. Ozdobne przepaski na kolana przypominające angielski Order Podwiązki; kolczyki, jakby utkane z łez i cierni; przybranie głowy — tiara godna głowy papieża nad papieżami; plecione pierścionki jako ozdoba paznokci u palców rąk; bransolety i zapinki z rzeźbionymi wypukłe ornamentami; agrafy do płaszczy wykonane z nefrytu, turkusów, pereł, bursztynu, korali, obsydianu, zębów jaguara i masy perłowej; złota maska, na której policzkach i nosie wymodelowane jest trofeum z ludzkiej skóry; tabakierka z pozłacanych liści tykwy; wachlarze z piór ptaka *quetzal*. Jakaż bizantyjska cesarzowa, jaka żona indyjskiego maharadży, jaka amerykańska multimilionerka posiadała kiedykolwiek tak wspaniałe klejnoty jak te, które wielu z tych Indios nosiło na sobie jeszcze w grobie?"

„Pytania, nic, tylko pytania na Monte Albän" — taki tytuł nadał Kisch temu rozdziałowi swej książki o Meksyku. Ale czy tylko na Monte Albän?

Bądźmy uczciwi: o tym ludzie „budowniczych" z czasów przedazteckich wiemy na razie mniej niż nic. A wiedzieć „mniej niż nic" to znaczy wiedzieć wiele rzeczy nieprawdziwych. Meksyk i Jukatan są krajami dżungli — i jak w dżungli gubi się archeolog, gdy zaczyna tu czegokolwiek dociekać. Bo cóż właściwie jest w tym

wszystkim pewnego?

Jedno tylko jest pewne: kultura tych trzech ludów pozostaje ze sobą w ścisłym związku. Każdy z nich budował piramidy, których schody prowadziły do bogów, do Słońca lub Księżyca. Sposób ustawienia wszystkich tych piramid, jak obecnie wiemy, pozostawał w związku z obliczeniami astronomicznymi; budowle te wzniesione zostały pod nakazem kalendarza. W 1928 roku amerykański archeolog Ricketson junior dowiódł tego po raz pierwszy na przykładzie piramidy wzniesionej przez Majów w Uaxactün. Dziś mamy już dalsze tego dowody — z czasów nowszych w Chichen-Itza i z czasów prastarych na Monte Alban. Wszystkie te ludy czuły nad sobą miecz Damoklesa wielkich cyklów kalendarzowych. Wierzyły na przykład, że z upływem każdego okresu pięćdziesięciu dwóch lat następuje koniec świata. (Z tego rodzaju wierzeń powstawała i rosła władza kapłanów, gdyż tylko oni byli w stanie odwrócić grożącą katastrofę. Z biegiem lat środki stosowane przez kapłanów stawały się coraz surowsze, to znaczy coraz okrutniejsze, i wyrodziły się w końcu w olbrzymie hekatomby ofiar ludzkich oraz w święto Xipe Totec, boga Ziemi i Wiosny, na którego cześć kapłani ściągali z żywej jeszcze ofiary ludzkiej krwawiącą skórę i sami się w nią ubierali.)

Ścisły związek między tymi trzema ludami unaoczniają nam także ich bogowie, którzy pozostają do siebie w takim samym stosunku, jak bogowie greccy do rzymskich. Jeden z głównych bogów azteckich, wielki i mądry Quetzalcouatl, występuje w Gwatemali jako Kukumatz i w Ju-katanie jako Kukulkan; jego wizerunek — „uskrzydlony wąż" — widnieje na wszystkich budowlach. Ludy środkowoamerykańskie nawet w sposobie życia były do siebie podobne, wszystkie zaś ich języki, jakkolwiek jest ich bardzo wiele, należą — jeżeli chodzi o ludy o wyższym stopniu kultury — tylko do dwóch wielkich grup językowych.

Po stwierdzeniu tych różnorodnych przejawów pokrewieństwa wewnętrznego (ostatnio zebrano co do tego ogromny, prawie że nie dający się ogarnąć materiał) wyłoniło się pytanie, w jakich wzajemnych stosunkach pozostawały ze sobą te ludy, jak wzajem się przenikały i jak sobie przeciwdziałały, słowem — jaka była ich

historia. I tu — gdy chodzi o historię najstarszą — błądzimy jeszcze po omacku. Mimo znakomitych wyników osiągniętych przez badania archeologiczne, które doprowadziły do przypuszczalnie ścisłej korelacji między kalendarzem Majów a naszą rachubą czasu, w dalszym ciągu nie znamy jego punktu wyjściowego. Dżungla, którą dziś usuwamy z terenu piramid i pałaców dawnej Ameryki, odsłania budowle, lecz nie odsłania jeszcze przeszłości, ukazuje daty, ale jeszcze nie ukazuje historii. Możemy budować teorie, niewiele jednak możemy rejestrować faktów.

Powiedzieliśmy, że będziemy się wystrzegać przytaczania liczb. Odstąpmy raz od tej zasady, aby wyrobić sobie pojęcie o okresach, jakimi muszą operować archeologowie. Tak na przykład kilku badaczy opierając się na różnych oznakach uważa, że wielkie piramidy w Meksyku zostały zbudowane przez Tolte-ków w IV wieku p o Chr.

Otóż wymieniliśmy kilka spośród tych piramid, od miasta Tulą aż po Monte Alban. Nie wspomnieliśmy dotąd o jednej — o stojącej na siedmiometrowym pagórku na skraju stolicy Meksyku piramidzie Cuicuilco. Wznosi się ona na tle niesamowitego, jakby zastygłego krajobrazu. Niegdyś wybuchły tu wulkany Ajusco i Xitli (być może tylko ten ostatni) i bluznęły na nią strumieniami ognistej lawy. Mieszkający na jej szczycie bóg widocznie tylko w połowie udzielił jej pomocy, gdyż tylko jedna jej połowa została zalana wrzącą masą erupcyjną. I tu archeologowie zwrócili się do kilku kolegów z innego fakultetu, geologów, z zapytaniem, ile ta lawa ma lat. Geologowie, nawet nie podejrzewając, że odpowiedzią swą burzą pewien ustalony już obraz historyczny świata, odpowiedzieli: „osiem tysięcy lat!"

Dziś wiemy, że odpowiedź ta była błędna, metody datowania bowiem stosowane przez geologów zawodzą, gdy chodzi o stosunkowo „krótkie" okresy (geolodzy w obliczeniach swych operują setkami tysięcy albo milionami lat).

Dziś uważamy za rzecz niemal pewną, że ludy amerykańskie, potomkowie plemion mongolskich, przywędrowały do Ameryki dwadzieścia lub trzydzieści tysięcy lat temu przez Syberię i Alaskę łączącym wówczas te dwa kontynenty pasem lądowym albo na łodziach. Ale skąd z tej domniemanej grupy migracyjnej przybyli budowniczowie kultur Teotihua-canu, skąd wzięli się tu Toltekowie i dlaczego

właśnie te grupy etniczne między Alaską a Panamą były w stanie dać prapoczątek wszelkiej kulturze ludzkiej — tego nie wiemy.

Mało tego, nie wiemy nawet, czy doprawdy dzieła tego dokonał głównie jakiś lud „Tolteków". Bo jakąż rolę odegrali na przykład Zapoteko-wie i Olmekowie, których ślady znajdujemy w całym Meksyku? Jeżeli obecnie za poprzedników kultury azteckiej i kultury Majów uważamy powszechnie „Tolteków" (w czasach najnowszych nauka wyodrębniła kulturę Tolteków od kultury Teotihuacanu), to musimy sobie uprzytomnić, że na razie w tym określeniu znaleźliśmy tylko zbiorową nazwę dla twórców kultur środkowoamerykańskich. Kto wie, może nawet samo słowo „Toltekowie" nie oznacza w rzeczywistości nic innego, jak „budowniczowie"!

Nie będzie może od rzeczy, jeśli chcąc wnieść jakiś ład w zagadnienie wzajemnego oddziaływania na siebie trzech wielkich państw środkowoamerykańskich przytoczymy tu pewne porównanie zaczerpnięte ze Starego Świata, które niemiecki badacz Teodor Wilhelm Danzel w jednej ze swych prac przeprowadza w odniesieniu do Meksyku:

„Aby scharakteryzować swoistość kultury Azteków i Majów, przeprowadzono tu i ówdzie porównania ze Starym Światem, zestawiano mianowicie Azteków z Rzymianami, a Majów — z Grekami. Porównanie to na ogół jest trafne. Majowie istotnie byli ludem, który, podzielony na skłócone ze sobą wspólnoty rodowe, tylko przejściowo, gdy chodziło o przeciwstawienie się wspólnemu wrogowi, zespalał się w bardziej zwartą, jednolitą całość. Chociaż rola polityczna, którą odgrywali Majowie, nie była zbyt wielka, to jednak w dziedzinie sztuk plastycznych, architektury, astronomii i arytmetyki dokonali oni rzeczy wielkich.

Aztecy natomiast byli ludem wojowniczym. Zbudowali swe państwo na gruzach innego ludu (Tolteków), który nie był w stanie wytrzymać ich naporu. Tolteków, gdybyśmy chcieli dalej przeprowadzać te paralele, można by porównać z Etruskami."

Spodziewamy się, że czytelnik, który z pewną uwagą przeczytał naszą książkę, dostrzeże tu jeszcze inne analogie. Toltekowie (a być może i wcześniejsze od nich ludy) w swej funkcji historycznej podobni są do Sumerów. Wtedy Majów można by

porównać z Babilończykami, którzy spożytkowując wielkie wynalazki Sumerów budują państwo o wysokiej kulturze. Aztecy zaś występują w roli Asyryjczyków, którzy jeszcze korzystają z przejętych od Babilończyków wielkich wartości duchowych, lecz już przeobrażają je w czysto materialną potęgę. Snując dalej wątek tych analogii można by powiedzieć, że stolica Meksyku została u szczytu swej świetności tak samo „zgilotynowana" przez Hiszpanów, jak stolica Asyrii, pyszna Niniwa, niegdyś zgilotynowana została przez Medów.

Oba te porównania wszakże prześlizgują się koło jednej sprawy. Nie uwzględniają mianowicie tego omal że niepojętego faktu, że Toltekowie w pewnym memencie, gdy państwo ich już dawno rozpadło się w gruzy, nagle wyruszyli znowu ze swych siedzib, wtargnęli do państwa Majów i w mieście Chichen-Itzä wycisnęli na nim wyraźne piętno swej kultury. Fakt ten nie ma odpowiednika w dziejach Starego Świata. Ale czy doprawdy tak było? Wszystko to mogło się odbyć zupełnie inaczej. Istnieje też pewna legenda, która przedstawia to wszystko w sposób tak dalece odmienny, że w obrazie rozwoju wypadków historycznych nawet przybycie Hiszpanów staje się faktem mitycznie z góry przewidzianym. Według tej legendy Quetzalcouatl — którego dotąd wymienialiśmy tylko jako boga — przybył z jakiegoś „Kraju Wschodzącego Słońca". Nosił długą białą szatę i długą białą brodę. Uczył lud wszelakich nauk, obyczajności oraz stanowienia mądrych praw i stworzył państwo, w którym kłos kukurydzy sięgał wzrostu człowieka, a bawełna rodziła się już kolorowa. Potem jednak z jakiegoś nieznanego powodu musiał opuścić zbudowane przez siebie państwo. Odchodząc zabrał ze sobą swe prawa, pisma i pieśni. Oddalił się tą samą drogą, którą przyszedł. Zatrzymał się w mieście Cholula, tu jeszcze raz głosił swą mądrość, po czym udał się nad morze, począł płakać i sam siebie spalił. Serce jego stało się gwiazdą poranną. Inne legendy mówią, że wsiadł na swój okręt i odpłynął z powrotem do kraju, z którego niegdyś przybył. W jednym wszakże punkcie legendy są zgodne: obiecał, że wróci.

Tak często widzieliśmy dotąd w naszej książce, jak rdzeń jakiejś legendy okazywał się potem prawdziwy, że nie popełnimy tej nieostrożności, by legendę o

Quetzalcouatlu zbyć jako poetyckie zmyślenie, czym się na pierwsze wejrzenie wydaje. Czyż jego „biała szata" nie mogła po prostu oznaczać skóry człowieka, białej rasy? Zwłaszcza jeżeli zważymy, że nosił podobno brodę — rzecz zupełnie niezwykła u tych ludów niemal całkowicie pozbawionych zarostu.

Można by pójść jeszcze dalej (cytujemy tu poglądy całkiem poważnie wysuwane przez różnych badaczy) i przypuścić, że chodziło tu o misjonarza przybyłego z jakiegoś dalekiego, obcego kraju. Niektórzy badacze uważają, iż był to jeden z najwcześniejszych misjonarzy katolickich VI wieku, inni zaś nawet dopatrują się w nim apostoła Tomasza we własnej osobie. A może ta legenda stanowi nową pożywkę dla teorii, w którą niegdyś wierzył Thompson za swych młodych lat, gdy twierdził, że twórcy kultury najwcześniejszego państwa Majów byli Atlantydami?

Nie wiemy tego.

Wiemy tylko jedno: hiszpańscy najeźdźcy, których ludy indiańskie, pomne ostatniego przyrzeczenia białego człowieka z brodą, uważały za „białych bogów ze Wschodu" — ci Hiszpanie (odrzućmy na bok wszelką dumę narodową, potraktujmy rzecz ogólniej i raczej powiedzmy po prostu: Europejczycy) z pewnością nie byli potomkami Quetzalcouatla. Quetzalcouatla, który krzewił dobre obyczaje i głosił sprawiedliwość.

V. KSIĘGI, KTÓRYCH JESZCZE NIE MOŻNA NAPISAĆ

> Jeżeli chcemy nauczyć się skromności, nie potrzebujemy kierować wzroku aż na ugwież-dżone niebo. Wystarczy, jeżeli spojrzymy na ludy i kultury, które tysiące lat przed nami istniały, doszły do wielkości i przeminęły.

Rozdział trzydziesty czwarty

NOWE POSZUKIWANIA W STARYCH PAŃSTWACH

Nasz opis wielkich odkryć archeologicznych dobiega końca. Wraz z nim dobiega końca spacer, który prowadził nas przez pięć tysiącleci.

Temat bynajmniej nie jest wyczerpany. Jeżeli go mimo to uważamy za zamknięty, to dlatego, że objętość każdej książki podlega pewnej własnej ekonomii. Jednak dokonując wyboru wśród mnóstwa odkryć archeologicznych, kierowaliśmy się pewnym szczególnym zamiarem. Przez to, że uszeregowaliśmy wykopaliska nie w porządku chronologicznym, lecz według obszaru kulturowego, na którym zostały przeprowadzone, niemal sam przez się w naszych czterech „Księgach" wyłonił się obraz czterech zamkniętych w sobie kręgów kulturowych, czterech najważniejszych, wysoko rozwiniętych kultur ludzkości. Należy przy tym pamiętać, że między tymi niewidoma kulturami, które osiągnęły wysoki stopień rozwoju, a niezliczoną ilością prymitywnych społeczności ludzkich zachodzi taka sama różnica, jak między „historią" a wegetacją, między świadomością a instynktem, między twórczym kształtowaniem otaczającego świata a biernym bytowaniem.

Jeżeli w tym posłowiu chcemy mówić o „księgach, których jeszcze nie można napisać", to mamy na myśli przede wszystkim trzy kultury pod względem znaczenia bodaj że nie ustępujące omówionym przez nas kulturom. Jest to kultura Hetytów, kultura dorzecza Indusu i kultura Inków. Ksiąg o tych kulturach nie można jeszcze napisać i zamknąć, tak jak napisane i zamknięte zostały księgi o czterech innych kulturach, ponieważ nie są one jeszcze w tym stopniu zbadane, by można było nakreślić przebieg ich rozwoju historycznego zastosowaną przez nas metodą.

I jeszcze jedno. Książka nasza nazywa się „powieścią o archeologii". Aby usprawiedliwić ten tytuł, z rozmysłem wybraliśmy te kultury, których zbadanie rzeczywiście stało się dla archeologów romantyczną przygodą. O Inkach wiemy niemal tyle co o Majach, ale wśród badaczy kultury andyjskiej próżno szukalibyśmy badaczy typu Stephensa lub Thompsona. Wiemy także dość wiele o historii Chin. Ale naszą wiedzę o kulturze chińskiej w najmniejszej tylko części zawdzięczamy pracom wykopaliskowym. Jest więc jasne, dlaczego i jedną, i drugą pominęliśmy w naszym opisie.

Natomiast w dawnym państwie Hetytów i w dolinie Indusu prowadzi się od kilkudziesięciu lat intensywne prace wykopaliskowe, które dają bardzo poważne

wyniki. Te „Księgi" zatem pewnego dnia trzeba będzie napisać.[1]

Musimy jednak jasno zdać sobie sprawę, że nawet i wtedy, gdy będziemy mogli uzupełnić nasze cztery „Księgi" trzema dalszymi, bynajmniej nie damy jeszcze przez to obrazu wszystkich wysoko rozwiniętych kultur. W umyśle przeciętnie wykształconego człowieka naszej doby żywa jest obok chrześcijańskiej kultury Zachodu tylko jeszcze znajomość greckiej i rzymskiej starożytności. Jednakże już w toku opisywania tajemniczego ludu Sumerów mieliśmy sposobność przekonać się, że w głębokich pokładach naszej świadomości nadal działają znacznie odleglejsze i znacznie starsze kultury. Współczesny zaś angielski historyk kultury Arnold J. Toynbee widzi historię ludzkości jako historię żyjących obok siebie i następujących po sobie (przeważnie w bezpośrednim następstwie, gdzie dziedzictwo przechodzi z ojca na syna) dwudziestu jeden kultur!

Toynbee dochodzi do tej wysokiej liczby, ponieważ przez „kulturę" rozumie nie jak Spengler pewien „krąg kulturowy", lecz „ucywilizowaną społeczność". Tak na przykład społeczność wschodnio-chrześcijańską bada oddzielnie jako prawosławno-bizantyńską i prawosławno-rosyjską. Z kultury chińskiej zaś wyodrębnia jako twór samoistny kulturę japoń-sko-koreańską.

Jego wielotomowe monumentalne dzieło (z którego historyk D. C. Somervell wydał skomprymowane do jednego tomu streszczenie) noszące skromny tytuł *A Study oj History* jest w dziedzinie historii kultury bodaj że najpoważniejszą publikacją ostatnich kilkudziesięciu lat. Kończy ono ostatecznie z obalonym już przez Spenglera, lecz wciąż jeszcze stosowanym w naszych szkołach sposobem nauczania historii przedstawianej jako „postępujący rozwój" według doprawdy nie dającego się dłużej utrzymać schematu: „Czasy starożytne — średniowieczne — nowożytne — najnowsze."

Aby należycie uświadomić sobie, jakie kultury, poza tymi, które usiłowaliśmy zobrazować w naszej „powieści", historyk musi dzisiaj brać pod uwagę, wyliczmy je

1 Słowa te pisane były w 1949 roku. Tymczasem w latach 1951 i 1953 autor miał sposobność zwiedzenia najnowszych wykopalisk na obszarze dawnego państwa Hetytów (głównie na południowym wschodzie Turcji). Poświęcona temu jest nowa praca C. W. Cerama *Enge Schlucht und Schwarzer Berg. Entdeckung des Hethiter-Reiches* (Głęboki wąwóz i Czarna Góra. Odkrycie państwa Hetytów), wyd. Rowohlt Verlag, Hamburg.

tak, jak widzi je Toynbee: Są to kultury:

chińska

W rzeczywistości lista ta, gdybyśmy chcieli pójść za innymi badaczami, byłaby dwa razy dłuższa. Platon opowiada nam o zaginionej kulturze Atlantydy. Literatura o tym zatopionym lądzie (którego istnienia dotąd w ogóle nie zdołano jeszcze dowieść) obejmuje około dwudziestu tysięcy tomów, w tym ogromna ilość dzieł, które uważają, ze bez Atlantydy obraz historyczny naszego świata jest absurdem. Niemiecki podróżnik po Afryce i historyk kultury Leo Frobenius również nie zadowoliłby się listą, którą ułożył Toynbee: z pewnością domagałby się uzupełnienia jej kilkoma „czarnymi kulturami". Zresztą i Frobenius operuje stale pojęciem „kultury atlantyckiej". A któż poza tym odważyłby się twierdzić, że łopata archeologa nie wydobędzie na światło dzienne jeszcze innych kultur, których istnienia dotąd nawet nie podejrzewamy? Co więcej, istnieją rozproszone po świecie i takie pomniki, które, samotne i zagadkowe, świadczą tylko same o sobie, lecz dotąd nie zdradziły nam jeszcze tajemnicy, z jakiej kultury wyrosły. Najwięcej dyskusji wywołują tajemnicze posągi na Wyspie Wielkanocnej — około 260 kamiennych rzeźb z czarnego tufu, które niegdyś pokryte były szerokimi „kapeluszami" z czerwonego tufu. Pomniki te milczą. Liczne drewniane tabliczki, pokryte znakami podobnymi do pisma hieroglifowego, kryją w sobie, być może, rozwiązanie zagadki. W 1958 roku niemiecki etnolog Thomas Barthel wydał swą niezwykle wnikliwą pracą *Grundlagen zur Entzifferung der Osterinselschrift* („Podstawy do odcyfrowania pisma z Wyspy Wielkanocnej") podając w niej interpretację wielu znaków. Na krótko przedtem Wyspę Wielkanocną ponownie odwiedził norweski badacz Thor Hey-erdahl, który w 1947 roku zyskał sobie światową sławę, gdy na tratwie „Kon-Tiki" (zbudowanej na wzór tratw dawnych Inków), wyruszywszy z peruwiańskiego portu Callao, przepłynął Pacyfik i dotarł do wysp Tuamotu. Już jego popularna relacja, ogłoszona w 1957

roku, skłaniała do ostrożności wobec tez wysuniętych przez Barthela. W 1966 roku ukazała się pierwsza naukowa ocena jego pracy. Ustosunkowuje się ona krytycznie do interpretacji Barthela. Ba, wydaje się, że pismo z Wyspy Wielkanocnej jest dziś jeszcze bardziej zagadkowe niż kiedykolwiek przedtem.

Wszelako jedna z podstawowych tez filologów, a mianowicie teza, że inskrypcje w nieznanym języku i nieznanym piśmie bez tekstu *bilingue* (tzn. tekstu dwujęzycznego) nigdy nie dadzą się odczytać, została obalona. Już w 1930 roku Niemiec Hans Bauer niemal za jednym zamachem odcyfrował pismo z Ugaritu (w ciągu kilku zaledwie tygodni z istniejących 30 znaków odczytał prawidłowo siedemnaście). Szczęście (które jednak sprzyja tylko śmiałym) znalezienia raz jeszcze tekstu *bilingue* przypadło w udziale Helmuthowi Th. Bossertowi. W 1947 roku znalazł on na górze Karatepe w dzisiejszej Turcji płaskorzeźbę z dwujęzycznym napisem — i oto hieroglify hetyckie, nad którymi daremnie trudziły się trzy generacje badaczy, zostały odcyfrowane.

Największe jednak w naszym stuleciu osiągnięcie w odcyfrowaniu nieznanego pisma uzyskał *outsider:* po pięćdziesięciu latach daremnych wysiłków badaczy różnych narodowości młody architekt angielski Michael Ventris w 1953 roku odczytał — bez tekstu dwujęzycznego — kreteńskie tzw. „pismo linearne B" i odkrył w nim dialekt starogrecki.[1]

W naszym XX wieku ilość prac wykopaliskowych zwiększała się z każdym dziesięcioleciem. Przerwy w nich następowały tylko z powodu bezsensownych wojen. Niektórzy badacze poświęcili całe swe życie jednemu tylko kompleksowi obiektów archeologicznych. Tak na przykład Francuz Claude F. A. Schaeffer zajął się wyłącznie starosyryjskim miastem portowym Ugarit; badacz niemiecki Kurt Bittel — dawną stolicą hetycką Hattusas (zaczął w 1931 roku i kopie tam do dziś dnia); sir Mortimer Wheeler, kontynuując dzieło sir Johna Marshalla, który w 1922 roku prowadził wykopaliska koło miasta Harappa w Indiach, wydobył na światło dzienne całkowicie nieznaną „kulturę Indusu" (główne miejsce wykopalisk: Mohendżo-Daro), wciąż jeszcze przedstawiającą wiele nie rozwiązanych zagadek; wreszcie Włoch

1 Patrz *Gotter, Graber und Gelehrte im Bild,* Rowohlt Verlag, Reinbek bei Hamburg, str. 80—82.

Amadeo Maiuri przeszło czterdzieści lat (do 1962 r.) prowadził poszukiwania w Pompei — a mimo to dotychczas odkopano tylko trzy piąte tego miasta. Tutaj, tak jak i w innych miejscach, stale koryguje się wyniki dawniejszych prac wykopaliskowych. Tak np. amerykański profesor Biegen prowadząc nowe wykopaliska pod wzgórzem trojańskim stwierdził, że Schliemann i Dörpfeld nie mieli racji: nie warstwa VI, lecz warstwa VII A kryła w sobie Homerową Troję (1200—1190 r. prz. Chr.).

Kilku innym archeologom szczęśliwym trafem udało się odkopać rewelacyjne znaleziska, o których prasa światowa donosiła pod ogromnymi nagłówkami — niekiedy ze względu na ich rzeczywiste znaczenie, ale częstokroć tylko z powodu sensacyjnych okoliczności, w jakich na nie natrafiono.

Leonard Woolley, wielki odkrywca Uru, kopał w latach 1937—1939, a potem znowu od 1946 roku koło Alalakh w Turcji, aż w 1947 r. doniósł o odkopaniu pochodzącego sprzed 4000 lat grobu króla imieniem Yarim-Lim, Amerykanin Nelson Glueck ukoronował swą bogatą w sukcesy karierę poszukiwacza odkryciem „kopalń króla Salomona". Meksykanin Alberto Ruz obalił nienaruszalną, zdawałoby się, tezę, że wprawdzie wszystkie piramidy egipskie są grobami królów, lecz stare piramidy meksykańskie tylko cokołami świątyń — w 1949 r. odkrył w piramidzie Majów w Palenque grób królewski.

A w pięć lat po tym Egipcjaninowi Zakaria Goneimowi udaje się rzecz wprost nieprawdopodobna: rozpocząwszy wykopaliska koło Sakkara znajduje zupełnie dotąd nieznaną piramidę schodkową.

Z naukowego punktu widzenia ogromne znaczenie miało rozpoczęte w 1958 r. przez Anglika Jamesa Mellaarta i wzorowo przeprowadzone odkopanie koło Catalhüyück w Turcji neolitycznego miasta (które prawdopodobnie 6000 lat przed Chr. rzeczywiście było już miastem); poprzednio nie mniej zaskakująco stare miasto zostało odkopane pod gruzami Jerycha, głównie przez Kathleen Kenyon. Jednakże zarówno wiek owych miast, jak i przede wszystkim samo pojęcie miasta w tak zamierzchłych czasach podlegają jeszcze dyskusji i stanowią problem raczej dla socjologów wśród historyków kultury aniżeli dla właściwych archeologów. Najbardziej zaś

spektakularne wykopaliska najnowszych czasów to chyba te, które podjął były szef sztabu generalnego armii izraelskiej, a zarazem archeolog Yigael Yadin, odkopując w pustyni judejskiej twierdzę skalną Masada, o której wielki historyk Józef Flawiusz opowiada, że 960 zelotów wzajemnie się tam wymordowało, aby się nie poddać oblegającym twierdzę Rzymianom.

Czysty też szczęśliwy przypadek doprowadził do bodaj że najbardziej interesującego i najważniejszego odkrycia archeologii całego chrześcijańskiego świata, odkrycia, nad którym jeszcze dziś mozolą się uczeni wszystkich krajów: w 1947 roku beduińscy pasterze kóz odkryli w jaskini koło Kumran, na północ od Morza Martwego, starohebrajskie zwoje pisma, w tym pełny tekst Jezajasza. Do tego doszły dalsze jeszcze znaleziska w innych jaskiniach. Przy tym okazuje się, że te dziś słynne już na cały świat „zwoje pisma znad Morza Martwego" są najstarszymi tekstami, jakie kiedykolwiek odnaleziono, tak że powinny one rzucić nowe światło na opowieści biblijne.

Spośród wszystkiego jednak, co po drugiej wojnie światowej pociągnęło za sobą następstwa dla archeologii, największe znaczenie ogólne ma gwałtowny wzrost wpływu wywieranego na nią przez nauki przyrodnicze i technikę. Zaczęło się to od nowych bodźców do badań archeologicznych pod wodą i z powietrza — badań, jakich przedtem prawie w ogóle nie próbowano prowadzić. Swego czasu Amerykanin Paul Kosock dokonał w tym względzie poważnej pracy pionierskiej odkrywając w swych lotach badawczych całą sieć tzw. „dróg inkaskich" w Andach. Dziś dokonywanie zdjęć lotniczych (olbrzymich niekiedy obszarów, których pieszo, nawet przy największej wytrwałości, nigdy nie można byłoby przebyć ani gruntownie zbadać) należy już do samo przez się zrozumiałych prac przygotowawczych; zdjęcia bowiem z lotu ptaka wskazują także, przez odmienność roślinności i zabarwienia gleby, na ślady starych budowli znajdujących się pod powierzchnią ziemi.

I to, co niegdyś, na przełomie wieków, samotni nurkowie trudniący się połowem gąbek u wybrzeży Grecji zapoczątkowali wydzierając „Błękitnemu Muzeum" pierwsze amfory, później dzięki śmiałemu Francuzowi Jacques Yves Cousteau,

wynalazcy aqualungi, stało się prawdziwą archeologią podwodną; co jednak kryją w sobie setki wraków antycznych okrętów, spoczywające na dnie morskim u wybrzeży Morza Śródziemnego, tego nikt jeszcze nie jest w stanie przewidzieć.

Technika i fizyka po raz pierwszy wtargnęły do archeologii za sprawą *outsidera.* Włoski inżynier i przemysłowiec Carlo M. Lerici zastosował do poszukiwań archeologicznych w ziemi metody geofizyczne, którymi do tego czasu posługiwano się w poszukiwaniach ropy naftowej i wody w pustyniach i górach. Swe prowadzone tym sposobem prace rozpoczął na olbrzymich cmentarzach dawnych Etrusków na północ od Rzymu. Za pomocą swych niezmiernie czułych przyrządów zlokalizował w niezwykle krótkim czasie setki komór grobowych. Zbędnych prac wykopaliskowych (nad pustym grobem) unikał w ten sposób, że uruchamiał specjalny świder i przez wywierconą nim dziurę opuszczał „peryskop", którym przed podjęciem tych prac fotograficznie obszukiwał wnętrze grobu. Lerici miał w sobie niejedno, co upodobniało go do Schliemanna: był bogatym przemysłowcem, w sile wieku poświęcił się całkowicie archeologii i wydał na to wielki majątek. W 1964 roku, po niespełna dziesięciu latach pracy, dorobek jego obejmował 5250 nowo odkrytych grobów etruskich w samym tylko rejonie Cerveteri i Tarquinii!

Jednakże oba najważniejsze przyrodnicze środki pomocnicze współczesnej archeologii powstały tym razem w Ameryce. Dostarczyła je fizyka atomowa i biologia. Spełniło się najstarsze marzenie wszystkich archeologów: możliwość dokładnego datowania.

W 1948 roku Amerykanin Willard F. Libby rozwinął swą metodę nazwaną *radiocarbon dating.* Opiera się ona na tym, że znana jest prędkość rozpadu izotopu C14, znajdującego się we wszystkich ciałach organicznych. Szczątki z grobów, pochodzące z czasów bardzo jeszcze odległych od pojawienia się tekstów pisanych, stanowiących źródło informacji, zdradzały temu „zegarowi epok" Libby'ego datę swoich narodzin.

Ta fizyczno-chemiczna metoda nie pozwalała jednak datować znalezisk z dokładnością do jednego roku (wykazywała różnice *in plus* lub *in minus* tym większe,

im starsze były dane obiekty). Lecz oto okazało się, że inny Amerykanin, Andrew E. Douglass, z zawodu właściwie fizyk i astronom, już kilkadziesiąt lat temu opracował metodę *tree-ring-dating,* czyli tzw. „dendrochronologię", którą teraz zespół roboczy uniwersytetu Arizony doprowadził do najwyższej precyzji. Chodziło po prostu o odczytywanie dokładnej liczby lat z ilości i charakteru słojów rocznych na — nawet zwęglonych — drzewach i szczątkach drewna. Udoskonalenie tej znanej od dawna metody polegało na tym, że znaleziono sposób, by słoje przyrostów rocznych na drzewach zupełnie różnego wieku niejako „przypasowywać" do siebie i tak „od drzewa do drzewa" (gdziekolwiek tylko w grobach i ruinach znajdowały się szczątki drewna) przedzierać się w przeszłość. Tak na przykład w niektórych okolicach Ameryki Północnej przy badaniu ruin z czasów przed Kolumbem posunięto się naprzód — ściślej mówiąc: wstecz — do roku narodzin Chrystusa. Za pomocą tej metody można w ramach dowolnego tysiąclecia ustanowić tak zwane „płynne" chronologie (nie powiązane z żadną datą absolutną naszej rachuby czasu), ustalając mianowicie, czy dany obiekt jest o rok starszy, czy młodszy od innego; przynosząc bądź to potwierdzenie, bądź zaprzeczenie istniejących już, odpowiadających im dat w naszym starym świecie, będą one przedstawiały bezcenną wartość.

Juz samo jednak użycie znanego od tak dawna przyrządu jak mikroskop uległo dziś w dziedzinie prac archeologicznych takiemu udoskonaleniu, że ostatnio konieczne okazało się wydanie specjalnego traktującego o tym podręcznika.

Wszelako wszystkie te nowoczesne metody podniosły nie tylko jakość badań archeologicznych, lecz zarazem bardzo wydatnie zwiększyły ilość ich wyników. Dawniej można było na palcach obu rąk policzyć ekspedycje znajdujące się „w polu". Dziś sam tylko Uniwersytet Pensylwański w Stanach Zjednoczonych nadzoruje co roku ponad dwadzieścia ekspedycji. Ba, w niektórych dziedzinach zbierany co dnia materiał jest aż za obfity, tak że praca czysto naukowa, uporządkowanie go i zinterpretowanie nie może za tym nadążyć. W rezultacie — i w tym leży niebezpieczeństwo — dopiero co odkopany materiał wędruje do muzeów, by tam od razu na nowo zostać pogrzebanym.

Ale jedno w tym wszystkim okazało się dobre: archeologia, dawniej nauka tak ezoteryczna, stała się przedmiotem zainteresowania szerokiego ogółu. To zainteresowanie nią człowieka naszych czasów, tak całkowicie, zdawałoby się, zaabsorbowanego tym, co każdego dnia zwala się na niego i co grozi mu w przyszłości — to jego zainteresowanie przeszłością, ta ciekawość oglądająca się wstecz, zwiększyły się wielokrotnie, stały się dla niego palącą potrzebą. Przejawiło się to z siłą, której nikt by nawet nie przypuszczał, kiedy technicy obwieścili, iż zbudują w Egipcie tak potężną zaporę, że jej spiętrzone wody niestety — niestety! — zaleją kilka zabytków. Chodziło zaś przede wszystkim o gigantyczne rzeźby skalne w Abu Simbel i o mniej więcej sto innych zabytków, należących do najstarszych i najznakomitszych dzieł sztuki ludzkości. Na tę wieść podniósł się krzyk w całym kulturalnym świecie. Poczynając od wielkich organizacji, a kończąc na małych klasach szkolnych zakładano fundusze pomocy. W sprawę wdało się UNESCO, ponad dwadzieścia państw zjednoczyło swe wysiłki — aby ratować Abu Simbel!

Cóż jeszcze należałoby powiedzieć?

Na całym świecie dalej prowadzi się wykopaliska. Ludzkości potrzeba bowiem owych ostatnich 5000 lat, aby mogła z jako takim spokojem znieść najbliższych lat sto.

BIBLIOGRAFIA

OGÓLNA

Biblia (Stary i Nowy Testament).

Bulle, Handbuch *der Archäologie (Handbuch der klassischen Altertumswissenschaften,* t. VI) München 1913.

Daniel Glyn E., *A. Hundred Years of Archeology,* London 1950. *Das Erwachen der Menschheit* (Propyläen—Weltgeschichte), Berlin 1931.

Daux G., *Les Etapes de VArcheologie,* 1942.

Frobenius Leo, *Der Ursprung der afrikanischen Kulturen,* Berlin 1898.

Frobenius Leo, *Kulturgeschichte Afrikas (Prolegomena zu einer historischen Gestaltlehre),* Zürich 1933.

Glover T. R., *The Ancient World,* Penguin Books, 1948.

Henning Richard, *Von rätselhaften Ländern,* München 1925.

Hertslet W. L., *Der Treppenwitz der Weltgeschichte,* Berlin 1927.

Jensen Hans, *Die Schrift,* Glückstadt 1935.

Kemmerich Max, *Kulturkuriosa,* I—II, München 1910.

Koepp Fr., *Archäologie,* I—IV, Leipzig 1919—20.

Lübke Wilhelm, *Die Kunst des Altertums (Grundriss der Kunstgeschichte,* t. I),

Esslingen 1921.
Magoffin R. V. D., Davis E. C, *The Rotnance of Archeology,* 1930.
Meissinger K. A., *Roman des Abendlandes,* Leipzig 1939.
Meyer Eduard, *Geschichte des Altertums, l—V,* Stuttgart—Berlin 1926—31.
Michaelis Adolf, *Die archäologischen Entdeckungen des Neunzehnten Jahrhunderts,* Leipzig 1906.
Oppeln-Bronikowski Friedrich von, *Archäologische Entdeckungen im 20. Jahrhundert,* Berlin 1931.
Otto W., *Handbuch der Archäologie,* München 1939—50.
Reinhardt Ludwig, *Urgeschichte der Welt,* I—II, Berlin—Wien 1924
Robert Carl, *Archäologische Hermeneutik,* Berlin 1919.
Rodenwaldt G., *Die Kunst des Altertums,* 1927.
Schuchardt Carl, *Die Burg im Wandel der Weltgeschichte,* Potsdam 1931.
Spengler Oswald, *Der Untergang des Abendlandes,* I—II, München 1920.
Springer Anton, *Kunstgeschichte, I—V,* Leipzig 1923.
Toynbee Arnold J., *A Study of History,* I—VI, London 1933—39. (Wg niem. wyd. *Der Gang der Weltgeschichte,* Stuttgart 1950).
Wegner Max, *Altertumskunde,* Freiburg—München 1951.
Woolley C. Leonard, *Mit Hacke und Spaten,* Leipzig 1950.

DO «KSIĘGI POSĄGÓW»

Bossert Helmuth Th., *Alt—Kreta,* Berlin 1923.
Buschor Ernst, *Die Plastik der Griechen,* Berlin 1936.
Corti Egon Cäsar Conte, *Untergang und Auferstehung von Pompeji und Herkulaneum,* München 1940.
Curtius Ludwig, *Antike Kunst,* I—II *(Handbuch der Kunstwissenschaft, Athe-naion),* Potsdam 1938.

Curtius Ludwig, *Deutsche und Antike Welt,* Stuttgart 1950.

Evans Arthur, *Scripta Minoa,* Oxford 1909.

Evans Arthur, *The Palące of Minos,* I—II, London 1921—30.

Fimmen, *Die kretisch-mykenische Kultur,* 1924.

Goethe Johan Wolfg. von, *Winckelmann und sein Jahrhundert,* 1805.

Hausrath, Marx, *Griechische Märchen,* Jena 1913.

Holm, Deecke, Soltau, *Kulturgeschichte des klassischen Altertums,* Leipzig 1897.

Homer, *Iliada* i *Odyseja.*

Justi Carl, *Winckelmann,* Leipzig 1866.

Lichtenberg R. von, *Die Ägäische Kultur,* Leipzig 1911.

Ludwig Emil, *Schliemann,* Berlin 1932.

Meyer Ernst, *Briefe von Heinrich Schliemann,* Berlin—Leipzig 1936.

Pfister Kurt, *Die Etrusker,* München 1940.

Schliemann Heinrich, *Ithaka,* Leipzig 1869.

Schliemann Heinrich, *Mykenä,* Leipzig 1878.

Schliemann Heinrich, *Ilios,* Leipzig 1881.

Schliemann Heinrich, *Troja,* Leipzig 1884.

Schliemann Heinrich, *Tiryns,* Leipzig 1886.

Schuchhardt, Wiegand, *Carl Humann,* 1931.

Uhde, Bernays, *Winckelmanns kleine Schriften,* Leipzig 1913.

Vietta Egon, *Zauberland Kreta,* „Wien—Wiesbaden 1952.

Winckelmann Johann Joachim, *Sendschreiben von den herculanischen Entdeckungen,* 1762.

Winckelmann Johann Joachim, *Neue Nachrichten von den neuesten herculanischen Entdeckungen,* 1764.

Winckelmann Johann Joachim, *Geschichte der Kunst des Altertums,* 1764.

Winckelmann Johann Joachim, *Monumenti antichi inediti,* I—II, Rom 1767.

Breasted J. A., *Ancient Records of Egypt,* I—V, Chicago 1906—07.

Breasted J.A., *A History of Egypt,* (wg niem. wyd. H. Ranke, *Geschichte Ägyptens,* Wien 1936).

Brugsch Heinrich, *Inscriptio Rosettana,* Berlin 1851.

Brugsch Heinrich, *Die Ägyptologie,* Leipzig 1891. Brugsch Heinrich, *Steininschrift und Bibelwort,* Berlin 1891.

Carter, Mace, *Tut-ench-Amun* (t. I), Leipzig 1924.

Carter Howard, *Tut-ench-Amun* (t. II), Leipzig 1924.

Champollion Jean Francois, *Lettre à M. Dacier, relative* d *l'alphabet des hiiroglyphes phonetiques,* Paris 1822.

Champollion Jean Francois, *Pantheon kgyptien,* Paris 1823.

Cottrell Leonhard, *The lost Pharaohs,* London 1950.

Ebers Georg, *Papyros Ebers,* I—II, 1875.

Ebers Georg, *Eine ägyptische Königstochter,* I—III (Roman), 1884.

Edwards, A. A. B., *Pharaohs, Fellahs and Explorers,* 1891.

Edwards I. E. S., *The Pyramides of Egypt,* Penguin Books, 1952.

Erman Adolf, *Die Hieroglyphen,* 1917.

Erman Adolf, *Die Literatur der Ägypter,* Leipzig 1923.

Erman Adolf, *Die Welt am Nil,* Leipzig 1936.

Friedell Egon, *Kulturgeschichte Ägyptens und des Alten Orients,* München 1951.

Hartleben H., *Champollion,* I—II, Berlin 1906.

Lange Kurt, *Pyramiden, Sphinxe, Pharaonen,* München 1952.

Ludwig Emil, *Napoleon,* Berlin 1930.

Meier-Graefe Julius, *Pyramide und Tempel,* Berlin 1927.

Petrie William M. Flinders, *Ten years' digging in Egypt,* 1881—91.

Petrie William M. Flinders, *Methods and aims in* archeology, 1904.

Reybaud, *Histoire sdentiftque et militaire de l'expedition francaise en Egypte,* I—X,

1830—36.
Scharff, Moorgat, *Ägypten und Vorderasien im Altertum,* München 1951.
Sethe Kurt, *Die altägyptischen Pyramidentexte,* I—IV, 1908—22.
Steindorff Georg, *Die ägyptischen Gaue und ihre politische Entwicklung,* 1909.
Steindorff Georg, *Blütezeit des Pharaonenreiches,* 1920.

DO «KSIĘGI WIEŻ»

Botta Paul Emile, *Monuments de Ninive dccouverts et dicrits par Botta, mesures et dessines par E. Flandin,* I—V, Paris 1847—50.
Diez Ernst, *Entschleiertes Asien,* Berlin 1943.
Grotefend Georg Friedrich, *Beiträge zur Erläuterung der persepolitanischen Keilschrift,* Hannover 1837.
Hedin Sven, *Bagdad, Babylon, Niniveh,* Leipzig 1918.
Jordan Franzis, *In den Tagen des Tammuz,* München 1950.
Kittel Rudolf, *Die orientalischen Ausgrabungen,* Leipzig 1908.
Koldewey Robert, Das *wiedererstehende Babylon,* Leipzig 1914.
Koldewey, Schuchhardt, *Heitere und ernste Briefe,* Berlin 1925.
Layard Austen Henry, *Autobiography* and *Letters,* 1903.
Layard Austen Henry, *Niniveh and its remains,* I—II, London 1848 (wg wyd. niem. Meissnera, Leipzig 1850).
Layard Austen Henry, *Niniveh and Babylon, being the narrative of discoveries,* London 1853 (wg niem. wyd. Leipzig 1856).
Lawrence, *The letters, of T. E., London* (br.) (wg niem. T. R, Lawrence, *Selbstbildnis in Briefen,* München—Leipzig 1948).
Lloyd Seton, *Foundations in the Dust,* London 1949.
Meissner Bruno, *Babylon und Assyrien,* I—II, 1920—25.
Meissner Bruno, *Könige Babylons und Assyriens,* Leipzig 1926.

Rawlinson Henry Creswicke, *The Persian cuneiform inscriptions at Behistun,* 1846.
Rawlinson Henry Creswicke, *Commentary on the cuneiform inscriptions of Babylonia and Assyria,* 1850.
Rawlinson Henry Creswicke, *Outline of the history of Assyria, as collected from the inscriptions discovered in the ruins of Niniveh,* London 1852.
Rawlinson G., *A Memoir of Major—General Sir Henry Creswicke Rawlinson,* 1938.
Schmidtke Friedrich, *Der Aufbau der babylonischen Chronologie,* Münster 1952.
Weidner Ernst F., Studien *zur assyrisch-babylonischen Chronologie* und *Geschichte,* 1917.
Woolley C. Leonard, Vor 5000 *Jahren,* Stuttgart 1929.
Woolley C. Leonard, *Ur of the Chaldees,* Pelican Books. London 1952.

DO «KSIĘGI SCHODÓW»

Batres Leopoldo, *Teotihuacan,* Mexiko 1906.
Bowditch Charles P., *A suggestive Maya inscription,* Cambridge, USA, 1903.
Bowditch Charles P., *Mexican and Central American antiquities, calendar Systems and history,* Washington 1904.
Catherwood F., *Views of ancient monuments in Central America, Chiapas and Yucatan,* 1844.
Charney Desirć, *Ruines americaines,* Paris 1863.
Collier John, *lndians of the Americas,* New York 1948.
Danzel Theodor-Wilhelm, *Mexiko,* I—II, Hagen 1923.
Danzel Theodor-Wilhelm, *Mexiko und das Reich der Inkas,* Hamburg (br.).
Dieseldorff E. P., Kunst und *Religion der Mayavölker,* I—III, Berlin 1926—1933.
Greene Graham, *The Lawless Roads,* 1939.
Humboldt Alexander von, *Reise in die Äquinoktialgegenden des neuen Kontinents,* Stuttgart 1859—60.

Joyce T. A., *Mexican Archeology,* London 1914.
Joyce T. A., *Central American and West Indian Archaeology,* London 1914.
Kingsborough Edward Lord, *Antiquities of Mexico,* I—IX, London 1831—48.
Kisch Egon Erwin, *Entdeckungen in Mexiko,* Berlin 1947.
Landa Diego de, *Reladon de las cosas de Yucatan,* 1566 (franc. *Relation des choses de Yucatan,* wyd. przez Brasseur de Bourbourg, Paris 1864).
Lehmann Walter, *Ergebnisse und Aufgaben der mexikanischen Forschung,* Arch. f. Anthr., Braunschweig 1907.
Maudslay Alfred P., *Biologia Centrali Americana,* I—IV, London 1889—1902.
Maya-Sculptures, Guide to the Maudslay Collection of, British Museum, London 1938.
Morley S. G., *The Ancient Maya,* 1947.
Morley S. G., *The rise and fall of the Maya Civilization in the light of the monuments and the native chronicles,* New York 1917.
Prescott William H., *History of the Conquest of Mexico,* 1844 (liczne wyd. niem.).
Radin Paul, *The Story of the American Indian,* New York, 1944.
Ricketson Oliver G., jr., *Six Seasons at Uaxactün,* Intern. Congr. of Americ, 1928.
Sahagun Fr. Bernardino de, *Historia General de las cosas de Nueva Espana,* I—III, Mexiko 1829 (ang. *A History of Ancient Mexico,* przeł. F. Bandelier, 1932).
Schultze-Jean Leonhard, *Gliederung des Alt-Aztekischen Volks in Familie, Stand und Beruf,* Stuttgart 1952.
Seier Eduard, *Gesammelte Abhandlungen zur amerikanischen Sprach- und Altertumskunde,* I—V, Berlin 1902—1923.
Stephens John L., *Inddents of Travel in Central America, Chiapas and Yucatan,* New York 1842.
Termer Franz, *Mittelamerika und Westindien,* Handb. d. Georg. Wiss.
Thompson J. Eric, *Civilization of the Mayas,* Chicago 1927.
Thompson Edward Herbert, *People oj the Serpent,* London 1932.
Vaillant G. C, *The Aztecs of Mexico,* Penguin Books, ,1951.

Verril A. Hyatt, Verril Ruth, *America's Ancient Civilizations,* New York 1953.
Westheim Paul, *Arte antiguo de Mexico,* Mexico 1950.

«KSIĘGI, KTÖRYCH JESZCZE NIE MOŻNA NAPISAĆ»

Baudin Louis, *Les Incas du Pkrou,* Paris 1942 (niem. wydanie J. Niederehe, Essen 1947).
Baudin Louis, *L'Empire socialiste des Incas,* Paris 1928.
Bittel Kurt, Naumann Rudolf, *Boghazköy-Hattusa, Ergebnisse der Ausgrabungen des Deutschen Archäologischen Instituts und der Deutschen Orient-Gesellschaft in den Jahren 1931—1939,* Stuttgart 1952.
Bittel Kurt, Naumann Rudolf, *Die Ruinen von Boghazköy, der Hauptstadt des Hethiterreiches,* Berlin und Leipzig 1937.
Bittel Kurt, Naumann Rudolf, *Grundzüge der Vor-und Frühgeschichte Kleinasiens,* II Ausg., Tübingen 1950.
Bossert H. Th., Cambel Halet, *Karatepe,* Istanbul 1946.
Bossert H. Th., Alkim U. Bahadir, *Karatepe,* Istanbul 1947.
Braghine A., *Atlantis,* Stuttgart 1946.
Forrer Emil, *Ausbeute aus den Boghazköyinschriften, „Mitteilungen der Deutschen Orientgesellschaft",* 61, 1921.
Garstang, *The Land of the Hittites,* 1910.
Götze Albrecht, *Das Hethiterreich,* 1928.
Gurney O. R., *The Hittites,* Penguin Books, 1952.
Mackay D., *Early Indus Civilizations,* 1948.
Mackay E. J. K., *Excavations at Mohenjo-Daro,* Delhi 1938.
Marshall John, *Mohenjo-Daro and the Indus civilization,* I—III, London 1931.
Piggot Stuart, *Prehistorie India to 1000 B. C,* Penguin Books, 1952.
Prescott William H., *History of the Conquest of Peru,* 1847 (liczne wyd. niem.).
Sommer Ferdinand, *Hethiter und Hethitisch,* Stuttgart 1947.
Ubbelohde-Doering Heinrich, *Kunst im Reiche der Inca,* Tübingen 1952.
Wheeler R. E. M. *500 Years of Pakistan,* London 1950.